



GORZKA
CZEKOLADA

**NELE
NEUHAUS**

KTO SIEJE WIATR

**SPISEK, KTÓRY MOŻE KOSZTOWAĆ ŻYCIE
WIELE OSÓB.**

Media Rodzina

Nele Neuhaus

Kto sieje wiatr

Wer wind sät

Przekład Anna i Miłosz Urbanowie

Prolog

Biegła wyludnionymi ulicami, najszybciej, jak tylko mogła. Na tle nocnego nieba eksplodowały feerią barw sylwestrowe sztuczne ognie. Gdyby tylko udało jej się dotrzeć do parku, mogłaby skryć się pośród świętującego tłumu – tam by jej nie znaleźli. Nie znała okolicy, nie wiedziała, gdzie jest. Słyszała za sobą echo kroków pogoni, odbijające się od ścian domów. Deptali jej po piętach, sprytnie odciągając coraz dalej i dalej od głównych ulic, od postojów taksówek, zejść do metra i ludzi. Każde spotkanie mogło oznaczać jej koniec.

Przeraźliwy strach nie pozwalał jej normalnie oddychać, a serce waliło, jakby zaraz miało eksplodować. Długo już nie uda jej się utrzymać takiego tempa. Tam! W końcu! W ciągnącym się w nieskończoność rzędzie fasad kamienic dostrzegła wąski wyłom. Nie zwalniając, skręciła w niewielką uliczkę, jednak jej ulga trwała tylko ułamek sekundy, bo właśnie pojęła, że popełniła najpoważniejszy błąd w życiu. Znalazła się w pułapce! W uszach szumiała jej krew. Słyszać było jedynie jej urywany oddech. Skryła się między koszami na śmieci, przycisnęła twarz do chropowatej ściany i zamknęła oczy. Uczepiła się beznadziejnej myśli, że prześladowcy niczego nie zauważą i pobiegną dalej.

– Tam jest! – rozległ się głos mężczyzny. – Teraz już nam nie ucieknie.

Uliczkę zalało światło reflektorów. Uniosła ramię i zamrugła oślepiona. Myśli w jej głowie wirowały jak szalone. Czy powinna krzyknąć o pomoc?

– Tutaj jest już nasza – rozległ się kolejny głos.

Kroki na kostce brukowej. Mężczyźni byli coraz bliżej. Szli powoli, nie spieszyli się. Strach sprawiał jej fizyczny ból. Zacisnęła spoczone pięści, wbijając paznokcie w skórę.

I wtedy go zobaczyła. Stał obok i spojrzał na nią. Przez jedną krótką chwilę miała nadzieję, że zjawił się tutaj, żeby jej pomóc.

– Błagam! – wyszeptała chrapliwie i wyciągnęła dłoń.
– Ja wszystko wyjaśnię...

– Za późno – przerwał jej. W jego oczach widziała pogardę i złość. W tym momencie zgasła ostatnia iskierka nadziei: zmieniała się w popiół, zupełnie jak piękna biała willa nad jeziorem.

– Proszę! Proszę, nie zostawiaj mnie! – W jej głosie słychać było panikę. Chciała czołgać się w jego stronę i błagać o wybaczenie. Chciała przysiąc, że zrobi dla niego wszystko. Lecz on bez słowa odwrócił się i odszedł. Została sama z mężczyznami, którzy nie znali litości. Paniczny strach sparaliżował jej ciało. Zamrugła i histerycznie potrząsnęła głową. Nie! Nie chce tu umierać! Nie w tej ciemnej alejce, cuchnącej moczem i śmieciami!

Z wyzwoloną przez strach siłą broniła się rozpaczliwie, rozdając kopniaki i ciosy. Lecz nadaremnie. Męż-

czyżni przycisnęli ją w końcu do ziemi i brutalnie wykręcili jej ręce na plecy. Poczowała ukłucie. Po chwili nie mogła się ruszyć, a obraz przed jej oczyma zaczął się rozmywać. Czowała, że zdzierają z niej ubranie. Leżała teraz naga i bezbronna. Gdzieś ją ciągnęli. Przez kilka sekund między wysokimi ścianami kamienic widziała fragment czarnego nocnego nieba i migotliwe gwiazdy. Potem otoczyła ją ciemność, w którą coraz głębiej się zapadała. Przez chwilę miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, lecz w następnym momencie brutalny upadek pozbawił ją oddechu. Była trochę zaskoczona, że umieranie jest tak proste!

Gwałtownie usiadła. Serce waliło jej jak oszalałe i dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że właśnie się obudziła. Koszmar, który dręczył ją od miesięcy, nigdy jeszcze nie był tak realny. I nigdy nie śniła go do końca. Roztrzęsiona przycisnęła ramiona do piersi i w ciszy czekała, żeby mięśnie w końcu się rozluźniły, a ciało przestało drżeć z zimna. Przez zakratowane okno do pokoju wpadało światło ulicznych latarni. Jak długo jeszcze będzie tu bezpieczna? Opadła na plecy, przewróciła się na bok i schowała twarz w poduszce. Zaczęła szlochać, bo wiedziała, że ten strach nigdy się nie skończy.

Poniedziałek 11 maja 2009

Ledwie słońce pokazało się nad horyzontem, on ruszał do lasu. Zamknął za sobą furtkę ogrodu i, jak każdego ranka, z fuzją przewieszoną przez ramię szedł stromą ścieżką w stronę drzew. Tell, szorstkowłosa brązowy wyżeł, biegł kilka metrów z przodu, zatrzymywał się co kawałek i węszył, wciągając czułym nosem tysiące zapachów pozostawionych tam w nocy. Ludwig Hirtreiter nabrał do płuc chłodnego, świeżego powietrza, rozkoszując się koncertem budzących się ptaków. Na łące pod samym lasem stały dwie sarny. Tell spojrzał w ich kierunku, jednak nie miał zamiaru rzucać się za nimi w pogoń; był mądrym, posłusznym psem, którego dzika zwierzyna interesowała jedynie wtedy, gdy pan pozwalał.

– Dobra psina, dobra – pochwalił Ludwig. Mieszkał niedaleko lasu. Przeszedł pod szlabanem pomalowanym w białe i czerwone pasy. Postawiono go tutaj kilka lat wcześniej, kiedy się okazało, że leniwi weekendowi turyści z Frankfurtu nie mają zamiaru zostawiać aut, zanim wejdą między drzewa. Dzisiaj ludziom – szczególnie tym z miast – brakowało jakiegokolwiek szacunku dla natury. Nie potrafili rozróżniać gatunków roślin, krzyczeli na całe gardło i puszczali luzem swoje niewychowane psy nawet w czasie ochronnym dla zwierzyny. Wielu świetnie się wręcz bawiło, kiedy ich pupile płoszyły sarny i goniły za nimi po lesie. Ludwig Hirtreiter nie znajdował usprawie-

dliwienia dla takich zachowań. Według niego las był świętym miejscem. Znał okolicę jak własną kieszeń, wiedział, jak trafić na samotne, ukryte w gąszczu polany, wiedział o matecznikach dzikich zwierząt i ścieżkach, którymi chadzały dziki. Kilka lat wcześniej własnoręcznie przygotował tablice informacyjne, które ustawił przy ścieżce dydaktycznej, żeby przybliżyć zwiedzającym tajemnice lasu.

Słońce przebijało się przez gęstwinę koron drzew i zmieniało las w spokojną, złotozieloną katedrę. Na pierwszym rozwidleniu Tell, jakby czytając w myślach swojego pana, wybrał drogę w prawo. Po chwili minęli majestatyczny dąb i dotarli do poręby powstałej w zeszłym roku, kiedy gwałtowna burza wyłamała w lesie przesiekę. Nagle Ludwig stanął i znieruchomiał. Tell również nastawił uszu. Hałas silników spalinowych! Kilka sekund później ciszę lasu rozdarł dźwięk drewna ciętego piłami mechanicznymi. Nie, to nie mogli być pracownicy nadleśnictwa, bo o tej porze roku nie urządzano żadnych wycinek. Ludwiga Hirtreitera ogarnęła złość. Ruszył w kierunku, z którego dochodziły hałasy. Serce waliło mu dziko. Domyślił się, że nie dotrzymali ustaleń i zaczęli karczowanie jeszcze przed konsultacjami społecznymi, żeby postawić ludzi przed faktami dokonanyimi.

Kilka minut później jego najgorsze obawy znalazły potwierdzenie. Schylił się i przeszedł pod białoczerwoną plastikową taśmą, która otaczała niewielką polankę poniżej szczytu wzniesienia, i z niedowierzaniem przyjrzał się

pomarańczowym ciężarówkom i uwijającym się wokół nich mężczyznom. Nagle znów zawyły piły spalinowe, a w powietrze poleciały trociny. Potężny świerk zakołysał się, a potem z łoskotem padł w poprzek polanki. Co za podstępne bandziory! Ludwig zdał strzelbę z ramienia i trzęsąc się ze złości, odbezpieczył spust.

– Stać! – ryknął, wykorzystując chwilę, gdy piły przez chwilę nie cięły. Mężczyźni spojrzeli w jego stronę, unosząc przejrzyste przyłbice ochronne. Hirtreiter wyszedł spomiędzy drzew. Tell nie odstępował pana na krok.

– Wynocha stąd! – krzyknął jeden z pracowników. – Nie ma pan tu czego szukać!

– To wy się lepiej stąd wynoście! – odpowiedział Ludwig ponuro. – I to natychmiast! Dlaczego wycinacie drzewa?

Brygadzysta dopiero teraz zauważył strzelbę i to, jak bardzo zdeterminowany jest nieznajomy.

– Nie no, spokojnie, przecież nie chcemy robić żadnych awantur, prawda? – zapytał, unosząc dłonie w uspokajającym geście. – My tylko wykonujemy swoją pracę.

– To ją wykonujcie, ale nie tutaj. Wynocha mi z lasu, i to natychmiast!

Pozostali zbliżyli się do miejsca, w którym stał. Żadna piła już nie pracowała. Tell warknął cicho, ale groźnie. Hirtreiter oparł palec na spuście. Był śmiertelnie poważny. Rozpoczęcie prac budowlanych było zaplanowane dopiero na pierwsze dni czerwca, więc wycinka drzew już

teraz nie miała nic wspólnego z legalnym działaniem, nawet jeśli burmistrz czy rada miasta z milczącym przyzwoleniem przyglądali się tym poczynaniom.

– Macie pięć minut, żeby spakować manatki i zabrać się stąd gdzie pieprz rośnie! – krzyknął do ekipy drwali. Jednak żaden z mężczyzn nie drgnął. Wtedy złożył się do strzału, wycelował w piłę w dłoniach jednego z nich i pociągnął za spust. Rozległ się huk. Dopiero w ostatnim momencie Ludwig Hirtreiter poderwał lufę w górę tak, że pocisk przemknął metr nad głową sparaliżowanego strachem robotnika. Kilka sekund panowała całkowita cisza, a drwale wpatrywali się w niego z niedowierzaniem. W końcu, na łeb na szyję, rzucili się do ucieczki.

– Ja tego tak nie zostawię! Popamięta pan to! – krzyczał brygadzysta, umykając za samochody. – Wzywam policję!

– Rób pan, co się żywnie podoba! – Ludwig Hirtreiter skinął tylko głową i zarzucił strzelbę na ramię. Nikt nie będzie dzwonił na policję, bo w ten sposób donieśliby sami na siebie. Załgani przestępcy.

Niewiele brakowało, a uwierzyłyby w gorące zapewnienia. Żadne drzewo nie zostanie ścięte, zanim nie zostaną zatwierdzone wszystkie decyzje, zarzekali się jeszcze w piątek. A przecież już wtedy musieli zlecić karczowanie lasu wyspecjalizowanej firmie. Poczekał, aż ostatnia ciężarówka wyjedzie z polany, a hałas silników zniknie gdzieś pośród drzew. Wtedy oparł strzelbę o pień i zabrał się za zwijanie taśmy zagradzającej dostęp do polanki.

Nikt nie ma prawa ścinać tu drzew. I on o to zadba. Był gotów do walki.

Pia Kirchhoff stała przy taśmociągu z bagażami. W chwili kiedy sięgnęła po swoją walizkę, rozdzwonił się telefon w jej torebce. Przez kilka sekund nie potrafiła skojarzyć, co to za dźwięk, i musiało upłynąć trochę czasu, zanim zorientowała się, że to komórka, którą włączyła chwilę po lądowaniu. Przez trzy cudowne tygodnie nikt do niej nie dzwonił, więc telefon w naturalny sposób wypadł z listy przedmiotów niezbędnych do codziennego życia. Jak na razie, jej bagaż miał wciąż daleko większe znaczenie niż odebranie połączenia. Walizki Christopha przyjechały zaraz na samym początku, a on sam stał już przy wyjściu ze strefy odbioru bagażu. Pia miała zamiar zaraz do niego dołączyć. Niestety, niemal kwadrans musiała czekać na swoje rzeczy, bo walizki pasażerów lotu numer LH729 z Szanghaju pojawiały się na taśmie w denerwujących odstępach i bardzo nierównomiernie.

Dopiero kiedy szara plastikowa skorupa na kółkach stanęła bezpiecznie koło niej, sięgnęła do torebki i po omacku znalazła komórkę. Głośniki w hali bagażowej co chwilę ryczały jakimiś komunikatami, a ktoś brutalnie uderzył ją wózkami w łydkę i nie mruknął nawet przepaszam. Kolejny samolot wypłuł stu kilkudziesięciu pasażerów i pasażerek, a przed stanowiskami odprawy celnej ustawily się kolejki. W końcu udało jej się odebrać.

– Jestem przy odprawie celnej! – Pia usiłowała prze-

krzyczeć ogólny harmider. – Proszę o telefon za pół godziny!

– Ups, przepraszam! – odparł Oliver von Bodenstein. W głosie szefa słychać było rozbawienie. – Byłem pewien, że wróciliście wczoraj.

– Oliver! – jęknęła Pia z ulgą. – Bardzo mi przykro. Nasz lot miał straszne opóźnienie, chyba dziewięć godzin. Dopiero wylądowaliśmy. Co się dzieje?

– Pojawił się mały problem – odparł Bodenstein. – Mamy zwłoki, a o jedenastej jest ślub cywilny Lorenza i Thordis. Jeśli się na nim nie pojawię, zostanę wyklęty przez rodzinę.

– Zwłoki? Gdzie? – Pia chciała przejść obok stanowiska kontroli celnej, ale przysadzista funkcjonariuszka straży celnej uniosła dłoń. Najwyraźniej usłyszała ostatnie pytanie Pii i bardzo ją te zwłoki zaintrygowały. Wyjątkowo niepotrzebne utrudnienie, kiedy ktoś się spieszy.

– W biurowcu w Kelkheim – wyjaśnił Bodenstein. – Dopiero co przyszło zgłoszenie. Zaraz wyślę na miejsce nowego, ale wolałbym, żebyś też się tam pojawiła.

– Ma pani coś do oclenia? – zapytała celniczka.

– Nie. – Pia potrząsnęła energicznie głową.

– Jak to nie? – Bodenstein był zaskoczony natychmiastową odmową.

– Nie, to znaczy tak! – Pia zaczęła się denerwować. – Nie, nie mam nic do oclenia, i tak, zaraz tam pojedę.

– O co pani chodzi? – Urzędniczka uniosła brwi. – Proszę otworzyć walizkę.

Pia przycisnęła komórkę ramieniem do ucha i zabrała się za otwieranie zamka, lecz tak nieszczęśliwie, że złamała sobie paznokiec. Ewidentnie skończył się czas relaksu i wypoczynku. Wrócił stres.

– Dobra, zaraz tam jadę. Podaj mi tylko adres.

Otworzyła walizkę. Celniczka zaczęła grzebać w niestarannie spakowanych rzeczach, w nadziei, że między brudnymi rzeczami trafi na przemycaną wazę z epoki Ming albo przynajmniej niezgłoszoną do oclenia butelkę wódki czy sztanę papierosów. Przy stanowisku celniczki zaczęła się robić kolejka. Pia spojrzała złym wzrokiem na urzędniczkę, która akurat skończyła bezowocne poszukiwania i ze znudzoną miną dała znak głową, że wszystko w porządku. Policjantka zatrzasnęła wieko walizki, energicznym ruchem ściągnęła ją z pulpitu i ruszyła w stronę wyjścia. Drzwi z mlecznego szkła rozsunęły się bezszelstnie na boki. Po drugiej stronie bramek czekał Christoph, uśmiechając się z przymusem, bo obok niego stał równie niezadowolony były mąż Pii, doktor Henning Kirchhoff. Jeszcze tylko tego brakowało! Zgodnie z ustaleniami, z lotniska miała ich odebrać Miriam, która na czas urlopu przyjaciółki zamieszkała w jej gospodarstwie i zajmowała się końmi i psami. Dzień wcześniej rozmawiały przez telefon i potwierdziły taką wersję.

– Mój bagaż wyjechał na samym końcu – przeprosiła Pia. – A potem celniczka postanowiła przeorać mi walizkę. Wybaczcie. A ciebie co tutaj przyniosło?

Ostatnie zdanie skierowane było oczywiście do byłe-

go męża. W porównaniu z Christophem spalonym na brązowo chińskim słońcem Henning wyglądał blado i marnie.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odparł sarkastycznym tonem i skrzywił się kwaśno. – Od ponad godziny parkuję pod zakazem. Jeśli dostałem mandat, ty go pokryjesz.

– Wybacz, proszę. – Pia pocałowała go delikatnie w policzek. – I dzięki, że w ogóle po nas przyjechałeś. Co się stało z Miriam?

W związku Henninga i jej najlepszej przyjaciółki Miriam sprawy ostatnio bardzo się pokomplikowały, bo istniało prawdopodobieństwo, że doktor Kirchhoff jest ojcem nienarodzonego jeszcze dziecka byłej kochanki, prokuratorce Valerie Löblich. Po kilku miesiącach całkowitego milczenia, kiedy to Henning poważnie rozważał opcję ucieczki z podwiniętym ogonem gdzieś za granicę, Miriam dała mu cień szansy i znów się do siebie zbliżyli – jednak nie było na razie mowy o harmonijnym związku opartym na zaufaniu.

– Miriam miała na dziewiątą spotkanie w Moguncji i nie mogła dłużej czekać – wyjaśnił Henning z wyrzutem i ruszył w stronę wyjścia. – Poprosiła, żebym po was podskoczył, bo nie mam daleko z Instytutu. A właśnie, jak wam się udał urlop?

– Bosko – odparła Pia i wymieniła szybkie spojrzenie z Christophem. „Bosko” nie było najwłaściwszym słowem, żeby opisać trzy tygodnie spędzone w Chinach, bo

ich pierwszy wspólny wyjazd był pod każdym względem perfekcyjny. Mimo że już jakiś czas byli ze sobą, wciąż czuła motylki w brzuchu na jego widok. Czasem zastanawiała się, jak to możliwe, że miała tyle szczęścia i związała się z mężczyzną marzeń. Spotkali się trzy lata wcześniej, latem, podczas dochodzenia w sprawie morderstwa. Zaczynała już wówczas powoli godzić się z wizją samotnej starości w otoczeniu zwierząt, które trzymała w swoim gospodarstwie. Od razu między nimi zaiskrzyło. Bodenstein uznał jednak Christopha za jednego z głównych podejrzanych, co bardzo skomplikowało początki ich znajomości.

Chłodne powietrze majowego poranka sprawiło, że Pia dostała gęziej skórki. Po czternastu godzinach w samolocie czuła się nieświeżo i tęskniła za prysznicem. Najwyraźniej jednak ta przyjemność musiała jeszcze poczekać.

Pod wycieraczkami auta Henninga nie czekał na nich mandat, co prawdopodobnie należało zawdzięczać plakietce pod przednią szybą z napisem „Lekarz na służbie”. Mężczyźni zapakowali walizki do bagażnika, a Pia wykorzystywała ten moment, żeby wślizgnąć się na tylną kanapę.

– Masz jakieś plany na najbliższe godziny? – zapytała kilka minut później, kiedy Henning skręcał na autostradę w kierunku Kelsterbach. Podróżowali dość wolno, bo o tej porze ludzie jechali do pracy we Frankfurcie.

– A dlaczego cię to interesuje? – Spojrzał podejrzli-

wie w lusterko wsteczne. Pia przewróciła oczyma. Jak zwykle nie odpowiedział wprost na łatwe pytanie! Zaczęła masować pulsujące bólem skronie. Przez ostatnie trzy tygodnie naprawdę odzwyczaiła się od takich sytuacji. Nie myślała o codziennych sprawach, o pracy, a nawet o wiszącej nad nią jak miecz Damoklesa groźbie nakazu rozbiórki gospodarstwa. Niestety, nadszedł czas, by znów się z tym wszystkim zmierzyć. Gdyby mogła, bez wahania przedłużyłaby urlop choćby i do końca świata, lecz może tajemnicą prawdziwego szczęścia było to, że nie trwało wiecznie?

– Muszę się dostać do Kelkheim, bo przyszło wezwanie do znalezionych zwłok – wyjaśniła. – Przed chwilą dzwonił do mnie szef. Urlop się skończył, więc wracam do swojego kieratu.

Główna brama schroniska dla zwierząt była zamknięta, a parking przed budynkiem administracji pusty. Mark chodził nerwowo wzdłuż wysokiego ogrodzenia i co chwila sprawdzał komórkę. Piętnaście po siódmej. Gdzie ta Ricky się podziewa? Najpóźniej za dwadzieścia minut będzie musiał się zbierać. Nauczyciele robili wielkie halo, nawet jeśli spóźniał się tylko o minutę, i natychmiast pisali mejle do jego matki. A to wszystko dlatego, że w ostatnim czasie kilka razy poszedł na wagary. Niech ich szlag. Dlaczego rodzice nie mogli zrozumieć, że miał już dość szkoły? Odkąd przestał mieszkać w internacie, miał wrażenie, że z jego życiem jest coś nie tak. Tysiąc razy

bardziej wolałby robić coś konkretnego, niż marnować kolejne godziny w szkolnej ławce. Mark marzył o zajmowaniu się zwierzętami. I o własnym mieszkaniu, pełnym psów i kotów, jak u Ricky i Jannisa. To byłoby super. Ale gdyby wyskoczył z taką propozycją, ojciec zszedłby na zawał. Matura i studia nie podlegały żadnej dyskusji, a przydałoby się, żeby zrobił jeszcze jakiś kurs za granicą. A tak w ogóle, to to był oczywiście wariant minimum, poniżej którego schodził tylko motłoch i plebs. Bez studiów byłby nikiem. Musiałby żyć z pomocy społecznej.

Z miejsca, w którym stał, doskonale widział asfaltową drogę, która prowadziła do Schneidhain. Lecz poza nielicznymi spacerowiczami z psami nikt się nie zbliżał. Pół nocy siedział przed komputerem, nie mogąc zasnąć. Ledwie zamknął powieki, natychmiast wracały wspomnienia. Wysłał Ricky SMS-a. Odpowiedziała, że o siódmej rano będzie w schronisku. Tymczasem zbliżało się już wpół do ósmej. Mark postanowił wyjść jej naprzeciw.

Kiedy sędzia skazała go na osiemdziesiąt godzin prac społecznych, które miał odbyć w schronisku dla zwierząt, niewiele brakowało, a by się załamał. Był przerażony i wściekły. Ale tam poznał Ricky i jej chłopaka Jannisa. I niespodziewanie znów pojawiło się w jego życiu coś, na co czekał i na co się cieszył. Praca w schronisku sprawiała mu wielką radość i mimo że odpracował już cały wyrok, nadal przychodził pomagać. Czuł się tak, jakby dzięki

Ricky i Jannisowi znalazł swoje miejsce na ziemi i nową rodzinę, która zawsze czekała na niego z otwartymi ramionami. Jannis był dla niego przykładem i autorytetem. Godzinami potrafili dyskutować o różnych sprawach, o których Mark wcześniej w ogóle nie myślał: o wojnie w Afganistanie, o osadnikach na Zachodnim Brzegu Jordanu, o więźniach z Guantanamo, którzy mieliby trafić do Niemiec, czy na ulubiony temat Jannisa, jakim był wielki spisek klimatyczny. Jannis wiedział wszystko o wszystkim i miał własne przekonania, całkowicie odmienne od przekonań ojca Marka, który najchętniej wypowiadał się na temat polityki podatkowej rządu federalnego albo wyrażał swoje oburzenie działalnością Zielonych i lewicy. Jednak najważniejsze było to, że Jannis nie rzucał słów na wiatr i zawsze robił to, co zapowiedział. Już kilka razy Mark wziął z nim udział w demonstracjach i pikietach i za każdym razem był pod wielkim wrażeniem, ilu ludzi go zna.

Włożył kask i uruchomił silnik motoroweru, kiedy na drodze pojawiło się ciemne kombi Ricky. Po chwili kobieta zatrzymała się obok, a on z bijącym szybciej sercem czekał, aż opuści szybę.

– Cześć – powiedziała z uśmiechem. – Wybacz, że się spóźniłam.

– Cześć. – Poczuł pieczenie twarzy, co było niechybnym znakiem, że zrobił się czerwony. Nie zdziwił się, bo zawsze rumienił się w takich sytuacjach.

– Pomożesz mi szybko przy karmieniu? – zapytała. –

Moglibyśmy przy okazji porozmawiać. Co ty na to?

Mark się zawahał. A co tam, pomyślał. Chrzanić szkołę. I tak nie nauczy się tam niczego, co byłoby jeszcze przydatne. Bo prawdziwe życie toczyło się gdzieś indziej.

– Super – odpowiedział.

Poranne słońce odbijało się w szklanej, nowoczesnej fasadzie wysokiego budynku o futurystycznych kształtach. W przemysłowej okolicy wyglądał jak statek kosmiczny gotowy do startu. Henning zostawił samochód na parkingu, na którym większość miejsc była jeszcze pusta. Z bagażnika wyjął obie walizki i postawił na ziemi, a kiedy Pia chciała go uścisnąć i podziękować za podwiezienie, mruknął tylko, że nie trzeba. Od kwadransa, czyli od chwili, kiedy Christoph wysiadł pod bramą jej gospodarstwa, Henning był milczący i miał niezadowoloną minę. Ale że przez szesnaście lat byli małżeństwem, Pia znała jego chimeryczne nastroje i nie przejmowała się nimi. Wcześniej zdarzało się, że w ogóle przestawał się odzywać i milczał przez trzy dni z rzędu. Ruszyli wybrukowanym podejściem ozdobionym elegancko obsadzonymi kwietnikami i fontannami. Przed budynkiem parkowały dwa radiowozy. Pia rzuciła okiem na tabliczkę z nazwą firmy: WindPro GmbH. Stylizowany wiatrak obok zdradzał, czym się zajmowali. Przy schodach do drzwi wejściowych stał umundurowany policjant i ziewał. Skinął głową i wpuścił ich do środka. Ledwie znaleźli się w przestronnym i elegancko urządzonym holu, Pia poczu-

ła niemożliwą do pomylenia z innym zapachem woń rozkładającego się ciała.

– Wygląda na to, że ten ktoś leżał sobie przez cały weekend – mruknął Henning. Pia spojrzała w górę. Nad ich głowami otwierała się przestrzeń sięgająca trzeciego piętra. Na wyższe kondygnacje można było dotrzeć szerokimi schodami albo przeszkloną windą. Po prawej stronie, przy długiej ladzie ze stali nierdzewnej, siedziała na krześle zgarbiona kobieta, z łokciami opartymi na kolanach i twarzą skrytą w dłoniach. Obok niej stało kilku umundurowanych funkcjonariuszy i mężczyzna w cywilu. To musiał być ten nowy komisarz, o którym wspomniał Bodenstein.

– No proszę, kogo ja widzę – powiedział Henning.

– Znasz go?

– Tak. To Cemalettin Altunay. Wcześniej pracował w K11 w Offenbach.

Jako zastępca dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie, Henning znał większość policjantów z terenów między Renem a Menem i z południowej Hesji, zajmujących się morderstwami i przestępstwami z użyciem przemocy.

Pia przyjrzała się nowemu koledze. Funkcjonariusz nachylał się właśnie nad wstrząśniętą kobietą i coś do niej cicho mówił. Na pewno nie skończył jeszcze czterdziestki, pomyślała. A jeśli chodziło o wrażenia estetyczne, to jego poprzednik Frank Behnke nie dorastał mu do pięt, co było miłą odmianą. Śnieżnobiała koszula, czarne dżinsy,

wypolerowane na wysoki połysk buty i gęste, czarne włosy starannie przycięte na wojskową modłę – jednym słowem, prezentował się wyjątkowo schludnie. Momentalnie poczuła się nieswojo, bo po przylocie nie zdążyła zmienić brudnej od potu i pogniecionej szarej koszulki z krótkim rękawkiem i poplamionych džinsów. Zanim tu przyjechała, powinna była wziąć prysznic i się przebrać. Ale teraz było już za późno.

– Witam, panie doktorze! – przywitał się nowy głębokim, przyjemnym głosem, po czym zwrócił się w kierunku Pii.

– Komisarz Cem Altunay. Bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać. Kai i Kathrin wiele mi o tobie opowiadali. Urlop był udany?

– Tak... to znaczy... ja... dzięki – wyjąkała. – Pół godziny temu wylądowaliśmy, bo mieliśmy dziewięć godzin opóźnienia...

– I zaraz wezwanie do zwłok. Przykro mi. – Cem uśmiechnął się przepaszająco, jakby to on ponosił winę. Przez kilka sekund lustrowali się wzrokiem. W końcu Pia odwróciła głowę. Denerwowało ją spojrzenie jego oczu w kolorze gorzkiej czekolady. Mijały kolejne sekundy, a milczenie stawało się kłopotliwe. W końcu Henning chrząknął kpiąco gdzieś z tyłu, dzięki czemu Pia momentalnie otrząsnęła się i wzięła w garść.

– Dobra, co my tu mamy? – zapytała.

– Denat nazywa się Rolf Grossmann i od kilku lat był zatrudniony jako stróż nocny. Wszystko wskazuje na nie-

szczęśliwy wypadek – wyjaśnił Cem Altunay. – Zwłoki znalazła jedna z pracowniczek firmy, kiedy przyszła rano do pracy. Chodźcie, zaprowadzę was.

Słodkawy zapach wiercił w nosie. Zwłoki, które cuchnęły już tak mocno, zazwyczaj nie wyglądały apetycznie. Pia ruszyła za Cemem schodami w górę i przygotowywała się wewnątrz na to, co zaraz zobaczy. Jednak widok, który ukazał się jej oczom, był naprawdę trudny do zniesienia. Nieboszczyk, w którego spuchniętej i fioletowej twarzy trudno było doszukać się ludzkich rysów, leżał z groteskowo rozrzuconymi ramionami na podeście schodów między drugim i trzecim piętrzem. Pia wiele już widziała w swojej pracy, jednak na widok ciała oblepionego setkami much zrobiło jej się niedobrze. Gdyby nie lata doświadczenia i profesjonalna samokontrola, nowy kolega byłby świadkiem, jak pada na kolana i wymiotuje.

– Dlaczego sądzisz, że to był nieszczęśliwy wypadek?
– zapytała i przełknęła ślinę, walcząc z odruchem wymiotnym. Upał, który panował w wysokiej przeszklonej hali, wszystkimi porami wyciskał z człowieka pot. – Uff, może ktoś by włączył klimatyzację albo chociaż otworzył szklaną kopułę?

– Ani mi się waż! – warknął Hennig, wkładając biały jednorazowy kombinezon. – Biada! Zniszczyłabyś mi miejsce zbrodni!

Pia zauważyła zaskoczone spojrzenie nowego kolegi.

– Byliśmy małżeństwem – wyjaśniła krótko. – No

dobrze, to skąd takie wnioski?

– Wygląda to tak, jakby potknął się na schodach i spadł – odparł Cem Altunay.

– Hm. – Pia powędrowała wzrokiem w górę klatki schodowej, łagodnym łukiem docierającej do trzeciego piętra. – Udało ci się porozmawiać z kobietą, która go znalazła? I co tu robiła o wpół do siódmej rano?

Henning otworzył z trzaskiem swoje walizki, a potem pochylił się nad ciałem, płosząc całą chmarę much, które uniosły się w powietrze, bzycząc dookoła.

– Ponoć codziennie tak zaczyna. Pracuje w księgowości. – Altunay oparł się o poręcz i wskazał na kobietę na krześle. – Jest w szoku. Najwyraźniej dobrze się rozumieli z denatem. Rano pijali razem kawę.

– Dlaczego stróż miałby tak po prostu spać ze schodów?

– Najwyraźniej miał problemy z alkoholem. Tak przynajmniej twierdzą współpracownicy. – Cem relacjonował, czego się zdążył dowiedzieć. – Ciało pachnie alkoholem, a w kuchni dla pracowników znalazłem napoczętą butelkę Jacka Danielsa.

Kurier w ciemnobrązowym uniformie firmy dostarczającej paczki sapał ciężko, podsuwając jej elektroniczny terminal z rysikiem, by pokwitowała odebranie zamówienia.

Podpisała się na porysowanym ekranie urządzenia i uśmiechnęła z satysfakcją. Mężczyzna nie próbował na-

wet ukryć niezadowolenia, że zmusiła go, by zaniósł karton z przesyłką do magazynu, zamiast kazać zostawić go na podjeździe, gdzie zaparkował furgonetkę. Lecz Frauke Hirtreiter w ogóle się tym nie przejmowała.

Wróciła do sklepu, włączyła światło i rozejrzała się. Mimo że interes należał do Ricky, kochała go, jakby był tylko jej. W końcu znalazła w życiu miejsce, do którego tęskniła i gdzie się dobrze czuła. „Raj dla Zwierząt” w pełni zasługiwał na swoją nazwę; nie był zatechłym, brudnym i źle oświetlonym sklepikiem, jakie Frauke pamiętała z dzieciństwa. Otworzyła drzwi do bocznego pomieszczenia, w którym urządziły salon piękności dla psów. To było jej królestwo. Na wieczorowych kursach nauczyła się sztuki cięcia i strzyżenia i została psią fryzjerką – z angielska zwaną „groomer”. Klientom przypadły do gustu jej usługi i polecali ją znajomym, więc interes stał się opłacalny. Do tego dochodziła szkoła dla psów prowadzona przez Ricky, a kilka tygodni wcześniej wystartował w końcu sklep w wersji online. Od tego czasu bezustannie przybywało im klientów. Frauke przeszła do biura. Nika siedziała już przy komputerze i wpisywała dostarczone zamówienia.

– Ile wyszło? – zapytała Frauke z zainteresowaniem.

– Dwadzieścia cztery – odparła dziewczyna. – Wzrost o sto procent w porównaniu z poniedziałkiem w zeszłym tygodniu. Tylko nie mogę wprowadzić nowych artykułów, nie wiem dlaczego.

– A co się dzieje? – Frauke sięgnęła do szafki wiszą-

cej nad zlewem w maleńkiej kuchni i wyjęła dwie filiżanki do kawy. Po chwili ekspres zaczął bulgotać i parskać.

– Nie mam pojęcia. Za każdym razem wyskakuje ten sam problem. Usiłuję wpisać jakiś artykuł i wszystko działa, a kiedy chcę to zachować, nic się nie dzieje.

– Mark powinien to sprawdzić. Na pewno będzie wiedział, jak to naprawić.

– Kto jak kto, ale Mark da sobie radę. – Nika kliknęła przycisk drukowania i po kilku sekundach z drukarki laserowej wysunęło się gotowe zamówienie. Przeciągnęła się i ziewnęła. – Idę do magazynu.

– Gdzie ci się tak spieszy, wypijmy najpierw kawę. Masz jeszcze trochę czasu.

Rozlała napar do filiżanek i podała jedną dziewczynie.

– Mleko już dodałam.

– Dzięki. – Nika uśmiechnęła się i dmuchnęła na gorący napój.

Frauke była szczerze zadowolona, że Nika dołączyła do ich zespołu, bo nie dość, że Ricky miała coraz mniej czasu na pracę w sklepie, to jeszcze kandydatki do pracy przysyłane z urzędu zatrudnienia do niczego się nie nadały. Pierwsza dziewczyna, która do nich trafiła, najzwyczajniej w świecie kradła, druga była zbyt tępa, żeby chociaż przyjąć dostawę, a trzecia orzekła po kilku dniach, że praca jest za ciężka i bołą ją plecy. Nika natomiast nie dość, że była pilna, to nigdy się nie skarżyła, i wprowadziła w końcu porządek do nieco chaotycznie

prowadzonej księgowości, a od kiedy sprzątaczką złożyła wymówienie, zostawała wieczorami, żeby posprzątać sklep. Frauke niewiele o niej wiedziała: właściwie tylko tyle, że była starą przyjaciółką Ricky i wynajmowała pokój u niej i Jannisa. Przy pierwszym spotkaniu nie zrobiła pozytywnego wrażenia: szczupła i milcząca, z szaroblond włosami, w okularach i niezdrowo bladą cerą, nosiła ciuchy, które inni wyrzuciliby do kontenera na odzież używaną. Przy Ricky wyglądała jak kuropatwa przy pawiu, ale kto wie, może właśnie dlatego obie dziewczyny były takimi bliskimi przyjaciółkami? Ricky nieszczególnie dobrze znosiła jakąkolwiek konkurencję, a Nika nie mogła się z nią równać pod żadnym względem, podobnie zresztą jak Frauke. Bardzo chętnie dowiedziałyby się czegoś o tajemniczej dziewczynie; Nika zachowywała się bardzo spokojnie i czasem sprawiała wrażenie smutnej, ale ku rozczarowaniu Frauke, nigdy nie pisnęła nawet słowa o sobie. Co pewien czas Frauke nie potrafiła się pohamować i jakby nigdy nic rzucała jakieś bardziej osobiste pytanie. Jednak dziewczyna uśmiechała się tylko delikatnie i odpowiadała, że jej życie było tak nudne, że w ogóle nie opłaca się o nim rozmawiać.

– Dzięki, teraz już naprawdę muszę lecieć. – Nika odstawiła filiżankę do zlewu. – Ricky chciała przyjechać przed wpół do dziesiątej, żeby rozwiązać zamówienia. Zadzwońisz do Marka?

– Pewnie, zaraz się tym zajmę. – Frauke skinęła głową i uśmiechnęła się zadowolona. Jej życie się zmieniło,

ale tylko na lepsze. I miała nadzieję, że tak już zostanie. Najlepiej na zawsze.

Henning starannie zbadał ciało i miał już w głowie wstępną opinię. Zdjął z twarzy maseczkę i obrócił się do Cema i Pii.

– No dobrze. Czas zgonu mogę określić między trzecią a szóstą rano – zaczął. – Nie ma już oznak stężenia pośmiertnego, a plamy opadowe praktycznie nie ustępują pod naciskiem.

– Dzięki. – Pia skinęła głową byłemu mężowi, który stał nad zwłokami i przyglądał im się ze zmarszczonym czołem.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Hm. Całkiem możliwe, że się mylę, ale jakoś trudno mi uwierzyć w upadek ze schodów jako przyczynę śmierci. Chodzi o to, że denat nie ma złamanego kręgosłupa.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś mu pomógł?

– Całkiem możliwe – potaknął Henning. Pia przez chwilę chciała zadzwonić do Bodensteina, jednak zdecydowała, że tego nie zrobi. Przekazał jej prowadzenie tego śledztwa, więc to do niej należało podejmowanie decyzji. Uznała, że skoro Henning podejrzewa udział osób trzecich, to jest to wystarczająca przesłanka, by uruchomić całą procedurę.

– Dobra, dzwoniemy do laboratorium i wzywamy techników, żeby zabezpieczyli ślady – poinformowała

Cema Altunaya. – Budynek zostaje zamknięty, dopóki nie skończymy roboty. I konieczna będzie sekcja zwłok.

– W porządku, zajmę się tym. – Cem skinął głową i z kieszeni spodni wyjął telefon komórkowy. Pia zeszła na parter. Przy drzwiach pilnowanych przez jednego z policjantów zrobiło się małe zamieszanie. Pracownicy WindPro usiłowali przekonać go, że musi ich wpuścić do środka. Lecz to groziłoby zdeptaniem ewentualnych śladów.

– Co się dzieje? – zapytała policjantka.

– Pojawił się ich szef i chce wejść do środka – odparł funkcjonariusz.

– Niech go pan wpuści i przyśle do mnie. Pozostali zostają na zewnątrz.

Mężczyzna skinął głową i wrócił do drzwi.

– Możemy już przewietrzyć budynek? Potrzebuję świeżego powietrza. – Pia spojrzała na Henninga. Była złana potem i nie mogła wytrzymać zapachu rozkładu.

– Nie – odparł krótko mężczyzna. – Dopóki technicy nie zabezpieczą śladów, wszystko zostanie tak, jak jest. Nie dam Krögerowi powodu, żeby się mnie czepiał.

– I tak będzie – odparła Pia. – Choćby dlatego, że pierwszy widziałeś ciało.

Cem załatwił trzy telefony i zadowolony schował komórkę.

– Technicy są już w drodze, my dostaniemy wsparcie, a Kai zajmie się prokuratorem – obwieścił.

– Doskonale. Przyszedł szef denata. Jak to załatwi-

my? – Spojrzała na nowego kolegę.

– Ty zadajesz pytania, ja się przysłuchuję – odparł Cem.

– W porządku. – Ulżyło jej, bo obawiała się sporu o zakres kompetencji. Z Frankiem Behnke, poprzednikiem nowego, różnie to wyglądało: właściwie podczas każdego dochodzenia upierał się, że jako najstarszy stażem to on powinien prowadzić śledztwo. Nieco później podszedł do nich wysoki i umięśniony mężczyzna w towarzystwie policjanta, który eskortował go od drzwi. Paskudna woń i wiadomość, że w firmie zostały znalezione zwłoki, pozbawiły jego twarz kolorów. Jednak zanim zdążył się przedstawić Pii, kobieta siedząca dotychczas nieruchomo na krześle przebudziła się z letargu i z niezrozumiałym zawodem rzuciła się w kierunku szefa. Ten spojrzał na nią z początku z irytacją, jednak wziął ją w ramiona, przytulił i poklepał pocieszająco po plecach. Cem musiał się trochę wysilić, żeby uwolnić szefa WindPro z uścisku szlochającej kobiety. Pracownicy, którzy tłoczyli się przy drzwiach do budynku, ucichli na ten widok i przestali się pchać. Umięśniony dyrektor firmy był wyraźnie poruszony tą całą sytuacją, jednak nie stracił panowania nad sobą.

– Pia Kirchhoff, wydział zabójstw w Hofheim, a to mój partner, Cem Altunay – przedstawiła ich Pia.

– Stefan Theissen – odparł mężczyzna. – Co tu się stało?

Theissen miał silny i pewny uścisk, lecz jego dłoń była nieco spocona, co jednak z racji temperatury było dla

Pii zrozumiało i nie podejrzewała, by powodem była nadmierna nerwowość. Musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy. Miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt i doskonałą prezencję. Męski zapach jego wody po goleniu przez chwilę przytłumił smród zwłok. Nie wysuszył dokładnie włosów po porannym prysznicu, a delikatnie zaczerwieniona skóra kontrastowała ze śnieżnobiałym kołnierzykiem koszuli i zdradzała, że skończył się golić całkiem niedawno.

– Wasz stróż nocny, pan Grossmann, najprawdopodobniej miał wypadek. Niestety śmiertelny.

Pia przyglądała się, jak Theissen zareaguje na tę wiadomość.

– To... to straszne. Jak... to znaczy... co... – Zamilkł wstrząśnięty. – Wielki Boże...

– Z wstępnych oględzin wynika, że spadł ze schodów – ciągnęła Pia. – Ale może przeszlibyśmy gdzieś i zamienili kilka słów?

– Tak, oczywiście... może przejdziemy do mojego biura? – Theissen spojrzał na nią pytająco. – To na trzecim piętrze. Możemy pojechać windą.

– Nie, lepiej nie. Czekamy na ekipę od zabezpieczenia śladów. Dopóki nie skończą pracy, nikt nie powinien się tam kręcić.

– Co z moimi pracownikami? – zapytał mężczyzna.

– Dzisiaj będą musieli zacząć później. – Pia pokręciła głową. – Musimy ustalić przebieg wypadków.

– Ile to potrwa?

Zawsze to samo pytanie. A ona miała na nie zawsze tę samą odpowiedź.

– Niestety, w tej chwili nie jestem w stanie tego ocenić.

Spojrzała na Altunaya.

– Cem, dasz znać chłopakom, żeby zadzwonili do mnie, jak będą na miejscu?

Dziwnie się czuła, zwracając się do tego, bądź co bądź całkowicie obcego człowieka, na ty, jakby to było coś zupełnie normalnego. Pia nie wiedziała dlaczego, ale nie potrafiła jeszcze zaakceptować go jako partnera. Może chodziło o to, że nie miała dość czasu, by wejść w rutynę pracy, bo przecież wczoraj o tej porze była tysiące kilometrów stąd? Pomyślała o Christophie i musnęła kciukiem pierścionek na palcu. Henning, z natury bardzo spostrzegawczy, natychmiast go zauważył. Z chęcią wspominałaby jeszcze ostatnią noc w Chinach, lecz zorientowała się, że Theissen patrzy na nią wyczekująco.

W końcu wrócił Cem i razem przeszli do niewielkiej salki konferencyjnej na parterze firmy.

– Proszę, niech państwo siadają. – Theissen wskazał miejsca przy długim stole. Zamknął za nimi drzwi i odstawił aktówkę. Zanim sam usiadł, rozpiął marynarkę. Ani grama tłuszczu, pomyślała Pia. A facet musiał mieć około pięćdziesiątki! Pewnie codziennie rano biegał albo należał do tych zapaleńców, którzy zrywali się skoro świt i na rowerze górskim ujeżdżali po lasach gór Taunus. Kiedy Theissen wziął się w garść po pierwszym szoku,

wyraźnie się rozluźnił i z powrotem nabrał kolorów.

– Jak mógłbym pomóc?

– Jedna z pana pracownic odkryła dziś rano zwłoki pana Grossmanna – zaczęła Pia i przypomniała sobie, jak Theissen przytulił płaczącą kobietę. Szef z sercem. Punkt dla niego.

– Pani Weidauer. – Theissen potaknął. – To nasza księgowa, codziennie jest w pracy przed innymi.

– Powiedziała nam, że pan Grossmann miał problemy z alkoholem. Czy to prawda?

Mężczyzna westchnął i potaknął.

– Zgadza się. Miał. Nie pił stale, ale od czasu do czasu wpadał w ciąg.

– Czy taka osoba nie jest ryzykownym pracownikiem w firmie, tym bardziej jako stróż nocny?

– No cóż. – Stefan Theissen przesunął dłonią po włosach i przez chwilę szukał właściwych słów. – Rolf był moim kolegą ze szkoły podstawowej.

Zaskoczył Pię. Albo bardzo się pomyliła w ocenie wieku Theissena, albo śmierć i proces rozkładu zwłok zmieniły rysy Rolfa Grossmanna do tego stopnia, że wyglądał na zdecydowanie starszego, niż był w rzeczywistości.

– W szkole bardzo się kolegowaliśmy, a potem straciliśmy kontakt. Kilka lat temu widzieliśmy się ponownie na spotkaniu klasowym. I byłem zaszokowany. Żona wyrzuciła go z domu. Mieszkał w domu pomocy społecznej we Frankfurcie i nie miał pracy. – Theissen wzruszył ra-

mionami. – Zrobiło mi się go żal, więc go zatrudniłem. Na początku w charakterze szofera, a kiedy stracił prawo jazdy, został tutaj nocnym stróżem. Zazwyczaj można było na nim polegać. Był pracowity i się starał. A w czasie pracy nigdy nie pił.

– Zazwyczaj? – Cem włączył się do rozmowy. – To by znaczyło, że jednak nie zawsze?

– Niestety, nie zawsze. Kiedyś go zaskoczyłem, bo późno wróciłem z delegacji i zamiast jechać prosto do domu, wpadłem do firmy. Leżał nieprzytomny w kuchni. Kolejne trzy miesiące spędził na kuracji odwykowej. Od tego czasu, czyli od roku, ani razu nie zdarzyło się, żebym widział go pijanego. Przyjąłem, że udaje mu się kontrolować nałóg.

Otwarcie. Prosto z mostu. Bez owijania w bawełnę.

– Zgodnie z pierwszymi szacunkami, śmierć pana Grossmanna nastąpiła w sobotę, około czwartej nad ranem – oznajmiła Pia. – Jak to możliwe, żeby do dzisiaj rana nikt się nie zaniepokoił?

– Pan Grossmann był samotnym człowiekiem. Nie miał rodziny. A w weekendy budynek firmy stoi pusty, no chyba że mamy akurat gorący okres i kończymy jakiś projekt – wyjaśnił Theissen. – Zdarza mi się wpadać w sobotę do biura, żeby nadgonić jakieś zaległości, jednak tym razem wyjechałem na weekend. Rolf... to znaczy pan Grossmann... kończył pracę o szóstej rano, a potem wracał do pracy na osiemnastą.

Wersja Theissena była spójna i logiczna. Pia podzię-

kowała za informacje i wstała. W tym momencie odezwała się jej komórka. Dzwonił Henning.

– Znalazłem coś wyjątkowo interesującego – rzucił do słuchawki. – Chodźcie na schody. Najlepiej od razu.

Wpatrywał się w jej twarz i walczył z wyrzutami sumienia, że tak długo jej nie odwiedzał. Otworzyła oczy, lecz w jej wzroku nie było niczego poza pustką. Czy w ogóle rozumiała, co do niej mówił? Czy czuła jego dotyki?

– Wczoraj wieczorem to był prawdziwy sukces. Niewiarygodny! – Pogłaskał ją po dłoni. – Wszyscy, naprawdę wszyscy przyszli. Nawet pani Merkel. I oczywiście prasa. Dzisiaj gazety piszą o książce. Podobałoby ci się, skarbie.

Przez nieszczęsne okno do pokoju przedostawały się odgłosy miasta: dzwonienie tramwajów, trąbienie, warkot silników. Dirk Eisenhut wziął żonę za rękę i pocałował jej zimne palce. Za każdym razem, kiedy wchodził do tej sali i widział ją leżącą z otwartymi oczyma, kiełkowała w nim nadzieja. Znane są przecież udokumentowane przypadki budzenia się ludzi po latach spędzonych w stanie apalicznym. Do dzisiaj nikt nie jest w stanie z całą pewnością stwierdzić, co się dzieje w umysłach takich pacjentów. Wiedział za to, że go słyszy. Wcześniej widział, że reaguje, kiedy zaczynał mówić, a co pewien czas oddawała uścisk dłoni. Kilka razy, kiedy mówił o dawnych czasach albo ją pocałował, odnosił wrażenie, że chce się do niego

uśmiechnąć.

Cichym głosem relacjonował premierę swojej najnowszej książki, która odbyła się wczoraj w budynku opery, wzbudzając spore zainteresowanie. Wymienił nazwiska prominentnych gości, polityków, artystów i przedsiębiorców i przekazał pozdrowienia od przyjaciół i znajomych. Nie odwrócił się, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Przez jakiś czas nie będę mógł cię teraz odwiedzać – wyszeptał. – Niestety, muszę wyjechać. Ale wciąż o tobie myślę, kochana.

Poczuł, że do pokoju weszła Ranka, bardzo sumienna pielęgniarzka. Zawsze używała takich samych perfum, pachnących lawendą i różami.

– A, to pan, panie profesorze. Długo pana nie było. – Miał wrażenie, że w jej głosie słyszy przyganę, ale nie zamierzał się usprawiedliwiać.

– Witaj, Ranko – odparł po prostu. – Jak się czuje moja żona?

Zazwyczaj kobieta opowiadała szeroko o codzienności w takim miejscu, o tym, jak jego żona jest wywożona na łóżku na balkon, albo że rehabilitacja daje jakieś efekty. Dzisiaj jednak była znacznie oszczędniejsza w słowach.

– Dobrze – mruknęła. – Jak zawsze. Dobrze.

Zła wiadomość. Dirk Eisenhut nie chciał słyszeć o braku postępów. Stagnacja to w rzeczywistości krok w tył. Z początku rehabilitacja, fizjoterapia i praca logopedyczna.

pedów dawały obiecujące wyniki, a stan Bettiny poprawiał się powoli, ale ustawicznie. Nauczyła się wówczas samodzielnie łykać, dzięki czemu można było usunąć sondę z żołądka. Szansa wybudzenia pacjenta ze stanu apalicznego wynosiła około pięćdziesięciu procent. Jako naukowiec rozumiał, że to żadna gwarancja i jak niewiele znaczy taka szansa w rzeczywistości. Jeśli w ciągu roku nie dochodziło do znaczącej poprawy w sferze psychicznej i fizycznej, a pacjent pozostawał nieprzytomny, należało przejść do kolejnej fazy, czyli do długotrwałej opieki nad pacjentami w stanie wegetatywnym. I to oznaczało koniec wszelkich nadziei na wyleczenie.

Pocałował żonę na do widzenia, powiedział Rance, że musi wyjechać na kilka dni, i wyszedł na korytarz.

Od tamtej okropnej sylwestrowej nocy tylko dwa razy odwiedził willę w Poczdamie, a właściwie to, co z niej zostało i czego nie strawiły płomienie: z policyjnymi rzeczoznawcami, żeby zabrać rzeczy z gabinetu, który jakimś cudem ocalał z szalejącego pożaru. Potem już tam nie jeździł. Przeniósł się do ich mieszkania w dzielnicy Mitte, które Bettina darzyła tak wielkim sentymentem. Miał blisko do ośrodka opieki na Rosenthaler Strasse, w którym leżała jego żona. Nie przeszkadzało mu, że codziennie musiał przebijać się przez całe miasto do pracy; traktował to jako pokutę. Skinieniem głowy pożegnał się z portierem i wyszedł z budynku. Momentalnie otoczył go hałas i pośpiech. Stał na chodniku i nabrał głęboko powietrza. Minęła go grupa rozwrzeszczanych

i roześmianych turystów. Przy krawężniku zatrzymał się taksówkarz i spojrzał na niego wyczekująco. Pokręcił szybko głową, dając do zrozumienia, że nie chce nigdzie jechać. Po każdej wizycie u Bettiny potrzebował chwili spaceru, a poza tym od domu dzieliło go tylko kilka kroków. Ruszył przed siebie, przeszedł na drugą stronę ulicy i po kilkuset metrach skręcił w Neue Schönhauser Strasse, gdzie mieszkał.

Być może znosiłby wszystko lepiej, gdyby nie to, że mógł wtedy zapobiec tragedii. Kiedy wrócił po uroczystości w instytucie, dom stał już w ogniu. Panowało lodowate zimno i pojawiły się problemy z wodą do gaszenia, a straż pożarna bardzo długo walczyła ze sprzętem. Bettina przeżyła tylko cudem. Lekarz pogotowia przeprowadził udaną reanimację, lecz wkrótce miało się okazać, że jej mózg bardzo długo był pozbawiony koniecznego do życia tlenu. Zbyt długo.

Do dziś nie potrafił poradzić sobie z szokiem, jaki wywołało tamto wydarzenie. Nie miał wątpliwości, że sam jest temu winny. Popęlnił potworny błąd – błąd, którego nigdy nie będzie mu dane naprawić.

Dzisiaj miała zapaść ostateczna decyzja. Przez całe tygodnie, jeśli nie miesiące, gromadził informacje, robił zestawienia, analizy i przekładał wyniki na język zrozumiały dla przeciętnego człowieka, żeby siłą rzeczowych przykładów móc pokonać oponentów. Jego starania ukoronowane zostały sukcesem, bo inicjatywa społeczna

„NIE dla elektrowni wiatrowych w Taunusie” liczyła dwustu członków i dziesięć razy tyle sympatyków. To był jego pomysł, by krótko przed zebraniem obywateli miasta jeszcze raz poruszyć ten temat w telewizji. Sam się wszystkim zajął i dziś wieczorem czekały go trudne chwile. Tak wiele od tego zależało! Druga strona musiała w końcu pojąć, że nie mają do czynienia z bandą oszołomów, tylko z setkami obywateli, którzy protestują przeciwko bezsensownemu projektowi energetyki wiatrowej. Jannis Theodorakis wyszedł spod prysznic, sięgnął po ręcznik i wytarł się. Przesunął dłonią po nieogolonej brodzie. Lubił nosić kilkudniowy zarost, ale w telewizji to chyba nie będzie wyglądało zbyt dobrze. Zupełnie jakby o siebie nie dbał. Zadbany będzie poważniej odbierany. Kiedy się ogolił, przeszedł do sypialni, otworzył szafę i przyjrzał się krytycznie jej zawartości. Czy garnitur nie będzie przesadą? Trochę minęło od czasów, kiedy codziennie chodził do pracy ubrany w garnitur i pod krawatem, więc możliwe, że nie wciśnie się już w te rzeczy. W końcu zdecydował się na dzinsy, marynarkę i białą koszulę. Od kiedy Nika zaczęła dbać o dom, wszystkie szafy były pełne starannie wyprasowanych ubrań. Jannis przygotował spodnie i koszulę na podwójnym łóżku, którego widok zepsuł mu dobry humor. Ricky sypiała już tylko na kanapie w salonie albo na podłodze; twierdziła, że ból pleców nie pozwala jej leżeć w łóżku. Od dawna zmagала się z nawałem obowiązków, które sama na siebie brała, ale nie chciała przyznać, że jest przeciążona. Sklep, praca

w schronisku dla zwierząt, szkoła dla psów, zaopatrzenie i organizacja inicjatywy obywatelskiej pochłaniały więcej czasu, niż miała, więc na prywatne życie nie zostawało jej już nic. Przepracowanie skutkowało przeciążeniem i nieznośnymi bólami pleców, które zmuszały ją do regularnych wizyt u kręgarza i dawały dobrą wymówkę, kiedy próbował namówić ją na seks.

Jannis wyszedł z sypialni i przeszedł do kuchni. Koty, które zaspane wylegiwały się w słońcu na parapecie i na krześle, podskoczyły na jego widok i uciekły na taras przez klapkę w drzwiach. Darmozjady, które Ricky w swojej bezkrytycznej miłości do zwierząt ściągająca do domu, działały mu na nerwy. Dwa psy potrafił jeszcze zaakceptować, jednak koty, te aroganckie i samolubne paskudy, które wszystko zasypywały swoją sierścią, wzbudzały w nim szczerą niechęć. One odpowiadały mu wyniosłym lekceważeniem i najwyraźniej miały równie niewielką chęć na jego towarzystwo, jak on na ich.

Jasne promienie porannego słońca wpadały przez kuchenne okno. Wspaniały początek letniego dnia zapowiadał idealne warunki do nagrywania wieczornego programu. Jannis nalał sobie kawy, świeżą bułkę posmarował masłem i dżemem z truskawek. Ugryzł ze smakiem chrupiące pieczywo. Krążące bez celu myśli skupiały się w końcu zawsze na tym samym: na Nice. I to od jakiegoś już czasu.

Z początku widział w niej tylko to, jak wyglądała: dziwaczny styl ubierania się, jakaś groteskowa wręcz fry-

zura i lenonki. Nika prawie się nie odzywała, była wycofana i nieśmiała. Do tego stopnia, że często zapominał, że mieszka z nimi w domu. Nic o niej nie wiedział, ale też niewiele go interesowała – aż do tamtego wieczoru przed trzema tygodniami.

Jannisowi zrobiło się gorąco, kiedy przypomniał sobie o dniu, który wszystko zmienił. Zszedł do piwnicy po butelkę wina do kolacji i kiedy znalazł się tam na korytarzu, Nika wyszła akurat z łazienki – naga, jak ją pan Bóg stworzył, z mokrymi włosami odgarniętymi z twarzy. Przez kilka chwil stała nieruchomo, zaskoczona jego obecnością. Patrzyli na siebie przestraszeni, aż w końcu on szybkim krokiem ruszył w stronę schodów, mrużąc przy tym jakieś przeprosiny. Żadne z nich nie wspomniało później o tym spotkaniu, jednak pojawiło się między nimi jakieś napięcie. Obraz jej nagiego ciała wypalił się w jego mózgu tak, że nie mógł go zapomnieć. I nie chciał – leżąc samotnie w łóżku, myślał o niej. Z każdą kolejną nocą, kiedy Ricky odmawiała mu seksu, coraz bardziej pożądał Niki, aż w końcu stała się jego obsesją, która dręczyła go i doprowadzała do wściekłości. Jeśli Ricky, dotychczas bardzo zazdrosna, dowiedziałyby się o tym, w powietrzu latałyby noże. Mimo to nie potrafił wyrzucić z pamięci widoku nagich piersi dziewczyny.

– Nika... – mruknął i przez chwilę rozkoszował się pożądaniem, jakie wywoływało wypowiedzenie jej imienia na głos. Już samo wspomnienie o spotkaniu na korytarzu w piwnicy, które w jego dzikich fantazjach od dawna nie

kończyło się zakłopotaną ucieczką w stronę schodów, ogromnie go podnieciło. – Niech to szlag, Nika, niech to szlag...

Szef wydziału zabójstw K11 Oliver von Bodenstein stał przed lustrzanymi drzwiami szafy z ubraniami i wiązał krawat. Cóż za genialny pomysł, żeby pobierać się akurat w poniedziałkowe przedpołudnie, zmuszając pracującą część rodziny do brania urlopów! Spojrzał na siebie krytycznym wzrokiem. Mimo że wciągnął brzuch, nad paskiem spodni widać było wyraźne wybrzuszenie. Wczoraj wieczorem wskazówka wagi po raz pierwszy w jego życiu przekroczyła magiczną granicę dziewięćdziesięciu kilogramów. To był dla niego szok. Jeszcze tylko dziewięć kilo i pęknie setka! Jeśli natychmiast się za siebie nie zabierze i nie przestanie co wieczór jadać z rodzicami, popijając każdą kolację butelką czerwonego wina, stanie niedługo przed decyzją, czy pasek nosić pod czy nad brzuchem.

Włożył marynarkę. Doskonały krój garnituru maskował mankamenty figury, lecz i tak nie czuł się pewnie. Nie było to jednak spowodowane ani ślubem syna, ani nadmiernym tyciem. Przez dwadzieścia lat jego życie toczyło się bezpiecznym, dawno ustalonym torem, lecz przed sześcioma miesiącami niespodziewanie musiał rozstać się z Cosimą, a wszystko, co zbudował, posypało się jak domek z kart. Szybko się zorientował, że błędem był romans z Heidi Brückner, którą poznał w zeszłym roku

w listopadzie, w czasie pewnego dochodzenia. Spotkali się w chwili, kiedy rozbity niewiernością Cosimy usiłował poskładać swoje życie do kupy. Heidi pomogła mu przetrzymać ten pierwszy, najtrudniejszy okres, lecz on nie był jeszcze gotowy na żaden trwały związek. Rozmawiali potem jeszcze kilka razy, on przestał oddzwaniać i romans umarł śmiercią naturalną, bez dramatycznych rozmów i rozpaczy.

Jednak prawdziwym powodem, dla którego stokroć bardziej wolałby ze swoimi ludźmi badać znalezione zwłoki, niż gnać teraz do urzędu stanu cywilnego w ratuszu w Kelkheim, była Cosima. Niemal z nią nie rozmawiał, od kiedy pół roku wcześniej postawiła go przed faktem dokonanym i krótko potem wyruszyła ze swoim rosyjskim kochaniem na wyprawę dookoła świata. Wciąż jeszcze był wściekły za to, że przez swój egoizm zniszczyła rodzinę, którą stanowili, i obróciła całe jego życie w perzynę. Jej romans z podróżnikiem i poszukiwaczem przygód rosyjskiego pochodzenia trwał już od kilku miesięcy, zanim Oliver się o nim dowiedział. Ona i Alexander Gawrilow zrobili z niego głupca. Nie miał wówczas innego wyjścia, jak zaakceptować jej decyzje, choćby i dla dobra dzieci. Lorenz i Rosalie byli już dorośli i potrafili się o siebie zatroszczyć, lecz Sophia skończyła dopiero dwa i pół roku. Miała prawo do posiadania matki i ojca, niezależnie od tego, co działo się między nim a Cosimą. Bodenstein po raz ostatni przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze i z rezygnacją potrząsnął gło-

wą. Postanowił, że odkrycie zwłok wykorzysta jako pretekst, by uciec zaraz po uroczystości w urzędzie i nie zostawać na obiedzie, jeśli Cosima zachowa się na tyle bezczelnie i nietaktownie, by przyprowadzić ze sobą tego całego Gawrilowa. W duchu miał nadzieję, że tak właśnie zrobi.

Już z daleka dostrzegł dwa samochody zaparkowane na podwórzu. Spodziewał się, kto będzie na niego czekał. Ludwig Hirtreiter nie był człowiekiem, który uciekałby przed trudnościami, dlatego nie zwolnił kroku i otworzył furtkę do ogrodu. Tell ruszył w stronę obu mężczyzn i zaczął wściekle ujadać.

– Tell! – krzyknął. – Spokój. Do nogi!

Psisko posłusznie zamilkło i wróciło do pana.

– Czego chcecie? – burknął. Wciąż jeszcze gotował się z wściekłości po akcji z nielegalną wycinką drzew w lesie. Synowie wybrali sobie moment chyba najgorszy z możliwych, żeby odwiedzić ojca.

– Dzień dobry, tato – przywitał się młodszy, Matthias, i uśmiechnął się. – Wpadliśmy na kawę.

Co za idiotyczny początek rozmowy.

– Nie, jeśli chcecie poruszyć temat mojej łąki.

Hirtreiter nie miał żadnych wątpliwości, że właśnie po to przyjechali. Przez całe lata unikali jakichkolwiek kontaktów z nim – dostawał jedynie grzecznościową kartkę na Boże Narodzenie i odbierał wymuszony telefon z życzeniami na urodziny. Ale to mu odpowiadało. Spoj-

rzał na synów i uniósł brwi. Stali zagubieni i niepewni, w tych swoich drogich garniturach, przy wypasionych furach.

– Tato, proszę! – zaczął Gregor unizonym tonem, który nie pasował ani do niego, ani do jego idiotycznego sportowego samochodu. – Przecież chyba nie chcesz, żebyśmy wszystko stracili, prawda?

– A co mnie to obchodzi? – Ludwig Hirtreiter zdjął strzelbę z ramienia, oparł ją o ziemię i wsparł się na lufie jak na lasce. – Was jakoś nigdy nie interesowało, co się dzieje ze mną, to dlaczego ja miałbym martwić się o was?

Przed dwoma tygodniami zadzwonili do niego po raz pierwszy. Tak po prostu, tłumaczyli. Momentalnie zrobił się podejrzliwy. I miał rację, bo szybko się okazało, czego od niego chcieli. Ludwig Hirtreiter nie miał pojęcia, jak jego synowie dowiedzieli się o ofercie złożonej przez WindPro; a to właśnie ona było powodem, dla którego nagle zapalali dawno zapomnianym uczuciem do ojca. Ależ musieli być zdesperowani, by po takim czasie zmusić się do przyjazdu tutaj! Matthias pierwszy poruszył kwestię sprzedaży łąki. Po fazie grzecznego wypytywania nastąpił etap błagań, zebrania i wysuwania argumentów w związku z ich tragiczną sytuacją finansową. Kiedy i to nie przyniosło żadnych rezultatów, zaczęli odwoływać się do jego ojcowskich obowiązków. Tłumaczyli, że są bankrutami, bo jeden był w trakcie postępowania upadłościowego, a drugiemu komornik już siedział na karku. Obaj na gwałt potrzebowali pieniędzy i obaj panicznie ba-

li się kpin i drwin ze strony tych, przed którymi przez lata udawali bogaczy.

– To wszystko? – Hirtreiter spojrział na obu mężczyzn, którzy byli mu całkowicie obojętni. Nie czuł do nich nic, ani sympatii, ani wrogości. – Bo mam dużo roboty.

Zarzucił fuzję na ramię i chciał ruszyć w stronę domu.

– Nie, tato, poczekaj jeszcze! – poprosił Matthias. W jego oczach nie było już śladu po arogancji, tylko czysta rozpacz i błaganie. – Chcielibyśmy po prostu zrozumieć, dlaczego tak bardzo się upierasz, żeby nie sprzedawać tej łąki. Przecież nie chcą zbudować ci tutaj autostrady, prawda? Hałas i brud miałbyś najwyżej kilka tygodni w czasie stawiania wiatraków, a potem raptem co kilka dni przejechałby technik, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

W gruncie rzeczy chłopak miał rację. Odrzucanie oferty WindPro było czystą głupotą, tym bardziej że niedawno podbili cenę o kolejny milion euro. Ale jak miałby, do diabła, spojrzeć w oczy tym, którym dał słowo? Co pomyśleliby ci, którzy mu zaufali? Heinrich nigdy by się już do niego nie odezwał. Jeśli sprzeda łąkę, nic nie powstrzyma budowy farmy wiatrowej. I cały wysiłek pójdzie na marne.

Matthias wziął milczenie ojca za dobrą monetę.

– Obu nam jest strasznie przykro za tamto – ciągnął.
– Powiedzieliśmy kilka głupich rzeczy. Posunęliśmy się

za daleko. Ale może moglibyśmy zacząć wszystko od nowa? Jak rodzina? Wnuki bardzo by skorzystały, gdyby mogły częściej widywać dziadka.

Żałosna próba manipulacji.

– To naprawdę piękny gest z twojej strony – odparł Ludwig Hirtreiter. Momentalnie dostrzegł nadzieję w oczach młodszego syna. Z rozkoszą mu ją odebrał. – Ale za późno przychodzicie. Teraz jest mi już wszystko jedno, co się z wami dzieje. Dajcie mi spokój. Zostawcie mnie samego, tak jak przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Tato... – Gregor odważył się spróbować raz jeszcze. – Przecież jesteśmy twoimi dziećmi! I mamy...

– Jesteście zamkniętym rozdziałem w moim życiu! Epizodem! Niczym więcej. – Ludwig wszedł mu bezlitośnie w słowo. – Nie sprzedam tej łąki. Koniec dyskusji. A teraz znikajcie z mojej ziemi.

Funkcjonariusze wchodzący w skład zespołu zabezpieczającego ślady na miejscu znalezienia ciała pracowali pod wodzą nadkomisarza Christiana Krögera, który chwilowo przejął dowodzenie w biurowcu. Ubrani w białe kombinezony z kapturami i z maskami na ustach realizowali standardową procedurę, robili zdjęcia i szukali, zabezpieczali i numerowali każdy ślad, który mógłby przyczynić się później do wykrycia sprawcy ewentualnego przestępstwa. Była to nużąca, monotonna i bardzo czasochłonna praca, do której Pia się nie nadawała ze względu na brak cierpliwości. Dwóch funkcjonariuszy posypywało

właśnie metalową poręcz czarnym proszkiem, by uwi-
doczniec pozostawione na niej odciski palców. Pia pomy-
ślała, że to bezsensowna robota, bo codziennie kilkadzie-
siąt osób wchodziło i schodziło klatką schodową, dotyka-
jąc rękami barierek. Uznała jednak, że lepiej taką opinię
zachować dla siebie, żeby już pierwszego dnia po urlopie
nie wszczynać scysji z Krögerem.

Wszyscy pracownicy i pozostałe osoby przebywające
w biurówcu zostały poproszone o rozejście się. Również
pani Weidauer sobie poszła. W końcu zapanowała przy-
jemna cisza, przerywana jedynie trzaskiem migawek apa-
ratów.

– Cześć, Christian. – Pia przywitała się z szefem
techników. Kröger klęczał z Henningiem na podeście,
obok ciała. Wydawało się, że intensywna woń rozkładają-
cych się zwłok nie robi na nim najmniejszego wrażenia,
podobnie jak brzęczące dookoła stada much.

– Cześć, Pia – odparł, nie podnosząc wzroku. –
Spójrz tylko, co nasz pan medyk znalazł.

Pia i Cem Altunay podeszli troszeczkę. Doktor Hen-
ning Kirchhoff i Christian Kröger znali się od lat i od lat
współpracowali ze sobą przy okazji kolejnych morderstw
i pobić ze skutkiem śmiertelnym, lecz mimo to nie potrafi-
li się ani trochę polubić. Było wręcz odwrotnie – jeden,
chcąc nie chcąc, szanował kompetencje drugiego, lecz nie
potrafili się znieść jako ludzie.

– Patrz. – Henning uniósł dłoń denata. Była zaciśnięta
w pięść. Po chwili rozwarł martwe palce. – Jeśli się nie

myle, to to, co nasz pan Grossmann trzyma w ręce, to kawałek gumowej rękawiczki.

– No i? – Pia potrząsnęła głową, jakby nie rozumiała, co może oznaczać takie znalezisko. – Dlaczego to takie ważne?

– Hm, zastanówmy się. Oczywiście istnieje możliwość, że ten mężczyzna miał dziwaczny zwyczaj robienia obchodów budynku z kawałkiem lateksowej rękawiczki w zaciśniętej dłoni – odparł Henning w typowy dla niego, pouczająco-protekcjonalny sposób, który doprowadzał Pię do szewskiej pasji. – Nie takie rzeczy już widziałem. Pamiętasz może tego dyrektora banku, który kilka lat temu powiesił się w biurze? Ten, co biustonosz swojej matki miał zawsze...

– Tak, pamiętam – przerwała mu Pia. – Ale co to ma wspólnego z obecnym przypadkiem?

– Nic. – Henning wzruszył ramionami. – Oczywiście rozumiem, że kawałek rękawiczki w ręku trupa może nie być przekonujący. To co w takim razie sądzicie o tym?

Mówiąc to, wyprostował się i dał znak byłej żonie i Cemowi, by poszli za nim. Jakies pięć stopni powyżej półpiętra, na którym leżały zwłoki, wskazał na plamę krwi zaschniętej na granitowej posadzce.

– To tutaj – wyjaśnił – to bez najmniejszych wątpliwości fragment odcisku czyjegoś buta. Jednak z całą pewnością nie zostawił go pan Grossmann.

Pia przyjrzała się niepozornej plamie. Czy to mógł być dowód świadczący o tym, że stróż nocny został za-

mordowany?

Na dole, w holu wejściowym, Stefan Theissen stał oparty o ladę recepcji i półgłosem rozmawiał z kimś przez telefon. Jednocześnie uważnie śledził wszystko, co działo się na schodach, choć starał się robić to bardzo dyskretnie.

– Szefie! – Jeden z techników kryminalistycznych wychylił się przez poręcz na trzecim piętrze. – Niech pan pozwoli!

Christian Kröger ruszył schodami w górę, przy czym trzymał się jak najbliżej lewej strony, żeby nie zdeptać śladów, jeśli jakieś tam były.

– Dobra, z ciałem nic więcej tu nie zrobimy. Możesz kazać je zapakować i przewieźć do Instytutu – oznajmił Henning, po czym zdjął kombinezon i starannie go złożył.

– Dobrze. Zaraz to załatwię. Nakaz przeprowadzenia sekcji będzie tylko formalnością.

– Miejmy nadzieję. Bo ostatnio prokuratorzy robią się jacyś drobiazgowi. – Zamknął walizkę i włożył marynarkę. – Urlop dobrze ci zrobił. Świetnie wyglądasz.

– Dzięki – powiedziała Pia, jednocześnie zaskoczona i zadowolona z tej ot tak rzuconej uwagi, która w ustach Henninga była jednak wyjątkowym komplementem. I gdyby na tym poprzestał, byłoby to jedno z rzadkich spotkań, które Pia mogła uznać za pozytywne. Jednak jej były mąż, wybitny w swoim fachu, lecz tragiczny w kontaktach międzyludzkich, natychmiast zniszczył dobre wrażenie.

– Cieszę się, że znalazłaś kogoś, kto daje ci więcej,

niż dostawałaś ode mnie.

Pia nie wzięłaby mu tej uwagi za złe, gdyby nie wypowiedział jej tak zgryźliwym tonem.

– To akurat nie była żadna sztuka – odparowała ostro.
– Bo ty nie dawałaś mi absolutnie nic.

– No cóż. Piękne mieszkanie, świetny samochód, konie i cała masa wiedzy, której do dzisiaj zazdroszczą ci koledzy po fachu... – Henning uniósł brwi i spojrzał na nią z udawanym zdziwieniem. – Ja bym tego nie nazwał niczym.

– Wmawiaj sobie, wmawiaj – syknęła Pia, a w jej głowie momentalnie pojawiło się wspomnienie jej eleganckiego, lecz chłodnego i obcego mieszkania w zabytkowej kamienicy we Frankfurcie, w którym spędziła niezliczoną ilość samotnych godzin, podczas gdy Henning realizował się w pracy, zupełnie nie interesując się żoną. I tak zbyt długo znosiła taki stan rzeczy. Aż do dnia, kiedy nie mówiąc jej ani słowa, wyjechał na miejsce wypadku kolejki linowej do Austrii. Spakowała wtedy swoje rzeczy i wyprowadziła się. Co charakterystyczne, Henning odnotował ten fakt dopiero czternaście dni później. Pia chciała coś dodać, lecz w tej chwili odezwała się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz. Kröger.

– Chodźcie do biura dyrektora. Trzecie piętro, ostatnie drzwi po lewej stronie – powiedział jedynie i się rozłączył.

– Pa. I pozdrów Miriam – rzuciła na pożegnanie byłemu mężowi i dała znak Cemowi, który zajmował się or-

ganizacją transportu zwłok. Mężczyzna ruszył za nią.

Biuro Theissena znajdowało się na samym końcu korytarza. Było bardzo przestronne i urządzone ze smakiem. Połączenie eleganckiego parkietu z przeszkleniami sięgającymi samej podłogi, szkła i eleganckich mebli z ciemnego drewna bardzo przypadło jej do gustu. Rozejrzała się i zmarszczyła nos. Smród rozkładu dotarł aż tutaj. W sumie nie należało się temu dziwić, bo drzwi na korytarz stały otworem, a ciepłe powietrze ucieka przecież w górę. Mimo to była zaskoczona intensywnością tego zapachu.

– Co się dzieje? – zapytała.

– A, to ty. – Christian Kröger stał przy biurku. Na dźwięk jej słów się odwrócił. – Chodźcie i sami zobaczcie.

Słodkawy, wywołujący mdłości zapach z każdym krokiem robił się coraz intensywniejszy. Jak to w ogóle możliwe? Pia powąchała ukradkiem swoją koszulkę z krótkim rękawkiem, ale poza wonią potu zmieszaną z nutką proszku do prania nie poczuła niczego innego. Stanęli przy biurku. Smród zrobił się nie do zniesienia. Policjantka starała się wstrzymać oddech. Pośrodku przykrytego taflą szkła blatu leżał kłębek białobrazowego futra. I wtedy zobaczyła robactwo. Tysiące białych larw, które rozpełzły się po całym biurku, kiedy nasyciły się truchłem.

– Martwy chomik. – Cem Altunay się skrzywił. – Co to może oznaczać?

– Nie wiem, ale powinniśmy chyba zapytać o to pana Theissena – odparła Pia. Niecałe dwie minuty później z windy wyszedł szef WindPro. Nie wyglądał na zachwyconego z powodu wstrzymania działalności jego firmy, lecz nie skarżył się na nic.

– O co chodzi? – zapytał.

– Proszę podejść. – Pia wskazała na biurko. Theissen dostrzegł martwego chomika i odskoczył.

– Mógłby nam pan to wyjaśnić? O co tu chodzi? – zapytała.

– Nie wiem... nie mam pojęcia – wykrztusił z obrzydzeniem, z trudem powstrzymując odruch wymiotny. Pia dostrzegła oczywiście nerwowe drżenie mięśni pod pobladłą skórą twarzy i w tej samej chwili nieodwołalnie przeszła ze stanu urlopowego uśpienia w tryb aktywny – policyjny. Jej instynkt dalej funkcjonował i dawał jej znaki. Theissen doskonale wiedział, o co chodzi z truchłem chomika na biurku. Nie powiedział prawdy, kiedy odpowiadał na jej pytanie.

Po krótkim zamieszaniu w sklepie na powrót zapanaował spokój. Frauke obsłużyła wszystkich klientów i klientki, które umówiła na poniedziałkowy poranek, w tym niesfornego airdale terriera kobiety z Kronbergu i dwa yorki pewnej wdowy z Johanniswaldu, z którymi odwiedzała ją regularnie co dwa tygodnie. Kiedy Ricky wróciła po rozwiezieniu zamówień, zajęła się nielicznymi klientami. Nika i Frauke ustawiały towary na półkach.

Dzwony pobliskiego kościoła Marii Panny obwieściły jedenastą. W tym momencie do sklepu wszedł Mark.

– Cześć – przywitał się z Frauke, wyjmując z ucha białą słuchawkę, połączoną kablem z nieodłącznym iPodem. Popatrzył na Ricky, która z wielkim zapałem wciskała jakiemuś jegomościowi towar, który od lat zbierał kurz i zajmował miejsce na półce. Nieszczęsny klient przybył z zamiarem kupna zwykłej obroży przeciwko pchłom dla swojego rhodesiana ridgebacka, lecz wygadał się bystrej sprzedawczyni, że planuje dłuższą podróż do Kanady, dokąd chce wziąć ze sobą psa. Ricky wyczuła w tym swoją szansę i okrągłymi słówkami zachwalała luksusową klatkę do transportu zwierząt.

– Nie ma rzeczy, której nie potrafiłaby sprzedać, co?
– Mark uśmiechnął się z podziwem, a Frauke potaknęła. Mężczyzna poddał się i nawet nie próbował oponować. Słuchał z uśmiechem na twarzy, jakby został zahipnotyzowany. Ricky była tak dobra, że potrafiłaby sprzedać śnieg Eskimosom. Poza tym doskonale rozumiała prawa rządzące światem mężczyzn i umiała to wykorzystywać. Blond włosy zaplecione w dwa warkoczyki, do tego opalona skóra w głębokim dekolcie tradycyjnej sukienki z gorsetem podkreślającym jej smukłą talię – ta kombinacja zapewniła jej wierny fanklub z Königstein i okolic. Nigdy nie narzekała na brak wolontariuszy chcących za darmo pracować w schronisku i wyraźnie rozkoszowała się podziwem w ich oczach.

– Dobra, co się znowu popsulo? – zapytał Mark.

Frauke zaprowadziła go do biura. Chłopak zdjął plecak z ramienia i rzucił go niedbale na podłogę, a potem usiadł za biurkiem. Frauke wyjaśniła mu, na czym polegał pojawiający się bez przerwy błąd programu. Mark rozparł się na krześle, wyciągnął nogi i z powrotem wsunął słuchawkę w ucho. Po chwili rozległo się stukanie w klawiaturę. Pracując, poruszał głową w rytm muzyki i machał stopą. Frauke przyglądała mu się z boku. Przetłuszczone ciemnoblonde włosy zaczesywał na twarz, przez co ciągle wpadały mu w oczy.

– Jeszcze coś? – burknął niezbyt grzecznie.

– Nie, nie. To wszystko. Reszta działa. – Uśmiechnęła się i w ostatniej chwili powstrzymała, by odruchowo nie pogłaskać go po plecach. Potem wróciła do sklepu. Ricky pomagała akurat klientowi zatańczyć wielką klatkę do samochodu, a po chwili wróciła szeroko uśmiechnięta.

– No to z tym pudłem mamy już spokój – zachichotała zadowolona. – Dałam mu dwadzieścia procent rabatu. Ale wzięłyby je i bez tego.

– Gratulacje – odparła Frauke. – W końcu mogę aranżować ten kąt.

– W końcu!

Frauke posiadała niezaprzeczalny talent do urządzania wnętrza. Ricky dawała jej coraz więcej wolności w aranżowaniu sklepu, a Frauke była jej za to wdzięczna.

– Chodźcie, dziewczyny. Napijemy się kawy – proponowała Ricky. Frauke i Nika ruszyły za nią do biura. Mark przerwał pracę i zdekoncentrowany wyjął słuchawki

z uszu. Spojrzał na właścicielkę. Naburmuszona mina momentalnie zniknęła i przez moment wyglądał niemal miło.

– Hej, mój mistrz klawiatury pracuje! – Ricky uśmiechnęła się szeroko. – Dziękuję, że tak szybko przy-szedłeś.

– Nie ma sprawy – wymamrotał chłopak z zakłopotaniem i się zaczerwienił.

Frauke nałala kawy sobie i Ricky, a Nika sama się-gnęła po filiżankę.

– Powiedz mi, Mark – zagadała Ricky mimochodem. – Miałbyś może jeszcze trochę czasu? Bo muszę ustawić nowe przeszkody na kurs agility dla psów i przydałaby mi się pomoc.

– Ja... jeszcze nie skończyłem. – Mark spojrzał pyta-jąco na Frauke. Kobieta nie miała wątpliwości, że w swoim bezgranicznym uwielbieniu dla Ricky poszedłby boso na biegun północny, gdyby tylko go o to poprosiła. Ricky oczywiście również zdawała sobie z tego sprawę. Pytanie tylko, czy dobrze się bawiła, wykorzystując bez skrupułów zachwyt szesnastolatka cały czas walczącego jeszcze z opryszczką? Pomimo że bardzo się starała ucho-dzić za pewną siebie osobę, prawda była taka, że pewno-ści siebie wciąż jej brakowało, dlatego, trochę podświa-domie, poszukiwała bezkrytycznych wielbicieli.

– Komputer nie zajac, nie ucieknie – powiedziała więc Frauke.

Mark niemal podskoczył z radości, chociaż z całych

sił udawał luz i spokój. Mimo to oczy błyszczały mu z podniecenia.

– No to wporzo, mam czas. – Sięgnął po plecak i wstał z krzesła.

– Doskonale. – Ricky odstawiła filiżankę. – Możemy ruszać.

Chłopak wyszedł za nią na dwór, podobnie jak golden retriever i samojed, które cierpliwie czekały przy wejściu na swoją panią. Frauke odprowadziła wzrokiem ten dziwny kwartet i potrząsnęła głową.

Właśnie, panie dyrektorze. – Cem Altunay mówił tak, jakby o czymś sobie nagle przypomniał. – Miałbym jeszcze jedną prośbę. Na każdym piętrze są zamontowane kamery monitoringu. Czy miałby pan coś przeciwko, żebyśmy obejrzel nagrania?

Stefan Theissen zawahał się przez moment, a potem oderwał wzrok od swojego biurka i potaknął.

– Nie, oczywiście, że nie. Nasz szef bezpieczeństwa powinien czekać gdzieś na zewnątrz. Udostępni państwu nagrania najszybciej, jak to tylko możliwe. Czy może wejść do budynku? Byłoby dobrze, gdyby również recepcjonistka mogła usiąść przy telefonie i odbierać połączenia.

– Tak, to chyba nie będzie problem. – Pia potaknęła. – Ale pozostali muszą poczekać jeszcze na zewnątrz, dopóki nie skończymy tu swojej pracy.

Odczekała, aż Theissen i Cem wyjdą do windy.

– Co tam masz jeszcze? – Policjantka spojrzała na Krögera.

– A skąd pomysł, że mógłbym mieć coś jeszcze? – odpowiedział pytaniem. – Nie wystarczy ci martwy cho-mik na biurku dyrektora?

Pia uśmiechnęła się szeroko i przekrzywiła głowę.

– No dobra, na podłodze przy ksero znaleźliśmy kartkę. Nie mam pojęcia, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Może po prostu sekretarka kopiowała jakieś dokumenty i zgubiła jedną kartkę, a może i nie.

Pia poszła za Krögerem do pomieszczenia obok i wzięła do ręki znaleziony papier wsunięty już w plastikową koszulkę. Spojrzała na tekst.

– Strona dwudziesta pierwsza analizy wietrzności – powiedziała. – W firmie zajmującej się elektrowniami wiatrowymi to raczej nic zaskakującego.

– To dwudziesta pierwsza strona, a cały raport miał sześćdziesiąt trzy – zauważył Christian Kröger. – Tak jest napisane. Na twoim miejscu chciałbym obejrzeć sobie ten dokument w całości. Albo przynajmniej postaraj się dowiedzieć, kiedy był ostatnio kopiowany.

– A to w ogóle możliwe?

– Przy takim ksero jak najbardziej. Po skończeniu kopiowania powstają pliki tymczasowe z danymi dotyczącymi szczegółów, liczby kopii i tak dalej i zostają zapisane na dysku twardym urządzenia. Zupełnie jak w komputerze.

– Wielkie nieba. Skąd ty to wszystko wiesz?

Christian Kröger należał do ludzi, którzy posiadali przeogromną wiedzę praktycznie na każdy temat. Bodenstein bardzo chciał dokooptować go do swojego zespołu, lecz on zbyt dobrze czuł się w roli szefa techników, żeby to zmieniać. Poza tym, niedawno skończył trzydzieści pięć lat, więc można było zakładać, że dopiero stoi u progu prawdziwej kariery.

– To co, mogę wracać do swojej pracy? – zapytał.

– Pewnie. – Pia założyła ręce na piersi i oparła się wygodnie o framugę drzwi do gabinetu Theissena. Obserwowała dwóch ludzi Krögera, którzy w białych kombinezonach chodzili na czworakach po podłodze i łapali bardzo ruchliwe białe larwy. Spakowali też truchło chomika do plastikowej torebki, a każdą płaszczyznę, na której mogły pozostać odciski palców, posypali czarnym proszkiem i okleili szeroką taśmą klejącą. Tą metodą zbierali pozostawione – być może – ślady biologiczne, takie jak włosy czy drobinki skóry. Pia intensywnie myślała.

Kto mógł położyć martwego chomika na biurku Theissena? Sądząc po stanie, w jakim znajdowało się zwierzątko, musiało zginąć mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Rolf Grossmann spadł ze schodów. Pia odwróciła się i ruszyła powoli korytarzem. Co tu się właściwie wydarzyło? Co w sobotę w nocy doprowadziło do śmierci stróża? Rozdzwonił się jej telefon. Kai Ostermann.

– Cześć, urlopowiczko! – przywitał się radośnie. – Jak było w Chinach?

– Cześć, Kai! – Pia ucieszyła się, słysząc jego głos.

Dotarła do schodów i zaczęła schodzić. – Świetnie było. Ale za krótko. Rozumiem, że rozmawiałeś już z Cemem?

– Tak. Z prokuraturą wszystko załatwione. Macie zgodę na przeprowadzenie sekcji.

– Super. W takim razie do zobaczenia wkrótce. – Pia zeszła do holu wejściowego. Rozejrzała się w poszukiwaniu kolegi. Pracownicy ekipy odpowiedzialnej za transport zwłok zamykali właśnie ciało Grossmana w specjalnym worku. W budynku działała już klimatyzacja, a nieprzyjemny zapach uciekał przez otwarte w końcu okna pod przeszkloną kopułą. Za ladą przy wejściu siedziała pulchna czterdziestokilkuletnia kobieta, której mina jednoznacznie świadczyła o tym, jak bardzo jest niezadowolona, że musi pracować w takim miejscu. Co jest całkiem zrozumiałe, pomyślała Pia. Rolf Grossmann zmarł niedaleko, a w kuchni dla pracowników, tuż za jej plecami, krzatali się policjanci w białych kombinezonach i zabezpieczali ślady. To z całą pewnością nie był najprzyjemniejszy poniedziałek w jej życiu.

– Widziała pani mojego współpracownika? – zapytała Pia.

– Tak, jest w serwerowni. – Kobieta zmusiła się do uśmiechu, ale nawet nie drgnęła. – Prosto korytarzem, drugie drzwi po lewej.

– Dziękuję. – Pia już chciała odejść, ale coś jej przyszło do głowy. – Znała pani pana Grossmanna, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Jakim był człowiekiem? I kolegą?

Kobieta się zawahała. Milczała o sekundę za długo, żeby Pia nie zaczęła drażnić tego tematu.

– Bardzo miłym – odparła w końcu recepcjonistka bez wielkiego przekonania. – Nigdy nie pracowaliśmy razem, bo on tutaj przebywał tylko nocami i w weekendy.

– Hm. – Policjantka wyjęła notatnik z kieszeni i zaczęła zapisywać. Tanja Simic w WindPro pracowała od dwóch lat za minimalną krajową i знаła każdego z czterdziestu ośmiu stałych pracowników firmy i dwudziestu dwóch współpracowników, stawiających turbiny wiatrowe i sprawujących nad nimi nadzór. Z początku odpowiadała niechętnie i po długim zastanawianiu się. Jednak kiedy Pia przysięgła jej, że nikt nie pozna jej słów, a rozmowa jest całkowicie poufna, język jej się rozwiązał.

– Czy wiedziała pani, że Grossmann miał problemy z alkoholem?

Tanja Simic doskonale o tym wiedziała. Właściwie nie było w firmie nikogo, kto by o tym nie słyszał. Sam stróż nocny miał w tym swój udział, bo co chwila udawał, że jest aktywnym alkoholikiem. Poza tym miał poważny zatarg z szefem ochrony, bo tylko w zeszłym miesiącu trzy razy zapomniał uruchomić alarm w budynku, a w przedostatnią środę w środku nocy wyszedł z firmy i skuterką pojechał sobie na stację benzynową.

– Pewnie potrzebował papierosów i wódki. – Tanja przewróciła oczyma. – I raczej nic by się nie wydało,

gdyby nie zapomniał kluczy. Rano leżał na wycieracze pod tylnym wejściem tak pijany, że nie dało się go dobudzić. A dwa tygodnie wcześniej... – Zniżyła głos i rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. – Dwa tygodnie wcześniej sprowadził sobie tutaj jakąś panienkę i zabawiał się z nią w biurze szefa!

Rolf Grossmann nie cieszył się szczególną sympatią wśród pozostałych pracowników WindPro. Grzebał po biurkach, kiedy nikogo nie było, podsłuchiwał rozmowy, po pijaku chodził się załatwiać na samochody zostawione w garażu podziemnym i używał języka, którego poziom obniżał się wraz ze wzrastającym poziomem alkoholu we krwi. Kobiety zatrudnione w firmie pilnowały, by nigdy nie zostawać z nim sam na sam. Pia słuchała tego z zainteresowaniem i robiła notatki. To, co mówiła Tanja, całkowicie różniło się od tego, co wcześniej policjantka usłyszała o denacie od Theissena.

– Grossmann był podłą świnia – zakończyła recepcjonistka i wykrzywiła twarz. – Nikt nie rozumiał, dlaczego szef już dawno go nie wywalił.

Pia miała bardzo podobne odczucia i dręczyły ją podobne pytania. Czyżby cierpliwość, z jaką Theissen znosił wysoki swojego pracownika, miała źródło w czymś więcej niż szkolna przyjaźń i chęć pomocy? Theissenowi wyraźnie zależało, żeby wierzyła w taką wersję. Dlaczego chciał ukryć prawdę? Pia podziękowała Tanji Simic za rozmowę i ruszyła na poszukiwanie Cema. Musiała ustalić, dlaczego dyrektor firmy kłamał. Niespodziewanie po-

czuła to specjalne podniecenie, które ogarniało ją na początku trudnych spraw o niemożliwym do przewidzenia przebiegu. Jednego za to była pewna: absolutnie należy zapomnieć o wersji z nieszczęśliwym wypadkiem. Rozpoczęło się polowanie na mordercę.

Frauke Hirtreiter nakryła starannie niewielki stolik w biurze i ostrożnie wyjęła pizzę z szynką parmeńską, sardelami i podwójnym serem z pudełka, by przełożyć ją na talerz. Trochę kultury nie zaszkodzi. Oczywiście, Frauke mogła przejść te kilka kroków na Limburger Strasse i tam zjeść posiłek w pizzerii, jednak nie miała ochoty wystawiać się na publiczny widok, w samotności zajadając się pizzą. Z cieknącą ślinką spojrzała na jedzenie; chrupiące brzegi, złoty, przypieczony ser i plastry szynki. I akurat kiedy odkroiła sobie kawałek, nabiła na widelec i zamierzała unieść do ust, ktoś zapukał do tylnych drzwi. Niech to diabli. Kto to mógł być? Nienawidziła, gdy ktoś przeszkadzał jej w jedzeniu. Przeklinając pod nosem, wstała, podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Na podeście stał młody mężczyzna i opierał się leniwie o barierkę. Uśmiechając się, prezentował garnitur śnieżnobiałych zębów.

– Czego tu szukasz? – zapytała nieprzyjemnym tonem.

– Witaj, siostrzyczko. Też się cieszę, że cię widzę.

Frauke przyjrzała się nieufnie młodszemu bratu. Matthias zgłaszał się do niej tylko w razie kłopotów. A nieraz

już się w nie władował.

– Właśnie mam przerwę na obiad. Wejdz.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do biura. Matthias Hirtreiter wszedł za nią, zamknął drzwi i stanął oparty o framugę, z rękoma głęboko w kieszeniach.

– Schudłaś – powiedział z uśmiechem. – Świetnie wyglądasz.

Frauke parsknęła lekceważąco i wsunęła do ust kawałek pizzy.

– Nie musisz się podlizywać – odparła z pełną buzią. – Wiem, jak wyglądam, więc daruj sobie.

Kropla tłuszczu spłynęła jej na brodę, skąd odruchowo starła ją wierzchem dłoni. Spojrzała na brata. Opaleniźna, jasny lniany garnitur, rozpięta pod szyją koszula i beżowe buty nadawały mu wygląd fircyka. Brakowało chyba tylko słomkowego kapelusza i można by go wziąć za artystę przeniesionego wprost z lat dwudziestych zeszłego wieku.

– No dobra, powiesz w końcu, o co chodzi? Przecież nie wpadłeś tu bez powodu.

– Zgadza się. – Przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko siostry. – Dzisiaj odbyłem ważną rozmowę telefoniczną.

– Aha. – Frauke żuła kolejny kawałek pizzy. Zgodnie z tym, co do niej docierało, firma brata sprzedawała systemy alarmowe i całkiem nieźle sobie radziła. Jego dzieci chodziły do prywatnych szkół, a on sam należał do Lions Club, często odwiedzał pobliskie pole golfowe i udzielał

się w kilku, jak nie kilkunastu stowarzyszeniach, których działalność przysparzała mu szacunku. Mieszkał z rodziną w luksusowej willi i chętnie pozował na osobę bardzo majątną.

– Wyobraź sobie, że pewna firma chce postawić farmę wiatrową w Ehlhalten. Słyszałaś coś o tym?

Frauke potaknęła. Farma wiatrowa była dyżurnym tematem Jannisa i Ricky. Oboje działali w porozumieniu obywatelskim, które protestowało przeciwko tym planom.

– I co dalej? – zapytała.

Matthias przecesał dłonią lekko przerzedzone włosy. Dziewczyna po raz pierwszy zauważyła, że młodzieńcza twarz brata poprzecinana jest zmarszczkami, które świadczą o zmęczeniu i troskach.

– Tata dostał niesamowitą ofertę odkupienia łąki w pobliżu jego domu. Dwa miliony euro!

– Co proszę?! – Dziewczyna znieruchomiła z widelcem w połowie drogi do ust. Otworzyła buzię i nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu wydukała: – Chyba żartujesz!

– Jestem śmiertelnie poważny. – Matthias pokiwał głową. – Nam oczywiście ani słowem o tym nie wspomniał. Stary skurczybyk. I wszystko wskazuje na to, że nie chce przyjąć oferty.

– Nie, ja chyba śnię! – Frauke straciła apetyt. Dwa miliony euro! Za głupią łąkę! – Skąd w ogóle o tym wiesz?

– Gość z tej firmy poprosił mnie, żebym jakoś wpły-

nał na ojca. – Matthias zmusił się do przyjaznego uśmiechu. – Pojechałem do niego z Gregorem. Przegnał nas na cztery wiatry.

– Od kiedy wiecie o tej ofercie? – zapytała podejrzliwie Frauke.

– Od kilku tygodni – przyznał się brat.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

– No wiesz... ty i ojciec trochę drzecie koty – powiedział zakłopotany. – Więc pomyśleliśmy...

– Bzdura! Pomyśleliście, że jak o niczym nie będę wiedziała, to podzielicie wszystko między siebie. – Wściekła rzuciła kawałkiem pizzy o talerz. – Jesteście sobie warci! Podstępne gnojki!

– Mylisz się! – zaprzeczył Matthias Hirtreiter. – Naprawdę! Ale posłuchaj mnie teraz uważnie. Sprawa wygląda tak, że WindPro podbiło jeszcze swoją ofertę, pod warunkiem że ojciec przyjąłby ją w ciągu dwudziestu czterech godzin. Potem rozpoczną starania o postępowanie wywłaszczeniowe.

Frauke mogła się tylko domyślać, jak to się skończy.

– Słuchaj uważnie: teraz chcą zapłacić trzy miliony euro! – Matthias mówił półgłosem, pochylony nad stołem. – To jest chora suma, siostrzyczko. Chora! I uratowałyby mi skórę.

– Gadanie. Przecież masz kasy jak lodu. – Frauke wykrzywiła kpiąco twarz. Jej brat zerwał się z krzesła.

– Moja firma jest niewypłacalna – przyznał się, nie patrząc w jej stronę. – Na dniach będę musiał rozpocząć

procedurę upadłościową. Stracimy wszystko. Źródło dochodów, dom... wszystko. Jedynym ratunkiem jest spłata pięciuset tysięcy euro w ciągu najbliższego tygodnia.

Odwrócił się w jej stronę. Na jego twarzy próżno byłoby szukać tego młodzieńczego zapału, z którym maszerował przez życie i dzięki któremu zdobywał serca wszystkich dookoła. Zgrana maska opadła, odsłaniając worki pod oczyma, zapadnięte policzki i zwątpienie w oczach.

– Wsadzą mnie za kratki. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Żona grozi, że mnie wtedy zostawi, a ojciec nie chce nawet kiwnąć palcem, żeby pomóc.

Frauke wiedziała, ile sukces w interesach znaczył dla jej brata i jego żony. Oboje nie potrafiliby sprostać codziennym wyzwaniom i obniżyć standardu życia.

– A co z Gregorem? – zapytała.

– Niewiele lepiej. – Matthias potrząsnął głową. Przez chwilę oboje milczeli. Frauke ogarnęło szczere współczucie dla obu braci, lecz w głębi duszy słyszała słaby głosik, który cieszył się z ich nieszczęścia. Okazało się bowiem, że dwaj genialni przedsiębiorcy, wiodący życie w luksusie i zbytku, w rzeczywistości nie byli wcale w lepszej sytuacji niż ona. Nie potrafili wyrwać się ze spirali zadłużenia, po której gnali coraz szybciej w kierunku katastrofy. Jednak gdy jej udało się w jakiś sposób powstrzymać tempo spadania i odnaleźć w tak trudnej sytuacji, Gregor i Matthias wciąż na siłę starali się zachowywać pozory.

– Co chcecie zrobić? – zapytała po chwili. – Znasz

starego. Jak się na coś uprze, to nic nie działasz.

– Tylko że on po prostu nie ma prawa nas w tym wszystkim pomijać! – odparł Matthias zdecydowanie. – Byłem u prawnika. Zgodnie z prawem, odziedziczyliśmy po mamie udziały w łąkach i domu.

– Nieprawda. Oni wszystko przekazali sobie nawzajem. Zapomnij o takim rozwiązaniu.

– Ale musi być jakiś sposób! – krzyknął Matthias. – Nie rozumiesz, że gra toczy się o wszystko, co mam? Nie pozwolę, żeby jego widzimisie zniszczyło moje życie!

– To nie jego widzimisie, tylko ty sam je zrujnowałeś.

– Cholera, przecież nie zrobiłem tego specjalnie! Miałem pecha. – Matthias musiał się pilnować, żeby nie zacząć krzyczeć. – Kryzys na świecie miał dla nas fatalne skutki. Liczba zamówień spadła o ponad sześćdziesiąt procent, a do tego nasz największy klient zbankrutował! Tylko na tym straciliśmy prawie milion euro!

Frauke przekrzywiła głowę i przyjrzała się uważnie młodszemu bratu.

– Jak chciałbyś to załatwić? – zapytała.

– Jeszcze raz pojedziemy z nim porozmawiać, ale tym razem w trójkę. Jeśli dalej będzie się upierał, zmusimy go.

– Zmusimy? Jak?

– Nie mam pojęcia. Jakoś go zmusimy. – Matthias wbił ręce w kieszenie spodni i rozejrzał się po biurze.

Frauke złożyła na pół ostatni kawałek zimnej już pizzy.

– Kiedy?

– Ludzie z WindPro przedstawią mu nową ofertę dzisiaj po południu albo jutro z samego rana. Dostanę ją faksem. Może umówmy się na jutro po południu? Co ty na to?

Dziewczyna wepchnęła sobie resztę pizzy do ust i żuła w zamyśleniu. Trzy miliony euro na trzy osoby. Trudno było to pojąć. W końcu spłaciłaby wszystkie długi i zostałaby jej jeszcze tyle pieniędzy, że do końca życia nie musiałaby się niczym przejmować. Po raz pierwszy od dziesięciu lat pojechałaby na wakacje. I zrobiła operację brzucha, bo kasa chorych nie refundowała odsysania tłuszczu i podciągania skóry. I stać by ją było na fajny samochód.

– Jestem z wami – odpowiedziała i uśmiechnęła się do brata. – Do zobaczenia jutro wieczorem.

W budynku zamontowanych jest sześć kamer – tłumaczył Cem Altunay pozostałym. – Po jednej na każdym piętrze, jedna w garażu podziemnym i jedna w holu wejściowym. I tylko te dwie ostatnie działają i nagrywają. Nikt nie ma pojęcia dlaczego.

Siedzieli w sali odpraw wydziału K11, na pierwszym piętrze budynku komendy policji w Hofheim, i czekali, aż będą mogli obejrzeć nagranie z kamer z siedziby WindPro.

– Grossmann co pewien czas urozmaicał sobie nocną służbę damskim towarzystwem. – Pia przypomniała sobie,

co opowiedziała jej recepcjonistka. – Całkiem niedawno zabawiał się z jakąś panią w biurze Theissena. Może znów planował czyjeś odwiedziny i dlatego wyłączył nagrywanie?

– Możliwe. – Cem nie był do końca przekonany.

– Już prawie. Jeszcze trochę cierpliwości. – Nadkomisarz Kai Ostermann skoncentrowany stuknął w klawiaturę. – Okej, już wszystko powinno działać.

Pia i Cem podnieśli wzrok i spojrzeli na duży ekran, na którym widać było czarno-biały obraz eleganckiego holu wejściowego.

– Sprzęt obsługujący kamery działa w pętli czasowej i jest tak zaprogramowany, że co siedemdziesiąt dwie godziny nadpisuje kolejne nagranie na starym – wyjaśnił Ostermann. – Można kopiować fragmenty, ale jeśli nie zatrzyma się sekwencji, po tych siedemdziesięciu dwóch godzinach traci się stare nagranie.

– Grossmann zaczął swoją zmianę o osiemnastej. – Pia spojrzała na Kaia. – Przewiń do piątku wieczór.

Ostermann potaknął. Na monitorze pojawili się ludzie. Było sporo ruchu, jak to w biurze, kiedy pracownicy wychodzą do domów. Około wpół do szóstej wieczorem zrobiło się pusto i tylko sporadycznie w kierunku wyjścia zmierzał jakiś spóźnialski.

Do sali weszła Kathrin Fachinger, podała Pii filiżankę świeżej kawy i usiadła obok niej.

– Dzięki. – Policjantka uśmiechnęła się zaskoczona. Od kiedy Frank Behnke i Andreas Hasse stracili pracę,

atmosfera w K11 bardzo się poprawiła. Bezustanne humory Franka, jego niesprowokowane niczym wybuchy agresji i w końcu otwarta wojna z Kathrin zmieniły pracę w wydziale zabójstw w piekło. A Hassego, który i tak bezustannie przebywał na zwolnieniu, również nikt nie żałował.

– O, proszę, oto i Grossmann – zauważył Cem i wskazał na blat recepcji, który było widać w prawym górnym rogu nagrania. – Musiał wejść bocznym wejściem i przez kuchnię.

Rolf Grossmann siedział za ladą, po czym chwilę po dziewiętnastej przeszedł przez hol, żeby zamknąć na klucz główne wejście do firmy. Na ekranie pojawili się ludzie z ekipy sprzątajacej. W przyspieszonym tempie myli podłogę, a Grossmanna w tym czasie nie było widać. Około dziewiątej wieczorem zamienił kilka słów z jednym ze sprzątaczy, który później zniknął w korytarzu za szklaną windą. Przez następne dwie i pół godziny panował całkowity spokój. Migotanie, które wydostawało się z kuchni dla pracowników, pozwalało założyć, że Grossmann siedział i oglądał telewizję.

– Stój! – krzyknęła Pia niespodziewanie. – Ktoś wszedł! Cofnij kawałek.

Kai wykonał polecenie koleżanki i uruchomił odtwarzanie, ale już w normalnym tempie.

– Theissen! – Pia i Cem spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Ani słowem nie wspomniał, że w piątek wieczorem

był jeszcze w firmie. – Pia wpatrywała się skupionym wzrokiem w czarno-biały obraz. Theissen pojawił się z lewej strony, jakby wszedł przez podziemny garaż. Skierował się za ladę i zajrzał do kuchni, ale Grossmann nie wyszedł się przywitać.

– Czy te kamery nagrywają również dźwięk? – zapytał Cem.

– Tak, tylko że mikrofony nie są zbyt czułe. – Kai zrobił głośniejsze. – Nic się nie da zrozumieć, nawet najzwyczajniejszej rozmowy.

– Może nic nie powiedział? Chciał się tylko upewnić, że Grossmann śpi? – rzuciła Pia. – Dziwne, naprawdę. Ja jako szef byłabym wściekła, gdybym zastała śpiącego stróża nocnego.

Theissen poszedł w stronę windy, wszedł do szklanej kabiny i pojechał w górę, znikając z ekranu. Kai uruchomił przyspieszone przewijanie na podglądzie. Mijały kolejne minuty, aż w końcu za sześć trzecia nad ranem na ekranie pojawił się Grossmann. Przeciągnął się, ziewnął i zaspanym krokiem ruszył w stronę schodów.

– O godzinę za późno – poinformował Cem. – Szef ochrony firmy powiedział, że według grafiku obchód powinien robić o drugiej i czwartej nad ranem, a po każdym spisywać protokół.

Grossmann zniknął w korytarzu po lewej stronie, a potem po prawej. W końcu zaczął wchodzić po schodach. Obiektyw kamery obejmował klatkę schodową do pierwszego piętra. Potem stróż zniknął. Nagranie trwało

dalej, ale nic się nie działo.

– Słyszycie? – Kathrin nachyliła się w stronę głośników. – Coś się stało.

Kai cofnął nagranie i potrząsnął głową, bo głośność była już i tak ustawiona na maksymalną. Jednak tym razem pozostali również usłyszeli czyjś głos, a potem krzyk. Siedemnaście po trzeciej. Grossmann już nie wrócił na parter.

– Theissen nie wyszedł z budynku. – Pia myślała na głos. – I nie chciał, żeby stróż go zobaczył.

– Sugerujesz, że to on zepchnął Grossmanna ze schodów? – Cem nie odrywał wzroku od monitora, na którym i tak nic się nie działo.

– W sumie dlaczego nie?

– Poczekajcie, odtworzę teraz zapis z kamery w garażu – powiedział Kai.

Po kilku minutach znalazł miejsce, którego szukał. Dwadzieścia sześć po jedenastej wieczorem doktor Stefan Theissen przeszedł przez halę garażową. Do za dziewiętnaście trzecia rano nic się nie działo, lecz o tej właśnie godzinie przed kamerą przemknęła czyjaś postać.

– No – mruknęła Pia chłodno. – To pewnie nasz hodowca chomików.

Kai zatrzymał odtwarzanie w miejscu, w którym najlepiej było widać włamywacza. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Czarne ubranie, na głowie kominiarka, przez ramię przewieszona czarna torba.

– Ma gumowe rękawiczki – zauważył Cem. Pia na-

chyliła się nad stołem i sięgnęła po telefon. Wybrała numer prokuratury. Podejrzenia Henninga znalazły właśnie potwierdzenie. Śmierć Rolfa Grossmanna niemal na pewno nie była nieszczęśliwym wypadkiem, lecz morderstwem. Zagadką pozostawało za to, w jaki sposób Theissen i włamywacz opuścili budynek, bo nie pojawili się ani w garażu, ani w holu firmy.

– Przecież nie rozplynęli się w powietrzu. – Kai Ostermann oparł się wygodniej i założył dłonie za głowę. – Czego ten włamywacz mógł tam szukać? Chyba nie przyszedł tylko podrzucić martwego chomika, prawda? Na to wystarczyłaby mu sekunda.

– Ale czemu akurat chomika? – zastanawiał się Cem. – W sumie to jakiś ślad. Ciekawe, dlaczego go nie wziął z powrotem, kiedy wyskoczyła mu ta sprawa z Rolfem? Bo chyba nie miał tego w planach?

Pia spojrzała na nowego współpracownika. Z profilu przypominał aktora Erola Sandera.

– Zabił kogoś – przypomniał mu Kai. – Po czymś takim mógł być w rozsypce emocjonalnej.

– Po co go w takim razie zabił?

– A bo ja wiem? Może Grossmann go rozpoznał? – odparł Ostermann. – Szarpanina, odepchnął go, ten spadł na głowę. I nieszczęście gotowe.

Pia wiedziała, że Kaia zawsze bardzo interesowała psychologiczna strona śledztw, które wspólnie prowadzili. W październiku zeszłego roku zapisał się nawet na kurs profilerów policyjnych, organizowany przez Federalną

Policję Kryminalną, jednak musiał przerwać szkolenie, bo w K11 mieli dotkliwie odczuwalne braki personalne. Kai nie dał poznać po sobie, jak bardzo go to rozczarowało, ale miał nadzieję, że już wkrótce dostanie kolejną szansę.

Wypadki, które poprzedziły zawieszenie Hassego i Behnkego, dotknęły Pię znacznie bardziej, niż się spodziewała. O każdym z podejrzanych, a i o większości świadków, z którymi pracowała w ramach prowadzonych dochodzeń, wiedziała znacznie więcej niż o ludziach, z którymi codziennie spotykała się na odprawach i którym w krytycznej sytuacji musiałaby powierzyć swoje życie. Postanowiła wówczas, że należy to zmienić. I udało jej się przełamać niewidzialną barierę, która nie pozwalała im rozmawiać o prywatnym życiu, co wcześniej było nie do pomyślenia. Cem Altunay zdawał się dobrze pasować do zespołu, a Pia była bardzo ciekawa, jak nowy dogaduje się z szefem Oliverem von Bodensteinem. Otrząsnęła się z zamyślenia, czując na sobie pytające spojrzenia pozostałych.

– Wybaczcie, to pierwszy dzień po urlopie. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – O czym była mowa?

– Kto się czym zajmuje? – powtórzył Kai. Wydawało się, że wszyscy w naturalny sposób uznali jej przywództwo, kiedy szefa nie było na miejscu.

– Ja z Cemem pojedziemy do WindPro przepytąć Theissena na temat tego, co robił w piątek w nocy w biurze – zdecydowała. – Kai, ty przejrysz dokładnie nagrania. Kathrin, dowiedz się, proszę, wszystkiego, co

tylko znajdziesz o ofercie i o firmie, w której pracował. Nie wierzę w ani jedno słowo Theissena. I nie ufam mu, kiedy mówi, że zatrudnił Grossmanna z sympatii.

Cała trójka zaakceptowała jej decyzje bez słowa sprzeciwu. Wcześniej zawsze były z tym problemy. Frank Behnke kwestionował propozycje i polecenia Pii, czym zmuszał wszystkich, by opowiadali się zawsze po którejś ze stron. Kai bardzo długo zachowywał się lojalnie wobec Behnkego przez wzgląd na wspólną służbę w oddziałach specjalnych. Kathrin z założenia zawsze popierała Pię. Lecz te czasy na szczęście minęły, a ona bardzo się z tego cieszyła.

– No dobrze, do roboty! – Uśmiechnęła się, bo poprawił jej się humor. – Spotykamy się tu o czwartej!

Uspokój się w końcu! – powiedziała Ricky, kiedy Jannis chyba dziesiąty raz w ciągu minuty spojrzął na zegarek. – Zaraz przyjadą!

Ona, Nika i jeszcze kilkoro członków stowarzyszenia obywatelskiego – lecz tylko ci, którym Jannis w ostatniej chwili dał znać – siedzieli rzędkiem na ogrodzeniu z bali i przypominali odpoczywające ptaki. Mark przykucnął w trawie i drapał oba psy. Zwierzaki leżały z zamkniętymi oczyma i rozkoszowały się chwilą. Na ziemi obok leżały naklejone na tekturę hasła protestacyjne i grafiki, które Jannis osobiście przygotował i zaprojektował. Szczególnie dumny był z logo, przedstawiającego stylizowaną sylwetkę gór Taunus z przekreślonym rysunkiem turbiny wia-

trowej.

– Mają już dziesięć minut spóźnienia – odparł gniewnie Jannis i przerwał nerwowy spacer tam i z powrotem. Dla ludzi z telewizji czas się nie liczył, choć dla niego miał zasadnicze znaczenie. Bo jeśli podczas nagrania pojawi się Ludwig Hirtreiter, to wepchnie się przed kamerę i będzie krążył wokół tematu, zamiast przejść do sedna. Jannis za to starannie przemyślał, co chce powiedzieć, i postanowił wykorzystać tę jedną, jedyną szansę, by przez telewizję dotrzeć do widzów z wiadomością, co udało mu się ustalić. To będzie wielki skandal, o którym napiszą we wszystkich gazetach! Żeby paplanina Hirtreitera nie doprowadziła do rozmycia przekazu, w tajemnicy zadzwonił do redaktora wiadomości i przełożył spotkanie na półtorej godziny wcześniej.

Słońce świeciło, po błękitnym niebie przesuwano się kilka drobnych obłoczków. W ciągu ostatnich trzech tygodni natura po prostu eksplodowała, ale Jannis nie był w stanie poświęcić uwagi kwitnącym łąkom, kolorowym krzakom i soczyście zielonej trawie. W końcu, piętnaście minut później, niż się umówili, w asfaltową drogę między polami skręciło granatowe kombi z dużym logo stacji telewizyjnej. Ruszył im na spotkanie, unosząc ramiona. Niech się pospieszą! Należące do Hirtreitera gospodarstwo zwane Kruczą Zagrodą znajdowało się raptem kilkaset metrów dalej, za kilkoma drzewami, i jeśli ten staruch stanąłby przez przypadek w oknie, w ciągu minuty mieliby go na karku. Jannis nie mógł znieść spokoju i luzu,

z jakim reporter, jego asystent i jeszcze jakaś kobieta wysiadali z samochodu. Najchętniej złapałby ich za ciuchy i wyciągnął.

– Witam! – krzyknął dziennikarz i uśmiechnął się szeroko. – Ależ idyllicznie! Doskonale!

Chrzanić idyllę, pomyślał Jannis. Lepiej się pośpieszcie!

– Cześć. – Zmusił się do uśmiechu. – Jannis Theodorakis. Wczoraj rozmawialiśmy przez telefon.

Dziennikarz podał mu rękę, a potem podszedł do Ricky, Niki i pozostałych, którzy wstali z płotu i chcieli się przywitać. Jego współpracownicy wyjmowali z bagażnika skrzynie ze sprzętem telewizyjnym, rozkładali statyw i przygotowywali się do nagrania. Mężczyzna wyjął z kieszeni notatnik i przedstawił Jannisowi swój pomysł na materiał.

– Nie ma sprawy, brzmi super. – Jannis pokiwał głową, choć nie dotarło do niego ani jedno słowo. Wciąż obracał się i spoglądał w kierunku domu Hirtreitera. Żeby tylko wystarczyło czasu! Był tak spięty, że serce waliło mu jak szalone. W końcu udało się zejść tak daleko! Operatorka uruchomiła kamerę, a dźwiękowiec nałożył słuchawki i zabrał się za ustawianie parametrów nagrywania. Dziennikarz trzymał w ręku mikrofon z logo telewizji. Ustawili się tak, żeby pasowało im światło, dźwięk był już dostrojony. Jannis odetchnął głęboko i odpowiedział na pierwsze pytanie.

Mówił o degradacji krajobrazu, o braku poszanowa-

nia dla natury, o koniecznych wycinkach drzew i to na bardzo dużym i bardzo cennym przyrodniczo obszarze, o zniszczeniu siedlisk dzikich zwierząt, co doprowadzi do eksterminacji gatunków chronionych, których występowanie powinno było już na samym początku wykluczyć jakiegokolwiek plany związane ze stawianiem tutaj farmy wiatrowej. Ku swojej wielkiej uldze udało mu się ani razu nie zaciąć, ani nie przejeździć, choć strasznie irytowało go ustawiczne potakiwanie reportera, jego bezrozumny uśmiech i sposób, w jaki podtykał mu mikrofon do ust, niemal dotykając zębów. W końcu padło pytanie, które Jannis uważał za najważniejsze ze wszystkich, i miał nadzieję, że odpowiadając na nie, przekreśli plany WindPro. Jednocześnie dostrzegł z oddali starego srebrnego mercedesa Ludwiga Hirtreitera. Terenowy wóz zmierzał w ich stronę. Wszystko zgrało się lepiej niż idealnie.

Majowe słońce uśmiechało się promiennie z bezchmurnego, błękitnego nieba, słychać było śmiechy i głośne rozmowy gości, a powietrze pachniało bzami. Thordis wyglądała cudownie, Lorenz też prezentował się jak model wyjęty żywcem z jakiegoś katalogu. Mimo to Bodenstein nie czuł się szczęśliwy, kiedy na nich patrzył. Ślub syna powinien być wyjątkowym wydarzeniem. Często rozmawiali o tym z Cosimą i zastanawiali się, jak to będzie, kiedy ich pierwsze dziecko zdecyduje się na taki krok. Rzeczywistość okazała się inna, niż przypuszczał, bo co prawda świętowali oboje, ale nie razem.

Z kieliszkiem w dłoni oparł się o balustradę, rozmawiał i śmiał się, ale nie mógł pozbyć się uczucia, że jest tu obcy. Jego życie stanęło w miejscu i potrafił myśleć tylko o przeszłości. Cosima nie była jednak tak bezczelna, jak się spodziewał, bo nie przyprowadziła swego rosyjskiego kochanka. W ten sposób pozbawiła go pretekstu do wymknięcia się z przyjęcia przed czasem. Zamienił z nią parę słów, lecz ich rozmowa przebiegła tak, jak każda z nielicznych wymian zdań w ostatnich miesiącach: była krótka, sztucznie przyjazna, bez znaczenia i dotyczyła wyłącznie dzieci.

Jej niewierność spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Nie był przygotowany na cios z jej strony, więc jego życie w jednej chwili legło w gruzach. Cosima zniszczyła rodzinę i dom dla innego mężczyzny. Oliver von Bodenstein nie mógł pozbyć się wspomnienia, jak się wtedy czuł: upokorzony i słaby, jakby jej nie wystarczał, ani jako mąż, ani jako mężczyzna. Nadawał się chyba jedynie jako opiekun dla Sophii. Ta świadomość sprawiła, że przez wiele nocy przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Była daleko gorsza niż myśl, że Cosima spędza upojne chwile w ramionach obcego mężczyzny, dobrych piętnaście lat młodszego od niej.

Bodenstein dopił szampana i wykrzywił twarz. Alkohol ogrzał się i stracił bąbelki.

– Co to za miny? To jest w końcu święto naszych dzieci. – Matka Thordis, doktor weterynarii Inka Hansen uśmiechnęła się szeroko i podała mu świeży kieliszek. –

Pięknie razem wyglądają, nie sądzisz?

– Sądzę. – Wziął szampana z jej dłoni, a swój pusty kieliszek odstawił na tacę przechodzącego kelnera. – My też tak mogliśmy wyglądać.

Z nią mógł tak rozmawiać. Wychowali się razem i chociaż nigdy nie byli parą, przez jakiś czas był przekonany, że pewnego dnia się pobiorą. Nie czuł już bólu i zawodu, bo minęło dość czasu, by ta rana się zabiłiła.

– No cóż. Życie miało wobec nas inne plany. – Delikatnie trąciła kieliszkiem jego kieliszek. – Ale tak jak jest, też jest dobrze. Naprawdę, cieszę się bardzo, że w ten czy inny sposób jesteśmy teraz rodziną.

Upili po łyczku szampana, a jemu przez głowę przemknęła myśl, czy też Inka jest teraz z kimś związana.

– Świetnie wyglądasz – stwierdził.

– A ty paskudnie – odparła kobieta. Rzeczowo i bezpośrednio, jak zawsze zresztą.

– Dzięki, to było bardzo miłe. – Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Wypili razem jeszcze jeden, a potem kolejny kieliszek szampana. Cosima stała po drugiej stronie tarasu. Dotychczas nie poświęcała mu zbyt wiele uwagi, lecz teraz co i rusz spoglądała w stronę Inki. Nagle przypomniał sobie, że jeszcze kiedy byli razem, była chorobliwie zazdrosna o jego starą przyjaciółkę.

Marie-Louise zaprosiła gości do stołu weselnego. Bodenstein stwierdził z radością, że jako ojciec pana młodego miał miejsce między panną młodą i jej matką. Pod-

sunął Ince krzesło i roześmiał się z żartu, jaki rzuciła. Cosima siedziała po drugiej stronie młodej pary. Kiedy na chwilę spotkały się ich spojrzenia, uśmiechnął się do niej, by natychmiast wrócić do zabawiania rozmową Inki. Całkiem niespodziewanie stwierdził, że ten dzień nie jest jednak do końca stracony i że wciąż jeszcze istnieje szansa, że rana, jaką zadała mu Cosima, pewnego dnia się zagoi.

Cem usiadł za kierownicą, a Pia, która musiała załatwić kilka spraw, na fotelu pasażera. Z powodu oszczędności policyjne samochody służbowe nie zawsze były wyposażone w urządzenia głośnomówiące, co zmuszało funkcjonariuszy do telefonowania w czasie jazdy, jeśli jechali gdzieś sami. Wyglądało to szczególnie groteskowo, kiedy przez komórkę trzeba było zawiadomić innego policjanta o kierowcy łamiącym zakaz rozmów w czasie prowadzenia auta. Najpierw zadzwoniła do Krögera, który poinformował ją, że na żadnych drzwiach w budynku WindPro nie było śladów siłowego otwierania. Włamywacz musiał zatem albo zostać wpuszczony do środka, albo dysponował kluczem. Poza tym z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością Grossmann spadł ze schodów z trzeciego piętra. Przemawiały za tym nie tylko ślady w postaci włókien wykładziny i plamy krwi na schodach, lecz przede wszystkim jego latarka, którą znaleziono na podłodze korytarza na trzecim piętrze. Zaraz potem zadzwoniła do szefa. Bodenstein natychmiast odebrał telefon, z czego Pia wywnioskowała, że

było już po uroczystościach ślubnych. Zwięźle zreferowała postępy w śledztwie.

– Przyjedzie na odprawę o czwartej w K11 – poinformowała Cema, kiedy zakończyła rozmowę.

– Sama świetnie dajesz sobie z tym radę – odparł nowy z uznaniem.

– Dzięki. – Pia się uśmiechnęła. – Od dłuższego czasu przyglądam się, jak pracuje. Oliver jest świetnym szefem.

– Myślę dokładnie tak samo – potwierdził Cem. – Bardzo się cieszę, że trafiłem właśnie do was.

– Gdzie pracowałeś wcześniej?

– W Offenbach. Osiem lat, na początku trzynastka, potem dwunastka, a ostatnie trzy lata w K11.

Klasyczna droga przez mękę – na początek SB13, czyli obyczajówka, potem kradzieże, a na koniec wydział zabójstw. Wdrapał się na sam szczyt, do K11, a więc tam, gdzie każdy z policjantów chciałby się dostać.

– A, Offenbach... – Pia uniosła brwi. – Kickersi czy Eintracht?

– Ani jedni, ani drudzy. – Cem uśmiechnął się szeroko. – Ha-Ha-HSV!

– Niech ci będzie. Gdy chodzi o piłkę, to ja jestem całkowicie neutralna.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Dlaczego stamtąd odszedłeś? To znaczy, z Offenbach?

– Mój szef mnie nie lubił – wyjaśnił Cem uczciwie. –

Uważał, że chcę zająć jego miejsce. W pewnym momencie nie mogłem już tego wytrzymać, więc kiedy się dowiedziałem, że macie wakat, natychmiast złożyłem podanie o przeniesienie.

– I się udało. – Pia się uśmiechnęła. – To dobrze. A fakt faktem, gwałtownie potrzebowaliśmy wsparcia. Kai ma protezę nogi, więc nie nadaje się do pracy w terenie, a we trójkę czasem bywało ciężko.

Zanim dojechali pod siedzibę WindPro, Pia dowiedziała się jeszcze kilku rzeczy. Cem Altunay pochodził z Rüsselsheim i tam też się wychował, a potem zamieszkał w Dietzenbach. Miał żonę i dwójkę dzieci, córkę i syna, siedem i dziewięć lat. Jego ojciec i bracia pracowali w Oplu, ale on od zawsze marzył o zawodzie policjanta.

Samochód podskoczył na torach przecinających jezdnię. W końcu dojechali do dzielnicy przemysłowej na obrzeżach Kelkheim-Münster. Kilka minut później Cem zjechał na parking przed siedzibą WindPro. W budynku uwijali się pracownicy firmy sprzątającej, którzy usuwali plamy krwi ze schodów. Bez witania się z kobietą za blatem recepcji Pia i Cem udali się prosto na trzecie piętro. Tam skręcili w prawo i już po chwili dotarli do ostatniego pomieszczenia. Pia minęła jednak gabinet Theissena i otworzyła szklane drzwi na samym końcu korytarza.

– Schody pożarowe – stwierdziła.

– Można tędy wyjść z budynku i nikt cię nie zauważy. – Cem dokończył za nią. – Nasz włamywacz musi się całkiem dobrze orientować w rozkładzie pomieszczeń

i wyjść.

– Może był to jeden z pracowników firmy i Grossmann go rozpoznał – powiedziała Pia i pokiwała głową. – To by mocno zawężyło nam krąg podejrzanych.

Zapukała do gabinetu Theissena. Kiedy weszli do środka, dyrektor firmy podniósł się z za idealnie wysprzątanego biurka i zapiął marynarkę. Pia uznała, że nie będzie marnowała czasu na wymianę uprzejmości i przeszła zaraz do rzeczy.

– Przejrzeliśmy nagrania z kamer w budynku – powiedziała. – W piątek wieczorem był pan w firmie. Dlaczego wcześniej nam pan o tym nie powiedział?

– Naprawdę? Nie wspomniałem o tym? – Theissen zmarszczył czoło. – To pewnie ze wzburzenia tym, co się stało. Przeoczenie. Tak, byłem tu w piątek wieczorem, ale króciutko, najwyżej piętnaście minut.

– Po co?

– Potrzebowałem jeszcze kilku dokumentów, których zapomniałem z biura.

– Do czego były panu potrzebne?

– Wyjeżdżałem w interesach – wyjaśnił Theissen spokojnie. – Weekend spędziłem w Hamburgu, gdzie miałem spotkanie z klientem, dla którego planujemy morską farmę wiatrową na Morzu Północnym.

– Wszedł pan przez garaż podziemny. A jak pan wszedł z budynku?

– Schodami pożarowymi. Przed północą byłem już w aucie. Pamiętam, bo zaraz potem były wiadomości.

– Na którym kanale?

– FFH. Zawsze ich słucham. – Dyrektor WindPro zmarszczył brwi. – Czy to ma znaczenie? A jeśli tak, to jakie?

Pia nie zwróciła uwagi na jego pytanie.

– Kiedy wszedł pan do holu na parterze, stanął pan przy ladzie i zajrzał do kuchni z tyłu. Później nie zjechał pan windą, tylko wyszedł wyjściem ewakuacyjnym. Dlaczego?

– Dlaczego co? Bo chyba nie rozumiem...

– Dlaczego nie chciał pan, żeby Grossmann pana zobaczył?

– Nie chciałem go budzić.

– Nie chciał pan obudzić stróża nocnego na zmianie?!

– Niewiele brakowało, a Pia parsknęłaby śmiechem. Kredyt sympatii, którym obdarzyła Theissena, topniał szybciej niż śnieg wiosną. – Ja bym się raczej spodziewała, że szef będzie wściekły, jeśli przychodząc wieczorem do firmy, zobaczy, że pracownik, który miał wszystkiego pilnować, śpi w najlepsze.

Stefan Theissen wyraźnie nie był zadowolony z kierunku, w jakim potoczyła się rozmowa, lecz nie był człowiekiem, który łatwo dawał się zbić z tropu.

– Dobrze panią rozumiem, bo to rzeczywiście brzmi dziwnie – odpowiedział. – Ale tamtego wieczoru naprawdę było mi na rękę, że Rolf mnie nie zauważył. Bardzo się spieszyłem, a gdyby mnie zobaczył, musiałbym postać z nim trochę i zamienić kilka słów.

Nie przekonał Pii tym wyjaśnieniem, ale nie drażyła tematu. Coś w zachowaniu Theissena sprawiało, że mu nie ufała. Przypomniała sobie rozmowę z recepcjonistką, która nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Grossmannowi tyle wybryków uchodziło na sucho – niezależnie od tego, czy był przyjacielem szefa z czasów dzieciństwa, czy też nie.

– Dokąd udał się pan zaraz po wyjściu z firmy? – zapytała.

– Do domu.

– Najprostszą drogą?

Dotychczas Theissen okazywał gotowość do współpracy, lecz po ostatnim pytaniu jakby się nastroszył.

– Dlaczego pani o to pyta?

Co prawda nie odpowiedział wprost, lecz Pia wiedziała, że i tak jeszcze tego samego dnia trzeba będzie zweryfikować jego alibi. Jeśli miałyby się okazać, że je zmyślił, wpadnie w kłopoty.

– W nocy z piątku na sobotę zginął jeden z pana pracowników – przypomniała mu Pia. – A na pana biurku znalazł się martwy chomik. Jeśli nie jest pan sprawcą tego wszystkiego, to znaczy, że ktoś jeszcze wszedł do budynku. Być może jakiś włamywacz.

Theissen skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią skonsternowany.

– Włamywacz? Tutaj?

– Zgadza się. Jakoś ten chomik musiał trafić na pana biurko. – Pia przekrzywiła głowę. – No chyba że macie

w pracy zwyczaj podrzucania sobie martwych zwierząt.

Theissen udał, że nie zwrócił uwagi na sarkazm w jej głosie, i milczał. Udało mu się wytrzymać jej spojrzenie i nie odwrócić głowy. Ciekawe, czy wiedział, jak mały gryzoń znalazł się w jego gabinecie?

– Nasi technicy nie stwierdzili śladów włamania na żadnych z drzwi do budynku. Dlatego przypuszczamy, że ktoś, kto wszedł do środka, musiał mieć klucz.

Kilka sekund zajęło Theissenowi zrozumienie, co Pia chciała zasugerować. W końcu potrząsnął energicznie głową.

– Nie – powiedział z naciskiem. – Nie, to niemożliwe. Nie uwierzę w taką wersję. Znam wszystkich, którzy mają klucze. I zapewniam panią, że żadna z tych osób nie byłaby w stanie zabić człowieka! Nie, to po prostu niemożliwe.

Pia i Cem wymienili spojrzenia. Czyżby Theissen naprawdę nie wiedział, że Rolf nie cieszył się sympatią wśród jego pracowników? Czy może nie chciał tego wiedzieć?

Co się tutaj dzieje? – Ludwig Hirtreiter wysiadł z samochodu terenowego i zatrzasnął drzwi, a potem ruszył przez łąkę w stronę Jannisa i dziennikarza. – Przecież byliśmy umówieni dopiero na wpół do piątej!

Ludzie z ekipy telewizyjnej spakowali już kamerę i byli w trakcie ładowania skrzyń ze sprzętem do wozu z logo stacji. Z dala widać było kilka aut, które od strony

wsi zjechały z głównej drogi i posuwały się powoli między polami. Pozostali członkowie stowarzyszenia mieszkańców zdążyli zaparkować przy porośniętej kwiatami łące i wyjmowali z bagażników przygotowane wcześniej transparenty.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje? – Hirtreiter wsparł ręce na biodrach i spojrzał ze złością na Jannisa. Zanim jednak ten zdążył cokolwiek powiedzieć, Ricky skoczyła między obu mężczyzn i położyła Hirtreiterowi dłoń na ramieniu.

– Nie odbierałeś komórki, chociaż kilka razy dzwoniłśmy. – Obdarzyła go ciepłym uśmiechem, który zawsze działał na płec przeciwną. – W ostatniej chwili musieliśmy zmienić godzinę nagrania, bo...

Hirtreiter okazał się całkowicie odporny na jej wdzięki.

– Przestań gadać bzdury! – warknął z wściekłością i strząsnął jej dłoń z ramienia. – Mieszkam kilka minut stąd. Mogłaś wysłać swojego pryszczatego adiutanta, żeby mnie powiadomił.

Mark zignorował inwektywę, choć wiedział, że starszemu chodzi właśnie o niego. Stał nieco z boku i pilnował psów Ricky, które na wszelki wypadek wzięł wcześniej na smycze. Wiedział, że nie znoszą się z psem Hirtreitera, który siedział sobie na tylnym siedzeniu mercedesa.

– Dobra, to zaczynamy nagranie od początku! – zdecydował starszy mężczyzna, spoglądając na dziennikarza.

Ten uśmiechnął się przepaszająco. Materiał miał zostać wyemitowany jeszcze tego wieczoru, a do tego trzeba było go odpowiednio obrobić i złożyć.

– Ale przecież ja nie mam pojęcia, co oni panu nagadali! – ryknął Hirtreiter głębokim basem i wskazał na parkujące akurat samochody. – Przecież członkowie naszego stowarzyszenia dopiero jadą, a my chcieliśmy pokazać, ilu ludzi nas popiera! Bez tego cały materiał będzie bez sensu!

– Naprawdę strasznie mi przykro. – Reporter wzruszył bezradnie ramionami. – Pan Theodorakis poprosił, żebyśmy przyjechali nagrywać półtorej godziny wcześniej. Nie mogłem przecież wiedzieć, żeście się między sobą nie dogadali.

– Co? Dlaczego to zrobiłeś? – Hirtreiter obrócił się wściekły i nabrał głęboko powietrza. – Co ci strzeliło do łba? Co ty w ogóle sobie wyobrażasz, że kim tu jesteś?

Stary gospodarz miał ponad metr dziewięćdziesiąt, szerokie ramiona, ogorzałą i pooraną zmarszczkami twarz, a siwe włosy opadały mu aż na ramiona. Stojąc tak i dysząc ze złości, sprawiał wrażenie naprawdę niebezpiecznego. Za jego plecami zaczęli gromadzić się uczestnicy protestu, którzy też nie byli zachwyceni, że nagranie odbyło się bez ich udziału.

– Powiedziałem to, co powinienem był powiedzieć – wyjaśnił Jannis. Wsunął ręce do kieszeni kurtki, lecz nie potrafił ukryć zadowolenia. – Poza tym mógłbyś się trochę opanować.

– NIE BĘDZIESZ MI MÓWIŁ, KIEDY MAM SIĘ OPANOWAĆ, A KIEDY NIE! – zagrział staruszek, a jego twarz pokrył szkarłat. – Mam po dziurki w nosie twojego egocentryzmu i niesłowności! Pozostali też nie będą tego dłużej znosili! Wspólnie uzgodniliśmy termin, a ty sobie przekładasz go za naszymi plecami, żeby tylko tobie pasował!

Dziennikarz przysłuchiwał się ich kłótni, lecz w obliczu gwałtownej eskalacji konfliktu schował głowę w ramiona i zrobił nieszczęśliwą minę, która świadczyła jedynie o tym, że chciałby być jak najdalej od kłócących się mężczyzn. Niestety, drogę do samochodu zagrażało mu kilkanaście osób z transparentami.

– A pan niech lepiej natychmiast wyciąga kamerę i zaczyna kręcić! – Hirtreiter pogroził mu palcem.

– Już nie ma na to czasu – zaprotestował dziennikarz. – Jeśli zależy panu, żebyśmy jeszcze dzisiaj wieczorem powiedzieli o państwa walce, to musicie pozwolić nam już jechać popracować nad nagraniem. Gwarantuję, że wyjdzie z tego fajny materiał.

Dobry argument, pomyślał Jannis. Oczywiście, i Hirtreiter, i pozostali chcieli, żeby jeszcze dzisiaj materiał o nich trafił do wieczornych wiadomości. Czas grał tutaj dużą rolę, bo za dwa dni miało się odbyć zgromadzenie obywateli. Po chwili protestujący rozstąpili się niechętnie i przepuścili reportera, który przemknął szybko do auta, w którym reszta ekipy czekała na niego z włączonym silnikiem. Ledwie wsiadł, ruszyli gwałtow-

nie, jakby przed chwilą obrabowali bank.

– W takim razie – zwrócił się do Jannisa Ludwig Hirtreiter groźnym tonem – lepiej dobrze sobie zapamiętaj moje słowa, ty mały podstępny intrygancie. Wszyscy, jak tutaj jesteśmy, walczymy o to samo. Żyjemy w demokratycznym państwie i kierując się demokratycznymi zasadami, podjęliśmy wspólną decyzję. Nie może być tak, że ktoś będzie załatwiał swoje partykularne interesy kosztem grupy!

Jannis wyszczerzył się głupio. Dostał to, czego chciał, i był bardziej niż zadowolony. Miotanie się Hirtreitera i jego wyzwiska spływały po nim jak woda po kacze.

– Czego właściwie się mnie czepiasz, co? – zapytał w końcu. – To ja zestawiłem wszystkie dane, zebrałem fakty i dostarczyłem niepodważalne dowody, że chcą nas oszukać. Beze mnie kręcilibyście się dalej z plakatami po jarmarkach i płakali z powodu kilku wyciętych drzew.

– Uważaj, chłoptasiu! – warknął staruszek. – Lepiej uważaj, co mówisz, bo nie ręczę za siebie!

– Ludwig – wtrąciła się Ricky. Uśmiechem i pojednawczym tonem usiłowała załagodzić sytuację. – Jannis naprawdę odwalił świetną robotę, sam zobaczysz i będziesz zadowolony.

– Zamknij się, ty głupia krowo! – Hirtreiter spojrział na nią z pogardą. – Nie masz o niczym pojęcia i tylko kłapiesz jadaczką! Powtarzasz jak katarynka, co ci twój chłoptaś naopowiadał!

Ricky znieruchomiała. Poczwała się strasznie urażona. Jannis też nie był już tak spokojny. Co temu nadętemu bufonowi strzeliło do głowy, żeby traktować go jak chłopca na posyłki?

– Jesteście chorzy z zemsty i możecie nam jeszcze wszystko zepsuć! – ciągnął staruszek podniesionym tonem. – Żeby zwyciężyć, musimy wykazać się rzeczowością i wielkim wyczuciem! Nie wystarczy tylko wysuwać oskarżenia i zaprzeczać! Ale co wy o tym możecie wiedzieć...

Machnął lekceważąco ręką i odwrócił się do auta.

– Ja przynajmniej mówię, co wiem, i nie ukrywam ważnych informacji przed resztą! – krzyknął za nim Jannis. – Dlaczego nikomu jeszcze nie zdradziłeś, jaką sumę zaproponowali ci ludzie z WindPro?

Ludwig Hirtreiter odwrócił się powoli. Pozostali członkowie stowarzyszenia mamrotali coś między sobą i spoglądali po sobie.

– Chyba już znam odpowiedź. – Jannis uśmiechnął się złośliwie. – Nie powiedziałaś, bo nikt by ci nie uwierzył, że mimo takiej gigantycznej kasy naprawdę walczysz przeciwko farmie wiatrowej!

– Sugerujesz coś? – Hirtreiter zacisnął pięści i podszedł bliżej, nachylony jak byk gotowy do ataku.

– Że sprzedasz się im. I to za...

Nie było mu dane dokończyć zdania, bo staruszek wziął zamach i ręką wielką jak bochen chleba strzelił go w twarz, aż huknęło. Jannis zatoczył się i upadł na trawę.

Błyskawicznie zerwał się na nogi i doskoczył do Hirtreitera. Ricky przyszła mu z pomocą i cała trójka zaczęła się szarpać. Pozostali przyglądali im się zaskoczeni i nie mieli pojęcia, o co w ogóle może chodzić.

– Ty podstępny gnojku! – krzyczał Hirtreiter. – Przez tę twoją prywatną zemstę wszystko nam zepsujesz, ty i ta twoja... dziwka!

– No, no! – Jeden z członków stowarzyszenia próbował załagodzić sytuację, ale nikt go nie słuchał. Hirtreiter wyrwał się Jannisowi i ruszył w stronę swojego samochodu. Kilku ludzi poszło za nim, pozostali stali i nie mogli się zdecydować, co zrobić.

– Tak, spieprzaj lepiej! – Jannis rzucił się za oddalającym się staruszką i potarł obolałą twarz. Ricky płakała zaszokowana. Mark podszedł do niej, prowadząc psy.

– Nie rozumiem, dlaczego Ludwig tak nas nie lubi – powiedziała płaczącym tonem. – Przecież robimy więcej niż pozostali, a jednak zawsze czepia się akurat nas.

– Nie przejmuj się nim. – Mark wzruszył ramionami. – Stary dupek i tyle.

Ricky uśmiechnęła się słabo.

– Masz rację. – Wierzchem dłoni starła łzy z twarzy i wyprostowała się. – Stary, tępy dupek. Dokładnie.

Szef ochrony WindPro, a zarazem rzecznik prasowy i szef marketingu w jednej osobie, był nadzwyczajnie pomocny. Wystarczyło słowo, by natychmiast przygotował dla Pii i Cema regulamin bezpieczeństwa firmy wraz

z procedurami zamykania budynku, a potem skoroszyt z podpisanymi dokumentami przyjęcia kluczy przez poszczególnych pracowników. Theissen i jego żona posiadali każde po jednym kluczu uniwersalnym do zamków do wszystkich pomieszczeń, tak samo jak dyrektor do spraw finansowych i zakupów, szefowie działu zbytu, technologicznego, prawnego, kontroli jakości, projektowego i szefowa kadr. Na samym końcu znajdowało się nazwisko nieżyjącego stróża nocnego. Oczywiście szef ochrony również miał dostęp do wszystkich pomieszczeń. To dało dwunastu podejrzanych. Pia przysunęła skoroszyt bliżej i zaczęła przeglądać jego zawartość, wynotowując sobie przy okazji nazwiska, które ją zainteresowały. Potem przewróciła kolejną zakładkę i zobaczyła, co się tam znajduje: dalsze nazwiska i potwierdzenia odbioru klucza.

– A to? Co to jest? – zainteresowała się.

– To... no cóż... to... – Szef ochrony przesunął niepewnie dłonią po ogolonej na tyso czaszce. – Wie pani, ten nasz system jest nieco archaiczny. Wciąż jeszcze mamy tu normalne mechaniczne zamki, a nie takie kodowe, elektroniczne. Planujemy już przejście na coś nowocześniejszego, ale to troszkę potrwa. Kilku byłych pracowników firmy nie oddało nam kluczy, kiedy się z nimi rozstaaliśmy.

– Doprawdy? – Pia uniosła z zaskoczeniem brwi. – O ilu osobach pan mówi?

Mężczyzna nerwowo zakaszał.

– No... to było, jeszcze zanim ja zacząłem zajmować

się tymi sprawami... – wydukał.

– Ale jeśli te wszystkie osoby, których potwierdzenia pan nam tutaj pokazał, dysponują kluczem do budynku, to mamy na tapecie kolejnych... zaraz, niech tylko policzę...

– Dziewięć. – Cem zajrzał jej przez ramię i z kamiennym wyrazem twarzy zsumował wszystkie osoby z listy.

– Cudownie! – Pia celowo uciekła się do sarkazmu. – Rozumiem, że zamierzał nas pan o tym poinformować?

– Ja... tak... oczywiście. Tylko... no tak. Zapomniałem.

Słaba pamięć zdawała się plagą w tej firmie. Stróż nocny pojechał podczas zmiany na stację benzynową, żeby zaopatrzyć się w wódkę, ale nie wziął klucza i nie wszedł już do środka. Theissen zapomniał, że w noc morderstwa odwiedził jeszcze firmę. A do tego szef bezpieczeństwa WindPro zapomniał właśnie poinformować policję kryminalną o kilku ważnych faktach.

– Macie gdzieś tutaj ksero? – Pia wstała z krzesła.

– Tak, tu obok, na szafce.

– Ja się tym zajmę. – Cem zaoferował pomoc, a Pia bez wahania podała mu skoroszyt. Szef ochrony to ciągnął się za kocią bródkę, to za płatek ucha. Całą łysinę miał mokłą od potu.

– Opowiedziałby mi pan coś o WindPro? – poprosiła Pia.

– A co chciałaby pani wiedzieć?

– Tak ogólnie. Czym się zajmujecie?

– Planujemy i budujemy prądnice wiatrowe w całych Niemczech, Europie, a od niedawna również w krajach spoza naszego kontynentu – wyjaśnił mężczyzna, wczuwając się teraz w swoją rolę rzecznika prasowego. Nie krył przy tym dumy, bo w końcu mówił o czymś, na czym się znał. – Oferujemy naszym klientom całościowe rozwiązania pod klucz, włącznie ze znalezieniem finansowania, czy to poprzez jednego generalnego inwestora, czy też poprzez zbiorowe finansowanie w ramach stworzonego specjalnie funduszu. Wygląda to mniej więcej tak, że klient zamawia postawienie farmy wiatrowej, a my załatwiamy całą resztę. Wybieramy optymalną lokalizację, załatwiamy wszystkie konieczne dokumenty, ekspertyzy i pozwolenia, a potem stawiamy turbiny wiatrowe. W każdym miejscu, w którym działamy, korzystamy tylko z najlepszych fachowców z doświadczeniem, dzięki czemu w branży cieszymy się doskonałą opinią.

My. Nas. Pewność siebie, z jaką rzecznik prasowy WindPro kreślił swoją wizję idealnej firmy, świadczyła o pełnej identyfikacji ze swoim pracodawcą.

– Jak pan myśli, po co ktoś miałby się tu włamywać?
– zapytała Pia, wprawiając szefa ochrony firmy w zakłopotanie.

– Naprawdę chciałbym pani pomóc, ale nic mi nie przychodzi do głowy – odpowiedział niepewnie i głośno przełknął. – O ile wiem, szef nie trzyma tu żadnej większej gotówki, a nasze know-how nie jest do tego stopnia tajne, żeby konkurencji opłacało się aż tak ryzykować.

– Wie pan może, czy któryś z tych byłych pracowników, którzy nie zwrócili klucza, rozstał się z firmą w atmosferze skandalu albo kłótni? – zapytał Cem, chwilę wcześniej wróciwszy z nareczem kopii.

Krótkie wahanie.

– Jeden z byłych pracowników na pewno tak właśnie się z nami rozstał, choć osobiście nie mieliśmy okazji się poznać – odparł mężczyzna. – W każdym razie od dobrych kilku miesięcy rzuca nam kłody pod nogi. Uwziął się akurat na farmę wiatrową, którą mamy postawić tutaj niedaleko. Nazywa się Jannis Theodorakis. I tak, nie zwrócił klucza, kiedy szef zwolnił go z pracy.

Mark leżał na łóżku. Wyłączył dźwięk w telewizorze i przyglądał się ulubionemu zdjęciu Ricky na ekranie komórki. Dzisiaj po południu naprawdę było mu jej żal. Co temu staremu Hirtreiterowi w ogóle strzeliło do łba? Pomógł jej potem schować plakaty i transparenty, które przygotowała specjalnie na tę okazję, i razem z kilkoma uczestnikami stowarzyszenia obywatelskiego pojechali do Königstein na pizzę. Pobicie Jannisa było głównym tematem wieczoru. To i oczywiście trzy miliony euro, które Hirtreiter miałby otrzymać ze sprzedaży działki. Po pewnym czasie większość rozeszła się do domów, a Jannis siedział zatopiony w rozmowie z Niką. Zazdrość o Nikę była idiotyczna, ale mimo to czuł nieprzyjemne ukłucie, kiedy sobie myślał, że dziewczynie udało się wkraść w ich życie.

Mark był tak pogrążony w rozmyślaniach, że nie usłyszał kroków na schodach. Nagle w drzwiach do pokoju stanął ojciec. I zdecydowanie nie był w dobrym humorze.

– Przed chwilą dzwonił twój nauczyciel. Znów nie byłeś dzisiaj w szkole – warknął wściekły. – Dlaczego?

Mark zamknął komórkę i milczał. Bo niby co miał mu odpowiedzieć? To przecież nie jego sprawa.

– Wyłącz ten telewizor i patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Mark wyłączył telewizor i usiadł. Celowo poruszał się jak w zwolnionym tempie. Dawniej bał się wybuchów cholerycznego ojca, ale to było dawniej. Bardzo dawno. To było przedtem. Kiedy jeszcze był strachliwym żałosnym kujonkiem.

– Odpowiesz wreszcie? Dlaczego wagarujesz? I gdzie się włóczysz, kiedy nie jesteś w szkole?

Mark wzruszył ramionami.

Śmieszne i jednocześnie straszne, że rodzice interesowali się nim jedynie, kiedy robił coś zabronionego. Dawniej świetne oceny mogły co najwyżej skłonić ich do przelotnego uśmiechu wyrażającego uznanie, bo na więcej nie miał co liczyć. Przez cztery lata spędzone w internacie dzwoniли do niego z obowiązku raz na tydzień, może dwa, ale nigdy częściej. Nawet w czasie kiedy zaczął mieć problemy, pomaganie mu traktowali jak obciążenie i przykry obowiązek. Czuł to. A teraz nagle mieliby się zmienić w troskliwych rodziców, którym zależy na synku? I nagle

chcą wiedzieć, dlaczego coś robi, a czegoś unika? Najgorsze, że zadawali przy tym całą masę idiotycznych pytań tylko dla zasady, bo wiedział, że to nic a nic ich nie interesuje. Ojciec i tak myślał jedynie o pracy i tylko ona się liczyła, a matka w głowie miała zakupy, antyki i jakieś swoje kluby i stowarzyszenia.

– Chłopcze! Czekam na rozsądną odpowiedź! – powiedział ojciec groźnym tonem. – I masz na nią pół minuty. Bo jak nie... to się policzymy.

– Serio? A co mi zrobisz? – Mark uniósł głowę i popatrzył znudzonym wzrokiem. – Spuścisz mi lanie? Dasz mi szlaban? A może wywalisz mi komputer przez okno?

Zupełnie nie dbał o to, co mówi i myśli jego ojciec. Gdyby miał jakąś alternatywę, już dawno by się stąd wyprowadził. Kieszonkowego od nich też nie potrzebował, bo Ricky płaciła mu za różne prace w schronisku.

– Marnujesz sobie przyszłość – oznajmił mężczyzna ponuro. – Jak tak dalej pójdzie, będziesz powtarzał klasę. Potem wyrzucą cię ze szkoły. A bez matury będziesz nikim. Teraz cię to nie interesuje, ale za kilka lat przyjdzie otrzeźwienie i wtedy zrozumiesz, jak bardzo zniszczyłeś sobie życie.

Bla, bla, bla. Za każdym razem ta sama zdarta płyta. Ależ go to wkurzało!

– Jutro będę na lekcjach – mruknął. Lewym okiem widział dziwne błyski. Stres zawsze wywoływał taką reakcję. Z początku widział tylko delikatne migotanie, ale

potem pojawiały się zygzaki, błyskawice i kolorowe okręgi, które rosły i rosły, aż nic poza nimi nie mógł zobaczyć. Zawężyło mu się pole widzenia, miał wrażenie, że idzie przez bardzo ciasny tunel. Nieodmiennie towarzyszył temu ból; przenikliwy i gwałtowny, promieniujący od tyłu głowy aż do czoła. Czasem ten stan nie trwał długo i sam z siebie mijał po kilku godzinach, a czasem, kiedy miał pecha, cierpiał przez kilka dni z rzędu. Mark zacisnął powieki i zaczął masować nasadę nosa.

– Co się dzieje? – zapytał ojciec. – Mark? Co ci jest?

Chłopak poczuł na ramieniu jego dłoń, ale szybko strząsnął ją z siebie. Każdy dotyk wyzwał kolejną falę bólu, jeszcze gorszą od poprzedniej.

– Nic. Zostaw mnie w spokoju – mruknął i spróbował otworzyć oczy, jednak nawet wieczorny półmrok był nieźnośnie oślepiający.

Oddalające się kroki, trzaśnięcie drzwiami. Mark otworzył szybko szufladę nocnej szafki i po omacku znalazł w niej fiolkę z tabletkami. Jeśli udało mu się wziąć je odpowiednio wcześniej, były całkiem skuteczne. Ricky mu je dała. Położył dwie na języku i popił colą bez gazu, a potem położył się i znieruchomiał z zamkniętymi oczami. Ricky. Ciekawe, jak się czuła?

Noc rozpostarła zasłonę mroku nad lasem, srebrzysty półksiężyc świecił jasno, a na firmamencie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Ludwig Hirtreiter spojrział na wschód, gdzie pomarańczowa poświata sącząca się zza horyzontu

nigdy nie gasła. Tutaj, w górach Przedniego Taunusu, od lat już nie można było zobaczyć tej nieprzeniknionej ciemności, którą zapamiętał z dzieciństwa. Bliskość ogromnej metropolii, tereny przemysłowe należące niegdyś do Hoechst AG i potężne, niezmordowanie tętniące życiem lotnisko zmieniały swoimi latarniami i reflektorami noc w dzień. Hirtreiter westchnął i poruszył się, żeby zająć wygodniejszą pozycję na ławce niskiej ambony myśliwskiej. Po omacku sprawdził, czy strzelba z celownikiem optycznym stoi tam, gdzie oparł ją o drewnianą ściankę. Po jego prawej stronie leżał zwinięty w kłębek Tell. Przez śpiwór, w który się owinał, czuł ciepłe ciało psa. Po lewej stronie postawił termos z gorącą herbatą i plastikowe pudełko z kanapkami. Wartę miał trzymać do wczesnego ranka. Musiał mieć pewność, że żadnemu z tych gangsterów nie strzeli do głowy zakradać się po nocy, żeby zamknąć dostęp do miejsc, gdzie chcieli prowadzić wycinke. Niejedną noc spędził samotnie w lesie. Nie potrafiłby ich nawet zliczyć. Od dwóch lat, czyli odkąd odeszła Elfi, nie było niczego, co trzymałoby go w domu.

Elfi. Każdą chwilę jego życia wypełniała tęsknota. Tęsknił za rozmowami z nią, za jej mądrymi radami i bezwarunkową miłością, którą obdarzała go od pierwszego spotkania, pięćdziesiąt osiem lat temu. Odwzajemniał to uczucie każdą komórką swojego ciała. Rak przychodził dwa razy i za każdym razem udawało się go przegonić. Lecz on tylko udawał, że odchodzi.

W rzeczywistości przyczaił się i podstępnie zawładnął całym jej ciałem. Zdomowił się w jej węzłach chłonnych i w szpiku kostnym. Potem był już wszędzie. A ona tak dzielnie z nim walczyła! Nie skarżyła się na bolesną, okrutną chemioterapię, nie poddawała się i nie traciła dobrego humoru. Żartowała nawet z wypadających włosów i nie płakała, kiedy nie mogła już jeść, bo dziąsła oddzieliły się od kości. Elfi walczyła jak lwica.

Po tych wszystkich okropnych zabiegach pojawił się moment wytchnienia. Krótki czas złudnej poprawy pozwolił im po raz ostatni wyruszyć w podróż. Pojechali w jej rodzinne strony, do Górnej Bawarii, którą wiele lat wcześniej opuściła tylko z miłości do niego. Zrobili sobie wycieczkę w góry Karwendel i oboje przeczuwali, że być może już po raz ostatni. Oczy Ludwiga Hirtreitera wypełniły się łzami. Od tamtego spaceru wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nie minęły trzy tygodnie, a towarzyszył jej w ostatniej drodze. Na pogrzebie stanęli z nim ramie w ramie jego dwaj synowie i córka, lecz nie zamienili z nim ani słowa. Przepaść była zbyt głęboka. Może powinien był wykorzystać tamto spotkanie, by wyciągnąć rękę na zgodę, lecz z bólu nie potrafił o tym myśleć. A teraz było już za późno. Słowa pełne złości, które między nimi padły, nie dały się cofnąć. Został sam i nic tego nie zmieni.

Siedział w milczeniu i nasłuchiwał. Między koronami drzew śpiewał delikatny wiaterek. Świeże liście szumiały cicho, a w powietrzu unosił się zapach marzanki wonnej

i czosnku niedźwiedziego. Gdzieś daleko rozległ się krzyk puszczyka, borsuczycyca w świetle księżyca prowadziła młode na polanę. Gdzieś niedaleko dziki ryły ściółkę. Znane odgłosy i zapachy. Balsam dla jego skołatanej duszy.

Myślami wrócił do wydarzeń z popołudnia. Wciąż był wściekły na Jannisa. Od samego początku nie potrafił mu zaufać. Nie był pewien, o co mu właściwie chodzi, i to mimo że rzeczywiście zrobił wiele dobrego dla ich sprawy. Hirtreiter nie mógł przestać podejrzewać Jannisa o to, że tak naprawdę kieruje nim egoizm i złość. To było niebezpieczne zestawienie. Poza tym skąd wiedział, ile chcieli mu zapłacić ludzie z WindPro? Może utrzymywał kontakty z dawnymi kolegami z pracy? Zgoda, on sam też powinien był grać w otwarte karty, lecz przecież nikogo nie powinno obchodzić, ile mu proponowali za jego łąkę! Poza tym obawiał się, że niewiarygodnie wysoka kwota wzbudzi niedowierzanie i przyczyni się do powstania podziałów w grupie. I miał rację, dokładnie to się wydarzyło. Hirtreiter żałował, że uderzył Jannisa przy świadkach. Powinien był zareagować z większym spokojem. Jednak Theodorakis wyprowadził go po prostu z równowagi i sprawił, że stracił panowanie nad sobą. Potem jeszcze ta jego głupia jędra wyskoczyła z jakimiś mądrościami. Bardzo jej nie lubił, choć wiedział, że to niesprawiedliwe. W gruncie rzeczy chodziło o to, że miał jej za złe opiekę nad Frauke. Gdyby Ricky nie dała jej pracy i mieszkania, córka zostałaby z nim w gospodarstwie.

Tell zdenerwował się i warknął przez sen. Hirtreiter wyciągnął dłoń i pogłaskał go po ciepłym futrze.

– Oni nas po prostu nie rozumieją – powiedział cicho i podrapał Tella za uchem. Tak naprawdę nie miał nic przeciwko farmie wiatrowej i nie protestowałby, gdyby to miejsce naprawdę się do tego nadawało. Jednak było wręcz odwrotnie i miał na to potwierdzenie w dwóch niezależnych ekspertyzach. Te wszystkie drzewa miały zostać wycięte jedynie z chęci zysku, a wiatraki tutaj nawet nie będą się obracały. Hirtreiter poznał się na ludziach z tej firmy i zobaczył, z jaką łatwością szastają pieniędzmi, które nie należały przecież do nich, tylko do podatników. Za jego łąkę zaoferowali chorą kwotę trzech milionów euro. Na ironię losu zakrawał fakt, że trafiło akurat na niego i że to on dzięki swojemu oporowi przed sprzedażą mógł zniweczyć cały plan stawiania farmy wiatrowej. I zrobi to. Nieważne, co ludzie będą sobie myśleli. Theissen i jego wspólnicy nie dostaną łąki – chyba że po jego trupie.

Pia ziewnęła szeroko i załadowała ostatnią partię brudnych rzeczy do pralki w łazience. Po niemal czterdziestu godzinach bez snu czuła się wykończona. Jednak nie mogła przestać rozmyślać o wydarzeniach minionego dnia. Przez otwarte drzwi sypialni słyszała ciche pochrapywanie Christoph'a; zazdrościła mu umiejętności błyskawicznego zasypiania w każdych warunkach. Ostrożnie zamknęła drzwi łazienki, żeby nie obudziło go dudnienie

pracującej pralki, i przeszła do salonu. Wcześniej zostawiła grający telewizor, ale z wyłączonym dźwiękiem. Chciała obejrzeć jakiś film, lecz nie mogła się skupić na fabule. W końcu porzuciła bezsensowną walkę z myślami.

Coś w zachowaniu Stefana Theissena nie dawało jej spokoju i dlatego zdecydowała, że nie będzie go informowała o wszystkim, co policja wie na temat włamania do WindPro i o śmierci Grossmanna. Dlaczego skłamał? Czyżby nie potrafił przewidzieć, że i tak pozna prawdę i to niemal natychmiast? Podane alibi też było bardzo niepewne, bo poza żoną nikt nie mógł zaświadczyć, że rzeczywiście do domu dotarł dwadzieścia minut po północy. Pia sięgnęła po pilota i ziewając, przełączała kanały. Jej uwagę przykuły na dłużej wiadomości na kanale telewizji krajowej Hesji, bo akurat emitowany był jakiś reportaż zaczynający się od ujęcia charakterystycznego budynku WindPro, w którym rano zostało znalezione ciało stróża. Pospiesznie włączyła dźwięk i przekonała się, że jednak nie o to chodziło w materiale, lecz o farmę wiatrową, która miała powstać niedaleko Eppstein. Teraz na ekranie pojawił się ciemnowłosy mężczyzna. Stał na jakiejś łące, a za nim tłoczyło się kilkoro ludzi z transparentami.

– Przedstawiane nam ekspertyzy wietrzności to jakaś farsa, co zostało udowodnione w dwóch niezależnych ekspertyzach, które zleciliśmy – tłumaczył mężczyzna rzeczowym tonem. – Lecz to dziwnym trafem nikogo nie zainteresowało. Tak samo jak fakt, że ten bezsensowny projekt ma być realizowany na terenie, który do niedawna

znajdował się pod ochroną. Porastający go cenny drzewostan zostanie zniszczony, dokonana zostanie także całkowita zagłada populacji bardzo rzadkiego chomika polnego, po to, by oczyścić tereny z przeszkód mogących utrudnić otrzymanie pozwolenia na budowę...

Na pasku na dole ekranu pojawiło się nazwisko mówiącego. Pia podskoczyła jak rażona prądem i zerwała się z kanapy. Biegiem popędziła do kuchni, wyrwała wtyczkę ładowarki z komórki i przycisnęła klawisz powtórnego wybierania. Theissen znów ją okłamał! Szybkim krokiem wróciła do salonu i obejrzała do końca materiał dziennika. W końcu połączenie zostało odebrane i w słuchawce rozległ się głos jej szefa, Olivera von Bodensteina.

Wrzesień 1997

Pierwsze spotkanie. Nie tydzień, jak jej się czasem wydawało, ale piętnaście lat temu.

W czasie dorocznego, jubileuszowego spotkania Niemieckiego Towarzystwa Geofizycznego w Kilonii została jej przyznana nagroda Karla-Zoepfiza dla młodych naukowców za wybitne osiągnięcia. Jednocześnie dowiedziała się, że otrzymała stypendium Niemieckiej Federalnej Fundacji Natura, o którym marzyła nie tylko ona, lecz bardzo wielu naukowców. Była wniebowzięta i bardzo szczęśliwa. Rozpierała ją duma z odniesionego sukcesu, tym bardziej uzasadniona, że do wszystkiego doszła sama.

Licznie zebrani wybitni przedstawiciele różnych dziedzin nauki uhonorowali jej osiągnięcia długą owacją na stojąco, co samo w sobie było dla niej wielką nagrodą. Nieco później, kiedy stała przy barze, podszedł do niej jakiś mężczyzna.

– Jest pani gwiazdą wieczoru – powiedział i uśmiechnął się nieco wyniośle. – Gratuluję sukcesu!

Arogancki idiota, pomyślała, i dopiero wówczas przyjrzała mu się uważniej. Miał w sobie coś, co ją zaintrygowało. Co takiego? Swobodna, ale emanująca pewnością siebie postawa? Głęboko osadzone błękitne oczy? Zmysłowe usta, które nadawały jego twarzy o wydatnej brodzie szczególnego charakteru? Wpatrywała się w niego w milczeniu, a myśli w jej głowie wirowały dziko.

Przymiotnik „zmysłowy” na dobrą sprawę nie istniał w jej słowniku. Co się z nią działo? Przecież była naukowcem! Miała umysł analityczny, a nie głowę pełną romantycznych bzdur. W dotychczasowym życiu nie znalazła wiele miejsca dla żadnego mężczyzny. Miłość od pierwszego wejrzenia uważała za bajkę. Lecz w sekundzie, kiedy spotkały się ich spojrzenia, wiedziała już, że się pomyliła. Nogi się pod nią ugięły.

– Co by pani powiedziała – zaczął – na propozycję pracy nad habilitacją u nas? Zapewniam, że znajdzie pani doskonałe warunki.

– U nas? Czyli gdzie? – odpowiedziała pytaniem, z trudem się uśmiechając.

– Ależ ze mnie gapa, przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Dirk Eisenhut z Niemieckiego Instytutu Klimatycznego.

Niewiele brakowało, a rozdziawiłaby z wrażenia usta. Co za gafa, że go nie rozpoznała! Na szczęście potraktował to z humorem.

– Będzie musiała pani zostawić wybrzeże. Ale chyba nie będzie pani tęsknić.

Udało jej się odzyskać pewność siebie.

– Mieszkałam już za kręgiem podbiegunowym, w Jurze Szwabskiej i na pokładzie statku na południowym Atlantyku – odparła radośnie. – Jak pan widzi, dla dobrej pracy zamieszkałam, gdzie będzie trzeba.

I, dodała w myślach, dla takiego szefa jak ty polecę choćby i na Księżyc. Zakochała się Dirku Eisenhucie bez

pamięci. Zajęło jej to mniej niż dziesięć sekund.

Wtorek 12 maja 2009

Kawa była gorąca i gorzka, dokładnie taka, jakiej potrzebował, żeby się obudzić. Dwie kopiaste łyżeczki cukru, bo taką ilością zazwyczaj słodził, zostały w cukiernicy, gdyż poprzedniego dnia postawił sobie za cel zrzucić minimum dziesięć kilogramów. Otyłość nie weźmie go bez walki. A że z natury był raczej leniwy i nie w smak było mu uganiać się w dresie po polach czy, co gorsza, odwiedzać te okropne studia fitness, wolał zrezygnować z jedzenia. Zegar nad drzwiami wskazywał wpół do siódmej, kiedy do kuchni wszedł ojciec. Jakiś czas temu zarząd nad majątkiem i stajniami przejął młodszy brat Olivera, Quentin, więc poranne oporządzenie koni nie należało już do obowiązków staruszka. Jednak siła przyzwyczajenia była tak wielka, że dzień w dzień nadal wstawał skoro świt.

– Kawy? – zapytał Bodenstein, a ojciec potaknął. Przez kilka ostatnich miesięcy ich wspólne śniadania stały się nowym rytuałem, a że żaden z nich nie był zbyt gadliwy, zazwyczaj przebiegały w czysto kontemplacyjnej atmosferze, dobrze nastrajając obu na cały rozpoczynający się dzień.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał Bodenstein, a kierowała nim raczej grzeczność niż szczerze zainteresowanie.

– Muszę pojechać do Ehlhalten, żeby przejąć wartę

po Ludwigu – wyjaśnił ojciec. – Do walnego zgromadzenia mieszkańców, czyli do jutra wieczorem chcemy zapobiec wycinaniu drzew w tajemnicy przed wszystkimi. Stąd dyżurujemy i pilnujemy terenu. On w nocy, ja za dnia.

– Walne zgromadzenie mieszkańców? – Bodenstein uniósł zaskoczony brwi. – Ty też bierzesz w tym udział?

– Twoja matka i ja bardzo angażujemy się w tę inicjatywę. Słyszałeś chyba o naszym stowarzyszeniu: NIE dla elektrowni wiatrowych w Taunusie.

Bodenstein milczał przez chwilę i tęsknym wzrokiem odprowadzał każdą z trzech łyżeczek cukru, które jego ojciec wsypywał do kawy, przegryzając ją świeżą bułką posmarowaną grubo masłem i obłożoną pełnotłustym serem. Oliver nie miał pojęcia, dlaczego tak jest, lecz jego ojciec mógł jeść takie śniadania, popołudniami raczyć się ciastem, a do kolacji wypijać butelkę czerwonego wina i mimo to przez ostatnich dwadzieścia lat nie przybrać ani kilograma. To było niesprawiedliwe. Czy przypadkiem nie jest tak, że na starość przemiana materii zwalnia?

– Powinieneś staranniejszy czytać lokalny dodatek w gazecie. – Stary hrabia uśmiechnął się nieznacznie. – A nie tylko kronikę policyjną.

– Przecież czytam – bronił się Bodenstein. Sięgnął po kromkę chleba razowego, posmarował ją cieniutko chudym serkiem i z miną bohatera wgryzł się w twarde pieczywo.

– Miasto Eppstein ogłosiło na jutro wieczorem walne zgromadzenie mieszkańców. Ma się odbyć w centrum

w Dattenbachhalle – wyjaśnił ojciec i wskazał głową na tablicę korkową przy wieszaku na klucze. – Ta żółta kartka tam to właśnie zaproszenie. Na spotkaniu ma się pojawić przedstawiciel krajowego Ministerstwa Ochrony Środowiska i firmy, która ma zbudować farmę wiatrową. No i oczywiście będziemy tam my z naszym stowarzyszeniem.

– Naprawdę macie nadzieję, że uda wam się zablokować tę budowę? – Bodenstein z zainteresowaniem spojrział na ojca, a potem wstał, podszedł do tablicy i zdjął żółtą ulotkę. Bez wielkiego zainteresowania przejrzał tekst zaproszenia.

– Żebyś wiedział – potwierdził ojciec. – Mamy poufne informacje i wiemy, że były poważne nieprawidłowości przy wydawaniu pozwolenia na budowę. Firma, która ma stawiać wiatraki, należy do potentatów branży. Na całym świecie psują już krajobraz tymi swoimi gigantycznymi wieżami. Na przykład wybrzeże Morza Śródziemnego w Hiszpanii, żeby daleko nie szukać.

– Rozumiem... a teraz uwzięli się, żeby zniszczyć jakąś łąkę przy Ehlhalten. – Bodensteina bawiło zaangażowanie ojca. Zazwyczaj wolał chadzać własnymi ścieżkami. Do włączenia się w walkę z farmą wiatrową namówił go pewnie przyjaciel, Ludwig Hirtreiter, żeby stowarzyszenie mogło pochwalić się jakimś znanym nazwiskiem.

– Tu nie chodzi jedynie o niszczenie okolicy – zaprotestował ojciec – tylko o to, że akurat w tamtym miejscu wiatraki będą całkowicie nieprzydatne. Mamy kilka eks-

pertyz i wszystkie to potwierdzają.

– Czekaj, a dlaczego taka uznana firma miałaby budować coś, co nie będzie działało? – Bodenstein z trudem połknął ostatni kęs ciemnego pieczywa. Myślami znów błądził wokół wczorajszego ślubu i wesela, które opuścił zaraz po telefonie Pii.

– Jak to, o co? Gdy nie wiadomo, o co chodzi, to musi chodzić o pieniądze! – wyjaśnił staruszek, a Oliver natchmiast otrząsnął się z zamyślenia.

– Słucham?

– Budują farmę wiatrową, żeby zarobić na tym kupę pieniędzy. WindPro stworzyła specjalny fundusz, do którego trafiają potężne sumy z podatków, bo udziały w nim ma miasto, Hesja i rząd federalny.

– Że jak? – Oliver nie dał mu dokończyć. – Kto założył ten fundusz?

– Firma, która ma budować farmę wiatrową. Nazywają się WindPro i mają siedzibę w Kelkheim.

– Proszę, proszę... co za zbieg okoliczności!

– Zbieg okoliczności? Dlaczego? – Bodenstein senior zmarszczył czoło.

– Wczoraj... – Bodenstein przerwał, kiedy się zorientował, że ojca również powinien zaliczyć do szerokiego kręgu podejrzanych. Martwy chomik na biurku szefa WindPro był jednoznacznym sygnałem, że za włamaniem mogli stać przeciwnicy farmy wiatrowej. A poprzedniego dnia późnym wieczorem zadzwoniła jeszcze Pia, żeby powiedzieć, że w wiadomościach wyemitowali materiał

o protestach przeciwko nowej inwestycji. Zgodnie z wersją przedstawioną przez rzecznika prasowego stowarzyszenia, WindPro miała celowo wymordować całą populację tamtejszych chomików, żeby nie mieć problemów z otrzymaniem pozwolenia na budowę.

– Znasz człowieka, który wczoraj wieczorem występował w waszym imieniu w telewizji? – Bodenstein zmienił temat.

– No przecież, że tak. To był Jannis. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko... przez przypadek widziałem ten reportaż. – To nie była do końca prawda, ale nie chciałem, żeby ojciec zrobił się podejrzliwy. – A co twój przyjaciel Ludwig ma z tym wspólnego?

– Jak to, co? To on założył stowarzyszenie – odparł Bodenstein senior. – A teraz jest, że tak powiem, języczkiem u wagi, bo do niego należy strategicznie położona łąka, bez której nie będą mogli rozpocząć budowy. WindPro proponuje mu jakąś wariacką sumę za tę ziemię, ale on się nie zgadza. Z różnych względów nie ma możliwości postawienia farmy bez jego terenów.

Na pomarszczonej twarzy staruszka pojawił się złośliwy uśmiech.

– Jutro wieczorem będzie się działo! Już się nie mogę doczekać. – Spojrzał na zegar na ścianie i wstał od stołu. – No dobrze, na mnie już czas. Obiecałem Ludwigowi, że zluzuję go koło siódmej.

– Tato – powiedział Bodenstein. – Powinieneś wie-

dzieć, że wczoraj w WindPro znaleziono martwego człowieka.

Ojciec zatrzymał się, obrócił i spojrzał na Olivera. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale w oczach miał zły błysk.

– Doprawdy? Tylko nie mów, że to był Theissen?

– Tato, to nie jest temat do żartów. Ten człowiek najprawdopodobniej został zamordowany. Są też poszlaki... – zawahał się, ale zdecydował, że powie prawdę. – Mam tylko nadzieję, że to, co powiem, zostanie między nami. Otóż mamy podstawy, żeby sądzić, że sprawca wywodzi się z kręgu przeciwników farmy wiatrowej.

– Bezsens, Oliverze, wierutna bzdura. Wszyscy w stowarzyszeniu jesteśmy prawymi obywatelami, a nie mordercami. A teraz wybacz, muszę lecieć. Zobaczymy się wieczorem.

I z tymi słowami wyszedł. Bodenstein złożył żółtą ulotkę i schował do kieszeni. Sprawa elektrowni wiatrowych zdawała się dla ojca bardzo ważna. Być może dawała mu poczucie, że na stare lata wciąż jest przydatny i potrzebny. I Oliver popierałby taką formę angażowania się i spędzania wolnego czasu, gdyby tylko w szeregach przeciwników farmy wiatrowej nie znajdował się ktoś, dla kogo życie ludzkie nie grało większej roli.

Ty chyba żartujesz! – Sekretarz stanu w krajowym Ministerstwie Ochrony Środowiska wytrzeszczył oczy i z niedowierzaniem wpatrywał się w Jannisa.

– Przecież przysięgałeś mi na wszystkie świętości, że w całej sprawie ani razu nie pojawi się moje nazwisko!

– Achim, bardzo mi przykro – odparł Theodorakis bez cienia żalu. – Ale tak się po prostu nie da. Muszę w jakiś sposób uprawdopodobnić swoje źródła i pokazać dane, bo inaczej jutro poprzekręcą moje słowa i będzie po zabawie.

Achim Waldhausen przełknął głośno ślinę. Siedzieli w srebrnym volkswagenie, jakich wiele jeździło po ulicach. Umówili się na parkingu zajazdu Medenbach przy A3, jak zresztą za każdym razem, od kiedy swoje spotkania musieli utrzymywać w tajemnicy. Samochody mijają ich z szumem, pędząc w kierunku Wiesbadener Kreuz.

– Wolałem, żebyś dowiedział się ode mnie, jeśli jutro będziesz chciał pójść na spotkanie mieszkańców. – Jannis sięgnął do klamki, lecz Waldhausen złapał go za ramię i nie pozwolił wysiąść.

– Jannis! Nie możesz mi tego zrobić. – W jego głosie pojawiła się błagalna nuta. – Jeśli to wyjdzie na jaw, będę musiał pożegnać się z pracą. Pamiętaj, że mam żonę, trójkę dzieci i dom, na który trzy lata temu wziąłem kredyt! Przekazywałem ci te informacje, bo jesteśmy starymi przyjaciółmi, i wierzyłem, że dotrzymasz słowa i nikt się nie dowie, że to ode mnie.

W jego oczach pojawił się paniczny strach. Jannis przyjrzał mu się z boku i pomyślał, jak to w ogóle możliwe, że kiedykolwiek lubił tego gościa. Ba, przecież wcześniej nazywał go swoim przyjacielem! Z odrazą przyglą-

dał się ociekającej potem twarzy i grubym jak serdelki paluchom, które tamten zaciskał na jego ramieniu.

On i Achim współpracowali wcześniej w Ministerstwie Ochrony Środowiska, w wydziale odnawialnych źródeł energii i ochrony klimatu. Lecz podczas gdy on zrezygnował z bezpiecznej urzędniczej posady na rzecz daleko ciekawszej pracy na rynku komercyjnym, Achim bał się podjąć takie wyzwanie. Wolał robić karierę, wytykając błędy innym i wskazując ich zaniedbania. Dzięki temu dochrapał się przyzwoitego stanowiska.

– Posłuchaj, Achim – oznajmił Jannis. – Wszystko mi opowiedziałeś, bo byłeś zły. Ja cię o to wcale nie prosiłem. Chciałeś też, żeby te wszystkie machlojki ujrzały światło dzienne. A teraz uciekasz z podkulonym ogonem?

Achim wystąpił wcześniej przeciwko ówczesnemu przełożonemu, który bezczelnie dał się przekupić, a po podjęciu odpowiednich decyzji zwolnił się z ministerstwa, żeby przyjąć dużo bardziej lukratywne stanowisko w firmie, dla której podejmował korzystne rozstrzygnięcia. W tym czasie Achim zajął jego miejsce, sam został sekretarzem stanu i obrósł w piórka, przez co zaczął się bać. Żałosny tchórz. Co prawda ryzykował teraz, że wszystko obróci się przeciwko niemu, ale Achim był ulepiony z twardszej gliny, niż można by przypuszczać. Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Jannisa, a potem przysunął pulchną twarz do jego twarzy, tak że Theodorakis mógł dostrzec pory jego skóry.

– Nie próbuj mnie czarować gładkimi gadkami

o szczerości i szlachetności – wyszeptał zachrypniętym głosem. – Tobie chodzi przecież o małą prywatną wojenkę! Chcesz się zemścić, bo urazili twoje ego! I do tego wykorzystujesz innych, bo tak ci pasuje. Przekazałem ci te wszystkie informacje pod warunkiem, że pozostaną anonimowy. Jeśli złamiesz słowo, wszystkiemu zaprzeczę. A ty nie masz żadnego dowodu, że informacje otrzymałeś rzeczywiście ode mnie.

– Grozisz mi? – Jannis wyrwał ramię z uścisku Achima.

– Jeśli tak to rozumiałeś, to nic nie poradzę – odparł lodowato.

Mężczyźni siedzieli obok siebie i w milczeniu lustrowali się napiętym wzrokiem. Osiem lat wspólnej pracy, wspólne wypady na urlop i spotkania przy grillu – i wszystko miało teraz pójść w zapomnienie. Walczyli z otwartymi przyłbicami.

– Otóż wyobraź sobie, że mam dowody – oznajmił Jannis po chwili. – Byłeś dość nieostrożny, żeby pisać do mnie mejle.

– Jesteś żalosną świnią – syknął Achim z nienawiścią. – Ostrzegam cię. Pożałujesz, jeśli ujawnisz moje nazwisko. Gorzko tego pożałujesz. Masz moje słowo. A teraz wysiadaj. Spieprzaj!

Pia po raz kolejny niewłaściwie oszacowała ruch uliczny, i piętnaście minut później, niż sobie zaplanowała, podjechała samochodem pod siedzibę Instytutu Medycyny

Sądowej we Frankfurcie. Wszystkie miejsca parkingowe przy krawężnikach były zajęte. Domyślała się, że to studenci, zamiast jeździć na rowerach albo chodzić piechotą, przyjeżdżali na wykłady samochodami. W końcu znalazła ciasną lukę między dwoma autami, na Paul-Ehrlich-Strasse. Potem wysiadła i puściła się biegiem, żeby zdążyć na rozpoczęcie sekcji zwłok. Henning nie tolerował spóźnień, a ona nie miała ochoty znosić jego humorów. Przepisnęła się między grupą studentów prawa przed wejściem do budynku, w biegu przywitała się z sekretarką profesora Kronlage i popędziła po drewnianej podłodze korytarza w kierunku schodów do podziemi. Punkt ósma przestąpiła próg prosektorium i weszła do sali sekcyjnej numer 1. Ciało Rolfa Grossmanna nagie i umyte leżało na metalowym stole, a asystent Henninga Ronnie Böhme czekał przy nim, gotów do rozpoczęcia sekcji. Widząc Pię, uśmiechnął się i przywitał. Intensywna woń rozkładających się tkanek była trudna do zniesienia, jednak policjantka wiedziała, że po kilku minutach człowiek się przyzwyczaja i zapach przestaje torturować zmysł powonienia. W trakcie małżeństwa z Henningiem spędziła w tych piwnicach niezliczone godziny; całe weekendy i bezsenne noce obserwowała swojego męża, jak rozcina zwłoki, bada organy wewnętrzne i wydrapuje wszystko spod paznokci zmarłych, poszukując ewentualnych śladów DNA sprawcy. Często, chcąc zobaczyć się z mężem, udawała się do Instytutu, by pobyć przy nim, kiedy wykonywał swoje obowiązki. Choć teraz uważała, że to nie do

końca była praca, a raczej rodzaj opętania. Jego pracoholizm szybko przyniósł efekty, bo już w wieku dwudziestu ośmiu lat zajmował bardzo wysokie stanowisko, wydał sześć książek i opublikował ponad dwieście artykułów w fachowych czasopismach. Pia znała je na pamięć, bo to jej przypadł wątpliwy honor porządkowania i przepisywania chaotycznych notatek – z początku na maszynie do pisania, a potem na komputerze – na czysto, bo kolejne sekretarki Henninga składały broń, nie mogąc poradzić sobie z bazgrzącym jak kura pazurem szefem.

– A, jesteś już – odezwał się gdzieś zza jej pleców. – Dzień dobry.

– Cześć. – Odsunęła się na bok, żeby zrobić mu miejsce. – Gdzie jest prokurator?

– Pan Heidenfelder utknął w korkach. Na amen. Tak się w każdym razie tłumaczy. Nieważne, bo i tak zaczynamy. O dziesiątej mam wykład i nie chcę się spóźnić.

Doktor Kirchhoff rozpoczął od zewnętrznych oględzin ciała. Każdą uwagę i obserwację wypowiadał głośno, bo na szyi miał mikrofon, który nagrywał jego słowa do późniejszego protokołu. Pia spojrzała na podświetlaną tablicę do oglądania zdjęć rentgenowskich. Widziała już w życiu dość prześwietleń, żeby na pierwszy rzut oka rozpoznać złamania. Rolf Grossmann w wyniku upadku ze schodów doznał złamania mostka, prawego obojczyka, prawej strony miednicy i prawego ramienia, a także żeber po lewej stronie od drugiego do siódmego. Jednak te obrażenia nie zagrażały jego życiu, podobnie jak rana na po-

tylicy.

– Przy okazji – odezwał się Henning znad stołu. – W czasie wypadku był pod wpływem alkoholu. W laboratorium ustalili, że miał minimum 1,7 promila we krwi. I jest jeszcze coś, co może cię zainteresować. Na ubraniu denata znajdowała się cała masa włókien, które w tej chwili są poddawane analizie. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy jeszcze fragment odcisku palca albo ślady DNA na kawałku rękawiczki, którą trzymał w dłoni.

To rzeczywiście świetnie rokowało dla śledztwa.

Henning i Böhme tworzyli doskonale zgrany zespół; od lat pracowali razem, szybko i sprawnie. Realizując kolejne punkty szczegółowej procedury sekcyjnej, doktor Kirchhoff rozciął skórę głowy i oddzielił ją od kości, przesuważąc na twarz. Piłą elektryczną odciął górny fragment czaszki i odłożył go obok.

Co się działo z Grossmannem, kiedy spadał ze schodów? Co myślał przez te dwie czy trzy sekundy? Co myśli człowiek, kiedy już wie, że zaraz umrze? Co wtedy czuł? Jak zginął? Czy umierał w bólu?

Pia poczuła zimny dreszcz i dostała gęsiej skórki.

Cholera, dziewczyno! Pomyślała. Weź się w garść! Co to za idiotyczne myśli? Dotychczas nigdy nie miała problemów z zachowaniem zdrowego dystansu do tego, czym zajmowała się zawodowo. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

– Ha! – mruknął Henning nieoczekiwanie.

– Co jest? – zainteresowała się Pia.

– Nawet gdyby nie zleciał ze schodów i tak długo by nie pociągnął. – Henning uniósł serce denata i przyjrzał mu się uważnie. – Nadaje się tylko do śmieci. Silny wzrost lewej strony i bardzo duże zbliznowacenia.

Położył organ na metalową tackę.

– O, proszę, tutaj mamy przyczynę silnego krwotoku wewnętrznego. Pęknięcie *aorta descendens*.

– Mógł zostać bardzo silnie uderzony w pierś – podsunęła Pia, z całych sił starając się skupić na przebiegu sekcji i faktach, które Henning opisywał starannie monotonnym głosem. Niestety, nie potrafiła! Na próżno walczyła z mdłościami, bo już po chwili poczuła, że zjedzone na śniadanie tosty z nutellą, zmieszane z sokiem żołądkowym wędrują niebezpiecznie szybko przełykiem w górę.

Słowa Henninga docierały do niej, jakby były wypowiedziane gdzieś z bardzo daleka.

– Nie, nie sędzę. Moim zdaniem było zupełnie inaczej. Ten człowiek przeżył zawał serca i spadł ze schodów. Wylądował prawą stroną ciała, o czym świadczą liczne złamania i obtłuczenia. Ale ktoś próbował go reanimować. Po lewej stronie klatki piersiowej widać połamane żebra, złamany mostek i otarcia skóry – typowe ślady poreanimacyjne. To by również tłumaczyło pęknięcie aorty...

Kiedy Henning wyjął z otwartej jamy brzusznej wątrobę Grossmanna, pod Pią ugięły się nogi. Zatoczyła się i ostatkiem sił wypadła na korytarz, otworzyła drzwi do toalety i zwymiotowała do sedesu. Krztusząc się i dusząc,

osunęła się potem na zimne płytki, a łzy ciurkiem spływały jej po policzkach, mieszając się z zimnym potem, od którego cała się lepiała. Klęczała tak przy sedesie, bo nie miała sił wstać. Ktoś nachylił się nad nią i spuścił wodę. Pia oparła się o ścianę i zawstydzona przycisnęła dłoń do ust.

– Co się z tobą dzieje? – Henning przykucnął obok, a w jego oczach mieszały się zaskoczenie i troska.

– Ja... sama nie wiem... – wyszeptała. Coś takiego nigdy wcześniej jej się nie przydarzyło. Wstydziła się i jednocześnie cieszyła, że tylko Henning i Ronnie byli świadkami takiego upokorzenia, bo tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu na salę nie dotarł prokurator, który radośnie opowiadałby o tym na prawo i lewo.

– Chodź, pomogę ci wstać. – Henning podał jej dłoń, z której wcześniej zdjął rękawiczkę, ale widząc, w jakim jest stanie, złapał ją pod pachy i postawił na nogach. Pia oparła się o ścianę i uśmiechnęła słabo.

– Dzięki. Już dobrze. Naprawdę nie mam pojęcia, co to było.

– Jak nie chcesz, nie musisz uczestniczyć w sekcji – powiedział Henning. – I tak już praktycznie skończyliśmy. A raport doślę ci później.

– Oj, przestań – zaprotestowała Pia. – Nic mi nie jest.

Nachyliła się nad umywalką, nabrała w dłonie zimnej wody i zanurzyła twarz. Potem wytarła się papierowym ręcznikiem. W lustrze dostrzegła rozbawione spojrzenie Henninga.

– Śmiejesz się ze mnie – stwierdziła urażonym tonem. – To nie fair.

– Nie, nie! Nie śmieję się z ciebie. – Potrząsnął głową. – Pomyślałem po prostu: to właśnie jest moja Pia. Każda inna kobieta martwiłaby się o makijaż, a ty po prostu myjesz twarz wodą i niczym się nie przejmujesz.

– Po pierwsze, nie jestem już twoją Pią. Po drugie, nie mam dzisiaj makijażu. – Pia odwróciła się twarzą do byłego męża. – A po trzecie, nie mam ochoty biegać po Instytucie z resztkami wymiocin w ustach.

Henning słuchał jej, a z twarzy nie schodził mu szeroki uśmiech. W końcu dotknął dłonią jej policzka.

– Masz lodowatą buzię.

– Trudno się dziwić, po czymś takim. – Pia była zła na siebie, bo okazała słabość. Nienawidziła sytuacji, kiedy nie była w stanie się kontrolować. Henning przyglądał się jej ze współczuciem. Po chwili odsunął jej z czoła kosmyk włosów. Policjantka cofnęła się o krok. Nie chciała współczucia, a już na pewno nie od byłego męża.

– Daj spokój! – fuknęła niemiło.

Opuścił dłonie.

– Dobrze. Muszę wracać do pracy – powiedział. – Przyjdź, jak będziesz gotowa, okej?

– Tak. Pewnie. – Pia poczekała, aż Henning wyjdzie z toalety, i spojrzała w lustro. Mimo opalenizny wyglądała blado. W policji pracowała od przeszło dwudziestu lat, w tym dziesięć lat spędziła w wydziale zabójstw, gdzie widziała znacznie gorsze rzeczy niż ciało Grossmanna.

Dlaczego więc jego widok tak bardzo na nią podziałał? Postanowiła, że nikt nie może się dowiedzieć o jej załamaniu w czasie sekcji. Jeszcze tylko brakowało, żeby przełożony musiał wysłać ją do policyjnego psychologa!

– Pia! Weź się w garść! – powiedziała głośno do swojego odbicia w lustrze. Potem odwróciła się, wyszła z toalety i pomaszerowała do sali sekcyjnej.

Stał na rogu ulicy, schowany za dużym krzakiem laurowiśni i cierpliwie czekał, aż jej auto zjedzie z podjazdu i skręci w lewo, w stronę miasta. Na wszelki wypadek odczekał jeszcze kilka minut, a potem uruchomił silnik motoroweru i podjechał pod dom. Nie miał zbyt wiele czasu, bo nie pojechała ani do biura, ani do miasta – zdradzał to codzienny strój, jaki miała na sobie, wsiadając do auta. Pewnie wyskoczyła tylko na zakupy do marketu budowlanego, co ostatnio weszło jej w zwyczaj. Mark wyłączył silnik, odstawił skuter i wbiegł po schodach do drzwi wejściowych. Mijając stojącą w przedpokoju komódkę w stylu biedermeier, łupnął w nią kaskiem. Matka znalazła mebel na jakiejś wyprzedaży i starannie odnowiła go w swojej pracowni. Miał nadzieję, że od uderzenia została głęboka rysa. Jakiś czas temu zapałała wielką miłością do odnawiania starych mebli. Skakała dookoła tych zatechłych gratów, jakby to były żywe stworzenia. Chore. Lecz w duchu bardzo się cieszył, bo od kiedy zajmowała się tymi spróchniałymi śmieciami, przestała go zamećczać swoją obecnością i wypytywaniem, co tam w szkole i tak

dalej. Drzwi do gabinetu zostawiła otwarte. Zajrzał i przekonał się, że nie ma tam laptopa.

Mark zbiegł schodami do piwnicy i wszedł do jej warsztatu. W powietrzu unosił się zapach terpentyny, oleju lnianego i lakieru, aż zakręciło go w nosie. Włączył światło i się rozejrzał. Wszędzie, gdzie się tylko dało, stały puszki, puszcзки, pudełeczka i butelki, leżały pędzle, szpachtułki i papiery ściernie, których matka potrzebowała przy swoim nowym hobby. Posiadała nawet spawarkę, za pomocą której tworzyła nowe okucia, kiedy stare okazywały się zbyt zniszczone, by je naprawić. Tylko gdzie, u diabła, postawiła komputer? Mark obszedł ostrożnie pomieszczenie, żeby nie zrzucić niczego i nie narobić bałaganu. A, proszę bardzo. Znalazł go. Leżał sobie na krześle, pod stosem jakichś kolorowych katalogów. Mark przełożył gazetki na ziemię i otworzył ekran. Hasło było dziecinnie proste, a poza tym nigdy go nie zmieniała. Z wprawą zalogował się na firmowy serwer, a chwilę później miał już dostęp do konta pocztowego ojca. Zaczął przewijać wiadomości, aż trafił na te, których szukał. Skupiony klikał kolejne okienka, zaznaczając wybrane listy, a potem przesłał je dalej. Na koniec usunął je z folderu WYSŁANE, żeby ojciec nie nabrał podejrzeń, i jednym kliknięciem opróżnił kosz. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie sprawdzić też skrzynki matki; wśród najnowszych wiadomości znalazł list od swojej nauczycielki literatury. Głupie krówsko skarżyło się na jego nieobecności.

– Fuck you – mruknął i przeniósł wiadomość do kosza. To by było na tyle. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Wyłączył komputer, przykrył go na powrót katalogami i wyszedł z pracowni matki. Bardzo się pilnował, żeby nie zostawić śladów, które mogłyby go zdradzić. Wpół do dziesiątej! Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze na trzecią lekcję!

Kai Ostermann znalazł w Internecie całą masę informacji na temat stowarzyszenia obywatelskiego „NIE dla elektrowni wiatrowych w Taunusie”. Ich strona internetowa była aktualizowana na bieżąco, i to na tyle, że znajdował się już na niej link do wiadomości z poprzedniego wieczoru. Ostermann odtworzył materiał na dużym ekranie na ścianie sali odpraw wydziału K11.

– To jest Jannis Theodorakis – wyjaśnił, kiedy na monitorze pojawił się ciemnowłosy mężczyzna. – Rzecznik prasowy stowarzyszenia. I administrator ich strony.

– A poza tym były pracownik WindPro – dokończył Cem Altunay. – Theodorakis odszedł z firmy w atmosferze skandalu i do dzisiaj rzuca im kłody pod nogi. Poza tym nie zwrócił klucza uniwersalnego do budynku i pomieszczeń. Niestety, nie udało mi się jeszcze ustalić jego aktualnego miejsca zamieszkania. Oficjalnym adresem stowarzyszenia jest gospodarstwo Ludwiga Hirtreitera w Eppstein-Ehlhalten.

Bodenstein, który siedział u szczytu długiego stołu, zamyślony pokiwał głową. Przypomniawszy sobie o żółtej

ulotce, którą miał w kieszeni marynarki, i położył ją na stole.

– Tak przy okazji, mój ojciec należy do stowarzyszenia przeciwników budowy farmy wiatrowej – oznajmił. – Ludwig Hirtreiter to jego najstarszy i najlepszy przyjaciel.

– No, to wspaniale! – Ostermann był zachwycony. – Będziemy mieli wiadomości z samego frontu!

– To akurat wykluczone. – Bodenstein potrząsnął głową. – Mój ojciec jest niestety wyjątkowo zasadniczy, jeśli chodzi o takie sprawy.

Drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczyła Pia.

– Witam! – Uśmiechnęła się do wszystkich i stanęła przy swoim krześle, na lewo od Bodensteina. – Coś mnie ominęło?

Oliver wyczuł unoszący się wokół podwładnej zapach rozkładu, który przenikał włosy i ubrania równie intensywnie jak dym papierosowy.

– Cześć – odpowiedział z uśmiechem. – Nie, a w każdym razie niewiele. Właśnie mówiłem, że mój ojciec należy do tego stowarzyszenia, które lobbuje za zakazem stawiania elektrowni wiatrowej w Taunusie.

– Serio? – Pia z jakiegoś powodu zareagowała rozbawieniem. – Jakoś nie potrafię wyobrazić go sobie, jak biega z transparentem i protestuje.

– Prawdę mówiąc, ja też nie – odparł Bodenstein. – Niestety, z powodu wrodzonego uporu odpada jako informator.

– Chcecie dokończyć, co zaczęliście, czy mogę wam przerwać i przedstawić wyniki sekcji?

– Przerwij. Chętnie posłucham. – Bodenstein kiwnął głową.

Pia otworzyła torebkę i wyjęła notatnik.

– Wszystko wskazuje na to, że Rolf Grossmann nie został zamordowany – oznajmiła, podwijając rękawy błękitnej bluzki, spod której wyłoniła się cudnie opalona skóra. – Jednym słowem: to nie było morderstwo.

– Nie, to niemożliwe! – zaprotestował Cem Altunay. – A co z odciskiem buta i fragmentem rękawiczki w ręku Grossmanna?

– Autopsja nie może wykazać jednoznacznie, co się tam stało – odparła Pia. – Henning uważa, że Grossmann miał zawał i dlatego spadł ze schodów. Dobra, mówię dalej.

W oczach pozostałych dostrzegła ciekawość.

– Najprawdopodobniej ktoś usiłował go reanimować. Przemawiają za tym złamanie mostka, połamane żebra i otarcia skóry po lewej stronie klatki piersiowej. Albo w wyniku upadku ze schodów, albo w czasie reanimacji pękła mu aorta. Doszło do silnego krwawienia wewnętrznego.

– Tylko że całe schody też przecież były w plamach krwi. – Kathrin Fachinger nie była jeszcze przekonana.

– Grossmann krwawił z nosa, być może ze wzburzenia. Miał poważne problemy z sercem i zażywał silne leki przeciwzakrzepowe, dlatego krwawienie mogło być bar-

dzo obfite. Poza tym spadając, uderzył się w głowę i rozciął sobie skórę.

Przez kilka sekund panowała cisza.

– To mogłoby oznaczać, że włamywacz wystraszył go na śmierć, ale mimo wszystko usiłował go jeszcze uratować. – Bodenstein pokiwał głową.

– Dokładnie. – Pia potaknęła. – Na przedniej części ubrania Grossmanna była cała masa włókien. Ktoś musiał na nim usiąść, żeby zrobić mu masaż serca. Niestety, nie udało mu się. Ale dzięki temu mamy trochę śladów. Do tego dochodzi odcisk buta i kawałek rękawiczki lateksowej.

– To raczej mało, ale bywało gorzej. – Ostermann był optymistycznie nastrojony. – Przy odrobinie szczęścia okaże się, że włamywacz jest miłośnikiem rzadkich butów albo będziemy mieli jego DNA w systemie.

– Dzisiaj po południu dostaniemy wstępne wyniki sekcji. Przy okazji, Grossmann miał niezłe w czubie, kiedy zmarł. Ponad 1,7 promila – podsumowała Pia.

– No okej, ale w takim razie zgodnie z regulaminem to nie jest już nasza sprawa, prawda? – Ostermann rozejrzał się po zebranych. – Sprawa dotyczy włamania, więc jeśli WindPro nie będzie chciało dochodzenia, to my nie mamy tam czego szukać.

– Pamiętaj o trupie – zaprotestowała Pia. – Na razie nie udało nam się ustalić dokładnego przebiegu zdarzenia. Możliwe, że włamywacz zepchnął go jednak ze schodów, a kiedy zobaczył, co zrobił, poczuł wyrzuty sumienia

i zaczął go ratować. To by oznaczało, że sprawca nie był zawodowcem.

– Dochodzenie będzie trwało, dopóki nie wykluczymy jednoznacznie i ponad wszelką wątpliwość działania osób trzecich w związku ze śmiercią Grossmanna – potwierdził Bodenstein. Po takim rozstrzygnięciu zespół wrócił do analizy działania stowarzyszenia i Jannisa Theodorakisa.

– Mówienie o eksterminacji chomików to dość jednoznaczna przesłanka – stwierdziła Kathrin Fachinger z przekonaniem. – Na pewno nie uznałabym tego za przypadek.

– Moim zdaniem to byłoby zbyt oczywiste. – Pia pokręciła głową. – Pół nocy nad tym myślałam. Gdybym to ja podrzuciła martwego chomika szefowi firmy, która ma budować farmę wiatrową, a po drodze zostawiłabym jeszcze trupa na schodach, raczej nie wspomniałabym ani o jednym, ani o drugim, wypowiadając się w mediach.

– Coś w tym jest. – Cem zgodził się z nią.

– Za to uważam, że Theissen zachowuje się dość podejrzanie – dokończyła Pia. – Okłamał nas, i to nieraz, jego alibi może potwierdzić tylko żona, a przecież miał dość czasu, żeby ustalić z nią wersję.

– Mnie zainteresowało co innego. Mianowicie pozostałe organizacje ochrony środowiska z regionu. – Do rozmowy włączył się szef. – Przecież oni powinni pierwsi głośno protestować przeciwko zabijaniu chomików i niszczeniu lasów, prawda?

– Też już o tym myślałem i zacząłem szukać na ich stronach internetowych – odpowiedział Kai Ostermann. – I wiecie, co znalazłem? Otóż nic. Na żadnej ze stron nie ma ani słowa na temat planowanej budowy farmy!

– Organizacje ekologiczne mają trudny orzech do zgryzienia, jeśli chodzi o energię ze źródeł odnawialnych. – Cem wzruszył ramionami. – Elektrownie atomowe nie, dziękuję, ale energia wiatrowa jak najbardziej.

– Tak przynajmniej można by przypuszczać. – Kai pokiwał głową i spojrzał do swojego notatnika. – Ale dopiero teraz zaczyna się robić ciekawie: WindPro sponsorowała w ostatnich latach wiele projektów ekologicznych, w tym na przykład przywrócenie naturalnego biegu strumienia w dolinie Brehmtal, zalesianie terenów zniszczonych przez wiatr przy Vockenhausen i budowę schroniska dla osieroconych dzikich zwierząt w Niederjosbach. Na ich stronach internetowych są całe galerie ze zdjęciami szefa WindPro i wdzięcznych obrońców przyrody, jak odbierają od niego czeki, a potem jak on odwiedza miejsca wykorzystania przekazanych funduszy. W BUND ma nawet status honorowego członka. Proszę. I czy to może być przypadek? Nie sądzę. Po jednym projekcie na każdą z dużych organizacji. I wszystkie w okolicach Eppstein.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Bodenstein spojrział na niego, marszcząc czoło.

– Dla mnie wygląda to tak, jakby WindPro przeciągało te wszystkie organizacje na swoją stronę, żeby komuś nie przyszła chętka protestować przy zaplanowanej farmie

wiatrowej.

– Zatem chodzi o coś w rodzaju łapówki? W sumie to nawet brzmi logicznie. – Bodenstein pokiwał z uznaniem głową.

– Kto wie, o jakie pieniądze tak naprawdę chodzi – ciągnął Kai. – WindPro na pewno przelało im wystarczająco dużo środków, żeby opłacało im się teraz trzymać buzię na kłódkę.

– Mimo wszystko naszym głównym podejrzanym zostaje Theodorakis – wtrąciła się Pia. – Ma klucz uniwersalny do budynku i poszczególnych pomieszczeń, a poza tym bruździ WindPro, gdzie się tylko da. Powinniśmy z nim porozmawiać.

– Tyle że nie wiemy, gdzie mieszka – powtórzył Cem z żalem.

– Ale szybko się tego dowiemy. – Bodenstein podał Pii żółtą ulotkę, która zapraszała na przybycie na walne zebranie mieszkańców. – Pojawi się najpóźniej jutro wieczorem na tym spotkaniu. Mój ojciec też tam będzie. I całkiem możliwe, że przyjdzie również nasz włamywacz.

Październik 1998

Był ponury, nieprzyjemny piątkowy wieczór. Wszyscy już dawno rozpoczęli weekend i poszli do domów, a ona została w laboratorium sama, jak często zresztą. Skupiona wprowadzała do komputera wyniki badań. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zakładała, procesor przekształci liczby w precyzyjne grafiki, które będą niczym podpis pod jej habilitacją. Nie mogła się już doczekać, ale wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość i zadbać o wyjątkową dokładność, bo jeden błędnie wprowadzony przecinek będzie miał katastrofalne skutki.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Czyjeś kroki w korytarzu. Niespodziewanie otworzyły się drzwi, a jej serce zaczęło bić szybciej.

– Tak właśnie myślałem. Spodziewałem się, że panią tu znajdę. – Uśmiechnął się szeroko, choć twarz miał czerwona z zimna, a potem z kieszeni płaszcza wyjął butelkę szampana.

– A cóż to? Czyżby była jakaś okazja do świętowania? – zapytała. Mimo że widywała go niemal codziennie, jego obecność wystarczyła, by adrenalina wprawiła jej ciało w drżenie.

– Oj, jest! I to jaka! Coś niesamowitego! – Nagle w jego oczach dostrzegła coś, co sprawiło, że dostała gęsiej skórki. Chyba rzeczywiście wiedział o czymś wyjątkowym, bo nigdy jeszcze nie widziała go tak uskrzydłonego.

Zazwyczaj zachowywał się powściągliwie i z dystansem. Czasem był wręcz oschły.

– Proszę, Anno, zapraszam panią do mnie, do biura. Tam jest znacznie przytulniej.

Anna! Nigdy jeszcze nie zwrócił się do niej po imieniu! Tylko co to wszystko mogło oznaczać? Co sprawiło, że wrócił o tej porze do Instytutu?

– Niech będzie! – Zaśmiała się. – Potrzebuję jeszcze dziesięciu minetek.

– Tylko niech się pani pośpieszy, bo szampan nie będzie już zimny.

Mrugnął do niej porozumiewawczo i zniknął. Serce waliło jej jak szalone. Przez niecały rok, który przepracowała jako podwładna profesora Eisenhuta, często przebywała z nim sam na sam, ale nigdy wieczorem i z całą pewnością ani razu nie pili razem szampana. Zdjęła biały fartuch, zsunęła gumkę i rozpuściła włosy uczesane w praktyczny koński ogon, a potem poprawiła fryzurę palcami. Windą wjechała na siódme piętro, gdzie podłoga była wyłożona drewnianym parkietem, na którym skrzyptały jej buty z gumowymi podeszwami. Nieśmiało weszła do jego biura i zatrzymała się niepewnie. Co prawda bywała tu już wcześniej, jednak swobodniej czuła się tylko na dole, w laboratoriach.

– Proszę, proszę, niechże pani wchodzi! – zawołał na jej widok. Zdjął płaszcz i razem z marynarką i krawatem przerzucił przez oparcie fotela. Z szafki wyjął dwa kieliszki do szampana i otworzył butelkę. Kiedy wystrzelił korek,

zmrużył oczy i wykrzywił twarz.

– *No dobrze, a za co właściwie pijemy?* – zapytała. *Serce waliło jej jak młotem, miała wrażenie, że odbija się od żeber. Pomyślała, że gdyby wszystkiego nie zagłuszał szum wiatru zza okien, musiałby usłyszeć to dudnienie.*

– *Za to, że nasz Instytut od pierwszego stycznia przyszłego roku będzie oficjalnym ciałem doradczym rządu federalnego w kwestii problemów klimatycznych.* – *I z młodzieńczym uśmiechem podał jej kieliszek szampana tak zimnego, że szkło pokryło się z zewnątrz skroploną parą.* – *Postanowiłem uczcić ten sukces ze swoją najlepszą pracownicą.*

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– *O Boże...* – wyszeptała. – *Racja! Przecież był pan dzisiaj w Berlinie! Na śmierć o tym zapomniałam! Gratulacje!*

– *Dziękuję!* – *Znów uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem uniósł kieliszek. Kiedy wznieśli toast, wypił zawartość niemal jednym haustem.* – *Uczciwie na to zapracowaliśmy.*

Wypiła łyczek alkoholu. Przyjechał do Instytutu tylko po to, żeby z nią uczcić to wyróżnienie! Dłonie drżały jej z podniecenia i nie mogła oderwać od niego wzroku. Wzburzone przez wiatr włosy, błyszczące oczy i te usta, o których śniła, od kiedy ujrzała je po raz pierwszy. Musiała przetłknąć i poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Nigdy jeszcze nie była tak zakochana! Niezależnie od tego, co do niego czuła, podziwiała profesora za jego zapał, prze-

konanie i pewność, że robi coś dobrego. Podziwiała jego ogromną wiedzę, błyskotliwy umysł i tak, nawet jego arogancję!

Całkiem nieoczekiwanie zacisnął pięść w geście tryumfu i zaśmiał się głośno. Potem odstawił kieliszek na biurko, podszedł bliżej i położył jej dłonie na ramionach. Spojrzał prosto w oczy.

– Udało nam się, Anno! – wyszeptał zachrypniętym głosem i spoważniał. – Rozumiesz? Od dzisiaj możemy już mówić: only sky is the limit!

Wziął jej twarz w dłonie. Wpatrywali się w siebie w milczeniu, aż jego usta zadrżały. Najwyraźniej odczytał w jej wzroku odpowiedź na pytanie, którego nie wypowiedział, bo przyciągnął ją do siebie i pocałował z pasją, która wypełniła jej ciało płynnym ogniem.

Wezwanie przyszło na trzeciej lekcji, czyli na tej, na której Mark pojawił się punktualnie. Miał iść prosto do dyrektora. Nauczyciel biologii spojrział na niego z rezygnacją i dał znak głową, że ma wyjść. Nikt się nie dziwił, że dyrektor chce go widzieć po raz czwarty albo piąty w tym semestrze. Za pierwszym razem, kiedy doktor Sturmfels wzywał go do siebie, reszta klasy szeptała i śmiała się radośnie, nie szczędząc mu kpiących uwag. Od tamtego czasu wiele się zmieniło i nikt już nie zwracał na to uwagi. Mark wyszedł na korytarz i bez pośpiechu ruszył pustymi korytarzami. Większość uczniów przez dziewięć lat nauki w szkole dyrektora widywała tylko z daleka. Natomiast Mark mógłby wypić z nim bruder-szaft, tak często siedział przy jego biurku. Chłopak wszedł do sekretariatu. Sekretarka dała mu znak, że dyrektor czeka. Zapukał i otworzył drzwi gabinetu.

– Witaj, Mark. Usiądź, proszę.

Mark posłusznie wykonał polecenie i zajął jedno z krzeseł dla gości. Znał procedury na pamięć. Te same argumenty, które wysuwał jego ojciec, a co najlepsze, nawet w tej samej kolejności. Na początek ostro: dlaczego wagarujesz? To będzie miało konsekwencje! Potem apel do jego rozsądku: przecież jesteś inteligentnym chłopcem. Dlaczego niszczysz sobie przyszłość? I na koniec groźby: zostaniesz po lekcjach. Zostaniesz w klasie. Zostaniesz zawieszony. Ciekawe, czy korzystali z jakiejś instrukcji?

Lecz akurat tego dnia dyrektor kazał mu czekać. Ani razu nie oderwał wzroku od monitora. W milczeniu pisał coś na klawiaturze, a Mark siedział i czekał. Potem ktoś do niego zadzwonił. Doktor Sturmfels najspokojniej w świecie rozmawiał sobie o czymś bez znaczenia, jakby był sam w gabinecie. Mijały kolejne minuty. Czyżby jakaś nowa taktyka? Zmiękczenie? Mark przez chwilę zastanawiał się, czy nie włączyć iPod'a i nie zacząć słuchać muzyki, lecz miał jeszcze w sobie resztki szacunku dla starszych. Dlatego siedział dalej i czekał.

– No dobrze, widzę, że znów się spotykamy. – Dyrektor wreszcie znalazł dla niego czas. – Jak widzisz, nie poddaję się tak łatwo. Czy masz mi dzisiaj coś do powiedzenia?

Mark spojrzał na niego, wzruszył ramionami i spuścił głowę. Doktor Sturmfels siedział w swoim fotelu wygodnie oparty i przyglądał mu się uważnie. Jego oczy niemal wypalały dziury w duszy Marka, by dostać się do tego czegoś, co tam ukrywał, a co należało tylko do niego.

– Nie – wymamrotał w końcu i skupił się na swoich dłoniach. Niechciane wspomnienia zaczęły wracać – wspomnienia innej szkoły i innego nauczyciela. Potrząsnął głową, żeby włosy zsunęły mu się na twarz. Mógł się ukryć za nimi jak za zasłoną.

– Wiem, że cię to nie interesuje – ciągnął dyrektor – ale naprawdę wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, co się dzieje.

Mark przełknął głośno. Groźby i krzyki nie robiły na

nim wrażenia, ale współczucie i próby zrozumienia jego postawy bardzo mu się nie podobały. Czuł, że traci pewność siebie. Musi jak najszybciej stąd wyjść. Natychmiast! Lecz było już za późno, bo drzwi do przeszłości uchyliły się kawałeczek i zaczął sączyć się przez nie ból. Wsunął dłonie w kieszenie kurtki i zacisnął pięści. Dlaczego do nikogo nie docierało, że chce, żeby zostawiono go po prostu w spokoju?

– Jediną osobą, której możesz zaszkodzić taką postawą, jesteś ty sam – powiedział dyrektor. – Twoi rodzice opowiedzieli mi, co się wydarzyło wówczas w internacie, i wiem...

– Niech pan przestanie! – Mark zareagował głośnym krzykiem i zerwał się z krzesła. – Nic pan nie wie! Wszyscy chrzanią, że coś wiedzą! Ale to nieprawda!

– To może sam mi powiesz? – Doktor Sturmfels spojrział na niego spokojnie. Nie obraził się o sposób, w jaki chłopak zareagował na jego słowa. – Co sprawia, że inteligentny uczeń ucieka ze szkoły i demoluje samochody kijem do golfa?

Mark z całych sił naparł plecami na drzwi, ale ucisk w głowie był coraz mocniejszy i mocniejszy. Niechciane wspomnienia eksplodowały boleśnie. „Opowiedz nam, co się wydarzyło. Chcemy ci pomóc. Nikt się o niczym nie dowie. To zostanie tylko między nami”. Akurat! Pomogliby tylko sobie i swoim wyrzutom sumienia, pewnie tak, ale nie jemu. Urabiają człowieka, żeby zdobyć jego zaufanie, a potem zostawiają go samego. Zawsze tak było.

Mark miał po dziurki w nosie fałszywego współczucia i tych psychologicznych głupot! Dlaczego Sturmfels się po prostu nie zamknie? Idiota! Niech ruszy ze standardowym kazaniem i da mu spokój!

– Nic pan nie rozumie. – Mark mówił gniewnie, podniesionym głosem. Odwrócił się plecami do dyrektora. W jego żyłach krążyła czysta wściekłość. Palła go od wewnątrz; ból był nie do wytrzymania. Wiedział, że lada chwila straci nad sobą kontrolę. Dlatego musiał jak najszybciej wyjść.

Ricky, pomyślał. Głos dyrektora ginał gdzieś pośród huczącego szumu w jego głowie. Uciekał. Niech sobie Sturmfels myśli, co mu się podoba. Miał to gdzieś.

Po skończonej odprawie szef wydziału projektowania i inżynierowie odpowiedzialni za nowy projekt wyszli z gabinetu. Po trzech godzinach rozmów i raportów powietrze w rozgrzanym pomieszczeniu było lepkie i nieprzyjemne. Stefan Theissen otworzył okno i poczekał, aż sekretarka zbierze filiżanki, szklanki i butelki ze stołu, a potem wyjdzie i zamknie za sobą drzwi. Miał wrażenie, że wciąż jeszcze czuje smród zgnilizny, choć pracownicy firmy sprzątajacej zużyli do czyszczenia całą baterię różnych środków chemicznych. Theissen wrócił do stołu, przy którym siedzieli już tylko doktor Enno Rademacher, dyrektor sprzedaży WindPro, i Ralph Glöckner. Poprzedniego dnia Theissen zadzwonił do drugiego z mężczyzn i poprosił, żeby przyjechał najszybciej, jak to tylko moż-

liwe. Współpracowali już kilka razy w różnych sytuacjach i dyrektor WindPro miał nadzieję, że Ralph i tym razem potrafi pomóc i rozwiąże drobne i zabawne – dla niego oczywiście – problemy z projektem w Taunusie. Austriak pracował na własny rachunek, oferując usługi doradcze i mediacyjne każdemu, kto był gotów zapłacić horrendalne honorarium, jakiego zawsze żądał. W kręgach, którym zależało na szybkim prowadzeniu inwestycji, znany był z niekonwencjonalnych, ale wyjątkowo skutecznych metod. Czasem wystarczyło oficjalnie podać informację, że został zatrudniony, by zmiękczyć przeciwnika i od ręki wyjaśnić nieporozumienia. Jako inżynier pracował już w całej Europie, w Pakistanie i w Afryce, w Chinach doradzał przy budowie tam na rzekach, elektrowni wodnych, mostów, tuneli i kanałów i nikt nie miał wątpliwości, że w podbramkowych sytuacjach był właściwą osobą na właściwym miejscu.

– Omówiliśmy już chyba wszystkie aspekty tej sprawy. – Rademacher wzruszył ramionami. – Myślę, że powinien pan wynająć ochroniarzy, żebyśmy najpóźniej w czwartek mogli rozpocząć karczowanie terenu pod budowę. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze opóźnienia.

– A wykonanie dojazdu? Jak macie zamiar sobie z tym poradzić? – zapytał Glöckner. Swoim zwyczajem natychmiast przechodził ze wszystkimi na ty.

– Cały czas prowadzę negocjacje z rodziną właściciela i mam nadzieję, że lada chwila uda nam się je zakończyć. – Rademacher machnął dłonią, jakby sprawę uważał

za zamkniętą. – Z pana wsparciem najpóźniej pojutrze rano będziemy mieli wszystko załatwione.

Glöckner uniósł brwi i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Dobrze, ja zaraz wsiadam w auto i jadę w teren obejrzeć sobie wszystko z bliska – powiedział. – Problemy są przecież po to, żeby móc je rozwiązywać, prawda?

– W rzeczy samej. – Rademacher uśmiechnął się jak zadowolony kocur nad upolowaną myszą.

Theissen przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym niezadowoleniem. Czyżby coś przeoczył? Spojrzał na obu mężczyzn i pomyślał, że jeden stanowił całkowite przeciwieństwo drugiego i to pod wieloma względami. Przy potężnym, niemal dwumetrowym Glöcknerze o poranej i opalonej twarzy, z włosami spiętymi w koński ogon, ubranym w skórzaną amerykańską marynarkę, Rademacher wyglądał jak bezbronny księgowy, który boi się własnego cienia. Wiedział przy tym, że to tylko pozory.

– No dobra, moi drodzy. – Glöckner wstał z krzesła, klepnął Rademachera w ramię z naturalną dla siebie popułałością – która Theissenowi przeszkadzała – a potem energicznym krokiem wyszedł z biura.

– Nie wiedziałem, że Hirtreiter zmienił zdanie? Naprawdę chce sprzedać w końcu tę łąkę? – Stefan Theissen spojrzał na pracownika. Był bardzo niezadowolony, że Rademacher nie poinformował go o tak ważnym fakcie.

– Nie, dalej nie chce – odparł dyrektor sprzedaży i założył nogę na nogę. – Ale jego synowie przeciwnie.

Już oni go przekonają, jestem w tym względzie wielkim optymistą. Nie mam wątpliwości, że lada dzień będziemy mogli przejechać przez jego byłe ziemie. A w najgorszym razie pozostaje nam przymusowe wywłaszczenie. To ich bardzo zmotywowało.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie, a potem szybko spoważniał.

– Przy okazji, o co może chodzić z tym włamaniem?
– zapytał Theissen. – Czego włamywacz tu szukał? I jeszcze ta zdechła mysz na biurku... nic nie rozumiem.

– Chomik. Nie mysz, tylko chomik syryjski. – Theissen wzruszył ramionami. Przez moment siedzieli w milczeniu. Szef spoglądał gdzieś daleko przed siebie, a potem nagle uderzył dłońmi w blat biurka.

– Cholera. Dlaczego to głupie krówsko musiało zaraz wzywać policję? Dlaczego nie zadzwoniła najpierw do mnie?

– A co by to zmieniło?

– Wywaliłbym to truchło do śmieci, schowałbym kilka laptopów i zbił okno, żeby to wyglądało na najzwyklejsze włamanie!

Theissen zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po gabinecie.

– A już w ogóle nie należało dawać policji nagrań z naszego wewnętrznego monitoringu!

– Dlaczego? – Rademacher uniósł brwi.

– Bo w piątek wieczorem byłem jeszcze w firmie! – odparł Theissen. – Cholera! Teraz zameczają mnie tysią-

cami pytań.

Cała ta sprawa i tak mu się w ogóle nie podobała, a jedyne, czego brakowało mu do szczęścia, to węszący wszędzie gliniarze. Farma wiatrowa w Ehlhalten tylko z pozoru była maleńkim projektem, tak naprawdę od niej zależała przyszłość całej firmy. Kiedy rozkręcał WindPro, byli pionierami na rynku. Dziś wszędzie roiło się od agresywnej konkurencji, a kolejne przedsiębiorstwa wyrastały jak grzyby po deszczu, co nie pozostawało bez wpływu na ceny. Mimo że wprowadził bardzo szeroki program oszczędnościowy, żeby przynajmniej na jakiś czas uratować firmę przed niewypłacalnością, wiedział, że to wystarczy tylko na krótką metę. Jeśli nie będą mogli zrealizować projektu w Taunusie, całą misterną konstrukcję finansowania również diabli wezmą. To, że Rademacher zdołał przekonać do ich wizji banki i inwestorów, samo w sobie było wielkim osiągnięciem. Fundusz energii wiatrowej, który miał służyć finansowaniu inwestycji w Taunusie, obejmował też inne, znacznie większe projekty i gromadził milionowe subwencje federalne, krajowe i lokalne. Gdyby nie one, banki nie dorzuciłyby swojej części. Teraz trafili na jednego upartego jak osioł gospodarza, przez którego wszystko mogło się posypać jak domek z kart.

– Zastanawiałeś się już, kto może stać za włamaniem? – zapytał Rademacher.

– To chyba oczywiste! – warknął Theissen złym głosem. – Theodorakis. Chyba nie masz wątpliwości? Ale

tym razem posunął się za daleko.

– Chcesz powiedzieć, że to on zamordował Grossmanna?

– Może Grossmann go rozpoznał. Kto wie, jak było?

– Sprawdziłeś, czy nie brakuje jakichś dokumentów?

– Zaraz na samym początku. Na szczęście wszystko jest na swoim miejscu.

– Obyś miał rację. – Rademacher miał zatroskaną minę.

– Słuchaj, nie przejmuj się tym za bardzo – powiedział Theissen, ale wiedział, że ta sprawa napsuje mu jeszcze krwi. Wciąż łamał sobie głowę, czego włamywacz mógł u niego szukać. Czyżby przyszedł tylko po to, żeby podrzucić mu zdechłego chomika na biurko? I po co tyle zachodu? Kiedyś czytał, że mafia w Ameryce jako ostrzeżenie wysyłała martwego kanarka albo zdechłą rybę. W tym wypadku byłoby to wyjątkowo dziwne. I przesadzone.

– Jesteśmy już za daleko, żeby to mogło nam w jakiś sposób zaszkodzić – oznajmił zdecydowanym tonem. – W czwartek zaczynamy karczowanie lasu i przygotowywanie terenów pod budowę, żebyśmy w ogóle mieli szansę dotrzymać terminów z umowy. I będzie po wszystkim. Jesienią farma będzie stała gotowa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili do gabinetu zajrzała sekretarka.

– Panie dyrektorze, policja kryminalna do pana – po-

wiedziała.

Jeszcze tylko tego brakowało! Theissen spojrzął na zegarek. Za dwie godziny miał umówione spotkanie w hotelu Kempinski w Falkenstein w sprawie jakiejś imprezy w klubie przedsiębiorców Taunus Przedni w piątek wieczorem.

– Zastanów się, czy nie powiedzieć im wszystkiego o Grossmannie, zanim sami się dowiedzą – zaproponował Rademacher.

– Nie! Wykluczone! – Theissen spojrzął na niego poważnie. – Powiem więcej. Cieszę się jak diabli, że ten koszmar wreszcie się skończył.

Dzwonek przy drzwiach oderwał Frauke od czyszczenia biurka na zapleczu. Wytarła dłonie i wróciła do sklepu. Do środka weszło kilka gimnazjalistek w wieku czternastu czy piętnastu lat i zaczęły się rozglądać. Jedna z nich, długonoga gazela z mocnym makijażem, poprosiła ją o pomoc w doborze szczotki dla swojego psa.

– A jakiej jest rasy? – zapytała Frauke.

– Przywieźliśmy go z Ibizy. Ma bardzo wrażliwą skórę.

Frauke wyłożyła na ladę kilka rodzajów szczotek dla zwierząt i z niekłamanym podziwem przyglądała się, jak dziewczyna krytycznie ogląda każdą po kolei. Musiała bardzo kochać swojego pupila, skoro przykładała taką wagę do wyboru szczotki.

– Hej! Ty! Widziałam! – Nagle rozległ się krzyk Ni-

ki. Frauke podniosła gwałtownie wzrok. Wszystkie dziewczyny rzuciły się do drzwi, a gazela pobiegła za nimi.

– Ale co się... – zaczęła zaskoczona, ale nie dane jej było dokończyć.

– Ta mała jędza ukradła koszulkę! – wyjaśniła Nika z ponurą miną i w następnej sekundzie sama wyskoczyła na zewnątrz. Frauke potrząsnęła głową, kiedy dotarło do niej, że dała się nabrać na numer stary jak świat. Od kilku tygodni nasilały się kradzieże w sklepie. Teraz najczęściej ginęły koszulki z krótkim rękawkiem jednej konkretnej marki i utensylia do jazdy konnej, każdego rodzaju.

Frauke wybiegła za Niką i zamknęła sklep na klucz. Tusza nie pozwalała jej biegać. Już po kilku krokach zwolniła i sapiąc ciężko, przyglądała się Nice, która biegła jak natchniona. Uciekające dziewczyny dopadła już na rogu ulicy.

Chwilę wcześniej musiały się skończyć lekcje, bo wszędzie wałęsały się dzieciaki w wieku szkolnym. Nika przytrzymała ciemnowłosą dziewczynę z różowym plecakiem. Jej koleżanki zaczęły głośno piszczeć, na co jak spod ziemi pojawiło się obok dwóch wyrostków. Frauke nie miała wątpliwości, że wszyscy byli w zmowie. Chłopcy zaszli Nikę od tyłu. Jeden z nich objął ją ramionami i mocno ścisnął, dzięki czemu dziewczyna z różowym plecakiem mogła się wyrwać. Jednak w następnej sekundzie wydarzyło się coś, co sprawiło, że Frauke zamarła z otwartą buzią, a na jej twarzy pojawił się wyraz niedo-

wierzenia. W mgnieniu oka Nika uwolniła się z uścisku. Ze zwierzęcą gibkością zawirowała w pięknym piruecie, co sprawiło, że napastnik przeleciał kawałek w powietrzu i ze stęknieniem wylądował na chodniku. Drugi rzucił mu się na pomoc, lecz sekundę później podzielił los swojego towarzysza. Ich współpracownicy wpatrywały się wstrząśnięte w niepozorną sprzedawczynię ze sklepu.

– Jeśli oddacie mi to, coście ukradły, nie wezwę policji – powiedziała Nika. Złodziejka bez słowa otworzyła plecak i wyjęła zmiętą koszulkę, a potem rzuciła ją Nice pod nogi. Napastnikom udało się jakoś pozbierać i jak niepyszni ulotnili się, przeciskając się przez tłumek ciekawskich.

– Podnieś to – warknęła Nika. Frauke patrzyła z niedowierzaniem, jak dziewczyna przykuca i podnosi ukradzioną koszulkę. Nika stała spokojnie przed nią. Mimo niemodnego ubrania i niedbale założonych butów emanował z niej ogromny autorytet, czego Frauke nigdy wcześniej nie zauważyła. Złodziejka podała jej koszulkę.

– Dzięki. A teraz spadajcie. I nie chcę żadnej z was widzieć w naszym sklepie. Już nigdy. Bo wezwę policję.

Małe złodziejki, czerwone ze wstydu, odwróciły się i poszły dalej, a tłumek ciekawskich momentalnie zaczął się przeredzać. Frauke nie mogła wydukać ani słowa. Gdyby nie widziała tego wszystkiego na własne oczy, nigdy by nie uwierzyła, że ta krucha i delikatna Nika bez najmniejszego wysiłku może załatwić dwóch rosnących chłopaków!

Lecz ona chyba nie chciała rozmawiać o tym, co się wydarzyło. W milczeniu minęła koleżankę i ruszyła Kirchenstrasse w stronę sklepu. Frauke musiała niemal biec, żeby dotrzymać jej kroku.

– O rany! Rozwaliłaś ich kilkoma ruchami! Obu! – krzyczała pełna zachwyty. – Gdzieś ty się tak nauczyła karate?

– To nie karate, tylko jujitsu – poprawiła ją Nika.

– O kurczę! Nie wierzę! Nigdy bym nie pomyślała, że ty coś takiego... – sapała Frauke. – Jak opowiem o tym Ricky...

Nika zatrzymała się tak gwałtownie, że Frauke omal nie straciła równowagi.

– Nie chcę, żebyś jej cokolwiek o tym mówiła – powiedziała krótko i bez cienia uśmiechu. – Przysięgnij, że zachowasz to w tajemnicy.

– Ale to przecież... – zaczęła Frauke. Nie rozumiała, co to wszystko znaczy.

– Przysięgasz? – naciskała Nika. W jej głosie nie było słychać prośby, już raczej groźbę.

– Niech będzie, przysięgam – mruknęła Frauke. – Masz moje słowo.

– Wierzę ci. – Nika ruszyła dalej. Frauke stała jeszcze przez chwilę. Patrząc, jak koleżanka podchodzi do drzwi, otwiera je i znika w sklepie, zastanawiała się, co się właściwie wydarzyło.

Podejrzewamy, że za żartem z chomikiem może stać

jeden z naszych byłych pracowników – oznajmił doktor Stefan Theissen.

– Żartem? – Pia uniosła brwi. – Włamywacz sporo ryzykował, wchodząc tutaj, żeby uskutecznić ten, jak pan to nazwał, żart z chomikiem.

Rozmowę z obydwoma szefami WindPro Bodenstein pozostawił Pii, a sam trzymał się nieco na uboczu. Rozglądał się po wielkim biurze, zastanawiając się, co to właściwie za ludzie. Theissen robił wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, ale jednocześnie spokojnego i opanowanego. Większość ludzi, kiedy musi rozmawiać z policją, a już szczególnie z kimś z wydziału zabójstw, zachowuje się bardzo nerwowo, jednak ani on, ani jego towarzysz nie zdradzali żadnych gwałtownych emocji. Bodenstein przyjrzał się okiem znawcy ubraniu Theisse-na. Elegancki garnitur od dobrego projektanta, równie elegancka koszula, do tego krawat we wzory kupiony w drogim sklepie, a na nogach ręcznie szyte buty. Stefan Theissen przywiązywał dużą wagę do wyglądu zewnętrznego.

– Kogo zatem pan podejrzewa? – zapytała Pia.

– Mężczyznę o nazwisku Theodorakis. Jannis Theodorakis. Kiedyś dla nas pracował – wyjaśnił Theissen.

– O! – Pia udała zaskoczenie. – Theodorakis. On przecież należy do tego stowarzyszenia, prawda? Widziałam go wczoraj w telewizji. I prawdę mówiąc, nie odniosłam wrażenia, żeby żartował. Wręcz przeciwnie. To, co zarzucił pana firmie, brzmiało bardzo poważnie.

Theissen i Rademacher wymienili szybkie spojrzenia.

– Jego zarzuty to czyste insynuacje i złośliwe pomówienia – obwieścił Rademacher. – Dziewięć miesięcy temu zakończyliśmy z nim współpracę. Teraz mści się na nas i, jak widać, nie przebiera w środkach. Dlatego musi się spodziewać odpowiedzi z naszej strony, bo zamierzamy go pozwać.

Rademacher miał około pięćdziesiątki, więc był kilka lat starszy od Theissena. Jego twarz o szerokich ustach nie zdradzała żadnych emocji, a pomiędzy przerzedzonych blond włosów przeświecała różowa skóra głowy. Mężczyzna emanował pewnością siebie niewiele mniejszą niż kolega z zarządu WindPro, lecz nie był aż tak zarozumiały. Kiedy mówił, odsłaniał nierówne, żółtawe zęby. Miał krzaczaste wąsy i rozsiewał zapach nikotyny. Bodenstein podszedł do komody pod ścianą, na której stały oprawione w ramki fotografie. Wiatraki, roześmiani mężczyźni w garniturach, place budowy. Zdjęcia rodzinne. Przystojny tata, piękna mama i trójka dzieci. Poważny mały blondynek z muszką i w garniturze grający na skrzypcach. Dwie roześmiane dziewczynki na nartach. Tata i mama w górach, w tle zachodzące słońce.

– Jego oszczercze zarzuty pozbawione są jakichkolwiek podstaw. – Theissen potwierdził słowa kolegi. – Ani jedna organizacja ochrony środowiska nie zaprotestowała przeciwko naszym planom, a według niego wszystko miałyby być nie tak?

Bodenstein odchrząknął.

– Jakie stanowisko zajmował Jannis Theodorakis, kiedy jeszcze tu pracował? – zapytał.

– Był szefem zespołu projektantów – wyjaśnił Theissen. – Był odpowiedzialny za pozyskiwanie terenów i opiekę nad naszymi projektami we wszystkich fazach.

– Dlaczego panowie go zwolnili?

– Ze względu na różnicę zdań i zapatrywań.

– Jakiego rodzaju różnicę?

– To są wewnętrzne sprawy firmy, nad którymi nie chciałym się rozwodzić – odparł Theissen wymijająco.

– Zatem rozumiem, że rozstanie nie nastąpiło w przyjaznej atmosferze – stwierdził Bodenstein. Po minie Theissena wywnioskował, że miał rację.

– Theodorakis był bardzo trudnym współpracownikiem, który psuł atmosferę w firmie – wtrącił się Rademacher. – Nie trzymał się ustaleń i notorycznie zrażał do siebie klientów. Po jednym z takich incydentów, kiedy niewiele brakowało, a stracilibyśmy bardzo ważne zlecenie, miarka się przebrała. Nie mogliśmy dłużej tolerować takich zachowań.

– Wspomniał pan wcześniej o zemście – powiedział Bodenstein. – Czy Theodorakis ma powód, żeby mścić się na firmie? A jeśli tak, to jaki?

– Po zwolnieniu z pracy wpadł w szał i zrobił z tego wielką aferę. Do tego stopnia, że podał nas do sądu pracy, ale tam przegrał – wyjaśnił Rademacher i odkaszlnął. – W naszej branży wszyscy się znają i nikt nie chciał go potem zatrudnić. Do dzisiaj nas o to oskarża, choć to była

przecież tylko i wyłącznie jego wina.

– Czy miał cokolwiek wspólnego z planowaną budową farmy wiatrowej w Taunusie?

– Tylko w początkowym stadium. Został zwolniony w sierpniu zeszłego roku.

Pia sięgnęła do torebki i wyjęła kopię kartki, którą Kröger znalazł na ziemi przy maszynie do ksero. Podała ją Theissenowi.

– Co to takiego? – zapytał mężczyzna i marszcząc czoło, przebiegł treść wzrokiem.

– To samo pytanie chciałam zadać panu.

Theissen jeszcze przez chwilę wpatrywał się w tekst, a potem, nie okazując żadnych emocji, przekazał kartkę swojemu koledze.

– No cóż, wygląda mi to na jedną stronę z jakiejś ekspertyzy. – Mężczyzna skrzyżował ręce na piersiach. – Dlaczego pani o to pyta? I skąd ma pani tę kopię?

– Leżała na ziemi przy kserokopiarce w pańskim sekretariacie. – Bodenstein ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Theissena. – Można przyjąć, że nie ma w tym niczego dziwnego. Zastanawiający jest za to czas, kiedy kopiarka była używana po raz ostatni. Zgodnie z zapisanymi w niej danymi, po raz ostatni pracowała w sobotę, dziewiątego maja, między drugą czterdzieści trzy a trzecią czternaście nad ranem.

– Ja... chyba nie rozumiem... – Stefan Theissen chciał jeszcze coś powiedzieć, jednak zamilkł. Wyglądało na to, że znaleziona kartka wcale nie była tak pozbawiona

znaczenia, bo przez chwilę nerwowo rozglądał się na boki i przygryzał dolną wargę. Za to Rademacher uśmiechnął się kwaśno.

– No to przynajmniej mamy teraz jasność, po co Theodorakis włamał się do firmy – powiedział. – Szpiegostwo przemysłowe. Drogo za to zapłaci.

Bodenstein spojrzał na niego zamyślony. Czy Rademacher w ogóle miał świadomość, że jego szef, Stefan Theissen, również odwiedził firmę w piątek wieczorem?

– Niech mi pan z łaski swojej przypomni, o której godzinie wyszedł pan w piątek w nocy z budynku? – zapytał Theissena.

– Krótko przed północą – odparł dyrektor. Zdawał się nie rozumieć, do czego Bodenstein zmierza. – Ale przecież już to wyjaśniałem.

– Zgoda, ale nikt pana przy tym nie widział. I jedynie pana żona może potwierdzić prawdziwość alibi. Niestety, jej zeznania w tej materii nie będą miały większego znaczenia.

Rademacher nie dał po sobie poznać, czy zaskoczyła go ta wiadomość czy nie. Albo był świetnym aktorem, albo już wcześniej dowiedział się o odwiedzinach Theissena w firmie na krótko przed śmiercią Grossmanna. Siedział teraz z miną, jakby na coś czekał i wręcz był ciekaw, co się wydarzy. Za to twarz Theissena zmieniała się jak w kalejdoskopie, bo wyrażała po kolei zrozumienie, niedowierzanie, niepewność i strach, przy czym to ostatnie uczucie odcisnęło się na niej najbardziej i przez dłuższą

chwile dało się je dostrzec w jego oczach. Dopiero po kilku sekundach odzyskał rezon.

– Nie rozumiem, co to ma... – zaczął ostro.

– Jestem przekonana, że doskonale pan rozumie. – Pia przerwała mu bez skrupułów. Szef WindPro coraz bardziej działał jej na nerwy. – Może umówił się pan tutaj z osobą, która jakoby miała się włamać do budynku.

– Ale... ale przecie... to jakaś piramidalna bzdura! Dla... dlaczego miałbym umawiać się z włamywaczem?! – wyjąkał Theissen, wyraźnie zbity z tropu. Pia doskonale wiedziała, że to zarzut całkowicie wydumany, lecz przecie złapała już Theissena na kłamstwie. Istniała więc szansa, że wzburzony popełni kolejny błąd.

– Może tak, a może nie. – Bodenstein wzruszył ramionami. – Ale alibi, które daje panu żona, to bardzo słabe alibi. Był pan w budynku, celowo unikał pan spotkania ze stróżem nocnym, a my nie wiemy, kiedy tak naprawdę wyszedł pan z firmy. Z tych powodów jest pan podejrzany o współudział w wydarzeniach, które rozegrały się tutaj w piątkową noc. I dlatego proszę nigdzie nie wyjeżdżać. Musi pozostawać pan w każdej chwili do naszej dyspozycji.

– Chyba nie wierzy pan, żebym to ja miał cokolwiek wspólnego z tym, co się stało! Rolf był moim przyjacielem! – Theissen zrobił się czerwony. Rademacher położył mu rękę na ramieniu, jakby chciał go uspokoić, lecz ten ją strząsnął.

– Wszedłem tylko do swojego gabinetu, żeby wziąć

dokumenty, których zapomniałem. A jedynym powodem, dla którego nie chciałem spotkać się z Rolfem, było to, że nie miałem ochoty na pogawędki! I nie pozwolę na insynuacje, że cokolwiek mu zrobiłem!

Jego zdenerwowanie było autentyczne, jednak stało za nim coś więcej niż tylko reakcja na domysły Pii.

– Ja bym naprawdę skupił się na Theodorakisie – wtrącił Rademacher z przekonaniem. – To choleryk. Nie ma dla nikogo szacunku. I raptus. Może Grossmann go rozpoznał i próbował zatrzymać. Musicie z nim porozmawiać, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. Sami się wtedy przekonacie, że mam rację. Ten człowiek jest nieobliczalny i pełen nienawiści.

Pudełko z lasagne z łososiem obracało się na talerzu mikrofalówki. Jannis rozłożył na kuchennym stole swoje dokumenty i porównywał zgromadzone wcześniej liczby z danymi z ekspertyz, którymi od jakiegoś czasu dysponował. Kiedy wprowadził wszystkie do arkusza kalkulacyjnego, przyjrzał się wynikom i pokręcił głową.

– Niewiarygodne – wymamrotał.

W chwili kiedy zgasło światło w kuchence i rozległ się sygnał, że podgrzewanie skończone, otworzyły się drzwi do domu. Jannis nie musiał patrzeć na zegarek. Nika wracała codziennie punkt wpół do drugiej, bo nigdy nie spędzała przerwy popołudniowej w pracy, z Ricky i Frauke. Innych znajomych nie miała.

– Cześć – powiedziała, wchodząc do kuchni.

– Cześć – odparł i oderwał wzrok od szeregów liczb.

Każdą inną kobietę ubraną równie dziwacznie uznałby za straszdyło, lecz Nika według niego wyglądała egzotycznie i cudownie. Miała na sobie długą spódnicę w kwiaty, oliwkową bluzkę i bezkształtny sweterek zrobiony na drutach, który niegdyś najprawdopodobniej był zielonego koloru. Do tego nosiła stare tenisówki. Lecz od kiedy Jannis wiedział, jak wygląda bez tych dziwacznych ciuchów, niecodzienna garderoba nic a nic mu nie przeszkadzała.

– Jadłeś już coś? – zapytał niby mimochodem, choć serce waliło mu jak oszalałe.

– Nie. A co tam masz?

– Lasagne z łososiem i sałatkę ziemniaczaną.

Dziewczyna spojrzała na puste opakowania.

– O nie, dzięki. Jakoś dzisiaj nie mam ochoty na gotowe żarcie z Aldi.

Przez upodobanie Ricky do szybkich dań, Jannis z czasem przestał tęsknić za normalną kuchnią i przerzucił się całkowicie na mrożonki i gotowe potrawy z okolicznych supermarketów, które szczelnie wypełniały półki lodówki.

– To nie jedz lasagne, tylko sałatkę, nie jest z Aldi – odparł.

Nika zaśmiała się krótko, a jemu niemal odebrało mowę – a musiał przyznać, że w jej obecności często to spotykało. Wcześniej nie zdarzało mu się zapominać języka w gębie, dlatego zakłopotanie, które czuł przy Ni-

ce, bardzo go onieśmiała. Jednak ona zdawała się tego nie zauważać.

– Zrobię sobie kanapki – powiedziała i otworzyła lodówkę. Jannis wyłożył lasagne i sałatkę na talerz, z szuflady wyjął sztucce i usiadł przy stole, odsuwając papiery na bok.

– Nad czym pracowałeś? – zapytała Nika i przerwała krojenie pomidora, by spojrzeć z zaciekawieniem na dokumenty.

– Przeglądam kilka ekspertyz – odparł Jannis, nie przerywając żucia. – Dzisiaj wieczorem wolałbym posługiwać się niepodważalnymi argumentami.

– A, rozumiem. – Jej zainteresowanie zniknęło. Nalała sobie wody do szklanki, usiadła przy stole i zabrała się za swoją kanapkę z ogórkiem i pomidorem. Jannis gorączkowo rozmyślał, jak zacząć rozmowę, żeby musiała odpowiedzieć coś więcej niż tylko „tak”, „nie” albo „dzięki”.

– Jak tam dzisiaj było w sklepie? Duży ruch? – zapytał w końcu, nie odrywając od niej oczu.

– Jak na wtorek, to nie było źle – odparła krótko. – Za to nasz internetowy sklep działa zaskakująco dobrze.

Jannis z wdzięcznością uczeplił się tego tematu, bo o wadach i zaletach handlu w Internecie mógł mówić godzinami. Nika potakiwała tylko co pewien czas i uśmiechała się z roztargnieniem, aż w końcu zauważył, że myślami jest gdzieś indziej. Kiedy skończyła, odsunęła talerz, nachyliła się nad stołem i sięgnęła po gazetę, którą

przeglądał rano.

Jannis przyglądał jej się ukradkiem. Jak by się zachowała, gdyby wyznał jej, że oszalał na jej punkcie? Czy powinien się na to odważyć? Nie było nic gorszego i bardziej upokarzającego niż odmowa, ale nie mógł już tego wytrzymać. Zastanawiając się, jak zacząć i jak ubrać swoje uczucia w słowa, zauważył, że kiedy Nika przewróciła kolejną stronę, coś ją nagle wystraszyło. Zadrżała i stężała, jakby w gazecie pojawił się jakiś duch, i nie mogła powstrzymać gwałtownego drżenia dłoni, w której trzymała szklanekę. Przez ułamek sekundy na jej skądinąd wyjątkowo spokojnej twarzy malował się wyraz przerażenia.

– Co się dzieje? – zapytał z troską.

Dziewczyna odstawiła szklanekę i potrząsnęła głową. Jej oczy błyszczały strachem i zagubieniem. Szybko spuściła głowę.

– Nic, naprawdę nic takiego. – Bardzo szybko odzyskała kontrolę nad sobą.

Złożyła gazetę i wstała.

– Muszę już uciekać, do zobaczenia później – powiedziała w końcu.

I po tych słowach zniknęła w piwnicy. Jannis odprowadził ją zaskoczonym wzrokiem. Czuł się przy tym nieco urażony. Co to właściwie było? Dlaczego tak się zachowała? Nachylił się nad stołem, złapał gazetę, którą przeglądała, i strona po stronie sprawdzał, co w niej było. Nie znalazł jednak nic, co wyjaśniałoby tajemnicze za-

chowanie Niki. Czyżby chodziło o któreś z nazwisk w nekrologach? Nie spodziewała się go tam zobaczyć? No i które, jeśli to o to chodziło? Zaraz, jak właściwie nazywa się Nika? Nie podpisywali z nią umowy najmu mieszkania w suterenie, bo to przecież stara przyjaciółka Ricky. Jannis zmarszczył czoło. Dotarło do niego, że nic nie wie o kobiecie, z którą mieszkają od niemal pół roku pod jednym dachem i która od jakiegoś czasu całkowicie zawładnęła jego myślami. Najwyższy czas, by to zmienić.

Nie sądzę, żeby Theissen miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Grossmanna – stwierdziła Pia, maszerując kilka minut później korytarzem. – Swoją drogą, zauważyłeś, z jakim strachem zareagował na kartkę, którą mu pokazałam?

– Tak, trudno byłoby to przeoczyć. Zdecydowanie facet ma coś do ukrycia. – Bodenstein skierował się z początku w stronę windy, lecz nagle zmienił zdanie i wybrał schody. Mimo że chodziło o schodzenie, a nie wchodzenie, miał nadzieję, że spali w ten sposób kilka komórek tłuszczowych. – Theodorakis wciąż nie może pogodzić się z decyzją swoich byłych przełożonych. To się stało dla niego prywatną obsesją. Uważam, że Theissen powinien pozostać oficjalnie jednym z podejrzanych, przynajmniej do chwili, kiedy potwierdzi jego alibi ktoś poza żoną.

– Zarzuty, które Theodorakis wysuwa pod adresem WindPro, nie mogą być wzięte ot tak z kapelusza. – Pia

przystanąła na półpiętrze. – Musi w nich być choć trochę prawdy. Poza tym odnoszę wrażenie, że ma w ręku coś, czego i Theissen, i Rademacher bardzo się obawiają. W przeciwnym razie nie odważyłby się mówić w telewizji otwartym tekstem o przekupstwie i kłamstwach.

– Ja za to mam problem z tym chomikiem. – Bodenstein potrząsnął w zamyśleniu głową. – To zupełnie nie pasuje do całości. Theodorakis włamuje się do swojej dawnej firmy, podrzuca szefowi na biurko zdechłego chomika, nie wiem, może chce go ostrzec, a może tylko przestraszyć, a potem, kiedy kopiuje jakieś dokumenty, zostaje nakryty przez Grossmanna. Zaczynają się kłócić, pewnie też szarpać. Grossmann spada ze schodów, a Theodorakis rzuca mu się na ratunek i robi masaż serca? Wybacz, ale nie kupuję tego. W takiej sytuacji każdy chciałby jak najszybciej stąd uciec.

– Pewnie masz rację. I na pewno nie rozwodziłby się w telewizji na temat eksterminacji chomików. Nie po tym, jak podrzucił jednego martwego zwierzaka Theissenowi. – Pia całkowicie zgadzała się z szefem. Spojrzeli na siebie bezradnie.

– Koniecznie musimy z nim porozmawiać. – Bodenstein wyjął komórkę z kieszeni i ruszył dalej. Zadzwoił do Ostermanna, który oznajmił, że w końcu udało się ustalić adres Jannisa Theodorakisa. Cem Altunay i Kathrin Fachinger byli już w drodze do Gross-Gerau.

– Gross-Gerau? Dlaczego akurat tam?

– Bo tam jest zameldowany. W Büttelborn.

Zeszli na parter i ruszyli przez hol. Pia wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać drzwi. Słońce wpadające przez szklaną kopułę wzbudziło refleks na jej lewej dłoni. Cóż to takiego? Czyżby pierścionek? Od czterech lat, czyli od początku ich współpracy, Bodenstein ani razu nie zauważył, żeby nosiła jakąkolwiek biżuterię.

– Dajcie mi znać, jak tylko wrócą. – Zszedł na stronę i poczekał, aż mężczyzna, który razem z nimi wyszedł z budynku i z zainteresowaniem się im przyglądał, znajdzie się dość daleko, by nie słyszeć ich dalszej rozmowy. – I przepytajcie wszystkich pracowników WindPro na temat Theodorakisa.

Bodenstein zakończył rozmowę i schował komórkę. Kierując się w stronę samochodu, zastanawiał się, czy zapytać Pię o pierścionek. Jednak zaskakująco zacięta mina podwładnej sprawiła, że zrezygnował z tego pomysłu. Może później będzie lepszy moment.

Dobrze, a teraz puść sprzęgło... tak... ups! – Ricky zaniósła się śmiechem. – Ciut za szybko!

W chwili kiedy Mark ją zobaczył, wszystko, co złe, odeszło i znów był szczęśliwy. Ponure wspomnienia, które niczym złe duchy wypełzły przez uchylone drzwi przeszłości, odeszły tam, skąd przyszły. Pozostało po nich jedynie nieprzyjemne odrętwienie, które na szczęście szybko minęło. Ricky nigdy nie zamęczała go głupimi pytaniami. Jeśli tylko dostrzegła, że coś jest nie tak, natychmiast wymyślała coś nowego, żeby skupił się na czymś

innym. Samochód zatrzymał się z szarpnięciem.

– Sorry – wymamrotał Mark. Nie mógł opanować jednoczesnego operowania sprzęgłem, biegami i gazem. A przecież każdy głupek potrafił jeździć samochodem!

– E, nie było tak źle. – Ricky go pochwaliła. – Dalej, spróbuj jeszcze raz.

Wcisnął sprzęgło, włączył pierwszy bieg i przekręcił kluczyk. Po chwili silnik obudził się do życia. Spoconymi dłońmi ścisnął kierownicę. Niespodziewanie Ricky nachyliła się w jego stronę i położyła mu dłoń na udzie. Mark niemal słyszał dzikie walenie serca i niewiele brakowało, a z wrażenia przestałby oddychać.

– Dobrze, teraz bardzo powoli puść sprzęgło – poleciała dziewczyna. Nacisk na jego udo zelżał. – Jednocześnie dodawaj gazu, ale bez przesady.

Mark potaknął zdecydowanie i zwilżył językiem usta. Spięty skupił wzrok na polnej drodze przed sobą. Tylko jak miał się koncentrować na prowadzeniu auta, czując jej dłoń na nodze? Do tego muskała jeszcze jego ramię pierśmi, a w powietrzu czuć było zapach jej szamponu.

Powoli, powoli, pomyślał. I gaz... Tak! Jechał! Samochód potoczył się drogą. Ricky cofnęła dłoń i uśmiechnęła się radośnie.

– Świetnie! – pochwaliła go. Ich usta dzieliło nie więcej niż trzydzieści centymetrów. – A teraz wciśnij sprzęgło, puść gaz i wrzuć drugi bieg.

Wszystko szło dobrze do momentu, kiedy puszczał sprzęgło, bo zapomniał dodać gazu i ponownie zdusił sil-

nik.

– Może lepiej będzie, jak ty poprowadzisz – mruknął zażenowany. – Bo w takim tempie nie zdążymy dzisiaj do sklepu.

– Nie gadaj głupot. – Ricky potrząsnęła energicznie głową. – Ćwiczenie czyni mistrza. Ruszaj jeszcze raz i prowadź do samych domów. Tam się zamienimy.

Jeszcze raz uruchomił silnik i, o dziwo, poradził sobie z drugim biegiem bez gaszenia samochodu.

Kilka tygodni wcześniej po raz pierwszy dała mu prowadzić.

– No dalej, spróbuj – zaproponowała nieoczekiwanie. – Będiesz superkierowcą, zanim pójdziesz na kurs.

Cała Ricky! Była po prostu świetną dziewczyną i nie traktowała go jak dzieciaka. Mark darzył ją bezgranicznym uwielbieniem. Ricky umiała wszystko: bez żadnej pomocy potrafiła wskoczyć na grzbiet konia na oklep, mówiła płynnie po angielsku, bo studiowała na jednym z najlepszych uniwersytetów w Kalifornii – nie dość, że astronautykę, to jeszcze jako jedna z siedmiu kobiet! Ricky była silna jak facet, miała podejście do zwierząt, niczego się nie bała i zawsze potrafiła znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. Do tego wyglądała po prostu powalająco, przez co spotkanie z nią stało się punktem zwrotnym w życiu Marka. Chciał być taki jak ona: tak mocny, tak szczery i uczciwy. Ricky, w przeciwieństwie do większości dorosłych, nigdy nie składała obietnic bez pokrycia. Zawsze dotrzymywała słowa, nie kłamała i nie zamęczała

go, twierdząc, że coś wypada, a coś nie wypada. A najpiękniejsze w tym wszystkim było to, że traktowała go jak najbliższą sobie osobę – oczywiście z wyjątkiem Jannisa, ale on był jej chłopakiem, więc tutaj nie było o co się kłócić.

– Kolejny bieg – przypomniała mu, kiedy wskazówka obrotomierza przekroczyła liczbę czterech tysięcy, a silnik zawył boleśnie.

Puścić gaz, sprzęgło, zmiana biegu, gaz. Czarne audi mrucało zadowolone, tocząc się asfaltową drogą między kwitnącymi jabłoniami i wiśniami, a przez otwarte okna wpadał do środka ciepły wiatr.

– Umiem już! – krzyknął Mark zachwycony i uśmiechnął się szeroko. – Umiem prowadzić samochód!

– No pewnie. Wszystko umiesz, wystarczy tylko trochę chcieć – odparła Ricky. Wybrała któryś z przycisków na panelu pokładowego systemu audio i chwilę później z głośników popłynęła piosenka Kida Rocka, *All summer long*. Mark uważał, że to straszna chała, ale ponieważ Ricky ją uwielbiała, bo przypominała jej studia w Kalifornii, więc postanowił, że jemu też musi się zacząć podobać.

– Świetnie ci idzie! – oznajmiła, przekrzykując głośną muzykę. – Jak zdasz prawo jazdy, pojedziemy razem Pacific Coast Highway nr 1 od San Diego do San Francisco!

Mark potaknął z wniebowziętą miną.

– *And we were trying different things, we were smoking funny things, making love out by the lake to our*

favorite song – śpiewała razem z płytą CD, a on się dołączył. Niesforny kosmyk włosów uwolnił się spod jej gumki i falował przy czole, poruszany wpadającym przez otwarte okno wiatrem. Była przepiękna – tak cudowna, że najchętniej całe życie by na nią patrzył.

– *Sipping whiskey out the bottle, not thinking about tomorrow, singing Sweet Home Alabama all summer long!*

Uśmiechnęli się do siebie, a Mark pomyślał, że ta trzykilometrowa droga mogłaby się ciągnąć w nieskończoność.

W piątek popełnił błąd, owszem, lecz wyrzuty sumienia nikomu i tak nie pomogą. Jannis powoli wspinał się po schodach. Poddasze było jego azylem. Te kłaczące wszędzie, czterołape pokraki nie miały tu czego szukać, a i Ricky zapuszczała się tu nadzwyczaj rzadko. Otworzył oba okna, znajdujące się w wykuszach po przeciwnych stronach dachu, by zapewnić choć delikatny przewiew, i włączył komputer. Biurko ustawił od zachodu. Z okna rozciągał się widok na dolinę, gdzie znajdowało się schronisko. Widział nawet ruiny zamku w Königstein. Jannis potrząsnął głową, żeby pozbyć się powracających uporczywie wyrzutów sumienia – przeszkadzały mu w myśleniu. Dziś wieczorem odbywały się ostatnie konsultacje w Ehlhalten. Musiał przekonać pozostałych członków stowarzyszenia, że na walnym spotkaniu mieszkańców następnego dnia to nie Hirtreiter powinien

reprezentować ich racje, ale właśnie on.

Ciepłe światło słońca wpadało przez otwarte okno i rysowało jasny prostokąt na przykrytej wykładziną podłodze. Jakaś natrętna mucha bzyczała dookoła, aż w końcu przysiadła na ekranie komputera. Odruchowo uniósł dłoń, by ją przegonić. Uruchomił program pocztowy i sprawdził skrzynkę odbiorczą. Uśmiechnął się szeroko, widząc, że Mark dotrzymał słowa. Niezależnie jak bardzo ten chłopak działał mu czasem na nerwy, to jeśli chodziło o te sprawy, był wart tyle złota, ile sam ważył.

Jannis wydrukował wszystkie jedenaście mejli i uruchomił przeglądarkę internetową. Wprowadził nazwę firmy WindPro i kliknął przycisk szukania. Robił to regularnie, bo przecież musiał być cały czas na bieżąco, jeśli chodziło o sytuację wroga. Przesunął wzrokiem po najnowszych wynikach, aż nagle jego uwagę przyciągnęła wiadomość, która obudziła jakieś niejasne skojarzenia. Otworzył artykuł i popatrzył na zdjęcie obok tekstu: „Professor Dirk Eisenhut, dyrektor Niemieckiego Instytutu Klimatycznego, w piątek piętnastego maja odwiedzi Königstein. Doktor Stefan Theissen, szef zarządu klubu przedsiębiorców Taunus Przedni, cieszy się na spotkanie ze słynnym naukowcem”.

Jannis myślał bardzo intensywnie. Widział już gdzieś to nazwisko, i co ważniejsze, całkiem niedawno. Tylko gdzie? I w jakim kontekście? Przez chwilę siedział nieruchomo i wpatrywał się w fotografię na ekranie. W końcu przypomniał sobie. No oczywiście! Otworzył najniższą

szufladę biurka i wyjął cenne dokumenty, które gromadził przynajmniej od kilku miesięcy. Jutro wieczorem miał dzięki nim sprawić wszystkim wielką niespodziankę. Niecierpliwie zaczął przerzucać kolejne strony w grubym skoroszybie, aż w końcu trafił na dokument, którego szukał. Jedną z dwóch ekspertyz korzystnych dla WindPro, które miały ogromny wpływ na wydanie pozwolenia na budowę farmy wiatrowej, przygotował Niemiecki Instytut Klimatyczny. To nie mógł być przypadek! Profesor Eisenhut najwyraźniej postanowił oddać Theissenowi przyjacielską przysługę.

Jannis uśmiechnął się nieprzyjemnie. Już nie mógł się doczekać, by zobaczyć minę szefa WindPro, kiedy dowie się jutro, w czyje ręce trafiły te dokumenty. Sfałszowana najwyraźniej ekspertyza była wisienką na torcie. Niezbite dowody, które zamierzał zaprezentować opinii publicznej w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, oznaczały nieodwołalny koniec farmy wiatrowej w Taunusie. I początek końca WindPro. Bo z tej afery Theissen, niezależnie od tego, jak oślizgły jest, już się nie wywinie.

Jannis założył ręce za głowę i wyjrzał za okno. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Co takiego? Machnął ręką, żeby przepędzić muchę, która koniecznie chciała usiąść mu na twarzy. I nagle drgnął, bo coś sobie przypomniał. Podskoczył jak oparzony, zbiegł schodami na parter, otworzył drzwi na dwór i podbiegł do kosza na makulaturę. Wczorajsza gazeta jeszcze tam była. Wyłowił ją spośród innych papierów, zatrzasnął pokrywę i zaczął

przerzucać strony, niecierpliwie szukając serwisu lokalnego. I w końcu znalazł.

„Guru klimatologów, profesor Eisenhut, promuje swoją nową książkę”, przeczytał tytuł, pod którym zamieszczono zdjęcie naukowca. „W przyszły piątek dyrektor Niemieckiego Instytutu Klimatycznego pojawi się w hotelu Kempinski w Falkenstein, by zaprezentować swoją najnowszą książkę, która już stała się bestsellerem. Nosi tytuł *Zielona Planeta wpada w gniew*. Lokalny klub przedsiębiorców zaprosił autora na wykład otwarty wraz z dyskusją. Profesor Dirk Eisenhut jest doradcą rządu federalnego w kwestiach zmian i ochrony klimatu...”

Jannis wyrwał kawałek papieru z artykułem, a resztę gazety wcisnął z powrotem do pojemnika, po czym wrócił na poddasze. W Google wpisał „profesor Dirk Eisenhut”, a potem „+Nika”. Liczba trafień bardzo go zaskoczyła. Zaczął czytać.

Nie! I to moje ostatnie słowo! – Ludwig Hirtreiter wykrzyczał te słowa do słuchawki, którą potem gniewnie rzucił na widełki staromodnego czarnego telefonu, który od ponad trzydziestu lat stał na komodzie w korytarzu. Tell oparł pysk na przednich łapach i położył się na podłodze przy drzwiach, by stamtąd wodzić bursztynowymi oczyma za swoim panem, który przez chwilę chodził nerwowo po korytarzu. W końcu odwrócił się gwałtownie i wszedł do salonu. Otworzył drzwiczki tradycyjnego wiejskiego kredensu wykonanego z litego drewna

i ozdobionego kolorowymi malunkami i wyjął z niego butelkę nalewki owocowej. Nie zdarzało mu się nigdy o tej porze pić mocnego alkoholu, jednak to, co się działo, wyprowadziło go z równowagi. I to do tego stopnia, że po prostu musiał się jakoś uspokoić. Nie mógł opanować drżenia rąk, kiedy nalewał alkohol do kieliszka, a potem unosił go do ust. Wykrzywił usta. Mocna nalewka paliła w przełyku i w żołądku, ale zrobiła swoje. Po drugim kieliszku Hirtreiter podszedł do okna, przeciągnął się, aż strzelił mu kręgosłup i stawy, i kilka razy głęboko odechnął. Dlaczego wciąż dawał się im prowokować? A przecież powinien był zachować spokój! W klinice powiedzieli mu bardzo wyraźnie, ba, powtórzyli nawet kilka razy: każde zdenerwowanie szkodzi jego sercu. Drugiego zawału miał już nie przeżyć. Tylko jak miał zachować spokój, skoro do jego synów dołączyła Frauke i razem walczyli przeciwko niemu? Na stole w salonie leżała kartka z ostatnią propozycją WindPro. Wręczył mu ją osobiście szef firmy. Nieprzyjemny typek z tego Theissena, a jednak sam się tu pofatygował. Trzy miliony euro. Czarno na białym, wszystko na piśmie! Tyle że musiałyby się zdecydować w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Ludwig Hirtreiter patrzył na różowe chmury kwitnących wiśni w ogrodzie i dalej, na łąkę, która niespodziewanie stała się tak ważna. Niewinne, porośnięte soczystą zielenią dwa i pół tysiąca metrów kwadratowych, które tylko dwa razy do roku były koszone na siano przez jednego z ostatnich prawdziwych rolników z wioski. Przez

resztę czasu nikt się nią nie interesował. I teraz nagle, jakby odkryto pod nią złoża ropy, stała się tak strasznie ważna. Ludwig Hirtreiter słyszał stukanie psich łapek zakończonych mocnymi pazurami; to Tell wstał ze swojego miejsca i ruszył wyłożonym płytkami korytarzem w stronę salonu. Po chwili poczuł na dłoni dotyk mokrego nosa.

– Mogą sobie pomarzyć, co malutki? – powiedział do psa, który w odpowiedzi radośnie zamachał ogonem.

Musi się przestać denerwować, bo wieczorem, na spotkaniu zarządu stowarzyszenia, na pewno nie będzie spokojnie. Potrzebował jasnej głowy i bystrości umysłu, i to zarówno dzisiaj, za dwie godziny, jak i następnego dnia, na walnym zebraniu mieszkańców. Zresztą, może problem rozwiąże się sam? Jeśli budowa farmy wiatrowej zostanie w ostatniej chwili wstrzymana, WindPro nie będzie miało żadnego interesu, by oferować mu takie pieniądze za łąkę. Wtedy mógłby do końca życia siadywać sobie w fotelu i patrzeć w stronę lasu i gór, jak przez ostatnie czterdzieści lat.

Woda na makaron zaczęła się gotować. Pia dodała łyżkę oliwy z oliwek, szczyptę papryki chili i nieco więcej niż szczyptę soli, a na koniec spaghetti. Na patelni na drugim palniku rozpuściła kawałek masła. Upiła łyżeczek czerwonego wina z kieliszka – miało idealną temperaturę.

– Chyba znalazłem coś fajnego! – zawołał Christoph.
– Posłuchaj, bo brzmi obiecująco.

Christoph Sander siedział z laptopem przy kuchennym stole i z okularami zsuniętymi na czubek nosa przeglądał Internet w poszukiwaniu nowego domu. Od kiedy Wydział Budownictwa i Architektury we Frankfurcie wydał w zeszłym roku nakaz rozbiórki zabudowań gospodarstwa Pii, oboje zdawali sobie sprawę, że ich dni tutaj są już policzone i to pomimo że Pia odwołała się od tej decyzji, usiłując przeciągnąć procedurę.

– Gospodarstwo rolne z domem mieszkalnym, stodołą i stajniami – przeczytał na głos. – Grunt własny dwa hektary, dziesięć w dzierżawie.

– A gdzie? – zainteresowała Pia, krojąc ząbek czosnku na cieniutkie płatki.

– Pod Usingen.

– Za daleko. – Potrząsnęła głową i włączyła wyciąg na trójkę. Orzeszki piniowe i czosnek powędrowały na rozgrzany tłuszcz. Pia zmniejszyła ogień i zamieszała. Kiedy zawartość patelni się przyrumieniła, dodała pokrojoną w kostkę szynkę parmeńską, a potem zerwała z krzaczka rosnącego w doniczce na kuchennym parapecie trzy listki szałwi. Mocny ziołowy zapach sprawił, że ślina napłynęła jej do ust.

– Słuchaj, ale tam jest naprawdę pięknie – powiedział Christoph. – Sama zresztą popatrz, bo są zdjęcia.

Pia podeszła do niego i spojrzała mu przez ramię na monitor.

– Powiedz szczerze, serio chciałbyś codziennie marnować ponad godzinę na dojazd do pracy? – zapytała.

Christoph mruknął coś niezrozumiale i otworzył kolejne ogłoszenie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zjeździli całą okolicę, dalszą i bliższą, jednak żadna z nieruchomości, które oglądali, nie przypadła im do gustu. Były zbyt drogie, zbyt duże, zbyt małe albo położone tak daleko, że też się nie nadawały. Pia wymieszała szynkę, czosnek i orzeszki piniowe z winem Marsala, wyłowila z wody jedną nitkę makaronu i spróbowała. Jeszcze dwie minuty. W tym momencie rozległ się dzwonek do bramy, a psy, które leżały dotychczas spokojnie na podłodze, zerwały się z dzikim ujadaniem.

– Spokój! – ryknęła Pia, a zwierzaki momentalnie się uspokoiły. – Kto to może być?

Podniosła słuchawkę wideodomofonu. Na czarnobiałym monitorze pojawił się niewyraźny obraz, ale nie miała wątpliwości, kto stoi przy wejściu. Tylko czego Miriam mogła chcieć? Otworzyła bramę.

– Kto to? – zapytał Christoph. Chwilowo miał dość szukania kolejnych ogłoszeń, więc zamknął laptop.

– Miriam – odparła Pia. – Możesz przypilnować makaronu? Odcedź go za chwilę i przełóż do miski.

Wyszła z kuchni do wiatrołapu, wsunęła stopy w jasnoniebieskie crocsy i otworzyła drzwi. Kiedy wyjrzała na zewnątrz, na podjeździe obok jej nissana parkował właśnie czarny kabriolet bmw. Zza kierownicy wysiadła Miriam.

– Hej! – Pia uśmiechnęła się szeroko. – Co za niespodzianka...

Zamilkła, przerażona, widząc, w jakim stanie jest jej najlepsza przyjaciółka. Musiała być bardzo wzburzona, kiedy zdecydowała się do niej przyjechać, bo ubrana była w dres i nie miała nałożonego makijażu, co w jej przypadku było zaskakujące i niecodzienne. Miriam zawsze emanowała niewymuszoną elegancją.

– Co się stało? – zapytała Pia z niepokojem.

Miriam stanęła przed nią i zalała się łzami. Jej wielkie, ciemne oczy pełne były smutku i zwątpienia.

– Jestem taka wściekła – wyrzuciła z siebie. – Nawet nie chcesz wiedzieć, co mnie przed chwilą spotkało: ta cała Löblich zadzwoniła, żeby powiedzieć, że właśnie urodziła. Wtedy Henning rzucił wszystko i... i pojechał do niej!

Pia nie wierzyła własnym uszom. Czyżby Henning postradał zdrowy rozum?

– Nie potrafię tego pojąć! – Miriam uniosła bezradnie ramiona, a jej głos niebezpiecznie drżał. Po policzkach ściekały łzy. – A tak mnie zapewniał, że nigdy już nie chce mieć nic wspólnego z tą głupią krową! Jak przyszło co do czego, to wystarczył jeden telefon i on...

Słowa utknęły jej w gardle i dziewczyna padła Pii w ramiona.

– Jak on mógł mi to zrobić? Dlaczego mnie tak krzywdzi? – szlochała głucho.

Pia nie potrafiła jej odpowiedzieć. Sama wiele lat wcześniej przestała się starać, żeby zrozumieć postępowanie byłego męża.

- Chodź, wejdźmy do środka – powiedziała jedynie.
- Zjesz coś z nami, a potem zobaczymy, co możemy poradzić, dobrze?

Frauke po raz chyba pięćdziesiąty wyjrzała przez okno. Na dworze panowała ciemność. Dochodziła właśnie dziesiąta, co oznaczało, że spotkanie zarządu stowarzyszenia już dawno powinno się skończyć! Gdzie więc podziewał się staruszek?

– Musiał zobaczyć nasze samochody – mruknął Matthias.

– Wykluczone – zaprzeczyła Frauke. – Przecież zaparkowaliście za stodołą. A on tam nigdy nie zagląda.

Doskonale znała zwyczaje ojca. Kiedy wracał wieczorem do domu, parkował samochód w garażu, wypuszczał psa i szedł z nim na spacer aż pod sam las. Po powrocie sprawdzał, czy stajnia, ubojnia, woliera dla drobiu i warsztat są dobrze zamknięte. Nigdy nie chodził do stodoły, która znajdowała się po drugiej stronie obejścia.

– Jak rano do niego zadzwoniłem, to ten uparty osioł się po prostu rozłączył. – Matthias podszedł do staroświeckiego kredensu, w którym ojciec trzymał alkohole. Otworzył drzwiczki, sięgnął po kieliszek i z odrazą przesunął wzrokiem po etykietach na butelkach. Nalewka owocowa, wódka zbożowa, rum Stroh. Czy stary naprawdę nie pijał niczego normalnego? W końcu zdecydował się na koniak i nalał pełen kieliszek.

– Tylko nie przesadzaj – syknęła Frauke. – Natych-

miast wyczuje, jak od ciebie jedzie, i będziesz na przegranej pozycji.

– I tak jestem – odparł Matthias ponurym tonem. Postawił kieliszek na blacie, powtórnie go napełnił i wypił jednym haustem, jak za pierwszym razem. Potem otrząsnął się i spojrzał na siostrę.

– Chcesz też?

– Nie.

Na dworze rozszczękał się pies w kojcu. Na jego ujadanie odpowiedział krakaniem stary kruk. Chwilę później otworzyły się drzwi i do domu wszedł Gregor. Spojrzał ponuro na rodzeństwo.

– Chryste, jak ja nienawidzę tego miejsca. – Wyłączył iPhone'a i schował go do kieszeni spodni. – Co pijecie?

– Koniak. – Matthias wykrzywił twarz. – Reszta jest jeszcze gorsza.

Gregor stanął obok młodszego brata, sięgnął do szafki i nalał sobie pełen kieliszek. W milczeniu uniósł alkohol do ust. Obaj mieli ponure miny.

Frauke spojrzała w kierunku drogi, która biegła między polami do najbliższej wioski. Co będzie, jeśli Jannis i spółka dopną swego i dzięki idiotycznej akcji mieszkańców zablokują budowę farmy wiatrowej? Ojciec musi dzisiaj wyrazić zgodę na sprzedaż łąki, bo w przeciwnym razie przepadnie doskonały interes. Kiedy dostaną pieniądze, w ogóle nie będzie ich interesowało, czy ktoś postawi tu wiatraki czy nie.

Stary zegar stojący obok szafki z telewizorem wybił

dziesiątą. Pies na dworze przestał ujadać. Gregor wyjął z kieszeni telefon, włączył ekran, żeby coś sprawdzić, a potem zaklął. Matthias poszedł do kuchni.

Frauke miała dziś zobaczyć ojca po raz pierwszy od przeszło dwóch lat, czyli od chwili, kiedy wyprowadziła się z domu. Nie tęskniła za nim. Zbyt wiele złych słów padło między nimi. Zarzuciła mu, że matka zachorowała na raka i zmarła tylko dlatego, że swoim przemądrzaństwem i autorytaryzmem zmienił jej życie w piekło. Wiedziała, że nigdy jej tego nie wybaczy.

Wcześniej, jeszcze jako dziecko, Frauke bardzo kochała ojca i podziwiała go. Często razem chodzili do lasu. Znał odpowiedź na każde z pytań, którymi bez przerwy go zasypywała. To on obudził w niej miłość do przyrody i do zwierząt i to on zaraził ją pasją polowań. Jednak w wieku dojrzewania niespodziewanie przybrała na wadze. Wtedy zaczął nazywać ją kluseczką – niestety, również przy obcych. Twierdził, że to taki młodzieńczy tłuszczyczek, który lada chwila zniknie. Jednak nic takiego się nie stało. Frauke była coraz okrąglejsza, a ojciec zaczął kontrolować jej wagę. Codziennie rano, w samym biustonoszu i figach musiała stawać przy nim na wadze, a on, marszcząc czoło, wpisywał wynik do przygotowanej przez siebie tabeli. To właśnie wtedy po raz pierwszy poczuła do niego nienawiść. W szesnaste urodziny wskazówka przekroczyła znacznik stu kilogramów. Zaczęto wydzielać jej jedzenie. Została wysłana do dietetyczki. Kiedy miała siedemnaście lat, poddały się więzadła w kolanach, uniemoż-

liwiając dalsze chodzenie na zajęcia sportowe w szkole. Frauke wstydziła się swojego nieforemnego ciała. Próbowała ukrywać je pod obszernymi swetrami. I nadal każdego dnia rano musiała przechodzić poniżającą procedurę ważenia. Jeszcze dzisiaj, niemal trzydzieści lat później, przypominając sobie tamte chwile, czuła rosnącą nienawiść i złość.

Na wąskiej drodze prowadzącej do gospodarstwa, a potem dalej, na parkingu pod samym lasem, pojawiły się reflektory.

– Ktoś tu jedzie – powiedziała szybko. – Zgaście światła!

Rozległo się pstryknięcie staromodnego przełącznika, kiedy Matthias doskoczył do drzwi, żeby wyłączyć lampę pod sufitem. W jednej chwili zapanowała całkowita ciemność. Frauke słyszała za plecami oddechy braci.

– Nigdy się na to nie zgodzi – mruknął Matthias ponurym głosem. – A jeśli będziemy na niego naciskać, to nas wydziedziczy.

– Przestań! – warknął Gregor. – Ustaliliśmy, jak to załatwimy. I nie ma odwrotu.

Środa 13 maja 2009

Coś zbudziło ją pośrodku nocy. Usiadła gwałtownie na łóżku i rozejrzała się z niepokojem. Dlaczego nie mogła spać? Wino jabłkowe, które piła w „Koronie”, wołało o wycieczkę do toalety. Nika po omacku znalazła włącznik lampki nocnej i zapaliła światło. Było kilka minut przed wpół do czwartej nad ranem. Psy szczekały, a potem rozległ się krzyk Ricky i jazgot ustał. Nic dziwnego, że ona też nie mogła spać! Aż trudno było uwierzyć w to, co wyprawiał Hirtreiter na spotkaniu zarządu. Jak na nią naskoczył! Potwornie ją obraził, a Jannis nie kiwnął nawet palcem, żeby stanąć w jej obronie. Potem bez słowa wsiadł do samochodu i odjechał. Frauke, Mark i ona zabrali Ricky ze sobą. Przyjaciółka nie mogła się uspokoić. Płakała aż do Königstein.

Nika zawahała się, ale potem zdecydowanie odsunęła kołdrę. Musiała do toalety, bo wiedziała, że pęcherz nie da jej zasnąć. Akurat kiedy przechodziła niewielkim korytarkiem do łazienki, Ricky zaczęła mówić podniesionym głosem. Nie przejmowała się ani porą, ani tym, że wszystko było słyhać w całym domu.

– Możesz mi wyjaśnić, gdzie się szlajałeś? – zapytała niezbyt uprzejmie.

Nika znieruchomiła w drzwiach łazienki i zaczęła nasłuchiwać. Od kiedy tu zamieszkała, Ricky i Jannis zawsze zwracali się do siebie wręcz przesadnie grzecznie

i miło. Z początku nie wiedziała, co o tym myśleć, ale szybko się przyzwyczała, mimo że takie zachowanie zupełnie nie pasowało do przyjaciółki, jaką znała z dawnych czasów. Teraz jednak Ricky miała gdzieś grzeczność i opanowanie. Pełnymi garściami czerpała ze schowka z przekleństwami. Epitety, którymi obrzucała Jannisa, właściwie niewiele różniły się od tych, których użył wobec niej Hirtreiter kilka godzin wcześniej. Nika nie mogła zrozumieć odpowiedzi Jannisa, bo mówił za cicho. Za to reakcja Ricky była jeszcze bardziej gwałtowna. Rozległ się trzask i brzęk. Coś się stłukło.

– Cholera, czy ci zupełnie odbiło? – wrzasnął Jannis.
– Co to w ogóle za cyrk?

– Chcę wiedzieć, gdzie byłeś! – ryczała Ricky. – I jak ty wyglądasz? Skąd się wzięła ta krew?

Nika stała bosymi stopami na płytkach i zaczynała drżeć z zimna. W ostatnich tygodniach Jannis często wracał dopiero nad ranem. Czasem Ricky też przez pół nocy nie pojawiała się w domu; Nika podejrzewała, że jeździ szukać Jannisa. Przyjaciółka udawała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, lecz ona widziała, jak bardzo Ricky cierpi.

– Jak się dowiem, że masz kogoś na boku, to nie ręczę za siebie! – wykrzyczała, a potem rozległo się głucho uderzenie i bezradny szloch. Nika wstrzymała oddech. Podejrzliwość Ricky miała swoje uzasadnienie. Zadrzała z odrazy na wspomnienie dnia, kiedy Jannis czatował na nią pod łazienką. Wyszła na korytarz, a on tam stał i gapił

się na nią łakomym wzrokiem. Jego żalosne tłumaczenia, że niby przyszedł tylko po butelkę wina, były zbyt grubymi nićmi szyte, żeby w nie wierzyć. Od tamtego czasu wodził za nią wzrokiem, którego nie mogła znieść. Nika nie lubiła Jannisa. Uważała, że jest nieobliczalny. Za pięknymi i gładkimi słówkami czaiło się coś bezdusznego i pozbawionego skrupułów. Ale przede wszystkim nie chciała zawieść swojej przyjaciółki tylko dlatego, że jej chłopak zapalał nagle niewytłumaczalną sympatią do niej. Zamknęła po cichutku drzwi, włączyła światło i usiadła na klozecie. Dlaczego w ogóle Ricky zdecydowała się na ten związek? Wcześniej gustowała w wysportowanych i świetnie zbudowanych mężczyznach, którzy może rzeczywiście nie byli szczególnie wyrafinowani i nie mieli zbyt wielkich oczekiwań w stosunku do życia, jednak zawsze byli dowcipni, weseli i grzeczni. Jannis Theodorakis nie miał żadnej z tych cech. Był zbyt niejednoznaczny i trudny do zrozumienia, zarówno pod względem intelektualnym, jak i politycznym. Czyżby Ricky zaczęła się bać, że mając czterdzieści dwa lata, zostanie do końca życia sama? Czy właśnie dlatego związała się z pierwszym lepszym, który jej się napatoczył po zerwaniu z ostatnim chłopakiem, z którym spędziła siedem lat życia? Strach przed odrzuceniem tłumaczyłby również tę przerysowaną serdeczność, z jaką się do siebie zwracali. Skarbenku to, złotko tamto. Nigdy się nie kłócili i nigdy nie mówili sobie nieprzyjemnych rzeczy. Niczym niezakłócona harmonia. A że Jannis nigdy nie ukrywał negatywnego nastaw-

wienia do Stanów Zjednoczonych, Ricky nawet słowem nie wspominała o marzeniu życia: hotelu dla koni w Kalifornii. Czy porzuciła to wszystko, żeby zatrzymać przy sobie mężczyznę, który w rzeczywistości w ogóle jej nie szanował? Bo taka była prawda. Jannis gardził Ricky i, choć starał się tego nie okazywać, ona to widziała.

Nika odczekała jeszcze kilka minut, a kiedy wyszła na korytarzyk i ruszyła do swojego pokoju, odniosła wrażenie, że kłótnia piętro wyżej została już zażegnana. Nie spodziewanie dotarło do niej stękanie i sapanie. Przemknęła się do swojego pokoju, wskoczyła do łóżka i po samą szyję przykryła się kołdrą, a potem leżała nieruchomo i wpatrywała się w ciemny sufit. Nagle poczuła, że z oczu ciekną jej łzy. Przewróciła się na bok i naciągnęła kołdrę na głowę, żeby już nic nie słyszeć. Może Ricky miała rację? Lepszy mężczyzna, którego się nie kocha, niż zostać samą. Samotność ją przerażała. Nigdy wcześniej nie odczuwała tego tak strasznie boleśnie jak teraz, kiedy piętro wyżej Jannis udowydniał Ricky, że tej nocy nigdzie indziej nie zaspokoił swoich potrzeb.

Krótko przed siódmą hrabia Heinrich von Bodenstein minął gospodę „Korona” i skręcił w asfaltową drogę prowadzącą do gospodarstwa przyjaciela. Wczorajsze spotkanie zarządu stowarzyszenia pozostawiło w nim poczucie zawodu i rozgoryczenia. Jako organizacja odnieśli klęskę. Jak mogli dopuścić, żeby to zaszło aż tak daleko?! Powinien był zareagować, włączyć się w rozładowanie

konfliktu, uspokoić skłócone strony! Zrobić coś – cokolwiek – a zamiast tego siedział cicho i trzymał buzię na kłódkę, podczas gdy dyskusja eskalowała i zmieniła się w końcu we wściekłą kłótnię między Jannisem i Ludwigiem. Po zakończeniu spotkania został jeszcze trochę z przyjacielem, żeby porozmawiać, ale tego tematu obaj unikali jak ognia. Ludwig, wbrew jego radzie, przemilczał wysokość sumy zaproponowanej przez WindPro. A przecież wiadomość, że dla wspólnej sprawy odrzucił tak niesamowicie korzystną ofertę, zrobiłaby na wszystkich piorunujące wrażenie. Teraz było już na to za późno. Jannis dowiedział się jakoś o sumie, którą kusili Ludwiga, i przez listę mejlową poinformował o tym wszystkich członków stowarzyszenia. Gwałtowna dyskusja, jaką to wywołało, wzbudziła w Ludwigu rozgoryczenie. W końcu stracił panowanie nad sobą i spotkanie zamieniło się w regularną bitwę. Po tym, jak Jannis i Ricky wyszli, w sali zapanowała napięta atmosfera. Pozostałe punkty programu załatwiono bardzo formalnie i oficjalnie zamknięto zebranie. Nie, to z całą pewnością nie był dobry wieczór, a co gorsza, Jannis nie ponosił za to całej winy. Heinrich von Bodenstein westchnął ciężko. Ludwig bardzo się zmienił.

Ciemność przeszła powoli w szarość, która miała utrzymać się przez cały dzień. Prognoza pogody przewidywała deszcz i silne zachmurzenie. Kiedy mijał gospodarstwo Ludwiga i już miał skręcić w lewo, w stronę parkingu pod lasem, zauważył, że w domu jest zapalone

światło. Dziwne. Dlaczego nie zadzwonił, żeby powiedzieć, że nie był w lesie i nie trzymał warty? Bodenstein senior miał nadzieję, że nic się nie stało. Zaparkował na podjeździe, wysiadł i podszedł do drzwi. Nie były zamknięte. Zapukał. Żadnego odzewu. Wszedł do korytarza.

– Ludwig? Jesteś? Przywiozłem śniadanie!

Nic. Cisza i bezruch. Poprzedniego wieczoru przyjaciel bardzo źle wyglądał. Nerwy, problemy z dziećmi i kłótnia z Jannisem, a na dodatek awantura o łakę obciążały go znacznie bardziej, niż był gotów przyznać. Ale jeśli coś mu się stało, przynajmniej Tell powinien zareagować! Heinrich von Bodenstein zajrzał do nieposprzątanego salonu. Na stole dwa puste kieliszki do koniaku. Czyżby wieczorem jeszcze się z kimś spotkał?

– Ludwig!

Bodenstein zajrzał do sypialni. Łóżko było w nieładzie, ale puste. Ludwiga nie było też w kuchni ani w łazience. Na koniec zajrzał do jadalni. Tutaj też było pusto, lecz jego wzrok padł na szafkę na broń. Brakowało mossberga i drylinga. Zatem jednak był w lesie! W „Koronie” wypili wieczorkiem kilka piw, a potem kilka wódek, więc pewnie Ludwig zapomniał zamknąć drzwi, kiedy ruszał pełnić wartę. Heinrich von Bodenstein przez niewielkie okienko zajrzał do garażu. Stary mercedes przyjaciela stał na miejscu. Czyli nie pojechał z psem. Zatrzymał się pośrodku podwórza pod wielkim kasztanem i rozejrzał niepewnie. W koronach drzew ćwierkały ptaki i zrobiło się nieco jaśniej. Naraz zauważył jakiś ruch przy

sadzie za domem i za stodołą. W słabym świetle poranka dostrzegł czerwoną plamę. Lis! Ruszył w jego stronę, głośno klaszcząc. Zwierzę uniosło głowę i przez moment przyglądało mu się nieruchomo, by w następnej sekundzie czmychnąć między krzaki i drzewa. Krótka chwila, przez którą Bodenstein mógł obserwować lisa, wystarczyła, by się zorientował, że zwierzę coś jadło. Pchany złym przecuciem puścił się biegiem. Łąka ze stawem, którą Ludwig nazywał ogrodem, ciągnęła się do samego lasu. Bodenstein przeszedł przez furtkę płotka myśliwskiego i ruszył przez ogród warzywny, który zarósł i podupadł po śmierci Elfi. Po prawej stronie miał staw, a właściwie to niewielkie jezioro, otoczone wysokimi wierzbami płaczącymi. Powierzchnia wody była gładka jak lustro, w którym przeglądało się zachmurzone niebo. Kiedy dotarł do miejsca na skraju wody, w pobliżu którego stał lis, znieruchomiał. Niecałe trzy metry dalej, pośród czosnku niedźwiedziego, oparty plecami o pień starej wiśni siedział jego przyjaciel i spoglądał na wodę. Siwe włosy opadały mu na ramiona.

– Ludwig! – wykrzyknął z ulgą. – Tutaj jesteś! A już się o ciebie martwiłem...

Słowa zamarły mu na ustach, a serce na chwilę przestało bić. Poczował mdłości.

– O Boże! – wyjąkał i wstrząśnięty osunął się na kolana.

Przez całą noc padało, a budzący się poranek nie

przyniósł zmiany pogody, tylko deszcz i mgłę. Zsuwając obłoczone kalosze, Pia myślała o przyjaciółce. Nie czuła się dobrze z myślą, że zostawi ją na cały dzień samą w gospodarstwie. Miriam była w złym stanie emocjonalnym, mimo że poprzedniego wieczoru dla przywrócenia jej równowagi wychylili wspólnie półtorej butelki czerwonego wina. Jak Henning mógł się tak zachować? Pia była wściekła. Każda próba dodzwonienia się do niego, niezależnie, czy na komórkę czy na numer stacjonarny, kończyła się niepowodzeniem. Przez pół roku robił wszystko, żeby tylko Miriam wybaczyła mu idiotyczny i brzemienny w skutki błąd. Od kilku tygodni sprawy zdawały się iść jak najlepiej. Tymczasem wczoraj wystarczył jeden telefon od Löblich, by wszystko runęło jak domek z kart. Nie mogła tego zrozumieć.

– Nie martw się tak bardzo o Miriam – poradził jej Christoph, kiedy szli razem przez podwórze. Pia zatrzymała się i spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Nie martwię się – odpowiedziała. – Raczej wściekam, że znów jestem wciągana w problemy innych ludzi. Z drugiej strony Miriam to moja przyjaciółka.

– Wystarczyło, że byłaś z nią, kiedy tego potrzebowała, i wysłuchałaś, co miała do powiedzenia.

To nie tyle wystarczyło, ile ją wręcz przerosło. Była bardzo niezadowolona, że przez kilka godzin z rzędu musi siedzieć i rozmawiać o swoim byłym mężu, a Christoph tego słucha. Gdyby odwrócić sytuację, sama raczej by tego nie wytrzymała.

– Musiałeś słuchać tego wszystkiego – powiedziała po prostu. – Bardzo cię przepraszam.

– Naprawdę martwisz się o mnie? – Christoph podszedł bliżej, wziął ją w ramiona i pocałował. Uśmiechał się. – Niech będzie, może byłem trochę zazdrosny. Ale masz szansę to naprawić.

– Serio? – Pia uśmiechnęła się szeroko. – Powiedz mi jak. Zrobię wszystko.

– Dzisiaj wieczorem chodź ze mną na obiad. Przyjeżdżają moi znajomi z Berlina i Wuppertalu. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś mi towarzyszyła.

– A niech to... raczej nie dam rady. – Potrząsnęła głową. – Dzisiaj wieczorem jest walne zgromadzenie mieszkańców w Ehlhalten. Muszę tam być. No chyba że uda nam się porozmawiać z gośćmi, których wskazał mój szef.

– Nie ma sprawy. Praca jest najważniejsza. – Christoph uniósł brwi i wypuścił ją z ramion. Niech to szlag. Przed urlopem mieli małą scysję – drobne nieporozumienie, któremu daleko było do kłótni. Po dwóch weekendowych kursach i bezustannych dyżurach nie mogła mu towarzyszyć w służbowym obiedzie. Christoph nie skarżył się, ale wziął ze sobą akurat Inkę Hansen, weterynarke z ogrodu zoologicznego, której Pia nie darzyła szczególną sympatią.

– Poproszę kogoś z pracy, żeby poszedł tam za mnie. – Pia zmieniła zdanie. – Wtedy będę mogła ci towarzyszyć. Masz moje słowo.

– Wspaniale. W takim razie dzisiaj wieczorem o siódmej w moim biurze. Rezerwację mamy na wpół do ósmej.

– Dobrze. Już się nie mogę doczekać.

Mężczyzna uśmiechnął się, a Pia poczuła, że robi jej się ciepło na sercu. W czasie urlopu postanowiła, że nie popełni tego samego błędu co Henning, który swoją pracą zniszczył ich małżeństwo. Christoph był jej zbyt drogi.

Pocałowała go na pożegnanie i patrzyła, jak wsiada do samochodu, a potem jedzie w stronę bramy. Kiedy wypuszczała konie na wybieg, rozległ się dzwonek komórki. Spojrzała na wyświetlacz. Bodenstein.

– Pia! – krzyknął. Miał zmieniony głos. – ...koniecznie musisz tu być... natychmiast... Ehlhalten... Hirtreitera...

Połączenie było tragiczne, ale to, co udało jej się usłyszeć, przyprawiło ją o ciarki na plecach.

– ...mój ojciec... pod drzewem... zastrzelony!

Pia poczuła, jak jej włosy stają dęba.

– Nic nie rozumiem! – darła się do słuchawki. Ale połączenie zostało przerwane.

Chwilę później siedziała w samochodzie i niecierpliwie bębniła palcami po kierownicy, czekając, aż któryś z egoistycznych idiotów jadących główną ulicą w niekończącym się sznurku aut wypuści ją w końcu z podporządkowanej. Już chciała włączyć syrenę i wystawić na dach koguta, który leżał za jej fotelem, kiedy jeden z kierowców zlitował się nad nią i zwolnił, lecz

nie mógł darować sobie migania światłami i niecierpliwego poganiania gestami. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „No pospiesz się, głupia krowo!” Pia uznała, że za coś takiego nie należą mu się podziękowania. Pięćdziesiąt metrów dalej większość samochodów skręcała na autostradę w stronę Frankfurtu. Pia dodała gazu. Bez skutku usiłowała dodzwonić się do Bodensteina i do byłego męża.

– A niech cię diabli, Henning – mruknęła wściekła.

Mógł ruszyć w trasę promocyjną swojej nowej książki koleją, w pierwszej klasie, albo samolotem, w klasie biznesowej, a jednak wolał przemierzać Niemcy własnym samochodem. W czasie jazdy długimi odcinkami autostrad miał czas, żeby myśleć. Poza tym zyskiwał niezależność i trochę spokoju. Odstępowały go tłumy ludzi przewalające się przez dworce i lotniska. Godził się na to jedynie, kiedy musiał udać się za granicę i nie było innego sposobu, by się tam dostać. W Instytucie krążyła nawet plotka, że boi się latać, ale nie przejmował się tym, co ludzie mówili za jego plecami. Musiał to zaakceptować, tak samo jak tłumy pochlebców, zazdrośników, potakiwaczy i intrygantów. Jako dyrektor Niemieckiego Instytutu Klimatycznego był bardzo wpływową osobą, lecz jednocześnie wzbudzał niechęć – ba, nienawiść! – wszystkich tych, którzy podawali w wątpliwość zasadność polityki klimatycznej, którą kształtował. Dirk Eisenhut uruchomił silnik swojego samochodu, volvo xc 90. Kolejnym przystankiem

na trasie jego tournée był Hamburg. W południe spotkanie i podpisywanie książek w Centrum Europejskim, gdzieś przy Jungfernstieg, a wieczorem wykład. Jadąc w kierunku A10, wprowadził do systemu nawigacji adres. 284 kilometry. Szacowany czas przyjazdu jedenasta dwadzieścia osiem. Prognozowany mały ruch. Jego myśli wciąż krążyły wokół Bettiny i tamtego sylwestrowego wieczoru. Ze względu na eksponowane stanowisko i funkcję, jaką pełnił, policja przeprowadziła pełne dochodzenie w celu ustalenia okoliczności pojawienia się ognia w jego poczdamskim domu. Lokalnych funkcjonariuszy zmusili do tego przełożeni, bo już wcześniej dostawał bardzo wiele gróźb. Przychodziły do niego mejle i zwykłe listy z zapowiedzią pobicia, śmierci czy po prostu z wyzwiskami. Oczywiście niemal zawsze anonimowe. Badano nawet wersję z zamachem. Zapytano go, czy miał wrogów. No a jakże! Miał ich na pęczki. Dla ogromnej rzeszy sceptyków profesor doktor habilitowany Dirk Eisenhut był ucieleśnieniem całego zła i kłamstwa, którego źródłem byli wszyscy czerpiący krociowe zyski ze wzbudzania strachu przed katastrofą klimatyczną – w tym jego Instytut. Lecz wrogów miał również wśród współpracowników. Wielu zazdrościło mu sukcesu. Jego znajomości i wpływy sięgały najwyższych stanowisk w ONZ, a ówczesny rząd federalny niemal jadł mu z ręki, bo jego prognozy przez długie lata stanowiły podstawę kształtowania polityki klimatycznej całego kraju.

Po dość długim czasie dochodzenie zostało zawie-

szone ze względu na brak jakichkolwiek wyników. Uznano, że pożar był nieszczęśliwym wypadkiem.

Jednak Eisenhut wiedział lepiej. Tyle że nie miał dowodów uzasadniających podejrzenia. Popełnił dwa błędy – dwa idiotyczne błędy, które mogły kosztować go wszystko, co osiągnął przez ostatnie ćwierć wieku. Od tamtej sylwestrowej nocy chwycił się każdej możliwości i pozyciował wiele długów wdzięczności, żeby pewne sprawy zostały sprawdzone w sposób legalny i nieco mniej legalny. Wyniki były zatrważające. Cała sprawa okazała się mieć znacznie większy zasięg, niż przypuszczano, i stanowiła ogromne zagrożenie. Niestety, nie udało mu się znaleźć jednoznacznego dowodu.

Dirk Eisenhut zwolnił nieco i wjechał na rozjazd Havelland, na A24 do Hamburga. Odezwał się telefon pokładowy. Kciukiem wybrał odpowiedni przycisk na kierownicy luksusowego volvo i odebrał połączenie.

– Dzień dobry, panie profesorze. – Z głośników popłynął nieco spięty głos, którego przez kilka sekund nie mógł przypisać do żadnej twarzy. Skojarzył go dopiero po dłuższej chwili. – Czy nie przeszkadzam?

– Nie, nie, siedzę w samochodzie. W czym mogę pomóc?

Spojrzał przed siebie, na prostą i pustą autostradę. Przyspieszył. Dwustuczterdziestotrzykonny silnik bez problemu wręcz katapultował ciężką maszynę do przodu. Pojedyncze ślimaczące się ciężarówki na prawym pasie migwały tylko w bocznym oknie, kiedy je mijał.

– To raczej nie jest rozmowa na telefon, panie profesorze. Niestety, pojawił się drobny problem.

Problemy zawsze oznaczały coś niedobrego, a ton głosu partnera w interesach oznaczał, że słowo „drobny” było eufemizmem.

– A jaki konkretnie? O co chodzi?

– Chodzi mianowicie o ekspertyzę, którą zamówiliśmy u pana i pańskich współpracowników. Mieliśmy włamanie do firmy. I najwyraźniej dokument wpadł w ręce komuś, kto nie powinien był go widzieć.

Eisenhut zmarszczył czoło.

– Może pan mówić jaśniej? Obawiam się, że wciąż nie rozumiem, na czym polega problem?

– W czasie włamania zginęła jedna osoba. Mamy na karku policję kryminalną.

– No i? Co to ma wspólnego ze mną?

– Bezpośrednio nic. Ale możliwe... no cóż, można się spodziewać, że w jakiś sposób dotrze to do pana. – Mężczyzna po drugiej stronie nie mówił wprost, o co chodzi. – Dokładniej rzecz biorąc, w jakiś sposób już to pana dosięgło.

– Pojutrze będę przecież u was na miejscu – stwierdził Dirk Eisenhut. – Wtedy porozmawiamy w spokoju.

– Obawiam się, że nie mamy tyle czasu.

– Teraz już zupełnie nic nie rozumiem. Ekspertyza przygotowana na pańskie zamówienie była rzetelna i nie do podważenia. Moi pracownicy stworzyli odpowiednie modele całkowicie zgodne z dostarczonymi przez pana

danymi i...

– I tu właśnie tkwi problem – przerwał mu rozmówca. – Te dane... one nie były... hmmmm, nie były właściwe.

Eisenhut zaczynał rozumieć. Niech to szlag. Drobną przysługa dla znajomego, która może okazać się kamieniem młyńskim u szyi. I to akurat teraz, kiedy cała branżowa prasa interesowała się jego osobą i książką, którą napisał... tylko tego brakowało!

– Mam nadzieję, że się przesłyszałem – oznajmił lodowato. – Oddzwonię z hotelu.

Leżał w łóżku i czekał, aż Ricky i Nika zamkną za sobą drzwi do domu. Wtedy wstał i zszedł do piwnicy. Jannis chciał wejść do pokoju Niki, ale zamknęła go na klucz. Poczł rozczarowanie. Spojrzał na zamek w tanich drzwiach z supermarketu i się zawahał. Drucianym wieszakiem mógłby je bez problemu otworzyć, ale miałby kłopot z zamknięciem, a okno zostało kiedyś zabezpieczone kratami. Zaczł się skłaniać ku temu, by porzucić swój plan i poczekać na lepszą okazję. Jednak ciekawość i chęć dowiedzenia się czegoś więcej o Nice były silniejsze niż dyskomfort płynący z naruszenia czyjejś prywatności – tym bardziej teraz, kiedy już wiedział, z kim ma do czynienia. Jej nieszczerowość potwornie go oburzała.

Jannis wpatrywał się niezdecydowanym wzrokiem w zamek. Po chwili odwrócił się na pięcie i wbiegł na górę, do sypialni. Gwałtownym ruchem otworzył szafę

z ubraniami i wybrał dość mocny wieszak. Przy odrobinie szczęścia niczego nie zauważy. W kilka minut poradził sobie z drzwiami i stanął pośrodku pokoju swojej lokatorki. Zanim go jej wynajęli, pomieszczenie służyło im za siłownię.

W jednym narożniku stała bieżnia elektryczna, w drugim wariacko drogi rower stacjonarny, na którym razem nie przejechali więcej niż dziesięć kilometrów, a pod ścianą znalazło się miejsce na stojak z hantlami. Ricky od miesięcy nosiła się z zamiarem sprzedaży całego sprzętu przez eBay, lecz nigdy nie było na to dość czasu. Jannis przesunął wzrokiem po starannie pościelonym łóżku, stoliku z wazonem pełnym polnych kwiatów i skoncentrował się na regale z książkami. Popatrzył na tytuły. Beletrystyka. Głównie kryminały, ale też trochę biografii. Znani autorzy, prawie same bestsellery. Nika musiała być prawdziwym mołem książkowym, bo kupiła je już po tym, jak się wprowadziła – wszystkie wyglądały na nowe.

Na białych ścianach wisiały obrazy, które Ricky pasjami kupowała w supermarketach, gdzie była stałą klientką – krajobrazy z Toskanii, tanie reprodukcje wielkich dzieł... ten rodzaj sztuki zajmował wszystkie ściany w domu. Jannis szczerze ich nie cierpiał, ale pasowały do stylu, w jakim jego dziewczyna urządziła wnętrza. Podszedł do szafy z boku i otworzył drzwi. Starannie poukładane spódnice w kwiaty, w których gustowała Nika, sukienki, bluzki i swetry robione na drutach. Jannis wyjmo-

wał szufladę za szufladą i bez śladu wyrzutów sumienia sprawdzał po kolei ich zawartość. Prosta, biała bawełniana bielizna, biustonosze w kolorze beżu, rozmiar 75B, białe i szare skarpetki. Żadnych siatkowych pończoch, żadnych przejrzystych dessous, wszystko takie, jak się spodziewał. Nika nie należała do kobiet o wyrafinowanych potrzebach.

Otworzył drzwi kolejnej szafy. W środku znalazł jedynie dwie walizki, z którymi do nich przyjechała. Nic. Rozczarowany chciał zamknąć szafę, lecz dostrzegł, że pod złożonymi kocami na samym dole leży jeszcze skórzana torba podróżna. Schylił się, odsunął materiał i złapał za rączkę. Była bardzo ciężka. Wyjął ją i obejrzał dokładnie. Mimo że trochę zużyta, wyglądała na wykonaną z bardzo dobrych materiałów. Z rosnącą niecierpliwością rozpiął dwie klamry i podniósł wieko.

– No proszę, co my tu mamy – mruknął. Najpierw w oczy rzucił mu się laptop. MacBook. A pod nim nawet iPhone! Co za podstępna kobieta! I fałszywa. W torbie znalazł jeszcze pęk kluczy, szkatułkę z biżuterią, portmonetkę z prawem jazdy, dowodem osobistym, paszportem i całą baterią kart kredytowych i bankowych.

Dlaczego Nika udawała przed nim i Ricky kogoś innego, niż była? Dlaczego się kryła? Zamyślił się. Czy Ricky wiedziała, że przyjaciółka ich oszukuje? Jeśli tak, to dlaczego mu nie powiedziała? Nie potrafił tego zrozumieć. Jannis przyjrzał się pojedynczym ubraniom, które Nika trzymała w torbie. Dżinsy, bluzka, dwa sweterki,

dwie pary czółenek. Nagle drgnął, jakby się poparzył. Patrzył na zawartość skórzanej torby i głęboko oddychał. Wielu rzeczy mógł się spodziewać, ale zupełnie nie liczył się z możliwością znalezienia tego, co miał przed sobą.

Pia zatrzymała samochód za radiowozem, który stał przed bramą podwójnego garażu, wyskoczyła zza kierownicy i rozejrzała się. Gospodarstwo Ludwiga Hirtreitera leżało powyżej Ehlhalten, jakieś dwa kilometry od wsi, niedaleko lasu. Dookoła zieleniły się łąki, upstrzone kolorowymi kwiatami, a w powietrzu unosiła się mgła. Wysypiana tłuczniem droga prowadziła do leżącej nieco z tyłu szopy, bo asfalt zakręcał ostro przy samej bramie do gospodarstwa i wspinał się dalej, do parkingu na skraju lasu. Pia przeszła przez podwórze i zatrzymała się. Dom zbudowany był w charakterystycznym stylu górnobawarskim, ze ściemniałego od upływu czasu drewna, maskującego brzydotę budowli, z porożem przytwierdzonym pod samą kalenicą. Posiadał nieco cofniętą galeryjkę i werandę. Pii kamień spadł z serca, bo na stopniach prowadzących na drewniany podest siedział hrabia Heinrich von Bodenstein – blady, ale cały i zdrowy. Bogu niech będą dzięki! Pia знаła ojca swojego szefa jako bardzo dumnego, stanowczego starszego pana. Trudno jej było uwierzyć, że człowiek, którego wcześniej spotkała kilka razy, i ten zgarbiony, z potarganymi włosami starzec, siedzący nieruchomo na schodkach z wzrokiem wbitym w ziemię, to jedna i ta sama osoba.

Sytuacja zdawała się przytłaczać jej szefa, bo nie zwykł widywać ojca w podobnym stanie. Oczywiście nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby wziąć go w ramiona i po prostu przytulić – Pia zdawała sobie z tego sprawę, a co więcej, znała przyczynę takiego stanu rzeczy. Otóż w surowej dyscyplinie, w jakiej wychowywani byli wszyscy Bodensteinowie, miejsce serdeczności i empatii zajęło opanowanie i dystans. W sumie nie dziwiła się nawet jego bezradności.

– Pia – powitał ją z ulgą i ruszył w stronę podwładnej. – Denat był najbliższym przyjacielem mojego ojca. Tata znalazł go mniej więcej przed godziną. Jest w szoku.

– Nie możesz mieć mu tego za złe – odparła Pia. – Powiedział coś?

– Nie, nic. – Bodenstein wzruszył ramionami. – Ja... prawdę mówiąc nie wiem, co powinienem zrobić.

– Spokojnie, ja się nim zajmę.

Pia poleciła umundurowanym funkcjonariuszom zabezpieczającym okolicę, by odsunęli się kawałek i zamknęli wejście na szutrową dróżkę. Gdyby morderca poruszał się samochodem, istniała możliwość, że zostały tam ślady opon. Kiedy policjanci poszli wykonać polecenie, Pia podeszła do ojca Bodensteina.

– Jak się pan czuje? – zapytała, siadając obok niego na drewnianym schodku, i położyła mu dłoń na ramieniu.

Staruszek westchnął, a potem uniósł głowę i spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– Ludwig był moim najstarszym przyjacielem – wy-

chrypiał. – Co za okropna śmierć! Dlaczego musiał tak umrzeć...

– Tak strasznie mi przykro. – Pia wzięła go za rękę i ścisnęła, żeby wyrazić współczucie. – Poproszę kogoś od nas, żeby odwieźli pana do domu.

– Nie, dziękuję... mam tu samochód... – zaczął, ale niespodziewanie załamał mu się głos. – Tell też tam leży. Tuż obok Ludwiga. I ten lis... lis... on ich...

Zamilkł i zasłonił oczy wolną dłonią. Walczył, żeby się nie załamać. Pia spojrzała na szefa i napotkała jego przerażone spojrzenie. Czyżby się wstydził, że jego ojciec okazuje uczucia? Potrząsnęła głową, dając mu do zrozumienia, żeby jeszcze nie podchodził. Bodenstein w mig zrozumiał jej zamiary, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę miejsca, gdzie znajdowało się ciało.

– Kto tam leży? – zapytała cicho, kiedy szef znalazł się poza zasięgiem głosu. – I o co chodzi z tym lisem? Może mi pan powiedzieć?

Starszy mężczyzna potaknął milcząco, a ona czuła, że cały drży. Przez chwilę siedzieli tak obok siebie, zanim zaczął opowiadać.

– Tam siedzi Ludwig. Obok niego leży Tell, jego pies. Wszystko jest we krwi... – Jego głos ponownie zaczął się załamywać.

– Przepraszam – wyszeptał ledwie słyszalnie. Przez chwilę usiłował jeszcze zapanować nad emocjami, lecz szok i rozpacz były zbyt silne, by mógł utrzymać je za murem opanowania. Pia trzymała go za rękę i pozwalała

opłakiwać śmierć zamordowanego przyjaciela.

Zmarły siedział w wysokiej trawie, plecami oparty o chropowatą korę wiśni. Gdyby nie grzywa siwych włosów, mokrych i skołtunionych, Bodenstein nie rozpoznałby przyjaciela swojego ojca, bo zamiast twarzy widać było czerwoną, bezkształtną masę zakrzepniętej krwi, tkanek i kości. Drugi strzał trafił Hirtreitera w brzuch, zmieniając go w szkarłatną breję. Martwe ciało, niczym różowym całunem, pokryte było płatkami kwiatów wiśni. Przerazająco groteskowy widok. Tuż obok, z pyskiem na jego kolanie, leżał Tell, pies Ludwiga. Postrzał pozbawił go połowy klatki piersiowej. Sądząc po śladach krwi na ziemi, konające zwierzę ostatkiem sił doczołgało się jeszcze do swojego martwego pana.

– Biedactwo – wyrwało się Pii. – Zimno się robi, jak się patrzy na coś takiego. Szkoda mi twojego ojca.

Bodenstein nie odpowiedział. Przykucnął i z odległości przyjrzał się ranie.

– Stawiam na śrutówkę. Strzał najwyżej z pięciu metrów – odezwał się tak rzeczowo, jak tylko potrafił. Stan jego ojca wstrząsnął nim do głębi – pewnie nawet bardziej niż widok zwłok Hirtreitera. Co gorsza, nie potrafił znaleźć słów ani gestów, którymi mógłby dodać otuchy Heinrichowi. W trudnych sytuacjach starał się uciekać w rutynę i tym razem nie było inaczej. Jednak, przekonywał się w myślach, ojciec pewnie wolałby, żeby tak było, bo przecież w ich rodzinie nie okazuje się słabości...

– Czy... czy mój ojciec cokolwiek powiedział? – zapytał.

– Niewiele – odparła Pia. – Jest w szoku. Bardzo go to wszystko poruszyło. Znałeś ofiarę?

– Oczywiście. – Bodenstein wstał i się wyprostował. – Ludwig Hirtreiter był najlepszym przyjacielem ojca.

Przypomniawszy sobie dzieciństwo. On i jego rodzeństwo uwielbiali wycieczki do gospodarstwa Hirtreiterów. Wujek Ludwig wspaniale opowiadał różne historie, a znał ich całe mnóstwo. Ciocia Elfi zawsze piekła jakieś ciasto. Po jej śmierci Ludwig bardzo się zmienił. Zgorzkniał i zrobił się złośliwy. Nawet ojciec czasem nie wiedział, jak zareagować na jego gburowate zachowania.

– Musimy powiadomić jego rodzinę. – Pia zapięła kurtkę. Po kilku niemal letnich dniach znów zrobiło się chłodno. Na dodatek przemoczyła buty w mokrej trawie i trzęsła się z zimna. Silniejszy podmuch wiatru porwał płatki kwiatów wiśni i przykrył nimi ciała psa i jego pana. Bodenstein odwrócił głowę i spojrzał w stronę zabudowań. Przed gospodarstwo podjechały dwa radiowozy, a tuż za nimi zatrzymała się ciemnogrnatowa furgonetka ekipy techników zabezpieczających miejsce zbrodni.

– Ja się tym zajmę – pokiwał głową. – Żona Ludwiga zmarła kilka lat temu. Przekażę jego dzieciom, co się stało.

Pia przysiadła na najwyższym stopniu werandy, pod daleko wysuniętym dachem, i zapaliła papierosa. Zaczął

siąpić delikatny deszczyk, nikomu nie było do śmiechu, a nastroje techników kryminalistycznych były grobowe. Ojciec Bodensteina wcisnął jej do ręki kluczyki do swojego zielonego landrovera i wsiadł do jednego z radiowozów, którym miał wrócić do domu.

Policjantka przesunęła wzrokiem po podwórzu i zatrzymała się na rozłożystym kasztanowcu pośrodku. Christoph powinien go zobaczyć, pomyślała. Byłby chyba tak samo zachwycony jak ona. Gospodarstwo było nieco zapuszczone, ale jeszcze niepodupadłe. Christian Kröger zaprowadził swoich ludzi do ciała, a potem wrócił przed dom. Pia jeszcze raz zaciągnęła się papierosem.

– Tylko mi nie rzucaj niedopałków byle gdzie – burknął szef techników, kiedy ją mijał, idąc w kierunku drzwi.

– Wstałeś lewą nogą? Czy coś się stało? – Pia zdusiła niedopałek obcasem. Po dość krótkiej nocy w towarzystwie Miriam nie była w najlepszym humorze. – Żebyś nie szukał za długo, klucz leży pod doniczką z bukszpanem.

Ludzie wymyślali tak naiwne i łatwe do zgadnięcia schowki na zapasowe klucze do swoich domów, że graniczyło to z głupotą.

– Dzięki – burknął Kröger. W tej samej chwili na podwórzu wjechał szybko srebrny mercedes kombi na frankfurckich numerach.

– Niech to diabli, jeszcze tego mi tutaj brakowało. A ponoć miał być chory – utyskiwał szef techników, ro-

biąc przy tym bardzo niezadowoloną minę.

– Ja nie narzekam, mam z nim do pogadania. – Pia potrząsnęła głową, schowała niedopałek do kieszeni kurtki i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę samochodu byłego męża. Ledwie się zatrzymał, szarpnęła za klamkę i otworzyła drzwi kierowcy.

– Czy ci do cna odbiło? Co ty w ogóle wyprawiasz? – zaatakowała go na powitanie. – Co ci strzeliło do głowy?!

– Cześć, Pia. – Doktor Henning Kirchhoff wyszczerzył zęby i wysiadł z auta. Nie wyglądał świeżo, ale za to był w doskonałym humorze. A potem zrobił coś niewiarygodnego: przy wszystkich ludziach wziął Pię w ramiona i pocałował w policzek.

– Odbiło ci? – odepchnęła go ze złością. – Przez całą noc usiłowałam się do ciebie dodzwonić! Dlaczego nie odbierałeś?

– A coś się stało? – O dziwo, nie był na nią w ogóle zły. Pia wpatrywała się w niego zaskoczona. Co się z nim stało? Czyżby widok dziecka tak go odmienił, że z radości całkowicie zapomniał o Miriam?

– Jak mogłeś tak po prostu rzucić wszystko i popędzić do tej Löblich i... – zaczęła, ale nie dokończyła, bo Henning przerwał jej gwałtownie.

– Hej! Posłuchaj uważnie! – Aż zatarł z radości ręce. – Racja, pojechałem prosto do szpitala. I tak, poszedłem zobaczyć dzieciaka. Ale nie dlatego, że nie mogłem się go doczekać. Zabrałem ukradkiem jeden włoszek i pobrałem wymaz ze śluzówki w ustach. I wszystko tak, że Valerie

niczego nie zauważyła!

Mówiąc to, aż zachichotał z radości. Pia zaczęła podejrzewać, że postradał rozum. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie emocjonalnym.

– Przez pół nocy siedziałem w laboratorium, żeby przeprowadzić test na ojcostwo – zdradził półgłosem. Pia straciła mowę.

– ...i? – wykrztusiła po chwili.

– I na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent nie jestem ojcem jej dziecka! – oznajmił zadowolony z siebie.

– No to szczerze gratulacje. Ale za to na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent pozbyłeś się też Miriam – odparła Pia trzeźwym głosem i podparła się pod boki. – Od wczoraj wieczora jest w całkowitej rozsypce. Noc spędziła u mnie, wyplakując sobie oczy.

Z twarzy Henninga zniknął samozachwył. Przez chwilę patrzył na nią zbity z tropu.

– Och... – mruknął w końcu.

– Może byłoby inaczej, gdybyś chociaż do niej zadzwonił albo przynajmniej odebrał telefon – dodała z wyrzutem.

Zza narożnika domu pojawił się Christian Kröger. Przemoczony kombinezon kleił mu się do ubrania jak druga skóra i był w jeszcze gorszym nastroju niż na początku.

– Może ruszyłby pan łaskawie z robotą, co? – zwrócił się niemiłym tonem do Henninga. – Bo chciałbym skoń-

czyć jeszcze przed wieczorem.

– Rozmawiam właśnie z byłą żoną, jeśli pan nie zauważył – odpowiedział Henning bardzo podobnym tonem.

– Niech się pan cieszy, że udało się panu pojawić na miejscu przede mną. Mam tylko nadzieję, że nie zrobiliście znowu czegoś głupiego.

Kröger momentalnie spochmurniał.

– Co to ma znaczyć? Jak to, znowu? – zaatakował lekarza sądowego.

Henning otworzył bagażnik swojego mercedesa.

– Ostatnim razem, kiedy ujawnienie zwłok nastąpiło w deszczu, któryś z waszych dyletantów przykrył je folią, dzięki czemu nie dało się już ustalić temperatury ciała i czasu zgonu – wyjaśnił, nie odwracając się.

– W mojej ekipie pracują sami profesjonaliści, a nie dyletanci! – Kröger zazgrzytał zębami i poczerwieniał.

– Możecie choć na chwilę przestać? – wtrąciła się Pia, a widząc, że Henning uśmiecha się cynicznie i przygotowuje do odpowiedzi, dodała: – Zachowujecie się jak małe dzieci!

Christian Kröger mruknął coś i potrząsnął głową.

– Mimo najszczerzej chęci nie potrafię zrozumieć, jak mogłaś tak długo wytrzymać z tym... tym... draniem – syknął, po czym odwrócił się i ruszył w stronę domu.

– No proszę, inteligentny człowiek, ale jednocześnie prymityw, ten nasz mistrz Kröger – skomentował Henning, wkładając kombinezon. – Tendencyjny i przewrażliwiony. Fatalna mieszanka.

Pia przewróciła oczyma i nic nie powiedziała. Lubiła Krögera i chętnie z nim współpracowała, mimo że rzeczywiście był nieco humorzasty.

– Zadzwoń do Miriam – poradziła byłemu mężowi, zanim ruszyli za Krögerem w stronę domu.

Przed biało-czerwoną plastikową taśmą zatrzymała się czerwona furgonetka ze stylizowaną koroną na drzwiach. Łysy kierowca opuścił szybę i wychylił się na zewnątrz, by porozmawiać z jednym z funkcjonariuszy. Przez cały czas spoglądał z zainteresowaniem na Pię. Czyżby rozeszła się już wiadomość o śmierci Hirtreitera i mieszkańcy wioski, gnani niezdrową ciekawością, ruszyli na miejsce zbrodni? Łysy kierowca wrzucił po chwili wsteczny bieg i odjechał. Policjant, który z nim rozmawiał, podszedł do Pii.

– Pani komisarz – powiedział. – Ma pani chwilę?

– O co chodzi? – zapytała Pia.

– To był Georg z „Korony”, gospody przy głównej ulicy. Twierdzi, że ma dla pani coś interesującego. Chce tam pani zaraz jechać, żeby z nim pogadać?

– Tak. Niech mi pan da sekundę. Muszę przedtem obejść dom. Mówił coś jeszcze?

– Tylko to, że Ludwig był wczoraj wieczorem w „Koronie” i że ostro się z kimś tam pożył. Może to ten gość go potem zastrzelił.

– Rozumiem. – Pia uniosła brwi. Zapowiadało się interesująco. – Za pięć minut będę gotowa.

Stał przy umywalce w łazience i szorował dłonie i przedramiona plastikową szczotką, aż skóra zmieniła kolor na ciemnopurpurowy. Mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że wciąż czuje obrzydliwy zapach krwi. Nie chciał już dłużej ciągnąć tego z Ricky. Wszystko, co go wcześniej w niej pociągało, teraz wręcz przeciwnie, zaczęło go odpychać. To, że bezustannie miała dobry humor, że bez wahania i bez żadnych ale rzucała się do pracy, jeśli wierzyła, że robi to dla lepszej sprawy, i jeszcze ta jej powierzchowna serdeczność. Jednak najgorsze było to, że przestała go pociągać. Inni mężczyźni uważali Ric-ky za seksowną i atrakcyjną kobietę, lecz na niego jej opalona skóra i szczupłe ciało działały odstręczająco. A wybuch zazdrości wczoraj w nocy był kroplą, która przepełniła czarę. Rzuciła się na niego, jakby coś w nią wstąpiło. Stał tak, w zakrwawionym ubraniu, zdenerwowany i wściekły i niewiele brakowało, a przez pulsującą w żyłach adrenalinę najzwyczajniej w świecie by jej oddał.

Jannis zakręcił kurek ciepłej wody i sięgnął po ręcznik. Przed nim była jeszcze cała masa roboty, bo przecież podczas wieczornego walnego zgromadzenia mieszkańców miał siedzieć na podium, przy stole prezydialnym, więc chciał być perfekcyjnie przygotowany. Ludwig wpadł w pułapkę, którą zastawił sam na siebie, robiąc ze wszystkiego tajemnicę. Dlatego przegrał na spotkaniu zarządu. Jannis doskonale wiedział, że staruszek nie będzie w stanie zaakceptować demokratycznej decyzji – prze-

strzegania zasad oczekiwał jedynie od innych. Nigdy jeszcze nie zachowywał się w ten sposób. Jannis spojrział w lustro. Miał zadowoloną minę. Ludwiga Hirtreitera spotkała wczoraj zasłużona kara. W końcu. Dobrze, że sam się tym zajął.

Nieco później wyprowadził z garażu swój rower. Padał deszcz, ale Jannis koniecznie potrzebował ruchu, żeby przewietrzyć głowę i móc znów swobodnie myśleć. Jadąc przez las w kierunku Ruppertshain, cały czas myślał o Nice. Wczoraj w nocy, kiedy kochał się z Ricky, też o niej myślał. Dlaczego ukrywała przed nimi swoje nazwisko? Dlaczego nie chciała powiedzieć, kim naprawdę jest, i jaką jeszcze tajemnicę mogła skrywać? Tysiące pytań, na które nie znał odpowiedzi. Musiał jednak okiełznać na jakiś czas swoją ciekawość. Ta sprawa wymagała bardziej przemyślanego i wyrafinowanego podejścia, bo za żadne skarby nie mógł wzbudzić jej podejrzeń. Z całą pewnością miała dobry powód, żeby się u nich ukrywać, i również nie wątpił, że istniało dobre wyjaśnienie zawartości jej torby podróżnej. Deszcz spływał mu po twarzy. Jannis był tak pogrążony w rozmyślaniach, że dopiero po chwili zorientował się, dokąd dojechał. Zaskoczony zatrzymał rower przed sklepem zoologicznym. Zsiadł z siodła i wszedł do środka. Nika stała samotnie za ladą. Poza nią w sklepie nie było nikogo.

– Hej, Jannis. – Miała bardzo bladą twarz. – Wyobraź sobie, że przed chwilą Heinrich zadzwonił do Frauke ze smutną wiadomością. Wczoraj w nocy Ludwig został za-

strzelony!

– Co? – Przeważenie podziałało na niego jak uderzenie prądu. – Zastrzelony?

– Zgadza się. Heinrich chciał dzisiaj rano przejąć straż w lesie, ale po drodze wpadł do niego i znalazł ciało. Okropna sprawa.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że mi przykro – odparł Jannis. – Mam jedynie nadzieję, że nie odwołają z tego powodu wieczornego spotkania.

– Jak możesz w ogóle tak mówić! – Zaszokowana dziewczyna potrząsnęła głową.

Jannis minął ją i wszedł do biura na zapleczu i usiadł na jednym z krzeseł. Opadł na oparcie i przeczesał palcami mokre od deszczu włosy. Nika stanęła w progu.

– Co się stało z twoimi dłońmi? – zapytała.

– Alergia – wyjaśnił z lekceważącym wzruszeniem ramion. – Męczy mnie co wiosnę.

Nika stała w drzwiach i przyglądała mu się z osobliwym wyrazem twarzy. Miał wielką ochotę, by powiedzieć jej, co o niej wie, ale na to było jeszcze zbyt wcześnie. Postąpiłby nierozważnie. Miał nadzieję, że Ricky wróci do sklepu nieco później.

– Chciałbym poprosić cię o pomoc – oznajmił.

– Mnie? – Nika zrobiła zaskoczony wyraz twarzy i uniosła brwi. – A o co?

– Mam wrażenie, że przez nagromadzenie tych wszystkich szczegółów umyka mi coś ważnego, co można odczytać przy całościowym spojrzeniu – zaczął. – Pamię-

tasz te dwie ekspertyzy, które wczoraj przeglądałem?

Dziewczyna potaknęła.

– Chodzi o ekspertyzy, które WindPro wykorzystwała przy składaniu wniosku o pozwolenie na budowę. Ich konkluzje różnią się diametralnie od starszych ekspertyz wykonanych przez firmę EuroWind, które osiem lat temu zostały zamówione przez Hesję. Różnice są tak wielkie, że coś tu aż śmierdzi.

– Co ja miałabym zrobić? – zapytała Nika ostrożnie.

– Ja nie mam o tych sprawach bladego pojęcia.

Kłamczuszka, pomyślał Jannis. Jeśli ktokolwiek miał o nich pojęcie, to właśnie ona.

– To nie jest takie trudne – wyjaśnił. – Bardzo mi pomoże, jeśli porównasz po prostu wszystkie dane i wynotujesz je, żebym zrozumiał, w którym miejscu wszystko się rozjechało. Potrzebuję argumentów. Nika, zrozum, mogłabyś mi ogromnie pomóc.

Genialny plan, żeby poprosić ją o pomoc, dopiero teraz kształtował się w jego głowie. Przy czym zupełnie jej nie potrzebował, bo sam doskonale radził sobie z odczytywaniem i rozumieniem ekspertyz.

– Przejrzyj, proszę, dwa dokumenty: jeden przygotowany przez gościa z Climatic Research Unit z uniwersytetu w Walii i drugi napisany przez profesora Dirka Eisenhuta z Niemieckiego Instytutu Klimatycznego, a na koniec porównaj przytoczone przez nich liczby.

Obserwował ją uważnie, więc dostrzegł błysk przestrachu w jej oczach, kiedy wspomniał o Dirku Eisenhu-

cie. Jeśli wcześniej miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, teraz pozbył się ich całkowicie. Miał już pewność, że wie, kim tak naprawdę jest Nika. Już wcześniej postanowił, że wykorzysta tę wiedzę do własnych celów.

– Theissenowi chodzi tylko o pieniądze i zupełnie go nie interesuje, czy wiatraki będą się obracały czy nie. – Jannis mówił półgłosem, jakby zdradzał jej wielką tajemnicę. – Niestety, ma bardzo wpływowych przyjaciół, którym zapewnia regularny dopływ gotówki. Wiem o tym, bo przecież przez całe lata pomagałem mu rozbudowywać sieć biznesowo-politycznych znajomości. I...

– Niech będzie – przerwała mu Nika. – Kiedy mam się tym zająć?

Jannis uśmiechnął się zadowolony. Połknęła haczyk.

W sklepie rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Dasz radę zrobić to jeszcze dzisiaj? – zapytał pośpiesznie. – Jeszcze przed spotkaniem?

– Spróbuję. O wpół do drugiej będę w domu – oznajmiła, a potem odwróciła się i weszła do sklepu. Jannis dostrzegł przez okno ciemne audi parkujące na podjeździe. Ricky. Nie powinna go tu zobaczyć. Wyszedł za Niką do sklepu. Dziewczyna zignorowała porozumiewawcze mrugnięcie okiem, jakie jej posłał, po czym wyszedł na ulicę. Zanim wsiadł na rower, odetchnął kilka razy głęboko. Doskonale! Z pomocą Niki przekreślił plany Theissena i jego współpracowników. Przekreślił je tak, że do nich nie wróca!

W domu panował zaduch i wszędobylska woń stęchlizny, jakby od dawna nikt nie otwierał okien. Podłoga była tak brudna, że nie dało się stwierdzić, jakiego właściwie koloru są płytki. Za szybami widać było jedynie zamknięte okiennice, a w każdym kącie i pod ścianami wałały się sterty gazet, kurtki, buty i puste butelki. Pia nie lubiła przekraczać granic prywatności i wchodzić w życie obcych ludzi, lecz żeby dowiedzieć się czegoś więcej o życiu zamordowanego, musiała się przemóc. Kiedy zobaczyła, jak straszny bałagan panuje w domu Hirtreitera, poczuła się jeszcze bardziej skrepowana. Kilka lat temu sama została uprowadzona, a jej mieszkanie przeszukane przez policję. Od tamtego czasu bardzo dbała o porządek i czystość. Przerazała ją myśl, że jacyś obcy ludzie mieliby grzebać w jej brudnej bieliźnie, zatykając przy tym ostentacyjnie nos, a potem, nie daj Boże, jeszcze o tym plotkować.

– Jak on mógł wytrzymać w takich chlewie? – wyszeptał Bodenstein zaskoczonym głosem. – Dawniej, kiedy tu przychodziliśmy, było tak czysto, że można by jeść prosto z podłogi. Śmierć Elfi chyba bardziej nim wstrząsnęła, niż przypuszczałem.

Pia była nieco zaskoczona niespodziewanym współczuciem w słowach szefa. Nie skomentowała ich jednak w żaden sposób, tylko ruszyła dalej. Sprawdzali pokój za pokojem. W salonie wyglądało podobnie jak na korytarzu. Próżno by szukać pustego miejsca na podłodze. Na stoliku przed kanapą stały dwa brudne kieliszki, a drzwi kredensu

były szeroko otwarte. Czyżby Hirtreiter miał jeszcze wieczorem jakiegoś gościa?

– Popatrz na to! – zawołała Pia. – Wiesz może, co to w ogóle jest?

Obok starego, lampowego jeszcze telewizora stała dziwaczna konstrukcja, coś na kształt metalowego wiązaka na ubrania z zawieszoną huśtawką. Pod spodem leżały gazety, szczelnie przykrywając ptasie odchody.

– To Hugina. Wziął go do domu. – Bodenstein westchnął i pokręcił głową. – Wcześniej mieszkał w kojcu, z psami.

– Kto?

– Hugin, mówię przecież. To kruk. Nazwał go imieniem jednego z kruków siedzących na ramionach Odyna. – Szeff się uśmiechnął. – Uwielbiał nordyckie mity i legendy. Zawsze je nam opowiadał, ilekroć go odwiedzaliśmy. Dlatego też jego psy wabiły się Freya i Fenris.

Pia już od dawna nie dziwiła się temu wszystkiemu, co znajdowała w domach obcych ludzi. Oswojony kruk był jednym z najmniej szkodliwych dziwactw, z jakimi się spotkała.

W jednym z pomieszczeń piętrzyły się niebieskie worki wypełnione papierami, gazetami, pustymi butelkami i ubraniami. Ludwig Hirtreiter po śmierci żony zmienił nawyki i zapaścił dom. Łóżko w sypialni nie było pościelone, a białe niegdyś poszewki teraz miały żółtoszary kolor. W łazience piętrzyły się brudne ubrania z przynajmniej kilku tygodni; wypełniały szczelnie wannę

i wysypywały się na podłogę. Po wewnętrznej stronie wyszczerbionej porcelanowej umywalki widać było czarny ślad po stojącej wodzie. W powietrzu unosił się gryzący w nos zapach moczu. Weszli do zaniedbanej kuchni. Wszędzie stały niezliczone butelki po winie i wodzie.

– Poczta też jakoś nieszczególnie go interesowała – stwierdziła Pia, sięgając po stos otwartych oraz zamkniętych jeszcze listów. Przejrzała je pospiesznie, a potem zajrzała do lodówki, którą we władanie wzięły pleśń i brud, podobnie jak w wiszących szafkach. Na lepkiej od resztek jedzenia desce i na blacie leżały mysie odchody. Sufit pokrywały pajęczyny.

– Oliver! Pia! – zawołał Kröger z korytarza. Pia wsunęła listy do plastikowej torebki, a potem razem z szefem przeszli do pomieszczenia obok. Policjantka rozejrzała się po wysokich ścianach, na których wisiały liczne pokryte kurzem trofea myśliwskie i oprawione w ramki dyplomy.

– Skąd to akurat tutaj? – zapytała, wodząc wzrokiem po porożach i wyprawionych skórach.

– To jest pokój myśliwski – wyjaśnił Bodenstein i spojrzał na Krögera. – O co chodzi?

– Był bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o broń. – Szef techników kryminalistyki wskazał na dużą szafę. – Na drzwiach powiesił listę wszystkich egzemplarzy broni długiej i krótkiej, jakie posiadał. Jeśli wszystko by się zgadzało, to brakuje mossberga 500, drylinga marki Krieghoff Trumpf kaliber 7x57R i pistoletu SIG Sauer P226.

– Co to takiego ten dryling? – Pia spojrzała na Chri-

stiana. Mężczyzna potrząsnął głową, jakby nie mógł pojąć, że ktoś może tego nie wiedzieć.

– To rodzaj broni myśliwskiej o trzech lufach. Krieghoff Trumpf łączy lufy do strzelania śrutem i gwintowane lufy do pocisków różnego kalibru.

– Z trafienia śrutem nic się nie wylize – zacytował Bodenstein starą myśliwską maksymę.

W czasie krótkiej drogi z gospodarstwa Hirtreitera do wsi poniżej, miejscowy posterunkowy Alois Bradl wprowadził ją w stosunki panujące między tutejszymi mieszkańcami. Urodził się i wychował w Ehlhalten, wiedział więc wszystko o wszystkich. Był prawdziwą skarbnicą wiedzy o animozjach panujących w rodzinie Hirtreiterów. Synowie już dawno temu odwrócili się od ojca plecami i od tamtego czasu nie pokazywali się we wsi. Za to w ostatnich dwóch tygodniach niespodziewanie zaczęli odwiedzać dawne okolice. Błyskawicznie połączono ich wizyty z ofertą kupna łąki starego Ludwiga i we wsi ruszyła lawina plotek.

Frauke, córka Ludwiga, bardzo wiele wycierpiała ze strony swojego autorytarnego ojca. I nie tylko ona, ale również jej matka. Obie zaskarbiły sobie współczucie pozostałych mieszkańców Ehlhalten. Na koniec Bradl poinformował Pię o swoich podejrzeniach: poprzedniego wieczoru Frauke Hirtreiter odwiedziła gospodarstwo ojca, a wie to stąd, że widziała ją w samochodzie siostra szwagra kuzynki. Poza tym Frauke, o czym wszyscy wiedzieli,

doskonale radziła sobie z bronią, a w młodości pasjami chadzała na polowania. Jako zasłużona członkini lokalnego związku łowieckiego została zgłoszona do odznaczenia przez władze krajowego związku, a na dodatek sama miała pozwolenie na broń i na polowania. Niestety, Bradl nie znał adresów ani Gregora, ani Frauke, ani Matthiasa Hirtreiterów. Pia miała nadzieję, że te informacje jej szef wyciągnie od swojego ojca.

Bradl zaparkował radiowóz na parkingu, za czerwoną furgonetką. Oboje wysiedli i tylnym wejściem, przez długi, wąski korytarz wyłożony płytkami weszli do gospody. W środku pachniało rybami i zjełczalym olejem. Metalowe drzwi chłodni stały otworem, a ze środka tyłem wychodziła akurat przysadzista kobieta z naręczem główek sałaty.

– Witaj, Herda! – zawołał Bradl. – Kaj polazł stary?

– Witojcie, Alois! – Kobieta skinęła głową. – I co? Słyszał ty, co to Ludwigowi się przytrafiło? Hrabia gadał mojemu staremu, co to strasznie wyglądało! Pono nawet psa mu odstrzelili?

– Hm! – Bradl odchrząknął znacząco, na co krzepka, niewysoka kobieta w okolicach sześćdziesiątki, o krótkich włosach, widocznym zaroście i twarzy pokrytej trądzikiem różowatym, zamilkła. Pia postanowiła, że kiedy znajdą się na osobności, będzie musiała przypomnieć Bradlowi o obowiązku zachowywania wszystkich szczegółów śledztwa w tajemnicy. Zanim krążące plotki zdążą wyrządzić komuś krzywdę, trzeba było postawić im tamę.

– Dzień dobry – przywitała się Pia. – Gdzie znajdziemy pani męża?

Kobieta bez słowa wskazała głową na drzwi nieco dalej.

– Niech pan prowadzi. – Pia nie chciała zostawiać Bradla samego, żeby nie dawać mu okazji do wyapłania jakichś szczegółów śledztwa. Razem ruszyli w stronę głównej sali gospody. Łysy mężczyzna, którego zapamiętała z furgonetki, stał za barem i rozładowywał akurat zmywarę, i odkładał kufle do piwa na półki.

– Stary Kilb we własnej osobie – przedstawił Bradl gospodarza. – To znaczy, Georg Kilb.

Mężczyzna wytarł serdelkowate palce w ręcznik i podejrzliwym wzrokiem zlustrował Pię od stóp do głów.

– To pani jest od morderstw? – W jego głosie słychać było rozczarowanie.

– Zgadza się. Policja kryminalna, Pia Kirchhoff – potwierdziła Pia. – Chce pan zobaczyć moją legitymację?

– Eee, a co jo tam będę się gapił. Wierzę na słowo. – Przerzucił ręcznik przez ramię i podwinął rękawy koszuli. – Chlusnąć pani czego?

– Nie, dziękuję. – Pia uśmiechnęła się, bo z trudem zachowywała cierpliwość.

– Jak tam pani chce. No dobra, to gadam, jak było. – Gospodarz zaczął od szczegółowego opisu dziejów znajomości jakichś ludzi. – No i dlatego hrabia do mnie przekreślił, co by powiedzieć, że Ludwig nie żyje. Ubity, tak powiedział.

Przerwa. Kilb czekał z błyskiem w oczach na jakąkolwiek formę potwierdzenia, jednak Pia nie miała najmniejszego zamiaru przekazywać mu informacji, które ten momentalnie puściłby w obieg.

– A bo ten Ludwig cały to strasznie kłótniwy gość był. Z każdym tu od nas z wioski darł koty. Żeby tylko! Z dzieckami własnymi się żarli!

– Georg, weź zacznij w końcu mówić, o co chodzi – skarcił go posterunkowy Bradl. – Nie zwracaj pani komisarz gitary jakimiś plotkami.

– Niech ci będzie – kontynuował Georg Kilb. – Zmiarkowałem sobie, że powiem, co się u nas wczoraj tu wyprawiało.

Pia skinęła głową, żeby zachęcić go do opowiadania.

– No bo wczoraj to tu się zebrali szefostwo tego stowarzyszenia, co to nie chcą u nas wiatraków. No. I tam, przy tym dużym stole sobie przysiedli i gadali. Ludwig, w sensie Hirtreiter, to on prawie na noże poszedł z jednym chłopaczkiem z Königstein. Zrobiło się gorąco. Darli japy, a potem jeszcze panna tego dzieciaka się zaczęła wtrącać. Chryja nie z tej ziemi.

– Chodzi o to, że Hirtreiter pokłócił się wczoraj z kimś z zarządu stowarzyszenia i z jego dziewczyną – wyjaśnił Bradl bardziej po ludzku, choć też z lokalnym akcentem, do którego trudno było się przyzwyczaić.

– Wszystko zrozumiałam. – Pia się uśmiechnęła. – Kogo miał pan na myśli, mówiąc o chłopaczku z Königstein?

– No nie, takich szczegółów to ja nie wiem. Jak on się nazywa... no nie pomnę, ale jakoś tak zagramanicznie. – Georg Kilb wzruszył ramionami i zmarszczył czoło, jakby intensywnie nad czymś się zastanawiał.

Pia domyśliła się, że Kilb tylko udawał, że wie coś ważnego, a w rzeczywistości chciał choć przez chwilę znaleźć się w centrum zainteresowania. A gdyby przy okazji usłyszał jakąś wiadomość prosto z policji, to bardzo chętnie by ją przekazał dalej.

– Czy to mógł być Jannis Theodorakis? – zapytała.

– No tak! Torakis, czy jakoś, ten sam! – Zaczerwienioną z wysiłku twarz szynkarza rozjaśnił uśmiech. Mężczyzna pochylił się nad ladą i konspiracyjnym szeptem dokończył opowieść: – Rzucali mięsem, że ucha puchły. Dupek, kutafon i takie w podobie. Mówię pani. A ten Torakis to mu zawoła, że jeszcze pożałuje. Nie wiem, czy to ważne, ale żech pomyślał, że może.

Zadowolony z siebie założył ramiona na piersi i pokiwał głową.

– Dziękuję. – Pia znów się uśmiechnęła. – Sprawdzimy te informacje. Czy pamięta pan może, która to była godzina?

– Pewnie. Kwadrans do dziewiąty został. Potem Terrorakis i jego dziółcha wybyli, a pozostali siedzieli dalej. Na koniec został tylko hrabia i Ludwig i ci siedzieli do wpół do jedenasty.

W końcu coś wartościowego! Mogła wreszcie wyznaczyć przedział czasu, w którym doszło do morderstwa.

Miała nadzieję, że Henning będzie w stanie dokładniej podać godzinę zgonu.

Bodenstein i Pia znaleźli hrabiego w jednej ze stajni, gdzie zajmował się zamykaniem przejścia między bokсами. Od jakiegoś czasu nie należało to do jego obowiązków, ale najwidoczniej musiał się czymś zająć, żeby nie myśleć o wydarzeniach poranka.

– Tato, dobrze cię widzieć. Wiesz może, gdzie znajdziemy dzieci Ludwiga? – zapytał Bodenstein.

– Gregor mieszka w Glashütten, Matthias w Königstein, a Frauke pracuje w sklepie zoologicznym – odparł starszy, nie przerywając pracy. – To przy ulicy Kirchstrasse w Königstein. Właścicielką jest dziewczyna Jannisa. Ale ja...

– Kto?! Ten sklep należy do kogo? – Bodenstein nie dał ojcu dokończyć zdania. Przyspieszył kroku i stanął tak, żeby zablokować mu drogę.

– Do Ricky. Dziewczyny Jannisa.

– Nie, no po prostu nie wierzę... Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

– Czego ci niby nie powiedziałem? – Bodenstein senior spojrzał zaskoczony na syna.

– Matko święta! Wiesz przecież, że od poniedziałku szukamy tego Theodorakisa! Skoro wiedziałaś, to dlaczego nie powiedziałaś, gdzie go możemy znaleźć? – zapytał Oliver z wyrzutem.

– Twoja praca to twoja praca. Nie wtrącam się

w twoje sprawy. Poza tym nie zapytałeś mnie o Jannisa – odparł staruszek. – A teraz zejdz mi z drogi, bo nie mogę zamiatać.

Bodenstein złapał trzonek miotły i przytrzymał go mocno.

– Tato, proszę! – powiedział zdecydowanie. – Jeśli cokolwiek wiesz, musisz mi powiedzieć!

Heinrich von Bodenstein zmrużył oczy i spojrzał na syna.

– Nic nie muszę – odparł lodowatym tonem. – A teraz puść miotłę.

– Nie. Albo powiesz mi, o co pytam...

– Czy zna pan adres dziewczyny Jannisa Theodorakisa? – Pia weszła szefowi w słowo, żeby zapobiec wybuchowi rodzinnej kłótni.

– Byłem tam co prawda, ale dokładnego adresu nie pamiętam. Na pewno mieszka w Schneidhain. Ale przez cały dzień pracuje w sklepie, więc na pewno tam ją znajdziecie.

– Dziękuję. – Pia się uśmiechnęła.

– Właśnie coś mi się przypomniało. Chodzi o wczorajszy wieczór. – Staruszek nie zwracał uwagi na syna i patrzył tylko na Pię. – Zostaliśmy z Ludwigiem jakiś czas w „Koronie”, żeby posiedzieć i pogadać. Kiedy wyszliśmy, podszedł do niego jakiś człowiek. Wcześniej chciałem odwieźć go do domu, ale on wolał zostać z tym mężczyzną.

Czyżby trafili na pierwszy ślad sprawcy?

– Wiesz, kto to jest? – zapytał Bodenstein. – Dobrze go widziałeś? Jak wyglądał?

– Nie, nigdy wcześniej go nie widziałem. I nie potrafię go opisać. – Heinrich von Bodenstein potrząsnął głową.

Pia czuła, że jej szef powoli zaczyna tracić cierpliwość. Najwyraźniej nie potrafił znaleźć w sobie zrozumienia dla ojca, który co prawda zachowywał się spokojnie, jakby nic się nie stało, ale wciąż był w szoku. Pia miała nadzieję, że później przypomni sobie o innych szczegółach, bo na razie, wiedziała to z doświadczenia, paraliżował go przeżyty koszmar.

– Gdzie ten mężczyzna czekał na Ludwiga? – zapytała ostrożnie.

– Hm. – Ojciec Bodensteina zmarszczył czoło, zrobił zamyśloną minę i wsparł się na miotle. – Wyszliśmy z „Korony” i poszliśmy na parking. Mój samochód stał nieco z tyłu. Otworzyłem drzwi i wsiadłem do środka. Wtedy zauważyłem, że Ludwig nie poszedł za mną. Zobaczyłem w lusterku wstecznym, że stoi na chodniku przy ulicy. Podjechałem do niego, opuściłem szybę i zapytałem, czy jedzie. Powiedział, że musi jeszcze coś wyjaśnić i że do domu wróci piechotą. To... to był ostatni raz... kiedy go widziałem...

Wykrzywił boleśnie twarz, a Pia taktownie dała mu czas, żeby poradził sobie z bólem i zapanował nad emocjami.

– Czy pamięta pan, jak zachowywał się pan Hirtreiter,

kiedy rozmawiał z nieznajomym? Czy mógł czuć się zagrożony?

– Nie. Zdecydowanie nie. Moim zdaniem był nawet... jakby zdeterminowany.

– I powiedział, że musi jeszcze coś wyjaśnić, tak? Jest pan pewien, że użył konkretnie tego słowa?

Staruszek myślał przez dłuższą chwilę, a potem potaknął.

– Czy zauważył pan coś jeszcze? Może zdarzyło się coś dziwnego, coś niecodziennego? Może zwrócił pan uwagę na jakiś charakterystyczny samochód, którego wcześniej pan tam nie widział? Proszę spróbować sobie przypomnieć. Czasem takie rzeczy zapadają nam podświadomie w pamięć, chociaż w żaden sposób się o to nie staramy.

– Było dość ciemno, a poza tym wcześniej wypilem kilka głębszych – zaczął Heinrich von Bodenstein. – Na pewno...

– I mimo to wsiadłeś za kierownicę? – Nieoczekiwanie do rozmowy wrócił Oliver von Bodenstein. Pia miała ochotę kopnąć go mocno w kostkę. Przerzywać świadkowi, który z własnej woli chciał mówić, to chyba najbardziej dyletancki błąd, jaki można popełnić w śledztwie – i to nieważne, że chodzi o ojca policjanta. Taka sytuacja nie miała prawa się zdarzyć.

– No cóż. – Bodenstein senior uśmiechnął się słabo. Nie miał już zamiaru szukać w pamięci szczegółów spotkania z nieznajomym mężczyzną. – To były raptem trzy

wódeczki. Do tego może ze dwa piwka. I to wszystko.

– Razem minimum jeden trzy dziesiąte promila. – Oliver był naprawdę wzburzony. – Będę musiał pogadać z szynkarzem w tym lokalu. Jeśli chce pić gości alkoholem, to proszę bardzo, ale pod warunkiem, że zadba, żeby wracali do domu taksówkami!

– Jesteś upierdliwy, Oliverze. I to strasznie.

– Nieprawda! Nie jestem upierdliwy! – Bodenstein podniósł głos. – Gdyby ktoś cię skontrolował, w najlepszym razie straciłbyś prawo jazdy. A chyba nie muszę przypominać, że w twoim wieku niekoniecznie dostałbyś je z powrotem!

– Gdyby, gdyby. Gdyby babka miała wąsy, byłaby dziadkiem. Ale nic się nie stało. – Staruszek przewrócił oczyma i spojrzał na Pię. – Widzi pani, co się dzieje, jak się ma policjanta w rodzinie?

– Niech pan nie zapomina, że robię w tym samym interesie – przypomniała mu Pia ze śmiechem i puściła do niego oko.

– A niech tam. – Bodenstein rzucił podwładnej ponure spojrzenie. Najwyraźniej nie był zachwycony przyjacielskim tonem, jakim rozmawiała z jego ojcem. – Tato, postaraj się, proszę, przypomnieć sobie coś jeszcze na temat spotkania z tym mężczyzną. Wieczorem jeszcze pogadamy na ten temat.

– Wieczorem idę z twoją matką na walne zebranie mieszkańców w Ehlhalten. – Heinrich von Bodenstein otworzył jeden z boksów dla koni, żeby przynieść świeże-

go siana. – Może później. Jeśli będzie mi się chciało.

– No oczywiście, że tylko wtedy – potwierdził Oliver z wyraźnie słyszalnym sarkazmem w głosie i odwrócił się na pięcie.

– Ach, Oliver, jeszcze coś! – zawołał ojciec, kiedy już niemal wyszli ze stajni. – Pozwoliłem sobie zadzwonić do Gregora, Matthiasa i Frauke, żeby im powiedzieć, co się stało.

Bodenstein znieruchomiał. Drżąc z wściekłości, policzył do dziesięciu, a potem powoli się odwrócił.

– Doskonała robota, tato. Doskonała. – Z największym wysiłkiem starał się zachować spokój. – Dobrze też, że dałeś znać gospodarzowi z „Korony”. Masz jeszcze kogoś na liście? Może dałeś już cynk prasie i telewizji?

Pia w porę się zorientowała, że za chwilę jej szef straci panowanie nad sobą.

– Co znowu zrobiłem nie tak? – zapytał Heinrich von Bodenstein, unosząc rękę.

– Nic – warknął jego syn ze złością i wzruszył ramionami. – Pia, idziemy. Musimy się pospieszyć, zanim uzgodnią wersję.

Deszcz bębnił głośno o dach szopy, w której Ricky urządziła swój warsztat. Mark wyjrzał przez otwarte drzwi. Cholerna pogoda. I to w środku maja! Niecierpliwym ruchem uniósł komórkę i sprawdził ekran. Zero nowych wiadomości. Minęło wpół do jedenastej, a Ricky nie

wysłała mu nawet SMS-a! Gdzie ona się podziewała? Czyżby zapomniała, że mieli się spotkać? Jak najszybciej musiał z nią porozmawiać. Ale nie przez telefon. Nie mógł jechać szukać jej w sklepie zoologicznym, bo w centrum miasta łatwo było wpaść na któregoś z nauczycieli, albo, co gorsza, na matkę. A że znów urwał się ze szkoły, to taka możliwość nie wchodziła w rachubę.

Wsunął w uszy słuchawki iPoda i zaczął przeszukiwać listę utworów, żeby znaleźć taki, który najbardziej odpowiadałby jego nastrojowi. W końcu trafił na właściwy. Bloodhound Gang. *I hope you die*. Stare, ale wciąż doskonałe. Mark postawił sobie krzeselko w wejściu, oparł nogi o futrynę i słuchając muzyki, wpatrywał się w pustą ulicę. Czuł, jak głębokie basowe tony przenikają go do szpiku kości.

Jannis słuchał tylko mocniejszej muzyki, nawet tej najostrzejszej. W gabinecie jedną ścianę miał całą wyłożoną płytami CD. To dzięki niemu Mark odkrył w sobie miłość do rocka i heavy metalu. Kiedy słuchał takiej muzyki, czuł, że coś się z nim dzieje i coś się w nim zmienia. Niesamowite gitarowe solówki, basy, perkusja – to wszystko sprawiało, że serce biło mu mocniej, a krew szybciej krążyła w żyłach. Wypełniała go siła. Był wyluzowany. Był cool. Niepokonany. Kiedy Ricky wyjechała zza narożnika, w uszach dudnił mu Judas Priest w utworze *Breaking the law*.

Miał wrażenie, że serce na chwilę przestało mu bić, a potem przyspieszyło jeszcze bardziej. Nie słyszał samo-

chodu, więc kiedy Ricky podjechała pod warsztat, zerwał się z krzeselka i wyrwał słuchawki z uszu.

– Cześć, Ricky – wydukał. – Koniecznie muszę cię...

Na widok jej twarzy słowa zamarły mu w gardle. Kobieta była blada jak śmierć, a pod oczyma miała ciemne worki.

– Ludwig nie żyje – wydusiła z siebie i nabrała głęboko powietrza. – Zeszłej nocy... został... zastrzelony.

A potem stało się coś, o czym Mark nigdy nawet nie marzył: Ricky, ta silna, niezależna Ricky, rzuciła mu się na szyję i zalała łzami. Ostrożnie, jakby była z kruchego szkła, pogłaskał ją po plecach. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej i zaczęła szlochać. W głowie chłopaka wirowała karuzela myśli, a fala gorących uczuć spłynęła jego ciałem w dół brzucha i eksplodowała. Zrobiło mu się gorąco. Ricky odsunęła się kawałek.

– Wybacz – wyszlochała i wytarła dłonią łzy. Kredka do oczu i tusz do rzęs zostawiły czarne ślady na jej policzkach. – Jestem w szoku. Nic nie rozumiem. Kiedy wychodziłam ze sklepu, Frauke dostała telefon z wiadomością.

Sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę chusteczek jednorazowych i wytarła nos. Mark starał się na nią nie patrzeć. Miała przekrzywioną bluzkę, spod której widać było ramiączka biustonosza. Czerwone paski na brązowej skórze. O Boże. To było sexy jak diabli.

– ...załatwimy to jutro, dobrze?

– Co... słucham? – Mark drgnął, bo dopiero teraz za-

uważył, że dziewczyna coś do niego mówi.

– Przeszkody na placu dla psów postawimy jutro. – Ricky odzyskała częściowo kontrolę nad sobą. Uśmiechnęła się zapłakana, ale na szczęście nie zauważyła, co się z nim dzieje. Mark potaknął. – Muszę dać znać pozostałym. – Kobieta dokończyła zdecydowanym tonem i poprawiła włosy. – Trzeba postanowić, co zrobimy dzisiaj na zebraniu, kiedy... kiedy Ludwig... odszedł.

Jej słowa mijały go i uciekały gdzieś w dal, bo Mark myślał jedynie o jej czerwonym biustonoszu, o zapachu jej skóry i dotyku jej ciepłego ciała. Nagle Ricky położyła dłoń na jego policzku.

– Dzięki, Mark – wyszeptała. – Co ja bym bez ciebie zrobiła! Do zobaczenia później.

Pocałowała go w policzek i wsiadła do samochodu. Zmieszany patrzył, jak odjeżdża i znika między innymi samochodami. Miał sucho w ustach i paliła go zaczerwieniona twarz. Na dodatek dostał erekcji stulecia. Co się z nim działo? Ricky była przecież tylko jego przyjaciółką! Pożądanie go brzydziło!

„Co ja bym bez ciebie zrobiła”! Mark włączył iPod. Było mu niedobrze. Zataczając się, wszedł głębiej do szopy, do jednego z bocznych pomieszczeń i rozpiął spodnie. Ricky w jego ramionach. Jej zapach, który wciąż się unosił w powietrzu. Czerwony biustonosz. Ciepła, brązowa skóra. Okropnie się wstydził, ale nie mógł przestać. Czuł, że ledwie stoi na nogach, więc oparł się o ścianę, zamknął oczy i dał się ponieść fali pożądania. Po chwili wstyd

zniknął. Zaczęło mu się to podobać.

Ściany wąskiego korytarza wyłożonego czerwonymi płytkami pokrywało ciemne drewno sięgające aż do śnieżnobiałego sufitu, a biura urządzone zostały w równie wykwintnym stylu. Frauke, która wyobrażała sobie Instytut Medycyny Sądowej jako sterylne białe i bezosobowe wnętrza pełne milczących, tudzież ponurych lekarzy w zielonych fartuchach, przeżyła zaskoczenie. Była jednocześnie zmieszana i zauroczona. Już z zewnątrz stara willa otoczona wysokimi drzewami miała w sobie jakiś czar i tajemniczość, wręcz roztaczała ponurą atmosferę brytyjskich kryminałów. Frauke uwielbiała Rosamunde Pilcher, a Anglia była jej marzeniem – marzeniem, na które wkrótce będzie ją stać. Stała w korytarzu razem z braćmi i czekała, a upływający czas urozmaicała sobie myśleniem o przyszłości. Oczyma duszy widziała mały domek, gdzieś daleko, pewnie w Kornwalii. Nad morzem. Z milionem euro na koncie już nigdy nie będzie musiała pracować. Odezwała się komórka Gregora. Brat odsunął się na bok i rozmawiał z kimś przyciszonym głosem.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – Matthias stał obok niej i coraz bardziej nerwowo spoglądał na zegarek. – Najpierw na gwałtu rety wzywają, że koniecznie i natychmiast mamy się stawić, a potem każą człowiekowi czekać w nieskończoność. A ja o czwartej mam bardzo ważne spotkanie.

Chyba z dziesięć razy już o tym wspomniał. Również

jego komórka zaczęła dzwonić. Frauke stała teraz pośrodku, a każdy z jej braci rozmawiał przez telefon. Wróciła do świata marzeń. Przez wiele lat była zbyt słaba i zbyt strachliwa, żeby wziąć los w swoje ręce. Ale od wczoraj koniec z tym. Nigdy więcej nikt nie będzie decydować za nią. Od wczoraj to ona była panią swojego losu. I cholernie dobrze się z tym czuła.

Powrót do domu rodziców był największą porażką i największym błędem, jaki popełniła w życiu. Przyznała się w ten sposób do swoich niepowodzeń. A potem dwa najgorsze lata w życiu, w czasie których poświęciła się opiece nad śmiertelnie chorą matką. Kiedy ona zmarła, Frauke obudziła się nagle bez celu i bez pieniędzy. Szczęśliwym zrzędzeniem losu akurat wtedy ukazało się ogłoszenie Ricky, że poszukuje pomocy w sklepie.

Bez problemów dostała tę pracę. Ojciec oczywiście stroił sobie z niej żarty, ale zawsze taki był. Mówił, że będzie tam pasowała i że to miejsce w sam raz dla niej: słoń w sklepie zoologicznym. Wtedy po raz pierwszy nie chciała milczeć. Wykrzyczała wiele gorzkich i nieprzyjemnych słów. Takich, które raz wypowiedziane, nie mogą zostać cofnięte. Jeszcze tego samego wieczoru opuściła gospodarstwo ojca i wprowadziła się do pustego mieszkania nad sklepem.

Ciężkie drewniane drzwi wejściowe otworzyły się zamaszyście, a na schodach pojawił się Oliver von Bodenstein. Jako dzieci często razem się bawili, lecz tamte czasy należały już do dalekiej przeszłości. Frauke pamię-

tała go jako szczupłego, mrukliwego nastolatka, ale musiała przyznać, że upływ lat działał na jego korzyść. Wyglądał dobrze, a nawet bardzo dobrze.

– Frauke! Dzięki, że tak szybko przyjechaliście. Przyjmijcie moje kondolencje. – Zarówno z jego ciemnych oczu, jak i z głębokiego głosu emanowało współczucie.

– Dziękuję, Oliverze. Szkoda tylko, że przyszło nam spotkać się w tak smutnych okolicznościach. – W ostatnim momencie przypomniała sobie, że nie może się uśmiechać. Koniec końców nie wypadało się cieszyć, skoro kilka godzin wcześniej jej ojciec został zamordowany. Bodenstein podszedł kolejno do obu braci.

– Chodźcie, proszę – powiedział i ruszył w stronę drzwi prowadzących do podziemi willi.

– A o co właściwie chodzi? – zaprotestował Matthias.
– Dlaczego chcesz nas tam zaprowadzić?

– Mam swoje powody. – Bodenstein zachował kamienny wyraz twarzy.

Gregor spojrzał na niego lekceważąco.

– Chodź – powiedział do młodszego brata. – Chcę mieć to już za sobą.

Nieco później stali razem w sali, której wygląd tym razem pokrywał się z wyobrażeniami Frauke na temat Instytutu Medycyny Sądowej. Poczowała się przez to nieswojo. Czego tu właściwie szukali? Czy to normalne, że okazywano zwłoki rodzinie, nawet jeśli zamordowany został kilka godzin wcześniej zidentyfikowany? Zadrzała, bo

przed nimi postawiono metalowe nosze przykryte całunem. Czuła na plecach wzrok Bodensteina. Nikt się nie odzywał. Pracownik instytutu, tym razem ubrany zgodnie z jej wyobrażeniami, w zielony kombinezon, odsunął ostrożnie zielony materiał, którym przykryte było ciało.

Tata nie ma już twarzy, pomyślała Frauke. Matthias zakrztusił się i powstrzymując odruch wymiotny, wybiegł na korytarz. Tylko Gregor został na miejscu.

– Halali. Koniec polowania – powiedział zadowolonym głosem. To były ostatnie słowa, które Frauke potrafiła sobie później przypomnieć, bo w tej chwili spojrzała ojcu w jedyne ocalałe oko, które jednakowoż nie znajdowało się w oczodole, a gdzieś w pobliżu ucha, i straciła przytomność.

Nika siedziała przy kuchennym stole z filiżanką herbaty z dzikiej róży w dłoni i przeglądała ekspertyzę, którą firma EuroWind przygotowała w 2002 roku na zlecenie kraju Hesji, żeby ustalić potencjał wietrzności i średnie prędkości wiatru na grzbiecie góry nad Ehlhalten. Nie miała żadnych trudności, żeby zauważyć, że obie ekspertyzy opierały się na diametralnie różnych danych wyjściowych. Jannis miał rację. Wnioski z ekspertyz Niemieckiego Instytutu Klimatycznego oraz uniwersytetu w Walii stanowiły pozytywną rekomendację dla budowy farmy wiatrowej, lecz opierały się na zafałszowanych danych. Skąd pochodziły te cyfry? Kto przygotował obliczenia? A może ktoś po prostu wymyślił sobie te dane?

Przede wszystkim, to skąd Jannis w ogóle miał dostęp do tych ekspertyz? Nika wyłowiła torebkę, wycisnęła z niej herbatę i odłożyła na spodek. Nie mogła się skupić na pracy. Upiła łyczek naparu i pomyślała o samotności, która od wczorajszej nocy nie dawała jej spokoju. Czyżby była już skazana na spędzenie całego życia w pojedynkę? Zamyśliła się. Skąd nagle pojawiła się tęsknota, by wypełnić wewnętrzną pustkę? Wcześniej jej to nie przeszkadzało.

Nagle drgnęła, bo rozległ się dzwonek do drzwi. Pospiesznie zebrała papiery, przykryła je gazetą i wstała. Kolejny dzwonek. Po krótkim wahaniu zdecydowała się otworzyć.

– Tak?

Przed drzwiami stali wysoki mężczyzna i kobieta o blond włosach, która natychmiast uniosła legitymację w zielonej oprawce. Policja! Nika się przeraziła. Żeby ukryć drżenie rąk, skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Policja kryminalna. – Kobieta mówiła niespecjalnie przyjaznym głosem. – Czy zastaliśmy pana Theodorakisa?

– Niestety, nie ma go w domu – odparła Nika pośpiesznie.

– A gdzie możemy go znaleźć? Albo o której wróci?

– Nie mam pojęcia.

– Kim pani jest? Czy pani tu mieszka?

– Nie... ja... ja jestem tylko... sprzątaczką.

Zaskoczona i przestraszona zdecydowała się na pierwszą odpowiedź, jaka przyszła jej do głowy. Jej dzi-

wacze ubranie uprawdopodobniło tylko wymyśloną popiesznie wersję, bo policjantka nie drażyła tematu.

– Czy może nam pani powiedzieć, gdzie znajdziemy pana Theodorakisa? – zapytał mężczyzna. Uśmiechnął się przy tym miło, ale to jej nie zmyliło. Większość gliniarzy potrafiła udawać kogoś, kim nie byli.

– Myślę, że jest w pracy – odparła i wzruszyła ramionami. – Ale nie mam do niego komórki. Przykro mi.

– Proszę przekazać mu moją wizytówkę. – Policjantka podała jej niewielki kartonik. – Niech się natychmiast do nas zgłosi. To bardzo ważne.

– Dobrze, na pewno nie zapomnę.

Policjantka i jej partner odwrócili się na pięcie i odeszli, nie męcząc jej dalszymi pytaniami. Nika z trudem stała na nogach, a z ulgi drżały jej kolana. Była przekonana, że niewiele brakowało, a to spotkanie nie skończyłoby się tak łatwo. Zamknęła drzwi i wyjrzała przez niewielkie okienko z boku. Wsiedli do samochodu i odjechali. Dlaczego kryminalni mieliby chcieć rozmawiać z Jannisem? Co takiego zrobił? Nagle wszystkie fragmenty układanki, które dotychczas wirowały jak dziłki w jej głowie, wskoczyły na swoje miejsce, układając się w pełny i czytelny obraz. Jannis wrócił do domu dopiero nad ranem. Kiedy przyszedł do niej do sklepu, nie był ani zaszokowany, ani nawet zaskoczony wiadomością, że ktoś zastrzelił Ludwiga. Przypomniała sobie o krwi na jego spodniach i krótkiej koszulce, która leżała w kubie z brudną bielizną w pralni. No i trudno było nie pamiętać

o nienawiści, jaką siebie darzyli. Poza tym miał chorobliwie czerwone ręce i przedramiona. Policja potrafiła znaleźć ślady prochu na skórze, jeśli ktoś strzelał z brodni palnej. Może skorzystał z jakichś chemikaliów, żeby je usunąć? Mój Boże! Nika nie wytrzymała i osunęła się na schody. Jeśli Jannis rzeczywiście zastrzelił Ludwiga, policja nie da za wygraną i na pewno pojawią się tu znowu, żeby węszyć i szukać śladów. Musi zniknąć.

Niebo było stalowoszare, a z ciężkich chmur lały się potoki deszczu. Zrobiło się strasznie zimno. Pogoda bardziej przypominała listopad niż maj. Pia i Cem przyjechali rozejrzeć się w gospodarstwie Ludwiga Hirtreitera, a policjanci zebrani z całej okolicy tyralierą przeczesywali łąkę i okoliczne zarośla w poszukiwaniu broni, którą sprawca mógł gdzieś porzucić.

Pia i Cem stanęli przed starymi budynkami gospodarczymi, które niegdyś pełniły funkcję stajni, a jeszcze wcześniej chlewa i obory. Poza tym w gospodarstwie znajdowała się też niewielka rzeźnia z suwnicą z hakami pod dachem i zabytkową już chłodziarnią. W jednej z niewielkich komórek stały jedna na drugiej skrzynki z gnijącymi jabłkami, a w powietrzu unosił się duszący, słodki zapach nieświeżych owoców. W narożniku pomieszczenia stała tłocznia, a w jednym z trzech dużych plastikowych zbiorników znajdowało się wino jabłkowe. Nieposprzątaný warsztat sprawiał podobne wrażenie jak pozostała część gospodarstwa – ogrom pracy przerósł Lu-

dwiga Hirtreitera. Pośrodku garażu stał stary traktor ze zdemontowanym jednym kołem, a obok czekała na założenie nowa opona. Sądząc po grubości warstwy kurzu, czekała już tak od dobrych kilku lat. Na ścianie warsztatu wisiał kalendarz z 2002 roku.

Wyszli na podwórze i przeszli do stodoły, która stała nieco z boku i zdawała się tonąć pośród wybujającego zieliska. Dawniej kawałek łąki między gospodarstwem a stodołą musiał być pięknym przedłużeniem ogrodu, lecz od tamtego czasu rośliny zdziczały, krzaki porozrastały się w niekontrolowany sposób, a różnych gatunków pnącza objęły w posiadanie ściany budynku.

– Ależ to jest ogromny teren. – Cem potrząsnął głową. Przeszedł przez łąkę i stanął przy studni przykrytej ciężkimi drewnianymi płytami. – Na pierwszy rzut oka gospodarstwo wyglądało na znacznie mniejsze.

– Tyle że to działa na naszą niekorzyść, bo można by wskazać tu nieskończoną liczbę skrytek, w których zmieściłyby się dwie strzelby i jeden pistolet – potwierdziła Pia ponurym głosem. Miała nadzieję, że morderca Hirtreitera, kimkolwiek był, uciekając z miejsca zbrodni, porzucił gdzieś broń, zamiast ją starannie ukryć. Rozległ się dzwonek jej komórki. Na miejsce przybyli nurkowie, którzy mieli przeszukać staw. Schowała telefon do kieszeni i pomogła Cemowi otworzyć drzwi do stodoły.

– Nie wierzę! A niech mnie... – jęknął policjant, jednocześnie zachwycony i zaskoczony. W środku, obok zabytkowego traktora, stały dwa pokryte kurzem oldtimery

– ciemnozielony morgan roadster i srebrny mercedes z drzwiami otwieranymi w górę i czerwoną skórzaną tapicerką.

– One są coś warte? – zapytała Pia. Nie znała się na samochodach, a na zabytkowych czy sportowych wozach to już w ogóle.

– I to ile! – Cem obszedł oba auta, nie mogąc nacieszyć oczu ich widokiem. – Szczególnie ten mercedes. To jest 300 SL gullwing. Jest wart majątek.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i obfotografował oba samochody ze wszystkich stron.

– W sumie nie ma się co dziwić, że dzieci starego Ludwiga nie przeżywają jakoś przesadnie żałoby po ojcu. – Pia pokiwała głową. – Idę o zakład, że liczą na sowity spadek.

Wcześniej Bodenstein opowiedział jej przez telefon, co się wydarzyło w Instytucie Medycyny Sądowej. Kiedy Cem skończył robić zdjęcia, razem zamknęli bramę stodoły i ruszyli w stronę stawu. Dowódca tyraliery na razie nie miał się czym pochwalić. Jego ludzie znajdowali wszędzie dookoła kawałki złomu, ale nie było wśród nich ani strzelb, ani pistoletu. Funkcjonariusze uzbrojeni w wykrywacze metalu przeczesywali teraz teren nieco dalej, pod samym lasem, a potem planowali ruszyć polami w stronę wsi.

Ubrani już w pletwy nurkowie człapali zabawnym krokiem po drewnianym pomoście, a kiedy dotarli na jego koniec, zsunęli się do wody. Deszcz przybrał na sile. Pia

poprawiła kaptur swojej wiatrówki, pod którym miała jeszcze czapkę z daszkiem, i obserwowała, jak krople uderzają o powierzchnię wody. Mokra dzinsy lepiły jej się do nóg. Przemoczona była też kurtka, która w trudnych warunkach nie spełniała obietnic producenta. Policjantka w milczeniu spoglądała na niewielkie jeziorko. Nurkowie poddali się już po piętnastu minutach.

– Widoczność w tym szambie jest równa zeru – oznajmił jeden z nich. – A dno pokrywa warstwa mułu, diabli wiedzą jak gruba. Kiedy upadnie na nią coś cięższego, momentalnie znika w mule. Przykro mi.

– Mimo wszystko wielkie dzięki – odparła Pia. – Warto było spróbować.

Naraz z wysoka nadleciał jakiś ciemny kształt, zbliżył się do Cema i tuż za jego plecami zmienił kierunek lotu.

– Co to było?

– Nie wiem. Pewnie wrona. – Policjant się obejrzał. Czarny ptak usiadł na drzewie wiśni, pod którym znaleziono zwłoki Ludwiga Hirtreitera, i spoglądał na nich z wyższością. Otworzył dziób i zakrakał. Pia dostała gęsiej skórki.

– To nie jest wrona – poprawiła kolegę. – To kruk. Kruki są większe od wron i mają zakrzywiony czarny dziób, a nie ostry i szary.

– Kruk czy wrona, jedna cholera. – Cem wzruszył ramionami. – Jedźmy już. Trzęsę się z zimna.

– Nie, poczekaj jeszcze chwilę. Wiedziałaś, że Hirtreiter miał oswojonego kruka? – Pia przyglądała się dużemu

czarnemu ptakowi, który siedział spokojnie na gałęzi i nie uciekał. – Ciekawe, dlaczego wybrał akurat to drzewo?

– Przez przypadek? – zaproponował Cem.

– Nie. – Pia potrząsnęła głową. – Nie sądzę.

– Tylko nie próbuj mi wmawiać, że wierzysz, że on chce nam coś powiedzieć. – W jego głosie słychać było rozbawienie.

– Żebyś wiedział. – Pia pokiwała poważnie głową. – Dokładnie o tym pomyślałam. Kruki są cholernie inteligentne. A Hirtreiter trzymał go od lat.

– Niestety, kruk odpada jako świadek. No chyba że potrafi rozpoznać mordercę na okazaniu.

Pia zorientowała się, że nowy kolega z trudem powstrzymuje śmiech.

– Nabijasz się ze mnie – zarzuciła mu z wyrzutem, ale sama też nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Historia zna takie przypadki.

– Nie przeczę, agentko Scully. – Cem pokiwał głową. – Historia telewizji. Ale w rzeczywistości takie rzeczy się nie dzieją. Gdyby było inaczej, nasza praca byłaby znacznie łatwiejsza.

Czy to było konieczne? – zapytała doktor Engel i potrząsnęła głową. Siedziała za masywnym biurkiem, z okularami zsuniętymi na czubek nosa, i czekała na odpowiedź, nie zapraszając Bodensteina, żeby usiadł. – Adwokat rodzeństwa Hirtreiterów był bardzo wzburzony, kiedy wnosił skargę na takie postępowanie. Twierdzi, że

spełniało znamiona znęcania się nad jego klientami i stosowanie zabronionych metod pozyskiwania zeznań, za co grozi odpowiedzialność karna. Dlaczego zmusiłeś ich, żeby oglądali ciało?

– Cała trójka miała motyw – wyjaśnił policjant. – Sama przyznasz, że trzy miliony euro to dobry motyw. Niestety, wiedzieli o śmierci ojca, jeszcze zanim koleżanka Kirchhoff zadzwoniła z tą informacją.

– Jak to, wiedzieli wcześniej?

Bodenstein westchnął ciężko.

– Ciało znalazł mój ojciec. On i Ludwig Hirtreiter byli przyjaciółmi i dlatego zadzwonił do jego dzieci. Niestety, nie miałem możliwości, żeby temu zapobiec.

– Sprawdziłeś ich alibi?

Doktor Engel wskazała władczym gestem na krzesło dla gości. Najwyraźniej uznała, że może zakończyć demonstrację siły. Bodenstein usiadł.

– Na razie nie znamy dokładnej godziny śmierci, więc nie było takiej możliwości. Wiemy za to na pewno, że przynajmniej córka denata wczoraj wieczorem przebywała na terenie gospodarstwa. Przyznała się do tego, ale dopiero po tym, jak powiedziałem, że mamy zeznania świadka, który ją widział. Z tego, co powiedziała, wynikało, że nie zastała ojca w domu, za to przed bramą stało ponoć obce auto z włączonym silnikiem.

– Ponoć?

– Wiem, że i ona, i jej bracia od dłuższego czasu byli bardzo skłóceni z ojcem. Te ich nieporozumienia ciągnęły

się przez całe lata. Wczoraj wieczorem chcieli przekonać ojca, żeby przyjął kilkumilionową propozycję odkupienia kawałka gruntu, na co on za żadne skarby nie chciał przystać. Frauke doskonale radzi sobie z bronią. Poza tym, ludzie ginęli za znacznie mniejsze kwoty.

Doktor Nicola Engel spojrzała na niego i się zamyśliła.

– Niech będzie – powiedziała w końcu. – Co teraz?

– Mamy pewne przesłanki pozwalające powiązać sprawę śmierci Rolfa Grossmanna ze śmiercią Ludwiga Hirtreitera. Chodzi o podejrzanego – tego samego w obu przypadkach. Na razie nie udało nam się go przesłuchać, ale dzisiaj wieczorem na pewno sobie porozmawiamy. Kiedy tylko dotrze do nas raport z obdukcji i będziemy znali dokładną godzinę śmierci, sprawdzimy alibi dzieci denata i naszego podejrzanego.

– Wspomniałeś o swoim ojcu. Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nic. – Bodenstein zaskoczony uniósł brwi. – Hirtreiter był jego przyjacielem. Umówili się na dzisiaj rano, a że Ludwig się nie pojawił, ojciec pojechał go szukać. No i niestety znalazł.

Odezwał się telefon na biurku radczyni. Spojrzała na wyświetlacz, a potem na Bodensteina.

– Dzięki, to na razie wystarczy – oznajmiła. – Informuj mnie na bieżąco.

– Oczywiście. – Zrozumiał, że audiencja dobiegła końca i ma sobie pójść. Wstał więc z krzesła i ruszył

w stronę drzwi. Nicola podniosła słuchawkę i coś powiedziała do człowieka po drugiej stronie.

– Oliver, jeszcze jedna sprawa! – zawołała za nim.

Bodenstein odwrócił się w jej stronę. Dłonią zakrywała mikrofon i się uśmiechała.

– Byłoby dobrze, gdyby prasa nie dowiedziała się o uwikłaniu w sprawę twojego ojca.

Oliver otworzył usta, żeby po raz kolejny zaprzeczyć i zapewnić, że jego ojciec nie ma z tym nic wspólnego, a on nie zamierza przecież rozmawiać z prasą, ale nie zdążył, bo doktor Engel wróciła do rozmowy przez telefon. Bodenstein potaknął i wyszedł z biura.

Burczało mu w brzuchu i ssało w żołądku, bo od rana nic nie jadł. Kusiło go, żeby dołączyć do Pii, która wymogła postój przy budce z kebabami, lecz wytrzymał i nie wysiadł z auta. Kolejnym zwycięstwem była odmowa uraczenia się urodzinowym tortem z bitą śmietaną, który zaproponowała sekretarka Nicoli Engel. Wcześniej tego nie zauważał, ale teraz uderzyło go, że ludzie w zasadzie bez przerwy zajęci są jedzeniem. Kiedy wszedł do biura, Ostermann przeżuwał akurat czekoladowy batonik, a Kathrin Fachinger stała przy ekspresie do kawy i pałaszowała kawałek tortu. Poczował, jak cieknie mu ślinka. Kathrin zauważyła jego głodny wzrok.

– Jak pan chce, szefie, to w lodówce są jeszcze dwa kawałki – zaproponowała. – Mogę przynieść...

– Nie! – przerwał jej ze złością. – Jak skończycie jeść, przyjdźcie do sali odpraw.

Niedawno znalazł w gazecie informację o jakimś człowieku z Indii, który od przeszło trzydziestu lat nic nie jadł. Kilka tygodni ograniczonych racji powinien więc jakoś wytrzymać. To tylko kwestia silnej woli, nic innego.

– Szefie! – zawołał Ostermann z pełnymi ustami. – Mam kilka bardzo interesujących informacji!

– Do sali odpraw! – krzyknął Bodenstein i pospiesznie opuścił biuro.

W hali widowiskowo-sportowej Dattenbachhalle w Ehlhalten brakowało już miejsc, a ludzie wciąż napływali nieprzerwanym strumieniem i pchali się do środka przez otwarte drzwi. Porządkowi starali się zapanować nad ogromną masą gości i wysyłali wszystkich na galerię, gdzie jeszcze było trochę wolnej przestrzeni. Zainteresowanie mieszkańców planowaną budową farmy wiatrowej przerosło oczekiwania organizatorów, również dlatego, że śmierć Hirtreitera podsycała nastroje w okolicy i wzbudziła powszechne zainteresowanie.

Bodenstein, Pia, Kathrin Fachinger i Cem Altunay stali w wejściu do budynku i wypatrywali Jannisa Theodorakisa, który przez cały dzień był nieosiągalny. Dosłownie jakby zapadł się pod ziemię: nie było go ani w domu, ani w sklepie jego dziewczyny, ani w dziale IT dużego frankfurckiego banku. Co więcej, nawet jego partnerka nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Bodenstein był jednak przekonany, że na spotkaniu mieszkańców na pewno się pokaże.

Na dużych billboardach umieszczono wielkie plakaty z wyjątkowo realistycznie przygotowanym fotomontażem, który pokazywał górski grzbiet zasłonięty dziesięcioma monstrualnie wielkimi wiatrakami. Wokół stołów stowarzyszenia obywatelskiego „NIE dla elektrowni wiatrowej w Taunusie” kłębił się tłum zainteresowanych. Ludzie wyrywali sobie z rąk ulotki informacyjne i dopisywali się do list protestacyjnych przeciwko planowanej budowie. Zebrane podpisy miały później trafić do szefa rządu Hesji w Darmstadt. Na jednym ze stołów stało też zdjęcie Ludwiga Hirtreitera przewiązane czarną krepą.

– O, patrzcie, tam idzie Theissen – mruknął Cem. – Odważny gość, nie ma co.

Szef WindPro przekroczył próg hali w towarzystwie burmistrza. Powitały ich flesze aparatów fotograficznych, czemu towarzyszyła kakofonia gwizdów.

– No i znalazła się nasza zguba – dokończyła Pia.

– Dziwne, Theodorakis przyprowadził nawet swoją sprzątaczkę. – Cem uniósł brwi, jakby nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

– Akurat to sprzątaczką – mruknęła policjantka. – Przecież ona kłamała.

Bodenstein podszedł do ciemnowłosego mężczyzny, który pospiesznym krokiem zmierzał w stronę hali, i zastąpił mu drogę.

– Dobry wieczór – powiedział i pokazał legitymację. – Trudniej się do pana dostać niż na audiencję do papieża. Bodenstein, policja kryminalna Hofheim.

Kobieta podająca się za sprzątaczkę spuściła głowę i pospiesznym krokiem oddaliła się w stronę hali, a Theodorakis i jego towarzyszką, właścicielką sklepu zoologicznego w Königstein, znieruchomieli. Pia i Cem, wracając z gospodarstwa Hirtreitera na komisariat, wpadli do niej do pracy zamienić kilka słów. Przed przyjściem na zebranie zmieniła różową sukienkę na bardziej stonowany strój. Ubrana była całkowicie na czarno, jakby szła na pogrzeb.

– Dobry wieczór – przywitał się niepewnie Theodorakis. Miał na sobie dżinsy i szarą marynarkę, a jedynym wyrazem żałoby po zmarłym był czarny krawat i biała koszula. Pod pachą niósł okazały segregator. Nerwowo spoglądał na otwarte drzwi hali. – Zgłosiłbym się do pana jutro skoro świt. Po prostu dzisiaj było tyle roboty, że nie dałem rady.

– Jutro rano to i tak za późno. Musimy porozmawiać teraz, zaraz. – Bodenstein patrzył na niego z kamienną twarzą. Nie zamierzał zabraniać mu udziału w spotkaniu z mieszkańcami, jednak chciał go nieco przycisnąć. Theodorakis w jednej chwili zlał się potem.

– A to naprawdę nie mogłoby poczekać jednej godzinki? Muszę być na tym spotkaniu. Zaraz się zaczyna.

– Nie, to nie może czekać już nawet jednej godzinki – odparł policjant lodowatym tonem. Mężczyzna nie wiedział, jak się zachować.

– To dla nas bardzo ważne. Jannis musi dzisiaj przemówić w naszym imieniu. – Do rozmowy włączyła się

towarzyszka Theodorakisa. – Szczególnie teraz... kiedy... po śmierci Ludwiga...

Jej głos zaczął drżeć, a oczy wypełniły się łzami.

– A pani się wydaje, że my tu tylko dla zabawy przyszliśmy? – zapytał Bodenstein. – Że nie mamy nic lepszego do roboty?

– Proszę! – Theodorakis dosłownie spływał potem. – Przez kilka miesięcy pracowaliśmy na to, żeby w ogóle doszło do takiego spotkania. Potem będę do pana dyspozycji i odpowiem na każde pytanie.

Bodenstein zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, co zrobić. W końcu kiwnął głową.

– Niech będzie – zgodził się łaskawie. – Ale zaraz po skończonym zebraniu ma się pan u mnie zameldować.

– Ma pan moje słowo, że tak będzie. – Theodorakisiowi wyraźnie ulżyło. – Dziękuję za zrozumienie. Ricky, idziemy.

Kobieta w czerni skinęła Bodensteinowi głową i ruszyła za Jannisem.

– Dobra, Pia, też idziemy do środka. – Bodenstein skierował się do wejścia, lecz drogę zastąpił mu jeden z porządkowych.

– Przykro mi, sala jest już przepełniona. Może pan iść na balkon.

Policjant wyjął legitymację i podetknął ją mężczyźnie pod nos.

– Niech będzie. Ale tylko wy dwoje, bo potem ja będę miał problemy.

Cem i Kathrin udali się na balkon, a Bodenstein i Pia weszli do niebezpiecznie przepelnionej hali.

Na podwyższeniu z przodu pojawili się właśnie burmistrz i Stefan Theissen. Zajęli miejsca za stołem prezydialnym, tuż obok przedstawicielki Ministerstwa Ochrony Środowiska. Theodorakis spokojnym krokiem wszedł na podium, minął Theissena, jakby go w ogóle nie zauważył, z burmistrzem przywitał się krótkim skinieniem głowy, przedstawicielce ministerstwa podał dłoń, a potem usiadł obok drugiego reprezentanta stowarzyszenia.

W sali zapanowała napięta, pełna oczekiwania cisza. W końcu głos zabrał gospodarz spotkania, burmistrz Reinhold Herzinger. Podziękował wszystkim zebrany za zainteresowanie i przedstawił panią doktor Neumann-Brandt z krajowego Ministerstwa Ochrony Środowiska, doktora Theissena z firmy WindPro oraz Jannisa Theodorakisa i Klause Faulhabera ze stowarzyszenia obywatelskiego.

– Dzisiejsze spotkanie odbywać się będzie niestety w cieniu tragicznego wydarzenia – powiedział poważnym tonem. – Pan Ludwig Hirtreiter, nasz dobry znajomy i przyjaciel, długoletni reprezentant gminy w Radzie Miejskiej, zeszłej nocy padł ofiarą brutalnego morderstwa. Jesteśmy wstrząśnięci i zasmuceni. Proponuję, żebyśmy wstali i uczcili jego pamięć minutą ciszy.

W akompaniamencie westchnień, pokasywań i szurania złączonymi ze sobą krzesłami kilkuset uczestników spotkania podniosło się z siedzeń i na chwilę zapa-

nowała cisza.

– Już dawno mu się należało – powiedział ktoś na głos.

Odpowiedziały mu przytłumione chichoty, które w końcu stały się całkiem głośne.

Martwił się. Ricky bardzo źle wyglądała, kiedy się spotkali. Ciekawe, dlaczego tak bardzo ją dotknęło, że ten cholerny staruch w końcu kopnął w kalendarz? W gruncie rzeczy powinna się z tego cieszyć po tym, jak ten dupek ją ostatnio potraktował.

Mark zamknął ostatni wybieg dla psów i odwiózł przepełnioną taczkę do kontenera na śmieci. Frauke była tego wieczoru zajęta, a Ricky pojechała na spotkanie mieszkańców w Ehlhalten. Mark nie chciał się tam pokazywać, więc zgłosił się na nocną zmianę w schronisku. Często pomagał przygotowywać wszystko na noc, więc wiedział, co powinien robić. Wszystkie koty, psy, żółwie, świnki morskie i króliki dostawały świeżą wodę i karmę. Potem zwierzaki trafiały do swoich kojców, a on czyścił wybiegi.

Rankiem do schroniska trafił nowy pensjonariusz – stareńki jack russell terrier, którego pozbawieni serca opiekunowie po prostu porzucili. Mark wrócił do pawilonu dla psów i otworzył boks, do którego trafił staruszek. Terier leżał smutny na posłaniu, ale słysząc szcęk zamka, spojrzał z nadzieją w stronę wejścia. Widząc Marka, ponownie spuścił łeb. Biedactwo. Świat mu się zawalił i nic

już nie rozumiał! Nagle znalazł się za kratkami, w otoczeniu obcych zwierząt i ludzi. Jak ktoś mógł być tak okrutny i wyrzucić psa, z którym przez tyle lat dzielił życie? Jak mógł skazać go na takie cierpienie?

Mark usiadł na podłodze przemysłowej pokrytej szarą żywicą i wyciągnął dłoń. Pies spojrzał na niego z dystansem, ale pozwolił, żeby chłopak podrapał go za uchem. Oczy miał wyblakłe ze starości, a pysk niemal całkowicie siwy.

– Twoich byłych właścicieli powinno się wyrzucić pośrodku lasu i zostawić tam bez jedzenia i picia – wyszeptał. – Jak mogli ci to zrobić? Przecież jesteś kochany, mimo że trochę stary.

Pies nastawił uszu i delikatnie poruszył końcem ogona. Nie rozumiał słów, ale czuł, że chłopak mówi do niego przyjaznym głosem. Przysunął się do Marka i wtulił w jego nogi. Opiekun uśmiechnął się smutno. Najbardziej lubił właśnie takie psy, które były już stare i nieszczęśliwie urodziwe. Wszystko, czego chciały i potrzebowały, to dom, w którym czułyby miłość i przywiązanie. Chciały być komuś wierne. Tak samo jak on. Terier zamknął oczy, wyciągnął się i zamruczał rozkosznie.

Ciekawe, co robił jego właściciel? Wyjechał na urlop? A może kupił sobie młodszego psa? Jak mógł zasnąć z taką podłością na sumieniu?

– Szybko znajdziemy dla ciebie dobry dom – zapewnił psa. – Nie będziesz musiał długo czekać.

Najchętniej wzięłby go do siebie, do domu, ale to nie wchodziło w rachubę, bo jego siostry były uczulone na sierść.

Westchnął, oparł głowę o ścianę i znów pomyślał o Ricky. To, czego się dopuścił, nie dawało mu spokoju. Przecież nie mógł jej pożądać! Nie jej! Ricky była dla niego jak... no okej, może nie jak matka, ale na pewno jak... jak starsza siostra. Jannis zupełnie na nią nie zasługiwał. Nie widział, jak się czuła. Nie zauważał jej smutku i przybicia. Czy naprawdę nie wiedział, że ustawicznie bolą ją plecy? Mark wyręczał ją w pracy tak często, jak tylko mógł i kiedy tylko był w pobliżu, nie pozwalał jej nosić ciężkich rzeczy. Gdyby Ricky była jego dziewczyną, w ogóle nie musiałyby pracować. Zrobiłby wszystko, żeby tylko znów była szczęśliwa i się uśmiechała, jak wtedy, kiedy uczyła go prowadzić samochód.

Zrobiło mu się ciężko na sercu. To wszystko było tak okropnie skomplikowane! Gdyby chociaż miał skończone osiemnaście lat, mógłby wreszcie wyprowadzić się z domu. Nika nie będzie przecież w nieskończoność mieszkała w piwnicy Ricky i Jannisa, a kiedy w końcu zniknie z ich domu, on mógłby się tam wprowadzić. Mark uśmiechnął się do swoich myśli. Ten pomysł do niego przemawiał. Dlaczego wcześniej nie wpadł na takie rozwiązanie? Ricky i on pod jednym dachem. To byłoby coś niesamowitego.

Pies trącił jego dłoń mokrym nosem, domagając się dalszego drapania.

– Wybacz, zamyśliłem się – przeprosił go Mark. – Chodź, pójdziemy razem do biura. Tam znajdzie się dla ciebie wygodny koszyk, a ja poszukam czegoś pysznego do jedzenia. No, to co ty na to?

Wstał, a pies ruszył tuż za nim, niczym wierny, mały cień. Przecięli podwórze i podeszli do budynku administracji, gdzie znajdowały się biura zarządu i magazyn karmy. Było wpół do dziewiątej. To dość czasu, żeby zaktualizować stronę internetową schroniska i, zgodnie z obietnicą daną Ricky, sprawdzić, jak się mają konie.

Burmistrz Herzinger zakończył farsę, w jaką zamieniła się minuta ciszy, po dokładnie czterdziestu dwóch sekundach.

– Dziękuję! – powiedział głośno i wszyscy wrócili na swoje miejsca i usiedli. Jednak nie dane mu było rozpocząć spotkania, bo Jannis Theodorakis sięgnął po swój mikrofon i wstał.

– Szanowni państwo, zanim rozpocznie się proces mamienia was i opowiadania różnych bajek, chciałbym przedstawić kilka faktów dotyczących planowanej farmy wiatrowej, o których z całą pewnością nie dowiecie się od burmistrza czy pozostałych prelegentów.

Niespodziewany manewr Theodorakisa zaskoczył burmistrza, lecz polityk błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą i odpowiedział atakiem na atak. Na jego znak technik stojący przy stole nagłośnieniowym wyłączył mikrofon przedstawiciela stowarzyszenia. W sali rozległy się

gwizdy i krzyki. Bodenstein z coraz większą troską obserwował starania burmistrza, który usiłował uspokoić rozemocjonowany tłum. Odwrócił się do Pii, która stała obok, opierając się o ścianę, i z ramionami złożonymi na piersi przygryzała dolną wargę.

– Mam złe przeczucia, jeśli chodzi o to, co się tu dzieje – powiedział.

– Nastroje są raczej bojowe – potwierdziła policjantka. – Może powinniśmy wezwać wsparcie?

Burmistrz uśmiechnął się z wysiłkiem. Przed chwilą pewnie zaczął żałować, że zgodził się na publiczną debatę nad projektem budowy farmy wiatrowej.

– Będzie pan miał dość czasu, żeby przedstawić swoje stanowisko. Dlatego apeluję o przestrzeganie zasad dobrego wychowania. Więcej kultury!

Theodorakis wzruszył ramionami i udał, że się kłania, na co publiczność zareagowała wybuchem śmiechu. Następnie przez dobry kwadrans burmistrz na przemian z Theissenem zachwalali projekt budowy farmy wiatrowej, starannie unikając odpowiadania na trudniejsze pytania, co doprowadziło publiczność na skraj wrzenia. Theodorakis przez cały czas potrząsał głową, a co pewien czas śmiał się kpiąco. W hali zaczęło się robić nieprzyjemnie. Pojedynczy ludzie wstawali z miejsc i przy akompaniamencie gwizdów i buczenia wykrzykiwali pytania.

– Zamknij się w końcu! – ryknął ktoś z tłumu, kiedy burmistrz przekazywał Theodorakisowi mikrofon.

– My, członkowie stowarzyszenia obywatelskiego

„NIE dla farmy wiatrowej w Taunusie”, widzimy tę sprawę w inny nieco sposób – zaczął Jannis. – Zanim zostaniecie państwo zalani potokiem okrągłych słówek, chciałbym zaprezentować kilka suchych faktów, które rozwieją piękny mit zielonego biznesu. Otóż w roku 2006 urząd planowania przestrzennego opracował listę indykatywną sześćdziesięciu sześciu potencjalnych lokalizacji na terenie między Renem a Menem, odpowiednich dla pozyskiwania energii z wiatru. Następnie została opracowana czytelna lista kryteriów, na podstawie których doszło do dalszego zawężenia grupy lokalizacji najlepiej nadających się do stawiania elektrowni wiatrowych. W ten sposób, w styczniu 2009 roku lista optymalnych lokalizacji składała się z pięciu pozycji. I, jak się państwo domyślacie, dyskutowana lokalizacja w Taunusie nie znalazła się na tej liście, a to ze względu na gwałtownie zmieniające się warunki wiatrowe.

– Dlaczego w takim razie wydano pozwolenie na budowę? – zapytał ktoś z widowni. – Niesprawna farma wiatrowa nie zarobi na sobie!

Pomruk aprobaty. Burmistrz i kobieta dwojga nazwisk spojrzeli na Theissena, który w żaden sposób nie dawał po sobie poznać, jakie emocje nim targają. Theodorakis ciągnął dalej. Wyjaśnił, że ekspertyzy, które zleciła Hesja i stowarzyszenie, w sposób jednoznaczny wskazują, że budowa zespołu elektrowni wiatrowych w tym miejscu nie będzie opłacalna.

– Natomiast obie ekspertyzy przedstawione przez

WindPro mówią coś zgoła odmiennego.

Theissen uniósł gwałtownie głowę. Bodenstein przypomniał sobie kartkę z ekspertyzy znalezioną na podłodze przy kserokopiarce. Kröger sprawdził wówczas, że ksero w sekretariacie Theissena pracowało w czasie włamania do firmy.

– Myślisz o tym samym co ja? – zapytała Pia.

– Żebyś wiedziała – odparł Oliver. – Strona z ekspertyzy.

– Jeśli to był powód i cel włamania, to Theodorakis ponownie wspina się na sam szczyt listy podejrzanych.

– Aha – zgodził się Bodenstein. – Gość ma jakiś instynkt autodestrukcyjny.

– Zanim operator zorientuje się, że farma jest nieekonomiczna – z głośników ponownie płynął głos Theodorakisa – minie najpewniej dobrych kilka lat. Do tego czasu firma projektowa z funduszem, który powstał na rzecz budowy elektrowni, pomnoży trzy czy cztery razy zarobione pieniądze. Do tego dochodzą oczywiście milionowe dopłaty i subwencje z Europy, od rządów krajowych i federalnego, i od gmin. Uważamy, że naszym obowiązkiem będzie zacząć zadawać pytania. I dziś wieczorem będziemy chcieli dowiedzieć się, jak to możliwe, że Ministerstwo Ochrony Środowiska tak nagle... – Jannis przerwał na chwilę dla podniesienia napięcia – ...tak nagle i diametralnie zmieniło swoją opinię na ten temat. Zapytamy też pana Theissena, jak to możliwe, że organizacje ochrony środowiska z regionu nagle zaczęły otrzymywać

od niego spore sumy pieniędzy.

– Co pan chce zasugerować? – zapytał burmistrz, uśmiechając się protekcjonalnie, co, zważając na bardzo napiętą atmosferę w hali, było wybitnie nie na miejscu.

– Ależ ja nie muszę niczego sugerować! – odparł Theodorakis. – Ja mam dowody! Mejele z tajnymi ustaleniami, dowody na przepływ pieniędzy na konta, na które nie powinny płynąć, i jeszcze sporo innych. Dysponuję dowodami, że WindPro, aby otrzymać pozwolenie na budowę, przekupiła osoby odpowiedzialne za podejmowanie decyzji zarówno w ministerstwie, jak i w urzędzie miasta w Eppstein.

Burmistrz machnął lekceważąco dłonią i uśmiechnął się, jakby chciał ośmieszyć swojego oponenta.

– To jest jakaś piramidalna bzdura! – Theissen sięgnął po mikrofon. – Ten człowiek jest chory z zemsty! Mści się za to, że w zeszłym roku wyrzuciliśmy go z pracy.

– Pokaż dowody! – krzyknął ktoś z publiczności.

– Nie może, bo nie ma żadnych dowodów! – zapewnił pospiesznie Theissen. – A jeśli cokolwiek ma, to sam to wyprodukował!

– Sami się podkładacie! – Theodorakis uśmiechnął się tryumfalnie, po czym sięgnął po skoroszyt ze stołu i uniósł go nad głowę. – Proszę bardzo, tu są wszystkie dokumenty!

Theissen i burmistrz wymienili pospieszne spojrzenia, bo chyba zrozumieli, że nie mogą liczyć na zwykłą

kłótnię i widowiskowe, acz nie wnoszące nic pokrzykiwania.

– Pan Theodorakis przez kilka lat pracował w WindPro jako kierownik zespołu projektantów. – Theissen wstał z krzesła, gotów do kontrofensywy. – Ze względu na poważne błędy i zaniedbania...

– Nieprawda! – przerwał mu Theodorakis.

– Może pan pozwoli, teraz ja mówię! – odparł Theissen lodowatym głosem.

– Ale pan kłamie.

– Niedługo się okaże, kto tutaj kłamie.

Głowy publiczności obracały się w prawo i w lewo, jak na meczu tenisa. W sali zrobiło się gorąco i duszno. Wiele osób wachlowało się ulotkami stowarzyszenia. Theissen uśmiechnął się do mieszkańców i mówił dalej:

– Szanowni państwo, nie mam w zwyczaju prac brudów na oczach innych, jednak nie mogę pozwolić, żeby ktoś z chorej zemsty próbował zniszczyć nasz projekt. – Jego głos, niższy i bardziej dźwięczny niż głos oponenta, brzmiał spokojniej i bardzo przekonująco. – Pan Theodorakis został zwolniony dyscyplinarnie ze skutkiem natychmiastowym z naszej firmy, a potem przegrał kilka procesów przed sądem pracy. Z tego powodu szuka teraz okazji, by gdzie się tylko da wetknąć nam szpilę. Apeluje do państwa rozsądku, nie pozwólcie zwodzić się człowiekowi kierującemu się takimi pobudkami!

W hali zrobiło się głośno. Wszyscy pojęli, że skoro sąd pracy przyznał rację pracodawcy, a nie zwolnionemu,

i to nie w jednym, a w kilku procesach, to znaczyło, że pracownik musiał rzeczywiście być winien. Nikt nie miał tutaj wątpliwości. Theissen machnął łaskawie dłonią, dając znak, że oddaje głos Theodorakisowi.

Jannis milczał przez chwilę, czekając, aż publiczność się uspokoi.

– Mimo takiego wstępu, chcielibyśmy przedstawić państwu fakty – oznajmił w końcu spokojnie, choć musiał być wzburzony po tym, co usłyszał na swój temat. – Niech państwo sami zdecydują, komu i w co wierzyć, a w co nie.

Sprytna kontra, pomyślał Bodenstein. Od dłuższej chwili zastanawiał się, jakimi materiałami stowarzyszenie obywatelskie dysponuje w rzeczywistości. Theodorakis zaczął wyliczać błędy i zaniedbania miasta, gminy, krajowego Ministerstwa Ochrony Środowiska i firmy Wind-Pro.

– Kłamstwo! – komentował Theissen krótko każdą pozycję z listy Jannisa Theodorakisa. W hali panowała taka cisza, że można by było usłyszeć przelatującą muchę.

– Czy mógłby się pan łaskawie zamknąć? – Theodorakis stracił cierpliwość po trzecim albo czwartym komentarzu swojego byłego szefa.

– Sam się pan lepiej zamknij – odparował Theissen i uśmiechnął się przy tym łaskawie. – Wie pan, co pan w ogóle robi? Przy świadkach podpisuje pan na siebie wyrok i to z wielu artykułów kodeksu karnego. No ale cóż zrobić, pan już się chyba przyzwyczaił do porażek, więc

kolejna nie robi na panu wrażenia.

Theodorakis wzruszył ramionami.

– Sądziłem, że takie prymitywne ataki *ad personam* są poniżej pana godności, panie doktorze Theissen – powiedział spokojnie. – Stoję przed państwem jako reprezentant stowarzyszenia obywatelskiego, które w państwa imieniu chce zapobiec realizacji całkowicie chybionego projektu, na którym skorzysta tylko i wyłącznie firma WindPro! Jeśli pan Theissen chce mnie poniżyć, proszę bardzo. To nie robi na mnie wrażenia. Wszystko, o czym dzisiaj państwu powiem, znajdzie się w formie dokumentów na stronie internetowej stowarzyszenia.

Theissen chciał mu odpowiedzieć, ale Theodorakis nie dał mu dojść do słowa.

– Co ważne, firma WindPro postanowiła zastosować strategię faktów dokonanych – oznajmił i wskazał oskarżycielsko palcem na Theissena i na burmistrza. – Otóż wbrew wszystkim umowom, już w poniedziałek rano wynajęta przez nich firma rozpoczęła wycinkę drzew na terenie, na którym miałyby powstać farmy. Czy komuś, kto tak perfidnie oszukuje, w ogóle można wierzyć?

Ani burmistrz, ani Theissen nie zamierzali pozwolić mu wypowiadać bezkarnie takich oskarżeń. W gwałtowną wymianę zdań, jaka się wywiązała po oskarżeniach Theodorakisa, włączyła się również publiczność. W hali rozległy się gwizdy i buczenie. Od tej chwili nie było już szans na prowadzenie cywilizowanej dyskusji między obiema stronami sporu. Nagle, nie wiadomo skąd,

w stronę podium poleciał pomidor i roztrzasnął się z płaskiem na ramieniu burmistrza.

Bodenstein sięgnął po komórkę i wybrał numer Cema Altunaya.

– Schodźcie szybko na dół! – rozkazał. – I natychmiast wezwijcie wsparcie. Przekażcie porządkowym, że wszystkie wyjścia ewakuacyjne mają być otwarte! Wykonać!

– Kłamca! Kłamca! – skandowała grupka młodzieży.

– Spokój! – krzyknął towarzysz Theodorakisa, który dotychczas nie włączał się w dyskusję. Schwycił mikrofon i zerwał się na równe nogi. – Spokój! Proszę zachować spokój!

– Kłamca! Kłamca! – ryczała młodzież, a w powietrzu latały zgniłe jaja i pomidory. Pociski trafiały burmistrza, Theissena i Theodorakisa, lecz tylko ten ostatni nic sobie z tego nie robił. Oniemiała pani doktor z ministerstwa padła na kolana i schowała się pod stołem.

– Ja sobie na coś takiego nie pozwolę! – warknął wściekle burmistrz i czerwony jak burak cisnął mikrofonem o stół. W tym momencie przenikliwy pisk sprzężenia zagłuszył wszystkie wrzaski i nawoływania do spokoju, a publiczność wpadła w szal. Herzinger zeskoczył z podium i energicznym krokiem ruszył przejściem między krzesłami. Ludzie wstawali ze swoich miejsc i wychodzili spomiędzy rzędów. Bodenstein pomyślał z troską o rodzicach, którzy musieli siedzieć gdzieś z przodu sali. Naraz, ciśnięty nie wiadomo skąd pomidor,

trafił burmistrza prosto w twarz. Mężczyzna zadygotał ze złości i rzucił się w bok, w kierunku napastnika, którego musiał zauważyć. Bodenstein patrzył z niedowierzaniem, jak urzędnik dopadł jakiegoś młodego człowieka i zanim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, uderzył go w twarz. W jednej chwili otoczenie burmistrza zamieniło się w pole bitwy. W powietrze unosiły się pięści, latały krzesła i rozlegały okrzyki bólu. Ludzie uwięzieni w tłumie nie mogli uciekać. Wybuchła panika.

– Czy on jest normalny?! – Pia oderwała się od ściany. – Trzeba go stąd wyciągnąć, bo go zlinczują!

– Zostań tu! – Bodenstein chciał ją przytrzymać, ale tłum napierał z taką siłą, że nie miał szans. W następnej sekundzie stracił Pię z oczu. Wokół burmistrza zrobiło się ciemno od agresywnych zadymiarzy. Mężczyzna klęczał, osłaniając twarz rękoma. Podłoga zmieniła się w ślizgawkę, krzesła leżały porozrzucone bezładnie, a ludzie potykali się o nie, krzyczeli, usiłowali biec, ślizgali się i przewracali.

– Pomocy! – zawyła histerycznie jakaś kobieta. – Chcę stąd wyjść!

Chaosu nie dało się już opanować. Ludzie napierali falami na wyjścia i z wykrzywionymi z bólu i przerażenia twarzami spieszyli się, by wyprzedzić innych. W powietrzu wciąż fruwały krzesła. Hala zmieniła się w śmiertelnie niebezpieczną pułapkę. Bodenstein został przyparty do ściany. Przez chwilę nie mógł nawet nabrać powietrza. Zrozpaczony szukał wzrokiem Pii, jednocze-

śnie zamartwiając się o rodziców. Jeśli mieli choć trochę rozsądku, zostali na swoich miejscach.

Zrób coś! – Klaus Faulhaber schwycił Jannisa za ramię. – Przecież oni go zlinczują! Będą ofiary!

– A co ja mogę zrobić? – Jannis wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Ten idiota dał się sprovokować jakimś zadymiarzom i masz. Sam jest sobie winien.

W tylnej części sali był niesamowity harmider. Rozpoczęła się bójka, a sto kilkadziesiąt osób, które nie chciały brać w niej udziału, rzuciło się do podwójnych drzwi, z których tylko jedna połowa była otwarta.

– Niech to szlag – mruknął Jannis, zdając sobie nagle sprawę, że porządkowi nie panują już nad sytuacją. Kobieta z ministerstwa przebudziła się nagle do życia. Wyskoczyła spod stołu, rzuciła się panicznie w stronę schodów ze sceny, niewiele brakowało, żeby się z nich sturlała, ale w następnej chwili dopadła wyjścia ewakuacyjnego. Theissen ruszył za nią i zwinnie jak lampart wyskoczył na dwór, gdzie zniknął w ciemności. Dotychczas ludzie zajmujący przednie rzędy siedzieli jak sparaliżowani, ale teraz, widząc otwarte drzwi, rzucili się przed siebie, by jak najszybciej opuścić niebezpieczne miejsce. Robili to jednak w sposób daleko bardziej zdyscyplinowany niż rozhisteryzowany tłum z tyłu hali.

Jannis dostrzegł blond policjantkę, jak wlecze za sobą burmistrza, kierując się w stronę wyjścia ewakuacyjnego.

Uznał, że trzeba salwować się ucieczką jeszcze przed nimi. Nie nęciła go wizja nocy spędzonej na przesłuchaniach. Miał coś znacznie ważniejszego do załatwienia. Nie mógł nigdzie dojrzeć Ricky i Niki, ale wiedział, że one sobie na pewno poradzą. Zdecydowanym ruchem zamknął skoroszyt i wziął nogi za pas. Kilka sekund później znalazł się na dworze. Z kieszeni marynarki wyjął kluczyki do samochodu.

– Theodorakis!

Kiedy usłyszał swoje nazwisko, zatrzymał się i odwrócił. Przed nim stał Stefan Theissen. Nie widział go wcześniej, ale wciąż podniecony swoim tryumfem w hali, Jannis czuł się nietykalny i niezwyciężony.

– Nie mam teraz czasu – powiedział i chciał odejść.

– To go lepiej znajdź – warknął Theissen. Był naprawdę wściekły. Z takimi osobami lepiej nie zadzierać i Jannis to wiedział. Spróbował więc uciec, lecz Theissen szybko go dopadł.

– Mam cię po dziurki w nosie, pieprzony debilu! – Warknął były szef, po czym wymierzył mu potężny cios. Jannis zatoczył się i przewrócił na stojący obok samochód.

– Au! – Zrobiło mu się ciemno przed oczyma. – Co pan wyprawia?

– Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Że kim niby jesteś? – wysyczał Theissen. Obiema dłońmi pchnął go z powrotem na samochód. – Nie pozwolę takiemu zawistnemu złamasowi deptać mojego dobrego imienia

i niszczyć reputacji firmy!

Jannis chciał się wycofać. Coraz bardziej się bał. Nie dostrzegł w porę, jak bardzo Theissen jest wzburzony.

– Twój dzisiejszy teatrzyk na pewno będzie miał konsekwencje! Smutne dla ciebie, masz moje słowo! – oznajmił Theissen groźnym szeptem. – Zapomniałeś, co podpisywałeś, jak dostałeś odprawę, prawda? Ale nic się nie bój, spotkamy się w sądzie. Znowu. Ale tym razem doprowadzę sprawę do końca, aż zapomnisz, jak się nazywasz!

Theissen wyglądał i zachowywał się jak wariat, który nie cofnie się przed niczym.

– Nie pozwolę się panu zastraszyć! – jęknął słabo Jannis, choć niewiele brakowało, by ze strachu miał pełne spodnie. – Niech pan pamięta, że mówię tylko prawdę!

– Gównu mówisz. Gównu. – Theissen złapał go brutalnie za ramię i pociągnął. Na parking wjeżdżały właśnie policja, straż pożarna i karetki na sygnale. Jannis zrozumiał, że nawet gdyby w tym rozgardiaszu krzyczał o pomoc, nikt mu i tak nie pomoże.

Pia! – ryknął Bodenstein, ale dookoła widział jedynie obce twarze i oczy pełne zwierzęcego strachu. Tuż przed nim jakaś kobieta padła na podłogę, ale nie mógł jej pomóc, bo tłum niósł go nieubłaganie ze sobą. Zahaczał o innych marynarką, przyjmował uderzenia łokciami i nadepnął na coś miękkiego. W końcu poczuł, że fala paniki obejmuje i jego.

Musisz zachować spokój!, powtarzał sobie w myślach. Jednak w jego głowie pojawiły się zamazane wspomnienia z czasów akademii policyjnej, obrazy strastowanych ciał, fragmentów zwłok i ciężko rannych. Dlaczego nie wyszedł, kiedy jeszcze miał szansę? Niech to diabli! Pot lał mu się ciurkiem po plecach, a on rozpaczliwie łapał ustami powietrze. Gdzie była Pia? Co się działo z jego rodzicami? Jakiś mężczyzna uderzył go głową w brodę. Zrobiło mu się ciemno przed oczyma; zakołysał się niebezpiecznie. Na ułamek sekundy stracił równowagę i zniknął w skłębionym tłumie. Bezlitosny strumień spaniakowanych ludzi docisnął go do ziemi. Jeszcze przed chwilą widział głowy innych, a teraz widział jedynie fragmenty ubrań, spodnie, paski, nogi i buty. Przepychający się kopali go, gdzie popadnie. Nie czuł bólu, tylko strach, przerażający, zwierzęcy strach, który żelazną obręczą ścisnął mu żołądek i który wyłączył wszystkie inne uczucia i otworzył dostęp do pokładów sił, o które nigdy by się nie podejrzewał. Nie chciał umierać – nie tutaj i z całą pewnością nie w ten sposób, na brudnej podłodze hali widowiskowej.

Ruszył na czworakach między nogami innych, kierując się w stronę drzwi, a przynajmniej taką miał nadzieję. Nagle mógł znowu oddychać. Łapczywie nabierał do płuc świeże powietrze. Byle jak najdalej! Byle dalej!

Niespodziewanie ktoś chwycił go mocno za ramię.

– Panie Bodenstein! – Usłyszał kobiecy głos, którego nie znał. Jeszcze niewiele kojarzył i wszystko widział jak

przez mgłę. Zdezorientowany uniósł głowę i spojrzał w zatroskane, zielone oczy. Przez moment miał wrażenie, że jednak mógł tę kobietę skądś znać, ale za nic nie mógł rozpoznać twarzy. Skąd więc ona znała jego nazwisko?

Z wielkim trudem trzymał się na nogach. Trząsał się jak w febrze, a młoda, delikatna blondynka robiła, co mogła, żeby znów nie wylądował na ziemi. Nie puszczała go, tylko przedzierała się przez tłum w stronę wyjścia.

– Gdzie... gdzie są pozostali?

– Na pewno na zewnątrz – odpowiedziała kobieta. – Musi pan głęboko oddychać.

Bodenstein zrobił, co mu kazała. Pia! Gdzie była Pia? Przypomniawszy sobie, że widział, jak przedziera się przez tłum, aby ratować burmistrza. Potem stracił ją z oczu. Ile czasu minęło? Miał wrażenie, że kilka godzin. Ludzie siedzieli albo leżeli na podłodze, inni zataczali się dookoła, płacząc histerycznie albo ponuro milcząc. Niektórzy mieli nieruchome twarze i poruszali się jak w amoku. Kiedy zbliżali się do wyjścia z foyer, minęli ich umundurowani policjanci, sanitariusze i lekarze. Na zewnątrz błyskały niebieskie światła kogutów.

– Moi rodzice tam zostali. – Bodenstein się zatrzymał. – Muszę wracać.

Spojrzał na zegarek. Było pięć po dziewiątej. Katastrofa trwała kilkadziesiąt sekund, najwyżej kilka minut. Zawrócił, wszedł do hali i zamarł. Przed jego oczyma rozpościerał się krajobraz zniszczenia. Połamane krzesła, fragmenty ubrań i pojedyncze buty pokrywały niemal całą

podłogę. Tuż przed drzwiami lekarze starali się ratować jakąś kobietę, kilka metrów dalej leżały dwie inne kobiety i mężczyzna, któremu spanikowany tłum dosłownie zerwał ubranie. Bodenstein wyminął go ostrożnie. Powoli odzyskiwał kontrolę nad sobą i przestawał się trząść. Między poprzewracanymi krzesłami dostrzegł skulone ciało kobiety. Miała na sobie dżinsy i bluzkę, która niegdyś musiała być biała. Zza mokrych blond włosów nie widać było twarzy. Na kilka sekund przestało mu bić serce.

– O nie! Pia! – krzyknął i padł przy skulonej kobiecie na kolana.

Policja zabezpieczyła drzwi, ale to nie stanowiło dla niej problemu. Znała w końcu inne drogi do domu, które co prawda były nieco mniej wygodne, ale za to nikt o nich nie wiedział.

Frauke nie zapomniała swoim chciwym braciom, że nie dali jej znać zaraz na początku, kiedy zaczęła się sprawa z WindPro, i planowali wyłączyć ją z udziału trzech milionów euro. Nie potrafiła również zapomnieć lat upokorzeń i kpin, które musiała znosić ze strony Gregora i Matthiasa. Nigdy, ani razu nie zaprosili jej do swoich eleganckich domów i ani razu nie wybrali jej na matkę chrzestną swoich dzieci. Bo niby dlaczego? Przecież i tak nie miała pieniędzy, żeby kupować bachorom luksusowe prezenty, a jej snobistycznym szwagierkom tylko o to chodziło.

– Jeszcze się nieźle zdziwicie, chrzanieni debile! – mruknęła pod nosem.

Zaczęło robić się ciemno. Za pół godziny zapadnie zmrok, a to było jej na rękę. Ze wsi dobiegał ryk syren. Ciekawe, co się tam działo? Zresztą, co to miało za znaczenie? Sapnęła z wysiłku, przestawiając ciężką pergolę oplecioną dziką różą. Drewnianą konstrukcję oparła o ścianę domu. Jej oczom ukazały się wąskie, pokryte rdzą drzwi. Z torebki wyjęła puszkę smaru w sprayu. Psiknęła dwukrotnie do środka zamka, a potem wsunęła klucz i po chwili go przekręciła. Zawiasy były nieco zapieczone, ale szarpiąc i popychając, Frauke w końcu uchyliła drzwi. Rozległo się przeraźliwe skrzypienie, a na nią posypał się kurz i drobinki rdzy. Strzepnęła je z siebie i weszła do dawnej spizarki. Po omacku znalazła włącznik. Pod sufitem zapłonęła naga żarówka na przewodzie. Drzwi do kuchni nie były zamknięte. Wystarczyło jeszcze dziennego światła, żeby bez problemu poruszać się po domu. Pewnym krokiem ruszyła w stronę schodów i weszła na piętro. Doskonale wiedziała, dokąd zmierza i gdzie powinna szukać; na starość człowiek nie porzuca pięćdziesięcioletnich przyzwyczajeń, lecz trzyma się ich kurczowo. A Frauke znała zwyczaje swojego ojca.

Podłoga korytarza zaskrzypiała pod jej ciężarem. Weszła do niewielkiego pokoju gościnnego, w którym od dziesięcioleci nie zamieszkał żaden gość. Otworzyła drzwi szafy wbudowanej w ścianę i z najwyższej półki zrzuciła stosik poszewek i prześcieradeł. Palcami wyma-

cała metalową kasetkę. Wyjęła ją, podniosła z ziemi powłóczki i wsunęła na miejsce, a potem zamknęła szafę. Kluczyk do niej ojciec przechowywał w cokole drewnianej madonny w swojej sypialni.

Frauke ruszyła na dół. Z wysiłku ociekała potem, ale była zadowolona z siebie. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć miny braci... Nagle znieruchomiła. Czyżby coś słyszała? Co to było? Przyszło jej do głowy, że zapomniała zamknąć za sobą drzwi. Ktoś musiał wejść za nią do domu. Wstrzymując oddech, wsłuchiwała się w ciemność. Atak przyszedł jakby znikąd. Rzuciło się na nią coś czarnego.

Ze strachu upuściła kasetkę, zrobiła nieporadny krok naprzód i straciła równowagę. Przez kilka sekund machała ramionami, ale nic to nie pomogło – runęła stromymi schodami na dół, przełamała starą poręcz i lądując, uderzyła głową o futrynę drzwi do sypialni ojca.

Kaszłąc, oparła dłonie o niewysoki murek i nabrała głęboko powietrza. Mężczyzna, którego wyciągnęła z hali, wyteżając przy tym wszystkie siły, siedział na ziemi i przyciskał dłonią obficie krwawiącą ranę na głowie.

– Nic panu nie jest? – zapytała Pia.

– Nie, nie, wszystko w porządku – wymamrotał burmistrz. Był w szoku. – Co się właściwie stało?

– Porwał się pan na bójkę z całą grupą jakichś wyrostków – odparła Pia. – Niewiele brakowało, a rozerwaliby pana żywcem na strzepy!

Burmistrz uniósł głowę i spojrzął na policjantkę.

– Pani... uratowała mi pani życie. – Głos mu drżał. Przez wyjście ewakuacyjne wylewał się nieprzerwany strumień ludzi. Wszyscy oddychali głęboko, a niektórzy zataczali się i przewracali na ziemię. Inni odchodzili i znikali w ciemnościach. Przed głównym wejściem z drugiej strony budynku rozległy się syreny alarmowe i zabłyśły niebieskie światła samochodów służb. Do Pii i burmistrza zbliżyło się dwóch mężczyzn w garniturach. Idąc, przyglądali się kolejno twarzom mijanych osób.

– Wielkie nieba, szefie! To pan! – krzyknął jeden z nich na widok burmistrza.

– Zajmijcie się nim, proszę. – Pia wywnioskowała, że ewidentnie nie należeli do szajki, która rzucała pomidorami. – Powinien obejrzeć go lekarz.

– Oczywiście – zapewnił jeden z młodych ludzi. On i jego kolega złapali oszołomionego urzędnika pod ramiona i postawili na nogi. Pia wtedy właśnie uświadomiła sobie, że prawdziwym powodem, dla którego znalazła się w hali widowiskowej, był Theodorakis. Przez chaos i zamieszanie całkowicie o tym zapomniała. Spróbowała sobie przypomnieć, gdzie widziała go po raz ostatni. Za sceną znajdowało się wyjście ewakuacyjne, przez które uciekła kobieta z ministerstwa i Stefan Theissen. Czy poszedł za nimi? Pia rozejrzała się uważnie. Theodorakis siedział razem z nimi na podwyższeniu, kiedy ona skoczyła ratować burmistrza. Najpewniej uciekł za pozostałymi. Przez ten czas zrobiło się ciemno. Reflektor umieszczony

pod dachem hali ledwie rozpraszał mrok nocy. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Bodensteina. Nie odbierał. Zbliżało się coraz więcej samochodów na sygnale. W tym rozgardiaszu i tak żaden z jej współpracowników nie usłyszałby dzwonka. Jak w ogóle mogło dojść do takich scen? Ruszyła w stronę głównego wejścia, kiedy niespodziewanie dostrzegła dwóch mężczyzn, którzy stali nieco z boku, między samochodami, i o coś się kłócili. Naraz dostrzegła refleks światła w szklach okularów jednego z nich.

Theodorakis! Ten skurczybyk chciał się po prostu ulotnić, zamiast zgodnie z umową dać im się przesłuchać! Przyspieszyła kroku. W tej samej chwili drugi mężczyzna wykręcił Theodorakisowi ramię na plecy. To już nie wyglądało nawet na kłótnię. Pia ruszyła biegiem, sięgając po drodze po broń.

– Policja! – krzyknęła głośno. – Odsunąć się!

Mężczyzna posłuchał i odwrócił się w jej stronę. Zaskoczona policjantka dopiero wtedy dostrzegła, kto to był.

– Co pan wyprawia, doktorze Theissen? – zapytała ostro.

– To nie pani sprawa – odpowiedział szef WindPro podobnym tonem. Potem doprowadził garnitur do porządku i poprawił krawat.

– My jeszcze pogadamy – syknął do Theodorakisa i zniknął między zaparkowanymi samochodami.

Jannis Theodorakis klęczał na ziemi. Z nosa kapąca mu krew i spływała po brodzie. Pia schowała broń.

– Chciał pan uciec? – zapytała lodowatym tonem.

– Nie! Oczywiście, że nie. – Theodorakis szukał czegoś po omacku. – Ten szaleniec próbował mnie zabić! Ja go pozwę! Oj, już ja pokażę temu brutalnemu zbirowi!

W końcu trafił na swoje okulary, założył je na nos i stękając, podniósł się z ziemi. Krzywiąc się z bólu, oparł się o maskę samochodu i ostrożnie dotknął nosa.

– Ten wariat złamał mi nos! Złamał go! – wystękał, prawie płacząc. – Pani będzie świadkiem, że mnie zaatakował!

– Prawdę mówiąc, nie widziałam, żeby pana zaatakował – odparła Pia. – Ale chyba nie jest pan zaskoczony, że Theissen jest na pana wściekły? Po tym, co mu pan zarzucił?

– Nic nie zarzucałem, tylko mówiłem prawdę – odparł Theodorakis, teatralnie unosząc dłonie. – Jak widać, w tym kraju mówienie prawdy jest niebezpieczne dla życia. – Wierzchem dłoni wytarł nos i spojrzał na krew.

Pia postanowiła wykorzystać sytuację. Ludzie w szoku często nie są dość opanowani, żeby odruchowo kłamać.

– Skąd wziął pan te ekspertyzy, które Theissen miałby sfałszować? – zapytała, licząc, że Theodorakis niechcący powie prawdę.

– Co to ma znaczyć, że miałby je sfałszować? – Theodorakis jeszcze bardziej się zdenerwował. Nie wyglądał na osobę, która jest w szoku. – Mam swoje dojścia. Poza tym, w WindPro pracuje jeszcze kilku przyzwoitych ludzi.

Ręce mu drżały, kiedy odsuwał na bok blond włosy. Kiedy zobaczył twarz kobiety, serce znów zaczęło mu walić jak szalone. To nie była Pia! Bodenstein przyłożył dwa palce do jej szyi, by sprawdzić, czy ma puls. Jednocześnie odwrócił się w stronę ratowników.

– Tutaj! – krzyknął i przywołał gestem dwóch sanitariuszy, którzy szukali rannych na pobojowisku. – Mam tu nieprzytomną!

Następnie wstał, zatoczył się lekko i cofnął, żeby zrobić miejsce przy rannej. Wciąż jeszcze rozglądał się uważnie. W hali widać było siedzących i stojących ludzi. Pozbawione wyrazu twarze, zaskoczone i przerażone. Niewysłowiony strach. Bodenstein zaczął przedzierać się między poprzewracanymi krzesłami. To, co dzisiaj przeżył, nigdy go już nie opuści. Mimo że nieraz znajdował się w sytuacjach zagrażających życiu, tak naprawdę nigdy jeszcze nie spojrzał śmierci w oczy – jak dzisiaj. Przeszedł niezliczoną ilość treningów i szkoleń, jak zachowywać się w krytycznych sytuacjach, a jednak przed chwilą całkowicie stracił zdolność logicznego myślenia, a jego krokami pokierował najsilniejszy i najbardziej prymitywny ze wszystkich instynktów, w jakie natura wyposażyła człowieka: instynkt przeżycia. Za wszelką cenę.

– Oliver!

Drgnął i odwrócił się gwałtownie, słysząc głos matki. Staruszka była blada, ale opanowana. Z ulgą chwycił ją mocno w ramiona. Jego rodzice dostali miejsca w przedniej części hali i na szczęście zachowali tyle roz-

sądku, żeby nie wstawać z krzeseł, kiedy wybuchła panika. Nagle zorientował się, że nie ma z nimi ojca.

– Mamo, gdzie jest tata? – zapytał.

– Poszedł szukać pozostałych – wyjaśniła matka i spojrzała na niego w dziwny sposób, lecz on nie zwrócił na to uwagi.

– Zaraz zadzwonię do Quentina, żeby po was przyjechał.

– Nie, daj spokój. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Damy sobie przecież radę. A ty zajmij się swoją pracą.

– Nie, wszystko w porządku. I lepiej się nie rozglądaj – odparł.

– Wiesz, widziałam już gorsze rzeczy – wyjaśniła matka zdecydowanie. – Może będę mogła pomóc.

Bodenstein uniósł ramiona. Wiedział, że nie ma sensu kłócić się z nią. Poza tym rzeczywiście, niejedno już widziała w czasie wolontariatu w hospicjum. Jego matka była bardzo silną kobietą. Na pewno nie będzie miała problemu, żeby włączyć się w pomoc poszkodowanym. Wiedział, że może ją puścić samą i nie musi się nią zajmować.

Kiedy przez wyjście ewakuacyjne wyszedł wreszcie na dwór, zamknął na chwilę oczy i nabrał głęboko powietrza. Przyjemny wietrzyk schłodził jego rozpaloną jak w gorączce skórę. Wszędzie dookoła stali ludzie, obejmowali się i rozmawiali ściszonymi głosami. Jakaś kobieta nerwowo paliła papierosa. Jej twarz była czarna od łez płynących przez zaporę z czarnego tuszu. Bodenstein szedł bez celu przed siebie. Byle tylko nie stać w miejscu

i nie myśleć. Przed głównym wejściem było tłoczno i głośno. Migotały niezliczone syreny alarmowe służb i rozświetlały ciemność niczym błyskawice. Dopiero wtedy zauważył kobietę, która za nim szła.

– Ta kobieta w hali to nie była pana koleżanka? – zapytała.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Na szczęście nie.

Przyjrzeni się sobie nawzajem. Bodenstein widział drobną, bladą i delikatną twarz, raczej ujmującą niż piękną. Jasne włosy, wcześniej związane w kucyk, wysunęły się z gumki i okalały jej twarz niczym aureola głowę świętej. Nieco przypominała Inkę Hansen. I nagle uświadomił sobie, skąd ją zna. Była w majątku jego rodziców, a po spotkaniu jego ojciec zaprosił ją do samochodu i odwiózł do domu. Oliver dziwił się wtedy, lecz matka wyjaśniła mu, że to znajoma taty.

– Czy myśmy nie widzieli się przypadkiem w majątku mego ojca? – zapytał Bodenstein. – Pani nazywa się... Nicole! Tak?

– Nika. – Dziewczyna się przedstawiła i uśmiechnęła, pokazując zęby białe jak śnieg. Po chwili na powrót spoważniała.

– Proszę – powiedziała. – Niech pan na chwilę usiądzie.

Bez sprzeciwu dał się podprowadzić do betonowej donicy i posłusznie usiadł na jej brzegu. Dziewczyna usiadła obok.

Przez chwilę milczeli i patrzyli gdzieś przed siebie.

Jej bliskość w jakiś sposób mu przeszkadzała, a jednocześnie sprawiała przyjemność. Czuł ciepło jej ciała i jej cudowny spokój, który koił jego wzburzenie.

– Dziękuję, że pani mi pomogła – powiedział w końcu łamiącym się głosem. – To było bardzo szlachetne z pani strony.

– Nie ma o czym mówić.

Nagle zwróciła się w jego stronę i uważnie mu się przyjrzała, a on poczuł, że robi mu się gorąco.

– Muszę lecieć poszukać pozostałych – powiedziała cicho. – Na pewno nic panu nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. – Wyciągnął dłoń, ale odsunęła się i wstała, unikając dotyku.

– Do zobaczenia.

Bodenstein odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła między oślepiającymi reflektorami. Miał wrażenie, że rozplynęła się w powietrzu.

W tym momencie w wyjściu ewakuacyjnym pojawiła się Pia. Rozejrzała się uważnie. Kiedy go poznała, ruszyła szybkim krokiem. Jej białą bluzkę pokrywały ciemne plamy, podobnie jak dzinsy. Bodenstein nie posiadał się z radości, że jest cała i zdrowa. Za to ona stanęła przed nim, przekrzywiła głowę i przyjrzała się mu krytycznie.

– O rany, jak ty wyglądasz?

Bodenstein spojrział na siebie. Koszulę miał wyciągniętą ze spodni, jeden rękaw marynarki trzymał się na kilku ledwie nitkach i, czego dotychczas nie zauważył, miał bosc stopy. Bolesny powrót do rzeczywistości.

– Ja... ja byłem tam w środku – wyjaśnił głucho. – A ty? Gdzie ty byłaś? Nagle zniknęłaś mi z oczu.

– Poszłam wyciągnąć z hali burmistrza. Gdybym tego nie zrobiła, rozerwaliby go na strzępy. Poza tym dopadłam Theodorakisa, który chyba próbował dać nogę. I jego plan by wypalił, gdyby po drodze nie wpadł na Theissena, który spuścił mu manto. Zjawiłam się w porę, żeby zapobiec jakiejś tragedii.

– Gdzie jest teraz Theodorakis?

– Czeka w policyjnej furgonetce.

Bodenstein w końcu poczuł, że jest niekompletnie ubrany, bo zimny kamienny bruk nieprzyjemnie wychładzał mu stopy, a cienkie skarpetki niewiele mogły pomóc. Adrenalina powoli zniknęła z jego krwiobiegu. Zaczął drżeć. Nagle poczuł też ogromne zmęczenie. Osunął się z powrotem na betonową donicę.

– Chodź. – Pia dotknęła jego ramienia. – Poszukamy twoich rzeczy, a potem wrócimy do Hofheim.

– Jak w ogóle mogło do tego dojść? – Potarł twarz obiema dłońmi. Było mu niedobrze i całe ciało sprawiało mu ból. Od rana nic nie jadł, a na koniec doszedł jeszcze horror bycia traktowanym i strach o Pię. Kobieta sięgnęła do torebki i podsunęła mu paczkę papierosów.

– Chcesz zapalić? – zaproponowała.

– Chętnie. Dzięki. – Pia podała mu jeszcze ogień. Zaciągnęli się kilka razy.

– Myślisz, że ten bar w Königstein przy parkingu będzie jeszcze otwarty? – zapytał niespodziewanie. –

Chciałbym coś zjeść. Kebab. I frytki z majonezem i keczupem.

Pia popatrzyła na niego zaskoczona.

– Jesteś w szoku – skonstatowała.

– Przed kilkoma minutami omal nie zostałem zdep-tany na śmierć przez spanikowany tłum – wyjaśnił, zaciągając się głęboko dymem. – Pomyślałem wtedy, że oto wybiła moja ostatnia godzina i że zaraz umrę. I wiesz, co przyszło mi do głowy?

– Później mi opowiesz. – Pia chyba się bała, że zaraz uderzy w podniosłe tony i opowie jej coś wzruszającego albo boleśnie osobistego. Zamiast tego, Bodenstein zaczął się śmiać. Czyli jego ostatnia myśl była groteskowa! Ledwie udało mu się uniknąć śmierci, a teraz siedział tutaj w obdartym ubraniu, bez butów i myślał o jedzeniu. Śmiał się, aż złapała go kolka.

– Ja... pomyślałem... – Nie panował nad chichotem.

– Pomyślałem, że co to będzie, jak ksiądz na pogrzebie powie, „tutaj leży Oliver von Bodenstein, który zginął w hali widowiskowej pośród warzyw i zgniłych jaj”.

Ukrył twarz w dłoniach i nie mógł przestać się śmiać, choć tak naprawdę chciało mu się wyc.

Heinrich von Bodenstein czuł się strasznie bezradny – tak jak pasażer tonącego statku, którego kapitan uciekł już do szalupy. Wszystko poszło źle albo nawet gorzej niż źle. W najgorszych snach nie przeczuwał, że coś takiego może się wydarzyć. Ludwig miał rację. Nie powinni byli

nigdy pozwolić na to, żeby Jannis znalazł się na podium jako przedstawiciel stowarzyszenia. Przez swoje prowokacyjne zachowanie podgrzał i tak już gorącą atmosferę na sali i doprowadził publiczność do wrzenia, zamiast tonować nastroje. A teraz, proszę! Jakby zapadł się pod ziemię! W poszukiwaniu syna i pozostałych członków stowarzyszenia Bodenstein senior przeszedł między samochodami służb ratunkowych i policji. Wszędzie kręcili się medycy, funkcjonariusze i strażacy.

Czy to Jannis namówił młodzież, żeby wszczęła awanturę i zaczęła rzucać pomidorami? Heinrich von Bodenstein nie mógł w to uwierzyć, ale jednocześnie pamiętał słowa Ludwiga, który określił Theodorakisa jako osobę opętaną chęcią zemsty za wszelką cenę. I że to bardzo niebezpieczne dla wszystkich.

Obszedł narożnik budynku i nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczył, co się dzieje na placu przed wejściem do hali. Policja zablokowała dostęp do drzwi, a przy barierkach tłoczył się dziki tłum żądnych sensacji gapiów i dziennikarzy.

Nikt nie próbował go powstrzymać, kiedy wchodził do budynku. Obok stołu, na którym były listy z podpisami, leżała płachta materiału z logo czerwonego krzyża, a pod nią czyjeś ciało. Szef strażaków okazał się znajomym z polowań. Podeszedł do Bodensteina. Miał poszarzałą twarz.

– Heinrich, lepiej, żebyś tego nie oglądał – powiedział.

– Kto... kto to jest? – zapytał przybity.

– Marga – odparł strażak. – Musiała upaść...

A potem... oni wszyscy przeszli po niej...

Heinrich nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potrząsnął głową, walcząc, by się nie załamać. Zupełnie inaczej odbierało się podobną sytuację, jeśli się znało ofiarę.

– Boże... – wyszeptał. Do teraz nie wiedział, jak wielka była katastrofa, którą sam szczęśliwie przeżył. Tak wiele śmierci i cierpienia jednego dnia! Poklepał strażaka po ramieniu, a potem ruszył między rannych, ratowników i resztki wyposażenia hali. Ludzie panikowali, szukając znajomych i członków rodzin. Dookoła siebie widział blade, zakrwawione twarze, podarte i brudne ubrania. Sanitariusze wynosili ranną kobietę na noszach. Heinrich von Bodenstein znał ją.

– Kerstin! – krzyknął. Kobieta miała założony wieniec, a jeden z ratowników niósł uniesioną wysoko torebkę z roztworem soli fizjologicznej, która powoli kapłała do jej żył. Kerstin podniosła nieznacznie głowę i przez kilka sekund usiłowała skupić na nim wzrok. W końcu go poznała i wyciągnęła wolną dłoń.

– Ricky... – wymamrotała ochryple. Miała lodowate palce. – Ona... ona to wszystko...

– Proszę odejść. – Sanitariusz nie dał jej dokończyć. – Później będzie mógł pan z nią porozmawiać. Na razie musi jak najszybciej trafić do szpitala.

Heinrich von Bodenstein został odsunięty na bok, a dłoń Kerstin wysunęła się z jego dłoni. O co jej chodziło

z Ricky? I gdzie byli pozostali? Od kiedy zabrakło Ludwiga, poczuwał się w obowiązku troszczyć się o wszystkich członków stowarzyszenia. Ruszył dalej i pytał każdego napotkanego, czy widział Ricky albo Jannisa. Na próżno! W końcu wszyscy członkowie stowarzyszenia spotkali się w foyer. Z wyjątkiem Kerstin nikomu nie stała się większa krzywda. Większość, jak zresztą on sam, siedziała w pierwszych rzędach. Nikt się nie odzywał. To, co miało być wielkim tryumfem, zmieniło się w tragedię.

– Wiecie, gdzie jest Ricky? – zapytał. – Albo Jannis?

– Ricky widziałem z przodu, pod sceną – odezwał się w końcu jeden z porządkowych, który był sympatykiem stowarzyszenia. – Chwilę później wybuchła panika. Potem zniknęła mi z oczu.

Rozległ się dzwonek komórki Pii. Christoph!

– Słyszałem w radiu, co się wydarzyło w Ehlhalten! – krzyczał do słuchawki. – Dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Bo tu było potworne zamieszanie – odparła. – Przedtem próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale...

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ja się o ciebie martwiłem? – przerwał jej. – Nie mam ochoty kiedykolwiek jeszcze przeżywać czegoś takiego! Poza tym znowu nie dotrzymujesz słowa!

Pia słuchała zdezorientowana jego pełnego złości wrzasku. Christoph nigdy jeszcze tak na nią nie naskoczył! Zupełnie jakby nie było ani cudownego urlopu, ani

wspaniałych, leniwych tygodni i tej całej sielanki z dala od wszystkiego.

– Obiecałaś, że pojawisz się o siódmej – zarzucił jej.
– Czekałem do wpół do ósmej, ale dłużej nie mogłem. Wracam, ciebie nie ma w domu, a ja w radiu słyszę, co się wydarzyło. Cholera, co to ma w ogóle być?

Teraz to Pia zaczęła się gotować.

– Bóg jeden wie, że wolałabym być z tobą na obiedzie – odparła. – Ale nie mogłam rzucić wszystkiego w cholere, czy trudno to zrozumieć? Gdybym nie wyciągnęła burmistrza z matni, już by nie żył.

Co on sobie w ogóle myślał? Że ona się tu świetnie bawi? Albo że będzie biegała z komórką przy uchu, kiedy tratuje ją spanikowany tłum? Ale Christopha to nic nie obchodziło.

– Kiedy wracasz? – zapytał lodowato. Pia wściekła się nie na żarty.

– Jak skończę pracę! – krzyknęła i rozłączyła się. Cholera! Nie chciała się z nim kłócić. Nagle poczuła, że nienawidzi swojej pracy i ludzi pokroju Theodorakisa, bo to oni ponosili winę za to, że nie mogła wrócić na czas do domu.

– Coś się stało? – Obok niej pojawił się Bodenstein.

– Christoph wściekł się, bo zapomniałam zadzwonić – wyjaśniła zdenerwowana.

– Jedź do domu, jeśli chcesz. Altunay pomoże mi w przesłuchaniu – zaproponował.

– Cem i Kathrin odjechali dobrych dziesięć minut

temu – odparła. – Co tam. Chodź, pogadamy z Theodorakisem. Godzina w tę czy w tamtą mnie nie zbawi.

Jannis Theodorakis siedział w policyjnej furgonetce. Jego obolały nos spuchł do wielkości ziemniaka. Obok, na wąskiej ławce, siedziała jego zapłakana towarzysząca. Jednak on z nią ani nie rozmawiał, ani nawet nie próbował jej pocieszyć.

Bodenstein i Pia ścisnęli się na ławce naprzeciwko. Pia wyjęła notes i długopis. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans północ.

– Imię, nazwisko, adres – zwróciła się do Theodorakisa. – Data i miejsce urodzenia.

– Dwunasty maja 1966 w Gross-Gerau. Eichenstrasse 26 w Schneidhain.

Pia zapisywała jego odpowiedzi do protokołu.

– A pani? Imię, nazwisko, data urodzenia i adres.

– Kto? Ja? – Dziewczyna Theodorakisa spojrzała na nią zaskoczona i wskazała palcem na siebie.

– Tak, pani. A może widzi tu pani kogoś poza nami?

– Po długim i męczącym dniu Pia miała bardzo zły humor. Przez kłótnię z Christophem czuła się tak źle jak rzadko. W bezlitosnym białym świetle nagiej żarówki na stoliku kobieta nie wyglądała już tak młodo, jak w czasie odwiedzin w sklepie zoologicznym. Pia oceniła ją na czterdzieści – czterdzieści kilka lat. Zmarszczki na szyi, głębokie zmarszczki nad górną wargą, brązowa, wysuszo-

na skóra. Cena, jaką prędzej czy później przychodzi zapłacić każdemu, kto przesadzał z opalaniem.

– Friederike Franzen – wyszeptała. – Też mieszkam na Eichenstrasse 26 w Schneidhain. Urodziłam się jedenastego sierpnia 1967 roku.

– Proszę mówić głośniej – warknęła Pia. – Pięćdziesiątego siódmego roku?

– Sześćdziesiątego siódmego. – Ricky spojrzała urażona na policjantkę. Jej twarz pokrywały ślady łez zmieszanych z tuszem.

– Dobra, panie Theodorakis. Nie będziemy tego przeciągać. – Do przesłuchania włączył się Bodenstein. – Jest prawie północ, a ja chcę wracać do domu. Podejrzewamy pana, że w nocy z ósmego na dziewiątego maja włamał się pan do budynku WindPro.

– Słucham? – Theodorakis spojrzał na niego rozeźloni. Był blady, ale w pełni skoncentrowany.

– Wciąż ma pan klucz.

– No i? Po co miałbym się włamywać do WindPro?

– Jeśli pan pozwoli, to ja będę zadawał pytania, dobrze? – Bodenstein rzucił mu lodowate spojrzenie. – Gdzie przebywał pan w nocy z ósmego na dziewiątego maja między pierwszą a czwartą nad ranem? I dokąd się pan udał wczoraj w nocy po spotkaniu w „Koronie”?

– Dlaczego to pana interesuje? – Theodorakis znów odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ja pytam, pan odpowiada – przypomniał mu policjant. – Liczę na krótkie, precyzyjne wypowiedzi. Słu-

cham.

Theodorakis się zawahał.

– Wczoraj byłem u moich rodziców – wyjaśnił w końcu. Ani Pii, ani Bodensteinowi nie umknęło zaskoczone spojrzenie, jakim obdarzyła go Friederike Franzen. Najwyraźniej miał tajemnice również przed swoją towarzyszką.

– Rozumiem. A po co?

– Mój ojciec choruje na alzheimera i parkinsona. Przed kilkoma dniami dostał nowy zestaw leków, jednak bardzo źle to zniósł. Wczoraj wieczorem rzucił się na moją matkę, bo był przekonany, że jest żołnierzem wroga. Zadzwoiła do mnie zapłakana i prosiła o pomoc.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – zapytała Ricky obrażonym tonem.

– Dotychczas nie interesowałam się moimi rodzicami – odparł Jannis, nie odwracając głowy. – Do Büttelborn dotarłem przed jedenastą. Ojciec siedział w piwnicy, zalany krwią, i płakał ze strachu jak małe dziecko. To było przerażające. Matka również płakała. Nie wiedziałem, jak mógłbym mu pomóc, więc wezwałem pogotowie. Pół godziny później zawieźli tatę karetką do Riedstadt na oddział psychiatryczny. Pojechałem tam z matką i rozmawialiśmy z lekarzem. Potem odwiozłem ją do domu i o wpół do czwartej byłem z powrotem.

Ta wersja nie brzmiała jak coś, co można wymyślić ot tak. Poza tym najpewniej dało się sprawdzić w wymienionych miejscach, czy rzeczywiście się tam po-

jawiał i rozmawiał z lekarzami ojca.

– A gdzie był pan w nocy z piątku na sobotę?

– Był w domu – zapewniła pani Franzen, wykorzystując to, że nie od razu odpowiedział. – Przez całą noc!

– To nieprawda. – Jannis Theodorakis westchnął ciężko i przesunął dłonią po ciemnych lokach. – Wtedy również byłem u matki. Mama prowadzi gospodę, ale od kiedy tata nie może pracować, została z tym sama. Jeden z pracowników w ostatniej chwili zgłosił, że się nie pojawi, a ona i tak zajęła czyjeś miejsce w kuchni. Dlatego przyjechałem i stanąłem za barem, żeby obsługiwać klientów. Często tak robię, bo tata nie nadaje się do pomocy.

Pia popatrzyła przenikliwie na Friederike Franzen. Najwyraźniej o tym też nie miała bladego pojęcia. Ale dlaczego czuła się w obowiązku dać mu alibi?

– O której pan tam pojechał i o której wrócił? – zapytał Bodenstein.

– O wpół do dziewiątej byłem na miejscu, a około trzeciej wróciłem do domu.

– A pani? – Pia spojrzała na panią Franzen.

– Kto? Ja? A dlaczego? – Potrząsnęła głową.

– Przed chwilą zapewniała mnie pani, że pan Theodorakis całą noc spędził w domu. Może to akurat pani tam nie było i dlatego nie zauważyła pani, że nie wrócił?

– Położyłam się wcześniej do łóżka, bo byłam wykończona – powiedziała pani Franzen. – Coś tam oglądałam w telewizji, ale usnęłam. Obudziłam się dopiero, kiedy Jannis leżał obok mnie w łóżku.

– Co pani oglądała?

Zamyśliła się. Przesunęła paznokciem po dolnej wardze. Ciemnoczerwony lakier, który nie pasował do jej spracowanych dłoni.

– Powtórka serialu kryminalnego. W połowie usnęłam.

Pia i Bodenstein wymienili szybkie spojrzenia.

– Dobrze – oznajmił Bodenstein z nieprzeniknionym uśmiechem. – To by było na tyle. Proszę stawić się jutro na komisariacie w Hofheim, aby podpisać protokół przesłuchania.

Podał im swoje wizytówki. Theodorakis i jego partnerka sprawiali wrażenie zaskoczonych, ale wyraźnie im ulżyło. Czego się obawiali? I z jakiego powodu?

Pia wzięła swoje papiery i odsunęła drzwi busa, żeby wypuścić Theodorakisa i Ricky.

– Jeszcze jedna sprawa. Chodzi o to, co się wydarzyło na parkingu – powiedziała. – Czy chce pan złożyć zawiadomienie? Możemy dać panu ochronę.

Theodorakis udał, że musi się zastanowić, ale całkowicie zignorował pytające spojrzenie swojej przyjaciółki. O ataku Theissena, z którego wyszedł sponiewierany i ze złamanym nosem, też jej nie powiedział.

– Nie, nie ma sensu – machnął dłonią. – Dam sobie radę.

– Jak pan chce. – Pia wzruszyła ramionami. – Nie mogę panu niczego narzucić.

– Dziękuję. To bardzo miłe z państwa strony, ale, jak

już mówiłem, dam sobie radę.

Oboje wysiedli z furgonetki. Pia patrzyła, jak się oddalają. Jannis nie objął swojej dziewczyny i nie starał się jej pocieszyć. Maszerowali obok siebie, nawet się nie dotykając. Bodenstein stanął obok niej.

– Trochę zarozumiały gość, co? – zauważył.

– Bardziej niż trochę. Wyczułam między nimi jakieś nieprzyjemne napięcie. Dziwne. – Pia potrząsnęła głową.

– Najlepsze, że niby są razem, a ona nic o nim nie wie.

– W każdym razie na pewno nie wspomniał jej o problemach z rodzicami. – Bodenstein zamknął drzwi policyjnego busa. – Jutro sprawdzimy jego alibi, chociaż wygląda na to, że wszystko się będzie zgadzało.

– Czyli jednym słowem, wracamy do punktu wyjścia – westchnęła Pia. – Niech to cholera. A był takim wdzięcznym podejrzanym.

Na odcinku między restauracją McDonald's w Wallau a komisariatem Bodenstein wciągnął dwanaście chicken nuggets, dwa hamburgery i dużą porcję frytek, popijając wszystko największym kubkiem coli. Teraz było mu niedobrze, miał tłuste palce, a na dodatek zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia. Na szczęście przynajmniej znów mógł spokojnie myśleć.

– Gdyby nie te pomidory i jajka, być może sytuacja nie rozwinęłaby się tak dramatycznie – zauważyła Pia. Przez całą drogę prawie się nie odzywała. – Wydaje mi się, że to mogło zostać zainscenizowane.

Włączyła migacz i skręciła na parking przed kome-
ndą.

– Tylko przez kogo? – Bodenstein schował puste kar-
toniki do papierowej torebki.

– No właśnie. Na samym początku pomyślałam
o Theodorakisie. Tyle że to byłoby zupełnie bez sensu.

– Zaczęło się od tego, że burmistrz stracił panowanie
nad sobą.

– Nie, jeszcze wcześniej – zaprzeczyła Pia
i zaparkowała obok swojej terenówki. – Krótco po tym,
jak Theodorakis nazwał burmistrza i Theissena chciwymi
oszustami.

Spojrzała na szefa.

– Być może komuś zależało tylko na rozgardiaszu.
Nikt nie podejrzewał, że wybuchnie ogólna histeria
i panika.

– Proszę, możemy już o tym nie mówić? – Bodenste-
in wykrzywił twarz, jakby bolały go zęby. – Staram się
o wszystkim zapomnieć.

– Dziesięć tysięcy kalorii miało ci w tym pomóc? –
Pia uśmiechnęła się złośliwie.

– Od jutra wracam do diety – zapewnił ją.

Pia nie ruszała się jeszcze z miejsca.

– Kto mógłby mieć interes w tym, żeby zrobić zady-
mę na spotkaniu? – zastanawiała się na głos. – Na pewno
nie stowarzyszenie, prawda?

– Theissen – podsunął Bodenstein. – Dzięki temu
mógł sprawić, że zniknęły listy z podpisami. Bez nich pe-

tycja do szefa rządu nie będzie miała takiej mocy i raczej nic z nią nie osiągną.

– Niby tak. Ale przecież mają kopie, to powinno im starczyć.

– Ponoć nie mają.

Pia wyjęła papierosy z wewnętrznej kieszeni kurtki, zapaliła jednego i opuściła szybę, żeby wydmuchnąć dym na zewnątrz.

– To jest służbowe auto – upomniał ją Bodenstein.

– No i? Jutro kupię choinkę zapachową. – Podsunęła mu otwarte opakowanie, a on nie odmówił. Przez chwilę siedzieli i w milczeniu zaciągali się dymem.

– W hali było z pół tysiąca ludzi. – Bodenstein potrząsnął w końcu głową. – I każda osoba, która tam była, mogła maczać w tym palce. Koniec końców, na spotkanie nie przyszli jedynie przeciwnicy farmy. Ale jeśli Theissen rzeczywiście to zaplanował, to ten, co zaczął rzucać pomidorami, był z nim w zмовie. A jeśli tak, to to już jest czyn karalny.

– Powoli przestaję cokolwiek z tego rozumieć – mruknęła Pia i zacisnęła zęby, żeby nie ziewnąć. Otworzyła drzwi. – Chodź, ja już chcę do domu.

Bodenstein potaknął, wysiadł i obszedł samochód.

– Właśnie, jeszcze jedno. Kim właściwie była ta kobieta, z którą siedziałeś na kwietniku? – Pia zatrzymała się przy szefie i spojrzała z zainteresowaniem. Bodenstein zawahał się, zaskoczony, że Pia widziała Nikę.

– Dlaczego pytasz? – Starał się zyskać na czasie.

– Bo kiedy z Cemem pojechaliśmy do domu Jannisa i Ricky, to ona nam otworzyła drzwi i powiedziała, że jest u nich sprzątaczką – wyjaśniła. – Nie wiedziałam, że ją znasz.

– Kto? Ona miałaby być sprzątaczką Theodorakisa? – powtórzył poirytowany. – To znajoma moich rodziców. Członkini stowarzyszenia. Kiedy upadłem w tłumie w hali, wyrosła jak spod ziemi i wyprowadziła mnie na zewnątrz. Moim zdaniem ona nie ma żadnego związku ze sprawą.

Pia rzuciła niedopałek na ziemię i przydepnęła go czubkiem buta.

– Może w takim razie kobieta nam się przyda – stwierdziła głośno.

– Przyda? Co masz na myśli?

– Mogłaby dostarczyć nam jakichś bliższych informacji o Theodorakisie i jego dziewczynie.

Bodenstein poczuł się nieswojo na myśl, że mógłby ją przesłuchiwać.

– Zobaczymy – stwierdził niezobowiązująco. – A teraz jedź i udobruchaj pana dyrektora zoo. Jedna osoba z kłopotami rodzinnymi w zespole to aż za dużo.

Ciepła woda spływała po jego twarzy, ramionach i reszcie ciała, pokrytej siniakami i bolesnymi stłuczeniami. Dwa razy namydłał się od stóp do głów, a jednak wciąż czuł się brudny. Wcześniej był przekonany, że Grossmann i Hirtreiter zostali zabici przez tę samą osobę,

lecz wszystko wskazywało na to, że się pomylił. W przypadku Grossmanna w grę wchodziło co najwyżej uszkodzenie ciała ze skutkiem śmiertelnym, a i to pod warunkiem, że sprawca celowo zepchnął stróża ze schodów, na co jak na razie nie mieli żadnych dowodów. Za to Hirtreiter został dosłownie stracony. To morderstwo wyglądało jak egzekucja. Synowie i córka Ludwiga mieli motyw, ale nie tylko oni. Theissen również bardzo by skorzystał. Do potencjalnych podejrzanych należałoby doliczyć całą grupę ludzi, którzy go szczerze nienawidzili.

Jutro rano miał poznać wyniki sekcji Hirtreitera. Umówił się, że raport dostanie o ósmej. Bodenstein westchnął i wyłączył wodę, która i tak była już tylko letnia. Wyszedł z kabiny prysznicowej i potrząsnął głową, żeby nie myśleć o przestronnej łazience z ogrzewaniem podłogowym w jego domu w Kelkheim. Tutaj wszystkie pomieszczenia były małe i ciasne, a na dodatek wciąż obijał się głową o niskie framugi i skośne sufity. Najgorsze, że zabytkowe ogrzewanie nie działało jak należy albo nie działało w ogóle. Drżąc z zimna, sięgnął po ręcznik i zaczął się wycierać.

Po drodze z Hofheim do domu po raz pierwszy od dawna nie poczuł chęci, żeby zadzwonić do Cosimy i podzielić się z nią przeżyciami. Zamiast o niej, pomyślał o Nice. Niestety, nie miał do niej telefonu. Gdyby miał, natychmiast wybrałby numer i zaczął od podziękowań.

Pospiesznie włożył bieliznę, spodnie od pizamy i koszulkę z krótkim rękawkiem, które wcześniej sobie

przygotował. Kiedy skończył, wyszedł z łazienki. Wciąż był zbyt wzburzony i pobudzony, żeby po prostu zasnąć. Dlatego zamiast do sypialni, skierował się do salonu i włączył telewizor.

Na większości kanałów nadawano powtórki seriali z poprzedniego dnia, jakiś talk-show, jakiś program kulinarny, potem kolejny. Nic, co by się dało oglądać. Szlag by to trafił. Pomyślał, że teraz naprawdę zaczął przypominać karykaturę detektywa z jakiegoś szwedzkiego kryminału: stary, samotny i złamany przez życie. Kobieta go opuściła, lodówka świeciła pustkami, życie straciło sens. Wiedział, że niektórzy ludzie są stworzeni do samotności. Jednak on do nich nie należał. Zdecydowanie nie. Potrzebował ciepła domowego ogniska, kogoś, z kim mógłby dzielić przeżycia całego dnia. Milcząca samotność wieczorem po pracy sprawiała, że niemal odchodził od zmysłów.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Kto to mógł być w środku nocy, kwadrans po pierwszej? W jego głowie pojawiła się iskierka bezsensownej nadziei. Czyżby to... Nika? Wiedziała przecież, gdzie mieszka. Bodenstein wstał z jęknięciem i szurając szarymi crocsami, podszedł do drzwi i otworzył.

– Tata – powiedział, równie zaskoczony, jak rozczarowany. – Coś się stało?

– Właściwie to nic. Chodzi raczej o starczą bezsenność – odparł ojciec oschłym tonem. – A że zobaczyłem światła w twoich oknach, pomyślałem, że może też nie

śpisz.

Wyjął rękę z za pleców. Trzymał w niej butelkę czerwonego wina.

– Byłem właśnie w piwnicy z winami. Może miałbyś ochotę wypić ze starym ojcem Château Figeac z 1990? – Twarz miał spokojną i opanowaną, lecz w głosie słychać było smutek. – W 1991 kupiliśmy z Ludwigiem dwie skrzynki. Byliśmy akurat na zaproszenie księcia de Figeac w jego posiadłości na polowaniu. To ostatnia butelka. Chciałbym ją z tobą wypić.

– Świetny pomysł – powiedział Bodenstein i wpuścił ojca do środka. Może to rzeczywiście dobre rozwiązanie, przynajmniej żaden z nich nie będzie siedział w samotności i bił się z myślami. Z kuchni przyniósł dwa kieliszki i korkociąg, a potem zaprowadził ojca do salonu i wziął od niego butelkę. Wyjął korek i powąchał zawartość. Doskonałe. Nalał ciemnoszkarłatnego płynu do kieliszków i jeden podał ojcu.

– Dziękuję – odparł staruszek ochryple. – Jesteś dobrym synem. Bardzo mi przykro, że byłem dla ciebie taki ostry.

– Nie ma sprawy – wymamrotał Oliver. – Ja też nie zachowałem się szczególnie uprzejmie. Wypijmy za Ludwiga.

– Wypijmy. – Bodenstein senior uniósł kieliszek i uśmiechnął się smutno. W jego oczach pojawił się błysk. – Za Ludwiga. I za to, żebyś znalazł jego mordercę.

Milcząc, sączyli wino. Siedzieli obok siebie na starej

sofie. Naraz ojciec Bodensteina poruszył się, jakby coś sobie przypomniał, i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę.

– Co to jest? – zapytał syn.

– Ludwig dał mi ją przed kilkoma tygodniami – wyjaśnił staruszek i uśmiechnął się smutno. – Powiedział, że jeśli go przeżyję, mam oddać list notariuszowi. Dziwne, prawda? Zupełnie jakby przewidział, że coś mu się stanie.

Jannis również nie mógł zasnąć. W drodze powrotnej z Ehlhalten do domu kłócił się z Ricky. Dziewczyna robiła mu straszne wyrzuty i nie przestawała płakać. W domu natychmiast wzięła tabletki przeciwbólowe i na sen, położyła się na kanapie w salonie i momentalnie zasnęła. Nie mógł dojść do tego, dlaczego zupełnie bez potrzeby skłamała dla niego? Miał przecież doskonałe alibi – niepodważalne. Zawsze w takich sytuacjach mógł liczyć na matkę. Była niezawodna. Poza tym był bardzo przekonujący, widział, że mu wierzą. Najpierw niechęć i zmieszanie, potem szczerłość, taka strategia zawsze działała w starciu z glinami. Gdyby tylko Ricky wszystkiego nie spieprzyła! Po co w ogóle się wtrącała? Powinna była trzymać dziób na kłódkę. Ta blond policjantka oczywiście zaraz nabrała podejrzeń.

Jannis wspiał się schodami do swojego gabinetu na poddaszu. Zignorował automat zgłoszeniowy, który mrugał diodą sygnalizującą nagraną wiadomość. Gdyby ta kobieta się nie pojawiła, Theissen mógłby zrobić mu

krzywdę. Gość stracił panowanie nad sobą. Podejrzewał, że to jego ludzie mogli ukraść listy poparcia, kiedy wybuchło zamieszanie. Swoją drogą, to była prawdziwa katastrofa. Ponad dwa tysiące podpisów, kilka miesięcy ciężkiej pracy. I wszystko na nic! Zgodnie z prawem, najpóźniej jutro szef rządu Hesji powinien dostać listy z podpisami. Bez nich nic nie da się zrobić.

Westchnął głęboko i usiadł przy biurku. Zamyślony dotknął obolałego i spuchniętego nosa. Jego spojrzenie padło na różową karteczkę samoprzylepną, którą ktoś położył na klawiaturze komputera. Przeczytał krótką wiadomość. Potem drugi raz i trzeci. Wyszło mu w ustach, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Co to miało znaczyć? Zmiał papier w kulkę i wsunął do kieszeni dzinsów.

Pospiesznie zerwał się z krzesła, zgasił światło i na paluszkach zbiegł schodami. Psy nawet nie podniosły łbów, a Ricky chrapała w salonie, odurzona lekami na sen. Jannis otworzył drzwi do piwnicy. Znieruchomiał i wstrzymał oddech, bo stare zawiasy zaskrzypiały głośno. Stanął przed pokojem Niki i się zawahał. Drzwi były uchylone. Nabrał głęboko powietrza i wszedł do środka. Słaby blask ulicznych latarni rozświetlał delikatnie pokój. Nika leżała w łóżku. Nie spała. Patrzyła na niego, a złote włosy tworzyły welon wokół jej głowy.

– Ja... przeczytałem twoją wiadomość... – wychrypiał. Ulicą przejechał jakiś samochód. Przez chwilę jego reflektory wypełniły pomieszczenie światłem. Mijały kolejne sekundy. Nika leżała i nic nie mówiła.

– O czym chciałaś ze mną... – zaczął, ale zamilkł, bo dziewczyna odrzuciła nagle kołdrę. Była naga. Serce niemal mu eksplodowało. Nic już nie rozumiał. O co jej chodziło?

– Nie chciałam z tobą rozmawiać – wyszeptała. – Chciałam się z tobą przespać.

Deauville, maj 2008

Rozpoczął się przedostatni wieczór pięciodniowej konferencji naukowej Conférence internationale sur les changements climatiques, odbywającej się w kasynie Deauville w Normandii. Jej popołudniowy referat spotkał się z doskonałym przyjęciem, wszyscy jej gratulowali. A ona cieszyła się jedynie na wspólny wieczór i noc z Dirkiem. Miała mu tyle do powiedzenia, była tak strasznie podekscytowana!

Po obiedzie ujął jej dłonie i błękitnymi oczyma spojrzął poważnie w oczy. Poczowała szaloną gonitwę myśli w głowie. Miała nadzieję, że w końcu zrobi krok, na który tak długo czekała. Dziesięć lat bliskości wystarczyło, a dom w Poczdamie był już praktycznie gotowy do zamieszkania.

– Jesteś moją najlepszą pracowniczką, Anno, wiesz chyba o tym – powiedział, a ona z niecierpliwością czekała na dalsze słowa. – Bez ciebie nie byłbym tutaj, gdzie teraz jestem. Bardzo wiele ci zawdzięczam. I dlatego uznałem, że powinnaś dowiedzieć się pierwsza.

Nabrał głęboko powietrza i delikatnie pogłaskał kciukiem wierzch jej dłoni.

– W sierpniu pobieramy się z Bettiną.

Jego słowa były dla niej niczym uderzenie pięścią w twarz. Wpatrywała się w niego bez słowa. Bettina? Kim była dla niego ta dziwna kobieta, którą uznała za kogoś

postronnego i nieszkodliwego? W ogóle nie zwracała na nią uwagi, kiedy z rzadka przyjeżdżała ze Schwarzwaldu w odwiedziny do Instytutu w ostatnich latach. Nie miała nic wspólnego z jego życiem, ba, nawet nie mieszkała w Berlinie!

Chciała zapytać, co będzie teraz z nią, lecz przez zacisnięte gardło nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

W tamtej przerażającej sekundzie nie odczuwała wściekłości, tylko ból wywołany potwornym, odrażającym poniżeniem. Zrozumiała wówczas, jak bardzo się co do niego pomyliła. Miała wrażenie, że ziemia się pod nią rozwarła i wpada w czarną otchłań. To przecież ona znalazła białą willę nad Heiliger See, i to ona kierowała pracami budowlanymi. Niezliczone godziny ślęczała z architektami nad planami domu, o którym myślała, że stanie się jej domem. Chciała w nim dzielić życie z Dirkiem. A teraz on mówi, że żeni się z inną kobietą!

Przez te wszystkie lata żyła więc złudzeniami. Zaślepiąca jednostronnym uczuciem całkowicie źle odczytywała rzeczywistość! Dla Dirka Eisenhuta była nie tylko pracownikiem, ale najlepszym koniem w stajni, który przez niezmordowany wysiłek sprawiał, że pieniądze płynęły wartkim strumieniem do kasy Instytutu i do jego własnej kieszeni. Była wygodną kochanką, którą zawsze miał na wyciągnięcie ręki, kiedy tylko przychodziła mu ochota na towarzystwo albo seks.

Nagle to wszystko ją przerosło. Nie mogła znieść sytuacji, w jakiej się znalazła. Wymamrotała jakieś uspra-

wiedliwienie i wybiegła z restauracji. Byle jak najdalej! Oślepiąca i ogłuszona bólem wybiegła z hotelu i wpadła prosto w ramiona mężczyzny, który w ostatniej chwili powstrzymał ją przed samobójstwem pod kołami samochodu.

– Niech mnie pan puści! – wyszeptała, lecz on trzymał ją mocno. Dopiero wtedy rozpoznała Cierana O’Sullivana. Dziennikarz należał do najzagorzalszych krytyków Dirka Eisenhuta, dlatego nigdy wcześniej z nim nie rozmawiała, choć znała go z kilku kongresów i konferencji. Przed kilkoma miesiącami dał jej nawet wizytówkę, lecz podarła ją i wyrzuciła.

Nie mógł trafić na lepszy moment.

Czwartek 14 maja 2009

Rozumiem. Dziękuję. – Pia zapisała kilka cyferek w notesie. – Bardzo nam pani pomogła.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na swoje notatki. Ojciec Jannisa Theodorakisa rzeczywiście trafił do szpitala psychiatrycznego w nocy z wtorku na środę. Pia musiała się trochę wysilić i użyć całej swojej umiejętności perswazji, ale w końcu dyżurna lekarka poddała się i sprawdziła dokładny czas przyjęcia na oddział: piętnaście po drugiej w środę nad ranem. Zgodnie z zeznaniami gospodarza w „Koronie”, Theodorakis wyszedł zaraz po kłótni z Hirtreiterem, czyli przed dziewiątą wieczorem. Ludwig Hirtreiter i Heinrich von Bodenstein zostali w gospodzie do mniej więcej wpół do jedenastej. Na parkingu czekał na Ludwiga jakiś niezidentyfikowany jeszcze mężczyzna, a w gospodarstwie – jego córka, Frauke, jeśli oczywiście liczni znajomi posterunkowego Aloisa Bradla się nie pomylili. Pytanie tylko, jak długo tam była?

Pia podrapała się w zamyśleniu po głowie. Nie mogła przestać myśleć, co się tam właściwie wydarzyło? Czy Theodorakis po kłótni w „Koronie” pojechał do gospodarstwa Hirtreitera, żeby tam na niego zaczekać? Mógł tam zastać Frauke i razem napili się koniaku? Czy może dziewczyna odjechała, kiedy się zorientowała, że ojca jeszcze nie ma, a Jannis poczekał na Ludwiga i napili się na zgodę, ale znów się pokłócili? Czy Theodorakis mógł

zmusić staruszka, żeby otworzył pancerną szafę z bronią, zabrał strzelby i pistolet, a potem zaprowadził właściciela gospodarstwa na łąkę, gdzie dokonał egzekucji? I dopiero wtedy pojechał do Büttelborn. Hm. Ciekawe, ile jedzie się z Ehlhalten do Büttelborn?

Pia kombinowała na różne sposoby. W końcu włączyła przeglądarkę Google, wybrała opcję mapy i wyznaczanie trasy. Wpisała nazwy obu miejscowości i sprawdziła, co zaproponuje komputer. Jadąc autostradą A3, trzeba było pokonać pięćdziesiąt trzy kilometry sześćset metrów i miałyby to zająć około trzydziestu dziewięciu minut. Cholera. To zbyt mało. Na podstawie takich wyliczeń raczej nie ma szans na nakaz rewizji w domu Theodorakisa. Teraz trzeba by jeszcze sprawdzić jego alibi z piątku wieczorem.

– No i? – Kai Ostermann podszedł do niej i usiadł na krześle obok. – Masz coś?

– Nie, niestety – mruknęła Pia. – Jak tylko Theodorakis pojawi się na komisariacie, każę pobrać jego odciski palców i wymaz z ust. A ty coś znalazłeś?

– Zgodnie z informacjami z banków, bracia Hirtreiter są całkowicie spłukani. Rozmawiałem z dwoma komornikami. U Matthiasa Hirtreitera licytacja majątku ma się rozpocząć dosłownie na dniach. Jego starszy brat nie jest wcale w lepszej sytuacji.

– No to mieli dobry motyw.

– Żebyś wiedziała. A ich alibi brzmi strasznie niewiarygodnie nawet bez wstępnej weryfikacji.

Wcześniej tego ranka w czasie odprawy dostali przydział zadań. Pia miała przesłuchać Theodorakisa, Ostermann trójkę dzieci Hirtreitera, a Kathrin i Cem pojechali do Instytutu Medycyny Sądowej, bo Pia nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z Henningiem ani na wizytę w sali sekcyjnej. Do środka zajrzał Bodenstein.

– Dzień dobry – przywitał się. – Pia, pozwól proszę do mojego biura.

Pia skinęła głową i wstała. Bodenstein przed siódmą rano wysłał jej SMS-a, że się spóźni do pracy. Po tym, co przeżył poprzedniego wieczoru, nikt by się nie zdziwił, gdyby w ogóle nie pojawił się w biurze.

Katastrofa w Ehlhalten stała się tego dnia dyżurnym tematem wszystkich lokalnych stacji radiowych, telewizyjnych i gazet. Niektóre media ogólnokrajowe również donosiły o tych wydarzeniach w czołówkach swoich wydań. Końcowy bilans tragedii zamknął się jedną ofiarą i czterdziestoma czterema rannymi. Ona, Cem i Kathrin wyszli z tego praktycznie bez szwanku, ale ich szef doświadczył śmiertelnej grozy przebywania w spanikowanym tłumie. To zostawia ślady w psychice.

Pia weszła do gabinetu szefa i zamknęła za sobą drzwi. Pospieszne spojrzenie na twarz Bodensteina utwierdziło ją w przekonaniu, że cały czas jest w lekkim szoku. Blady, z workami pod oczyma, ale mimo to starannie ubrany, w garniturze i pod krawatem.

– Ludwig Hirtreiter dał niedawno mojemu ojcu list na przechowanie – oznajmił rzeczowym tonem i zajął miej-

sce za biurkiem. – Powiedział, że gdyby coś mu się stało, ma przekazać go notariuszowi.

– Testament? – zainteresowała się policjantka.

– Całkiem możliwe.

– Jak to? – Pia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– To znaczy, że nie zajrzeliście, co jest w środku?

– A ty nie słyszałaś o tajemnicy korespondencji? – Bodenstein odpowiedział pytaniem na jej pytanie i uniósł znacząco brwi. – Poza tym list jest zamknięty w dość staromodny sposób: pieczęcią lakową.

Naraz odezwał się jego telefon. Westchnął i odebrał połączenie.

– Ach to pan, profesorze Kronlage. Dzień dobry.

Bodenstein gestem przywołał Pię bliżej biurka i uruchomił tryb głośnomówiący.

– Cześć, Tommy – przywitała policjantka szefa Henninga.

– Cześć, Pia – odparł szef Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie. – Co u ciebie?

– Wszystko dobrze, dzięki, że pytasz. Mam nadzieję, że ty też nie masz na co narzekać.

– Na szczęście nie. No dobrze, to przechodząc do rzeczy: czas zgonu udało się wyznaczyć dość dokładnie. Śmierć nastąpiła między jedenastą wieczorem a północą. Strzał w twarz był śmiertelny.

– A byłeś w stanie ustalić, w jakiej kolejności padły strzały? – zapytała Pia. – Najpierw strzał w twarz czy najpierw w brzuch?

– Przypuszczam, że w rachubę wchodziła ta druga opcja – odparł profesor Kronlage. – Przemawia za tym ilość krwi, jaką stracił, zanim zmarł. Strzał w podbrzusze przerwał *arteria iliaca interna* i *arteria iliaca externa*. Zastanawiające są również ślady uderzeń w przednią część klatki piersiowej i ramiona. Były tak mocne, że ofiara miała połamane żebra.

Pia i Bodenstein wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Uderzenia?

– Mogły powstać w wyniku kopnięć albo uderzeń tępym przedmiotem, na przykład kolbą strzelby. Ktoś włożył w to naprawdę sporo siły, bo żebra nie łamią się ot tak po prostu.

– Te obrażenia powstały przed śmiercią czy po?

– Trudno powiedzieć. Ale albo bardzo krótko przed, albo tuż po śmierci.

Czyżby zbrodnia ze szczególnym okrucieństwem? To by przemawiało za działaniem pod wpływem emocji.

– Morderca musiał być silnym człowiekiem – zapewnił profesor Kronlage.

– Albo działał w szale – odparła Pia i pomyślała o Theodorakisie, którego były szef określił jako raptusa i choleryka.

– Albo, albo, oczywiście. Złość dodaje sił.

– Czy ofiara miała obrażenia powstałe w wyniku działań obronnych? – zapytał Bodenstein.

– Nie. Żadnych. Znaleźliśmy delikatne ślady zerowania zwierząt i zwierzęce DNA na twarzy i miednicy ofia-

ry. W chwili śmierci był pod wpływem alkoholu. Rankiem zawartość alkoholu we krwi wynosiła 1,3 promila, czyli w nocy musiał mieć około czterech dziesiątych promila więcej.

– Dziękuję, panie profesorze – powiedział Bodenstein. – Posunął nam pan trochę śledztwo naprzód.

– Nie ma sprawy – odparł Kronlage. – To był tylko fragment, który należał do mnie. Teraz piłka jest po waszej stronie. Ach, jeszcze coś. Pia?

– Tak?

– Henning stawiał się wczoraj w Instytucie i powiedział, że koniecznie musi wziąć kilka dni urlopu, a potem zniknął. Dlatego to ja przeprowadziłem sekcję. Wiesz może, co się z nim dzieje?

– Chyba tak – odparła Pia i domyśliła się, gdzie jest Henning. – Pojechał do Canossy.

Rankiem do sklepu zajrzało tylko kilkoro klientów, w tym również członkowie stowarzyszenia. Oczywiście tragedia, jaka rozegrała się w hali w Ehlhalten, i śmierć Ludwiga stały się głównym tematem rozmów. W pracy nie pojawiła się za to Frauke, a jej auta nie było na podwórzu. Pewnie załatwiała teraz wszystkie formalności związane z pogrzebem ojca. Dlatego Nika odwołała telefonicznie wszystkich psich klientów, jacy mieli umówione wizyty na ten dzień. Kiedy Nika wychodziła z domu, Ricky jeszcze smacznie spała. Ucieszyła się, widząc ją na kanapie w salonie, bo nie miała ochoty na rozmowę. Czowała

wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła w nocy. Nie, nie żałowała, że przespaała się z Jannisem, bo to była jej decyzja i podjęła ją z czystego wyrachowania po sprawdzeniu historii wyszukiwania w jego komputerze. Wykorzystała chwilę, kiedy nie było go w domu, i przeraziła się tym, co znalazła.

Jak na specjalistę od informatyki Jannis był niebezpiecznie niedbały. Chyba nigdy nie czyścił pamięci przeglądarki, więc Nika natychmiast dowiedziała się o jego poszukiwaniach i o tym, co znalazł. Przerazona otwierała kolejne strony, na które trafił.

W najlepszym razie od przedwczoraj wiedział, kim była i jak się nazywa. Dlaczego nie powiedział jej tego prosto w oczy? W co grał? Jej instynktowna antypatia do niego ustąpiła miejsca strachowi. Do głowy przyszła jej tylko jedna możliwość, jak zdobyć na niego haka. Jannis był na nią tak napalony, że niewiele myśląc, natychmiast połknął przynętę i zbiegł do niej do piwnicy, a potem wskoczył jej do łóżka. Kiedy się kochali, jego dziewczyna spała piętro wyżej.

Nika się rozejrzała. Zamówienia wprowadziła do systemu już z samego rana, a że nie miała nic innego do roboty, zabrała się za czyszczenie szklanych drzwi wejściowych. Większość klientów miała brzydki zwyczaj popychania szyby, zamiast chwytania za klamkę.

Nie dowiedziała się wczoraj, dlaczego policja chciała rozmawiać z Jannisem. Właściwie to nie zamienili ani słowa, bo on zasnął zaraz po. Tymczasem ona leżała obok

i myślała o innym mężczyźnie.

Kiedy skończyła czyścić drzwi, na podwórze wjechała Ricky. Kilka chwil później wysiadła z samochodu i weszła do sklepu. Psy skakały dookoła niej, a kiedy zobaczyły Nikę, podbiegły się przywitać. Ricky bardzo źle wyglądała. Była zapuchnięta i smutna. Śmierć Hirtreitera strasznie ją zaboląła – co w sumie było zaskakujące po tym, co od niego usłyszała. Ale Ricky miała miękkie serce.

– Napijesz się kawy? – zapytała Nika, lecz przyjaciółka potrząsnęła ponuro głową, zapaliła papierosa i usiadła na krześle w biurze. Nika naląła sobie kawy i dodała trochę mleka.

– Jannis chyba kogoś ma – wypaliła Ricky niespodziewanie. Nika drgnęła przestraszona.

– Co? Skąd taki pomysł? – Uniosła filiżankę do ust i dmuchnęła na parujący napój. Ani na chwilę nie spuszczała przyjaciółki z oka.

– Wczoraj policja pytała, co robił w piątek wieczorem i wtorek w nocy – wyjaśniła Ricky. – A on im sprzedał jakąś historyjkę o chorym ojcu, którego musiał odwiedzić do wariatkowa. Tyle że to się kupy nie trzyma. Jednak w domu też go nie było. Ani w piątek, ani we wtorek.

Ricky zdusiła papierosa w przepelnionej popielniczce.

– Owszem, nie miałam pojęcia, że ma chorego ojca. W piątek, jak twierdzi, pojechał pomagać matce w gospodzie. Dlaczego mi o tym nie powiedział? Dlaczego-

go ma przede mną tajemnice? – Kobieta walczyła ze łzami. – Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Ach, Nika! Nie mogę znieść myśli, że on... że mógłby zostawić mnie dla jakiejś innej. Wtedy z Jochenem tak samo się zaczęło. Drugi raz tego nie zniosę!

Nika nie chciała tego komentować, a na dodatek walczyła z wyrzutami sumienia. Poza tym to nie był romans, tylko niezobowiązujący seks i nic więcej. Jannis nie zostawi dla niej Ricky.

– Nika – wyszeptała Ricky drżącym głosem. – Co ja bym bez ciebie zrobiła! Tak się cieszę, że mam ciebie blisko i że mogę ci ufać!

– Już dobrze – mruknęła Nika i poczuła się jeszcze bardziej paskudnie.

– I naprawdę się cieszę, że afera z farmą wiatrową la-da chwila zostanie wyjaśniona. – Ricky przesunęła palcami pod oczyma, żeby łzy nie rozmazały jej tuszu do rzęs. – W końcu będziemy mieli z Jannisem więcej czasu dla siebie.

I oczywiście ani słowa na temat wydarzeń na spotkaniu mieszkańców, ani dlaczego policja koniecznie chciała rozmawiać z Jannisem. Lecz z drugiej strony bardzo jej było na rękę, że Ricky skupiała się tylko na sobie. Od kiedy u nich zamieszkała, przyjaciółka ani razu nie zapytała jej, co się stało, bo ją to po prostu wcale nie interesowało. Inni ludzie mogli dla niej nie istnieć, bo liczyła się tylko ona. Frauke i jej wścibskość była znacznie bardziej niebezpieczna, lecz ona na szczęście miała teraz inne zmar-

twienia.

Rozległ się dzwonek. Ktoś otworzył drzwi. Nika wyjrzała z biura. Do środka wszedł stary doktor Beckmann, który życzył sobie, żeby zawsze obsługiwała go Ricky.

– Mam mu powiedzieć, że cię nie ma? – zapytała Nika.

– Nie, nie. – Ricky wstała, poprawiła sukienkę i uśmiechnęła się promiennie. – Ja się tym zajmę.

Spojrzała na Nikę i przytuliła ją mocno.

– Dzięki – szepnęła. – Dzięki za wszystko.

Kilka sekund później promiennie uśmiechnięta wmaszerowała za kasę i zaczęła żartobliwie flirtować ze starym Beckmannem, który po jakimś czasie opuścił sklep pijany ze szczęścia i objuczony zakupami niczym muł. Patrząc teraz na nią, nikt by nie przypuszczał, że ta piękna kobieta ma tak mało pewności siebie, że trzyma się kurczowo mężczyzny, który coś przed nią ukrywa. Jej w gruncie rzeczy nie interesuje, czy Jannis ją zdradza czy nie, pomyślała Nika. Dla niej liczy się tylko to, żeby jej nie zostawił.

Pia minęła Dattenbachhalle. Na parkingu przed wejściem wciąż stały samochody różnych służb. Kawalek dalej skręciła w polną drogę prowadzącą do gospodarstwa Ludwiga Hirtreitera. Przed chwilą jeszcze raz rozmawiała z gospodarzem z „Korony” i dwoma członkami zarządu stowarzyszenia obywatelskiego, a skoro była już w okolicy, to nie mogła powstrzymać się przed wizytą

w gospodarstwie i jeszcze jednym przeszukaniem. Wspinając się wąską drogą, myślała o wydarzeniach poprzedniej nocy. Christoph czekał na nią w kuchni, a kiedy weszła do domu, rzucił się jej na szyję. Była przygotowana na kłótnię i wyrzuty, więc takiego powitania się nie spodziewała. Objął ją i nie wspomniał nawet, że nie stawiała się na umówionym obiedzie. Martwił się o nią, wyjaśnił, i na wiadomość o tragedii w Ehlhalten zaraz wyobraził sobie, że coś jej się stało. Nie mógł wytrzymać czekania na informację, co się z nią dzieje. Jego pierwsza żona zmarła na udar mózgu i zostawiła go z trójką małych dzieci. Oczywiście, że miał podstawy, by znów zacząć się bać, że z dnia na dzień straci ukochaną osobę. Pia wiedziała, że nie przepadał za jej pracą, choć rzeczywiście nie robił jej wyrzutów. Mimo że kładli się spać pogodzeni, Pia miała dziwaczne sny o gadających krukach, o Christophie, Ince Hansen i o swoim szefie.

Zatrzymała się przed podjazdem do gospodarstwa, za bordowym audi Q7. Ku jej zaskoczeniu część okien w mieszkalnej części domu była otwarta. Wysiadła, weszła po schodach na werandę i sprawdziła drzwi. Policyjna pieczęć nie została zerwana. Wyjęła z kieszeni klucz, przecięła nim kartkę z pieczęcią i otworzyła po cichu drzwi. W salonie pracowali bracia Hirtreiter, prowadząc prywatne przeszukanie, choć nie mieli do tego prawa.

Pia stanęła w wejściu do pokoju i przez dłuższą chwilę przyglądała się zdenerwowanym mężczyznom.

– Ten staruch musiał gdzieś to schować – warknął

starszy z nich, idąc w kierunku zamkniętego sekretarzyka z orzechowego drewna. W ręce trzymał duże dłuto. – Przecież gdzieś musi być!

Jego brat siedział plecami do wejścia i kartkował jakiś skoroszyt.

– Nic! Jasna cholera, znowu nic! – Rzucił dokumenty gdzieś w kąt pokoju. – Znajdziesz tutaj każdy śmieć, jakby to był jakiś skarb! Patrz, nawet paragon ze stacji benzynowej z 1986!

Prawdziwie żałobny nastrój, pomyślała Pia. Odchrząknęła.

– Czy mogłabym się dowiedzieć, czego panowie tu szukają? – zapytała.

Obaj bracia podskoczyli jak oparzeni i spojrzeli w jej stronę z mieszaniną zaskoczenia, przerażenia i poczucia winy. Gregor opuścił dłoń z dłutem i pierwszy odzyskał panowanie nad sobą. Kiedy zaczął mówić, nawet nie próbował kłamać.

– Szukamy testamentu ojca – odparł.

– Dom został zabezpieczony przez policję. – Pia przyjrzała się im uważnie. – Nie mieliście prawa tutaj wchodzić.

– Prawdę mówiąc – odparł Gregor Hirtreiter – to mam to gdzieś. Koniecznie potrzebujemy kilku dokumentów.

– A co, WindPro naciska?

Matthias spuścił wzrok, a jego brat wzruszył ramionami.

– Dlaczego miałbym zmyślać jakieś historyjki? Tak, naciska. Mamy określone terminy i tyle – przyznał uczciwie. – Chodzi o bardzo, bardzo dużo pieniędzy, których potrzebuję i ja, i moje rodzeństwo.

– Śmierć ojca jest panom bardzo na rękę – zauważyła Pia.

Gregor Hirtreiter uniósł brwi.

– Nasz ojciec – zaczął – nasz ojciec był upartym, samowolnym egoistą, dla którego znacznie ważniejsze były jakieś zwierzęta niż własne dzieci i wnuki. Ta łąka była mu całkowicie obojętna, nie interesowała go nic a nic. Chodziło tylko o to, żeby nam dopiec, nie sprzedając jej WindPro. To bardzo w jego stylu. Był obrzydliwym egocentrykiem. Zarozumiały, sadystyczny i po prostu podły. Nie uronię ani jednej łzy po nim, to prawda, ale też nie ja go zamordowałem.

– To kto w takim razie?

– A bo ja wiem? Pół wioski miało dość powodów – odparł. – Nasz ojciec uwielbiał rozbijać ludziom małżeństwa i niszczyć życie, bo uważał się za wzór cnót i moralności.

– Ciekawe. Podacie jakieś nazwiska?

– Niech pani weźmie lokalną książkę telefoniczną, to znajdzie pani nazwiska. Od A do Z – zakpił Matthias Hirtreiter.

– W takim razie zacznę od was – zaproponowała Pia.
– Gdzie byliście tamtego wieczoru, kiedy zginął wasz ojciec?

– Ja pracowałem do późna w nocy – odparł Matthias.
– A później poszedłem coś przekąsić do „Le Journal” w Königstein.

– Do której pan tam był? I kto mógłby to potwierdzić?

– Byłem tam do zamknięcia, czyli do pierwszej, może wpół do drugiej. Potwierdzić może szefowa restauracji, bo kiedy inni goście wyszli, wypiliśmy razem wino.

– Hm. A pan? – Pia zwróciła się do starszego z braci.

– Byłem z rodziną u moich teściów. Teść wyprawił wielkie przyjęcie z okazji sześćdziesiątych piątych urodzin.

– Gdzie? I do której pan tam został?

– U nich w domu. W Heftrich. Na miejsce dotarliśmy około siódmej, a wracaliśmy długo po północy.

Heftrich i Ehlhalten dzieliło nie więcej jak dziesięć minut jazdy. W czasie hucznego przyjęcia urodzinowego z łatwością można było się wymknąć i wrócić po godzinie tak, żeby nikt niczego nie zauważył. Pia zanotowała sobie nazwisko i adres teściów Gregora Hirtreitera.

– A siostra? Pani Frauke? Wiecie panowie, gdzie się podziewa? I czy wie, co wy tu wyprawiacie? – zapytała.

– Chcieliśmy dać jej znać, ale nie odbiera telefonu – wyjaśnił Matthias. – A komórki nie ma.

– Rozumiem... przy okazji, jak panowie dostaliście się do środka?

Ponownie szybka wymiana spojrzeń.

– Do domu można wejść przez coś w rodzaju tylnego

wejścia – przyznał Gregor z wyraźną niechęcią.

Pia ruszyła za nim ciemnym korytarzem. Nagle znie-
ruchomiła.

– Stać! Co to takiego?

Włączyła światło. Gregor Hirtreiter odwrócił się w jej stronę. Drewniana poręcz schodów prowadzących na piętro była połamana i wszędzie wałały się błyszczące metalicznie czarne pióra. Policjantka przykucnęła.

– To jest krew – stwierdziła, wskazując na futrynę sypialni. – I tutaj też.

Nałożyła lateksowe rękawiczki, które miała w kieszeni, i czubkiem palca dotknęła ciemnych kropli.

Bez najmniejszych wątpliwości krew. Zaszła nie tak dawno.

– Nie zwróciliście na to uwagi, kiedy tu weszliście?

– Nie – przyznał młody Hirtreiter. Za plecami policjantki pojawił się jego brat.

– Co jest na górze? – zapytała.

– Pokój gościnny. Nasze pokoje dziecięce. I strych.

– Proszę nigdzie się stąd nie ruszać – poleciła Pia braciom. – Ja się rozejrzę na górze.

Ostrożnie ruszyła schodami na górę, a kiedy weszła na piętro, miała wrażenie, jakby przeniosła się do świata lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku: dwa z trzech pokoi dziecięcych i pokój gościnny miały skosy, sosnową boazerię i były w pełni umeblowane, jakby ktoś cały czas w nich mieszkał. Na ścianach wisiały nawet pożółkłe plakaty zespołów popowych, których członkowie najpewniej

mieszkali w domach spokojnej starości, jeśli wcześniej nie przedawkowali narkotyków. Meble pokrywała kilkudziesięcioletnia warstwa kurzu. Również malutka łazienka została urządzona w najlepszym stylu lat siedemdziesiątych – beżowe płytki z motywami kwiatowymi, sedes, wanna i umywalka z brązowej porcelany. Tylko jeden pokój został wyremontowany. Zamiast drewnianej podłogi przykrytej dywanem były tam panele podłogowe, a ściany oklejono białą raufazą. Pia ruszyła dalej. Otwarte drzwi na końcu korytarza prowadziły na strych. Ktoś podparł je drewnianym klinem, żeby się nie zamykały. Okno dachowe było otwarte, a na podłodze poniżej walały się czarne pióra i ptasie odchody. To właśnie tą drogą dostawał się do środka kruk Ludwiga Hirtreitera. Myśl, że wielkie ptaszysko mogło latać po domu, kiedy tylko chciało, sprawiła, że poczuła się nieswojo, lecz fakt ten wyjaśniał również, skąd ptasie pióra u podnóża schodów. Kruk był w domu. Musiał stoczyć walkę, a Pia podejrzewała, kim był przeciwnik. Schodząc na parter, wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer Krögera. Policjant błyskawicznie odebrał.

– Christian, potrzebuję cię tutaj – powiedziała bez tchu. – I to natychmiast.

– O Boże! Od lat śniłem, że pewnego dnia zadzwonisz do mnie i usłyszę te słowa! – odparł Kröger. Miał zastanawiająco dobry humor. – Ale, niestety, podejrzewam, że chodzi ci o sprawy służbowe...?

– I się nie pomyliłeś – mruknęła Pia oschle. – Jestem

w gospodarstwie Ludwiga Hirtreitera w Ehlhalten. Znalazłam sporo śladów krwi. Poczekam na ciebie. A, i jeszcze coś. Wyślij proszę radiowóz do Frauke Hirtreiter na Kirchstrasse w Königstein.

Ostrożnie, żeby nie zatrzeć żadnych śladów, zeszła do Gregora i Matthiasa, którzy posłusznie czekali na dole, a potem przez drzwi z mleczną szybą wyszli do mrocznego pomieszczenia wyłożonego po sam sufit płytkami.

– To tędy weszliśmy. – Gregor wskazał głową w kierunku zardzewiałych, niewysokich drzwi w ścianie. – Nie były zamknięte.

– Kiedy przyjechaliście? – Pia rozejrzała się po pomieszczeniu. I tu na podłodze zauważyła ślady krwi.

– Nie pamiętam dokładnie, ale ze dwie godziny temu?

– Kiedy po raz ostatni widzieliście się albo rozmawialiście z siostrą?

– Nie mam pojęcia. Pewnie wczoraj.

– Czy to możliwe, żeby była tu przed wami?

– Tak, to całkiem prawdopodobne. – Gregor Hirtreiter pokiwał głową i zrobił ponurą minę. – Właśnie tego bym się po niej spodziewał.

Przez zardzewiałe drzwiczki wyszli do zdziczałego ogrodu. Pia się rozejrzała. Okrągły zbiornik na deszczówkę, obok pergola z dziką różą, oparta o ścianę domu. Kwitnące bzy rozsiewały słodki i duszący zapach, a przez trawę wiodła wydeptana ścieżka do gospodarstwa.

– Dobrze – powiedziała zdecydowanym tonem. – Po-

proszę teraz panów do samochodu. Pojedziemy razem na komisariat.

– Teraz? Pani chyba żartuje! – oburzył się Gregor Hirtreiter.

– Otóż nie, ja raczej nie żartuję, kiedy chodzi o poważne sprawy – odparła Pia lodowatym tonem. – W kwestii zamordowania ojca panów pojawiło się sporo ważnych pytań, na które na razie nie dostaliśmy zadowalających odpowiedzi.

– Ale ja mam spotkania... – zaprotestował Matthias.

– W takim razie nie powinien był pan marnować czasu na włamywanie się do zabezpieczonego przez policję domu ani tym bardziej prowadzić tam przeszukania – przerwała mu Pia. – Idziemy.

Przy wydatnym wsparciu kolegów i koleżanek z innych działów Cem i Kathrin przez całe przedpołudnie rozmawiali z członkami zarządu stowarzyszenia obywatelskiego. Każdy z nich niezależnie od innych potwierdził to, co gospodarz przekazał wcześniej Pii. Jannis i Ludwig Hirtreiter brali udział we wtorkowym spotkaniu, w czasie którego niemal poszli na noże. Co więcej, już w poniedziałek doszło do poważnej kłótni, bo Jannis samowolnie przesunął spotkanie z ekipą telewizyjną robiącą o nich reportaż, przez co Ludwig Hirtreiter był nieobecny w czasie przygotowywania materiału. Wtorkowa kłótnia wzięła się stąd, że Theodorakis zdradził pozostałym członkom stowarzyszenia, ile pieniędzy oferowała Hirtre-

iterowi firma WindPro za jego łąkę. Ludwig ukrywał tę informację nawet przed przyjaciółmi.

– Spodziewali się pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu tysięcy euro, ale na pewno nie trzech milionów – wyjaśnił Cem. – Nikt nie chciał Ludwigowi wierzyć, że naprawdę nie zamierza sprzedawać swojej ziemi. Stracił zaufanie pozostałych, zyskał Theodorakis, który dzięki temu został wydelegowany do prowadzenia dyskusji w czasie walnego spotkania mieszkańców.

Despotyczny styl zarządzania uprawiany przez Hirtreitera przysporzył mu wielu wrogów. Ludwig nie tolerował głosów sprzeciwu i często bardzo brutalnie zwracał się do innych, a w szczególności do kobiet.

Nikt nie wątpił, że Ludwig Hirtreiter nie zasługiwał na miano najsympatyczniejszego mieszkańca Ehlhalten. Zasiadał w prezydiach kilku organizacji i znany był z tego, że nie dawał szans młodszemu pokoleniu, by się wykazało. Przed kilkoma tygodniami w klubie sportowym, w którego radzie również zasiadał, zawiązała się koalicja przeciwko niemu. Kiedy jednak nie udało się go odwołać, na znak protestu dwadzieścia trzy osoby złożyły rezygnację z członkostwa.

– Znalazłoby się przynajmniej kilka osób, które go naprawdę nienawidziły – podsumowała Kathrin.

– Tyle że nie morduje się nikogo tylko dlatego, żeby usunąć go z zarządu jakiegoś stowarzyszenia czy klubu sportowego – wtrącił Bodenstein.

– Hirtreiter bardzo bezceremonialnie traktował ludzi

– odpowiedział Cem. – Niszczył małżeństwa, bo głośno mówił o romansach czy skokach w bok, a proboszczowi z katolickiej parafii zarzucił publicznie szczególną słabość do małoletnich ministrantów. Po tych wszystkich rozmowach uważam, że cała masa ludzi szczerze go nie lubiła.

W pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Dzieci Hirtreitera dostaną teraz trzy miliony euro. Wystarczy, że sprzedadzą odziedziczoną działkę Wind-Pro. – Pia odezwała się pierwsza. – Może zlecili komuś zajęcie się tą sprawą? Pozbycie się staruszka byłoby im bardzo na rękę.

– Mówisz o płatnym zabójcy?

– No cóż, nie uważam tego za całkowicie wykluczone. Za pieniądze można kupić wszystko. Można też wynająć kogoś do brudnej roboty.

– Myślisz o tym gościu z parkingu, który czekał na Ludwiga pod „Koroną”? – Bodenstein zmarszczył czoło.

– O nim też, dlaczego nie. – Pia potaknęła. – Historia z obcym samochodem, który Frauke miała niby widzieć pod bramą gospodarstwa, jakoś nie trzyma się kupy. A nieznanomego mężczyznę na parkingu widział twój ojciec.

– Niestety, nikt poza nim go nie zauważył. – Cem wzruszył ramionami. – A wszystkich o niego pytaliśmy.

Bodenstein spojrział na tablicę na ścianie, na której wisiały zdjęcia Rolfa Grossmanna, Ludwiga Hirtreitera i miejsc zbrodni. Na samej górze listy podejrzanych znajdowało się nazwisko Jannisa Theodorakisa, którego za-

równy był szef, jak i członkowie stowarzyszenia scharakteryzowali jako impulsywnego choleryka i raptusa. Może po tym, jak Ludwig obraził jego dziewczynę, Jannis zaczął się i przez dwie godziny czekał na zewnątrz, a potem dokonał morderstwa? To by nie było aż tak nieprawdopodobne. Tyle że cholerycy mordują w afekcie, natychmiast po tym, jak poczują się sprowokowani, a nie czają się godzinami w ciemności, żeby dokonać zemsty. Na dodatek Theodorakis nie miał tak naprawdę dobrego motywu, bo w żaden sposób nie skorzystał na śmierci Hirtreitera. Tym bardziej, że przecież chwilę wcześniej z sukcesem odebrał mu kierowanie stowarzyszeniem i został wybrany jako reprezentant na spotkanie mieszkańców.

Nie, Pia miała rację. Albo był to ktoś inny, kim kierowała osobista nienawiść do Ludwiga, albo profesjonalista. Koniecznie trzeba było znaleźć osobę, która czekała na ofiarę na parkingu pod „Koroną”.

– Zrobimy tak. Pojedziecie jeszcze raz do Ehlhalten – zdecydował Bodenstein po chwili zastanowienia. – Porozmawiajcie ze wszystkimi mieszkańcami z okolic „Korony”, z mieszkańcami uliczek dookoła i przede wszystkim z właścicielami psów, bo któryś z nich mógł być akurat na spacerze i zauważył coś niecodziennego. Przy odrobinie szczęścia znajdziecie kogoś, kto widział tego człowieka.

Pia spojrzała na zegarek. Na dole, w pokoju przesłuchań, od trzech godzin czekali Hirtreiterowie. Zostali po-

traktowani jak każda zatrzymana osoba, włącznie z pobraniem próbek śliny, co bardzo ich zdenerwowało. Jednak nie chciała z nimi rozmawiać, zanim nie pozna wyników przeszukania domu przez Krögera. Okazało się również, że Frauke Hirtreiter nie było w domu, a jej samochód nie stał ani na podwórzu, ani nigdzie w okolicy. Niestety, dziewczyna nie miała komórki, więc nie dało się jej namierzyć. Pia przypuszczała, że Frauke weszła do domu zamordowanego ojca w ten sam sposób, w jaki weszli jej bracia, i tak doszło do spotkania z agresywnym ptakiem. Przypomniała sobie kpiące uwagi Cema o kuku, który nie może być świadkiem, bo miałby problem z identyfikacją sprawcy na okazaniu. A co by było, gdyby ptak właśnie to zrobił? Policjantka poczuła, że dostała gęsiej skórki.

– Pia?

Głos Bodensteina wyrwał ją z zamyślenia. Odrzuciła od siebie absurdalny pomysł i spojrzała na szefa.

– Co zamierzasz zrobić z Gregorem i Matthiasem? – powtórzył pytanie szef.

– Trochę ich przycisnę – odparła Pia. – Myślę, że mogli zrobić coś siostrze, żeby zgarnąć cały spadek dla siebie.

– Sprawdziłaś ich alibi?

– Sprawdziłam. Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza, ale jak przyjrzesz się dokładniej godzinom, to zaczyna się robić ciekawie. Matthias Hirtreiter wyszedł z biura dwadzieścia po szóstej i już nie wracał do firmy,

a wiem to od księgowego, który tamtego wieczoru czekał na niego do wpół do jedenastej razem z doradcą finansowym. W tej restauracji w Königstein, o której mówił, pojawił się, owszem, ale dopiero piętnaście minut przed północą. Godzina wyjścia się zgadza, bo siedział tam do wpół do drugiej nad ranem. Zatem zostaje nam pięć i pół godziny, na które nie ma alibi.

– Co z bratem numer dwa?

– Kosztowało mnie to kilka telefonów, ale w końcu wszystkiego się dowiedziałam. Najbardziej przydatny okazał się posterunkowy Bradl. On również był zaproszony na imprezę urodzinową teścia Hirtreitera i przez przypadek pojawił się tam dokładnie w chwili, kiedy Gregor wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Jak wyjaśnił, jechał po papierosy. Ciekawe przy tym jest to, że nie pali.

– Jak w ogóle wpadłaś na pomysł, żeby dzwonić do policjanta z Königstein? – Ostermann z niedowierzaniem potrząsnął głową. Pia wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu i wskazała znacząco na czoło.

– To nie było takie trudne – wyjaśniła. – Kiedy Gregor Hirtreiter powiedział, że jego teść nazywa się Erwin Schmittmann i zorganizował imprezę w budynku swojej firmy, zaczęłam kojarzyć różne fakty. Do niego należy duży sklep rolniczy w Heftrich, gdzie kupuję paszę dla koni, trociny i takie tam. Na zakupach kilka razy spotkałam posterunkowego Bradla, a jak się ludzie spotykają prywatnie, to zaraz są bardziej rozmowni. No i kiedyś mi powiedział, że jest sąsiadem Schmittmanna i od lat poma-

ga mu przy żniwach, a jak ma wolne, to i w sklepie. I tak sobie pomyślałam, że skoro Schmittmann robi wielką fetę z okazji sześćdziesiątych piątych urodzin, to na pewno nie zapomni zaprosić dobrego sąsiada. I miałam rację.

– Niesamowite – wymamrotał Cem. Pozostali również nie kryli uznania dla jej zdolności analitycznych.

– Powinnaś dostać za to premię! – Ostermann uśmiechnął się szeroko. – Pia, jesteś niesamowita. Powiedz nam tylko, czy przez przypadek nie zapamiętał, o której wrócił młody Hirtreiter?

– Zapamiętał. – Pia oparła się wygodniej i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Dokładnie dziesięć minut przed północą. Ale bez papierosów. Za to w innych ciuchach.

– Mamy motyw, środki i możliwość! Niczego nie brakuje! – Kai nie krył ekscytacji. – To powinno wystarczyć do załatwienia nakazu przeszukania. Szefie, mam z tym ruszyć?

Bodenstein nie odpowiedział. Skoncentrowany dotykał ekranu swojego nowego iPhone'a, którego jeszcze nie umiał obsługiwać. Dopiero po chwili zorientował się, że wszyscy na niego patrzą.

– A co by to miało nam dać? – zapytał, dając do zrozumienia, że przez cały czas śledził rozmowę. – Jeśli to był jeden z nich albo obaj, to broni na sto procent nie znajdziemy u nich w domu. Pia, pogadaj z nimi, jeśli tak uznasz. Może będą mieli dobre wytłumaczenie, co porabiali tamtego wieczoru. Jeśli nie, wystąpimy o nakaz

aresztowania.

– Idziesz ze mną? – zaproponowała Pia.

– Nie, pojedę do Königstein do sklepu zoologicznego i popytam o Frauke Hirtreiter – odpowiedział, udając, że nie zauważył zdziwionego spojrzenia Pii i jej uniesionych brwi. – Dodaj ją do listy osób poszukiwanych i roześlij do radiowozów dane jej auta. Jeśli cokolwiek się pojawi, daj mi znać. Jak będzie spokój, to widzimy się jutro z rana.

Krótko przed godziną piątą po południu Bodenstein wszedł do sklepu zoologicznego na ulicy Kirchstrasse. Przez piętnaście minut siedział w samochodzie i walczył ze sobą.

Czy Nika zorientuje się, że pytania o Frauke Hirtreiter były tylko pretekstem? Nawet jeśli, nie powinno go to deprymować. Koniecznie chciał ją jeszcze raz zobaczyć, choć też obawiał się tego spotkania. Co sobie o nim pomyślała, widząc go wczoraj w takim stanie? Po wyjściu z hali przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Bodenstein zawsze przykładał wielką wagę do bycia opanowanym. Lubił być panem sytuacji, a wczoraj wyszło zupełnie odwrotnie. Nika na zawsze będzie już powiązana z tamtym przerażającym przeżyciem, więc zależało mu, by wyjaśnić niezrozumiałe uczucia, jakie nim targały. Może to tylko jego podświadomość podpowiadała mu dziwne rzeczy, czy to z wdzięczności, czy jeszcze z innego powodu.

Przed szklanymi drzwiami Oliver nabrał głęboko powietrza, a potem złapał za klamkę i wszedł do środka.

Rozległ się dzwonek, a sekundę później za ladą pojawiła się Nika. Na jego widok uśmiechnęła się radośnie, a on już wiedział, że niczego sobie nie wymyślił. Coś między nimi było – coś, co czuli oboje.

– Dzień dobry – przywitał się nieco nieporadnie. Jej twarz bez makijażu była może trochę bardziej surowa niż piękna, nos odrobinę za duży, a usta za szerokie, ale to właśnie czyniło ją wyjątkową. Poczował ulgę, bo w skrytości ducha obawiał się, że w świetle dnia przestanie mu się podobać. Tymczasem było wprost przeciwnie. Podobał mu się nawet jej niekonwencjonalny styl ubierania: sprana dżinsowa spódnica, bezkształtna szara bluza i tenisówki na nagich stopach. Najwyraźniej próżność nie była cechą, która zdominowałaby pozostałe.

– Dzień dobry – odparła nieśmiało. – Jak się pan ma po wczorajszym?

– Dziękuję, na szczęście nic mi się nie stało. – Zmieszany szukał odpowiednich słów, bo te, które układał całą drogę do Königstein, nagle wydały mu się zbyt patetyczne. „Uratowała mi pani życie. Nigdy pani tego nie zapomnę. Jestem pani dozgonnym dłużnikiem”. Co za banał.

– No to się cieszę. – Udzieliła jej się jego nieporadność. Nagle spoważniała. – W czym mogłabym pomóc?

Bodenstein zebrał się w sobie.

– Szukam pani Hirtreiter, Frauke Hirtreiter – wyjaśnił. – Może wie pani, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Nie, niestety. W pracy też się nie pojawiła. – Nika potrząsnęła głową. – Od rana nie ma jej samochodu.

– Czy rozmawiałyście panie ostatnio? Mówiła coś dziwnego? Gdzie widziała ją pani po raz ostatni?

– Wczoraj w południe. Pański ojciec zadzwonił do sklepu, poprosił ją do telefonu i przekazał wiadomość o śmierci Ludwiga – odparła dziewczyna. – Frauke wyszła wtedy ze sklepu, wsiadła w samochód i odjechała. Od tamtego czasu już jej nie widziałam. Może Ricky będzie więcej wiedziała.

Widząc jego zdziwione spojrzenie, dodała szybko:

– Friederike Franzen. Właścicielka tego sklepu.

Nie zadawała żadnych pytań i nie chciała wiedzieć, dlaczego policja szuka jej koleżanki. Czy to przejaw dyskrecji, czy raczej obojętności? A może w rzeczywistości wiedziała, gdzie przebywa Frauke? Do diabła z tą okropną nieufnością! Bodenstein miał jej dosyć.

– No tak. To jest przecież towarzyszka pana Theodorakisa. – Bodenstein potaknął. – Moja partnerka wzięła panią za jego sprzątaczkę.

Nika uśmiechnęła z zażenowaniem. Bodenstein dojrzał drobne zmarszczki mimiczne w kącikach jej oczu.

– Sama nie rozumiem, dlaczego tak się przedstawiłam – przyznała w końcu. – Byłam trochę przerażona, gdy niespodziewanie pod moimi drzwiami pojawiła się policja kryminalna. Nie jestem przyzwyczajona do takich akcji.

– A kto jest na nas przygotowany! – Bodenstein zaakceptował jej wyjaśnienia i również się uśmiechnął.

– Od kilku miesięcy mieszkam u Ricky i Jannisa. Wynajmuję od nich pokój – tłumaczyła ośmielona dziew-

czyna. – Ricky to moja najdawniejsza przyjaciółka. Chodziłyśmy razem do szkoły. Ostatniej zimy miałam gorszy czas... coś w rodzaju wypalenia. Zaproponowała mi wtedy, że mogę jakiś czas u niej pomieszkać i pracować w jej sklepie.

– I to przez nich trafiła pani również do moich rodziców. – To było raczej stwierdzenie faktu niż pytanie, ale Nika i tak odpowiedziała.

– Właśnie. Oni żyją tylko stowarzyszeniem i wspólną sprawą. Jannis chyba o niczym innym nie mówi. – Przewróciła oczyma i westchnęła. – No i nie mogłam się wymigać od wspierania tej akcji, to byłoby nieuprzejme.

Nagle wszelkie obawy zniknęły, a oni rozmawiali ze sobą jak starzy znajomi. Nika była normalną dziewczyną, a co więcej, zdawała się nie mieć żadnych uprzedzeń do policjanta i to detektywa. Bodenstein zaryzykował skrócenie dystansu.

– Może przeszlibyśmy się na kawę?

Spojrzała na niego zaskoczona. Zafascynowany obserwował jej twarz. Nieśmiały z początku uśmiech robił się coraz szerszy i radośniejszy, zupełnie jak u Inki. Zaczął się w jej oczach, a skończył w dwóch cudownych dołeczkach na policzkach.

– W sumie dlaczego nie? Tutaj i tak nie mam nic więcej do roboty, więc mogę zamknąć wcześniej.

Niedługo potem siedzieli na wysokich stołkach barowych w Tchibo przy deptaku. Bodenstein zamówił dwie latte macchiato i dopiero po chwili zorientował się, jak na-

turalnie przyszło mu zapłacić za Nikę. Jak to możliwe, że z kimś właściwie obcym rozmawiał o swoim nieudanym małżeństwie? Wcześniej nie dopuszczał nikogo tak blisko siebie, a w każdym razie nigdy tak szybko. Strzegł prywatnego życia i nie lubił się nim dzielić. Jednak uwaga, z jaką ona go słuchała, bardzo przypadła mu do gustu. Co pewien czas zadawała jakieś pytania, ale na szczęście nie zarzucała go dobrymi radami i przykładami ze swojego życia. Nie, ona go słuchała. Co takiego miała w sobie, co zrobiło na nim największe wrażenie? Jej oczy, o takiej barwie i niesamowitej intensywności, że nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej widział podobne? A może sposób, w jaki go słuchała, przekrzywiając głowę? Jej uśmiech, nieśmiały i niemal pełen podziwu? Ani razu od początku rozmowy nie spojrzała nigdzie na bok. Tylko na niego. Nigdy wcześniej nie przeżył czegoś takiego. Najdziwniejsze, że Nika nie była typem kobiety, który przez całe życie preferował. Nie, ona była jego zaprzeczeniem: krucha, delikatna, dziewczęca i nieśmiała. Pewność siebie, którą uwielbiał w Cosimie, Nicoli, Ince czy Heidi, jej nie cechowała w ogóle.

Zapomniał o Frauke Hirtreiter, o Pii i o swojej pracy. Do rzeczywistości przywołał go kelner, który grzecznie, acz bardzo zdecydowanie poprosił o opuszczenie lokalu.

– O rany, naprawdę nie zauważyłam, jak ten czas minął. Nie wiedziałam, że już tak późno! – powiedziała Nika i uśmiechnęła się zakłopotana. Stali razem na deptaku i czuli, że moment pożegnania zbliża się nieubłaganie. –

Pan... pan ma na pewno wiele ważniejszych spraw, niż siedzieć ze mną i pić kawę.

Tak, z całą pewnością miał jeszcze inne rzeczy do roboty, ale żadna z nich nie mogłaby być ważniejsza. Praca, która zawsze była jego najwyższym priorytetem, mogła dzisiaj trochę poczekać. Przez ostatnie dwie godziny przynajmniej dziesięć razy poczuł wibrowanie telefonu komórkowego, lecz ani razu nie chciał go odebrać. Może i miał wyrzuty sumienia, lecz starał się o nich nie myśleć.

– Na szczęście nie pracuję tam sam – odparł z uśmiechem. – Jeśli pani pozwoli, odwiozę panią do domu.

– Super, bardzo chętnie. – Nika znów się uśmiechnęła. – Ale... musiałabym jeszcze zrobić zakupy, bo mam pustki w lodówce.

– W sumie świetny pomysł. Ja też musiałbym uzupełnić zapasy. – Bodenstein wyszczerzył zęby, zadowolony z pomysłu. – To jak? Na co jeszcze czekamy?

Okazało się, że pracy dla techników w gospodarstwie Ludwiga Hirtreitera jest znacznie więcej, niż ktokolwiek przypuszczał. Christian Kröger zadzwonił do Pii w trakcie przesłuchania Gregora Hirtreitera i poprosił ją, żeby przyjechała. Ponieważ policjantka uznała materiał przeciwko synom zamordowanego za zbyt słaby, by iść z nim do sądu, nie miała podstaw, by dłużej ich trzymać.

Bodenstein nie odbierał telefonu, Kathrin miała umówioną wizytę u dentysty, a Cem pojechał na przyjęcie

urodzinowe żony. I tylko jej życie prywatne się nie liczy, pomyślała Pia. Nikt się o nią nie troszczy.

Henning i Miriam się nie odzywali, co pewnie i było dobrym znakiem, lecz zachowanie przyjaciółki wyprowadzało Pię z równowagi. Kiedy miała problemy, bez wahania pojawiała się pod jej drzwiami, niezależnie od pory dnia czy nocy, i wypłakiwała się ze wszystkiego, co ją bolało. Kiedy natomiast wszystko było dobrze, nawet nie odbierała telefonu.

Bodenstein też zachowywał się dziwacznie. Cztery lata wcześniej, kiedy go poznała, był bardzo uprzejmym, ale zdystansowanym i opanowanym człowiekiem. Teraz owszem, dalej zachowywał się uprzejmie, dalej z dystansem, lecz myślami był przez większość czasu gdzie indziej. Od czasu odkrycia romansu Cosimy i rozpadu małżeństwa bardzo się zmienił. Coraz częściej zostawiał cały wydział na jej głowie i, co gorsza, pozwalał sobie na błędy, co wcześniej nigdy nie miało miejsca. Pia nie miała złudzeń, że choć pojechał do sklepu wypytywać o Frauke Hirtreiter, tak naprawdę zależało mu na spotkaniu z tą blondyneczką, która podała się za sprzątaczkę w domu Jannisa i Ricky. Między nią i Bodensteinem coś się zaczynało dziać. Pia przypomniała sobie, jak siedzieli zapatrzeni w siebie na donicy przed halą. Kiedy zaproponowała, by wykorzystać ją do wyciągnięcia informacji o Theodorakisie i jego dziewczynie, Oliver nie chciał kontynuować tego wątku. Co gorsza, nie potrafiła w ogóle zrozumieć, co szef mógł widzieć w tej szarej myszce.

Cóż, może po odejściu Cosimy Oliver potrzebował takiej zdobyczy, by podreperować poczucie własnej wartości?

Pia westchnęła i wybrała ostatni numer z listy. Poczta głosowa Bodensteina. Dla odmiany zadzwoniła do Christoph'a, lecz z podobnym skutkiem. On również był *temporarily not available*. Niech szlag trafi wszystkich facetów! Może chociaż Kröger będzie miał coś ważnego, bo jak nie, to chyba wyjdzie z siebie. Miała sporo ciekawszych rzeczy do załatwienia, niż jeździć o wpół do ósmej wieczorem po okolicy.

Piętnaście minut później podjechała pod gospodarstwo Ludwiga Hirtreitera i znów nie mogła się napatrzeć na piękno tego miejsca i jego idylliczne położenie. Po dniu pełnym chmur wieczór nagle okazał się uroczy i pogodny, niebo nabrało błękitnej barwy, a zapierająca dech w piersiach feeria barw znaczyła już horyzont. Zachodzące słońce oblekało zabudowania połyskliwym, płynnym złotem, nad dachami szybowały ptaki, a w powietrzu czuć było wilgoć traw. Ciekawe, jak się tutaj mieszkało? Dookoła panowała niewiarygodna cisza, a już tym bardziej dla Pii, która od lat mieszkała w pobliżu jednej z najbardziej zatłoczonych autostrad w kraju.

Weszła na podwórze i rozejrzała się zaskoczona. Nikogo nie zobaczyła. Gdzie się wszyscy podzieli? Rozłoszczona sięgnęła po komórkę i wybrała numer Krögera. Zaraz mu powie do słuchu! Co on sobie w ogóle wyobrażał, żeby ściągać ją na takie odludzie, a samemu

znikać na fajrant? W oddali rozległ się dzwonek telefonu, a po chwili zza narożnika wyłonił się Kröger we własnej osobie.

– Cześć – powiedział.

– Co się tu dzieje? – zapytała Pia i schowała komórkę.

– A, o to ci chodzi. Wysłałem moich ludzi z próbkami krwi do laboratorium – wyjaśnił Christian Kröger i wzruszył ramionami. – Pomyślałem, że zabiorę się z tobą do Hofheim.

– Rozumiem. Dobra. Nie ma sprawy. – Pia zdusiła gniew i spróbowała sobie wytłumaczyć, że inni mieli za sobą równie pracowity dzień jak ona. – A co znaleźliście?

– Oj, sporo. Chodź, pokażę ci.

Pia ruszyła za Krögerem ścieżką przez łąkę. Słońce zniknęło za górami i nagle zrobiło się zimno. Nietoperze fruwały w słabym świetle, jakim jeszcze wieczór bronił się przed nocą. Weszli do domu przez zardzewiałe drzwi i ruszyli na piętro.

– Ktoś był w tym pokoju – zaczął tłumaczyć Kröger, kiedy oboje stanęli w obitym drewnem pomieszczeniu. – Tam, na szafie, znaleźliśmy świeże odciski palców w kurzu.

Otworzył szafę.

– Rzeczy na górnej półce zostały najpierw wyciągnięte, a potem odłożone na miejsce. Ktoś, kto tu był, wiedział, czego szuka, i gdzie to znajdzie.

Pia potaknęła. Frauke Hirtreiter musiała uprzedzić

braci. Równie bezczelnie zignorowała policyjne pieczęcie i weszła do domu tylnym wejściem. Jednak w przeciwieństwie do rodzeństwa nie zrobiła kipiszu, tylko przyszła po konkretną rzecz. Ciekawe po co?

Ślady mówiły, że na schodach straciła równowagę i runęła w dół, łamiąc starą poręcz, a kiedy spadła na sam dół, głową uderzyła o framugę drzwi do sypialni i się zraniła.

– Później – Kröger stopniował napięcie – później ta osoba, choć z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy powiedzieć, że chodziło o kobietę, co potwierdza widok długich ciemnych włosów przyklejonych krwią do framugi, no więc później ta osoba weszła do sypialni. To z kolei można wywnioskować po kroplach krwi na podłodze. I zabrała ze sobą drewnianą rzeźbę Maryi.

– A skąd to wiesz? – Pia była zaskoczona dokładnością opisu.

– Poczekaj, bo najlepsze jeszcze przed nami. – Kröger uśmiechnął się tajemniczo. – Tutaj doszło do zaciętej walki. Ptasie pióra widać nawet na lampie pod sufitem. I to nie tylko te wielkie lotki, ale również puszek, który jest pod nimi. Oj, działo się tutaj, działo. – Wskazał na ściany i sufit. – Rozbryzgi krwi są wszędzie. Podejrzewam, że to krew zwierzęca, ale dla pewności próbki trafią oczywiście do laboratorium, gdzie przejdą odpowiednie testy.

Pia powoli traciła cierpliwość, ale nie chciała pokłócić się z Krögerem. Christian był mistrzem rekonstrukcji

zdarzeń z miejsca zbrodni i był głodny pochwał za swoje ustalenia i odkrycia, które, w jego mniemaniu, nigdy nie są w należyty sposób nagradzane. Kiedy jakaś sprawa zostanie szybko rozwiązana, K11 zbiera całą śmietankę i tylko o nich piszą w gazetach, a o udziale techników nikt nie pamięta.

– Natomiast najważniejszy dowód, że walka człowieka z ptakiem miała miejsce dopiero po upadku ze schodów, znaleźliśmy tutaj... – Kröger wyszedł z domu tą samą drogą, którą wszedł, stanął przy drzwiach i wskazał na zbiornik na deszczówkę. Pia zajrzała do środka.

– No i? Co to za dowód? – zapytała bezradnie. – Nic nie widzę!

– No bo go tam nie ma. Jest w drodze do laboratorium oczywiście! – odparł poirytowany policjant. – W zbiorniku znaleźliśmy martwego kruka i drewnianą Madonnę, która ważyła dobre dwa kilogramy. Sprawczyni zabiła kruka uderzeniami o ścianę, potem zmiażdżyła mu łebek Maryją, a na koniec utopiła w deszczówce.

– To obrzydliwe. – Pia skrzywiła twarz i zadrżała.

– Pomyśl, nie wystarczyło jej, że zabiła to zwierzę – mówił Christian Kröger rzeczowym tonem. – Ona chciała je najnormalniej w świecie zniszczyć.

Pia oderwała wzrok od zbiornika i spojrzała na kolegę. Jego twarz była ledwie jaśniejszą plamą w zapadającym zmroku.

– Czy to tylko moje wrażenie, że tak samo morderca postąpił z Hirtreiterem? – zapytała.

Kröger potaknął.

– Mordercy również nie wystarczyło, że zastrzelił staruszkę. Potem jeszcze go skopał albo potraktował kolbą strzelby. I zastrzelił psa. Podobne okrucieństwo jak w wypadku kruka.

Pia zaczęła wątpić w teorię, zgodnie z którą dzieci Hirtreitera wynajęły mordercę. Opłacony profesjonalista załatwiłby sprawę znacznie czyściej, bez bicia ofiary, kopania i łamania żeber. Zawodowi zabójcy robili, co do nich należało, i znikali z miejsca zbrodni, im szybciej, tym lepiej. Ale czy kobieta byłaby zdolna do takiego czynu?

Wsunęła dłonie do kieszeni džinsów i schowała głowę w ramionach. Frauke Hirtreiter i jej matka przez całe lata cierpiały z powodu despotycznego zachowania Ludwiga Hirtreitera. Tak w każdym razie twierdził posterunkowy Bradl i inni, z którymi rozmawiała. Kiedy kobiety mordowały, robiły to najczęściej po to, żeby się uwolnić i zakończyć cierpienie nie do zniesienia. Natomiast mężczyźni mordowali ze złości, zazdrości albo strachu, że zostaną opuszczeni.

– Christian, jesteś niesamowity – powiedziała powoli.

– Wiesz, że możesz mieć rację? Ale jeśli będziesz miał rację, to my popełniliśmy gigantyczny błąd.

– Dlaczego?

Pia nie odpowiedziała. Pomyślała o słowach Bradla. Policjant twierdził, że Frauke była doskonałym strzelcem i myśliwym, bo chciała przypodobać się ojcu. Walczyła o jego uznanie, ale Hirtreiter gardził córką z nadwagą

i traktował ją jak ostatniego śmiecia. Dziewczyna była tu w noc morderstwa. Potrafiła posługiwać się bronią. I nienawidziła ojca. Czyżby to był ten trop, którego tak gorączkowo szukali? Pia zignorowała burczenie w brzuchu.

– Christian, powiedz tylko, czy potrafisz otwierać zamki? – zapytała.

– Większość tak – odparł Kröger. – Dlaczego pytasz?

– Bo pojedziemy rozejrzeć się w mieszkaniu Frauke Hirtreiter. A jeśli dobrze się spiszesz, zabieram cię na obiad.

– O nie, mowy nie ma – burknął policjant.

– Nie chcesz jechać?

– Nie o to chodzi, mogę się włamywać. Ale nie pozwolę, żeby koleżanka mnie sponsorowała. – Uśmiechnął się szeroko. – Ja stawiam.

Deszcz przestał padać, a słońce schowało się za górami Taunus. Zrobiło się ciemno. Mark całe przedpołudnie spędził w schronisku, a potem jeździł bez celu po okolicy, aż zużył cały bak paliwa. Ricky nie dała znaku życia, chociaż wysłał jej trzy SMS-y. Musiał z nią porozmawiać, i to koniecznie. W sklepie, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, zastał jedynie Nikę. Dziewczyna powiedziała, że Ricky źle się czuje. Wtedy poważnie się zmartwił.

Mark odstawił motorower przy płocie wybiegu dla koni i zdecydował, że jakiś czas spędzi w stajni i tam bę-

dzie czekał. Ricky co wieczór przychodziła sprawdzić, co się dzieje z jej końmi. Z ogrodu po drugiej stronie drogi wiatr przywiewał smakowity zapach grillowanego mięsa. Co i rusz Mark spoglądał na ekran komórki, ale Ricky nie dawała znaku życia. Niemal odchodził od zmysłów. Przez cały dzień ani z nią nie rozmawiał, ani nawet jej nie widział. W myślach zaklinał ją, żeby zadzwoniła. Powtarzał szeptem jej imię i nawet napisał je na mokrym piasku. I nic. Telepatia nie działała. Jak właściwie wyglądało jego życie wcześniej, zanim poznał Jannisa i Ricky? Było puste i pozbawione znaczenia.

W końcu odezwała się jego komórka! Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy trzęsącymi się palcami sięgał po telefon. Tym większe było jego rozczarowanie, kiedy się okazało, że to mama. Odebrał, żeby mu później nie truła głowy. Jej pytania i wyrzuty spływały po nim jak woda po kaczce. Niesamowite, ile słów potrafiła wypowiedzieć w tak krótkim czasie!

– Zaraz wracam – burknął w końcu. – Pa.

Zbliżało się wpół do dziesiątej. Cholera. Dłużej już nie wytrzyma. Dom Ricky był dwie minuty stąd. Chciał ją jedynie zobaczyć, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Może, miał nadzieję, Jannisa nie ma w domu i znów mógłby ją pocieszyć! Ruszył wzdłuż ulicy, otworzył furtkę do ogrodu i przecisnął się między krzakami rododendronów. Serce biło mu jak dzikie. Słyszał syczenie grilla, a na tarasie stał nakryty stół. Wszystkie talerze czyste. Mark podkraść się jeszcze bliżej. Nagle z domu wy-

szedł Jannis. Niósł miskę.

– Skończ już z tym! – powiedział. Był bardzo zdenerwowany. Za to Mark poczuł rozczarowanie. Jannis i Ricky byli w domu. W takim razie nic go tu już nie trzymało.

– Nie, nie skończę! – W drzwiach na taras pojawiła się Ricky. – Znikasz na całe noce, a ja przez przypadek się dowiaduję, że masz ojca w szpitalu! Dlaczego robisz z tego taką tajemnicę?

Jannis przewrócił oczyma i położył na kratce grilla dwa steki.

– A wczoraj byłeś w sklepie u Niki. Odjechałeś, jak tylko mnie zobaczyłeś. Dlaczego? Co się dzieje? – W jej głosie słychać było łzy.

– Dajże mi spokój! – Jannis odwrócił się w jej stronę. – Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć! Dotychczas moi rodzice nic cię nie interesowali. Więc nie rób z tego jakiejś tragedii!

– Ale to jest tragedia! Pomyślałeś w ogóle, jak cholernie żałośnie się poczułam, kiedy gliny cię o to zapytały?

– Gdybyś trzymała gębę na kłódkę, tobyś nie wyszła na skończoną idiotkę. Głupia krowa – warknął Jannis.

Mięso skwierczało nad rozpalonymi węglami i roztaczało apetyczny zapach, ale Mark nie mógł myśleć o jedzeniu. Z coraz większym przerażeniem słuchał ich kłótni. Nigdy jeszcze nie widział ich rozmawiających ze sobą w ten sposób.

– Kpisz?! Jak mogłeś powiedzieć coś takiego? – Ricky podparła się pod boki. – Czym sobie na to zasłużyłam? I to po tym wszystkim, co dla ciebie robię? Przecież to tylko dla ciebie, bo ta cholerna farma wiatrowa głównie mnie obchodzi! Dla ciebie biorę udział w tym całym teatryku, a ty mnie w podziękowaniu okłamujesz?!

Mark przełknął głośno ślinę. Przez cały dzień zamartwiał się o Ricky, ale, jak widać, niepotrzebnie. Pewnie nie było jej w smak dzwonić i rozmawiać z małym głupim gamoniem, który się jej uczepił. Bo z całą pewnością nie wyglądała na kogoś pogrążonego w żałobie ani tym bardziej osłabionego chorobą.

– Ja też mam tę farmę w dupie! Rozumiesz? Mam ją gdzieś! – wrzasnął Jannis, wymachując dziko widelcem do grilla. – Ja chcę jedynie dopaść tego gnojka Theissena! I od początku dobrze o tym wiesz! I co, mam ci teraz padać do nóg tylko dlatego, że pozbierałaś kilka podpisów? I co z tego? I tak teraz są nic niewarte!

Mark otworzył usta i nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. O czym oni mówili? Od kilku miesięcy wszystkie rozmowy obracały się tylko i wyłącznie wokół tematu farmy wiatrowej, kłamstw na temat globalnego ocieplenia i stowarzyszenia, które wspólnie zakładali. A teraz co? To wszystko miało być kłamstwem?!

– Nie musisz mi padać do nóg! Ja chciałam tylko...

– Jasna cholera, weź się wreszcie zamknij! – wrzasnął Jannis tak gwałtownie, że Mark drgnął ze strachu. – Te twoje bezustanne wyrzuty i ciągłe dyskusje! Mam już tego

dość! Rzygać się chce! Rozumiesz? Mam dość!

Oba psy podwinęły ogony i uciekły do domu.

Mark poczuł dreszcze i dziwne klucie za oczami. Jego cały świat, który obracał się wokół Ricky, pękał właśnie i rozsypywał się na kawałki. Podziwiał i ją, i jej partnera, szanował i wywyższał, a teraz oni sami zniszczyli wyidealizowany obraz, który miał w głowie. Co zrobi? Co się stanie, jeśli nie będą już razem?

– Proszę! Przestańcie tak mówić! Proszę! – szeptał zrozpaczony.

Ricky padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach, ale Jannis nie zwracał na nią uwagi i ze stoickim spokojem przekładał steki na drugą stronę.

Mark nie mógł wytrzymać widoku tak strasznie niešťczęśliwej przyjaciółki. Najchętniej poderwałby się, podbiegł do niej i wziął w ramiona, żeby ją pocieszyć. Jak ten facet mógł zachowywać się tak brutalnie i bez serca? Mark wolałby nie być świadkiem tego, co się wydarzyło. Nie chciał oglądać ich kłótni, ale też nie mógł znieść myśli, że miałby teraz zostawić Ricky samą i bez pomocy. Nagle Ricky wstała, podeszła do Jannisa, objęła go od tyłu i zaczęła błagać, żeby nie był już na nią zły. To było przerażające i poniżające!

– Daj mi spokój – burknął mężczyzna nieprzyjemnym tonem i odwrócił się w jej stronę. – Nie chcę teraz... cholera! Co to ma znaczyć?

Mark przyglądał się skonsternowany, jak Ricky osuwa się przed Jannisem na kolana. Serce waliło mu

w piersi jak dzikie i czuł fale gorąca i zimna przepływające przez ciało. Najpóźniej w tym momencie powinien był odejść, lecz zahipnotyzowany nie potrafił się ruszyć. Jakaś niezrozumiała moc odebrała mu siły i zdolność ruchu. Stał za wielkim cedrem i oglądał sceny dziejące się na tarasie jak jakiś zboczony podglądacz. Niemal zapomniał oddychać. Patrzył, wbijając palce w chropowatą korę, i nie potrafił odwrócić oczu. Jannis odłożył widelec i bez słowa pchnął Ricky na drewniany leżak. Z odrazą i jednocześnie chorą fascynacją przyglądał się ich zbliżeniu – spółkowali jak zwierzęta, spoceni i milczący, bez śladu uczucia i delikatności, nie zważając na palące się na grillu mięso. Brutalny obraz odebrał mu złudne wyobrażenie miłości i romantyzmu. Nienawidził się za to, że wciąż stał i patrzył, a co najgorsze, podniecało go to, co widział. Nienawidził Jannisa za prymitywizm jego zachowania i za brutalność. Nienawidził Ricky za to, że go okłamała, i za to, że nie była przy nim sobą. Bo w rzeczywistości była tanią dziwką, która pozwalała się poniżać i dawała na siebie krzyczeć. Głowę rozsadzał mu straszny ból, a z oczu ciekły łzy.

– O Boże! Kocham cię! O Boże! – wyjęczała Ricky. Jak ona mogła powiedzieć coś takiego do człowieka, który dziesięć minut wcześniej ją obrażał? Mark nie mógł już wytrzymać. Odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem, jakby sam diabeł go gonił. Po policzkach ciekły mu łzy. Nigdy, przenigdy więcej nie spojrzył im w oczy bez pamiętania o tym, co widział, i bez pamiętania o tym piekącym po-

czuciu wstydu. Okłamali go, zdradzili i zawiedli. I wszystkich pozostałych również.

Sąsiadka Frauke Hirtreiter, do której należało wynajmowane mieszkanie, posiadała zapasowy klucz, więc Pia i Christian Kröger uniknęli konieczności włamywania się. Fakt faktem, że wejście do prywatnego mieszkania bez nakazu przeszukania nie miało zbyt wiele wspólnego z legalnym działaniem, jednak policjantka uznała, że jej decyzję usprawiedliwia stan wyższej konieczności. Na dodatek przez cały czas gotowała się ze złości na Bodensteina, który uparcie nie odbierał cholernego telefonu! Od wpół do piątej po prostu zapadł się pod ziemię, podobnie zresztą jak Christoph, który nie odbierał ani kiedy dzwoniła na numer stacjonarny w biurze i w domu, ani na komórkę. Jeśli miałyby to być głupia zemsta za środowowy wieczór, to źle się to dla niego skończy!

– Kiedy po raz ostatni widziała pani Frauke Hirtreiter? – zapytała Pia, chowając legitymację, którą przed chwilą oddała jej pomarszczona sąsiadka w okolicach siedemdziesiątki. Miała śnieżnobiałe włosy upięte w kok i patrząc przez okulary, długo sprawdzała, czy Pia na pewno jest z policji. Czuć było od niej czosnkiem, co na pusty żołądek było trudne do wytrzymania.

– Wczoraj, będzie tak przed szóstą pewnie. Ta Ricky Franzen wcześniej zamknęła sklep, bo jechała na spotkanie w Ehlhalten... swoją drogą, to, pani, straszna tragedia, to spotkanie. Straszna tragedia.

– Tak, straszna – potwierdziła Pia, zmuszając się do cierpliwego uśmiechu.

– Bo wie pani, ja tutaj wszystko wiem. Wszystko. Dom należy do mnie, a od kiedy ci młodzi ludzie otworzyli sklep zoologiczny, to jakby mi wróciło życie. – Staruszka uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się radosny błysk. – Mąż umarł był piętnaście lat temu. Wcześniej prowadził warsztat elektryczny, ale co zrobić, musiałam zamknąć interes.

Historia życia starszej pani interesowała Pię tyle co zeszłoroczny śnieg, szczególnie że zbliżała się dziesiąta wieczorem, lecz starsi samotni ludzie często odczuwają specjalne podniecenie, kiedy mogą znów znaleźć się w centrum wydarzeń – choćby i na krótko.

– No więc Frauke przyszła krótko po tym, jak Ricky Franzen odjechała. Weszła do mieszkania. Chciałam jej przekazać kondolencje, bo pani Ricky powiedziała mi, co się stało. Wyszłam na korytarz i zadzwoniłam do niej.

Sąsiadka wyciągnęła głowę, żeby zajrzeć do mieszkania lokatorki i zobaczyć, co porabia tam Kröger.

– Jakie odniosła pani wrażenie z rozmowy z panią Frauke?

– Jakie zrobiła na mnie wrażenie?

– Dokładnie tak. Była smutna? W szoku? Załamana?

– Nie. – Staruszka potrząsnęła zdecydowanie głową.

– Nie, raczej nic z tych rzeczy. Też byłam trochę zaskoczona, bo to w końcu jej ojciec został zastrzelony. Tymczasem ona była... jak by to powiedzieć... rozbawiona?

Niewiele mi powiedziała, chociaż zazwyczaj pape jak najęta.

To nie zabrzmiało specjalnie przyjacielsko ani miło.

– Jednak coś powiedziała. Co takiego? – Pia słyszała, jak Kröger hałasuje w mieszkaniu.

– Nie pamiętam dokładnie... nie, zaraz! Poprosiła mnie, żebym podlewała jej kwiatki, bo pewnie wyjedzie na kilka dni.

Frauke Hirtreiter o śmierci ojca dowiedziała się rannem, od ojca Bodensteina, a potem pojechała z braćmi do Instytutu Medycyny Sądowej do Frankfurtu. Czy już o szóstej wieczorem mogła wiedzieć, co znajdzie w szafie w domu ojca? Bo jeśli nie, to dlaczego już wtedy planowała ucieczkę?

– Pia, pozwól tu na chwilę! – zawołał Kröger ze środka.

– No dobrze, dziękuję bardzo, pani...

– Irene Meyer zu Schwabedissen. – Pia ponownie poczuła czosnek. Powoli zaczynało jej brakować cierpliwości.

– Eee, tak, dziękuję. – Podała kobiecie wizytówkę i zmusiła się do uśmiechu. – Jeśli cokolwiek sobie pani przypomni albo zauważy coś dziwnego, bardzo proszę o telefon. Proszę też dać mi znać, jeśli pani Hirtreiter wróci do domu.

Pani Meyer-Jakośćam pokiwała pospiesznie głową, a Pia odwróciła się i weszła do mieszkania. Biednie było przymiotnikiem, który chyba najlepiej opisywał sposób,

w jaki Frauke urządziła pomieszczenia. Aneks kuchenny był czysty, ale meble stare i zużyte, w salonie stała wytarta kanapa, maleńki, stary telewizor z anteną i rozchwiana szafa, która groziła rozpadnięciem się, jeśli ktoś otworzy drzwi. Nagie ściany bez obrazów, żadnych książek i fotografii. Chłód i obcość. Kilka kwiatów na parapecie; tylko dzięki temu pokój różnił się od więziennej celi. W takich warunkach nikt nie mieszka z własnej woli. Frauke Hirtreiter rzeczywiście mogła skorzystać na pieniądzach od WindPro.

– Christian? Gdzie jesteś? – zapytała głośno.

– Tu zaraz obok. W sypialni – usłyszała jego głos.

W sypialni podłogę pokrywały jasne panele. Nie było dywanu. Łóżko, szafa i regał były stosunkowo nowe, ale pochodziły z jakiegoś marketu budowlanego.

Kröger stał przed otwartą szafą i fotografował jej zawartość komórką.

– Miałaś dobre przeczucie – stwierdził, spoglądając na nią przez ramię. – Popatrz tylko. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby to schować.

Odsunął się, żeby Pia mogła zajrzeć do środka. Między wiszącymi ubraniami stał karabin.

Piątek 15 maja 2009

Dwa ciała, jedna poszukiwana podejrzana i sto pytań bez odpowiedzi. Każdy trop okazywał się ślepym zaułkiem. Frauke Hirtreiter jakby zapadła się pod ziemię, nikt też nie namierzył jej samochodu. Jej bracia w czasie wczorajszego przesłuchania szybko pogubili się we własnych kłamstwach i, chcąc nie chcąc, musieli przyznać, że w wieczór śmierci ojca byli w jego domu razem z siostrą. Umówili się tam o dziewiątej wieczorem, a o wpół do jedenastej odjechali, bo ojciec się nie pojawił. Obaj też mieli widzieć obcy samochód – jakąś ciemną dużą limuzynę, najpewniej audi albo bmw. Pojawił się krótko przed dziesiątą wieczorem i przez pięć minut stał pod bramą z włączonym silnikiem. Potem odjechał. To by mogła być prawda, ale równie dobrze bracia usiłowali zrzucić winę na jakiegoś tajemniczego podejrzanego, którego policja nigdy nie znajdzie, bo po prostu nie istniał.

Na pytanie skierowane do Gregora, dlaczego się przebrał, zanim wrócił na imprezę urodzinową teścia, mężczyzna odpowiedział, że pies ojca na niego skoczył i go pobrudził.

Matthias Hirtreiter czterdzieści pięć minut brakujące do pojawienia się w „Le Journal” wytłumaczył objazdem. Ze względu na jakieś prace nie można było jechać drogą B455 między Eppstein i Fischbach. Nie było niebezpieczeństwa mataczenia ani podjęcia ucieczki, więc nakaz

aresztowania nie wchodził w grę. Pia nie mogła też liczyć na pozwolenie na wystąpienie o dane od operatora komórkowego, dzięki którym mogliby ustalić czas i trasę, jaką naprawdę poruszali się bracia. Znowu została z pustymi rękoma, bez dowodów czy choćby mocnych poszlak. Nic.

Na dodatek musiała dawać sobie jakoś radę ze świadomością, że wszyscy próbują ją okłamywać.

– Mimo wszystko spróbuję załatwić nakaz rewizji ich domów – zdecydował Ostermann, kończąc swój wywód. W jego głosie słychać było złość. – Przecież nie można nie brać pod uwagę faktu, że na początku nas okłamali!

Wiadomości z laboratorium pozwalały zachować jakąś dozę optymizmu, lecz jednocześnie trzeba było nastawić się na długie czekanie na wyniki analizy DNA z fragmentu rękawiczki. Na ubraniu Hirtreitera zabezpieczono pewną ilość włókien, jednak nietożsamyh z włóknami znalezionymi na ubraniu i ciele Grossmanna. Za pomocą specjalnego programu komputerowego udało się za to określić wzrost i wagę włamywacza.

Pia jednym uchem słuchała kolegi, jednocześnie rysując w swoim notatniku. Wczoraj wróciła do domu dopiero po wpół do pierwszej, po późnym obiedzie w towarzystwie Krögera w meksykańskiej restauracji na Limburger Strasse. Zjadła piekielnie ostre enchilades, które popijała caipirinha. Liczyła się z tym, że Christoph będzie na nią strasznie zły, ale okazało się, że nawet nie było go w domu. Zostawił jedynie karteczkę, że w ogrodzie

zoologicznym mają poród żyrafy.

– Theodorakis ma właśnie około metr osiemdziesiąt – zauważył przytomnie Cem.

– Poza tym miał motyw, żeby się włamać, bo potrzebował tych opinii. – Pia ziewnęła i spojrzała na kruka, którego właśnie naszkicowała w swoim notatniku. – Do tego dysponował kluczem do firmy i wiedział, gdzie i czego szukać.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem jeszcze z Theodorakisem. – Do dyskusji włączył się Bodenstein. Dotychczas nie odezwał się ani słowem.

Pia jeszcze mu nie wybaczyła, że wczoraj wszystko zwałił jej na głowę, ale też nie mogła go przecież ostentacyjnie ignorować. Jakkolwiek by patrzeć, był jej szefem. I niezależnie od tego, co porabiał wczoraj wieczorem, na pewno dobrze mu to zrobiło, bo był spokojny i odprężony. Dawno nie widziała go w tak dobrej formie.

– Gdzie go spotkałeś? – zapytała.

– Był u nas w domu, bo chciał rozmawiać z ojcem. Zapytałem go, skąd miał te opinie WindPro.

– Och, doprawdy? Ciekawe, jaką historyjkę ci sprzedał? – Pia pstryknęła kilka razy głośno długopisem, aż w końcu Kai posłał jej poirytowane spojrzenie.

– Twierdzi, że dostał je od dawnego kolegi z Ministerstwa Ochrony Środowiska.

– Theodorakis pracował w ministerstwie? – Cem uniósł brwi.

– Tak jest. W dziale energii ze źródeł odnawialnych

i ochrony środowiska. To dzięki temu poznał Theissena, który zaproponował mu bardzo dobrze płatną posadę. Theodorakis był świetną inwestycją dla WindPro, bo miał szerokie znajomości, co przez wiele lat skrupulatnie wykorzystywał, zarabiając spore pieniądze i przynosząc firmie jeszcze większe zyski. Sporo też wie o interesach byłego pracodawcy.

– Na pewno to, jak się dostać do biurowca – skomentowała oschle Pia. – Nigdy nikt z ministerstwa nie miał w ręku tych opinii.

– Dla mnie to akurat dość prawdopodobne – zaprzeczył Bodenstein. – Cokolwiek by powiedzieć, musiały być załącznikami do wniosku o pozwolenie na budowę farmy wiatrowej. Kai, tutaj masz nazwisko i numer telefonu znajomego Theodorakisa z ministerstwa. Postaraj się, proszę, ściągnąć go tutaj.

Ostermann potaknął.

– Jestem przekonana, że to Theodorakis włamał się do WindPro – upierała się Pia. – On chce się zemścić na Theissenie.

– Ale ma alibi. – Cem potrząsnął głową.

– Słabe alibi. A jeśli z pracy wyszedł o północy? Wtedy miałby dość czasu, żeby zrobić mały włam.

– I co, przez przypadek nosił ze sobą w torbie martwego chomika?

Chomik! Pia przez kilka sekund wpatrywała się w nowego kolegę.

– Przecież jego partnerka życiowa prowadzi sklep

zoologiczny – powiedziała, myśląc głośno. – A w sklepach sprzedaje się tylko żywe zwierzęta. Może powinniśmy sprawdzić karty dostaw. Wiedzielibyśmy przynajmniej, ile chomików trafiło do sklepu, a ile zostało sprzedanych.

Przez jakiś czas jej pomysł był dyskutowany, aż w końcu podjęto decyzję, że Cem z Kathrin i pozostałymi kolegami wspierającymi dochodzenie pojedą do Ehlhalten i przepytają mieszkańców okolic „Korony”, czy widzieli nieznanego mężczyznę czekającego na Ludwiga Hirtreitera. Jednocześnie jego córka Frauke Hirtreiter trafi na listę osób poszukiwanych, a wiadomość o tym zostanie rozdana do telewizji, radia i gazet.

Źle się czuł. Chory i słaby. Cały świat był załgany. Ludzie śmieją się w towarzystwie innych, a w rzeczywistości myślą coś zupełnie przeciwnego. Nie mówią prawdy. Dlaczego? Po co? Dlaczego nikt nie może być uczciwy i prawdomówny? Mark leżał w łóżku i wpatrywał się w sufit. Migrena męcząca go przez całą noc przybierała na sile.

Na zewnątrz świeciło słońce. Jasne promienie wpadały do środka przez szpary w żaluzjach i układały się w dziwny wzór na podłodze. Słyszał głosy rodziców dochodzące z tarasu, bezpośrednio pod jego oknem. Brzęk porcelany; jedli śniadanie. Matka chichotała fałszywie. Zawsze się śmiała, nawet gdy nie było powodu. Kiedy inni patrzyli, udawała szczęśliwą panią domu.

W samotności płakała. I piła. Wódkę przelewała do butelek po wodzie mineralnej. Okłamywała się. Dokładnie tak jak ja, pomyślał Mark i zwinął się pod kołdrą.

Pies sąsiadów zaczął szczekać.

– Zamknij pysk! – ryknął ojciec. On też zawsze miał przyklejony do twarzy fałszywy uśmiech. Pod tym pozornym zadowoleniem bulgotała mieszanina złości i frustracji, której czasem musiał dawać ujście. Jedynie wtedy, oczywiście, kiedy nikt nie patrzył ani nie słuchał. Dopiero co jego rodzice pokłócili się w nocy, ale za to tak porządnie. Następnie matka zeszła do swojego warsztatu i wyła przez resztę nocy. Rankiem wyszła uśmiechnięta i promieniejąca jakby nigdy nic. Buziaczki na do widzenia. Do wieczora, kochanie. Pa, pa. Drzwi. Wódka i toast, że duppek w końcu zniknął. Obrzydliwość.

– Maaark! – zaszczebotała mama. – Kochanie! Wstajemy!

Nie, nie wstanie. Nie wstanie, nawet jeśli zadzwoni Ricky. Ona! Obrazy, głosy i dźwięki. Wszystko, co wczoraj podejrzwał i podsłuchał, wróciło niespodziewaną falą. Mark schował głowę pod poduszkę i zatkał uszy dłońmi, jakby w ten sposób mógł odciąć się od jej jęczenia i sapania.

Dlaczego nie pojechał wczoraj prosto do domu? Nie chciał jej takiej zobaczyć, obcej i odrażającej. Wulgarnej. Nienawidził tego. Przez nią czuł się chory. Prawie tak jak wtedy, kiedy Micha go zostawił samego. Jemu Mark też zaufał – a on po prostu zniknął, z dnia na dzień, i nie kiw-

nał nawet palcem, żeby go ochronić. Musiał wiedzieć, że te sępy rzucają się na niego i wszystko, co piękne, zmieniają w gnój i obrzydliwość. Milczał, kiedy zadawali pytania. Czekał i nie tracił nadziei. Micha wróci. Wróci, wszystko wyjaśni i znów będzie tak jak dawniej. Lecz on nie wracał i nic nie było tak jak dawniej.

Komórka Marka zapiszczała. Sygnał wiadomości tekstowej. Sięgnął po nią. „Cześć, Mark”, pisała Ricky. „Przepraszam, że się wczoraj nie odezwałam. Nie czuję się dobrze, strasznie bolą mnie plecy! Wcześniej poszłam spać. Wpadniesz na plac dla psów? Pa, Ricky”.

Ból pleców! Akurat! Gdyby na własne oczy nie widział, co oni tam wyprawiali, uwierzyłby jej bez zastrzeżeń. Poczł bolesny skurcz w żołądku. Ile razy wcześniej go okłamywała? I dlaczego to robiła? Przecież nie miała powodu! Nagle znów zrobiło mu się niedobrze. Zerwał się z łóżka, pognął do łazienki i zwymiotował.

– Mark! – Matka stała w drzwiach pokoju i patrzyła na niego z niepokojem. – Co się dzieje? Źle się czujesz?

– Tak. – Spuścił wodę. – Musiałem zjeść coś niedobrego. Chyba zostanę w łóżku.

Położył się i przykrył kołdrą. Podeszła do niego i coś mówiła, ale on zamknął oczy i czekał, aż w końcu sobie pójdzie.

Cholera, tym razem to on skłamał! Nie był nic a nic lepszy od Ricky i Jannisa. Kłamcy.

Kolejny SMS od Ricky. „Mark, odezwij się!”

Mowy nie ma. Rozczarowanie paliło go boleśnie i nie

dawało o sobie zapomnieć. I to ona sama zniszczyła obraz, jaki w sobie nosił. Ricky nie miała być zwyczajnym człowiekiem. Uwielbiał ją i podziwiał tak samo jak Michę, dopóki nie zrozumiał, że Micha go cały czas okłamywał i zwodził. Znów odezwała się jego komórka. Trzeci SMS od Ricky. Tym razem odpowiedział: „Jestem w szkole. Dam znać”. Tylko tyle. To był pierwszy raz, kiedy ją okłamał.

Cem i Kathrin wyruszyli do Ehlhalten, a Ostermann zebrał papiery i wrócił do biura. W sali odpraw została tylko Pia z Bodensteinem. Od wczorajszego wieczoru spędzonego z ojcem Oliver nosił w sobie niejasny cień wspomnienia; coś na kształt słowa, które ma się na końcu języka, a jednak nie potrafi się go wypowiedzieć. Robił się coraz bardziej nerwowy, bo nie wiedział, o co chodzi.

– Ojciec przypominał sobie trochę więcej o tym nieznanym, który czekał na Hirtreitera, i został, żeby z nim rozmawiać. – Policjant przerwał ciszę, jaka panowała od zakończenia odprawy. – Niestety, nie był to ani Theissen, ani Rademacher. Tak czy inaczej, był to dość potężny mężczyzna. Tata twierdzi, że miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt.

– Wciąż uważasz, że to mogła być robota zawodowego mordercy?

Pia bazgroliła w swoim notesie i nie podnosiła głowy. Bodenstein rozumiał jej złość. Nie zachował się fair. Powinien był odebrać ten telefon.

– Nie. Profesjonalista na sto procent nie zdecydowałby się na tak ryzykowny krok jak pokazanie się z Hirtreiterem w miejscu, gdzie ktoś mógł ich zobaczyć. – Oliver oparł brodę na pięści. – Tak czy inaczej, nie mamy dość informacji, żeby rozpocząć poszukiwania konkretnej osoby.

– Poczekajmy, czego dowiedzą się Cem i Kathrin – zaproponowała Pia, obracając długopis między palcami. Pierścionek, który niedawno zauważył na jej palcu, mienił się refleksami w świetle lampy pod sufitem. Nie wiedział dlaczego, ale on też wywołał jakieś mgliste wspomnienie. W tym momencie odezwał się jego telefon komórkowy i myśl, która dopiero nabierała kształtu, znów mu umknęła. Niech to szlag!

– Bodenstein! – odebrał zdenerwowanym głosem.

– Z tej strony również. Gdzie jesteś? – Głos jego ojca brzmiał bardzo dziwnie.

– W biurze. A co się stało? – zapytał Oliver. – Coś jest nie tak?

– Chyba. Możesz przyjechać do Königstein? Jestem w kawiarni „Kreiner”.

– Zaraz będziemy. – Bodenstein wstał i chciał zakończyć rozmowę, ale jego ojciec szybko dodał:

– Przyjedź, proszę, sam. To jest... hm... delikatna sprawa.

– Niech będzie. W porządku. Już jadę. – Zakończył rozmowę.

– Coś się stało? – Pia uniosła wzrok.

– Na to wygląda – potaknął Bodenstein. – Muszę jechać do Königstein. Niestety sam.

– No pewnie. – Pia opadła na oparcie krzesła i skrzyżowała ramiona na piersi. Miała kamienną twarz. Jednak on zbyt dobrze ją znał, żeby nie widzieć, jak bardzo ją zranił swoim zachowaniem. Teraz jednak nie mógł nic na to poradzić, bo nie potrafiłby nawet wyjaśnić, co się z nim działo od środowego wieczoru. Koniec końców, on sam nie miał pojęcia, co to było. Czuł się zupełnie inaczej niż w czasie, kiedy spotykał się z Heidi przed kilkoma miesiącami. Ona była dla niego ledwie odskocznią i pocieszeniem po nieprzyjemnych przeżyciach. Natomiast Nika... ona obudziła w nim coś, czego nawet nie spodziewał się w sobie znaleźć. Kiedy o niej myślał, a robił to odruchowo niemal przez cały czas, czuł mrowienie w brzuchu. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Wprawiało go to w zakłopotanie i niepewność, bo choćby nie wiem jak się starał, nic nie mógł na to poradzić.

Pia spojrzała na niego, przechylając głowę, i wyraźnie czekała na jakieś wyjaśnienie, które, wiedział o tym doskonale, był jej winny. Po krótkim milczeniu wstała.

– W takim razie do zobaczenia później – powiedziała lodowatym tonem. – I jeszcze coś. Gdybyś przez czysty przypadek był w pobliżu sklepu Franzen, zapytaj ją o chomiki.

I z tymi słowami wsadziła notatnik do plecaka, zarzu-

ciła go sobie na ramię i wyszła z sali odpraw, w ogóle na niego nie patrząc.

Achim Waldhausen, sekretarz stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska rządu Hesji nie znalazł czasu, by przyjechać na komisariat, więc Pia postanowiła odwiedzić go w biurze w Wiesbaden.

Nie potrafiła zrozumieć, co się dzieje z Bodensteinem. Czy to możliwe, żeby ta niepozorna, szara dziewczyna ze sklepu zoologicznego aż tak zawróciła mu w głowie? Nie mogła w to uwierzyć, bo była diametralnie różna od kobiet, za którymi oglądał się jej szef. Może jednak w ten sposób zareagował na szok? Może coś się z nim stało w wyniku traumatycznych przeżyć? Nie mogła tego wykluczyć. Pia próbowała sobie wytłumaczyć, że to nie jej sprawa, co Bodenstein robi ze swoim prywatnym życiem. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że czuła się skrzywdzona sposobem, w jaki zachował się wobec niej. Włączyła radio i zgłosiła, zapaliła papierosa i opuściła szybę. Bez sensu było zamartwiać się teraz o szefa, więc skupiła się na rozmowie, która zaraz ją czekała. Przy odrobinie szczęścia powinna trafić na jakąś wskazówkę czy trop, który upewni ją w przekonaniu, że zarozumiały i antypatyczny Theodorakis ma coś na sumieniu.

Waldhausen przywitał Pię w swoim gabinecie i nawet nie musiała go zachęcać, żeby zaczął mówić. Theodorakis był niegdyś jego kolegą, a nawet więcej, dawniej nie wahałby się nazwać go swoim przyjacielem. Jednak po ja-

kimś czasie zaczął pokazywać swoją prawdziwą twarz. Po odejściu z ministerstwa wykorzystywał cynicznie każdą znajomość i każdy kontakt, a nawet usiłował wciskać łapówki dawnym kolegom, byleby tylko uzyskać pozytywne decyzje dla swojego pracodawcy.

– Prawdę mówiąc – Pia przerwała wywód sekretarza stanu – nie interesuje mnie w tej chwili, kto dał się przekupić ani kto usiłował dawać łapówki. Prowadzę śledztwo, mamy dwie martwe osoby, a ja przyszłam jedynie się dowiedzieć, czy przekazał pan Theodorakisowi dwie ekspertyzy, które WindPro dołączyło do wniosku o pozwolenie na lokalizację farmy wiatrowej w Ehlhalten.

– Nie. Zdecydowanie nie – odparł Waldhausen skosternowany.

– Przedwczoraj na walnym spotkaniu mieszkańców wymienił pana z imienia i nazwiska – poinformowała go Pia. – Według niego jest pan człowiekiem Theissena w ministerstwie i mimo argumentów przeciwko dał pan zielone światło dla postępowania administracyjnego zmierzającego do wydania zgody na budowę.

– To typowe. Cały Theodorakis. – Waldhausen roześmiał się ponuro. – Mój wydział przeprowadził wówczas pełną analizę wniosku, wraz ze wszystkimi ekspertyzami i studium wpływu na środowisko, a odbyło się to drogą urzędową, zgodnie z procedurami. Nie znaleźliśmy żadnego powodu, żeby odrzucić wniosek. Wydanie zgody było naszym obowiązkiem.

– Co pan zatem myśli o argumentach stowarzyszenia?

– zainteresowała się Pia.

Waldhausen przewrócił oczyma.

– Wie pani – zaczął – to jest tak, że każdy chciałby jak najwięcej zielonej energii z odnawialnych źródeł i nikt nie popiera budowy elektrowni atomowych. Ale jak już ma powstać elektrownia wiatrowa albo elektrownia na biogaz, to nagle wszyscy walczą, żeby była jak najdalej od nich. Stowarzyszenie mieszkańców blokuje rozwój, powodując wzrost kosztów nie tylko dla inwestora, ale przede wszystkim dla podatników, bo przedłużające się postępowania, odwołania i opinie kosztują grube miliony. A kiedy się dobrze przyjrzeć, to u podstaw ich działania znajdziemy czysto egoistyczne przesłanki.

– Mówi pan konkretnie o przypadku farmy wiatrowej w Ehlhalten?

– Nie tylko o niej, ale również o niej. – Waldhausen założył nogę na nogę. – Theodorakisa nie interesuje sprawa wiatraków. On kieruje się chęcią osobistej zemsty na byłym pracodawcy. W amoku, w jakim działa, jest gotów sięgnąć po każdy sposób, byleby tylko osiągnąć cel.

– Hm. Czy zna pan doktora Theissena osobiście?

– Oczywiście. To przecież nie jest pierwsza inwestycja realizowana przez jego firmę w tych okolicach.

– Co by się stało, gdyby okazało się, że analizy wietrzności, które stanowiły podstawę wydania pozwolenia na budowę, są rzeczywiście sfałszowane?

Waldhausen się zawahał.

– Dlaczego ktoś miałby fałszować takie dokumenty?

– odpowiedział po chwili pytaniem na pytanie. – Farma wiatrowa, która nie działa, oznaczałaby marnotrawstwo milionów euro!

– Dla kogo?

– Dla operatora.

– Czy wie pan, kto będzie operatorem farmy wiatrowej Ehlhalten?

– Nie, nie wiem. Nie znam szczegółów tego przedsięwzięcia. Poszczególnymi zagadnieniami, za które my odpowiadamy, zajmują się nasi fachowcy ze specjalnej komórki. Nie rozumiem jednak, do czego pani zmierza?

– A ja nie rozumiem, w jaki sposób WindPro otrzymało wszystkie pozwolenia i zgody na projekt w miejscu, do którego nie ma na razie żadnego dojazdu. Z mojej wiedzy wynika, że na dzisiaj nie ma możliwości, żeby maszyny budowlane mogły dojechać na plac budowy.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– To, że któryś z pańskich specjalistów nie przyjrzał się odpowiednio dokładnie dokumentom, zanim wydaliście decyzje. I, prawdę mówiąc, trochę mnie to dziwi, bo wiem, jak starannie postępujecie w innych przypadkach i na jakie szczegóły zwracacie uwagę. Tymczasem tutaj mamy do czynienia z ogromnym błędem. I niezależnie od wydanego pozwolenia sama budowa nie ma szans ruszyć z miejsca.

– No cóż, było kilka wariantów drogi dojazdowej, które rozpatrywaliśmy. – Waldhausen niespodziewanie przypomniał sobie o szczegółach postępowania. – Firma

WindPro zawarła nawet umowy przedwstępne z właścicielami gruntów koniecznych do realizacji wariantu A. Wariant B był relatywnie droższy, jednak nie wymagał żadnych dodatkowych inwestycji, bo tereny, przez które przebiegałaby droga, należą do kraju i do gminy. Mieliśmy jednak pewne obiekcje związane z ochroną środowiska, które nie pozwoliły nam zdecydować się na wybór tego wariantu. Stąd na placu boju pozostało rozwiązanie A.

Pia przypomniała sobie o chomikach polnych.

– Dlaczego te tereny nagle przestały być miejscami objętymi ochroną krajobrazową i przyrodniczą? – zapytała.

– Nie znam dokładnie tych procedur. – Waldhausen wiedział, jak odpowiadać na trudne pytania. – Niemniej jednak wszystkie warunki musiały zostać spełnione. Koniec końców, nie mieliśmy powodu, żeby blokować wniosek o pozwolenie na budowę.

Wszystko to nasuwało myśl o nepotyzmie, lecz w najgorszej możliwej wersji, o nepotyzmie, który niczym rak obejmował nie tylko Ministerstwo Ochrony Środowiska, ale również miasto Eppstein, a może i nawet całą Hesję. Theissen z całą pewnością wiedział, gdzie powinien trafić ze swoimi pieniędzmi, żeby jego interesy szły bezproblemowo, zaś Theodorakis znał jego sposoby. Nagle Pia zdała sobie sprawę, że Jannis ze swoją skłonnością do robienia innym problemów znalazł się na bardzo kruchym lodzie. Jeszcze całkiem niedawno wspólnik, a teraz dono-

siciel. Członek organizacji, który zaczął sypać. Policjantka przypomniała sobie wściekły atak Theissena pod halą w Ehlhalten. Firma WindPro miała zdecydowanie najwięcej do stracenia w tej całej historii, w razie gdyby budowa farmy wiatrowej nie doszła do skutku. A Stefan Theissen nie należał do ludzi, którzy bez sprzeciwu przyjmowaliby takie decyzje. Pia wątpiła, by był bezpośrednio zaangażowany w sprawę morderstwa Hirtreitera, ale z całą pewnością śmierć jednego z głównych oponentów była mu bardzo na rękę. Theodorakis znalazł się w niebezpieczeństwie, lecz był zbyt arogancki, by to zauważyć.

Pia podziękowała Waldhausenowi za poświęcony czas i rozmowę, a potem wyszła z budynku Ministerstwa Ochrony Środowiska. Schodząc na parter, sprawdziła komórkę, w której wcześniej wyłączyła dźwięk. Dwa nieodebrane połączenia. Oddzwoniła do Kaia. Udało mu się załatwić nakazy przeszukania domów, firm i mieszkań należących do braci Hirtreiter. Na pierwszą umówił się z ludźmi, którzy mieli przeprowadzić rewizje.

– No i? – zapytał na koniec. – Co ci powiedział?

– Zarzeka się, że nic mu nie dawał. I nie ukrywał swojej antypatii do Theodorakisa, mimo że wcześniej rzeczywiście razem pracowali.

Pia zostawiła samochód kilkaset metrów dalej, przed salonem samochodowym, żeby oszczędzić sobie dodatkowej drogi na parking dla pracowników i gości w Ministerstwie Ochrony Środowiska. Okazało się, że to

lenistwo kosztowało ją mandat od służb miejskich.

– Theissen nie dostałby pozwolenia na budowę, gdyby nie dał odpowiednim ludziom w łapę. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. – Zza wycieraczki wyjęła powiadomienie o nałożonej karze za parkowanie w niedozwolonym miejscu, zmieła je i wsunęła do kieszeni spodni. – Mam też niedobre przeczucie, że Theodorakis wsadził kij w gniazdo już nawet nie os, tylko szerszeni.

– On może i tak, ale na szczęście ty się nikomu nie naraziłaś – odparł Kai ze śmiechem.

– Nie, nie o to chodzi. – Pia usiadła za kierownicą. – Theodorakis to mój główny podejrzany.

Bodenstein zaparkował samochód na parkingu przy Georg-Pingler-Strasse, nakarmił parkomat sporą ilością bilonu, a potem ruszył deptakiem na spotkanie z ojcem. Po drugiej stronie szerokiego trotuaru, naprzeciwko kawiarni Tchibo, w której spędził wczorajszy wieczór z Niką, znajdował się lokal „Café Kreiner”. Ojciec czekał na niego przy stoliku na dworze, pod otwartą markizą. Przed nim leżała nienaruszona jagodzianka.

– Tato? Co się stało? – Bodenstein przestraszył się nie na żarty. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Usiadł naprzeciwko i zamówił kawę. Bez śmietanki, gorzką.

– Ja... jestem w bardzo złym stanie – odpowiedział ojciec i uniósł filiżankę, lecz tak drżały mu ręce, że odstawił ją, nie upiwszy ani łyeczka. No proszę, to mamy coś

wspólnego, pomyślał Bodenstein. Od wczoraj nie mógł niczego przełknąć. Nawet jagodzianka, która czekała na talerzyku przed ojcem, nie kusila go smakiem. Kelnerka przyniosła kawę.

– No dobrze – powiedział. – O co konkretnie chodzi?
Heinrich von Bodenstein nabrał głęboko powietrza.

– Wracam właśnie od notariusza – odpowiedział po krótkiej chwili. – Dzisiaj rano zadzwonił z prośbą, żebym stawił się w jego kancelarii.

– O, proszę, proszę. Czyli w kopercie rzeczywiście był testament Ludwiga.

– Zgadza się. To jeszcze nie było oficjalne otwarcie testamentu, ale Gregor i Matthias tak bardzo naciskali, że notariusz zgodził się przedstawić im postanowienia Ludwiga.

Bodenstein patrzył na ojca zaintrygowany.

– No i? Zostawił ci coś?

– Tak – odparł hrabia Bodenstein grobowym głosem.
– Zostawił. Całą ziemię. Wszystkie działki, bez wyjątku.

– Czyli też...? – wyjąkał Oliver z niedowierzaniem.

– Niestety. – Ojciec potaknął i zrobił nieszczęśliwą minę. – Tę przeklętą łąkę również.

– Boże wszechmogący! – wyjąkał Bodenstein junior, bo pojął, co to oznaczało. Jego ojciec został właścicielem łąki, za którą firma WindPro była gotowa zapłacić trzy miliony euro!

– Nie... to nie do wiary! – wymamrotał. – Powiedziałaś już mamie?

– Nie. Sam dowiedziałem się ledwie godzinę temu.

– Jak zareagowali synowie Ludwiga? Frauke też pojawiła się w kancelarii?

– Nie. I prawdę mówiąc, byłem tym zaskoczony. Jej Ludwig zostawił gospodarstwo. Gregor i Matthias mało nie padli na zawał, kiedy się dowiedzieli, że dostaną jedynie oszczędności i dom po matce w Bad Tölz. Od razu zapowiedzieli, że będą się starali podważyć testament. Tyle że notariusz trochę ostudził ich wojownicze zapędy, bo powiedział, że mają bardzo mizerne szanse.

Bodenstein poprawił się na krześle. Z podniecenia nie mógł usiedzieć spokojnie.

– Powinieneś być widzieć, co tych dwóch wyprawiało. – Hrabia von Bodenstein westchnął ciężko. – Nienawiść, z jaką na mnie patrzyli... okropność. Zupełnie jakbym ja miał na to jakiś wpływ.

– Nic się nimi nie przejmuj. – Oliver starał się uspokoić ojca. – Sprzedasz tę łąkę?

– Zwariowałeś? – Ojciec spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Ludwig chciał przeszkodzić budowie tej farmy. Właśnie dlatego to mi zostawił łąkę. Wiedział, że nigdy nie zrobię z nią niczego, czego on sam by nie chciał. A poza tym cały czas się zastanawiam, czy w ogóle przyjąć spadek.

– Oczywiście, że powinieneś go przyjąć! – Bodenstein powiedział to szeptem, bo przy sąsiednim stoliku usiadła jakaś para. – Ludwig chciał, żebyś dostał tę łąkę, ale przecież nie mógł i nie może decydować, co ty z nią zro-

bisz! No chyba że zapisałby to jako wskazówkę w testamencie.

Trzy miliony euro! Jak jego ojciec mógł się wahać? Do podjęcia decyzji powinna mu wystarczyć sekunda!

– Oliver! Ty naprawdę nic nie rozumiesz? – Ojciec spojrzał na niego nerwowo, a potem nachylił się nad stołem. W jego oczach pojawił się wyraz, którego Bodenstein nigdy u niego nie widział: paniczny strach.

– Ludwig spisał ten testament ledwie sześć tygodni temu! Zupełnie jakby się spodziewał! Być może właśnie przez tę łąkę został zamordowany. Teraz ona należy do mnie. Pomyślałeś, że ja mogę być następny?

Dlaczego ci idioci uparli się na otworzenie testamentu?

Doktor Stefan Theissen musiał się powstrzymać, żeby nie zacząć krzyczeć. Niemal pękał ze złości. – Przecież dokładnie omówiliśmy taką okoliczność i mieli czekać!

– Żądza pieniądza! Chciwość nie trzyma się zasad. – Enno Rademacher wzruszył ramionami.

Trudno było to pojąć. Jeszcze wczoraj wieczorem obaj bracia Hirtreiter przyjechali do firmy i podpisali umowy przedwstępne na sprzedaż łąki. Dla uczczenia tej okazji Theissen kazał podać szampana. A teraz okazało się, że ich ojciec zapisał tę cholerną łąkę nie własnym dzieciom, a komuś obcemu! Przyjacielowi, a co gorsza, również przeciwnikowi budowy farmy wiatrowej!

– A co z zabezpieczeniem roszczeń? – Theissen odwrócił się od okna. Myśli krążyły w jego głowie jak szalone. Jednak nie miał czasu zajmować się teraz tą sprawą, bo musiał się spieszyć, żeby zdążyć do Falkenstein. Professor Dirk Eisenhut był już na miejscu, a mieli razem zjeść obiad, w czasie którego zamierzał opowiedzieć mu o kłopotach z ekspertyzą.

– Raczej trudna i czasochłonna sprawa. – Rademacher siedział z ponurą miną za swoim biurkiem i potrząsał głową. W popielniczce przed nim dymił papieros. – Nie mielibyśmy przeciwko komu wystąpić. Właściciel nie żyje, spadkobierca nie jest jeszcze wpisany do księgi wieczystej, przez co nie może być przez nas traktowany jako właściciel. Sprawa strasznie się przeciągnie.

– Cholera, cholera, cholera jasna! – zaklął Theissen i przesunął dłonią po włosach. – Spróbuj się z nim dogadać. Zaoferuj mu pieniądze i przyciśnij go, znasz się na tym. Każdego można kupić, a my nie możemy sobie pozwolić na dalsze opóźnienia. Jeśli nie rozpoczniemy prac do pierwszego czerwca, pozwolenie na budowę wygaśnie i jesteśmy załatwieni.

– Nie musisz mi mówić, sam wiem to najlepiej. – Rademacher zakaszłał. – Niestety, pojawił się jeszcze jeden problem.

– Boże, jak ja nienawidzę samego dźwięku tego słowa!

– Hirtreiter zostawił swoje ziemie hrabiemu Heinrichowi von Bodensteinowi. Okazuje się, że jego syn jest

z policji kryminalnej i akurat to on zajmuje się sprawą Grossmanna.

– Jeszcze tego nam brakowało! – Theissen nabrał głęboko powietrza i zaczął myśleć. Zbyt wiele zainwestowali pieniędzy, żeby poddać się zupełnie bez walki. Jeśli projekt farmy wiatrowej upadnie, to WindPro też pójdzie na dno. A ten śmieć Theodorakis, przez którego zaczęła się afera, będzie tryumfował. Nie, on na to nie pozwoli. W żadnym razie. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Odwrócił się raptownie w stronę Rademachera.

– To, co raz zadziało, ma szansę zadziałać znowu – powiedział. – Pogadamy sobie ze starym, a jeśli będzie się stawiał, weźmiemy synalka na tapetę. Policjanci to urzędnicy. A urzędnicy z reguły uważają, że za mało zarabiają.

– Serio chcesz przekupić gliniarza? – Rademacher znów zaniósł się kaszlem, a potem zdusił niedopałek w popielniczce.

– A dlaczego nie? – Theissen zmarszczył czoło. – Dwie trzecie naszych przyjaciół to urzędnicy. I żadnego z nich nie trzeba było długo namawiać.

Rademacher potrząsnął głową.

– Oj, na pewno coś wymyślisz – powiedział Theissen. – Najpierw pojedź pogadać ze staruchem i złóż mu ofertę. Ale taką nie do odrzucenia.

Uśmiechnął się do siebie, kiedy się zorientował, że to niemal wierny cytat z *Ojca chrzestnego*. Spojrzał na zegarek. Dłużej nie mógł zwlekać, bo nie chciał jeszcze bardziej wkurzyć Eisenhuta.

Ojciec Olivera po wizycie u notariusza był tak przestraszony, że dla kurażu wypił zaraz dwie kolejki nalewki gruszkowej, a później, już w „Café Kreiner” dwa koniaki. W stanie, w jakim się znajdował, nie mógł prowadzić, więc Bodenstein wsiadł za kierownicę jego rozklekotanego zielonego samochodu terenowego i ruszył w stronę domu. Przy wyjeździe z Königstein w stronę Schneidhain wyprzedził ich porsche i rycząc silnikiem, zniknął szybko w oddali. Jak czarna strzała, pomyślał Bodenstein, i złapał się na rozważaniu, jaki samochód mógłby wybrać, gdyby miał na koncie trzy miliony euro.

Nagle zrozumiał, że ma jeszcze wiele innych marzeń, których realizacja w dużej mierze zależy od stanu posiadania. No właśnie, nowy samochód na przykład. Po tym, jak w zeszłym roku rozbił swoje bmw, korzystał na co dzień z samochodu służbowego. Oczywiście nie mógł tak na dłuższą metę, podobnie jak nie mógł zakładać, że już zawsze będzie się cisnął w mieszkanku nad powozownią w majątku ojca. Ale cóż, przestronniejszy apartament kosztował... i to dużo pieniędzy. Pieniądzy, których ani nie miał, ani nie mógł nawet liczyć, że będzie miał. No chyba że przekonałby ojca do sprzedaży nieruchomości odziedziczonej po Ludwigu. Staruszek musiałby jakoś przewyciężyć rozterki moralne i przyjąć ofertę WindPro. W gruncie rzeczy nie chodziło przecież o kwestię honoru, a o zwykły interes. Jest popyt, jest sprzedaż. Trzeba to wykorzystać. Łut szczęścia, który trafia się raczej tylko

raz.

Trzy miliony euro! Nowy samochód, mieszkanie własnościowe z elegancko wyposażoną kuchnią. Rejs żaglowcem do Sankt Petersburga. Letni apartament w Tessin... tylko, niech to diabli, nie starczyłoby mu na to wszystko, gdyby musiał się jeszcze dzielić z Quentinem i Theresą. Z drugiej strony, dlaczego miałby? Theresa w gruncie rzeczy nie potrzebowała więcej pieniędzy, bo miała ich dosyć. A Quentin przejął przecież od rodziców całe włości, z zabudowaniami i polami. On i Theresa zrzekli się spadku na jego korzyść. Gdyby jego młodszy brat nieco lepiej tym wszystkim zarządzał, gospodarstwo i pałac przynosiłyby mu krocie.

Skrecając w drogę dojazdową do majątku rodziców, z przerażeniem stwierdził, że już zaczął myśleć, jak przechytrzyć rodzeństwo i ubiec je w staraniach o pieniądze ojca. Od małego wychowywany był w kulcie oszczędności i od zawsze uważał się też za osobę, dla której dobra materialne nie miały wielkiego znaczenia. Za to jego teściowa była wyjątkowo majątną kobietą. Dzięki jej dyskretnemu wsparciu mogli żyć z Cosimą na komfortowym poziomie. Jednak nigdy nie przyszłoby im do głowy, by pozwolić jej sponsorować zakup samochodu sportowego czy drogich wakacji.

Bodenstein spojrzał na ojca, który siedział w milczeniu na fotelu pasażera. Przecież niezależnie od tego, czy on sam miałby korzystać z tych pieniędzy, czy musiałby dzielić się z rodzeństwem, i tak mógłby po nie

sięgnąć dopiero po śmierci rodziców. Momentalnie poczuł piekący wstyd za swoje chciwe i egoistyczne myśli. Po chwili zatrzymał się na podjeździe.

– Ludwig powiedział mi tamtego wieczoru, po kłótni z Jannisem, że Theissen i jego kompan Rademacher odwiedzili go wcześniej w domu – powiedział i odkaszlnął.

– Przywieźli ze sobą projekt umowy i czek. Naciskali, żeby podpisał papiery.

– Mieli ze sobą czek? – Bodenstein nie miał ojcu za złe, że wcześniej nie podzielił się tą informacją. Potrafił to zrozumieć, bo wiedział, co staruszek przeżył.

– Tak. Wyobrażasz to sobie? Czek na trzy miliony euro!

– I co zrobił Ludwig?

– Wziął go, podarł na kawałki, a potem poszczuł ich Tellem. – Na bladej twarzy staruszka na chwilę pojawił się słaby uśmiech. – Theissen zwał do samochodu, ale Rademacher nie dał rady. To znaczy, też zwał, ale z podartymi spodniami.

Doktora Theissena nie było w firmie, ale Enno Rademacher natychmiast zgodził się na rozmowę. Nie zaprzeczył wizycie u Ludwiga Hirtreitera we wtorek przed południem.

– Mieliśmy nadzieję, że dojdziemy z nim do porozumienia i że przestanie robić problemy – wyjaśnił Bodensteinowi. – Przecież przed dwoma laty, kiedy rozpoczynaliśmy prace projektowe i ustalaliśmy dojazdy, zgodził się

sprzedać nam tę łąkę albo przynajmniej wydzierżawić na bardzo długo. A potem, nie wiadomo czemu, dopadły go wyrzuty sumienia i nie chciał już z nami rozmawiać.

Rademacher siedział za biurkiem. Miał mniejszy gabinet od swojego partnera, a i regały sięgające samego sufitu sprawiały, że Bodenstein czuł się jak w przyciasnej jaskini.

– Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Nie, proszę się nie krępować. – Bodenstein potrząsnął głową. – Dobrze, co się stało potem?

– Staraliśmy się mu wyjaśnić, że przecież droga przez jego łąkę nie będzie dla niego uciążliwa. – Rademacher zaciągnął się papierosem, jakby chciał już za pierwszym razem spalić go do samego filtra, a potem odłożył go do popielniczki. – Nie planujemy przecież budowy autostrady, tylko wąską szosę, na której ruch będzie praktycznie wyłącznie w czasie budowy. Potem raz od wielkiego dzwonu przejedzie auto obsługi technicznej, i to wszystko. Czyli dalej cisza i sielanka. Wiatraki stoją tak blisko grzbietu, że z gospodarstwa i tak by ich nie zobaczył. Ale nie, on się uparł i koniec.

– Byliście gotowi dać mu za nią trzy miliony euro – powiedział Bodenstein. – Czy nie byłoby prościej i taniej wyznaczyć dojazd inną trasą? Co z pozostałymi łąkami dookoła?

– A myśli pan, że nie sprawdziliśmy wszystkich możliwości? Myśli pan, że my tak chętnie rozdajemy ludziom miliony euro za każdy kawałek ziemi? Niestety! Wszyst-

kie możliwe trasy przechodzą przez tereny należące do Hirtreitera. A na realizację innych wariantów nie ma szans, bo organizacje ekologiczne i urzędy nie wyraziłyby zgody. Musielibyśmy puścić drogę przez las. To oznaczałoby mnóstwo zachodów.

– Śmierć Hirtreitera jest wam bardzo na rękę.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Rademacher przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– Z jego dziećmi znacznie łatwiej dojdziecie do porozumienia. Nie będą się opierały jak ich ojciec – odparł Bodenstein.

– W gruncie rzeczy ma pan rację. Wszyscy natychmiast zgodziliby się na sprzedaż.

– Zgodziliby się? – Bodenstein uniósł brwi.

Enno Rademacher jeszcze raz zaciągnął się papierosem, po czym zdusił niedopałek w popielniczce.

– Panie Bodenstein – powiedział, wstając zza biurka i chowając dłonie w kieszeniach spodni. – Niechże pan skończy z tymi podchodami. Przecież obaj wiemy, że zna pan obecną sytuację własnościową tych gruntów. Prawda?

Bodenstein nie dał po sobie poznać zaskoczenia, lecz było ono spore. Jego ojciec wyszedł od notariusza nie dalej jak dwie godziny wcześniej.

– Zgadza się, wiem o wszystkim – przyznał po krótkim wahaniu.

– Tym lepiej. – Rademacher obszedł biurko i przysiadł na krawędzi blatu. – W takim razie nie muszę owijać w bawełnę, bo czas leci nieubłaganie. Niestety, nie

możemy czekać, aż pana ojciec zostanie wpisany do księgi wieczystej, więc już dzisiaj postaramy się złożyć mu propozycję kupna tej łąki. Oczywiście na takich warunkach, jakie proponowaliśmy panu Hirtreiterowi.

– Nie wolno wam tego robić – zaprotestował policjant zdecydowanie.

– Czyżby? Pan chce nam zabronić? Ale dlaczego? – Z jego twarzy zniknęły ostatnie ślady uprzejmości, a w oczach pojawił się jakiś odpychający i nieprzyjemny błysk. – Pana ojciec...

– Mój ojciec jest starszym człowiekiem, który bardzo mocno przeżywa śmierć przyjaciela – wszedł mu w słowo Bodenstein. – Mam nadzieję, że potrafi pan zrozumieć, że ten spadek bardzo obciąża go moralnie.

– Tak, tak, oczywiście. I proszę mi wierzyć, że bardzo mu współczuję – zapewniał swojego rozmówcę Rademacher. – Jednak dla nas projekt farmy wiatrowej ma najwyższy priorytet. Chodzi o bardzo dużo pieniędzy i wiele miejsc pracy.

Udał, że się nad czymś zastanawia.

– Ale wie pan co – spojrzał Bodensteinowi prosto w oczy, jakby w tej sekundzie coś mu przyszło do głowy. – Może powinien pan spróbować przekonać ojca? Na pewno pan na tym nie straci.

W głowie policjanta odezwał się alarm. Mężczyzna w źle skrojonym brązowym garniturze i z niedopasowanym krawatem wydawał się nieszkodliwy jak sprzedawca odkurzaczy. Jednak w jego przenikliwych

oczach czaiło się coś bardzo niebezpiecznego.

– Proszę uważać na słowa – ostrzegł Rademachera, zanim ten zaczął mówić dalej. – Niech pan dobrze przemyśli, co chce mi powiedzieć.

– Ze spokojem, wszystko sobie wcześniej przemyślałem. Dzisiaj w ogóle miałem bardzo pracowity dzień. – Rademacher uśmiechnął się odprężony. Skrzyżował ramiona na piersi i przekrzywił głowę. – Posiadłość, którą pański brat przejął od ojca, jest bardzo zadłużona ze względu na potężne nakłady na remont stajni. Sam ośrodek jeździecki i gospodarstwo rolne nie przynoszą zysków. W zasadzie całość jest finansowana z restauracji w pałacu, która rzeczywiście, to muszę przyznać, jest doskonała.

Bodenstein patrzył na niego spięty i czuł się coraz bardziej nieswojo. Czego ten człowiek chciał?

– Niech pan sobie teraz wyobrazi – ciągnął Rademacher w tonie przyjaznej pogawędki – niech pan sobie wyobrazi, że ni stąd, ni zowąd restauracja traci klientów. Wie pan, jak to jest, jakiś skandal z jakością produktów, który prasa momentalnie rozgrzebie, albo na przykład odejście kucharza. I problem gotowy. Dobra opinia znika równie łatwo jak śnieg na wiosnę. Znacznie łatwiej ją stracić, niż odbudować. Myśli pan, że ze swoją urzędniczą pensją byłby pan w stanie im pomóc?

Bodenstein przez dłuższą chwilę nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Czuł, jak krew uderza mu do twarzy.

– To jest szantaż – wyszeptał zachrypniętym głosem.

– Ależ skąd, ależ skąd! Ja bym tak tego w każdym razie nie nazwał. – Enno Rademacher uśmiechnął się przyjaźnie, lecz w jego oczach nie było śladu wesołości. – To jest tylko taka naprędce nakreślona wizja przyszłości. Mało prawdopodobna, ale przecież niewykluczona. Z trzema milionami na koncie pańska rodzina nie miałaby się o co martwić. Pan również nie. Obie strony bardzo by na tym skorzystały. Niech pan przemyśli to sobie w spokoju i zadzwoni do mnie.

Po południu cała rodzina dokądś wyjechała, a Mark poczekał, aż będzie cicho, po czym wstał z łóżka i wyszedł z domu. Dwie tabletki zmniejszyły ból głowy do poziomu, który był w stanie wytrzymać. Poza tym znów mógł patrzeć bez ryzyka, że zrobi mu się niedobrze.

Mimo że postanowił nigdy już nie jechać do Ricky, pragnienie, by ją zobaczyć, było zbyt silne. Dziesięć minut później zaparkował skuter przy placu szkoły dla psów, tuż obok stajni. Dookoła kręciło się wiele osób, a na asfaltowej ulicy, przy której stał dom Ricky, parkowało przynajmniej kilkanaście samochodów. Akurat trwał kurs dla szczeniąt. Serce zabiło mu szybciej, kiedy ją zobaczył. Kobieta uśmiechnęła się i pomachała do niego tak jak zawsze.

Mark oparł się o płot i obserwował, jak Ricky rozmawia z właścicielami młodych psiaków i jak im cierpliwie tłumaczy sposoby skupiania na sobie uwagi pupilów. Ulżyło mu, lecz jednocześnie był rozczarowany, bo nie

spodziewał się zobaczyć jej w tak dobrej formie. Sam nie wiedział dlaczego, ale myślał raczej, że wczorajszy wieczór powinien zostawić jakieś widoczne ślady, jak podbite oczy, siniaki czy zadrapania. Tymczasem nic. Zadrżał, kiedy spojrzał na jej usta.

Miała na sobie tę samą prowokująco wyciętą obcisłą bluzeczkę, w której nieraz już ją widział. Głęboki dekolt odkrywał nie tylko samą górę jej opalonego biustu. Starszy mężczyzna ze szczeniakiem boksera zupełnie otwarcie z nią flirtował. Ricky śmiała się rozbawiona jego komplementami i kokieteryjnie przekrzywiła głowę. Mark momentalnie poczuł ukłucie zazdrości. Czy ona naprawdę nie zdawała sobie sprawy, co ten stary zboczeniec ma na myśli? Przecież on właściwie nie odrywał wzroku od jej piersi i tyłka! Gdyby Ricky była jego dziewczyną, nigdy nie pozwalałby jej wkładać takich ciuchów. Mark zacisnął nerwowo palce na płocie, bo nie potrafił znieść tego, że ten napalony dziad położył dłoń na jej ramieniu. Co mu strzeliło do głowy, żeby pozwalać sobie na takie gesty? Nagle poczuł klepnięcie w plecy. Drgnął przestraszony i się odwrócił.

– Cześć, stary! – Przed Markiem stał Linus, jeden z najgłośniejszych i najpopularniejszych chłopaków w szkole, z którym chyba nigdy nie rozmawiał. – Co ty tu robisz?

– Mam jeszcze karę do odbębnienia. – Mark skłamał, nawet nie zastanawiając się, po co to robi. Natychmiast poczuł, że jest zły na siebie.

– Serio? Tak długo? Nieźle cię urządzili. – Linus oparł się obok niego. – Ja tu przyjechałem z dziadkiem. Dba o nowego kundla mojej mamy, bo ona nie ma czasu. – Linus wskazał głową na staruszkę z bokserem i się zaśmiał.

– Ale walić psa, idę o zakład, że się zgłosił na zajęcia tylko dla tej laski – zdradził półgłosem. – Niezła jest, nie ma co. Nawet go rozumiem.

Mark na przemian czuł fale gorąca i zimna.

– Laski? O kim mówisz? – Udał, że nie rozumiał. – O Ricky?

– No a o kim. Jest naprawdę gorąca. A ty co o niej myślisz? Podoba ci się? Trochę pomarszczona, ale i tak sporo młodsza od mojego dziadka.

Mark nie lubił Linusa, jednak teraz poczuł, że go po prostu nienawidzi. Ze złości rozboleł go brzuch. Jak on mógł mówić w ten sposób o Ricky? Najchętniej strzeliłby mu w twarz, jemu i jego dziadkowi!

– Ej, stary, ty to masz szczęście, że tutaj możesz pracować. To jest jak urlop, co? – Linus mówił dalej. – Ja trafiłem do kuchni w przedszkolu. Cholera, człowieku! Co ja tam przeżyłem! Ty, a ty też się ślinisz na jej widok, co?

– Nie chrzań! – Mark gwałtownie odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na Ricky. – No co ty, przecież ona jest starsza od węgla. Odpada.

Momentalnie poczuł wstyd. Okazał się żalonym tchórzem.

Po jakimś czasie kurs dobiegł końca, a właściciele

psów stali jeszcze na placu i pozwalali swoim zwierzakom trochę poszaleć. Dziadek Linusa plotkował o czymś z Ricky, a ona sprawiała wrażenie, jakby ją to rzeczywiście interesowało. Śmiała się i kołysała biodrami. Mark niemal pękał z zazdrości, a do tego brzydził się samego siebie. Powinien był powiedzieć Linusowi, że tak, ona jest super. Że dla niego to najwspanialsza kobieta na świecie. I że bardzo mu się podoba. A co zrobił? Zaprotestował i zamknął się, bo się bał, że Linus będzie się śmiał.

– Dziadek! Chodź już! Bo się spóźnię na trening! – krzyknął Linus w końcu i klepnął Marka w ramię. – No to, stary, trzymaj się. Widzimy się w szkole!

– Trzymaj się – odpowiedział Mark i dodał w myślach: „Mam nadzieję, że się już nigdy nie zobaczymy, żałosny przygłupie”. Potem odwrócił się, jakby chciał odejść.

– Hej, Mark! – krzyknęła kobieta. – Mark, poczekaj!

Linus stał jeszcze z boku i wszystko widział, więc Mark celowo odwrócił się z ociąganiem.

– Co jest? – zapytał. Ricky podeszła do płotu.

– Muszę szybko wyskoczyć do schroniska. Wyobraź sobie, że znalazła się właścicielka tego starego teriera. Była w szpitalu, a jak wyszła, to się załamała, że jej pupil uciekł. Zostawiła go w hotelu dla psów. Widać nie bardzo mu się tam spodobało.

W jej błękitnych oczach paliły się radosne błyski.

– Dobra wiadomość. Mam jechać z tobą? Pomógłbym ci z karmieniem – zaproponował.

– Nie, dzięki, dam sobie radę. Ale moje psy nie miały dzisiaj dość ruchu. Mógłbyś wziąć je na trochę na spacer, żeby się wybiegały? Potem zostaw je, proszę, w domu.

Był trochę rozczarowany, ale szybko się zgodził.

– Nie ma sprawy – powiedział.

– Jesteś super. – Ricky pogłaskała go po ramieniu. –
Do zobaczenia!

Powietrze było aż gęste. Znów było nieznośnie gorąco i parno, bo zbliżała się burza. Duże przeszklone drzwi, którymi z kuchni można było wyjść wprost na taras, zostały otwarte na całą szerokość, lecz i tak nie było przewiewu. Nika stała zamyślona przy kuchence i obracała plastry giczy cielecej w żeliwnym rondlu. Wyciąg pracował na najwyższych obrotach, więc nie słyszała, że drzwi do domu otworzyły się, a potem zamknęły. Drgnęła, kiedy niespodziewanie tuż za nią wyrósł Jannis i objął ją w pasie.

– Przestań! – syknęła i odwróciła się w jego stronę. –
Zwariowałeś?

– Jesteśmy sami w domu – odparł mężczyzna i spróbował ją pocałować, ale Nika odsunęła głowę.

– Nie teraz – spróbowała się wymówić. – Bo przypalę mięso.

– Hm. Pachnie smakowicie. Co przygotowujesz? –
Jannis zajrzał do garnka.

– Osso bucco. – Nika odsunęła z czoła kosmyk włosów. Jannis wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej

i zdjął korek. W wodzie uniosły się bąbelki dwutlenku węgla i rozległ się syk.

– Właśnie, wczoraj widziałem cię w samochodzie przed marketem z tym gliną. O czym rozmawialiście? – zapytał niby przypadkiem.

Nika drgnęła przestraszona. Tego się nie spodziewała. Gorączkowo zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć. Po tym, jak zrobiła zakupy, siedziała jeszcze chwilę z Bodensteinem w jego samochodzie i rozmawiali. A że w końcu przestało padać, to poszli jeszcze na spacer. Tylko tego oczywiście nie mogła wyjawić.

– Wpadłam na niego podczas zakupów. Chciał wiedzieć, kiedy ostatni raz widziałam Frauke – wyjaśniła, przy czym nie skłamała. Koniec końców, Bodenstein właśnie po to przyjechał do sklepu.

– Dlaczego go to zainteresowało?

– Bo Frauke zniknęła. Nigdzie jej nie ma. – Nika wzruszyła ramionami. – Dzisiaj od rana nie dała znaku życia.

– Frauke nienawidziła swojego starego jak diabeł święconej wody. Może to ona go stuknęła. – Jannis uniósł butelkę i wypił kilka łyków. Nie cierpiała tego odrażającego zwyczaju, bo zawsze zakręcał po tym korek i odstawiał wodę do lodówki. – Tak, tak – stwierdził. – W końcu każdy z nas ma jakieś tajemnice.

Przede wszystkim ty, pomyślała Nika, przypominając sobie o krwi na jego ubraniu. Po kłótni z Ludwigiem wskoczył w samochód i gdzieś pojechał, a potem wrócił

w środku nocy cały zakrwawiony. Bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że w złości mógłby kogoś zabić.

Nie skomentowała jednak tej uwagi i wróciła do krojenia cebuli, pomidorów i czerwonej papryki.

– Skoro już mówimy o tajemnicach... – Jannis zdławił beknięcie, a potem usiadł na kuchennym krześle. – Ostatnio jak przeglądałaś gazetę, drgnęłaś, jakbyś czegoś się przestraszyła. Bardzo mnie to zaintrygowało.

Dziewczyna czuła na plecach jego spojrzenie i miała wrażenie, że aż ją parzy. Ze zdenerwowania miała mokre dłonie.

– Wziąłem potem tę gazetę i zacząłem przeglądać. Strona po stronie – mówił dalej. Nika odwróciła się. Jannis podciągnął jedną nogę i złożył ręce za głową. Uśmiechnął się, zadowolony z siebie, ale ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu. – I wtedy trafiłem na zapowiedź odczytu profesora Eisenhuta. Wiedziałaś, ile trafień wypłuwa Google, kiedy poszuka się waszych nazwisk razem?

– Nie ma w tym nic dziwnego. Przez wiele lat Eisenhut był moim szefem. – Nika siliła się na luźny ton, choć myśli w jej głowie wirowały jak oszalałe. Jannis i tak nic nie mógł zrobić z tą wiedzą. Czy może jednak? – Byłam jego asystentką.

Dlaczego nie zapytał jej o to przedostatniej nocy, skoro przynajmniej kilka dni temu zorientował się, kim była? Czego od niej chciał?

– Poczuję się trochę urażony, że nie wspomniałaś

mi o tym ani słowem – powiedział. – Przez kilka miesięcy słuchasz, jak nawijam o sprawach, na których zęby zjadłaś, i udajesz, że nie masz o niczym pojęcia. Dlaczego?

Nagle dostrzegła w jego oczach coś bardzo niebezpiecznego i nieobliczalnego. Serce jej zadrżało ogarnięte zimnym, panicznym strachem. Nie mogła pozbierać myśli, a nie wolno jej było teraz popełnić błędu! Jannis nie miał prawa o niczym wiedzieć. Ledwie znał jej nazwisko i to, że była asystentką Dirka. I nic więcej! Z jego twarzy zniknął uśmiech, a ciemne oczy świdrowały ją na wylot.

– Może poszłabyś ze mną na dzisiejszy odczyt, pani doktor Sommerfeld? – zaproponował z uśmiechem. – Pomyśl, jak twój dawny szef by się ucieszył, gdyby cię zobaczył!

Krótko przed wpół do siódmej wieczorem Bodenstein powoli wspiał się na schody i skręcił w korytarz, przy którym znajdowały się biura jego wydziału. Z otwartych drzwi sali odpraw dobiegał szum wielu głosów. W środku zobaczył niemal całą obsadę komendy w Hofheim. Najchętniej poszedłby dalej, do swojego gabinetu, ale Pia go zauważyła i z zaciętą miną ruszyła w jego stronę.

– Gdzie byłeś przez cały dzień? – zapytała, nie kryjąc złości. Bodenstein nie miał prawa mieć jej tego za złe. – Ze sto razy usiłowałam się do ciebie dodzwonić. Mogłeś chociaż oddzwonić! Zrobiło się naprawdę nieciekawie!

Bodenstein nie potrafił się zmusić, by opowiedzieć jej o groźbach Rademachera i o dziwnym testamencie Lu-

dwiga Hirtreitera. Sam nie miał pojęcia, co o ty wszystkim myśleć, i czuł, że znalazł się między młotem a kowadłem.

– Wybacz – zaczął. – Ja...

Zamilkł, bo nagle otworzyły się głośno drzwi na końcu korytarza i ze swojego gabinetu wyszła jego bezpośrednia przełożona, doktor Nicola Engel. Stukając obcasami, ruszyła w stronę sali odpraw. Miała nieprzeniknioną minę.

– Jest na ciebie strasznie wściekła – syknęła Pia. – Chodzi o samochód Frauke... Chciałam ci powiedzieć, ale nie odbierałeś!

– No proszę, raczył nas zaszczyścić pan nadkomisarz we własnej osobie – fuknęła kobieta, nie kryjąc złego humoru. – Zaczynamy. Proszę bardzo...

Wskazała na drzwi, więc Bodenstein i Pia posłusznie weszli do pomieszczenia, które wypełniali koledzy wspierający działania K11.

Kiedy doktor Nicola Engel weszła do sali odpraw i zamknęła za sobą drzwi, momentalnie umilkły wszystkie rozmowy. Każdy, z wyjątkiem Bodensteina, domyślał się, co się zaraz wydarzy.

Doktor Engel usiadła u szczytu stołu konferencyjnego, a Bodenstein zajął miejsce obok.

– Jestem naprawdę bardzo zła i rozczarowana – zaczęła radczyni lodowatym tonem. – Koleżanka Kirchhoff przed chwilą powiadomiła mnie o wyjątkowo kompromitującej wpadce. Chcę wiedzieć, i to natychmiast, jak to

możliwe, że w ogóle do niej doszło. Dlaczego nikt się nie zorientował, że poszukiwana osoba nie porusza się samochodem, którego dane trafiły do wszystkich radiowozów w kraju? Wielu ludzi wypruwa sobie właśnie żyły, żeby go znaleźć, a okazuje się, że niepotrzebnie!

Bodenstein nie rozumiał ani słowa. Siedział obok niej z kamienną twarzą i miał nadzieję, że słuchając dalszej części jej wystąpienia, zrozumie w końcu, jakie pretensje i o co miała do jego ludzi.

– Pozwalam, by osiemnastu ludzi ze wszystkich wydziałów rzuciło w kąć swoją pracę i wspierało K11 w śledztwie, i coś takiego mnie spotyka! Duży zespół jest cokolwiek wart jedynie wtedy, kiedy znajdzie się człowiek posiadający umiejętność koordynowania wszystkich działań. Mam wrażenie, że w tym wypadku jest wręcz odwrotnie!

Mówiąc to, przenikliwym wzrokiem powiodła po twarzach obecnych. Większość spuszczała głowę albo spoglądała wyczekująco na Bodensteina, do którego odnosiły się zarzuty doktor Engel.

– A akta, które do mnie docierają? To jest przecież kpina! Jeden wielki chaos! – Palcem wskazującym postukała w obie teczki, które leżały przed nią na stole. – Nie znalazłam tam nic poza litanią jakichś niepotwierdzonych domysłów. Brak jakichkolwiek twardych dowodów. No i jeszcze ten blamaż z dzisiaj. Nawet na krok nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia sprawy Grossmanna i Hirtreitera. Specjalnie mówię „my”, bo niestaranne i nieporadne

śledztwo stawia w złym świetle całe kierownictwo!

Zakłopotana cisza. Nikt nie odważył się choćby chrząknąć czy odkaszlnąć. Wszyscy wstrzymywali oddechy.

– Kolego Kröger, może mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego żaden z pana ludzi nie zajrzał do garażu? – zapytała Nicola Engel. Jednak zanim Christian zdążył otworzyć usta, do rozmowy włączył się Bodenstein.

– Wszystkie błędy popełnione w śledztwie – zaczął, choć nie miał zielonego pojęcia, o jakie błędy chodzi jego przełożonej – obciążają mnie, jako osobę prowadzącą to dochodzenie. Jestem za nie odpowiedzialny.

Doktor Engel spojrzała na niego nieprzyjemnym wzrokiem.

– Rozumiem. Zatem to pan prowadzi to dochodzenie. Dobrze wiedzieć, bo dzisiaj miałam wrażenie, że nikt go nie prowadzi. Gdzie się pan podziewał przez cały dzień?

Jej słowa wręcz ociekały nieskrywanym sarkazmem.

– Byłem służbowo w terenie. – Bodenstein wytrzymał jej spojrzenie i nie odwrócił głowy. Sytuacja powoli zaczynała wyglądać na próbę sił, i to na oczach wszystkich pracowników. Nawet nie przyszło mu do głowy, by się poddać. Nie miał zamiaru ani przeproszać za to, co się stało, ani usprawiedliwiać się z tego, co robił. Nie teraz i na pewno nie tutaj.

– Jeszcze to sprawdzimy. – W oczach kobiety pojawiły się niedobre błyski, a Bodenstein miał wrażenie, że zażgrzytała ze złości zębami. W końcu odwróciła wzrok.

Zrobiła to pierwsza, żeby nie stracić twarzy i autorytetu.

– Koleżanko Kirchhoff, proszę zaczynać – zażądała.

Cały czas miała złość w spojrzeniu, lecz Bodenstein odpowiedział jej jedynie delikatnym uniesieniem brwi.

Z całych sił starał się słuchać słów Pii, która relacjonowała aktualny stan dochodzenia, lecz w końcu jego myśli i tak znalazły się gdzieś indziej.

Przez ponad dwadzieścia lat w policji nie raz i nie dwa spotkał się z próbą przekupstwa. Nigdy jednak dobra materialne go nie kusily i nigdy nie zastanawiał się poważnie nad przyjęciem takiej oferty. Dlaczego więc tym razem propozycja Rademachera nie wywołała w nim moralnego oburzenia? Może po prostu źle go zrozumiał? Może wcale nie chodziło o przekupstwo? Koniec końców, Rademacher powiedział, że na pewno na tym nie straci, jeśli namówi ojca do sprzedaży odziedziczonej działki. Nawet najbardziej zajadły i skrupulatny gliniarz wydziału wewnętrznego nie potraktowałby takich słów jako zapowiedzi wręczenia łapówki.

Jednak co miał powiedzieć ojcu, kiedy spotkają się wieczorem? Co mu doradzić? Quentinowi i Marie-Louise musiał powiedzieć o zawołanych groźbach formułowanych przez biznesmena i wiedział, że niemal zażądają od ojca natychmiastowej sprzedaży ziemi, zanim sam znajdzie się w niebezpieczeństwie i ich wpędzi w kłopoty.

Gdyby rzeczywiście sprawy miały zajść tak daleko i ojciec zdecydowałby się przystać na propozycję Wind-Pro i wbrew swoim przekonaniom sprzedać łąkę, to czy

stałby się automatycznie ofiarą szantażu? Z drugiej strony, jakie to miało znaczenie, kiedy w grę wchodziły trzy miliony euro!

Bodenstein westchnął. To byłoby najprostsze rozwiązanie – i jednocześnie najbardziej korzystne – jednak musiałby być całkowicie oderwany od rzeczywistości, żeby założyć, że ojciec niespodziewanie zmieni zdanie. Był przekonany, że zachowa się równie nieugięcie jak Ludwig Hirtreiter. Co prawda z całkiem innych powodów, lecz to akurat niewiele interesowało Enna Rademachera. Bo w jego determinację i całkowity brak skrupułów Bodenstein ani przez chwilę nie wątpił.

No to jak? – Jannis spojrzał na Nikę. – Dlaczego robisz ze swojej przeszłości taką tajemnicę?

Siedzieli przy kuchennym stole, naprzeciwko siebie. Osso bucco bulgotało smakowicie w garnku, w drugim gotowały się ziemniaki. Nika ochłonęła z pierwszego szoku i zastanawiała się, czy nie powinna wyjawić Jannisowi całej prawdy, żeby i on w końcu pojął powagę sytuacji. Był zdecydowany, by iść na wieczorny odczyt profesora Eisenhuta. Z całą pewnością chciał pognać Theissena, lecz czy na tym poprzestanie? Jannis był tykającą bombą. Zaślepiiony przez żądzę zemsty i dotknięty w swojej próżności nie potrafił spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy.

– Przez piętnaście lat, dzień w dzień, bez chwili urlopu, harowałam w Instytucie. W pewnym momencie do-

szłam do ściany. – Nika zdecydowała się na kłamstwo. Zupełnie mu nie ufała. – Wypaliłam się. Nic mi nie szło. A szef nie potrafił tego zrozumieć, więc krótko przed Bożym Narodzeniem rzuciłam wypowiedzenie i odeszłam z pracy.

Jannis spojrzął jej w oczy. Nie ufał jej.

– O rany, Nika. – Niespodziewanie sięgnął ponad stołem i położył dłoń na jej dłoni. – Ty i ja, tyle moglibyśmy razem osiągnąć. Pomyśl, byłaś asystentką najbardziej wpływowej osoby w całej polityce klimatycznej kraju... jesteś bezcenna! Wiesz, ja też byłem całkiem niezły w tym, co robiłem, zanim mój szef nie dał mi kopa w tyłek. Teraz nie mam już szans na zatrudnienie w branży.

Puścił jej dłoń i wstał.

– Theissen to zachłanny dupek. On ma tę całą ekologię gdzieś. Wiedziałaś, że wcześniej był grubą rybą w RWE? Wyobraź sobie, że odpowiadał za rozwój elektrowni atomowych. On i jego kilku kolegów lobbystów zajmujących się energią atomową w latach osiemdziesiątych wpadło na genialny w swojej prostocie pomysł wykreowania tematu „klimatu”, żeby usprawiedliwić budowę nowych siłowni jądrowych. Twierdzili, że atom to jedyna alternatywa dla zmniejszenia emisji dwutlenku węgla.

Jannis wsunął ręce do kieszeni dżinsów i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Politycy z całego świata radośnie podchwycili tę bzdurę – ciągnął. – Kiedy wymieranie lasów i dziura ozo-

nowa przestały działać jako straszak, dzięki któremu dało się sterować ludźmi, stworzono sztuczny twór, czyli katastrofę klimatyczną. Dzięki tak zwanej polityce klimatycznej da się usprawiedliwiać w zasadzie wszystko, idiotyczne zakazy, nakazy, podwyżki podatków... Wielcy tego świata znaleźli kolejnego wroga, który zagraża całej ziemi. Tym razem to już nie jest ani Związek Radziecki, ani broń atomowa, tylko dwutlenek węgla.

Nika słuchała go w milczeniu. Znała argumenty sceptyków, dla których polityka klimatyczna prowadzona przez państwa była przesadzona i niepotrzebna. Od ośmiu miesięcy wiedziała, że mają rację. Ich głosy przybierały na sile. Od dawna znani naukowcy dysponowali dowodami potwierdzającymi ich wcześniejsze przypuszczenia, że katastrofa klimatyczna to był tylko humbug. A jednak mimo coraz gwałtowniejszych protestów przeciwko ustawowemu zmuszaniu wszystkich do ograniczania emisji dwutlenku węgla, politycy z różnych krajów i z ONZ nie zmieniali kursu i parli do przeforsowania takich rezolucji. Nika była gorącą zwolenniczką takich działań – aż do tamtej rozmowy w Deauville, kiedy spotkała Cierana O’Sullivana.

Jannis zatrzymał się przy stole i nachylił w jej stronę.

– Nasz bystrzacha Theissen jako jeden z pierwszych rzucił się na niezaludnione wtedy poletko energii odnawialnych – powiedział. – Najśmieszniejsze jednak jest to, że zarówno jego firma, jak i jego projekty finansowane są przez te same osoby, które cały świat podziurawiły kopal-

niami węgla i szybami naftowymi. I nikt tego nie widzi! Tak samo jak nikt nie chce zobaczyć, że na rozsiewaniu na cały świat kłamstwa klimatycznego wzbogacają się przede wszystkim badacze klimatu, media, przemysł i politycy! I to jest to, przeciwko czemu walczę! Chcę obalić światową ekodyktaturę, która została zbudowana na kłamstwie i która przynosi krocie tylko nielicznym: takim ludziom jak twój były szef i Theissen. Ta idiotyczna farma wiatrowa jest mi całkowicie obojętna, ale to niesamowita okazja, by pokazać światu, jak działa ta cała mafia!

Błysk fanatyzmu w jego oczach przyprawił ją o dreszcz strachu. Dygotała z zimna, mimo upału wlewającego się do kuchni przez otwarte drzwi na taras. To, co Jannis powiedział, to było wierutne kłamstwo. W przeciwieństwie do Cierana O'Sullivana nie walczył o prawdę z czystego przekonania, bo nie interesowało go dobro świata. On pragnął tylko i wyłącznie zemsty, swojej małej, egoistycznej satysfakcji z porażki Theissena, bo ten go poniżył. Właśnie dlatego wykorzystał inicjatywę obywatelską do swoich prywatnych celów. Chciał zaszkodzić swojemu wrogowi. A teraz zamierzał wykorzystać jej nazwisko, żeby po raz kolejny zaatakować Theissena. Nie mogła na to pozwolić. Ani teraz, ani nigdy.

– Jannis – powiedziała z prośbą w głosie. – Nie masz pojęcia, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, mówiąc takie rzeczy.

– Mam to gdzieś. – Machnął niecierpliwie dłonią, nie

dając jej dojść do słowa. – Ktoś musi zdobyć się na odwagę i powiedzieć to wszystko na głos. Ja się nie boję.

– A powinieneś. Ludzie, z którymi zadzieraszą, są potężni i nie znają się na żartach – wyszeptała Nika. – Uwierz mi, wiem, do czego są zdolni. Nie zadzieraj z nimi.

Jannis przekrzywił głowę i przyjrzał się jej uważnie.

– Nie zamieszkałaś u nas w piwnicy, żeby odpocząć po wypaleniu zawodowym, prawda?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wstała i podeszła do kuchenki, żeby sprawdzić ziemniaki. On stanął za nią, położył jej ręce na biodrach i obrócił twarzą do siebie.

– Wiesz przecież, że mam rację. Pomóż mi! Wesprzyj mnie! – zażądał.

– Nie! – odparła dziewczyna z naciskiem. – Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego! Nie mieszaj mnie do tego! I nie chcę, żebyś próbował mnie wykorzystać do zemsty na swoim byłym szefie!

Jego wzrok na moment stał się lodowaty.

– Przecież nie chcę cię wykorzystywać – zapewnił, udając oburzenie.

Oczywiście, że tylko tego chcesz, pomyślała. Popęłniła ogromny błąd, pozwalając mu się do siebie zbliżyć. Był tak wrażliwy na swoim punkcie, że każdą formę odmowy potraktowałby jak osobistą zniewagę. A to mogłoby mieć fatalne skutki.

Czy w takim razie powinna podjąć ryzyko i powiedzieć mu całą prawdę, żeby w końcu pojął, że to

nie przelewki? Nie. Całkowicie nierealne. W ten sposób oddałyby mu władzę nad sobą.

Napięcie sprawiło, że zaczęły jej drżeć ręce. Ziemiaki się gotowały, a z garnka pryskała woda i z sykiem parowała z płyty. Ona jednak nie zwracała na to uwagi. Na zewnątrz rozszczękał się pies. Po chwili dołączył do niego drugi.

– Jeśli pójdziesz tam dzisiaj wieczorem – wyszeptała z naciskiem – musisz mi przysiąc, że pod żadnym pozorem nie wspomnisz o mnie ani nie wypowiesz mojego nazwiska.

Mógł nie chcieć, żeby miała kłopoty, bo w końcu mu się podobała. Zapewniał ją o tym. Jednak nie mogła mieć pewności, czy to nie jedynie jego kolejne kłamstwo, które rzucił, by coś osiągnąć? Żaden mężczyzna nie mówi prawdy, kiedy odda libido władzę nad rozsądkiem. Dlaczego akurat Jannis miałby być wyjątkiem?

– Przysięgam – zapewnił ją, nieco zbyt szybko, żeby mogła mu uwierzyć. Nika nie mogła znieść jego uprzejmej bliskości i jego wilgotnych dłoni na swoich ramionach. Mimo wszystko przemogła się i skrywając odrazę, dotknęła jego twarzy i pocałowała go. Z niepohamowaną żądzą wepchnął język w jej usta, objął ramionami i przywarł do niej podbrzuszem. Najchętniej odepchnęłaby go jak najdalej, kopnęła kolaniem w krocze albo wbiła nóż między żebra. Jeszcze nigdy w życiu nikt nie wydawał jej się równie odrażający jak on i nikogo tak szczerze nie nienawidziła. Z niespodziewaną siłą uniósł ją

i posadził na brzegu zlewozmywaka, podniósł spódnicę i z niecierpliwością szarpnął za figi, aż je rozerwał.

– Och, Nika! Nika! Nie mogę bez ciebie wytrzymać!
– mamrotał niewyraźnie. Wsunął się między jej uda i z jękiem napał wybrzuszeniem na spodniach. Czy naprawdę myślał, że jej się podoba? Czy łudził się, że ją podnieca? Odwróciła głowę, zamknęła oczy i zagryzła usta. To ona zaczęła igrać z ogniem. Nie mogła się wycofać. Musiała grać do końca. Smutnego końca.

Pia kopnęła Bodensteina pod stołem. Mężczyzna spojrział na nią poirytowany, ale momentalnie przypomniał sobie, gdzie jest, i odwrócił głowę w stronę Nicoli Engel. Jeśli nie chciał mieć z nią poważnie na pieńku, musiał zapomnieć na chwilę o problemach osobistych.

– ...niestety brak na razie wyników badań balistycznych broni znalezionej w jej mieszkaniu. – Kröger kończył swoje sprawozdanie. – Jednak martwy ptak w zbiorniku na deszczówkę bez najmniejszych wątpliwości należał do Ludwiga Hirtreitera, o czym świadczyła obrączka na nóżce.

Policjant opisał w krótkich słowach brutalność, z jaką zwierzę zostało uśmiercone.

– Mimo braku jednoznacznych dowodów potwierdzających taką tezę, wychodzimy z założenia, że osobą, która pierwsza włamała się do zapieczętowanego domu, a następnie zabiła ptaka, była Frauke Hirtreiter. Wszystko wskazuje na to, że później odstawiła samochód do garażu

i uciekła autem swojego ojca – dokończył.

Bodenstein w końcu zrozumiał, o jakim błędzie mówiła Nicola i jaka kompromitacja tak bardzo ją zdenerwowała. Informacja o poszukiwanej została wysłana z najwyższym priorytetem i działania szły pełną parą w całym kraju. Jednak telewizja, gazety i radio donosiły o kobiecie podróżującej fiatem punto, który stał w garażu w gospodarstwie zamordowanego. Co gorsza, nie był to jedyny popełniony błąd. Drugim było niedocenienie roli, jaką Frauke mogła odegrać. Jej zachowanie czyniło z dziewczyny główną podejrzaną. W przeciwieństwie do swojej szefowej, Bodenstein uważał, że to, czym dysponowali, to twarde dowody świadczące o winie Frauke Hirtreiter. Kobieta miała silny motyw, w czasie kiedy doszło do zbrodni, była w okolicy domu ojca, nie miała alibi i dysponowała umiejętnościami, by dokonać tej zbrodni.

Tego wieczoru wydarzyło się jednak coś jeszcze. W trakcie przeszukania domu Gregora Hirtreitera została zabezpieczona kopia umowy przedwstępnej na sprzedaż łąki z gospodarstwa ojca. Widniały na niej podpisy obu braci, Stefana Hirtreitera i Enna Radmachera, zaś data wskazywała, że zawarto ją dzień wcześniej. Ponieważ Gregor nie miał alibi i nie potrafił przekonująco wytłumaczyć, dlaczego do teścia na urodziny wrócił przebrany, Pia kazała go tymczasowo aresztować.

– A Matthias Hirtreiter? Co z nim? – zapytał Bodenstein. Kilku policjantów uśmiechnęło się dyskretnie. Byli przy przeszukaniu jego domu i stali się świadkami kom-

pletnego załamania młodego człowieka.

– Nie, jego bym o to nie podejrzewała. – Pia pokręciła głową. – To mięczak.

Jednocześnie z policją kryminalną Hirtreitera juniora odwiedził komornik sądowy, żeby zająć jego majątek. Matthias nie zwracał uwagi na funkcjonariuszy, ale kiedy komornik opieczętowywał samochód sportowy żony, meble i biżuterię, płakał wniebogłosy jak małe dziecko.

– Czy ktoś się czegoś dowiedział o mężczyźnie z parkingu, który czekał na Ludwiga Hirtreitera pod „Koroną”? – zapytał Bodenstein i rozejrzał się po zebranych.

– Dwójka mieszkańców z okolicy potwierdziła, że kogoś takiego zauważyli – powiedział Cem Altunay. – Kobieta, która przyjechała odebrać zamówione jedzenie z „Korony”, i mężczyzna, który wyszedł z psem na spacer.

– Opis?

– Wysoki i umięśniony. Szare włosy związane w kucyk. Ciemne okulary. Przyjechał czarną bejcą, piątką, na tablicach z Monachium.

Nagle w głowie Bodensteina pojawiło się wspomnienie, którego nie mógł wcześniej odnaleźć. Drgnął, jakby poraził go prąd.

– Widziałem go! – przerwał Cemowi, który proponował właśnie wezwanie policyjnego rysownika, by sporządzić portret pamięciowy nieznanego. Wszyscy momentalnie spojrzeli na szefa.

– Pia, przypomnij sobie. To było we wtorek, kiedy

wychodziliśmy z WindPro. On wyszedł z budynku razem z nami i też ruszył w stronę parkingu. My odwiedziliśmy wtedy Theissena.

Pia, znana z fenomenalnej pamięci, pokręciła bezradnie głową. W sali zapanowała pełna napięcia cisza. Nic nie sprawiało podwładnym większej radości niż pomyłka przełożonego.

Jednak Bodenstein był święcie przekonany, że ma rację. Mężczyzna, prawdziwy barbarzyńca, w skórzanej kamizelce i z włosami spiętymi w kucyk, spojrzał jeszcze na nich uważnie, a potem poszedł dalej, na parking. Zapamiętał go, bo to był niecodzienny widok.

– Poszliśmy wtedy pokazać Rademacherowi i Theissenowi tę kartkę z ekspertyzy, którą znaleźliśmy po włamaniu na podłodze. – Bodenstein podjął jeszcze jedną niecierpliwą próbę przypomnienia Pii, że też widziała tego człowieka. – Zapamiętałem to dokładnie, bo zwróciłem uwagę, że masz...

Zamilkł. To, co chciał powiedzieć, nie było przeznaczone dla uszu wszystkich zebranych.

– No słucham, na co takiego zwróciłeś uwagę? – drążyła Pia. Patrząc na niego, zmarszczyła groźnie brwi.

Dwudziestoro pięcioro funkcjonariuszy i funkcjonariuszek policji kryminalnej czekało z niecierpliwością na wyjaśnienia.

– Na pierścionek – dokończył zrezygnowany. – Krótko przed tym zauważyłem, że masz na palcu pierścionek. Dlatego tak dobrze to skojarzyłem.

Dwadzieścia pięć par oczu skierowało się momentalnie na lewą dłoń Pii, która na przemian zaciskała i prostowała palce. W zamyśleniu spoglądała na wąski srebrny paseczek oplatający jej serdeczny palec. Już nie była zła, ale nadal się nie uśmiechała.

– Przykro mi – powiedziała po chwili. – Mimo najszerszych chęci nie potrafię go sobie przypomnieć.

Uniosła głowę i spojrzała na doktor Engel, która potaknęła.

– Dobrze, to by było wszystko na dzisiaj – oznajmiła, mając pozwolenie na zakończenie odprawy. – Dziękuję za pomoc i zaangażowanie. Życzę miłego weekendu tym, którzy mają na niego szansę.

Prowadząc półgłosem rozmowy i szurając krzesłami po podłodze wyłożonej linoleum, policjanci rozchodzili się do swoich biur. W sali został jedynie zespół wydziału K11.

– Jutro z samego rana, o dziewiątej, oczekuję pana w swoim gabinecie – oznajmiła Nicola Engel, patrząc groźnie na Bodensteina, po czym wstała, skinęła głową i wyszła.

Bodenstein poczekał, aż zamkną się za nią drzwi.

– Znajdziesz dla mnie dziesięć minut? – zapytał Pię.

– Oczywiście, szefie – odparła, nie patrząc w jego stronę. Wciąż jeszcze była na niego zła.

– Hej, o co chodzi z tym pierścionkiem? – zapytał Kai ciekawsko.

– Może jutro ci powiem. – Pia sięgnęła po plecak. –

A może nie.

Nagle szklane drzwi uderzyły z hukiem o krzesła i do kuchni wpadły rozradowane psy. Jannis puścił Nikę i przestraszony odskoczył kilka kroków w tył. Kątem oka zauważył pięść i w ostatniej chwili udało mu się uniknąć uderzenia.

– Ty świnió! – zawył Mark. Nie posiadał się z oburzenia. Skoczył na Jannisa, potrącając krzesło, które upadło na psa. Zwierzę czmychnęło, wyjąc dziko. Nika poprawiła spódniczkę.

– O co chodzi? – krzyknął Jannis i zasłonił rękoma twarz. – Co ty wyprawiasz?

Lecz chłopak nie słuchał. Był jak opętany. Znów zaatakował, po drodze uderzając w masywny stół. Z oczu ciurkiem płynęły mu łzy. Kolejne krzesło upadło na podłogę. Oba psy czmychnęły z kuchni. W końcu Jannis zdołał złapać go za nadgarstki.

– Przestań! – wysapał. – Przestań w końcu!

– Ty... ty ją całowałeś! Tamtą! Całowałeś się z tą... z tą zdrajczynią! – wyrzucił z siebie chłopak i wskazał głową na Nikę, która stała jak skamieniała i nie mogła oderwać się od kuchenki. Mark spróbował wyrwać się Jannisowi, ale mężczyzna trzymał go nadzwyczaj mocno, bo nie wiedział, jak długo stał na tarasie i przyglądał się temu, co robią w kuchni. Po jego wzburzeniu można było przyjąć, że dobrą chwilę musiał tam być. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

– Wszystko źle rozumiałeś! – zaprotestował, ale Mark był głuchy na jego argumenty.

– Kłamca! Kłamca! Kłamca! – wrzeszczał i nie mógł się uspokoić. – Jesteś na nią napalony! Widziałem przecież, jak się na nią gapisz! Jak możesz okłamywać Ricky? Jak mogłeś jej to zrobić!

– Przestań wreszcie! Ucisz się! – rozkazał Jannis i potrząsnął nastolatkiem. – Co w ciebie wstąpiło?

Mark zapadł się w siebie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyszłochał. – Dlaczego obściskujesz się z Niką? Przecież masz Ricky!

Osunął się na ziemię i przytulił do nogi Jannisa, jak małe dziecko, które nie chce puścić rodzica. Jannis spojrział porozumiewawczo na Nikę. Dziewczyna kiwnęła głową i zniknęła w piwnicy.

– Słuchaj, Mark. – Pogłaskał chłopaka po głowie. Ricky mogła pojawić się dosłownie w każdej chwili, a wtedy wszystko by się bardzo skomplikowało. – Uspokój się, proszę. Wstań, porozmawiamy.

Jannis nachylił się i postawił krzesło, które wylądowało wcześniej na podłodze. Potem poprawił stół i podniósł drugie krzesło.

– Źle to rozumiałeś – wyjaśnił. – Tu się nic nie stało.

Chciał położyć chłopakowi dłoń na ramieniu, ale on zrobił minę, jakby się brzydził, i odsunął się gwałtownie.

– Kłamca! – powtórzył zduszonym głosem. – Okłamałeś Ricky! Jesteś świnią! Dokładnie widziałem, jak jej wciskałeś język do buzi i jak się do niej kleiłeś! Gdybym

w porę nie wszedł, byś ją przeleciał! W waszym wspólnym domu!

Jannis wpatrywał się w nastolatka. Co temu czubkowi przyszło do głowy, żeby napadać go i pouczać, jak ma żyć i jak się zachowywać? Przez niego miał wyrzuty sumienia. Nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć się przed zaburzonym szesnastolatkiem, dlaczego coś zrobił albo czegoś nie zrobił. Ale musiał szybko wymyślić jakąś prawdopodobną historyjkę, bo inaczej pobiegnie do Ricky i o wszystkim jej opowie. Poczł, że kręci mu się w głowie. Dopiero teraz zrozumiał, jak niewiele dzieliło go od katastrofy. Gdyby chłopak pojawił się dwie minuty później, rzeczywiście zastałby ich in flagranti na zlewozmywaku!

– Hej, posłuchaj mnie i nie bądź taki nadęty. Naprawdę, wrzuc trochę na luz. Niech będzie, rzeczywiście się trochę całowaliśmy.

– Ale dlaczego? – Mark spojrzł na niego oskarżycielsko. – Przecież... przecież ty kochasz Ricky!

– Mark! – Jannis zmusił się do serdecznego tonu. – Oczywiście, że ją kocham. Ale to, co się stało, to nie była moja wina. Serio. Ricky nie może się o tym dowiedzieć, bo bardzo by ją to zraniło.

Chłopak potrząsnął gwałtownie głową.

– Dobrze słyszałem, co do niej mówiłeś – fuknął. – Że nic cię nie obchodzi farma wiatrowa. A ja... ja ci przecież cały czas pomagałem! Robiłem, co tylko chciałeś! I wierzyłem, że tobie na tym zależy!

Tylko tego teraz potrzebował! Jakby miał mało innych problemów! Schylił się i położył chłopakowi dłoń na ramieniu, choć najchętniej dałby mu solidnego kopa w zadek. Musiał jednak przyznać, że ten opętańczy napad wściekłości bardzo go przestraszył. Wcześniej nie znał Marka takiego. Zawsze zachowywał się cicho, był wręcz nieśmiały. Co mu się w takim razie poprzestawiało w tej chorej główce?

W końcu przekonał nastolatka, żeby usiadł na jednym z krzeseł. Potem kucnął przed nim i chwycił go za rękę.

– To Nika zaczęła – wyjaśnił z naciskiem. – Od tygodni na mnie poluje. Nawet chodzi nago po domu, kiedy Ricky gdzieś wyjdzie. Wszystko po to, żeby mnie dopaść. Ja zawsze jej odmawiam. Bronię się. Mówię, żeby dała spokój... ale dzisiaj... stary... tak się cieszę, że się pojawiłaś! To był ostatni moment! Kto wie, co by się zdarzyło, gdybyś jej nie przeszkodził. Do końca życia miałbym wyrzuty sumienia wobec Ricky.

Obiema rękoma przetarł twarz.

– Mark, przecież też jesteś facetem. Pomyśl chwilę. Jak ty byś się zachował, gdybyś był na moim miejscu, a najlepsza przyjaciółka twojej dziewczyny rzuciłaby ci się na szyję i zaczęła cię całować? Ja... ja nie wiedziałem, co zrobić! Potrafisz sobie wyobrazić, co czułem?

Odwołanie się do solidarności facetów było strzałem w dziesiątkę. Mark spojrzał na niego z wyrzutem, lecz powoli złość zaczęła mu przechodzić, a w oczach znowu pojawiło się zaufanie.

– Mówię ci, stary, większość kobiet jest zła. Nice nie zależy na Ricky, ma gdzieś, że to jej najlepsza przyjaciółka. – Jannis mówił i mówił. Nie obchodziło go, w jakim świetle stawia Nikę.

Jeszcze tego samego wieczoru, postanowił, musi zakazać Ricky zapraszania tego wariata do domu. Chłopak miał nierówno pod sufitem, choć patrząc na jego przeszłość, nie można było się temu dziwić.

Rozległ się szczęk zamka i do domu weszła Ricky. Psy zaczęły szczekać jak oszalałe i skoczyły jej na powitanie. Kobieta weszła do kuchni i uśmiechając się, postawiła na stole dwie duże torby z zakupami. Zajęta sobą oczywiście nie zauważyła, że coś się przed chwilą wydarzyło.

– Cześć, skarbie! – Pocałowała czule Jannisa, a potem spojrzała na Marka. – Hej! Dzięki, że zająłeś się psami.

Rozpakowała sprawunki, przełożyła je do szafek i do lodówki, a potem opowiedziała o właścicielce starego teriera. Kobieta tak się ucieszyła, że znalazła pupila, że wystawiła schronisku czek na tysiąc euro. Dopiero teraz Ricky zauważyła, że ani Jannis, ani Mark się nie odzywają.

– Coś się stało? – zapytała, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

– Nie, nic, kochanie. – Jannis zaśmiał się miło. – Zamyśliłem się po prostu i tyle. Pojedziesz ze mną do Falkenstein na ten odczyt?

– No oczywiście. Dlatego specjalnie się pośpieszyłam. – Ricky odpowiedziała mu uśmiechem, a potem Jan-

nis wziął ją w ramiona. Kiedy ją przytulił, spojrzał znad jej ramienia na Marka i dał mu znak głową, że ma zniknąć. Chłopak przełknął głośno ślinę, lecz na szczęście nie zdecydował się, by powiedzieć Ricky, co przed chwilą widział.

– Ja... – wymamrotał. – Muszę już uciekać.

A potem wybiegł przez kuchenne drzwi na taras i zniknął w ogrodzie.

Nastroje wśród prominentnych gości ze świata polityki i biznesu były swobodne. Czuło się jednak pełne respektu oczekiwanie. W pierwszym rzędzie uroczystie udekorowanej hali siedzieli rajcowie miejscy, przedstawiciele gminy i kraju. Tuż za nimi miejsca zajęli przedstawiciele prasy, którzy tłumnie przybyli na zaproszenie lokalnego klubu przemysłowców.

Doktor Stefan Theissen, jako przewodniczący klubu, otworzył spotkanie uprzejmym powitaniem, a zaraz potem profesor Dirk Eisenhut wygłosił odczyt o ekologii, wpływie człowieka na zmiany klimatu i ich skutkach politycznych i ekonomicznych. Cytował różne prace naukowe, przytaczał liczby, podawał dane i podpierał się barwnie przedstawianymi przykładami, przerywając od czasu do czasu, by przeczytać odpowiednie pasażę ze swojej najnowszej książki, która w ciągu ledwie kilku dni wspięła się na sam szczyt listy bestsellerów. Publiczność słuchała z zainteresowaniem jego wywodów, a kiedy skończył, nagrodziła go hucznymi oklaskami. Theissen mimo wszyst-

ko był bardzo zdenerwowany, bo po zakończonym odczytaniu miał poprowadzić dyskusję między gośćmi a profesorem. Na szczęście przygotował się i na to, a kiedy wyznaczone osoby zadały swoje pytania, a profesor Eisenhut elokwentnie na nie odpowiedział, Theissen odetchnął z ulgą. Jeszcze nie wiedział, jak bardzo się pomylił.

– Dziękuję bardzo i mam nadzieję... – zaczął, ale w jednym ze środowych rzędów ktoś się podniósł. Theissen nie wierzył własnym oczom. Co Theodorakis robił na spotkaniu z profesorem?!

– Chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie – powiedział głośno. – Do pana doktora Theissena.

Ludzie z pierwszych rzędów obrócili głowy i z zainteresowaniem spoglądali na nieznanego.

– Niestety, zakończyliśmy już dyskusję. Dziękuję państwu bardzo!

– Dlaczego? – krzyknął ktoś inny. – Pozwólcie mi zadać pytanie!

Theissen poczuł, że pot spływa mu po plecach. Theodorakis usiadł tak nieszczęśliwie, że nie było możliwości, by ochrona wyprowadziła go z sali, nie budząc przy tym powszechnego wzburzenia.

– W środę w hali w Ehlhalten nie udało mi się zadać tego pytania – kontynuował Theodorakis. – Jak pan zapewne wie, w czasie walnego zebrania mieszkańców miała miejsce tragedia. Wiele osób odniosło obrażenia, a jedna zginęła. Mimo wszystko chciałbym zapytać pana

Theissena, jak udało mu się otrzymać zgodę na budowę farmy wiatrowej? Dla państwa informacji – Theodorakis zwrócił się do publiczności – firma WindPro zamierza postawić w górach nad Ehlhalten dziesięć monstrualnych wiatraków, lecz w miejscu, które z racji niedostatecznie silnych wiatrów zupełnie się do tego nie nadaje. Żeby dopiąć swego, zapłaciła łapówki urzędnikom Ministerstwa Ochrony Środowiska w Wiesbaden, zagazowała kolonię chomików polnych i sfałszowała ekspertyzy.

Theissen kątem oka spojrział na Eisenhuta. Profesor siedział jak skamieniały.

– Co to ma znaczyć? – syknął naukowiec. – Kim jest ten człowiek?

Publiczność stała się niespokojna. Ludzie zaczęli obracać się w stronę nowego mówcy. Theissen zastanawiał się gorączkowo, jak ratować spotkanie. Czy mógł je jeszcze tak po prostu przerwać?

– Panie profesorze. – Theodorakis zwrócił się do szanownego gościa. – Niezależnie od tego, że wszystko, co mówi pan o zmianach klimatycznych i globalnym ociepleniu, to bzdury, które można włożyć między bajki, chciałbym poznać pana odpowiedź na pytanie, dlaczego pan i pana kolega po fachu, Brian Fuller z Uniwersytetu Walii sfałszowaliście ekspertyzy dla swojego przyjaciela, szanownego doktora Theissena?

Jeśli Stefan Theissen miał jeszcze odrobinę nadziei, że publiczność wybuchy bezczelnego pytającego albo zagłuszy go głośnymi gwizdami, to właśnie w tym momen-

cie ją stracił. W sali panowała głęboka cisza. Ogarnęło go przerażenie. Dziennikarze, którzy w czasie odczytu nie próbowali nawet robić notatek, momentalnie wyczuli skandal w powietrzu i włączyli dyktafony.

– Wiem z bardzo kompetentnego źródła, że pańskie ekspertyzy wietrzności przygotowane dla lokalizacji planowanej farmy wiatrowej, nad którymi pracowaliście pan i pański kolega z Wielkiej Brytanii, nie odpowiadają rzeczywistym warunkom, które tam panują. Sfałszowaliście te analizy, nie uwzględniając prawdziwych danych albo posługując się niewłaściwymi pomiarami! Jestem pewien, że nazwisko doktor Anniki Sommerfeld jest panu znane. A to właśnie ona porównała dla nas, czyli dla stowarzyszenia obywatelskiego „NIE dla wiatraków w Taunusie”, pańską opinię z opinią EuroWind z 2002 roku i znalazła ogromne rozbieżności.

Theissen obserwował zaskoczony, jak twarz profesora Eisenhuta zmienia się z sekundy na sekundę, jakby przeżył ogromny szok.

– Proszę mi wybaczyć – szepnął. – Postaram się to jak najszybciej przerwać. Wyprowadzę pana.

Jednak Dirk Eisenhut siedział jak sparaliżowany, z dłońmi zaciśniętymi na brzegu krzesła i nie próbował się nawet podnieść.

– Muszę z nim porozmawiać! – odpowiedział zduszonym głosem. Theissen nie widział, co ma o tym myśleć. – Koniecznie!

Theodorakis zauważył, że cała publiczność

z zainteresowaniem słucha, co ma do powiedzenia, więc uśmiechnął się tryumfująco.

– Mam zatem rozumieć, że albo nie potrafi pan przygotować zwykłej ekspertyzy, albo ją pan umyślnie sfałszował – ciągnął dalej. – Być może zrobił pan to z czystej sympatii do doktora Theissena, którego firma zasponowała nowy budynek Instytutu we Frankfurcie? Z przyjaźni? A może... może po prostu za pieniądze?

W końcu publiczność zaczęła głośno krzyczeć, a część gości wstała z miejsc. Theissen nie wiedział, co robić. Tymczasem jego koledzy z klubu przedsiębiorców pojęli, że dzieje się coś, co nie powinno mieć miejsca. Dwóch z nich spróbowało dostać się do Theodorakisa, a kolejny wyszedł z sali, by zaraz powrócić z trzema dryblasami z ochrony. Stefan Theissen gotował się wściekłości, na Theodorakisa i na siebie, że zlekceważył przeciwnika, który okazał się bardzo niebezpieczny. Jego obsesja na punkcie zemsty za zwolnienie mogła doprowadzić do poważnych kłopotów.

– Wystarczy – powiedział i wstał z krzesła. Zdeteminowany zeskoczył zwinnie z podium, by osobiście powstrzymać Theodorakisa. Dwieście osób w sali czekało z niecierpliwością, co odpowie profesor Eisenhut. Prasa wyczuła krew i nie zamierzała odpuszczać. Dziennikarze tłoczyli się dookoła, podsuwali mikrofony i dyktafony i robili zdjęcia. Wybuchła wrzawa i tylko nieliczni wzywali do zachowania spokoju.

Theissenowi było obojętnie, kto i co o nim pomyśli.

Jego złość ustąpiła miejsca żądzy krwi, więc kiedy dotarł do swego oponenta, chwycił go brutalnie za koszulę na piersiach.

– Ostrzegałem! – Zazgrzytał zębami. Poczuł, że materiał ubrania się poddaje, a guziki strzelają na wszystkie strony. Theodorakis zaśmiał się kpiąco.

– Dalej, śmiało! – szydził. – Jutro zobaczy pan to we wszystkich gazetach.

Te słowa i oburzone krzyki gości ostudziły rozgrzaną głowę Theissena. Opamiętał się, puścił Theodorakisa i zrozumiał, że dając się sprowokować, popełnił wielki błąd. W sali zapanowała pełna konsternacji cisza. Kątem oka dostrzegł bladego jak ściana profesora, sięgającego po mikrofon.

– Zatrzymajcie tego człowieka! – powiedział, a wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w stronę podium. – Nie pozwólcie mu odejść!

Ochroniarze niepostrzeżenie zacieśniali krąg wokół Theodorakisa, lecz on dostrzegł ich w porę. Pełen samozachwyty uśmiech zniknął z jego twarzy. Nikt się nie ruszył, bo nikt nie chciał stracić ostatniego aktu tego dziwnego przedstawienia. Ciszę przerwał ogłuszający grzmot, a kilka sekund później o wysokie okna zabębnił deszcz.

Nagle Theodorakis poczuł, że bardzo mu się spieszy. Korzystając z tłoku, przepchnął się obok Theissena, zasłaniając się swoją blond towarzyszką niczym żywą tarczą.

– Sami państwo widzicie, jak próbuje mi się zamknąć

usta! – piszczał histerycznie. Ochroniarze spojrzeli wyczekująco na Theissena, lecz on potrząsnął głową. Theodorakis zrozumiał, że nikt nie będzie go zatrzymywał, lecz na wszelki wypadek wyszedł z sali tyłem.

– Jeszcze się zobaczymy! – krzyknął głośno. – Bo, doktorze Theissen, kto sieje wiatr, ten zbiera burzę!

Było już późno, kiedy Bodenstein zostawił samochód służbowy na pustym parkingu pod restauracją Quentina. Rozmowa z Pia przebiegała w dziwnej atmosferze i sam do końca nie wiedział, jak się po niej czuje. Musiał to teraz przemyśleć. Pia bardzo dobrze go знаła, a poza tym miała niesamowitą intuicję do wyczuwania nastrojów innych. Ta cecha czyniła z niej nie tylko dobrą, ale wręcz wybitną policjantkę. Na pytanie, co się z nim dzieje, nie odpowiedział nic konkretnego. Wolał tchórzliwie kluczyć. Widział, jak bardzo ją to ubodło. Dlaczego nie zdecydował się powiedzieć jej o testamencie Hirtreitera i o groźbach Rademachera? Tym głupszy krok, że z całą pewnością i tak się o tym dowie. Co gorsza, już mogła wiedzieć, komu zamordowany zostawił sporną ziemię. Czy milczał, bo przez cały dzień rozmyślał nad propozycją Rademachera?

Bodenstein przygryzł usta. Powinien zadzwonić do niej. I to natychmiast. Wyjął z samochodu marynarkę, którą zdjął z powodu upału, i zaczął szukać telefonu.

Mimo późnej pory było duszno, nie czuć było nawet najdelikatniejszego powiewu, a wokół latarni gromadziły

się chmury ciem. Po niebie przetoczył się grzmot, zwiastujący niosącą ochłodę burzę.

Bodenstein wybrał numer Pii, ale usłyszał jedynie nagranie jej skrzynki pocztowej. Zostawił wiadomość z prośbą, żeby oddzwoniła, niezależnie od pory. Potem rozłączył się i schował telefon. Burczenie w brzuchu przypomniało mu, że tego dnia jeszcze nic nie jadł. Wsiadł z samochodu. Dlaczego wielka kuta brama na podwórzu była zamknięta? Zazwyczaj zostawała na całą noc otwarta. Przeklinając pod nosem, wyszukał klucze i wszedł na dziedziniec. W mieszkaniu rodziców paliło się światło. Przy odrobinie szczęścia miał szansę na znalezienie jedzenia w lodówce matki. Poza tym musiał się dowiedzieć, co się dzieje z ojcem. Bodenstein minął wielki kasztan, przeskoczył trzy stopnie prowadzące do drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że te też były zamknięte na klucz! Nie było przy nich dzwonnka, więc zabębnił pięścią w dębowe drewno. Kilka chwil później otworzył mu ojciec. W szparze ograniczonej łańcuszkiem antywłamaniowym Bodenstein dostrzegł jego przerażoną twarz.

– Ach, to ty! – wymamrotał staruszek, zamknął drzwi, zdjął zabezpieczenie i wpuścił syna do środka.

– Tato, co się dzieje? Dlaczego się tak zabarykadowaliście? – zapytał Oliver, wchodząc do sieni pachnącej pastą do podłogi. Zanim ojciec zamknął drzwi, rozejrzał się podejrzliwie po ciemnym podwórzu. Przekręcił klucz, założył łańcuszek i zasunął pordzewiały skobel, którego nikt dawno nie używał. W półmroku pojawiła się matka. Kie-

dy Oliver zobaczył przerażoną minę kobiety, którą przez całe życie znał jako osobę nieustraszoną i niezłomną, poczuł ogromną złość i współczucie. Dlaczego Ludwig Hirtreiter zrobił im coś takiego? Dlaczego razem z testamentem zrzucił na ich barki tak ciężkie brzemie odpowiedzialności? Przeszedł z nimi do kuchni. Tutaj również boczne wyjście było zamknięte starą zasuwą, a okna zasłonięte okiennicami. Zamiast lampy pod sufitem pomieszczenie rozświetlały dwie świece.

– Co się dzieje? – powtórzył zaniepokojony. W powietrzu unosił się zapach czosnku i octu. Żołądek rozboleł go jeszcze bardziej i nie mógł już wytrzymać bez czegoś do jedzenia.

– Ten człowiek tu był – powiedział ojciec niepewnym głosem.

– Który?

– Ten, który czekał na Ludwiga wtedy pod „Koroną”. Dał mi list. Leonora, masz go?

Matka potaknęła i podała Oliverowi złożoną kartkę. Bodensteinowi trzęsły się ręce, kiedy czytał zapisane na niej słowa.

Zgodnie z zapowiedzią, Enno Rademacher nie zamierzał długo czekać z przedstawieniem oferty. zaproponował ojcu takie same warunki jak wcześniej, czyli trzy miliony euro za kawałek ziemi. Niesamowite.

– Jesteś pewien, że to był ten sam człowiek?

– Bez najmniejszych wątpliwości – potwierdził ojciec i pokiwał głową. – Kiedy dzisiaj się tu pojawił, zaraz go

sobie przypomniałem. Mówi z akcentem.

– Jakim?

– Austriackim. Powiedział, że oferta jest ważna tylko przez jakiś czas i żebym szybko się zdecydował, bo odmowa będzie miała nad wyraz nieprzyjemne konsekwencje.

– Groził ci? – zapytał Bodenstein z niedowierzaniem. Z całych sił starał się zachować spokój.

– Tak.

Ojciec usiadł bezradnie na ławce obok drzwi prowadzących do piwniczki na ziemniaki. Matka przysunęła się do niego i chwyciła go za rękę. W tej sytuacji nie mógł opowiedzieć im o groźbach Rademachera ani namawiać do sprzedaży ziemi. Widok rodziców siedzących jak dwójka przerażonych dzieciaków, które trzymają się za ręce i nie wiedzą, co dalej, do głębi nim wstrząsnął. Potężny grzmot przetoczył się po niebie. Mieli wrażenie, że cały dom się zatrzęsł.

– Oliver, co powinniśmy zrobić? – zapytała matka drżącym głosem. – Co będzie, jeśli każą nas zabić?

Nika czekała na nich w domu i zaczynała się niecierpliwić. W telewizji nie było niczego na tyle ciekawego, by mogła się skupić na oglądaniu, a upał nie polepszał jej stanu. Wyszła na taras, usiadła na jednym z plastikowych krzeseł i wpatrywała się w ciemność ogrodu. Po pewnym czasie pojawił się delikatny wiaterek. Zbliżał się deszcz.

Dirk zamieszkał w jakimś hotelu pięć kilometrów od

niej. Nawet nie przeczuwał, że jest tak blisko. Ogarnęła ją ogromna tęsknota za tym człowiekiem i wypełniła jej ciało niemal fizycznym bólem. Przez chwilę walczyła ze łzami. Zaciśnęła zęby. Nie potrafiła dłużej wytrzymać tej męczarni i ciągłego strachu. Miesiące się przeciągały, a ona zaczynała tracić rozsądek. Zrobiła się strachliwa i przeraźliwie samotna. Od dawna wiedziała, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Nie miała do czego wracać, ale też nic na nią nie czekało. Wystarczyło, by się wychyliła, a znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na dodatek jej czas w tym domu też dobiegł końca. Mark nie wytrzyma i powie Ricky, co widział. A Jannis, od kiedy znał jej nazwisko, nie dawał jej spokoju.

Ciemne niebo przecięła błyskawica. Kilka sekund później rozległ się grzmot. Jednocześnie w przedpokoju zapaliło się światło, a psy wyskoczyły ze swoich legowisk. Nika zerwała się z krzesła i przeszła nerwowo do kuchni. Jannis i Ricky wrócili z odczytu. Stanęli w drzwiach, trzymając się za ręce. Śmiali się radośnie.

– Nika! – wykrzyknęła Ricky z zachwytem. – Powinnaś była to widzieć! Mówię ci, sensacja! Theissen się złamał, kiedy Jannis wstał i przy wszystkich powiedział, co o tym myśli! – Minęła ją i podeszła do lodówki. – Musimy za to wypić!

Nika momentalnie zrozumiała, co się stało. Zmartwiała i przez ułamek sekundy nie mogła się ruszyć. Jannis złamał obietnicę. Spojrzała na niego. Skruszona i jednocześnie kwaśna mina, a potem zakłopotany

uśmiech. Nie musiał niczego mówić.

Zanim wydusiła z siebie jakiegokolwiek słowo, Jannis ulotnił się z kuchni. Ricky niczego nie zauważyła, jak zwykle zresztą. Z szafki wyjęła trzy kieliszki do szampana i zabrała się za odkręcanie koszyczka nad korkiem, nie przestając trąkotać o niesamowitym sukcesie i tryumfie. Nika minęła ją, wyszła na korytarz i szarpnęła za drzwi do toalety. Jannis stał nad sedesem i się załatwiał. Spojrzał przestraszony przez ramię. Po jego minie widać było, że gryzą go wyrzuty sumienia.

– Jak mogłeś? – krzyknęła. Miała gdzieś, co sobie pomyśli Ricky. – Obiecałeś!

– Czy ja mógłbym... – zaczął, ale Nika nie dała mu dokończyć. Chwyciła go za ramię i szarpnęła gwałtownie. Nie spodziewał się, że jest tak silna. Zaklął, bo obracając się, osiusiał sobie spodnie i buty.

– Powiedziałeś mi o mnie, prawda?

W drzwiach kuchni pojawiła się Ricky, z butelką szampana w jednej ręce i papierosem w drugiej.

– Co się tu dzieje? – zapytała i spojrzała na nich podejrzliwie. Jannis był czerwony jak burak, starając się schować penis do rozporka.

– Jak mogłeś mi to zrobić? Przecież mi obiecałeś!

– O Boże, weź się uspokój, co? Przecież nic takiego się nie stało! – warknął mężczyzna, zdenerwowany poniżającą sytuacją, w jakiej się znalazł. – Nie jesteś przecież pepkiem świata!

– A mogę zapytać, o czym wy w ogóle rozmawiacie?

Nika zignorowała jej pytanie. Wpatrywała się w Jannisa i nie wiedziała, co dalej. Wykorzystał swoją wiedzę o niej przy pierwszej lepszej okazji i zrobił to tak cynicznie, że nie potrafiła tego pojąć. Zależało mu jedynie na własnej korzyści i na tym, żeby dopiec wrogowi. Ona nic a nic go nie obchodziła.

– Wiesz co, Jannis? – wyrzuciła z siebie. – Jesteś bezwzględny, egoistycznym skurwysynem! Sprzedałbyś własną matkę, żeby tylko znaleźć się w wiadomościach. Nie masz zielonego pojęcia, co dzisiaj zrobiłeś.

Jannis nie miał dość przyzwoitości, by powiedzieć choćby „przepraszam”.

– Eee, robisz z igły widły. – Machnął lekceważąco ręką.

Upokarzająca świadomość, że znów została okłamana i wykorzystana, otrzeźwiła Nikę i przywróciła jej zdolność logicznego myślenia. Szkoda było na niego każdego słowa. To, co się stało, już się nie odstanie. Odwróciła się i zbiegła do piwnicy.

Stali w świetle ulicznej latarni, kilka metrów od radiowozu z włączonymi kogutami. Nikt go nie zauważył, więc złożył się i pociągnął za spust. Bum! Trafił w dziesiątkę. Czaszka eksplodowała jak dynia, a krew i kawałki mózgu poszybowały w powietrze. W celowniku widział już głowę następnego. Tym razem wycelował nieco niżej. W pierś. Znów pociągnął za spust. Trafiony! Krzyk agonii sprawił, że serce zabiło mu szybciej. Sku-

piony przygryzł koniuszek języka. Rozglądał się nerwowo. Tam! Kolejny! Mark wytarł spocone dłonie w spodnie i strzelił. Pocisk oderwał mężczyźnie całe ramię. Krew trysnęła strumieniem.

Jannis, pomyślał. Jannis, ty chora świni! Dokładnie widział, jak tulił się do Niki, jak ocierał się o nią krocem i jak wciskał jej do ust język. Najpierw pozwalał sobie na takie świństwa z Ricky, a potem zaczął dobierać się do jej przyjaciółki. I co on w ogóle mówił o farmie wiatrowej i stowarzyszeniu! Że ma gdzieś ochronę przyrody, bo zależy mu jedynie na zemście na byłym pracodawcy! Do tego jeszcze jakiś bełkot o spisku obejmującym cały świat. Idiota. Zakłamany dupek! Mark walczył ze łzami i strzelał do wszystkiego, co tylko znalazło się na jego drodze. Ekran komputera ociekał wirtualną krwią.

Gry komputerowe już wiele razy pozwalały mu rozładować agresję, którą w sobie nosił. Dziś mu nic nie dawały. Był wściekły i zdezorientowany. Poza tym niemal nie mógł myśleć przez okropny ból głowy. Czy powinien powiedzieć Ricky o tym, co widział? Może wyrzuciłaby Jannisa z domu? Wtedy ten załgany kłamca musiałby zniknąć z jej życia, a on zająłby jego miejsce. Zamieszkałby u niej. Kochałby ją, już na zawsze, i nigdy by jej nie okłamał ani nie zdradził. Mogliby razem prowadzić sklep, szkołę dla psów i schronisko. W przeciwieństwie do Jannisa, który krył się ze swoją nienawiścią do kotów, Mark kochał wszystkie zwierzaki tak samo jak Ricky.

Zakończył grę. Nie wiedział, co myśleć. Gdyby po-

wiedział Ricky prawdę, wszystko by się zmieniło. Jannis i ona byli jedynymi przyjaciółmi, jakich miał. Z drugiej strony już raz to przeżył i dlatego nie potrafił się obronić przed rozczarowaniem.

„Jesteś moim jedynym przyjacielem. Poza tobą nie mam nikogo na świecie”. To były słowa, które powiedział do Michy. I powiedział prawdę. Wspomnienie ciepłej przynależności, bezpieczeństwa i serdeczności było niczym torbiel pełna bólu, która rosła i rosła, by w końcu pęknąć. Z trudem łapał oddech. Micha nigdy nie tracił cierpliwości i zawsze znajdował dla niego czas. Pracowali razem w ogrodzie, chodzili na spacer, a wieczorami siadywali na kanapie i oglądali telewizję, czytali książki albo po prostu rozmawiali. W weekendy, kiedy pozostali jechali do domów i tylko jego rodzice nie chcieli widzieć syna, Micha brał go do siebie i robił kakao. Mógł u niego nocować, zamiast wracać do swojego pokoju w internacie. Nie opowiadał o tym rodzicom, bo ojciec i tak niczego by nie zrozumiał. Nie wiedział, jak paskudnie może czuć się nastolatek pozostawiony sam w pustym internacie, kiedy wszyscy jechali do rodziców na weekend. Do dzisiaj Mark nie potrafił zrozumieć, dlaczego Micha zniknął wtedy z dnia na dzień. Jak to w ogóle możliwe? Zaraz potem wywołano go z zajęć i poproszono do dyrektorki. Rodzice już tam byli, razem z całą grupą jakichś obcych ludzi, których nigdy wcześniej nie widział. Przeżył szok, kiedy jakaś psycholożka zaczęła zadawać kłopotliwe i krępujące pytania. Stosowała różne sztuczki, żeby zmusić go do

opowiadania historii, które chciała usłyszeć. Podała mu lalkę, a on miał jej pokazywać, w które miejsca dotykał go Micha i co z nim robił. Mark nie powiedział ani słowa. Nic nie rozumiał, ale wiedział, że się boi.

Dopiero wiele miesięcy później przez przypadek zobaczył w telewizji reportaż o sprawie, którą media ochrzciły mianem „skandalu pedofilskiego”. Dowiedział się z niego, że nauczyciel Michael S. powiesił się w swojej celi dwa dni przed rozpoczęciem procesu. Był oskarżony o seksualne wykorzystywanie podległych mu uczniów.

Tego samego dnia wziął jeden z kijów golfowych ojca i wybiegł z domu. Do dzisiaj pamiętał uczucie ulgi, jaką przyniosło mu niszczenie zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów. Mocnymi uderzeniami wybijał szyby i odrywał lusterka. Rozkoszował się brzękiem szkła i wyciem alarmów samochodowych.

Z każdym uderzeniem ucisk w jego piersi i ośpienie stawały się słabsze. Z każdym zamachem kija miał czystsza głowę. W końcu nic go już nie przytłaczało. Znów mógł normalnie myśleć i oddychać. Położył się pośrodku ulicy i patrzył na gwiazdy. W końcu pojawili się gliniarze i podnieśli go z asfaltu.

Przez dłuższy czas wszystko było w porządku, lecz teraz, niespodziewanie, powrócił ucisk w piersi i ból w głowie, jeszcze bardziej przenikliwy niż wcześniej. Nie mógł tego dłużej ignorować. Musiał się tego pozbyć. Za wszelką cenę.

Mark uderzył głową o blat biurka. Potem jeszcze raz i jeszcze. Z nosa ciekła mu krew, czoło spuchło i pękła skóra. Chciał czuć ból. Chciał widzieć krew. Krew! Krew! Krew!

Profesor Dirk Eisenhut chodził nerwowo po apartamencie hotelowym i nie mógł się uspokoić. W planach miał tego wieczoru jeszcze kolację z gośćmi i pracodawcami, i ich małżonkami, lecz był zbyt wzburzony, by w ogóle myśleć o jakichś niezobowiązujących rozmowach przy stole. Nie spojrzał nawet na butelkę szampana w wiaderku z lodem ani na tacę z przysmakami, które przysłała hotelowa kuchnia.

Czyżby po pięciu miesiącach bezowocnych poszukiwań w końcu trafił na ślad Anniki? Nigdy w życiu by nie uwierzył, że w dwudziestym pierwszym wieku, w takim kraju jak Niemcy ktoś mógł tak po prostu zniknąć bez śladu – nie mógłby w to uwierzyć, gdyby sam tego nie doświadczył. Na początku był pewien, że asystentka pojawi się gdzieś po kilku dniach przyczajenia. Wykorzystał różne znajomości i powołał się na swoje wpływy, a te miał bardzo duże. Na własny koszt wynajął renomowane biuro detektywistyczne i zlecił służbom ochraniającym Instytut poszukiwania. Nikt jednak nie trafił na choćby najmniejszy ślad Anniki. Na początku lutego policja wydobyła jej auto ze starorzecza Renu w okolicy Spiry. Nie było jednak żadnych dowodów, że Annika siedziała w środku, kiedy samochód wpadł do wody, ani że się utopiła. I to był

ostatni ślad po niej. Co się z nią działo? Co robiła w Spirze?

Dirk Eisenhut stał przy oknie i spoglądał z wysoka na ciemny park. Na zewnątrz szalała burza, pierwsza tak mocna tej wiosny. Deszcz lał się z nieba strumieniami, jakby rozpoczynał się potop, a potężne drzewa kołysały się chłostane uderzeniami wichury. Wyglądały jak czarne postaci wykonujące jakiś chaotyczny, smutny taniec. Nazwisko jego byłej asystentki znajdowało się na liście osób poszukiwanych w całym kraju, ale nikt nie zgłaszał, że cokolwiek o niej słyszał. Nikt, nawet osoby, którym zależało jedynie na uwadze, choć nie miały niczego do powiedzenia. Powoli zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek jeszcze ją znajdzie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił się gwałtownie, lecz kiedy zobaczył, kto wszedł do środka, musiał ukryć rozczarowanie. W progu stanęli Stefan Theissen i dwóch innych przedsiębiorców z lokalnego klubu. Ich garnitury ociekały deszczem.

– No i? – zapytał spięty. – Dopadliście go?

– Nie, niestety. Bardzo mi przykro. – Theissen uniósł rękę. – Burza... wszyscy zaczęli wychodzić, zaczęło lać i wiać.

– Niech to szlag! – zaklął Eisenhut. Nie panował nad złością. – To nie miało prawa się stać! Po co w ogóle macie ochronę, skoro nie potrafia zatrzymać jednej osoby!

Trzech mężczyzn wymieniło szybkie spojrzenia.

– Dla nas to również bardzo nieprzyjemna sytuacja –

zapewnił jeden z nich przepaszającym tonem. – Nie mamy pojęcia, jak w ogóle doszło do tego, że ten człowiek znalazł się na sali.

– Najprawdopodobniej posłużył się sfalszowaną legitymacją prasową – wyjaśnił drugi. Na co dzień pewni siebie i przebojowi biznesmeni stali teraz jak dzieci rugane przez srogiego nauczyciela i nie wiedzieli, gdzie podziąć wzrok. Uroczysty wieczór, z którym wiąźali wielkie nadzieje, zamienił się na ich oczach w katastrofę.

– Nie musi się pan martwić o tego człowieka. On nie przyszedł dzisiaj z pana powodu. – Theissen starał się uspokoić sytuację i ograniczyć rozmiar porażki, lecz Eisenhut był już na granicy wybuchu.

– Mam to gdzieś! Mam gdzieś, co on tam sobie wykrzyczał! – warknął wściekły. – Nic mnie to nie interesuje! Ja...

Zamilkł, bo wyraz twarzy gospodarza jego wizyty uświadomił mu, jak wielkie *faux pas* popełnił. Oczywiście rozumiał, że zarzuty wytoczone przez nieznanomego mężczyznę były bardzo mocne, a co najgorsze, przedostaną się teraz do prasy. Zrozumiał też, że firma Theissena mogła mieć przez to ogromne nieprzyjemności albo nawet ponieść wymierne straty. Prasa tylko czeka na podobne sytuacje, by się rzucić i drażyć, ile tylko się da.

Nabrał głęboko powietrza.

– Przepraszam. Mam nadzieję, że panowie wybaczą mi mój brak opanowania – powiedział w końcu. – To wszystko wytrąciło mnie z równowagi. Chodzi o to, że

w wypowiedzi tego mężczyzny padło nazwisko mojej wieloletniej, bardzo bliskiej współpracownicy, która kilka miesięcy temu zniknęła bez śladu. Miałem ogromną nadzieję, że ten człowiek będzie wiedział, gdzie mogę ją znaleźć.

W apartamencie hotelu Kempinski zapadła martwa cisza. Słysząc było jedynie szum wiatru za oknami i deszcz siekający o szyby. Stefan Theissen spojrzał na Dirka Eisenhuta, zastanowił się przez chwilę, a potem wyprosił kolegów z pomieszczenia.

– Annika była dla mnie kimś więcej niż tylko współpracownicą – wyjaśnił profesor, kiedy zostali sami. Zmęczony opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. – Przez piętnaście lat była moją asystentką i jedyną osobą, której całkowicie ufałem. My... bardzo poważnie się pokłóciliśmy, a potem ona zniknęła. I wydarzył się ten wypadek z moją żoną. Od tego czasu... od tego czasu usiłuję ją odnaleźć. I nic, żadnego śladu.

Uniósł głowę i spojrzał na Theissena.

– Rozumiem – powiedział biznesmen. – Może jednak będę mógł pomóc. Wiem, kim jest ten mężczyzna.

– Naprawdę? – Eisenhut poderwał się z krzesła jak poparzony.

– Tak – potwierdził Stefan Theissen. – Przez jakiś czas pracował w mojej firmie, był szefem projektantów. Teraz mści się na mnie za zwolnienie. Usiłuje zablokować budowę farmy wiatrowej. Nazywa się Jannis Theodorakis. Wiem nawet, gdzie mieszka.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił do kogoś. Eisenhut nie potrafił wytrzymać w jednym miejscu, więc znów zaczął chodzić tam i z powrotem. Sama myśl, że mógłby niedługo znów zobaczyć Annikę i spojrzeć jej w oczy, wywołała w nim niesamowitą goniącą uczucie. Theissen rozmawiał z kimś ściszym głosem. W pewnym momencie z telefonem przy uchu podszedł do sekretarzyka z orzecha pod ścianą i zapisał coś na hotelowej papeterii.

– To nazwisko i adres jego przyjaciółki. – Podał profesorowi Eisenhutowi kartkę, a ten spojrział na nią, z trudem panując nad nerwami. Niewiele brakowało, a wyrwałby mu ją z dłoni. – Ponoć Theodorakis mieszka w jej domu. Mam nadzieję, że pomogłem.

– Dziękuję. – Naukowiec zmusił się do uśmiechu i położył mu dłoń na ramieniu. – Skoro jest szansa, to grzechem byłoby nie spróbować. Proszę też raz jeszcze przyjąć moje przeprosiny.

– Nie ma o czym mówić. Bardzo bym się cieszył, gdyby się okazało, że rzeczywiście pomogłem.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Eisenhut wyjął komórkę z kieszeni marynarki i wybrał numer z listy kontaktów. Cierpliwie odczekał kilka sygnałów, aż w końcu ktoś odebrał.

– To ja – powiedział krótko. – Chyba ją znalazłem. Musicie natychmiast przyjechać.

Potem podszedł do minibaru, wyjął buteleczkę whisky i wypił ją za jednym zamachem. Wysokoprocentowy

alkohol uspokoił jego nerwy. Odetchnął kilka razy i podszedł do okna, tak blisko, że jego oddech osadzał się parą na szybie.

– Gdzie się schowałaś, ty głupia zdziro? – wymamrotał przez zaciśnięte zęby. Żyła, czuł to każdą komórką ciała. I znajdzie ją. A wtedy nawet Bóg jej nie obroni.

Z ponurymi minami siedzieli dookoła kuchennego stołu. Nikt nic nie mówił. Burza przetoczyła się dalej, ale deszcz nie przestawał łać się z nieba. Bodenstein wstał, otworzył okno i odsunął okiennice. Chłodne wilgotne powietrze owiało mu twarz. Pachniało deszczem i mokrą ziemią. Woda wylewała się strumieniami z rynien i z głośnym pluskiem wpadała do dużego zbiornika na deszczówkę, ustawionego koło kuchennych drzwi.

– Nie możemy czekać, aż ten gnojek zacznie realizować swoje groźby – orzekła Marie-Louise złym głosem. – Od lat wypruwam sobie żyły dla restauracji i nie pozwolę, żeby wszystko się posypało.

Oliver zadzwonił do szwagierki i brata, żeby powiadomić ich, co się dzieje. Przekazał wiadomość o spadku ojca, ofercie WindPro i o groźbach Rademachera. Siedzieli tak od półtorej godziny i wspólnie usiłowali znaleźć optymalne rozwiązanie.

– Nie rozumiem, co ci zależy, tato – odezwał się Quentin, który dotychczas milczał. – Sprzedaj tę łąkę. Nie jest ci potrzebna. Pozbędziesz się kłopotu.

Oliver spojrzał na brata. Quentin był pragmatycznym

człowiekiem. Rozterki moralne były mu obce.

– Nie, to niemożliwe – zaprotestował Heinrich von Bodenstein i potrząsnął głową. Był zmęczony i blady. – Jak mógłbym spojrzeć pozostałym w oczy, gdybym zrobił coś takiego?

Przez ostatnie cztery dni postarzał się o dobrych dziesięć lat. Jego pociągła twarz pokryła się zmarszczkami, a oczy zapadły głębiej w oczodołach.

– Tato! Mam nadzieję, że masz jakiś inny argument! – Quentin potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Nikt nie wahałby się tak długo jak ty, gwarantuję ci to.

– I właśnie dlatego Ludwig zapisał tę łąkę właśnie mi, a nie komukolwiek z pozostałych – stwierdził ojciec. – Właśnie dlatego, że wiedział, że nie zrobię z nią niczego, czego on by sobie nie życzył.

– Szanuję twoje zasady – zauważyła cierpko Marie-Louise – ale nie rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz, żebyśmy to my ponosili konsekwencje. Powinniśmy głosować, bo...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Kobieta przerwała w pół zdania. Wszyscy rozejrzeli się niespokojnie. Zbliżała się północ. Kto to mógł być o takiej porze?

– Zamknęliście bramę na podwórze, kiedy przyjechaliście? – wyszeptała matka. W jej oczach czaił się niekłamany strach.

– Nie – przyznał się Quentin. – Przecież niedługo będziemy jechali, wtedy zamkniemy.

– Ale przecież wyraźnie o to poprosiłam...

– Mamo! Tej bramy nikt nie zamykał od przeszło czterdziestu lat! – przerwał jej Quentin zniecierpliwionym głosem. – Zaczynasz przesadzać. Boisz się, że zobaczysz ducha?

Ponieważ nikt nie kwapił się wyjść do sieni i zobaczyć, kto stoi pod drzwiami, Oliver odsunął krzesło i wstał.

– Bądź ostrożny! – krzyknęła za nim matka.

W korytarzu znalazł włącznik światła na ganku. Po-tem odsunął skobel, zdjął łańcuszek i otworzył zamek. Je-śli gość z włosami spiętymi w koński ogon rzeczywiście miałby okazać się tak bezczelny, żeby nachodzić star-szych ludzi o tej porze, musiał liczyć się z konsekwencjami takiego zachowania. Bodenstein szarp-nął za klamkę i gwałtownie otworzył drzwi. W słabym świetle starej lampki nad wejściem zamiast potężnego mężczyzny stała delikatna kobieta. Przez cały dzień poja-wiała się w jego myślach i kiedy tak nagle zobaczył ją przed sobą, serce zaczęło mu bić jak szalone. Poczł ogromne szczęście.

– Nika! Cóż za niespodzianka! – powiedział. Kiedy jednak zobaczył, w jakim jest stanie, jego radość ustąpiła miejsca trosce. – Co się stało?

Dziewczyna dosłownie ociekała deszczem, włosy le-piły jej się do głowy, a obok jej przemoczonych stóp stała skórzana torba podróżna.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze – wy-szeptała. – Ja... ja... nie mam dokąd pójść. Nikogo tu nie

znam...

Ojciec Bodensteina zaniepokoił się przedłużającą się nieobecnością syna i wyszedł z kuchni.

– Nika! – krzyknął zaskoczony, a potem zadał to samo pytanie, co przed chwilą Oliver. – Co się stało?

– Ja... ja musiałam się wyprowadzić. Nie mogłam zostać u Ricky i Jannisa – wyjaśniła, a jej głos drżał niebezpiecznie. – Przyszłam tu piechotą, bo nie wiedziałam, dokąd mam...

Zamilkła, wzruszyła ramionami i zamrugła, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Heinrich von Bodenstein pomógł jej zdjąć przemoczoną kurtkę, a potem zaprowadził do kuchni. Dziewczyna drżała na całym ciele. Czy była w szoku? Widząc kogoś w takim stanie, matka Olivera odzyskała nagle siły i poczuła się w obowiązku zatroszczyć o gościa. Podniosła się szybko i podała jej krzesło.

– Proszę, siadaj, moje dziecko – powiedziała. – Zaraz przyniosę ci ręcznik i suche ubranie. A potem coś na rozgrzewkę.

Matka, której wyraźnie ulżyło, że nie musi beczynie czekać na mordercę, aż przyjdzie wykonać wyrok, wyszła z kuchni. Bodenstein przyglądał się zmęczonej Annice, która siedziała sztywna i zakłopotana na krześle. Była blada, drżała i przyciskała ręce do tułowia. W jej oczach widać było strach i bezradność. Co takiego się stało? Co skłoniło ją do przedzierania się w ulewnym deszczu przez środek lasu? Dlaczego musiała uciekać od Ric-

ky i Jannisa? Bodenstein przypomniał sobie, jak wczoraj radośnie z nim rozmawiała i jak się śmiała. Trudno mu było uwierzyć, że tamta Nika i ta kupka nieszczęścia siedząca przed nim w kuchni jego rodziców to jedna i ta sama osoba. Ojciec wrócił z kocem, a matka z ręcznikiem i kieliszkiem koniaku, który Nika złapała trzęsącymi się rękoma.

– No dobrze, widzę, że macie się teraz czym zajmować – zauważył Quentin. Poklepał Olivera po ramieniu. – My będziemy już uciekać. Zdaję się na ciebie, bracie. Mam nadzieję, że go przekonasz.

– Zdecydowanie, postaraj się – dodała szwagierka i puściła do niego oko. – Mogłabym wreszcie rozbudować w pałacu skrzydło hotelowe.

Typowe. Prowadzenie interesów było jej drugą naturą. Bodenstein jedynie uniósł brew i nic nie powiedział. Począł, aż brat i szwagierka wyjdą, a później usiadł przy kuchennym stole naprzeciwko Niki. Kobieta wciąż ścisnęła w obu dłoniach kieliszek z alkoholem. Nagle zdrżała, bo owiał ją chłodny powiew z za okna. Świece zamigotały niespokojnie.

– Mam zamknąć okno? – zapytał.

Potrząsnęła głową. Przyjrzał się jej twarzy. Była młoda i wrażliwa. Schlebiało mu, że kiedy poczuła się zagrożona, przyszła właśnie do niego. Ufała mu. Spojrzał, jak przysuwa kieliszek do drżących ust. Wypiła łyczek alkoholu i wykrzywiła twarz. Nie mogła na niczym skupić spojrzenia, lecz on widział, że szok ustępuje – powoli, bo

powoli, ale znika.

– Lepiej już? – zapytał cicho. Jej oczy poszukały jego oczu, a potem nie chciały się odwrócić.

Stojący zegar na korytarzu wybił wpół do pierwszej.

– Czy zechciałaby mi pani opowiedzieć, co się właściwie wydarzyło? – zapytał Bodenstein ze współczuciem w głosie. Najchętniej wstałby teraz i wziął ją w ramiona, by choć tak ją pocieszyć. Nika wciąż jeszcze nie odwracała wzroku. Odsunęła z twarzy mokry kosmyk.

– Jest już bardzo późno – wyszeptała. – Pan... pan musi przecież rano iść do pracy. Przepraszam, że...

Jej troska bardzo go wzruszyła.

– Nie, nigdzie nie muszę iść – zapewnił ją pospiesznie. – Jutro jest sobota. Mamy tyle czasu, ile tylko będzie nam potrzebne.

Zaśmiała się. Pełen wdzięczności uśmiech rozświetlił jej zmęczoną twarz, lecz tylko na chwilę. Mimo że natchmiast zniknął, na jej blade policzki wróciło trochę kolorów. Odsunęła na bok kieliszek, złożyła dłonie i nabrała głęboko powietrza.

– Nazywam się Annika Sommerfeld – powiedziała cichym głosem. – Przez piętnaście lat pracowałam w Niemieckim Instytucie Klimatycznym jako asystentka profesora Dirka Eisenhuta. Profesor Eisenhut chce mnie zabić.

Berlin, sierpień 2008

Kazała taksówkarzowi zatrzymać się przed domem sztuki Tacheles. Wsiadła, stanęła na skraju chodnika i się rozejrzała. Dopiero dochodziła dziewiąta, więc przyjechała trochę za wcześnie. Niezwykłe ruiny z początków dwudziestego wieku przyciągały kawiarniami, pracowniami artystycznymi i klubem muzycznym. Zawsze pełno było tu turystów i gości zafascynowanych sztuką anarchistyczną i tygłem różnych nurtów.

Cieran wybrał doskonałe miejsce na spotkanie, bo w ciepły letni wieczór okolica pomiędzy północną częścią Friedrichstrasse i Oranienburger Strasse, pełna barów, kawiarni i restauracji, zamieniała się w jeden wielki pulsujący klub taneczno-impresowy, czyli w miejsce, w którym Dirk na pewno na nich nie wpadnie.

Turyści i młodzi ludzie w wesołych nastrojach tłoczyli się przed Tacheles. Ktoś wpadł na nią. Odeszła kawatek dalej, zatrzymała się na światłach i w grupie podpitych nastolatków przeszła na drugą stronę ulicy. Z kuchni restauracji unosiły się cudowne zapachy najróżniejszych potraw. Czosnek, ryby, frytki i pieczone mięso. Muzyka, pisk opon, trąbienie i głośne śmiechy. Poczucie zagubienia, które nie chciało jej opuścić od tamtego okropnego wieczoru w Deauville, przybrało na sile, kiedy musiała oglądać świętujących i szczęśliwych ludzi. Uważała, że to los postawił Cierana na jej drodze. To on otworzył jej oczy

i obudził w niej sceptycyzm w stosunku do tego, co robiła. Lecz nie tylko to ją pociągało. Dojrzała w nim szansę, by zemścić się na Dirku za to, co jej uczynił.

– Hej, Annika! – Głos Cierana sprowadził ją z powrotem na ziemię. Pocałował ją delikatnie w policzek.

– Cześć, Cieran. – Była tak bardzo pogrążona w myślach, że nie zauważyła, jak się zbliża. Teraz odniosła wrażenie, że jest zdenerwowany. Zatroškany. Wyczerpany. Zestresowany. Zniknął młodzieńczy uśmiech, który wygładzał pierwsze zmarszczki na jego twarzy. Schudł też trochę od ich ostatniego spotkania. Wyraźnie nie wszystko układało się po jego myśli.

– Dokąd pójdziemy? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Myślałam, że orientujesz się tutaj znacznie lepiej niż ja – odparła. – Miałabym ochotę czegoś się napić. Jakiś koktajl?

Uniósł brwi.

– A nie wolalabyś czerwonego wina? No tak, rozumiesz... – Uśmiechnął się nagle. Trwało to tylko chwilę, bo błyskawicznie znów spoważniał. – W takim razie chodźmy do baru „Bellini”. Tam można przynajmniej usiąść na zewnątrz.

Objął ją ramieniem, a ona dopasowała krok do jego kroku i przynajmniej przez chwilę przypominali parę, jakich w okolicach krążyło mnóstwo. Dirk nigdy nie objął jej przy innych. Z drugiej strony, dlaczego miałby to robić? Przecież nigdy jej nie kochał. Annika walczyła ze zgorzknieniem i rozczarowaniem, które jej teraz nie

opuszczały. Spróbowała skoncentrować się na tu i teraz, i na Cieranie. Znaleźli dwa wolne miejsca, Cieran zamówił dwa caipirinhas i piwo dla siebie. Poczekał, aż napoje znajdą się na stole, a potem nachylił się w jej stronę i zaczął opowiadać. Słuchała go z rosnącym niedowierzaniem. Nie przerywała. Jej nienawiść i złość na Dirka Eisenhuta z każdą sekundą przybierały na sile. Była tak pochłonięta tym, o czym mówił Cieran, że nie zauważyła mężczyzny z aparatem fotograficznym.

Sobota 16 maja 2009

Nika zniknęła! Wzięła i po prostu zwiąła! Co za głupia i nieodpowiedzialna krowa!

Jannis otworzył oczy. Oślepiło go światło słoneczne. Ricky stała nad nim niczym Furia i wymachiwała jakąś karteczką.

– Co się dzieje? – wymamrotał zaspany.

– Nie ma jej, rozumiesz? Nie ma. Nika zwiąła. Wzięła, spakowała swoje rzeczy i zostawiła mnie ze wszystkim samą. Słowa nie powiedziała. Znalazłam tylko tę karteczkę na stole w kuchni. – Ricky nie posiadała się ze złości. – A przecież wiedziała, że Frauke nie pojawia się w pracy. Jak ja niby mam sama dać sobie radę ze sklepem?

Jannis potrzebował kilku sekund, żeby otrzeźwieć ze snu i zrozumieć, co się wydarzyło. W końcu dotarło do niego, że Nika wyprowadziła się w nocy z ich domu.

– Powinnaś się cieszyć, że nie siedzi nam na głowie – mruknął.

– Nie mogę się cieszyć! – zaprotestowała Ricky. – Przecież zostałam całkowicie sama ze sklepem i wszystkim tutaj! Gdzie ja znajdę szybko jakieś zastępstwo? Ty mi nie pomożesz, prawda?

Wybiegła z pokoju. Jannis ziewnął szeroko i potarł oczy. Wczoraj wieczorem miał duże problemy, żeby uspokoić Ricky. Po scenie, którą zrobiła mu Nika, jego dziewczyna stała się bardzo podejrzliwa i koniecznie

chciała wiedzieć, co takiego jej obiecał. W końcu udało mu się wymyślić jakąś historyjkę, którą mogła zaakceptować. Jednak sytuacja była naprawdę niebezpieczna, i to nie tylko przez Marka. Jannis przeczytał liścik od Niki, który Ricky rzuciła na jego łóżko: „Kochana Ricky, niestety, muszę uciekać. Dzięki za pomoc i za to, że mogłam u Ciebie mieszkać. Może później będę mogła Ci wszystko wyjaśnić. Uważaj na siebie, Twoja Nika”.

Odsunął kołdrę i zwlekł się z łóżka. Tak jak stał, w bokserkach i koszulce z krótkim rękawkiem, poszedł sprawdzić skrzynkę na listy, w której czekała na niego prasa. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś wzmiankę o tym, co się wydarzyło wczoraj na odczycie Eisenhuta. Położył gazetę „Taunuszeitung” na stole w kuchni, nalał sobie kawy i usiadł. Drzwi na taras były otwarte na całą szerokość. Ricky karmiła w ogrodzie swoje zwierzaki. Psy siedziały na rozgrzanych już deskach tarasu i przyglądały się jej z zainteresowaniem. Pospieszenie przerzucił nieważne strony i sprawdził wiadomości lokalne.

To była jego wina, że Nika zdecydowała się uciec. Był tego pewien. Poprosiła go, żeby trzymał jej nazwisko w tajemnicy. Mimo wszystko zdecydował się powiedzieć o niej, bo był przekonany, że dziewczyna przesadza. Jednak chyba w jej obawach było ziarno prawdy, bo kiedy wypowiedział jej nazwisko, najbardziej prominentny badacz klimatu i wyrocznia wszystkich ekologów zmienił się na chwilę w słup soli. Tak na niego podziałał dźwięk jej nazwiska. Na dodatek udało mu się wyprowadzić

z równowagi Theissena, i to na oczach dwóch setek gości i przedstawicieli prasy.

Jannis uśmiechnął się zachwycony sobą. Przerzucił stronę i aż zadrżał z radości, widząc zdjęcie Eisenhuta, Theissena i jeszcze dwóch mężczyzn. Podniecony zaczął szybko czytać, ale z linijki na linijkę rosło jego rozczarowanie. Te żalosne pismaki nawet nie wspomniały o jego pytaniu i o zachowaniu Theissena! Nic! Ani literki! Niech ich wszystkich szlag! Czyżby kolejne grupy zawodowe dały się skorumpować szefowi WindPro i jego nadzianym kolegom? Przecież to, czego wczoraj dokonał, przyćmiło cały wieczór! Wszyscy powinni o tym pisać! Do kuchni wróciła Ricky.

– Patrz, nasza gazeta ani słowem o mnie nie wspomniała – poskarżył się. – To jest przecież jakaś kpina! Zadzwońię do redakcji i zapytam, czy Theissen maczał w tym palce!

– Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak mało mnie to obchodzi! – odparła zdenerwowana Ricky. – Frauke zniknęła i nawet policja nie może jej znaleźć, a teraz jeszcze Nika wyjechała i zostałam sama. Nie mam pojęcia, jak sobie dam radę z tą całą robotą, a tobie tylko ta idiotyczna zemsta w głowie.

Hałasując, wstawiła brudne psie miski do zmywarki.

– Pomożesz mi dzisiaj w sklepie? – zapytała. – Bo jak nie, to nie mam po co otwierać.

– To nie otwieraj – mruknął Jannis i wstał od stołu.

Nie interesowały go jej problemy. Być może

w „Rundschau” albo w „FAZ” napisali o jego wczorajszym wystąpieniu? W soboty kiosk przy Wiesbadener Strasse otwierali o dziewiątej, czyli miał jeszcze dobre półtorej godziny. Poza tym domyślał się, gdzie się ukryła Nika. Musiał ją szybko znaleźć i przekonać, żeby wróciła i mu pomogła. Ta dziewczyna okazała się jego najlepszą bronią w starciu z Theissenem. Wczoraj się o tym przekonał. Następnym razem nie będzie polegał na skorumpowanej prasie. Mowy nie ma.

Jak tylko kupi gazety, zabierze się do publikowania w Internecie sfałszowanych ekspertyz – posługując się nazwiskiem Niki. Wiedział już, co robić, żeby zmowa Theissena i Eisenhuta zmieniła się w ogólnokrajowy skandal, który wśród ekspertów od klimatu rozejdzie się niczym pożar po stepie.

Przez całą noc rozmawiali. Historia, którą mu opowiedziała, brzmiała niewiarygodnie. Ujawnienie jej prawdziwej tożsamości było dla niego szokiem, ale miała dowody, w które nie wątpił. Teraz Bodenstein łamał sobie głowę, jak mógłby jej pomóc i czy w ogóle powinien się w to pakować. W posiadaniu dziewczyny znajdowały się dokumenty, przez które już troje ludzi straciło życie. Co by się stało, gdyby ktoś się dowiedział, że Annika Sommerfeld znalazła schronienie w domu szefa K11 w Hofheim? Ta sprawa go przerastała. To nie była jego liga. Tutaj chodziło o znacznie więcej niż nawet krajową politykę klimatyczną, przekupstwa i mataczenie: chodziło

o coś śmiertelnie niebezpiecznego. Ludzie zaangażowani w tę sprawę parli naprzód po trupach. Jednak Annika była niewinna. Annika znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i przez to właśnie musiała teraz drżeć o swoje życie. Znalazła się pomiędzy walczącymi stronami i nie mogła być bezpieczna, dopóki dysponowała wykradzionymi dokumentami.

– Przecież mogłabyś po prostu oddać je Eisenhutowi – zaproponował Bodenstein po kilku chwilach ciszy. – Nie miałby wtedy powodu, żeby dalej cię ścigać.

– Niestety, to nie jest aż takie proste. Cieran zdeponował je w skrytce bankowej w Szwajcarii. Mam co prawda klucz i upoważnienie, żeby ją otworzyć, ale nie mogę pojechać do Szwajcarii.

– Dlaczego nie?

– Bo kiedy wyjeżdżałam z Berlina, zostawiłam wszystko, co posiadałam. W tym mój paszport i inne dokumenty. – Westchnęła. – Czasem mam wrażenie, że to wszystko to jakieś wielkie nieporozumienie albo straszny sen. Całe moje życie zostało wymazane.

Jej bezradność i rozpacz sprawiały mu ból.

– Myślałam już o tym, żeby oddać się w ręce policji – ciągnęła dziewczyna. – Opowiedziałabym wszystko, co wiem. Przecież ktoś musiałby mi w końcu uwierzyć!

Tak, pomyślał policjant w głowie Bodensteina. Idź na policję. Jesteś przecież niewinna. Dzięki temu wszyscy poznają prawdę. Lecz bez wahania przekreślił wszystko, co skłoniło go przed laty zaraz po studiach prawniczych,

by pójść do policji.

– Obawiam się, że to nie będzie tak – odparł poważnie. – Jeśli Eisenhut rzeczywiście ma dobre doświadczenia do Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji i jeśli rzeczywiście posunął się do tego, że zlecił morderstwo tego dziennikarza, to wykręcą kota ogonem i z samego faktu, że dokumenty znalazły się w twoim posiadaniu, zrobią ci zarzut, że miałaś motyw. Jeśli teraz się ujawnisz, nie masz żadnych szans.

Siedzieli przy stole w niewielkiej kuchni mieszkania nad powozownią. Bliskość, jaka zrodziła się między nimi tej nocy, zmieniła się wraz z nastaniem dnia w zakłopotanie. Annika była wykończona, lecz z jej oczu zniknęło przerażenie. Uśmiechała się nawet nieśmiało.

– Czyli co, radzisz mi, żebym dalej się ukrywała?

– Przynajmniej na razie – odparł.

Nieco po tym, jak pojawiła się w drzwiach mieszkania rodziców, Bodenstein zaproponował jej, by przenieśli się do niego. Na szczęście nie zrozumiała opacznie jego propozycji i nie dopatrywała się w niej niewłaściwych podtekstów. Skinęła jedynie głową i podążyła za nim przez podwórze w stronę mieszkania, które leżało kawałek dalej. Z kuchennego okna miał widok na cały front gospodarstwa. Jeden z pracowników stajennych prowadził konie na wybieg. Zwierzęta stukotały podkowami po asfalcie, który jeszcze nie wysechł po wczorajszej burzy. Niebo miało nieskazitelną błękitną barwę, a dzień zapowiadał się piękny i słoneczny.

– Co w takim razie powinnam zrobić? – Annika westchnęła ciężko. – Nie mogę wciągać cię w tę sprawę.

– Już to zrobiłaś, opowiadając mi swoją historię. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Spojrzeni sobie w oczy. Doktor Annika Sommerfeld. Tak nazywała się naprawdę. Nie była żadną sprzątaczką ani ekspedientką w sklepie zoologicznym, tylko szanowanym i wybitnym naukowcem. I miała poważne kłopoty. Czy popełniał błąd, chcąc wierzyć w jej szaloną historię? I jak miałby jej pomóc? Czy jego sympatia do niej wpływała na obiektywizm działań, jakie planował? A jeśli Annika okazałaby się zręczną manipulatką i hochsztaplerką, która bez skrupułów go wykorzystuje? Jednak czy da się w ogóle tak dobrze markować strach i zwątpienie?

– Cały czas nie mogę uwierzyć, że byłam aż tak naiwna – powiedziała dziewczyna. – Wszystko, czego chciałam od życia, to możliwość prowadzenia badań. Dirk dał mi nieograniczone możliwości. Nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że jest zdolny do takich rzeczy.

– Ufałaś mu – odparł Bodenstein. – I kochałaś go.

– Tak, rzeczywiście tak było. – Jej głos zabrzmiał bardzo gorzko. – Przez te wszystkie lata odwalałam czarną robotę, a on spijał śmietankę. Ta jego najnowsza książka to... to właściwie moja habilitacja.

Spojrzała na niego, a Bodenstein w jej oczach zobaczył krzywdę. Przestraszył się.

– Nie mam przed sobą przyszłości – powiedziała roz-

paczliwie. – Ukradł mi wszystko. Zniszczył mi życie. Zdyskredytował mnie. Właściwie to bez znaczenia, co się teraz stanie.

– Nie możesz tak mówić ani myśleć! – Bodenstein chwycił ją za rękę i przytrzymał mocno. – Zawsze jest jakieś wyjście. I znajdziemy je, zobaczysz.

– Nie, Oliverze. Ty nie powinieneś się w to mieszać. To nie jest twoja sprawa, żebyś o nią walczył. Wczoraj wieczorem nie powinnam była tu w ogóle przychodzić.

Przez całą noc nie płakała, lecz teraz z trudem powstrzymywała łzy.

– Popełniłam błąd – wyszeptała. – Ogromny błąd. I przyjdzie mi za niego zapłacić.

Opuściła głowę i zaczęła szlochać. Bodenstein nie mógł oderwać od niej wzroku. Jego serce zalała fala czułości. Zrobiło mu się gorąco. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego podjął taką decyzję, ale odważył się zaryzykować i trwał uczepiony kruchej gałązki zaufania. Porwał się na szalony marsz po linie bez żadnego zabezpieczenia.

– Anniko, nie jesteś sama. Pomogę ci – zapewnił ją. Bodenstein zdecydował się raz w życiu zrobić coś nieracjonalnego i spontanicznego. Dlatego, że się zakochał.

Jannis poczekał, aż Ricky wyjdzie z domu. Była tak wściekła, że zdążyła się z nim jeszcze pokłócić i zwymyślać go. Zarzuciła mu, że jest skończonym egoistą. No cóż. Ubrał się szybko, do kieszeni wsunął telefon komórkowy i portfel, a potem wyprowadził z garażu swój

rower. Miał jeszcze trochę czasu do otwarcia kiosku, więc chciał szybko popedałować przez las do posiadłości Bodensteinów. Pamiętał doskonale, jak Nika siedziała w samochodzie tego gliniarza, syna Heinricha, i jak dobrze się bawiła, rozmawiając z nim wtedy. Był gotów się założyć, że właśnie u niego znalazła schronienie.

Musi ją jakoś przekonać, żeby wróciła. Przynajmniej na kilka dni. Przeprosi ją, będzie błagał o wybaczenie, a w razie czego posypie głowę popiołem i przyzna się do błędu. Kobiety lubią takie akcje.

Jannis był tak bardzo pogrążony w myślach, że nie zauważył białego vana, który stał przy krawężniku dwa domy dalej i ruszył, kiedy tylko go minął. Powietrze było chłodne i przejrzyste, bo burza je oczyściła i przegnała duchotę. Cudowna pogoda na małą wycieczkę rowerową, albo na spacer z Niką. Jeśli w gazetach nie znajdzie niczego o wczorajszym zamieszaniu, Nika nie będzie miała powodu, żeby się na niego gniewać. Zdecydowanie przesadzała z tą całą tajemniczością i teorią spiskową.

Jannis nadepnął mocniej na pedały i minął zakręt. Droga opadała stromo w stronę lasu. Zaczął gwałtownie przyspieszać, a wiatr sprawiał, że łzawiły mu oczy. Przez chwilę widział za sobą jakieś auto. Było coraz bliżej, ale zamiast wyprzedzać, trzymało się prawej strony drogi. Idiota, pomyślał. Miał dość miejsca, więc po co jechał tak blisko?

Jannis odwrócił się na siodełku i przestraszył się, widząc zderzak furgonetki tuż obok swojej nogi. Nagle po-

czuł mocne pchnięcie. Odruchowo skrzył w prawo, przednie koło wpadło na krawężnik i podskoczyło. Z impetem wyrznął w asfalt. Okulary poleciały gdzieś dalej, a on wylądował najpierw prawym ramieniem, a potem głową na krawężniku. Dłonią i łokciem szorował po chropowatej nawierzchni, a kierownica wbiła mu się boleśnie w udo. Na moment zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Jego rower przesunął się jeszcze kawałek w dół drogi, w potem utknął pod zaparkowanym samochodem.

Furgonetka zatrzymała się, cofnęła kawałek i ruszyła prosto na niego! Cholera! Czy ten idiota naprawdę nie widział go na ziemi? Jannis spróbował uciec z ulicy na pobocze. Ogarnęła go panika; chciał wzywać pomocy, ale był jak sparalizowany. Z niedowierzaniem patrzył na tylne koło samochodu przetaczające się po jego nodze. Rozległ się trzask, od którego zebrało mu się na mdłości. Jannis nie czuł na razie bólu, tylko przerażenie i odrazę.

Nagle dostrzegł przed sobą dwóch mężczyzn. Obaj mieli ciemne spodnie i błyszczące czarne buty.

– Pomocy! – wychrypiał z trudem. – Pomocy!

Jednak oni zamiast mu pomóc, podeszli bliżej, po czym jeden złapał go dłońmi w rękawiczkach za szyję i zaczął dusić, przyciskając do wilgotnego asfaltu. Bez okularów Jannis widział tylko niewyraźny zarys ich sylwetek. Obaj mieli ciemne okulary.

– Gdzie jest Annika Sommerfeld? – warknął jeden z napastników. – Gadaj! Gdzie ona jest! Czy mamy ci przejechać po drugiej nodze?

– Ja... ja... nie mam pojęcia, gdzie jest! – wyszlochął Jannis. Miał wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą mu z orbit. To nie był wypadek! Nika nie przesadzała – ludzie, którzy ją ścigali, byli rzeczywiście śmiertelnie niebezpieczni.

– Pu... uu... puśćcie mnie... duszę... się...

Bezlitosny ucisk na jego gardle przybrał na sile. Bez ostrzeżenia dostał pięścią w twarz. Po raz drugi w ciągu kilku dni dostał potężny cios w to samo miejsce. Z uszkodzonego już poprzednio nosa popłynęła krew. Poczował strach tak prymitywny i pierwotny, jakiego nie czuł nigdy wcześniej. Ci ludzie z zimną krwią zrzucili go z roweru i przejechali mu po nodze. Był pewien, że nie zostało mu już wiele czasu.

– Zła odpowiedź. Liczyliśmy na inną. Masz jeszcze jedną szansę. Gdzie ona jest?

– Ja... nie... wiem... – wymamrotał ogarnięty paniką. – Nie zabijajcie mnie! Nie wiem, gdzie jest!

Kolejne uderzenie połamało mu zęby. Nie mógł się nawet zasłonić przed ciosem. Był zdany na łaskę napastników, a strach sprawił, że w głowie miał pustkę.

– Pozdrowienia od profesora Eisenhuta. Do zobaczenia. Pamiętaj o tym – syknął jeden z mężczyzn i na odchodnym kopnął go w żebra. Potem zniknął z jego pola widzenia. Trzasnęły drzwi. Zagrożenie minęło. Z wysiłkiem przeturlał się na stronę, uniósł dłoń do gardła i zaniósł się kaszlem. Krztusił się i próbował oddychać. Gdzie były jego okulary? I telefon? Pełził na brzuchu przed siebie. Usłyszał ryk silnika. Z przerażeniem do-

strzegł zbliżający się zderzak samochodu i ostatek sił przetoczył się na bok.

Pia krążyła niespokojnie po parkingu przed siedzibą policji w Hofheim, przyciskając do ucha telefon komórkowy. Pół godziny wcześniej zadzwoniła do niej Nicola Engel i tą jedną krótką rozmową zepsuła jej cały dzień.

Myła wtedy głowę. Z przerażeniem patrzyła, jak sitko w odpływie wypełnia się włosami. Kiedy je oczyszczała, do łazienki wszedł Christoph i podał jej telefon. Mając jeszcze przed oczyma wyobrażenie siebie wyłysiałej z nerwów, musiała przyjąć falę wściekłości tryskającą z każdego słowa wykrzychanego przez Nicolę Engel. Okazało się, że Bodenstein nie stawił się u niej w biurze ani nie dał znać, co się z nim dzieje. Zupełnie jakby to ona miała być odpowiedzialna za szefa, że wyłącza sobie komórkę i robi, co chce. Od tego momentu Pia była chodzącą bombą.

Bodenstein rzeczywiście nie odbierał telefonu. Wczoraj wieczorem zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej, że ma zadzwonić, niezależnie od pory, ale kiedy wybrała jego numer, oczywiście nie odbierał. Co się z nim działo? Nawet w czasie usprawiedliwionej depresji i załamania po tym, jak odkrył romans Cosimy, nie zachowywał się aż tak dziwacznie.

Pia miała wrażenie, że została sama. Po wczorajszej odprawie wszyscy współpracownicy K11 zebrali swoje rzeczy i ruszyli na weekend. A ona? Ona pojechała jesz-

cze do WindPro. Przekonanie Bodensteina, że oboje mi-
nęli się z mężczyzną z kucykiem właśnie pod ich biurow-
cem, nie dawała jej spokoju.

Na parkingu pod budynkiem Pia spotkała szefa działu
personalnego, który kończył właśnie pracę, ale bez opo-
rów wyjaśnił jej wszystkie wątpliwości. Bodenstein miał
rację. Mężczyzna, który dokładnie pasował do opisu po-
szukiwanego, pracował akurat dla firmy WindPro. Nazy-
wał się Ralph Glöckner i nie był żadnym płatnym zabójcą,
tylko szefem projektantów farmy wiatrowej w górach
Taunus. W czasie pełnienia obowiązków przy tej inwesty-
cji mieszkał w hotelu Pod Złotym Lwem w Kelkheim. Pia
natychmiast udała się we wskazane miejsce, jednak oka-
zało się, że Glöckner dwie godziny wcześniej wymeldo-
wał się na weekend i zapowiedział powrót na poniedziałek
wieczorem. Od właściciela hotelu Pia dowiedziała się jed-
nak czegoś bardzo interesującego. Otóż we wtorek wie-
czorem Glöckner z drugim mężczyzną zasiadł do kolacji
w hotelowej restauracji. O wpół do dziewiątej obaj wsie-
dli do samochodu Glöcknera i gdzieś pojechali, a wrócili
dopiero po północy. Opis drugiego mężczyzny był bardzo
nieprecyzyjny, jednak gospodarz pamiętał dokładnie, że
w czasie krótkiej kolacji nieznajomy trzy razy wychodził
na papierosa. Doktor Enno Rademacher kopcił jak komin.
Czy to oznaczało, że w noc morderstwa to on jeździł
gdzieś z Glöcknerem?

Ileż Pia dałaby za to, żeby móc omówić to wszystko
z Bodensteinem! Nie była pewna, czy powinna zadzwonić

do Theissena i zdobyć numer do Glöcknera, czy lepiej byłoby dodać go do listy osób obserwowanych, żeby zbyt wcześnie go nie ostrzec? Na razie nie trafili również na ani jeden ślad po Frauke Hirtreiter. Tymczasem przed kilkoma minutami dotarła do niej wiadomość z laboratorium, że Ludwig Hirtreiter zginął zastrzelony z broni znalezionej w mieszkaniu córki, do którego ona i Kröger weszli w piątek wieczorem.

Do tego wszystkiego dochodził kolejny zwrot w sprawie Theodorakisa. Jego alibi na wtorkową noc posypało się jak domek z kart, bo przy dokładniejszej weryfikacji okazało się, że u rodziców pojawił się dwie godziny później, niż powiedział. W ten sposób znów podskoczył o kilka oczek na liście najbardziej podejrzanych.

Adwokat Gregora Hirtreitera dobrze reprezentował swojego klienta. W świetle jego argumentów Pia musiała przyznać, że nie ma dość dowodów, by dalej trzymać go w areszcie i w ten sposób syn zamordowanego dwadzieścia minut wcześniej wyszedł na wolność. W tym momencie pojawiła się radczyni doktor Nicola Engel w towarzystwie trzech mężczyzn w garniturach. Kobieta miała potwornie zły humor.

– Gdzie jest Bodenstein? – warknęła bez powitania.

Pia miała już na końcu języka odpowiedź w podobnym tonie, bo przecież nie była niańką swojego szefa. Na szczęście w ostatnim momencie zacisnęła zęby i powstrzymała się przed zrobieniem czegoś nierozsądnego. Kiedy już rozważała, czy nie posłać radiowozu do

domu jego rodziców, na parking wjechał poszukiwany we własnej osobie. Pia podeszła do jego samochodu.

– Gdzie ty się podziewasz, co? – zapytała, ledwie otworzył drzwi. Wiedziała, że nienawidzi takich powitań, ale tego poranka nic jej to nie obchodziło. – Dlaczego masz wyłączoną komórkę?

– Dzień dobry – odparł Bodenstein i wygramolił się z ciasnego opla. – Bateria mi padła. A co się dzieje?

Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał, jakby całą noc nie spał, lecz tym razem nie zamierzała się powtarzać. Unikanie odpowiedzi na postawione wprost pytanie bardzo mocno ją zraniło. Nie chciała przeżywać tego ponownie. Jeśli wtedy nie potrafił jej zaufać, to jego sprawa.

– Co się dzieje? Tu jest jak w strefie wojny! Engel czeka na ciebie z jakimiś trzema facetami. Koniecznie chcą z tobą rozmawiać.

– Doprawdy? A o czym?

– Skąd mam wiedzieć? Ale na twoim miejscu wolałabym nie wystawiać ich cierpliwości na próbę.

Razem weszli do budynku. W drodze na piętro Pia usiłowała powiedzieć mu o wszystkich nowościach w śledztwie, lecz szef zdawał się błędzić myślami gdzieś indziej.

– Oliver! – Pia zatrzymała się na schodach i złapała go za ramię. – Posłuchaj uważnie! Mamy broń, z której został zabity Hirtreiter! Rademacher wprowadził nas w błąd! Theodorakis nie ma jednak alibi! Mamy roboty po szyję, a ty nawet nie udajesz, że mnie słuchasz! Co masz

zamiar z tym wszystkim zrobić?

Bodenstein odwrócił się w jej stronę. Miał kamienną twarz, która nie zdradzała żadnych emocji, jednak nie potrafił zapanować nad oczyma, w których dało się zobaczyć, co się z nim naprawdę dzieje. Był jednocześnie zagubiony, przestraszony i wymęczony. Pia nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Zadrżała i puściła go.

– Pia, bardzo mi przykro. Naprawdę. – Odetchnął głęboko i przecesał palcami włosy. – Wszystko ci wyjaśnię, bo jest bardzo wiele...

Drzwi do gabinetu doktor Engel otworzyły się gwałtownie i na korytarz wyszła radczyni z miną furiatki i złymi błyskami w oczach.

– Czyś ty kompletnie stracił rozum? Odbiło ci? Co ty sobie wyobrażasz, żeby nie odbierać telefonów ode mnie? – zaatakowała Bodensteina. – Od przeszło godziny czekam tu na ciebie z...

W tej chwili zauważyła Pię, która stała dwa stopnie niżej, nieco zasłonięta przez szefa. Przerwała w pół słowa, odwróciła się gwałtownie i zniknęła w gabinecie. Bodenstein bez słowa ruszył za nią. Kiedy wszedł do środka, wychyliła się, złapała klamkę i zatrzęsnęła głośno drzwiami. Huk, który przetoczył się pustymi korytarzami, przypominał wystrzał z pistoletu.

Na co dzień jej szef i jego przełożona zwracali się do siebie per pani i pan, lecz Pia, jako jedyna osoba z całego komisariatu wiedziała, że te oficjalne formy były tylko przedstawieniem dla pozostałych. Bodenstein i Engel,

kiedy byli młodszy, przez jakiś czas byli parą, aż na horyzoncie pojawiła się Cosima, odbiła chłopaka i w rok zaciągnęła go przed ołtarz. Na dodatek Pia podejrzewała, że zeszłej zimy, krótko po tym, jak cudowne z pozoru małżeństwo szefa legło w gruzach z powodu zdrady żony, spędzili ze sobą przynajmniej jedną noc. Oczywiście nie miała żadnych dowodów, że tak naprawdę było, a Bodenstein wolałby sobie odgryźć język, niż opowiedzieć o tym Pii, jednak zauważyła, że pewnego dnia ich sposób odnoszenia się do siebie zmienił się diametralnie.

Pia pokonała pozostałe trzy stopnie, skręciła w korytarz w lewo, który prowadził do biur K11, i potrząsnęła mocno głową. Jeszcze przed paroma dniami była przekonana, że dobrze zna swojego szefa. Dziś nie była już tego taka pewna.

Jego oczy pulsowały przenikliwym bólem. Nie takim, żeby nie potrafił go znieść, ale wystarczająco silnym, żeby zdawał sobie sprawę, że nic nie jest w porządku. Nienawisć do Niki ścisnęła mu trzewia. To ona wszystko zepsuła! Wszystko! Wszystko! Wszystko! Od kiedy się pojawiła, nic nie było takie jak dawniej. Ona wcisnęła się między Ricky i Jannisa i zaczęła niszczyć ich związek, rozsądzać go od środka. A przecież Ricky była jej najlepszą przyjaciółką! Zaprosiła ją do swojego domu! Ta dziewczyna była bardziej podstępna, niż ktokolwiek by się spodziewał. Niby taka nieśmiała, niewinna i zahukana, a w rzeczywistości od początku knuła intrygi. A Jannis

okazał się słabeuszem. Kłamcą, który go przez cały czas wykorzystywał. Nienawidził go równie mocno jak Niki.

Mark wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Duży siniak zaczynał się na lewej skroni, obejmował całe oko i ciągnął się do zuchwy. Na rozciętym łuku brwiowym zrobił się gruby strupek. Tak długo drapał go paznokciami, że znów pociekła krew. Wąski strumyczek. Zbyt mało, by uciszyć jego ból.

Czuł, że musi opowiedzieć Ricky o wszystkim, co wiedział. Musiał jej powiedzieć, co słyszał i co widział. Jako przyjaciel miał taki obowiązek. Jeśli tego nie zrobi, postawi się w roli współsprawcy. Ricky powinna w końcu zrozumieć, że przyjęła pod swój dach fałszywą żmiję Nikę i że Jannis nie był dla niej dość dobry. Pewnie ta dwójka spała już ze sobą. A jeśli nie, to gdyby wczoraj nie pojawił się w porę, na pewno by się nie powstrzymywali. Widział, jaki był na nią napalony. A Ricky musiała błagać go na kolanach, żeby on ją...

Mark wykrzywił twarz, bo w jego głowie pojawiły się niechciane wspomnienia. Niezależnie od tego, co robił, wspomnienia płynęły przed jego oczyma. Nie mógł ich zatrzymać. Nie mógł ich nie widzieć. Co gorsza, nie wiedział, kogo nienawidzi najbardziej – Niki, Jannisa czy siebie samego. Niepewność i zawroty głowy przyprawiały go o mdłości.

Nie chciał tego wszystkiego. Nie chciał, żeby Ricky go podniecała, nie chciał bezustannie myśleć o jej ciele, o czerwonym biustonoszu i o jej twarzy wykrzywionej

ekstazą, kiedy Jannis ją posuwał na tarasie.

Pragnął jedynie, żeby wszystko było tak jak dawniej. Tak pięknie, przyjacielsko i niewinnie! Chciał mieć w niej przyjaciela i kompana, a zamiast tego męczyły go nieczyste i nieprzyzwoite myśli, których się brzydził. Jedynym, co choć na jakiś czas mogło je odegnać, był ostry ból. I czerwona, świeża krew.

Mark przeszukał szuflady pod umywalką. Szukał żyłek, których jego siostra używała do golenia nóg. Z ich pomocą mógłby pogłębić ranę na głowie i znów poczuć ból, którego tak łaknął, bo przypominał mu o Misze. Wtedy też strasznie bolało, ba, często przy tym płakał, ale Micha zawsze go potem pocieszał, głaskał i robił ciepłe kakao. Było cudownie, dzięki czemu szybko zapominał o bólu.

Ktoś zapukał do drzwi łazienki. Mark drgnął przestraszony i w ostatniej chwili schował żyłkę między palcami, bo matka, nie czekając na zaproszenie, wmaszerowała do środka.

– O Boże! Mark! Co się stało? – krzyknęła przerażona widokiem jego zmaltretowanej twarzy i świeżej krwi na policzku.

– Poślizgnąłem się pod prysznicem i przewróciłem. Ale nie jest tak źle. – Tym razem kłamstwa przyszły mu bez wysiłku. – Nie mogę znaleźć plastrów.

– Usiądź. – Matka wskazała na zamknięty sedes. Posłuchał jej. Zaczęła szukać w szafce za lustrem, aż w końcu znalazła.

– Znowu masz bóle głowy? – zapytała i spojrzała na niego uważnie. Po chwili uniosła dłoń i pogłaskała go po policzku. Mark odsunął głowę.

– Trochę.

– Dlatego powinniśmy iść do lekarza – zdecydowała.

Nachyliła się i w skupieniu zaczęła opatrywać ranę. Skoncentrowana wysunęła koniuszek języka i przygryzła go delikatnie. Mark miał przed oczyma tę część jej szyi, gdzie tuż pod skórą przebiegała tętnica doprowadzająca krew do mózgu. Jedno niezbyt głębokie cięcie załatwiłoby sprawę. Krew wystrzeliłaby fontanną i ściekła po białych płytkach na podłogę. I na jego ramiona. Wizja go kusiła. Podniecała. Uspokajała.

Wyprostowała się i spojrzała na swoje dzieło. Mark nie mógł oderwać wzroku od jej szyi, jakby był wampirem. Powoli przesunął żyletkę tak, żeby trzymać ją między palcem wskazującym a kciukiem.

– Wiesz co, najlepiej połóż się na trochę do łóżka – poradziła matka. – Po czymś takim możesz mieć delikatny wstrząs mózgu. W sumie, chyba powinniśmy pojechać do szpitala.

Nie odpowiedział. Wstał z sedesu. Miał sucho w ustach. Nabrał głęboko powietrza. To powinno być proste...

– Mamo?

Matka się odwróciła. Na dole rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Ktoś wchodził po schodach. To siostra wróciła

z biegania. Mark zmusił się do uśmiechu. Przełknął ślinę.
– Dzięki, mamó – powiedział.

Z wysiłkiem otworzył oczy i dostrzegł niewyraźny zarys czarnego, wilgotnego psiego pyska. Jakby z bardzo daleka dobiegały dziwne głosy, chyba nawet słowa i wycie syren. Co się stało? Gdzie był?

– Proszę się nie ruszać! – zawołał ktoś histerycznie. Kobieta. – Pogotowie już jedzie!

Pogotowie? A po co pogotowie? Komuś się coś stało? Jannis spróbował obrócić głowę i jęknął odruchowo. Ktoś schylił się nad nim, a twarz tej osoby wydała mu się groźna i wielka.

– Słyszysz mnie pan? Halo? Pamięta pan, jak się pan nazywa?

Przecież nie jestem głuchy, pomyślał Jannis. I jak wiadać, nie jestem też martwy.

– Boli coś pana?

Nie. Tak. Nie wiem.

Poruszył oczyma. Z boku stała kobieta ze zdenerwowanym border collie, lecz nie widział ich tak, jak powinien. Coś się porobiło z perspektywą. Stali na głowach? Jego usta wypełniała ciepła i lepka ciecz. Spróbował przełknąć, ale nie mógł.

– Jak się pan nazywa? Pamięta pan swoje imię i nazwisko?

Mężczyźni w białych ubraniach i czerwonych kurtkach biegli wokół. Przypominali sanitariuszy. Dotykały

go obce dłonie. To było nieprzyjemne. Chciał się bronić, ale oni byli silniejsi.

– ...mojeolary... – wymamrotał niewyraźnie. Bez okularów był ślepy jak kret. Chciał poprosić najbliższego stojącego mężczyznę, żeby mu ich poszukał, lecz w tym momencie poczuł ból tak mocny, że prawie stracił przytomność. Z ust mu ciekło. Co ci idioci wyprawiają? Dlaczego nie dadzą mu spokoju?

Przez kilka chwil miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Dostrzegł kawałek błękitnego nieba z drobnymi obłoczkami. Słyszał było śpiew ptaków. Doskonały dzień na przejażdżkę rowerem. Albo spacer z Niką.

Nika. Nika. Coś z nią było, ale nie pamiętał co. Nie mógł sobie przypomnieć. Poza tym, dlaczego właściwie leżał na ulicy? Jannis poczuł ukłucie w ramię i usłyszał metaliczne odgłosy, których nie potrafił do niczego przyporządkować. Stuki. Szczęk. Przesuwanie. Trzask. Niebo zniknęło. Nad sobą miał biały sufit z lampą.

Chciał przesunąć językiem po wyschniętych ustach. Dziwne uczucie. Zupełnie jakby... cholera. Coś było nie tak z jego zębami! Zniknęły! Nie miał zębów!

Nagle wspomnienia wróciły z całą brutalnością i strachem, jaki wywoływały. Samochód, potrącenie, upadek, mężczyźni w okularach przeciwsłonecznych. To oni zrzucili go z roweru i przejechali po nodze. A teraz jechał karetką. Jannisa ogarnęło przerażenie. Zaczął szybciej oddychać. Chciał przełknąć, ale się zakrztusił.

– Spokojnie – powiedział jeden z ratowników i wsunął mu kawałek rurki do nosa. Cholera, ależ to bolało! Czy nie mógłby bardziej uważać?

– Szeba polisje! – wyszeptał słabo. – To splafka Theissena... chce mnie sabić....

Mężczyźni w biurze doktor Engel odwrócili głowy, kiedy Bodenstein wszedł do środka. Trzeci stał dalej przy oknie i nawet nie drgnął.

– Witaj, Heiko. Kopę lat – przywitał się policjant, zanim jego przełożona zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Radości z ponownego spotkania nie wystarczyło mężczyźnie w ciemnobrązowym trzyczęściowym garniturze ani na uśmiech, ani nawet na podanie ręki. Oparł się wygodniej i spojrzał lekceważąco na Bodensteina. Oliver odpowiedział mu w podobnym stylu. Heiko Störch kończył razem z nim akademię policyjną, lecz przez całe trzy lata kształcenia niewiele ze sobą rozmawiali. Upływ czasu pozostawił na Heiku wyraźny ślad – niegdyś niewysoki, ale bardzo silnie zbudowany, dziś przypominał raczej nadmuchaną tłuszczem piłkę. Miał niedbale ułożone siwe włosy i zaczerwienioną twarz. Garnitur nie tylko nie dodawał mu powagi, lecz opinał się na nim groteskowo, bo był stanowczo zbyt ciasny.

– Kolego von Bodenstein. – Jego wyniosły, wręcz lekceważący ton również się nie zmienił. Już wówczas, w szkole, Heiko zawsze czepiał się jego szlacheckiego nazwiska. – To mój współpracownik, Herröder.

– A to profesor Dirk Eisenhut. – Doktor Engel przedstawiła trzeciego gościa, który niewzruszenie wyglądał przez okno i dopiero na dźwięk swojego nazwiska raczył się odwrócić.

Bodensteinowi momentalnie zrobiło się zimno i jednocześnie gorąco. Nie spodziewał się tego, że już dziś spotka człowieka, o którym słuchał przez całą noc.

Eisenhut był niemal równie wysoki jak on i zbliżał się do sześćdziesiątki. Miał kanciastą, poważną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzonymi błękitnymi oczyma, którymi przez krótką chwilę świdrował Bodensteina. A więc tak wyglądał mężczyzna, którego niegdyś pokochała Annika i przed którym dziś musiała się ukrywać.

– Dobrze, przejdźmy od razu do rzeczy. – Störch odkaslnął. – Poszukujemy pewnej kobiety, która, jak wynika z naszych informacji, może przebywać w okolicy i obracać się w kręgu osób zaangażowanych w działalność stowarzyszenia obywatelskiego, którego członków obejmuje dochodzenie prowadzone przez pana. Kobieta ta to doktor Annika Sommerfeld.

– Aha. – Bodenstein potrzebował wszystkich swoich umiejętności, by zachować niewzruszony, uprzejmie zainteresowany wyraz twarzy. Za to w jego głowie myśli kłębiły się jak oszalałe. Jak to w ogóle możliwe? Dlaczego dwójka wysokich urzędników federalnego urzędu policji kryminalnej przychodzi akurat dziś i tutaj poszukuje Anniki? Heiko pracował w służbach ochraniających państwo

przed zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi i zajmował się działaniami kryminalnymi, lecz zazwyczaj pośredniczył w wymianie informacji i współpracy międzynarodowej. Jedynym wyjaśnieniem tego dziwnego stanu rzeczy były znajomości profesora Eisenhuta, które najwyraźniej sięgały bardzo wysoko. Zaraz po tym, jak Theodorakis po jego wczorajszym odczycie wspomniął o Annice, Dirk Eisenhut uruchomił wszystkie kontakty, jakie posiadał. Obecność tych trzech mężczyzn potwierdzała tylko, że Nika powiedziała mu wczoraj prawdę.

– Czy coś się stało? – zapytała doktor Engel niecierpliwie.

– Nie, nic. Staram się przypomnieć sobie wszystkie nazwiska, jakie przewinęły się w trakcie prowadzonego przez nas dochodzenia w sprawie Grossmanna i Hirtreitera – odparł Bodenstein z właściwym sobie refleksem. – Niestety, o pani Annette Sommerfeld nie słyszałem.

– Annika. Nazywa się Annika Sommerfeld – poprawił go dawny kolega. – Doktor Sommerfeld jest jednym z najbardziej znanych naukowców zajmujących się klimatem. Do niedawna pracowała w Niemieckim Instytucie Klimatycznym jako asystentka pana profesora.

Jego towarzysz, który dotychczas ani razu nie włączył się do rozmowy, sięgnął bez słowa do teczki, którą postawił obok stołu, i wyjął z niej plik papierów w tekturowej obwolucie. Beznamiętnym gestem położył je na stole i pchnął w stronę Bodensteina.

– Co to takiego?

– Fotografie poszukiwanej – odparł Herröder krótko.

Był szczupły i opalony. Miał ostry nos, wystający podbródek i sprawiał wrażenie agresywnego. Niczym doberman świdrował Bodensteina małymi, ciemnymi oczyma. – Niech pan dobrze się im przyjrzy. Może na którymś rozpozna pan osobę, którą pan przypadkiem spotkał.

Bodenstein nachylił się nad stołem. Wyjął z teczki zdjęcia i zaczął je przeglądać. Annika. Annika z telefonem przy uchu. Annika w towarzystwie rudego mężczyzny. Annika z kimś w samochodzie. Annika na spacerze. Annika w knajpie przy barze. Na zdjęciach wyglądała młodziej, miała pełniejszą twarz i zaokrąglone policzki. Ostatnie miesiące musiały mocno dać się jej we znaki.

– Za co jest poszukiwana? – zapytał Bodenstein. Cztery pary oczu z zainteresowaniem skierowały się w jego stronę, lecz dzięki swemu legendarnemu opanowaniu nie okazał emocji, które nim targwały.

– Pani Sommerfeld jest podejrzewana o zamordowanie mężczyzny ze zdjęć. Jej ofiara nazywała się Cieran O’Sullivan. Był dziennikarzem niezwiązanym z żadną redakcją. Pracował dla różnych gazet w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Bodenstein miał wrażenie, że się przesłyszał. Dlaczego Annika miałaby mordować Cierana? Jaki miałaby powód?

– Poza tym najprawdopodobniej zamordowała również współpracownika pana O’Sullivana. W Szwajcarii.

Wielki Boże! Mimo wściekłości, jaka w nim wzbierała, Bodenstein zachował kamienny wyraz twarzy.

– Dlaczego ją śledziliście? – Udając obojętność, odłożył zdjęcia na stół. Ani Störch, ani jego kolega doberman nie spodziewali się takich pytań.

– Przedmiotem obserwacji nie była pani Sommerfeld, tylko pan O’Sullivan. I nie my go śledziliśmy, tylko Federalny Urząd Ochrony Konstytucji. Dzięki temu w ogóle na nią trafiliśmy – odparł dawny kolega. – O’Sullivan należał do międzynarodowej grupy kwestionującej zmiany klimatyczne. Kiedy podjął cichą współpracę z panią Sommerfeld, pracownicą Niemieckiego Instytutu Klimatycznego, ściśle powiązanego z rządem federalnym, skierował tym na nią naszą uwagę.

To, co mówił, brzmiało dość przekonywająco. Dlaczego Annika nie wspomniała mu ani słowem o dwóch morderstwach, o które była podejrzewana? Jej historia była diametralnie różna od tego, co teraz usłyszał! Czyżby miało się okazać, że dał schronienie morderczyni?

– O’Sullivan napisał wiele artykułów o bardzo krytycznym wydźwięku dla rządu federalnego i organu doradczego, jakim jest Instytut. Opublikował również książkę na ten temat. Pani Sommerfeld została wciągnięta przez niego do współpracy w celu wykradzenia bardzo ważnych danych.

To Bodensteina zupełnie nie interesowało.

– Kiedy i gdzie zamordowała tego człowieka? – zapytał.

– Wieczorem trzydziestego grudnia zeszłego roku – odparł Störch.

– Jego ciało zostało znalezione w pokoju hotelowym w Berlinie. Narzędzie zbrodni zabezpieczono w mieszkaniu pani Sommerfeld. Niestety, udało jej się uniknąć aresztowania. Od tamtego czasu się ukrywa.

Oliver poczuł palenie w żołądku. To, czego właśnie się dowiedział, brzmiało zupełnie inaczej niż opowieść Anniki. W jedną z tych historii musiał uwierzyć. Tylko w którą?

– Jak zginął? – dopytywał się.

– Ponad czterdzieści pchnięć nożem – odparł doberman. – Pani Sommerfeld tego samego dnia rano została wypuszczona z psychiatrycznego oddziału zamkniętego, na który trafiła po ataku na pana profesora Eisenhuta dwudziestego czwartego grudnia.

Tutaj znów obie historie się pokrywały, przy czym w wersji Anniki brakowało choćby słowa o ataku na profesora. Do dziś nie potrafiła sobie przypomnieć, co się wydarzyło w Wigilię 2008 roku. Bodenstein spojrzał z zaciekawieniem na naukowca.

– Do dzisiaj trudno mi w to wszystko uwierzyć. Moja osobista asystentka po piętnastu latach współpracy dopuściła się takich rzeczy – powiedział profesor. – Myślałem, że dobrze ją znam, ale najwyraźniej bardzo się pomyliłem.

Miał spokojną twarz, ale oczy zdradzały, że z trudem nad sobą panuje. Jeśli to, co Annika mówiła, miałyby być prawdą, Eisenhut miał dużo do stracenia. Właściwie to

prawie wszystko. Czy to wystarczyło, żeby kazać kogoś zamordować?

– W trakcie śledztwa okazało się, że krótko przed Bożym Narodzeniem w Zurychu zginął od ciosów nożem pewien Amerykanin – ciągnął doberman. – Również w hotelu. Należał do tej samej grupy bojówkarzy sceptyków, w której działał O’Sullivan. A pani Sommerfeld przebywała wówczas również w Zurychu.

– Dlaczego Federalny Urząd Ochrony Konstytucji zajmuje się tą sprawą? – Bodenstein potrząsnął głową. – To jest przecież zwykłe morderstwo, policja szybko by się z tym uporała.

Obaj mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia.

– Są ku temu istotne powody – odparł Heiko krótko. – Proszę pamiętać, że nasza rozmowa jest ściśle tajna. Rozumie pan, mam nadzieję, co to oznacza.

– Ależ oczywiście – zapewnił go Bodenstein. – Obawiam się jednak, że niewiele pomogę. Jednak będziemy się uważnie rozglądać, to na pewno.

– Pan będzie się uważnie rozglądał. Pan i nikt więcej – poprawił go Störch ostrym tonem. – Ta sprawa jest absolutnie delikatna i ma najwyższą klauzulę tajności. Niczego więcej nie musi pan wiedzieć, kolego Bodenstein. Jeśli dowie się pan czegokolwiek o tej kobiecie, proszę dać znać.

Bodenstein potaknął. Co tu się do diabła wyprawiało? Dlaczego Urząd Ochrony Konstytucji i Federalny Urząd Policji Kryminalnej tak bardzo dbały, by opinia publiczna

nic nie wiedziała o sprawie zwykłych morderstw? I dlaczego profesor Dirk Eisenhut był obecny przy takiej rozmowie? Najważniejsze pytanie dotyczyło jednak tego, kto tak naprawdę zamordował tego dziennikarza i Amerykanina w Zurychu? I dlaczego?

Budynek policji sprawiał wrażenie wymarłego. Tylko w biurach K11 panowała gorączkowa atmosfera. Z laboratorium kryminalnego przychodziły nader interesujące informacje. Kolejna trafiła właśnie na biurko Kaia.

– Pia! – krzyknął Ostermann. – Mamy trafienie! Wyobraź sobie, że w systemie znaleźli DNA pobrane z ciała Grossmanna!

Pia jak porażona prądem zerwała się z krzesła i podbiegła do kolegi. Czyżby po tych wszystkich ślepych tropach, które podejmowali i porzucali, w końcu trafili na coś, co pozwoli im rozwiązać sprawę?

– Mów! Masz już dopasowane nazwisko?

– Już zaraz. – Ostermann uderzał w klawiaturę, a potem przewinął obraz na ekranie komputera. – Na urwanym kawałku rękawiczki nie dało się zabezpieczyć żadnych śladów biologicznych, ale za to na ciele i ubraniu Grossmanna znaleziono włosy i fragmenty naskórka należące do...

Nagle uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Ioannisa Stavrosa Theodorakisa.

Przez chwilę Pia miała poczucie, że dobrze robiła, wbrew wszystkim i wszystkiemu trwając w przekonaniu,

że to on. W końcu usiadła ciężko na jednym z krzeseł i zacisnęła pięści.

– Cholera... od początku wiedziałam... – warknęła wściekła. – Teraz kłamca będzie musiał wymyślić sobie nową bajeczkę, żeby się z tego wyłgać. Ale nie wróżę mu powodzenia.

Ostermann sięgnął po telefon.

– Świetnie. Zaraz załatwię nakaz aresztowania.

– Doskonale. Tylko nie zapomnij o nakazie przeszukania domu. Może znajdziemy tam buty, które będą miały taki sam odcisk jak ten znaleziony przy Grossmannie. Wtedy już nam się nie wywinie.

– Zaraz wszystko będzie gotowe.

– Możesz wezwać Rademachera? We wtorek wieczorem jeździł gdzieś z Glöcknerem i słowem nam o tym nie wspomniał. Warto byłoby zadać mu kilka pytań.

Rozdzwoniła się komórka Pii. Policjantka wyjęła ją z kieszeni spodni i odebrała połączenie.

– To ja... – usłyszała w słuchawce roztrzęsiony głos jakiejś staruszki. – Miałam dzwonić, jeśli zobaczę coś podejrzanego.

Wciąż to samo! Dlaczego ludzie uważali, że zawsze rozpozna ich po głosie?

– Z kim rozmawiam? – Pia nie czekała na ciąg dalszy.

– Ingrid Meyer zu Schwabedissen. Mieszkam na Kirchstrasse w Königstein.

Natychmiast skojarzyła, o kogo chodzi. To ta pachną-

ca czosnkiem starsza kobieta, do której należał dom ze sklepem zoologicznym.

– Bo właśnie zobaczyłam, że pani Hirtreiter wróciła. Przed chwilą weszła po schodach. Teraz jest w mieszkaniu.

Pia ruszyła tak gwałtownie, że Kai upuścił ze strachu słuchawkę.

– Co mam teraz robić? – zapytała szeptem kobieta.

– Nic. Proszę nic nie robić, tylko czekać – mówiła Pia z naciskiem. Kai patrzył na nią zaintrygowany. – Niech pani zostanie tam, gdzie jest. Zaraz wyślę na miejsce radiowozy.

– Dobrze, dobrze. – Tym razem w głosie staruszki słychać było wyraźne rozczarowanie. – Jeszcze jedno, pani komisarz.

– Tak? – Pia myślami była już gdzie indziej.

– Czy dostanę jakąś nagrodę? To przecież dobra wiadomość dla was, prawda?

Niewiarygodne. Ludzie rzeczywiście myśleli tylko o pieniądzach.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała lodowato. – I dziękuję za telefon, pani...

Znów nie potrafiła powtórzyć jej nazwiska, więc szybko przerwała połączenie. Zaraz poprosiła Kaia, żeby wysłał na miejsce radiowóz, i już chciała iść, kiedy w drzwiach biura pojawił się Bodenstein.

– Frauke Hirtreiter pojawiła się w mieszkaniu – oznajmiła podnieconym głosem. – A z laboratorium przy-

szyła wiadomość, że na ciele Grossmanna znaleziono DNA Theodorakisa.

Przecisnęła się obok niego, weszła do swojego biura i sięgnęła do szuflady po broń służbową. Bodenstein wszedł do środka i zamknął drzwi.

– Co się dzieje? – spojrzała na niego zaskoczona, szukając jednocześnie między papierami nakazu aresztowania dla Frauke Hirtreiter.

– Zaraz do was dołączę – powiedział. – Coś się stało. Muszę wskoczyć do domu, ale szybko wrócę.

W jego głosie słychać było coś dziwnego. Pia przerwała i się wyprostowała.

– Powiedz, proszę, że żartujesz! Mamy szansę na...

– Weź Krögera. Jest u siebie w biurze. – Bodenstein przerwał jej niegrzecznie, choć nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. – Zadzwoń i daj znać, gdzie będziecie. Zaraz dołączę.

Położył dłoń na klamce i już chciał wyjść, kiedy Pia znalazła nakaz.

– Wydawało mi się, że masz rozładowaną baterię – zauważyła cierpko, złapała plecak i wyszła, ani razu nie patrząc w stronę szefa. – Do zobaczenia. Być może.

Nie odbiera telefonu. – Mark był bardzo zdenerwowany. – Nika też zniknęła. Od godziny już tutaj czekam.

– To naprawdę dziwne. – Frauke wyjęła swój klucz i otworzyła tylne drzwi do sklepu. Mark przepchnął się obok niej i sprawdził w magazynie, biurze i w samym

sklepie. Nic. Pusto. Ani śladu Ricky i jej przyjaciółki. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby w sobotni poranek sklep był zamknięty. Dlaczego Nika nie przyszła? Dlaczego Ricky nie odbierała ani telefonu komórkowego, ani stacjonarnego w domu? W schronisku też nikt jej dzisiaj nie widział. Pogoda była wspaniała, więc mogła pojechać gdzieś konno. A jeśli spadła i leży teraz nieprzytomna? Albo pokłóciła się z Jannisem o tę głupią zdzirę Nikę? W jego głowie pojawiały się obrazy rodem z horroru. Wrócił do biura. Frauke włączyła komputer i naląła wody do ekspresu. Nie wyglądała na szczególnie przejętą.

– Coś się stało. Musiało. Musiało stać się coś strasznego i dlatego nie przyszła – mrucał Mark ponurym głosem. – Może Ricky dowiedziała się w końcu, że...

– Że co? – Frauke natychmiast się zainteresowała.

Mark zawahał się. Plotkująca na lewo i prawo Frauke nie była osobą, której byłby gotów powierzyć tajemnicę domu Ricky, jednak musiał z kimś porozmawiać, bo inaczej stres rozsądziłby mu serce.

– Wczoraj wieczorem przez przypadek widziałem, jak Jannis i Nika... jak się obściskiwali – stwierdził w końcu i odwrócił głowę, żeby nie patrzeć przy tym na Frauke. – W kuchni. W domu Ricky!

– No proszę. Nie ma się co dziwić, prędzej czy później musiało do tego dojść – odparła kobieta. W jej głosie słychać było rozbawienie i lekceważenie. – Napalony Jannis i dwie kobiety w domu, na dłuższą metę tak się nie da. Ale Ricky jest sama sobie winna.

– Dlaczego? Przecież ona nic złego nie zrobiła! – Mark jak zawsze w podobnych sytuacjach czuł się w obowiązku bronić Ricky przed jakąkolwiek krytyką.

– Wiem, że ją ubóstwiasz – odparła Frauke. – Ale taka święta i doskonała, jak chciałbyś ją widzieć, to ona nie jest.

– Jak... jak możesz... – Przed jego oczyma znów pojawiły się odrażające wspomnienia z tamtego wieczoru na tarasie.

– Kiedy ktoś tak notorycznie kłamie jak ona, to musi liczyć się z tym, że inni przestaną mu wierzyć. – Frauke pokiwała głową i usiadła ciężko na krześle.

– Ricky nigdy nie kłamie! Nigdy nie powiedziała mi niczego, co nie byłoby prawdą!

– Doprawdy? – Frauke uśmiechnęła się złośliwie i przyjrzała mu się uważnie. Dostrzegła jego niepewność. Mark przełknął głośno i zamilkł. Przypomniawszy sobie o SMS-ie, że Ricky źle się czuje. A godzinę później czuła się dość dobrze, żeby kłócić się z Jannisem, a potem żeby mu się oddać na tarasie.

– Wiesz, tak to już jest – ciągnęła Frauke swój wywód. – Ja zawsze byłam zbyt prostolinijna, żeby kłamać. Ale w końcu wszystko wychodzi na jaw. Kłamstwo ma krótkie nogi, pamiętaj o tym.

– Dlaczego mówisz takie okropne rzeczy? – Mark był wzburzony, aż się cały trząsł. – Zawsze myślałem, że ją lubisz.

– Bo lubię. Ale pamiętaj, że nie jestem jej przyjaciół-

ką, tylko pracownicą. I gdybym to ja była Jannisem, na pewno nie dawałabym się tak okłamywać. – Frauke zachnęła się z lekceważeniem. – Bogata ciocia i spadek. Albo studia w Stanach na jakimś dobrym uniwerku. Akurat! Zrobiła ledwie trzy semestry marketingu i to korespondencyjnie! Właśnie takie kłamstwa sprawiły, że jej ostatni chłopak wziął nogi za pas. Ale niczego jej to nie nauczyło, jak widać. I znów brnie w to samo bagno. Zawsze musi być lepiej niż dobrze. Nigdy za mało chwały.

– Nie... nie rozumiem... – Zdezorientowany chłopak potrząsał głową.

– Ricky podrasowała swoją biografię, bo prawdziwa była zbyt mało spektakularna jak na jej wyobrażenia. – Frauke wzruszyła ramionami. – Robi tak więcej ludzi, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Tyle że większość wie, gdzie skłamała, a ona zaczęła wierzyć w te swoje bajeczki.

– Chcesz powiedzieć, że nie studiowała astronautyki w Stanford? – Mark nie mógł uwierzyć w ani jedno słowo, które słyszał. Frauke wytrzeszczyła oczy i zaczęła się histerycznie śmiać.

– W Stanford? Astronautykę? – Chichotała jak dzika, a jej ciało drżało nieopanowanie. W końcu po pełnych policzkach poturlały się łzy wesołości. – Mój Boże! Ależ cię wkłęciła! A ty jej naprawdę uwierzyłeś? – Musiała się przytrzymać stołu. – To dokładnie tak, jakbym ja twierdziła, że byłam primabaleriną w balecie Bolszoy z Moskwy!

Chłopak bardzo się zdenerwował.

– Przestań! Natychmiast przestań się z niej śmiać! – zaczął krzyczeć. – Jesteś o nią zazdrosna, bo sama jesteś tłusta i brzydka!

Gorzko żałował, że w ogóle chciał jej zaufać. Wściekły złapał kask i wybiegł na podwórze. Niech ją cholera, tę głupią, tłustą krowę! I bez jej pomocy odnajdzie Ricky!

Pia wrzuciła lewy kierunkowskaz i skręciła w Kirchstrasse. Piękna, właściwie już letnia pogoda wywabiła ludzi na dwór. Rodzice z dziećmi, pary i samotni spacerowali krótkim deptakiem niewielkiego miasteczka. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było wolnego miejsca, więc Pia skręciła na podwórze sklepu zoologicznego. Nagle tuż przed nią pojawił się motorower.

– Uwaga! – krzyknęła i tak silnie zahamowała, że Kröger poleciał do przodu i zawisł na pasach bezpieczeństwa. Chłopak na motorowerze szarpnął kierownicą, dodał gazu i zostawiając potężną rysę na błotniku, pojechał dalej.

– Co za idiota! – zaklęła Pia, bardziej przestraszona niż wściekła. Kröger wyskoczył z samochodu i pobiegł za uciekinierem. Kiedy zaparkowała, wysiadła i obejrzała błotnik, na którym przez całą długość ciągnęło się głębokie zadrapanie. I znowu wypełnianie papierków i tłumaczenie się, skąd to się wzięło!

– Zwiąż – oznajmił Kröger. – Ale mam jego numery. Zaraz wyślę do sprawdzenia przez centralę.

Pia potaknęła i się rozejrzała. Gdzie były radiowozy, które wezwał Kai? Przecież powinni byli przyjechać sporo przed nimi! Przy trzech garażach stał czerwony samochód terenowy i srebrny mercedes Ludwiga Hirtreitera. Pia poczuła ekscytację: Frauke jeszcze tu była. Przy odrobinie szczęścia wyjaśni sprawę morderstwa, złapie sprawcę i zdobędzie przyznanie się do winy.

Otworzyły się drzwi do domu i ze środka wyszła właścicielka. Przekradła się wzdłuż muru i podeszła do policjantów. Była wręcz czerwona z podniecenia!

– Pani komisarz! – wyszeptała, gestykułując zamasyście chudymi ramionami. – Jest w sklepie! Tam! W środku!

– Proszę wrócić do domu – poleciła jej Pia. – Zaraz do pani zajrzę.

Kobieta potaknęła i posłusznie zastosowała się do jej słów. Kröger skończył rozmawiać przez telefon.

– Co robimy? – zapytał.

– Nie będziemy czekać na radiowóz – zdecydowała Pia. – Kto wie, jak długo byśmy tutaj siedzieli. Chodź, załatwimy to sami.

Kröger ruszył wąskimi schodkami i zapukał do metalowych drzwi, przy których na ścianie wisiała tabliczka z informacją, że to miejsce dostaw do sklepu. Rozległ się szcęk zamka. Pia i Kröger wymienili szybkie spojrzenia. Drzwi otworzyły się, a w progu stanęła Frauke Hirtreiter.

– O, dzień dobry – przywitała się prostodusznie i spojrzała na Pię i Krögera. – Jak mogłabym pomóc?

– Dzień dobry – odpowiedziała Pia. Już nie była spięta. – Mamy nakaz aresztowania. Pójdzie pani z nami.

– Słucham? Jak to? Dlaczego? – Dziewczyna zrobiła zaskoczoną minę. Albo była doskonałą aktorką, albo naprawdę nie miała pojęcia, że od dwóch dni cała policja w Niemczech jej szuka. Pia wyjęła z kieszeni różową kartkę złożoną na cztery części, rozpostarła i podała Frauke.

– Proszę, to jest nakaz. Teraz pójdzie pani z nami – powtórzyła. – Jest pani podejrzana o zamordowanie ojca.

Jej ciemne kombi stało na podjeździe, tuż obok bramy garażu. Mark zahamował. Motorower stanął, a on zeskoczył na ziemię. Postawił go w pokrzywach, zdjął kask i położył na siodełku. Psy w klatkach transportowych w samochodzie zaczęły radośnie ujadać na jego widok. Kluczyki były w stacyjce, a torebka Ricky leżała na siedzeniu pasażera. Widocznie tylko na chwilę weszła do domu i zaraz wróci. Nigdy nie zostawiała psów w aucie, a już w ogóle nie wtedy, kiedy mocno świeciło słońce, bo jej samochód bardzo szybko się nagrzewał. Mark otworzył tylną klapę, żeby zwierzęta miały przynajmniej czym oddychać.

Potem przeskoczył niewysoką furtkę, jak nieraz wcześniej, i szybkim krokiem przeszedł przez trawnik. Przesunął spojrzeniem po klatkach w ogrodzie, ukrytych w cieniu cedru. Stół i krzesła stały pod ścianą, a na blacie piętrzyły się kolorowe nakrycia ogrodowe. Mark prze-

łknął głośno, kiedy zobaczył grill. Natychmiast poczuł złość na Jannisa, bo na chwilę zapomniał o tym, że martwi się o Ricky. W pewnym momencie uświadomił sobie, że tak mu się wszystko pomieszało, że nie wie już, na kogo powinien być bardziej zły – na Jannisa, który go wykorzystał i okłamał, czy na Nike, która swoim pojawieniem się wszystko zepsuła. Znów poczuł kłujący ból w głowie. Wykrzywił twarz i złapał się za czoło. Nie, tylko nie teraz! Teraz musiał być przytomny. Przede wszystkim trzeba było ustalić, co się dzieje z Ricky. Przez drzwi tarasowe zajrzał do środka domu.

– Ricky? – krzyknął i z wahaniem wszedł do nieposprzątanego kuchni. Brudne talerze, kubki i kieliszki piętrzyły się w zlewie, a zmywarka była otwarta. Na kuchence stały garnki i patelnia, a na stole napoczęta butelka szampana. Po raz kolejny zawołał ją po imieniu. Przez chwilę nasłuchiwał. Żadnego odzewu. Poza łomotem jego serca w domu panowała cisza. Kątem oka Mark zauważył jakiś ruch. Podskoczył przestraszony. Rudy kot wymknął się zza drzwi prowadzących do sypialni i łazienki.

– Ach, to ty – szepnął. – Co się tu dzieje? I gdzie jest Ricky?

Kot podszedł i zaczął ocierać się o jego nogi. Mark nachylił się, żeby pogłaskać kochanego zwierzaka. Kocica zamruczała i wygięła grzbiet, a potem miauknęła i zniknęła niczym błyskawica. Czyżby chciała go gdzieś zaprowadzić? Mark nabrał głęboko powietrza i wyszedł na korytarz. Zajrzał do sypialni. Łóżko nie było pościelo-

ne, a na podłodze leżały ubrania. Zadrżał, ale poszedł dalej, w stronę łazienki. Kocica siedziała na obłożonej płytkami obudowie wanny, wyprostowana niczym egipska statuetka, i spoglądała na niego bursztynowymi oczyma.

Mark zrobił krok naprzód i znieruchomiał. Przerazenie zmroziło mu krew w żyłach, bo dostrzegł, czego pilnował kot.

Na podwórze wtoczył się bez pośpiechu radiowóz i stanął obok samochodu Pii. Ze środka wysiadło dwóch funkcjonariuszy. Mężczyźni wysiedli z wozu, jakby przyjechali po paczki. Wtedy Pia nie wytrzymała.

– Może mi powiecie, co wam tyle zajęło? – zapytała ostrym głosem. – Wezwaliśmy was przeszło pół godziny temu! Cholera jasna, co to ma w ogóle być?

– Jechaliśmy z Glashütten, a to kawałek drogi – odparł jeden z nich. – A poza tym musieliśmy zabezpieczać teren, bo było włamanie do sklepu. Robimy dzisiaj tylko w dwa radiowozy, to nie dziwota, że trochę zabiera.

– Nieważne zresztą. – Pia potrząsnęła głową. Frauke Hirtreiter siedziała na tylnej kanapie jej samochodu. Nie bronila się przed aresztowaniem; wzruszyła jedynie ramionami i bez słowa oddała Pii nakaz. Bez gadania zaakceptowała kajdanki na nadgarstkach.

– Muszę tylko wyłączyć ekspres do kawy i zabrać torebkę z biura – poprosiła. Pia zajęła się tym wszystkim za nią. Potem wzięła jej klucze i zamknęła tylne wejście do biura, a dziewczynę zaprowadziła do samochodu.

– Będziemy potrzebowali radiowóz do Schneidhain, bo jedziemy dokonać zatrzymania – poinformowała kolegów z Königstein i podała im adres Theodorakisa. – Dlatego zrobimy tak. Weźmiecie aresztowaną do celi u was na komisariacie i dołączycie do nas najszybciej, jak to będzie możliwe.

Co prawda próba ucieczki była w przypadku Frauke Hirtreiter praktycznie wykluczona, ale Pia nie mogła sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko. Jeszcze jedna plama, a doktor Engel osobiście urwie jej głowę. Frauke wygramoliła się, sapiąc, z samochodu i przeszła posłusznie do radiowozu, który chwilę później wytoczył się na wstecznym biegu z podwórza.

Kröger chodził tam i z powrotem, nie odrywając telefonu od ucha. Pia dopiero teraz zauważyła, że właścicielka domu czeka w drzwiach i nie spuszcza z nich oczu.

– Pani władzo, czy ona naprawdę zamordowała swojego ojca? – zapytała, a w jej głosie słychać było głód sensacji. Miałyby morderczynię pod swoim dachem – taka nowość uczyniłaby z niej gwiazdę okolicy i to na dłuższy czas.

– Jeszcze nie wiemy – odparła Pia, czym strasznie ją rozczarowała. – Dziękuję za telefon, pani... pani Meyer. Bardzo nam pani pomogła. Jeśli usłyszysz pani jeszcze coś ciekawego, proszę zaraz dzwonić, dobrze?

Starsza kobieta promieniała. W jej szarej codzienności takie wydarzenie było warte wszystkiego.

– Oczywiście – zapewniła, gorliwie kiwając głową. –

Zaraz będę dzwoniła. Z przyjemnością.

Pia zmusiła się do uśmiechu i wróciła do samochodu. Kröger skończył właśnie rozmawiać i ruszył za nią.

– No i? – Wsiadła za kierownicę i zapięła pas. – Masz dane kierowcy tego motoroweru?

– Mam. I przygotuj się na coś dziwnego – odparł Christian Kröger, zajmując miejsce obok. – Wyobraź sobie, że motorower, na którym jechał ten pirat, jest zarejestrowany na naszego umarłaka.

– Co proszę? – Pia spojrzała na niego zaskoczona. – Hirtreiter miał motorower?

– Nie. – Kröger sięgnął za siebie po pas bezpieczeństwa. – Na Rolfa Grossmanna.

Na ulicy czekały dwa radiowozy. Jeden z funkcjonariuszy, który dobrze znał okolicę, zaproponował, by wysłać patrol na polną drogę na tyłach domu, gdyby Theodorakis postanowił zwiać im przez ogród. Pia dała mu znak, że jak najbardziej, a potem podjechała do domu, w którym mieszkała Ricky ze swoim towarzyszem, Jannisem Theodorakisem. Prosty i skromny budynek z lat siedemdziesiątych, niemal identyczny jak pozostałe na ulicy. Kröger zadzwonił do centrali i wezwał grupę techników, którzy po zatrzymaniu poszukiwanego mieliby przeszukać dokładnie cały dom. Polecenie zostało przesłane w odpowiednie miejsce.

Przed garażem domu po przeciwnej stronie stał ojciec z dwoma nastoletnimi synami, myjąc rodzinne kombi,

a obok dziadek kosił trawnik przed domem. Idylla przedmieść w najlepszym wydaniu. Kiedy przy samochodzie Pii zatrzymał się radiowóz, starszy mężczyzna wyłączył silnik kosiarki i podszedł do drewnianego płotku.

– Ci to mają dzisiaj niezły kocioł w domu – odezwał się, nie czekając na żadną zachętę. – Rano policja, w południe policja...

– O czym pan mówi? – zapytała Pia.

– No bo nie będzie godzina, jak już u nich byli ludzie od was. Zrobili im przeszukanie.

– Ach tak? – Pia uniosła brwi. – Skąd pan wie, że to policja?

– Niech będzie, mieli na sobie normalne ciuchy, ale zapytałem, a co. Sąsiad sąsiadowi musi pomagać, tak już jest. Chciałem wiedzieć, co tu się dzieje, że obcy ludzie wynoszą im z domu skrzynie i worki. – Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i otarł spocone czoło.

– Rozumiem. A pan Theodorakis i pani Franzen? Jak zareagowali?

– Nie mam pojęcia, bo ich nie widziałem. Ale on jest w domu, bo jego gruchot dzisiaj się nie ruszył. – Staruszek wskazał lekceważącym gestem na stare czarne bmw serii 3. – W sumie, to co się dziwić. Wszyscy żeśmy się spodziewali. Ten młody człowiek to miły jest nawet i pomocny, ale dziwny jakiś, mówię pani.

Sąsiad nachylił się nad płotem i konspiracyjnym szeptem dokończył myśl:

– Bo widzi pani, moja żona to ma nosa do ludzi. I ona

mówi, że to terrorysta. Taki, wie pani, agent śpioch. Jak ci z Ameryki, co samoloty porywali. Trochę Arab z twarzy, prawda? Tak wygląda.

Pia spojrzała na Krögera, który z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Niezależnie od tego, co się tu wydarzyło godzinę wcześniej, ktoś musiał zażartować sobie ze staruszka. W tym momencie przed dom wyszła lokalna ekspertka od terroryzmu w kolorowej koszulce i bermudach w kratkę i spojrzała na nich z zainteresowaniem. Rodzina przy aucie również przestała polewać karoserię wodą i czekała na rozwój wypadków.

Kröger wyjął broń z kabury.

– Proszę lepiej schować się do domu – poradził śmiertelnie poważnym głosem. – Może dojdzie do strzelaniny, jeśli terroryści będą stawiali opór.

Starszy mężczyzna odwrócił się na pięcie i pospiesznie ruszył w stronę drzwi. Kosiarka została na środku trawnika. Pia zachichotała.

Kröger puścił do niej oko, a potem schował pistolet.

– Wybacz – mruknął. – Nie mogłem się powstrzymać.

Słońce świeciło z bezchmurnego nieba. Operator kosiarki musiał powiadomić wszystkich sąsiadów o niebezpieczeństwie, bo jeden po drugim cichły odgłosy z kolejnych ogrodów. Świeżo umyte auto schło z niewypolerowanym woskiem na blachach, a wąż i wiadra stały niedbale zostawione na podjeździe. Jedyne pożytek z dowcipu Krögera był taki, że wyjątkowo sku-

tecznie oczyścił im pole do działła. Odezwała się komórka Pii.

– Jesteśmy w ogrodzie – oznajmił policjant. – Przy tylnym wjeździe stoi otwarte audi kombi z dwoma psami w środku. Poza tym spokój.

– Okej – odparła Pia. – Nie ujawniajcie się. My wchodzimy od frontu.

Z Krögerem tuż za plecami i jeszcze jednym policjantem, który do nich dołączył, przeszli przez trawnik od ulicy i wspięli się po kilku schodach. Drzwi nie były zamknięte. Pia pchnęła je delikatnie do środka i weszła do ciemnego przedpokoju. Hol wejściowy prowadził wprost do kuchni. Po prawej stronie znajdowały się drzwi i schody na piętro, a po lewej wąski korytarzyk, przy którym znajdował się zalany słońcem salon z oknami sięgającymi ziemi i otwartym kominkiem.

– Halo? – zawołała Pia z napięciem w głosie. – Czy jest tu ktoś? Policja!

Odważyła się zrobić jeszcze kilka kroków. Kröger był tuż za nią. Sąsiad wspomniał o przeszukaniu, a drzwi były uchylone. Co się tu działo? Pia poczuła zimny dreszcz.

– Panie Theodorakis? Pani Franzen? – Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Szybkie spojrzenie w stronę kolegi wystarczyło, by zrozumiał, co miała na myśli. Oboje wyciągnęli broń i odbezpieczyli ją. To nie był pierwszy raz, kiedy wchodziła do obcego budynku, nie wiedząc, czego może się tam spodziewać, lecz za każdym razem czuła się spięta. Na dodatek nie miała na sobie

kamizelki kuloodpornej. Odruchowo pomyślała o Christophe i o tym, jak bardzo nie lubił tej części jej pracy. Spróbowała odpędzić od siebie wszystko, co ją rozpraszało, ale napięcie sprawiło, że miejsce tych myśli zajęło inne uczucie, którego zupełnie nie potrzebowała: strach.

– Co jest? – szepnął Kröger, widząc jej wahanie. – Mam iść przodem?

– Nie. – Zdecydowanym krokiem weszła do korytarza. Po lewej stronie znajdowała się sypialnia, a po prawej... W pierwszej chwili nie mogła nabrać oddechu. Potężna dawka adrenaliny przyspieszyła bicie jej serca. Na białych płytkach przy wannie klęczał młody chłopak. Kiedy Pia stanęła w progu, przestraszony uniósł głowę. W dłoni trzymał nóż kuchenny, a jego ręce ociekały krwią, która obficie kapiała na białą koszulkę. Miał szesnaście, najwyżej siedemnaście lat; już nie dziecko, ale jeszcze nie mężczyzna. Miękkie rysy twarzy i długa grzywka blond, za którą skrywały się jego oczy.

– Odłóż nóż! – poleciła mu Pia zdecydowanym głosem i uniosła broń. Chłopak znieruchomiał i przez parę sekund nie wiedział, co zrobić. W końcu zerwał się z podłogi i upuścił nóż. Ostrze zadźwięczało na płytkach. Pia nie była przygotowana na taki atak. Nastolatek wyrznął w nią barkiem i wytrącił z równowagi. Policjantka wpadła na Krögera i trafiła głową w ościeżnicę drzwi. Drugi policjant również nie był przygotowany na taki rozwój wydarzeń i nie zdążył zareagować. Chłopiec,

zwinnie niczym łasica przemknął się pod jego wyciągniętymi ramionami, minął umundurowanego policjanta na korytarzu i przez otwarte szklane drzwi zniknął w ogrodzie.

– Cholera! – zaklął Kröger. – Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłem.

– Mamy ludzi w ogrodzie, oni go dopadną. – Pia potarła obolałe miejsce na potylicy, po czym schowała broń i się odwróciła. Kröger wyszedł, a ona została sama w łazience. Jej wzrok padł na zakrwawiony nóż.

– Fantastycznie – mruknęła i nabrała głęboko powietrza. – Czyli znów na mnie padło. Niech to szlag.

Zawahała się, ale w końcu wzięła się w garść i nachyliła nad wanną.

Na piętrze stajni, gdzie leżało siano, panował przeraźliwy upał. Mimo to Mark nie mógł opanować dreszczy. Wczołgał się w najciemniejszy i najdalszy kąt i leżał, szlochając, ukryty między balami słomy. Przyciskał dłoń do twarzy i powtarzał w myślach jedno imię: Ricky! Widział, jak leżała w wannie, blada i sztywna. Nigdy nie zapomni tego widoku. Gliniarze na pewno uważali go teraz za mordercę, a przecież on chciał ją tylko uwolnić! Po to wziął nóż! Mark zwinął się w pozycji embrionalnej. W domu Ricky wydarzyło się coś okropnego! Pewnie to Jannis! To musiał być on, bo Ricky stała mu na drodze i przeszkadzała w związku z Niką. Może nawet zaskoczyła ich w łóżku, doszło do kłótni i przepychanki, a oni we

dwójkę mieli przewagę... dlatego ją pokonali i... zabili. To dlatego Nika nie przyszła rano do sklepu! Mark bez powodzenia usiłował opanować drzenie. Niewiele brakowało, a gliniarze by go dopadli. Nie sądził, że w ogrodzie też będą na niego czekali. Ledwie im się wymknął. Tylko czemu tam ich tylu było? Czego szukali w domu jego przyjaciółki? Czuł coraz większy ból głowy, przez co nie mógł normalnie myśleć.

Zamrugął. Pył z siana drażnił jego oczy, a skaleczenia, jakich się nabawił, uciekając na oślep przez kolczaste zarośla, paliły żywym ogniem. Rana na palcu była głębsza, niż myślał, i obficie krwawiła. Przewrócił się na plecy, uniósł dłoń nad głowę i ścisnął palec. Krew popłynęła po nadgarstku i ramieniu i zaczęła kapać na twarz. Tak, to było wspaniałe. Dobrze się z tym czuł. Znow mógł oddychać. Powrócił spokój. Ból rozrywający czaszkę od środka zmienił się w nieprzyjemne pulsowanie.

Musiał się dowiedzieć, co się stało z Ricky. Niewiedza męczyła go i nie dawała spokoju. Na czworakach zaczął wspinać się po balach słomy w stronę kalenicy. Tam, na samej górze, było miejsce, przez które mógł niezauważony obserwować ulicę. Nagle zahaczył o coś boleśnie nogą.

– Auć! – mruknął i znieruchomiał. Po omacku zaczął sprawdzać dookoła, co to było. W ciemności wysokiego poddasza trafił na coś podłużnego, sterczącego pomiędzy bel słomy. Zaczął ciągnąć. Szarpał się z podłużnym

przedmiotem, aż w końcu uderzył nim o przebiegające nisko belki więzby dachowej. Mark popatrzył z niedowierzaniem na to, co znalazł. W dłoniach trzymał prawdziwą strzelbę.

Była gotowa na najgorsze. Jednak zamiast poharatanych i poćwiartowanych zwłok ujrzała w wannie mumię. Friederike Franzen leżała niczym gotowa do nadania paczka. Ktoś musiał zużyć na nią kilka rolek srebrnej wzmacnianej taśmy, bo owinięta nią była od stóp aż do szyi. Dodatkowy kawałek zaklejał jej usta. Miała zamknięte oczy i się nie ruszała.

Pia nachyliła się nad nią i odszukała palcami tętnicę. Serce pracowało powoli, ale równo. Kamień spadł jej z serca. Odetchnęła z ulgą, nachyliła się po nóż i zaczęła rozcinać srebrne zwoje. Nie szło jej tak łatwo, jak się spodziewała, bo taśma kleiła się do wszystkiego i nie chciała puszczać. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że ludzie, którzy tu byli, na pewno nie pracowali w policji: wiązanie i kneblowanie podejrzanych nie należało do technik stosowanych w służbach przy przeszukaniach domów. Mimo że nieraz świerzbiły ją ręce.

W domu zrobiło się głośno. W drzwiach łazienki stanął Kröger.

– Chłopak zwiął, ale jego motorower stoi na dole, przy wjeździe. To ten sam dzieciak, który zarysował nam auto. O kurczę, co tam masz?

Był nieco bardziej zdyszany i spocony niż dziesięć

minut wcześniej, ale luz, z którego sływał, miał nawet w takiej sytuacji.

– Właścicielkę domu – odparła Pia przez zaciśnięte zęby. Była zła na siebie, bo nie potrafiła opanować drżenia dłoni. Srebrna taśma była tak silna i tak mocno przywarła, że policjantka bała się, by nie zranić kobiety.

– Mam ci pomóc? – zaproponował Kröger.

– Dam sobie radę sama – burknęła Pia.

– Dobra, wiesz co, musimy ją najpierw wyjąć z wanny. Tak się tylko naszarpiesz i nic nie zdasz.

Wyjął jej nóż z dłoni. Stękając z wysiłku, unieśli nieprzytomną kobietę nad brzegiem wanny i położyli ją ostrożnie na podłodze.

Pia wytarła przedramieniem pot z czoła. Bolały ją plecy, bo cały czas pracowała schylona. Kröger skoncentrowany operował nożem przy rozcinaniu zwojów taśmy krepującej Friederike Franzen. Ostrożnie zdjął fragment zasłaniający usta.

– Mumia wraca do świata żywych. – Podał Pii nóż i poklepał ją po policzku. – Halo! Słyszysz mnie pani?

Kobieta poruszyła głową na boki i w końcu otworzyła oczy.

– Jak... co... gdzie ja jestem? – wybełkotała, wodząc dookoła nieprzytomnym wzrokiem. – Kim wy... jesteście?

– Kirchhoff, policja kryminalna – odparła Pia. – Mialiśmy już przyjemność.

Kobieta leżała przez chwilę nieruchomo, aż nagle

w jej oczach pojawił się błysk przypomnienia. Zadrżała z przerażenia. Chciała się podnieść, lecz wciąż jeszcze miała spętane ramiona.

– Jeszcze chwila – uspokoił ją Kröger i wrócił do rozcinania taśmy.

Kiedy uwolnił jej ręce, złapali ją z Pia pod pachy i razem pomogli wstać z podłogi. Kobieta zatoczyła się lekko.

– Może lepiej niech pani usiądzie – poradziła policjantka. – Co się tu właściwie wydarzyło?

– Zostałam... napadnięta. We własnym domu! – odparła kobieta niewyraźnym głosem. Sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej tym, co przeżyła. – Wyszłam już na dwór, ale... ale przypomniałam sobie, że zostawiłam torebkę w kuchni... nagle zobaczyłam dwóch facetów... popsikali mnie czymś... prosto w twarz... a potem...

Głos jej się załamał. Była w szoku. Łzy popłynęły jej po policzkach, znacząc ślad rozmytym czarnym tuszem do rzęs. Pia podała jej pudełko chusteczek jednorazowych, które stały na szafeczce obok umywalki.

– Czy potrafiłaby ich pani rozpoznać? Widziała ich już pani wcześniej? – zapytała ze współczuciem.

Pani Franzen potrząsnęła głową i płakała dalej. Wstrząśnięta nie zwracała uwagi na to, że przyciskając dłonie do twarzy, jeszcze bardziej rozmazuje mokry makijaż.

– Nie... oni... mieli maski. I nic nie mówili. – Wyjęła chusteczkę z kartonika i hałaśliwie oczyściła nos.

Dotychczas Pia nie czuła szczególnej sympatii do Friederike Franzen, lecz nagle zrobiło jej się żal napadniętej kobiety. Wiedziała z doświadczenia, że nie ma bardziej traumatycznego przeżycia niż bycie ofiarą napadu we własnym domu. Usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. Ricky cały czas walczyła ze łzami, które nie chciały przestać płynąć.

– Gdzie jest pani przyjaciel? – zapytała, nie informując jej, że w gruncie rzeczy przyjechała go aresztować. – Może pani do niego zadzwonić, żeby wrócił do domu?

Kobieta wzruszyła ramionami. W drzwiach do łazienki stanął jeden z umundurowanych funkcjonariuszy.

– Sprawdziliśmy dom, czy nikt się nie schował – zameldował. – Jest czysto. Ale chyba powinniście zobaczyć pomieszczenie na piętrze.

– Na piętrze? Dlaczego? Co tam jest? – zapytała Pia.

– Tam jest gabinet Jannisa – wyjaśniła Friederike drżącym głosem. – I nic więcej.

– Może kiedyś tam był jego gabinet – odparł policjant. – Może, bo niewiele z niego zostało.

Zurych, grudzień 2008

Dirk niczego nie zauważył. Nie zasłużył na ostrzeżenie o tym, co na niego czekało, a za to, co jej zrobił, na pewno nie mógł liczyć na litość. Myśl, że niczego się nie spodziewał, pozwalała jej odzyskać poczucie sprawiedliwości; mogła liczyć na choćby drobne zadośćuczynienie i łatwiej było jej znosić palącą nienawiść. Potem... nie mogła się doczekać, co stanie się potem. Instytut będzie potrzebował nowego szefa, a nikt nie będzie mógł jej pominąć.

Dirk poleciał do Nowego Jorku przez Frankfurt. Miał się tam spotkać z ludźmi, z którymi razem odpowiadali za ustalanie strategii postępowania. Znała nazwiska wszystkich uczestników tych spotkań, bo miała dostęp do poufnej korespondencji poprzedzającej ich organizowanie. Weźmie w nich udział szef IPCC, doktor Norman Jones z Uniwersytetu w Baltimore, doktor John Peabody z Uniwersytetu Walii i jeszcze kilku światowej sławy uczonych, którzy byli odpowiedzialni za kłamstwa w zeszłorocznym raporcie IPCC, Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu. Odwiozła Dirka na lotnisko, ale nie wróciła do Instytutu, tylko poczekała na najbliższy lot do Zurychu i wsiadła na pokład samolotu.

Krótko po czternastej spotkała się z Cieranem i jego przyjacielem Bobbym Bennettem w gustownym lobby niewielkiego prywatnego banku. Elegancki pracownik za-

prowadził ich do pomieszczenia ze skrytkami i dyskretnie się wycofał, zostawiając ich samych. Jej początkowy sceptycyzm, z którym odnosiła się do twierdzeń Cierana, zniknął, jakby go nigdy nie było, bo dowody, które dostarczyli jej nowi przyjaciele, jednoznacznie świadczyły o trwających już od lat manipulacjach danymi dotyczącymi zmian klimatu. Nie dało się ich podważyć.

Bobby Bennett pracował w Centrum Badań nad Klimatem Uniwersytetu Walii. Udało mu się włamać do serwera pocztowego, dzięki czemu zrobił kopie tysięcy mejli – z których pierwsze pochodziły z 1998 roku. Korespondencją wymieniali się dyrektorzy czterech instytutów dostarczających dane dla IPCC, analizujących dla nich fakty i robiących badania. To na informacjach od nich opierały się wszystkie raporty Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu. Znała każdego z nich osobiście i wciąż jeszcze nie mogła otrząsnąć się z szoku, że ci naukowcy od przeszło dziesięciu lat systematycznie preparowali kłamstwo, w które wielu ludzi wierzyło. Wspólnymi siłami i dzięki swoim wpływom manipulowali w zasadzie wszystkimi danymi wyjaśniającymi kierunek postępujących zmian klimatu i globalnego ocieplenia. Doskonali spisek pozwalający latami umacniać hipotezę o tym, że to ludzie byli odpowiedzialni za zmiany klimatyczne. Celowo wzbudzali strach miliardów mieszkańców Ziemi, myśląc jedynie o swoich zyskach i wpływach.

– Kiedy zaczynamy? – zapytała.

– Na początku lutego – odparł Cieran. W jego oczach

pojawił się euforyczny błysk, kiedy o tym mówił. Nietypowe dla kogoś, kto przez całe życie zachowuje się jak trzeźwy pragmatyk, lecz odkrycie tego oszukańczego spisu miało wywołać gigantyczny skandal i ostatecznie podkopać opartą na kłamstwie wiarę w zmiany klimatyczne.

– Dlaczego nie wcześniej?

Bobby usiadł na stole i zakotłosał nogami. On również był podekscytowany i nie mógł doczekać się wielkiego finału.

– Jestem na tropie bardzo dużej sprawy – wyjaśnił. – Czekam jeszcze na szczegółowe informacje. Jak będę miał je w ręku, będziemy mogli udowodnić, jaki interes miał szef IPCC, popierając to, co robią. Okazuje się, że ma udziały w interesach, w których chodzi o miliardowe inwestycje. A ich powodzenie zależy od zaleceń formułowanych przez IPCC.

– Serio?

– Serio. Wiem, to niewiarygodne, ale tak jest. – Cieran potaknął. – Gdybyśmy mieli jeszcze kilka miesięcy na dziennikarskie śledztwo, znaleźlibyśmy nieporównywalnie więcej takich kwiatków. Ale niestety, czas już nagli.

Zastukał palcami w czarny neseserek, który postawił na stole obok Bobby'ego.

– Wszystko jest w środku. Oryginały dowodów. Nagrania rozmów telefonicznych. Moja praca. – Stał się bardzo poważny. – Ufamy ci. Jeśli cokolwiek nam się stanie, jesteś jedyną osobą, która o wszystkim wie.

– Dlaczego miałoby się wam coś stać? – Zaśmiała się

nerwowo, choć wcale nie było jej wesoło. Poczła zimne dreszcze. Wzięła na siebie ogromne zobowiązanie i jeszcze większą odpowiedzialność. I pokusę.

– Nigdy nic nie wiadomo. Od teraz koniec z telefonami. Nie dzwonimy do siebie – powiedział cicho. – Nie dzwonimy i nie piszemy mejli.

– Ale jak w takim razie będziemy się kontaktować? – Uniosta brwi.

– Już tylko osobiście. Musi wystarczyć SMS. Przecież nie mogą czytać ich wszystkich.

Potaknęła.

– Myślisz, że to naprawdę takie niebezpieczne?

Cieran spojrział na nią poważnie. Po chwili wymienili znaczące spojrzenia z Bobbym.

– Niestety – powiedział w końcu. – Obawiam się, że dopóki nie upublicznimy wszystkiego, nasze życie jest zagrożone. Dopiero po publikacji nie będą mogli nam już nic zrobić.

Bobby Bennett chyba zauważył, że nagle poczuła się strasznie nieswojo. Zeskoczył ze stołu i pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

– Hej – powiedział. – Pamiętaj, że dobrzy to my, a oni ci źli. Okłamali cię i wykorzystali. Cały świat okłamali, nie tylko ciebie. Nigdy o tym nie zapominaj, dobrze?

Cały świat, owszem, ale wykorzystał i okłamał przede wszystkim mnie, pomyślała.

– Jak mogłabym zapomnieć? – powiedziała.

Cieran i Bobby, idealisci, naprawdę jej ufali

*i wierzyli, że z jakiegoś powodu będzie wspierała ich wal-
kę – może z rozczarowania, że tak długo żyła
w kłamstwie? Lecz to nie była prawda. Napędzała ją nie-
nawiść i pragnienie wywołania lawiny, która pochłonie
Dirka i pogrzebie go głęboko pod zwałami skał. Chciała
go zniszczyć.*

*– Wszyscy będą musieli odejść – stwierdził Bobby
i uśmiechnął się szeroko.*

*Tak, Dirk również. Będzie musiał wyprowadzić się
z białej willi i zamieszkać z tą swoją Bettiną gdzieś in-
dziej. Będzie musiał zniknąć z jej życia. Cieran wsunął
walizeczkę do skrytki, zamknął kasetę, wyjął kluczyk
i podał go jej. A ona zacisnęła palce na zimnym kawałku
metal.*

*– Już się nie mogę doczekać – powiedziała
z uśmiechem.*

Męcząca niepewność była znacznie gorsza niż ciągle ukrywanie się. Jak mogła być taką idiotką, żeby uwierzyć Jannisowi? Dlaczego nie uciekła natychmiast, kiedy wyznał jej, że wie, kim jest? Teraz przez swoją lekkomyślność znalazła się w pułapce. Dirk jej nie daruje. Była przekonana, że wezwał już swoich siepaczy, którzy przetrząsną każdą kryjówkę w okolicy.

Nika czuła się w małym domku jak we więzieniu, ale nie mogła go opuścić. Oliver von Bodenstein był jej jedyną nadzieją i szansą. W innych warunkach pewnie mogłaby się nawet w nim zakochać. Ale jaki miałoby to sens w jej obecnej sytuacji? W bardzo złym momencie los przeciął ich ścieżki.

Wcześniej, kiedy jeszcze spała, musiał być w mieszkaniu, bo po przebudzeniu znalazła na stoliku przy kanapie karteczkę od niego: „Koniecznie musimy porozmawiać. Proszę, zostań w domu. Nigdzie nie wychodź! Nikt nie może cię zobaczyć! O.”

Co to mogło oznaczać? Nika przestała chodzić tam i z powrotem. Stała przy kuchennym oknie i wyjrzała na zewnątrz, na łąkę, za którą wznosił się pałac. Jak by to było móc tu zamieszkać, bez potrzeby ciągłego ukrywania się, podawania za kogoś innego i bez strachu, że dopadną ją upiory przeszłości?

Usiadła na taborecie i wyobraziła sobie, jak by to było prowadzić spokojne życie u boku Bodensteina. Zakupy,

sprzątanie, gotowanie, czekanie, aż wróci z pracy... Wcześniej taki los był dla niej nie do pomyślenia, lecz przez ostatnie pół roku bardzo zmieniła perspektywę. Jej szaleńcza ambicja i pracoholizm wypaliły się w Deauville w dniu, kiedy Dirk zapowiedział jej, że żeni się z inną kobietą. Nagle przestała rozumieć, co pchało ją do ciągłej harówki od świtu do nocy i często jeszcze dłużej. Czy rzeczywiście wierzyła, że może coś zmienić? Uratować świat przed szaleństwem ludzi? Nie, sama się okłamywała. Smutna prawda była bowiem taka, że przez te wszystkie lata żyła ukrytym pragnieniem zdobycia serca swego pryncypała. Tymczasem jemu wystarczyło, że pracowała dla niego i wskakiwała do łóżka na każde skinienie. Ale do małżeństwa nie była dość dobra. Znowu poczuła złość. Nienawidziła go. Okłamał ją. Wzbudził fałszywą nadzieję. Zmarnowała dla tego gnojka piętnaście lat życia! Powinien na kolanach jej dziękować za to, co zrobiła. Chciała go poniżyć przed całym światem. Zniszczyć. Tak, to była jedyna kara, jaką zrozumie. Nika wstała i nabrała głęboko powietrza. Nie miała już dużo czasu. Musiała jak najszybciej wyjąć z banku dokumenty.

Friederike Franzen stanęła na ostatnim stopniu schodów i zamarła.

– O Boże! – wyszeptała przerażona. – Jak Jannis to zobaczy, to dostanie zawału! Boże! Wzięli nawet jego płyty!

Pia i Kröger precyzyjnie się obok niej i weszli do po-

mieszczona na poddaszu, które dotychczas służyło Jannisowi Theodorakisowi za gabinet do pracy. Pod ścianami stały puste regały, z biurka zniknęło wszystko poza samotnym monitorem LCD, z którego luźno zwisały wtyczki. Na jasnej wykładzinie dywanowej widać było prostokątny odcisk świadczący o tym, że jeszcze niedawno stała tam obudowa komputera, który również zniknął. Friederike osunęła się słabo na ścianę i przysiadła na schodku. Pochyliła głowę, zasłoniła twarz dłońmi i zalała się łzami.

– Zabrali nam wszystko! Całą naszą pracę! Dlaczego?

Na to pytanie Pia nie potrafiła jej odpowiedzieć. Janis Theodorakis miał bardzo wielu wrogów, bo w zasadzie wszędzie, gdzie się pojawił, zaraz przysparzał sobie nowych. W sumie dziwne było jedynie to, że dopiero teraz musiał zmierzyć się z konsekwencjami takiego postępowania.

Kröger naciągnął lateksowe rękawiczki, których kilka par miał zawsze w kieszeni spodni. Jedną po drugiej otworzył wszystkie szuflady biurka. Puste. Również w pozostałych szafkach i kontenerze na kółkach nie zostało nic poza kurzem. Zniknęło wszystko, do ostatniej kartki, długopisu i ołówka. I tylko na ziemi leżała rolka niebieskich worków na śmieci, których napastnicy najwyraźniej już nie potrzebowali.

– Ktoś tu bardzo starannie posprzątał – stwierdził przytomnie. – Nie zostawili niczego.

Kobieta na schodach szlochała i nie podnosiła głowy.

– Gdzie może być pan Theodorakis? Wie pani, gdzie

możemy go znaleźć? – zapytała Pia.

– Nie... nie mam pojęcia. Ale muszę do niego zadzwonić. I to szybko! Będzie wściekły, jak się dowie. Ale to przecież nie moja wina! Nie mogłam nic zrobić!

Pia nadal wołała nie wspominać o nakazie aresztowania. Być może Theodorakis wróci do domu, kiedy dowie się od swojej przyjaciółki, co się wydarzyło. Oszczędziłoby to policji uciążliwego poszukiwania.

– Proszę, niech pani dzwoni. – Pia przyklęknęła obok niej i podała jej ramię. – Rozumiem, że to wszystko panią przerasta. Czy mogłabym jakoś pani pomóc?

– Nie, dziękuję, jakoś muszę dać sobie radę... muszę. I muszę otworzyć sklep. A potem pojechać do schroniska. – Friederike Franzen siedziała jeszcze przez chwilę na miejscu i szklistym wzrokiem spoglądała gdzieś w dal. W końcu chwyciła się poręczy i podciągnęła, a potem jak w transie zeszła na parter.

Pia i Kröger ruszyli za nią do kuchni.

– Co za przesranej dzień – wymamrotała, kiedy trochę się uspokoiła i zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. Głośno wytarła nos. Jej głos brzmiał nieco pewniej i bardziej zdecydowanie. Najwyraźniej poradziła sobie z pierwszą falą szoku. – Moja przyjaciółka Nika, która pomaga mi w sklepie, spakowała się i po prostu uciekła, a Frauke zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

– Pani Hirtreiter pojawiła się dzisiaj rano u siebie w mieszkaniu – powiadomiła ją Pia. – Kiedy tylko ją znaleźliśmy, została aresztowana.

Kobieta drgnęła i spojrzała na nią zaskoczona. Z wrażenia zapomniała zamknąć usta. Przeżywała właśnie kolejny szok.

– Frauke wróciła? Ale... nie rozumiem... dlaczego ją aresztowaliście?

– Jest podejrzana o zamordowanie ojca – wyjaśniła policjantka.

– Nie... – wyszeptała Franzen. – Nie wierzę... to niemożliwe...

Spoglądała nerwowo raz na Pię, raz na Krögera, ale już po chwili znów wyglądała, jakby nic się nie stało, co było dziwne, biorąc pod uwagę jej przeżycia z rana. Lecz Pia zbyt wiele razy spotykała się z ofiarami przestępstw, żeby jeszcze dziwić się jakiegokolwiek reakcji. Po szoku często przychodziła faza niemal mechanicznego, wręcz szalonego działania, po którym następowało pełne załamanie nerwowe.

– Jak ja to mam teraz sama wszystko ogarnąć?

Rozległ się dzwonek do drzwi, które wciąż jeszcze były otwarte. W progu stanęło trzech techników ubranych w białe kombinezony. Wyglądali jak załoga statku kosmicznego. Kröger wysłał ich zaraz na poddasze, a sam wrócił do kuchni. Friederike Franzen rozejrzała się, szukając czegoś.

– Muszę zapalić. Potrzebuję papierosa.

– Może zostawiła je pani w torebce – podpowiedział Kröger. – Powiedziała pani, że zapomniała jej wziąć z domu.

Kobieta spojrzała na niego i uśmiechnęła się zmieszana.

– No tak, racja.

Zespół Krögera pracował na poddaszu, a Ricky zdecydowała najwyraźniej, że papierosy mogą poczekać, bo telefon do okradzonego towarzysza życia jest w tej chwili priorytetem. Podniosła słuchawkę ze stacji dokującej na komodzie w korytarzu i kciukiem wybrała numer. Czeka-
jąc na odbiór, robiła się coraz bardziej niespokojna, a między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Nie wiem, dlaczego nie odbiera – powiedziała. – Odzywa się poczta głosowa.

Niespodziewanie stała się nerwowa.

– O Boże! Jak ja tego nienawidzę! Właśnie tego, że on znika sobie po prostu, nic mi nie mówiąc! – krzyknęła i cisnęła telefonem o blat. Przez chwilę stała nieruchomo i spoglądała przed siebie pustym wzrokiem. Nagle podskoczyła jak rażona prądem i zaczęła piszczeć.

– O nie! Boże! Psy! – zawyła. – Zostały w samochodzie! A jest upał!

– Zaraz, spokojnie! – Pia chwyciła ją za ramię i zatrzymała. – Kiedy weszliśmy do domu, w łazience obok pani klęczał nastolatek. Miał nóż. Niestety, wymknął się i zwiął. Czy domyśla się pani, kto to mógł być?

Friederike Franzen wsunęła na stopy rozdeptane czółenka, które stały przy wyjściu na taras.

– To musiał być Mark, nikt inny.

– Mark? A nazwisko?

– Mark Theissen.

Pia dostrzegła zaskoczone spojrzenie Krögera. Sama również nie posiadała się ze zdziwienia.

– Theissen? – upewniła się na wszelki wypadek. – Tak jak szef WindPro?

– Ten sam. To jego ojciec. – Kobieta zaczęła się niecierpliwić. – Przykro mi, ale nie mogę dłużej czekać. Psy siedzą w samochodzie w upale, muszę je wypuścić.

I z tymi słowami wybiegła na dwór.

– Niesamowite. Ciekawe, co porabia syn Theissena w domu Theodorakisa? – Pia pokręciła głową. – Rozumiesz coś z tego?

– Może chciał ją zabić? W sumie, diabli wiedzą. – Kröger wzruszył ramionami. – Dobra, idę do moich chłopaków. Sprawdzę, jak sobie radzą.

Pia została sama w kuchni. Patrzyła na ogród i myślała, kiedy odezwała się jej komórka. Dzwonił Cem, bo chciał wiedzieć, gdzie akurat jest.

– U Theodorakisa. Ale go nie zastaliśmy – odparła. – A co się stało?

– Mamy tutaj małe zamieszanie. No dobra, właściwie całkiem spore. Do Engel przyjechał Rademacher, wściekły jak cholera. Szef jest tam z tobą? Bo ona koniecznie chce z nim rozmawiać.

– Nie, nie ma go tu. Zadzwoń na jego komórkę, może odbierze. A ja zaraz będę wracała, tylko odbiorę z tutejszego posterunku Frauke Hirtreiter.

Zakończyła rozmowę. To, że syn największego

i najbardziej zacieklego wroga Theodorakisa klęczał w łazience jego domu z nożem w ręku, nie dawało jej spokoju. Wyszła na zewnątrz i przeszła przez trawnik i między dwoma dużymi rododendronami znalazła niewysoką furtkę, za którą znajdowała się asfaltowa dróżka. Tuż obok stało zaparkowane audi kombi z otwartą klapą. Kilka metrów dalej dostrzegła czerwony motorower, który wcześniej uderzył w jej samochód służbowy. Po drugiej stronie drogi znajdował się wybieg dla koni, którego ogrodzenie ciągnęło się aż pod las. Nieco dalej, w dolinie, widać było stajnię, a na przyległej łące plac do ćwiczeń dla psów. Powietrze pachniało już latem, słysząc było brzęczenie pszczół i kwitły polne kwiaty. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać śladu nastolatka. Nie mogła dostrzec również dwóch policjantów, którzy mieli pilnować wejścia od ogrodu.

Ricky stała plecami do niej. Opierała się łokciami o najwyższą belkę ogrodzenia wybiegu dla koni i rozmawiała przez telefon.

– ...wściekła jak cholera! – usłyszała Pia i stanęła jak wryta. – To była przesada! Nie...

Psy uwolnione z klatek w rozgrzanym samochodzie szalały na wybiegu i tarzały się w soczyście zielonej trawie. Kiedy dostrzegły Pię, rzuciły się w jej kierunku z dzikim i radosnym szczekaniem. Friederike Franzen przerwała w pół słowa, odwróciła się gwałtownie i momentalnie zamknęła komórkę.

– Co się stało? O co chodzi? – Spojrzała na Pię spod

zmarszczonych brwi. Gdyby nie rozmazany makijaż na jej policzkach, policjantka nie uwierzyłaby, że to ta sama kobieta, która jeszcze przed kwadransiem leżała nieprzytomna i skrepowana w wannie. Nie widać było po niej ani śladu szoku, jaki musiała przeżyć, ani tym bardziej radości i optymizmu, którymi zazwyczaj emanowała. Po raz pierwszy, od kiedy Pia ją poznała, Ricky zdawała się całym szczera.

– Chodzi o tego chłopca – wyjaśniła policjantka. – Czego mógł szukać w pani domu?

– Mark? Dlaczego pani o to pyta?

– Jakkolwiek by na to patrzeć, to przecież syn Stefana Theissena. A on raczej nie należy do grona państwa przyjaciół.

– Zgadza się. – Ricky potaknęła. – Rozumiem, o co pani chodzi. Mark pracuje w schronisku, które prowadzę. Jego rodzice nie byli i dalej nie są tym zachwyceni, ale to sąd wymierzył mu taką karę, więc niewiele mogli zrobić.

– Sąd?

– Tak. Zrobił jakąś głupotę i dostał prace społeczne. Ot i cała historia.

– Rozumiem... A czy wiedziała pani może, że ten czerwony motorower, na którym jeździ, należał do Rolfa Grossmanna, tego stróża nocnego z WindPro, którego znaleziono niedawno martwego?

– Nie, nie miałam pojęcia. – Kobieta wzruszyła ramionami. Jej komórka zaczęła brzęczeć i wibrować. Spojrzała na wyświetlacz i odrzuciła połączenie. Brzęczenie

ustało. – W tej chwili Bóg jeden raczy wiedzieć, ile problemów mam na głowie, które są znacznie poważniejsze niż motorower Marka.

– Też mi się tak wydaje. Czy udało się pani dodzwonić do pana Theodorakisa?

– Nie! Cały czas nie odbiera! Powoli odchodzę od zmysłów, tak się o niego boję!

Zacisnęła dłonie w pięści i uderzyła w ogrodzenie wybiegu.

– Policja przeszukuje pani dom, bo mamy nadzieję znaleźć ślady napastników – wyjaśniła Pia. – Proszę zadzwonić, jeśli pan Theodorakis pojawi się na miejscu albo odezwie się do pani. Koniecznie muszę zamienić z nim kilka słów.

– Dobrze, oczywiście. Zadzwonię. – Jej komórka odezwała się powtórnie.

Od strony doliny zbliżał się zielony jeep. Pia cofnęła się szybko w pokrzywy, które rosły przy drodze, żeby go przepuścić. Jej wzrok padł przy tym na siedzenie pasażera samochodu Friederike. Coś w niej zaczęło krzyczeć szaleńczo, ale zanim zorientowała się, o co chodzi, musiała odebrać telefon. Tym razem dzwonił Kai, który potwierdził nakaz przeszukania domu Friederike Franzen.

Ricky słuchała kierowcy zielonego samochodu terenowego. Pia nie chciała jej przeszkadzać, więc kiwnęła jedynie głową i wróciła do domu. Kobieta zachowywała się co najmniej dziwacznie. Nie widać było po niej, żeby dotknął ją jakoś mocniej los Frauke Hirtreiter, ani tym

bardziej nie sprawiała wrażenia osoby, która dopiero co musiała bać się o życie. Coś tutaj nie grało. Jej historia coraz mniej trzymała się kupy. Pia nie potrafiła powiedzieć jeszcze, o co dokładnie chodzi, ani tym bardziej, jak na to wpadła, ale niedowierzanie i podejrzliwość przejęły kontrolę nad jej sposobem myślenia.

Bodenstein zaparkował samochód w garażu i ruszył do budynku policji. Musiał zdążyć przekazać coś Pii, jeszcze zanim zacznie ona przesłuchiwać Frauke Hirtreiter – chciał wyjaśnić jej sytuację swojego ojca, obarczonego przeklętym spadkiem po Ludwigu, i powiedzieć o całej reszcie, włącznie z tajemnicą Anniki Sommerfeld. Im dłużej czekał, tym większa robiła się między nimi przepaść. Wiedział, że niedługo nabierze rozmiarów otchłani nie do zasypania, jak między nim a Cosimą.

Nie do zasypania, pomyślał. Dziwne. Wczoraj w nocy, kiedy rozmawiał z Anniką, kilka razy pomyślał o Cosimie i uświadomił sobie, że nie jest już na nią wściekły. Uraza zniknęła. Nagle zyskał nowy punkt widzenia; nową perspektywę w życiu. Nie wiedział zbyt wiele o Annice, ale to, co wiedział, nie pozwalało mu snuć dalekosieżnych planów na wspólną przyszłość. A jednak to się po prostu... zdarzyło. Zakochał się przy pierwszym spotkaniu. Od tamtego czasu wystarczyło, by o niej pomyślał, a momentalnie czuł motylki w brzuchu, przez które nie mógł jeść. Tylko raz w życiu doświadczył podobnych uczuć, z Inką Hansen, ale to było dawno,

dawno temu. Nicola była mu potrzebna, żeby uleczyć złamane serce, a Cosima miała bardzo proste zadanie. Wyzwała go, pokonała i zaciągnęła do swojego łóża jak trofeum. Teraz, patrząc na te wszystkie lata i analizując ich wspólne życie, Bodenstein musiał przyznać się przed samym sobą, że tak naprawdę nigdy nie potrafił dotrzymać kroku jej temperamentowi. W ich związku zawsze to ona nadawała wszystkiemu ton. Była mistrzynią manipulacji i nigdy nie miała problemów z forsowaniem swojego zdania w taki sposób, żeby uwierzył, że sam tego chciał. Jej niewierność była tym boleśnieszka, bo uświadomiła mu, jak mało go potrzebowała – nie nadawał się ani na towarzysza podróży, ani na żywiciela rodziny, ani nawet na kochanka. Poniżyła go okrutnie, i jakby tego było mało, zrobiła to publicznie. To zabolalo go najbardziej.

Annika była inna. Przypominała mu Inkę, z którą przez cały szereg dziwnych nieporozumień znaleźli się w miejscu, z którego nie mieli widoków na szczęśliwy koniec. Tym razem nic takiego się nie wydarzy.

Bodenstein skinął głową policjantowi w dyżurce, na co ten zwolnił elektryczny zamek w drzwiach wejściowych. Rozległo się bzyczenie i Bodenstein wszedł do środka. Na korytarzu czekał na niego Cem Altunay: doktor Engel chciała go koniecznie widzieć. I to natychmiast. Chwilę później Oliver zapukał do drzwi przełożonej. Kobieta otworzyła niemal w tej samej sekundzie, jakby czatowała na niego z ręką na klamce. Już z progu dostrzegł Enna Rademachera, który siedział na krześle przy biurku

Nicoli. Założywszy nogę na nogę, patrzył w jego stronę i uśmiechał się, obnażając żółte od nikotyny zęby. Bodenstein zaczął przeczuwać coś niedobrego.

– Bardzo pana proszę o zostawienie nas na chwilę samych – zwróciła się do niego Nicola Engel. – Pani Kirchhoff zaraz się panem zajmie.

Rademacher wyszedł z biura, a mijając Bodensteina, rzucił mu jeszcze kpiący uśmieszek. Nicola zamknęła za nim drzwi i bez owijania w bawełnę przeszła do sedna sprawy.

– Czy to prawda, że twój ojciec odziedziczył łąkę po Ludwigu Hirtreiterze? – Obeszła swoje biurko, otworzyła okno i usiadła.

Bodenstein potaknął. Co to miało znaczyć? Do czego zmierzała takimi pytaniami?

– I jest to łąka, która odgrywa pewną rolę w dochodzeniu w sprawie śmierci Ludwiga Hirtreitera?

– Zgadza się. Rademacher i jego szef, Stefan Theissen, oferowali za nią Hirtreiterowi kilka milionów euro. Przez jakiś czas zakładaliśmy nawet, że zwlekanie Hirtreitera z podjęciem decyzji może być motywem zbrodni.

– Rozumiem... a teraz łąka należy do twojego ojca.

– Jeśli przyjmie spadek po nieżyjącym przyjacielu, to tak.

– Czy to prawda, że WindPro zaoferowało twojemu ojcu takie same warunki odkupienia łąki?

– Tak, to prawda. – Bodenstein potaknął. – Rademacher starał się mnie zmusić, żebym przekonał ojca do

podpisania umowy. Zagroził mi, że w przeciwnym razie będzie sabotował działanie restauracji mojego brata i szwagierki. I zaoferował mi wynagrodzenie za pośrednictwo.

Kobieta spojrzała na niego przenikliwie.

– Pan Rademacher opowiedział mi całkiem inną historię.

– Nietrudno się domyślić, że powiedział, co mu było wygodne.

– Ponoć wczoraj zapowiedziałeś mu, że bez problemu przekonasz ojca do przyjęcia oferty WindPro i zażądałeś za swoją pomoc stu pięćdziesięciu tysięcy euro. Gotówką.

– Słucham? – Bodenstein westchnął z niedowierzaniem.

– Poza tym twierdzi, że groziłeś mu fałszowaniem dowodów, żeby obciążyć go zamordowaniem Hirtreitera, jeśli nie przystanie na twoją propozycję.

– To chyba jakiś głupi dowcip!

– Nie, wcale nie. Słuchaj, Oliver. Siedzisz w tym po uszy i nic na to nie poradzisz. Rademacher złożył na ciebie doniesienie. Próba wymuszenia, nadużycie stanowiska i szantaż.

– Nicola, nie wierz mu w ani jedno słowo, bo to kłamstwa! – zapewnił ją całkowicie rozbity. – Znasz mnie przecież! Mój ojciec zamierza odmówić przyjęcia spadku albo chce komuś tę łąkę podarować. Wiem to dopiero od kilku godzin!

– Czy Rademacher wie już o jego decyzjach?

– Nie. Najpierw chciałem się od niego dowiedzieć, dlaczego przemilczał informację, że w noc morderstwa Ludwiga Hirtreitera zniknął na kilka godzin z szefem projektantów. Do dzisiaj ani razu nie rozmawialiśmy na temat śmierci Ludwiga. Właściwie to do dzisiaj rana nie miałem pojęcia, że go odwiedził!

Doktor Nicola Engel westchnęła i opadła na oparcie fotela.

– No cóż – mruknęła i zrezygnowana wzruszyła ramionami. – Oliver, wierzę ci, wiesz o tym. Ale nie pozostaje mi nic innego, jak odsunąć cię od prowadzenia śledztwa.

– Nie możesz mi tego zrobić!

Mogła. Bodenstein wiedział, że może. Ba, musiała to zrobić, żeby swoją osobą, na której ciążyły teraz zarzuty o ingerowanie w dochodzenie, nie dał przeciwnikom możliwości podważenia jego wyników. Gdyby tak było, cały proces mógłby zostać wygrany przez oskarżonych.

Bezradnie uniósł ramiona i machnął rękoma. Jak to możliwe, że sprawy zaszły aż tak daleko? Przez dwadzieścia pięć lat w policji kryminalnej nigdy jeszcze nawet nie zbliżył się do granicy, której policjantowi przekroczyć nie wolno, a teraz z minuty na minutę pakował się w coraz większe kłopoty.

– Bardzo mi przykro. Weź kilka dni urlopu – poradziła Nicola niemal ze współczuciem. – Koleżanka Kirchhoff przejmie twoje obowiązki. Na pewno da sobie radę.

W to akurat Bodenstein nie wątpił. Jednakże to

w najmniejszym stopniu nie złagodzi wściekłości Pii.

– A co z tą drugą sprawą? – zapytał ostrożnie. – Z tymi ludźmi z Federalnego Urzędu Policji? Co szukają jakiejś kobiety?

– Niech się ten waśniak sam weźmie do roboty i nie zawraca głowy innym – odparła Nicola i uśmiechnęła się kwaśno. – Nas to nic a nic nie obchodzi. Poza tym ja te ich spiskowe teorie dziejów uważam i tak za bzdury.

Przez jedną krótką chwilę Bodenstein chciał jej opowiedzieć wszystko, co wiedział, i wyjawić, że zna miejsce pobytu Anniki Sommerfeld. Na szczęście szybko się opamiętał. Musiał koniecznie porozmawiać z dziewczyną i dowiedzieć się od niej, co się wtedy naprawdę stało.

– Ja też – mruknął i wyszedł z gabinetu.

Mark? Mark? Gdzie jesteś?

Głos Ricky wyrwał go ze snu. Przez chwilę bronił się przed przebudzeniem. Nie chciał wracać do rzeczywistości. Nie teraz...

– Mark!

Rozejrzał się zaskoczony. Telefon w kieszeni spodni wibrował, bo wcześniej wyłączył dźwięk. Tylko dlaczego leżał na słomie? I co się w ogóle stało? Od jak dawna tu był i spał? Wygrzebał telefon i spojrzął na ekran, ale przestał już dzwonić. Dopiero wtedy wróciły wspomnienia. Ricky w wannie. Policja. Ucieczka. Pospiesznie się wyprostował.

– Ricky? – krzyknął. Był rozgrzany i spocony,

a mimo to drżał. Słyszał czyjś głos, czy to był tylko sen? Podpełzł do dziury w podłodze, przez którą można było wejść na górę. W tej samej chwili z dolnego poziomu wyłoniła się czyjaś głowa.

– Tutaj jesteś! – powiedziała. – Boże, jak ty wyglądasz!

Mark zatrząsł się z ulgi. Nachylił się i objął Ricky za szyję.

– Uważaj! – wrzasnęła na niego. – Przecież zrzuciłbyś mnie z drabiny!

– Och, Ricky! – szlochał. – Tak się cieszę! Tak bardzo... myślałem... myślałem, że cię...

Słowo „zabili” nie przeszło mu przez usta. Dziewczyna sięgnęła za siebie, złapała go za nadgarstki i uwolniła się z histerycznego uścisku.

– Jesteś cały zakrwawiony i brudny jak nieboskie stworzenie – stwierdziła i odsunęła się kawałek, ale jemu to nie przeszkadzało. Ulga była tak wielka, że nie zwracał uwagi na nic innego.

– Ja... ja chciałem cię uwolnić i wtedy zaciąłem się nożem – wyjaśnił. – A potem nagle pojawili się gliniarze. Jedna z nich celowała do mnie z pistoletu. To zwiąłem. Ale co się właściwie stało?

– Zostałam napadnięta – odparła kobieta. Nachyliła się, odwróciła stojące z boku wiadro i usiadła na nim. – Ktoś opróżnił gabinet Jannisa. Wzięli wszystko. Jakiś koszmar, mówię ci.

– Napadnięta? Ale przez kogo?

– Gdybym to ja wiedziała! – Oparła brodę na rękach i potrząsnęła głową. – Jannis miał wypadek, opowiedział mi o tym leśniczy. Widział, jak go ładują do karetki.

Mark spojrzał na nią uważnie. Jannis. Ale numer.

– Muszę pędzić do szpitala – ciągnęła Ricky. – Ale przecież nie powiem mu, co się stało. Jak się dowie, że stracił komputer i wszystkie dokumenty, to dostanie jeszcze zawału albo co.

– Komputer wzięli? I wszystkie dokumenty stowarzyszenia? – dopytywał się Mark. Ricky westchnęła i potaknęła.

– Kto to mógł być?

– A czy to ma znaczenie? Niezależnie od tego, kto to wziął, cała praca poszła na marne. Nie mamy ekspertyz, nic! Wszystko psu na budę. Twój ojciec zbuduje tę farmę, a my nic nie możemy zrobić.

Mark podrapał się po głowie. Ból praktycznie zniknął. Naraz przypomniał sobie o znalezisku pod słomą.

– Poczekaj, zaraz wracam – powiedział i wspiał się zwinnie po drabinie na bele siana. Szybko znalazł to, czego szukał, i wrócił do Ricky.

– Popatrz – wyszeptał i pokazał jej broń. – Znalazłem to na górze, pod sianem.

Ricky zerwała się na równe nogi.

– Co proszę?! – wrzasnęła i cofnęła ręce, ale szybko odebrała mu strzelbę.

– Była schowana między belami siana. Daleko z tyłu.

Otrzeptał się z pyłu i poprawił ubranie.

– Nie znam się na takich rzeczach, ale wygląda na prawdziwą. Na pewno to nie jest plastikowa zabawka, bo swoje waży. – Uniosła broń i odsunęła ją kawałek od siebie. Była skonsternowana.

– Kto to mógł u mnie schować?

– Jannis? – podsunął Mark.

Ricky zamyśliła się. Potem otworzyła szeroko oczy.

– O Boże! – jęknęła głośno. – To musi być broń, z której zastrzelono Ludwiga!

Odłożyła strzelbę na podłogę i patrzyła na nią jak na jadowego węża.

– Skąd ci przyszło do głowy, że to Jannis mógł schować to coś na górze? – zapytała podejrzliwie.

– Bo on ciągle kłamie – odparł Mark z naciskiem. – Powiedział mi, że jest przeciwko farmie wiatrowej, bo miejsce, gdzie ma stanąć, zupełnie się do tego nie nadaje, a poza tym wiatraki będą źle wpływały na tereny objęte ochroną.

– No i? Przecież to prawda. – Błękitne oczy Ricky patrzyły na niego nieruchomo. Nagle poczuł, że zaraz zacznie płakać. Teraz przyszedł moment, kiedy może wszystko zepsuć. Dlaczego nie potrafi się zamknąć?

– Ale to nie jest prawdziwy powód. On walczy, bo chodzi mu o coś innego. Wszystko, co mówił w telewizji, to było kłamstwo! On ma to w dupie! Tak naprawdę chce tylko i wyłącznie zemścić się na moim ojcu i pokazać mu, że pożałuje. Nie pogodził się ze zwolnieniem i dlatego walczy. Przedwczoraj wieczorem powiedział to Nice.

I tobie też.

Ricky nie mogła oderwać od niego wzroku. Potem bez słowa nachyliła się i podniosła strzelbę z ziemi, po czym zaczęła wspinać się z nią na drabinę. Mark przyglądał się, co robi, i czekał. W końcu wróciła i stanęła obok.

– Zapytam Jannisa – oznajmiła zdecydowanym głosem. – Jadę teraz prosto do szpitala i zapytam go prosto z mostu. Jeśli się okaże, że rzeczywiście to on schował broń w mojej stodole, to nie ręcę za siebie.

Pia założyła ramiona na piersi i oparła się o ścianę korytarza. Kiedy Bodenstein wyszedł z gabinetu doktor Engel, ruszyła w jego stronę.

– Aresztowaliśmy Frauke Hirtreiter – oznajmiła. – Przyjęła to z pełnym spokojem. Tak naprawdę spodziewałam się wrzasków, krzyków i szarpaniny, ale ona tylko przeczytała nakaz i to wszystko. Theodorakisa nie dopadliśmy, ale to już tylko kwestia czasu. Może w ogóle nie będzie miał się o co martwić, bo są szanse na przyznanie się do winy i złożenie wyjaśnień. To samo dotyczy Rademachera. Pomyślałam, że ty się nim zajmiesz. Ty z Kaiem, bo ja z Cemem zaraz zabieramy się za córkę Hirtreitera.

– Pia... – zaczął Bodenstein, ale nie mógł wydusić nic więcej. Oczy policjantki błyszczały z podekscytowania, bo miała szansę na przełom w śledztwie. To dodawało jej energii do działania.

– Jeśli chodzi o Theodorakisa, to z nim jest pewien

problem. Rano włamali się do niego jacyś ludzie i kompletnie wyczyścili mu gabinet. Napastnicy obezwładnili Franzen, okleili ją taśmą, żeby się nie ruszała, i włożyli do wanny. A potrafisz zgadnąć, kogo zastaliśmy w domu Theodorakisa? Nie zgadniesz, nie masz szans! – Przerwała i spojrzała na niego wyczekująco. – No dobra, powiem ci. Syna Stefana Theissena! Stał w łazience nad wanną i machał nożem. Christian twierdzi, że mógł chcieć uszkodzić tę kobietę. Ja nie jestem o tym przekonana, ale, tak czy inaczej, coś z tym chłopaczkiem jest nie tak. Kiedy podjeżdżaliśmy pod sklep Franzen, wyjechał z podwórza motorowerem i zahaczył o mój samochód, zostawiając sporą rysę. Christian sprawdził numery rejestracyjne i okazało się, że motorower jest zarejestrowany na Rolfa Grossmanna! To chyba trochę za dużo przypadków jak na jedno śledztwo, nie sądzisz? Wracając tutaj, myślałam sobie o tym i doszłam do wniosku, że...

– Pia! – Tym razem Bodenstein zebrał się w sobie i przerwał potok jej słów. – Muszę ci coś powiedzieć!

– A to nie może poczekać?

– Nie, niestety nie. – Oliver wsunął dłonie w kieszenie spodni i westchnął. – Doktor Engel oznajmiła mi właśnie, że ze skutkiem natychmiastowym zostałem odsunięty od śledztwa i urlopowany. Ponoć ze względu na konflikt interesów.

– Słucham?! – Pia popatrzyła na niego całkowicie zdezorientowana. – Konflikt interesów? Jakich interesów?

Bodenstein potrząsnął głową.

– Już wcześniej powinienem był ci wszystko opowiedzieć...

– Wszystko? Czyli co konkretnie?

Czy to możliwe, że bracia Hirtreiter nie wspomnieli ani słowem o testamencie ojca? Czy może to Pia wystawia go na próbę?

– Rademacher i Frauke czekają – odparł Bodenstein wymijająco.

– No nie, zaraz. Poczekaj. – Pionowa bruzda między jej brwiami świadczyła o poważnej irytacji. – Nie wydaje ci się, że jesteś mi winien pełne wyjaśnienie, a nie tylko jakieś idiotyczne aluzje? Chcę wiedzieć, co się u diabła z tobą dzieje!

Nie, to nie była irytacja. To już była furia. I obraza. Najgorsze, że miała stuprocentową rację. Bodenstein zdobył się na odwagę.

– To dłuższa historia, nie dam rady ci teraz wszystkiego opowiedzieć – zaczął. – Wpadnę do ciebie dzisiaj wieczorem, jeśli nie masz nic przeciwko.

Spojrzała na niego chłodno i z dystansem. Niemal słyszała już, jak mówi: „mam coś przeciwko”, ale po chwili milczenia jednak potaknęła.

– Niech będzie – mruknęła. Najwyższy czas, mówiły jej oczy. – Dzisiaj o ósmej wieczorem u mnie w gospodarstwie. Zadzwoń, jeśli coś mi wyskoczy.

Odwróciła się, a podeszwy jej adidasów zaskrzypiały na wypastowanym linoleum. Zanim skrzyła do biura K11, obróciła się jeszcze i wycelowała w niego palec.

– Tylko tym razem mnie nie wystaw – ostrzegła.

Przez całą drogę ani razu nawet nie włączyłam radia. Słuchałam tylko płyt. W moim złomie nie ma nawet prostego odtwarzacza, a w mercedesie ojca jest świetny sprzęt muzyczny – odparła Frauke Hirtreiter, kiedy Pia dociekała, jak to możliwe, że nie miała pojęcia o tym, że jest w całym kraju poszukiwana. – A komórki nie mam.

Niesamowite. Wciąż jeszcze istnieli ludzie, którzy w czasach, gdy wszyscy zakładali, że możliwość natychmiastowego kontaktu z każdą osobą w kraju jest czymś oczywistym, mogli pozwolić sobie na luksus rezygnacji z posiadania telefonu komórkowego. Niewiarygodne, acz prawdziwe.

– A dlaczego w ogóle pani wyjechała? – dopytywała się Pia. – Co robiła pani w środę wieczorem w gospodarstwie ojca? I dlaczego zabiła pani jego kruka?

– Bo mnie to bydlę zaatakowało – burknęła Frauke. – Przez dwa lata, kiedy zajmowałam się chorą matką, musiałam znosić to odrażające zwierzę. Dzień w dzień, bez wyjątku. Musiałam sprzątać po nim gówna i zbierać pióra, które ciągle gubił, a wolno mu było latać po całym domu. Wieczorem ojciec siadał z tym ptaszyskiem przed telewizorem i oglądał filmy, zamiast pójść i porozmawiać z umierającą matką. Więc chyba nic dziwnego, że jak mnie zaatakował na schodach, przez co spadłam i się potłukłam, to straciłam panowanie nad sobą.

– Broń, z której zastrzelono pani ojca, znaleźliśmy

w szafce w pani sypialni. – Pia pokazała jej fotografię, którą Kröger zrobił komórką. Położyła wydruk przed nią na stole i czekała na reakcję. Kiedy strażnik doprowadził Frauke Hirtreiter na przesłuchanie do specjalnego pomieszczenia, zaproponowała, by dziewczyna zadzwoniła po prawnika. Jednak ona zdecydowanie podziękowała. – Poza tym dwunastego maja wieczorem była pani w gospodarstwie ojca.

Frauke Hirtreiter słuchała pytań bez nadmiernej ekscytacji, strachu czy choćby zdenerwowania. Siedziała pochylona do przodu, opierała łokcie na stole, a brodę na splecionych dłoniach. Na skórze rąk widać było ledwie podgojone zadrapania.

– Czternastego maja włamała się pani do opieczętowanego przez policję domu zamordowanego i zabrała pani coś z dużej bieliźniarki w pokoju na piętrze. – Do rozmowy, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, włączył się Cem. – Przypuszczamy, że wiedziała pani, co zawiera testament pani ojca i dlatego chciała go pani zniszczyć.

Testament! Pia cały czas nie mogła uwierzyć i zrozumieć, dlaczego Bodenstein ukrył przed nią tak ważną informację! Krótco po tym, jak opuścił posterunek, doktor Engel poprosiła ją do siebie do gabinetu i powierzyła jej tymczasowe pełnienie obowiązków szefa wydziału K11. Pia zapytała natychmiast, co było przyczyną przymusowego urlopowania szefa, na co kobieta opowiedziała jej o historii z testamentem Hirtreitera i kontrowersjami, jakie wzbudzał. W pierwszej chwili Pia

poczuła potworną złość i nawet chciała zadzwonić do Bodensteina i powiedzieć, żeby lepiej trzymał się od niej z daleka. Powstrzymała się jednak. Uznała, że jest bardziej rozczarowana niż wściekła.

Od czterech lat doskonale im się ze sobą współpracowało i ramię w ramię rozwiązyali niemało trudnych spraw. Z czasem zawodowy dystans między nimi zaczął topnieć, zastępowany przez rodzące się zaufanie, które pozwalało im całkowicie na sobie polegać. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Pia bardzo cierpiała, patrząc, jak Bodenstein zaczyna pograżać się w problemach osobistych i nie potrafi się z nich wygrzebać. Stracił przez to swoją przenikliwość i zdrowy rozsądek. Przez jego zachowanie została ze wszystkim sama. Nie mogła nawet do niego zadzwonić, żeby zapytać o radę czy pomoc, bo doktor Nicola Engel wyraźnie jej tego zabronił.

– O matko, niech będzie. – Głos Frauke wyrwał Pie z zamyślenia. – Nie mam zielonego pojęcia, jak ten karabin znalazł się u mnie w mieszkaniu, okej? Ale dam słowo, że ani nie zabiłam ojca, ani nic nie zrobiłam Tellowi. Poza tym, po co miałabym to robić?

– Bo nienawidziła pani ojca? – podsunął Cem rzeczowym tonem. – Przez całe lata pani i pani matka musiałyście znosić upokarzanie i poniżanie. Na dodatek wiemy, że jest pani świetnym strzelcem i zna się pani na broni.

Frauke Hirtreiter zaśmiała się gorzko.

– Żeby zastrzelić kogoś z kilku metrów ze śrutówki,

naprawdę nie trzeba być snajperem.

Cem nie ciągnął tego tematu.

– Czego szukała pani w domu zamordowanego w środę wieczorem? – zapytał.

– Och, na pewno poznaliście już moich braci, prawda? – Frauke westchnęła ciężko. – I pewnie też wiecie, że są niewypłacalni. Chciałam po prostu ocalić kilka rzeczy, które miały wartość dla mojej matki i przez to stały się mi bardzo bliskie. Chciałam je zabezpieczyć przed nimi, bo oni wszystko by zaraz posprzedawali. Dla nich liczą się tylko pieniądze.

– Nie wierzę pani.

– Jak pan chce. Ale okej, to nie były tylko jakieś tam pamiąteczki. Wiedziałam, że tam są też papiery do obu oldtimerów ojca. Znalazłam odpis testamentu, więc wiedziałam, że gospodarstwo przypadnie mi, a moi bracia dostaną dom po rodzicach matki w Bad Tölz. Nie chciałam jechać tak daleko moim złomkiem, więc wzięłam merca ojca.

– Pojechała pani do Bad Tölz?

– Tak. Jeszcze tej samej nocy.

– Co pani tam robiła? – Pia wróciła do przesłuchania.

– Dom rodzinny mojej matki jest już opróżniony. Od jej śmierci stoi pusty. Ojciec nigdy nie chciał tam jeździć. Dziadek mojej mamy był bardzo majątnym człowiekiem, biznesmenem i znawcą sztuki. Nałogowo kupował obrazy twórców, którzy nie byli jeszcze znani. Wydawał tyle, że na koniec nie mieli za co żyć. Mama pozbyła się większo-

ści obrazów, wyprzedając je stopniowo do różnych muzeów, ale trzy sobie zostawiła, bo jej się podobały: jeden autorstwa Carla Spitzwega, jeden Carla Rottmanna i jeden Władimira Bechtejffa z okresu Błękitnych Jeźdźców. Dzisiaj są warte krocie. Zniosłam je ze strychu i spakowałam do samochodu. Możecie sprawdzić, są w bagażniku.

– Rozumiem – zauważyła Pia kąśliwie. – Popędziła pani po obrazy, żeby je sprzedać, zanim pani bracia będą mogli zrobić to samo.

– Nie, myli się pani. Nic takiego nie przyszło mi nawet do głowy. Chcę je zatrzymać, bo mają dla mnie wartość sentymentalną.

Przez krótką chwilę w pokoju przesłuchań panowała cisza rozpraszana jedynie brzęczeniem jakiejś natrętnej muchy, która uderzała w okno, chcąc się wydostać na zewnątrz.

Pia się zamyśliła. Spojrzała uważnie na dziewczynę. W swojej karierze w policji przesłuchiwała już dziesiątki mężczyzn i kobiet, winnych i niewinnych, morderców, zabójców, działających w afekcie i w obronie własnej, kłamców, krętaczy i takich, którzy wierzyli, że są bystrzejsi od gliniarzy, więc wyprowadzą ich bez trudu w pole. Wiele osób zachowywało się nerwowo, niektórzy agresywnie, jeszcze inni płaczliwie. Do której kategorii należała Frauke Hirtreiter? Jak powinna ocenić siedzącą po przeciwnej stronie stołu kobietę, która spokojnie i niemalże z obojętnością akceptowała swój los? Czy mo-

gła być aż tak dobrą aktorką?

Pia wpatrywała się w jej twarz i szukała jakichkolwiek oznak świadczących o skrywanym poczuciu winy czy wyrzutach sumienia, lecz nie mogła ich dostrzec. Żadnego nerwowego drgania kącików ust, trzepotania powiek, rozbieganego spojrzenia, żadnego jąkania. Odpowiadała precyzyjnie, pełnymi zdaniami i bez wahania.

Wtedy Pia uświadomiła sobie porażkę. Opanowało ją beznadziejne przeświadczenie, że znów zabłądziła w ślepią uliczkę. I chociaż w szafie Frauke Hirtreiter rzeczywiście znalazła się broń jej ojca, to nie ona go zabiła – ani jego, ani psa. Dalsze przesłuchanie byłoby marnowaniem czasu.

Wstała, dała Cemowi znak, żeby wyszedł za nią na korytarz. Tyle trudnych spraw i wyzwań spadło na jej głowę, od kiedy wróciła z urlopu, że nie wiedziała, jak zacząć wyplątywać się z gmatwaniny wątków, tropów i domysłów. Bodenstein w podobnych sytuacjach starał się odciąć na chwilę od gorączkowych działań i pójść na spacer, żeby w spokoju uporządkować myśli. Chyba powinna zrobić tak samo. I to natychmiast.

– Co jest? – zapytał Cem, kiedy zamknęli drzwi. Pia oparła się wyczerpana o ścianę.

– To nie była ona – odparła i westchnęła. – Ale masakra. A taka byłam pewna.

– Niestety, chyba masz rację. Chcesz ją puścić?

– Nie. To znaczy, jeszcze nie. Tylko że potrzebuję chwili przerwy.

Cem pokiwał ze zrozumieniem głową. Pia złożyła

dłonie i się zamyśliła. Mark Theissen był u Friederike Franzen. Co on tam robił? I gdzie podziewał się Theodorakis? Jak to możliwe, że jego DNA zostało znalezione na zwłokach Grossmanna? Dlaczego Mark jeździł motocyklem należącym do Rolfa Grossmanna? Co tak bardzo uderzyło ją w aucie Friederike Franzen, czego nie mogła sobie teraz przypomnieć? Dlaczego Rademacher i Ralph Glöckner odwiedzili gospodarstwo Hirtreitera we wtorek wieczorem? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym miała większy mętlik w głowie.

– Zapytaj ją jeszcze o Marka Theissena. I wyciągnij z niej jak najwięcej na temat Friederike Franzen i Theodorakisa. – Spojrzała na zegarek. Piętnaście po drugiej. – Wrócę na czwartą. Pojedziemy razem do Theissena. Może do tego czasu uda się ustalić, gdzie się podziewa Theodorakis.

Radiowóz zatrzymał się na parkingu. Bodenstein podziękował i poczekał, aż koledzy zawrócą i odjadą. W czasie urlopu nie przysługiwał mu służbowy samochód, a prywatnego nie posiadał od zeszłego października, kiedy skasował swoje bmw. Nie sądził, żeby to było w ogóle możliwe, a jednak znów popadł w stan emocjonalny równie zły jak wówczas. Rozsądek podpowiadał mu, że nie może ukrywać Anniki, bo na dziewczynie ciąży podejrzenie popełnienia morderstwa. Serce krzyczało, że musi ją chronić.

Jak powinien się zachować? Czy mógł jej wierzyć?

Właściwie jej nie znał, a to, co do niej czuł, w znacznym stopniu upośledzało jego zdolność obiektywnej oceny sytuacji. Czemu nie powiedziała mu, dlaczego naprawdę musiała uciekać i dlaczego się ukrywała? Dlaczego to przemilczała? Wiedział, że sam niczego więcej nie wymyśli. Nie chciał odsuwać od siebie tej rozmowy. Potrzebował pewności. I to natychmiast.

Bodenstein ruszył w stronę powozowni, wszedł na piętro i otworzył drzwi. Annika – od kiedy poznał jej prawdziwe imię, wolał używać tej formy, a nie nielubianego zdrobnienia – leżała na kanapie, zwinięta w kłębuszek, z prawą ręką pod głową. Karteczka, którą zostawił jej w południe, leżała dokładnie tam, gdzie ją położył. Zatrzymał się w progu i przyjrzał się jej. Koszulka z krótkim rękawkiem naciągnęła się lekko i odsłoniła kawałek ciała na boku. Alabastrowa biel jej skóry wywołała w Bodensteinie falę wzruszenia i czułości.

Ta kobieta nie mogła być bezwzględna morderczynią! To niemożliwe! W tej chwili był gotów się założyć, że wszystkie oskarżenia zostały wymyślane w jednym tylko celu – żeby ją zdyskredytować i odebrać wszelką wiarygodność. Najprawdopodobniej rzeczywiście powierzono jej śmiertelnie niebezpieczną tajemnicę, której ujawnienie mogło zaszkodzić wielu wpływowym ludziom.

Annika zdawała się wyczuwać jego obecność. Poruszyła się, otworzyła oczy i zamrugła, oślepiona jasnym słońcem wpadającym przez okna. Przesunęła dłoń do twarzy i zaspanym wzrokiem rozejrzała się po pokoju. Na

widok Bodensteina jej twarz rozpromienił cudowny uśmiech.

– Witaj – wyszeptała.

– Cześć – odpowiedział bardzo poważnie. – Musimy porozmawiać.

Momentalnie przestała się uśmiechać i usiadła wyprostowana. Obiema dłońmi próbowała doprowadzić do ładu potargane włosy. Na jej policzku odbił się narożnik poduszki, na której spała. Oliver przeszedł przez pokój i usiadł obok niej.

– Coś się stało? – zapytała zdenerwowana.

Jak miał zacząć? Od czego? Störch i Herröder byli jego znajomymi i w normalnych warunkach nie przyszłoby mu do głowy podważać tego, co mówili. Dlaczego nagle patrzył na nią w nowy sposób, jak na przeciwnika czy nawet jak na wroga? Czyżby zaraz miał popełnić błąd?

W zielonych oczach Anniki widział napięcie i oczekiwanie. Dziewczyna siedziała zgarbiona, ściskając dłonie między kolanami.

– Dzisiaj rano na komisariacie spotkałem się z Dirkiem Eisenhutem – powiedział w końcu.

Drgnęła przestraszona i jakby zapadła się w sobie.

– Przyjechał w towarzystwie dwóch policjantów z Federalnego Urzędu Policji Kryminalnej. Powiedzieli, że mają informacje, że ukrywasz się gdzieś w okolicy. Zapytali, czy wiem, gdzie jesteś. Skłamałem i powiedziałem, że nawet cię nie znam.

Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi i wdzięczności,

lecz zniknął w chwili, kiedy zaczął mówić dalej.

– Uważają, że ty... – przerwał. Zarzut był bardzo poważny. Nie wiedział, jak zareaguje. Co mu pozostanie, jeśli go okłamię? Bodenstein zmusił się, by dokończyć zdanie. – Zarzuca ci się zamordowanie dwóch osób. Jedna z nich zginęła w Zurychu, a druga w Berlinie.

Cisza. Tylko delikatny szum wiatru w koronach drzew, przedostający się do pokoju przez uchylone okno. Bodenstein obserwował, jak na jej twarzy pojawia się wyraz niezrozumienia, który powoli zmienia się w przerażenie. Bał się oddychać, żeby jej nie spłoszyć.

– Ale... ale... ja... to niemożliwe... – wyjąkała. – Ja miałabym... ja... zamordować? Nigdy w życiu nie skrzywdziłam nawet muchy!

– Cieran O’Sullivan został zabity w pokoju jednego z berlińskich hoteli. Zgodnie z tym, co powiedzieli, widziano cię nad jego ciałem, ale udało ci się uciec.

Annika wpatrywała się w Bodensteina jak zamurowana.

– O Boże! – Przełknęła głośno ślinę, zerwała się na równe nogi i zakryła dłońmi usta i nos. Przerażonym wzrokiem wodziła po ścianach pokoju. Bodenstein wstał i podszedł do niej. Położył jej dłonie na ramionach.

– Anniko, proszę – powiedział z naciskiem. – Muszę wiedzieć, czy mogę ci wierzyć! Powiedz mi, proszę, prawdę. Czy to ty zabiłaś Cierana O’Sullivana?

Dziewczyna zbladła jak ściana.

– O Boże! O Boże! Oczywiście, że nie! – wyrzuciła

z siebie. – Dlaczego miałabym zrobić coś takiego Cieranowi? Dopiero kilka dni później dowiedziałam się z Internetu, że nie żyje. Miał zostać zastrzelony, tak napisali w artykule, ale nie tam, gdzie go znaleziono. – Zrezygnowana spojrzała mu w oczy i desperackim gestem schwyciła za ramię. – Oliver! Przysięgam, że nigdy w życiu nawet nie trzymałam w dłoniach broni!

Bodenstein w swojej karierze kilka razy zaniechał składania raportów albo opisywał w nich sytuacje, które nie miały miejsca, tylko po to, żeby opinia publiczna nie poznała szczegółów znanych tylko sprawcy. Czy jego kolega z akademii policyjnej zachował się tak samo? Jeden strzał wyglądał zupełnie inaczej niż czterdzieści pchnięć nożem.

– Wiem, że Cieran bardzo bał się o swoje życie. – Annika mówiła smutnym, zduszonym głosem. – W Wigilię rano rozmawialiśmy przez telefon. Powiedział mi wtedy, że jego znajomy rzucił się z dachu jednego z budynków uniwersyteckich. Przy czym wątpił w samobójstwo. A kilka dni wcześniej znaleziono ciało Bobby’ego Bennetta na parkingu lotniska w Zurychu. Ktoś wepchnął je do bagażnika wypożyczonego samochodu dzień po tym, jak...

Zamilkła, jakby coś do niej dotarło. Oliver widział, jak z przerażenia otwiera szerzej oczy.

– Dzień po tym jak co? – chciał się dowiedzieć.

– O Boże! On musiał o wszystkim wiedzieć! I to od samego początku! – Roztrzęsiona nabrała głęboko powie-

trza. – Jakoś musiała dotrzeć do niego informacja, że spotkaliśmy się w Zurychu, ale nie wiem jak, bo poza nami nikt nie znał szczegółów. Tylko my. O Boże. Teraz dopiero rozumiem, jak to wszystko wyglądało!

– Annika? O czym ty mówisz? – Bodenstein spojrzał na nią zdezorientowany. – Kto i co miałby wiedzieć?

Poza tym, czy Störch przypadkiem nie twierdził, że ciało Amerykanina zostało znalezione w pokoju hotelowym?

– To była pułapka na mnie. On za tym stał – mówiła dalej, jakby w ogóle nie słyszała jego pytania. – Skąd mogłam wiedzieć, czego ode mnie chce? Zawsze Dirkowi ufałam, a potem on zrobił mi coś takiego...

Annika objęła się rękoma, jakby nagle zrobiło jej się bardzo zimno, i przez kilka sekund stała tak, drżąc, z szeroko otwartymi oczyma, i nie wiedziała, co dalej.

– Co... co teraz? Jakie mam wyjście? – Jej pozbawione nadziei spojrzenie sprawiało mu niewysłowiony ból. Nie grała. Jej przerażenie było szczere, a nie udawane. Bodenstein ruszył w jej stronę, objął ją i przytulił. Natychmiast objęła go ramionami i wtuliła głowę w jego pierś, a on trzymał ją mocno i szeptał uspokajające słowa. Potem zaprowadził ją na kanapę, usiadł, i przyciągnął do siebie.

– To wszystko było zaplanowane – wyszeptała głucho. – Dirk poprosił, żebym stawiała się w Wigilię w biurze. Twierdził, że chce mi złożyć życzenia. Piliśmy szampana... a potem nic nie pamiętałam... aż do dzisiaj.

Nie wiem, co się działo, bo kiedy się obudziłam, siedziałam w zamkniętym pokoju z kratami w oknach. Kazał mnie zamknąć na oddziale psychiatrycznym!

Uniosła głowę. Miała oczy pełne łez.

– Kilka dni później wypuścili mnie na wolność. Ot tak, po prostu. Stwierdzili, że to zwykła pomyłka i nic mi nie jest. Mogę iść. – Wstrząsnął nią dreszcz. – Oddali mi moje ubranie, komórkę i kluczyki do samochodu. Nagle znalazłam się po prostu na parkingu, jakby nic się nie stało. Nie miałam pojęcia ani gdzie jestem, ani jaki jest dzień tygodnia. Miałam mętlik w głowie. Wtedy dostałam SMS-a od Cierana. Napisał, że jest w mieście i koniecznie musi ze mną porozmawiać. Pojechałam pod adres, który mi podał. Trochę się dziwiłam, dlaczego Cieran chce się ze mną spotkać w hotelu w dzielnicy Wedding, ale nie dyskutowałam, bo znał Berlin znacznie lepiej niż ja. Poza tym wiedziałam, że musimy zachowywać maksimum ostrożności. Ani przez sekundę nie wątpiłam, że wiadomość pochodziła od niego, bo przedtem kupiłam nową kartę i miałam numer, którego nikt inny nie znał. Ale nie pomyślałam, że... że Dirk miał dostęp do mojego telefonu, kiedy leżałam otumaniona na psychiatrii. Rozumiesz, co mam na myśli? On nas zwabił w pułapkę! Oboje!

Przycisnęła dłoń do ust i zaczęła histerycznie szlochać. Bodenstein głaskał ją po plecach i przytulał, a ona wróciła do swojej opowieści. Po raz kolejny dowiedział się, do jakich rzeczy zdolni są ludzie, którzy muszą za wszelką cenę zabezpieczyć nienaruszalność jakiejś tajem-

nicy.

Znanymi na pamięć ruchami osiodłała gniadą klacz, zaciągnęła popręg i wskoczyła na siodło. Od kilku tygodni Pia nie siedziała na koniu, więc spodziewała się, że już wieczorem poczuje zakwasy. Lecz w tej chwili zupełnie się tym nie przejmowała. Właściwie to nie знаła lepszego sposobu, by oczyścić głowę i uporządkować myśli, niż przegalopować się po polach i łąkach.

Klacz nie mogła ustać w miejscu. Tańczyła jak dzika, czekając na szybsze tempo. Pia z trudem nad nią panowała, zmuszając konia do spokojnego stępa. Dopiero po kilkuset metrach asfaltowej drogi prowadzącej wzdłuż autostrady Pia dojechała do pól. Przed sobą widziała nielicznych rowerzystów, spacerowiczów, skaterów i biegaczy, których rano całe tłumy krążyły po okolicy. Piękna pogoda ścigała mieszkańców Frankfurtu w niedaleko leżące góry Taunus. Pia poprawiła popręg, a potem złapała mocniej wodze i pozwoliła klaczy przejść w kłus.

Rzepak na polach po obu stronach kwitł jasnożółtymi kwiatami, cudownie kontrastując z błękitem pogodnego nieba. Odgłosy samochodów i ludzi zostawiła gdzieś daleko za plecami i już po kilku minutach słyszała jedynie tętent kopyt, sapanie konia i świergot skowronków. Klacz sama z siebie przeszła w galop, kiedy dostrzegła przed sobą dłuższy odcinek prostej ścieżki. Ziemia w wielu miejscach była rozmoknięta przez deszcz, który padał w nocy, ale koń bardzo pewnie zachowywał równowagę. Pia skre-

ciła szerokim łukiem w stronę ulicy prowadzącej z Kelkheim do Hofheim. Tam z powrotem zaczęła jechać stępą, i kiedy znalazła się na rozwidleniu, wybrała dłuższą pętlę.

Dlaczego Bodenstein nie wspomniał jej ani słowem o testamencie Ludwiga? Była bardzo ciekawa, czy choć tym razem dotrzyma słowa i pojawi się wieczorem u niej w domu.

Kopyta klaczy, która szła spokojnie stępą, zastukały na betonie. Gdzieś zza pleców Pii wyjechała niespodziewanie kobieta na rolkach, pchając przed sobą jeden z tych nowoczesnych i bardzo drogich wózków do joggingu. W środku spało dziecko. Pia popatrzyła na nią i z zazdrością zatrzymała wzrok na jej szczupłych, wytrenowanych nogach. Nieznajoma musiała mieć około czterdziestki, a w tym wieku, to Pia wiedziała z doświadczenia, nie daje się utrzymać takiej figury ot tak sobie. Myślami wróciła do Friederike Franzen. Ona również miała doskonałą figurę jak na swój wiek. I ani grama tłuszczu pod opaloną skórą – same mięśnie. Zauważyła to, kiedy dziś rano objęła ją, pocieszając.

Pia przepuściła dwójkę rowerzystów, a potem skręciła w lewo, w kolejną polną drogę prowadzącą z powrotem do jej domu. Z początku przeszła w kłus, a potem szybko w galop. W uszach słyszała świst wiatru i cieszyła się słońcem na twarzy.

I wtedy nagle wszystkie poplątane myśli w jej głowie rozprostowały się jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki. Torebka! Oczywiście, że to torebka wzbudziła jej nieufność! Friederike Franzen twierdziła, że wróciła do domu, bo na kuchennym stole zostawiła torebkę. A przecież torebka leżała na siedzeniu pasażera w jej audi!

Pia zwolniła i z kieszeni wydobyła komórkę. Otworzyła listę wcześniej wybranych telefonów i znalazła jeden z kierunkowym z Königstein. Właścicielka mieszkania, w którym mieszkała Frauke Hirtreiter, zgłosiła się po drugim dzwonku.

– Tak, tak właśnie było – odpowiedziała na pytanie Pii. – Pani Franzen wpadła dzisiaj rano na krótko do sklepu. To znaczy nie, nawet nie do sklepu. Posiedziała tylko trochę w samochodzie na podwórzu i rozmawiała z kimś przez ten czas. A potem odjechała. Nawet nie wysiadła. Powiem pani, że dla mnie to było dziwne, więc obserwowałam ją przez okno.

Z głosu staruszki przebijała duma. Wszystko wskazywało na to, że od samego rana, bez chwili przerwy obserwowała podwórze domu. Pamiętała wszystko, co się wydarzyło, i potrafiła podać dokładnie kiedy. Wymarzony świadek.

– Chłopak przyjechał tuż przed dziesiątą. Normalnie sklep otwiera się o tej godzinie, ale dzisiaj Nika nie pojawiła się w pracy. No to on usiadł na schodkach z tyłu i wyciągnął telefon. Był coś niecoś nerwowy, powiem pani. Hm, nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię...

– Mark – pomogła jej Pia.

– No tak, oczywiście! Mark! – ucieszyła się kobieta.
– Widzi pani, w moim wieku człowiek zapomina to i owo.

– Pani nie musi się tego bać, bo ma pani doskonałą pamięć – skomplementowała ją policjantka i podziękowała za informacje. Następnie spróbowała odtworzyć chronologicznie dzień Friederike Franzen. Przed ósmą rano wjechała na podwórze sklepu, została w aucie i przez jakiś czas rozmawiała przez telefon. Stamtąd musiała wrócić do domu. Tylko po co? Czy naprawdę czegoś zapomniała? Jej wersja nie trzymała się kupy. Pia wyczuwała w niej niespójności. Do tego jeszcze ta rozmowa telefoniczna, kiedy wyszła z domu wypuścić psy z samochodu. Pia przez przypadek usłyszała kilka słów. Mówiła, że jest wściekła i że ktoś przesadził. Co to mogło oznaczać? Z kim rozmawiała? Czy z Theodorakisem? I co syn Stefana Theissena robił w domu wrogów swojego ojca? Mark mógł przebywać w biurach WindPro, kiedy tylko chciał, pewnie nawet w nocy. Znał to miejsce na pamięć. Jeśli Jannis Theodorakis i jego przyjaciółka podburzyli chłopaka przeciwko rodzicom, czy mogli go przekonać, żeby wykradł dla nich sfałszowaną ekspertyzę?

Same pytania i pytania! Lecz Pia była przekonana, inaczej niż dwie godziny wcześniej, że odpowiedzi pojawią się szybko. Kluczem był chłopak.

Jannis powoli zaczynał dochodzić do siebie. Miał wrażenie, że jego usta wypełnia kłęb waty, a opuchnięte wargi nie chcą się ruszać. Na szczęście nie czuł bólu –

a to dzięki kroplówce, która wisiała nad łóżkiem i spływała przezrzystą rurką do igły wbitej w jego lewe ramię. Wcześniej, w czasie obchodu, lekarz powiedział, że miał szczęście w nieszczęściu, bo co prawda stracił pięć zębów, ale miał całą szczękę. Lewa noga została złamana w kilku miejscach naraz i czekał teraz na operację zespolenia odłamków śrubami i gwoździami. Pozostałą część jego ciała pokrywały sińce, zadrapania i rozcięcia, które nawet przy lekkim muśnięciu piekielnie mocno bolały.

Kiedy obudził się z narkozy, musiał dłuższą chwilę się zastanowić, zanim się zorientował, gdzie jest. Sam wypadek pamiętał tylko fragmentarycznie, lecz strach o życie i przerażenie bardzo dokładnie. Najgorzej było, kiedy sobie uświadomił, że napastnicy nie żartowali. Wyrachowani, bezwzględni mordercy, którzy w biały dzień potracili go samochodem, a potem jeszcze pobili. Coś się wtedy w nim zmieniło. Nigdy już nie zapomni tych strasznych chwil. Strach do końca życia zostanie jego nieodłącznym towarzyszem. Co by się z nim stało, gdyby przypadkowo nie przechodziła w pobliżu kobieta z psem? Jannis poczuł dreszcz i westchnął głęboko. Nika miała rację ze swoimi obawami, które on lekkomyślnie zlekceważył. Bardzo źle ocenił sytuację, w jakiej się znalazł, i tyle. Szkoda, że nie potrafił panować nad swoim językiem. Cholera. Czasem lepiej milczeć.

Przechylił głowę w lewo. Ricky oczywiście nie przyniosła mu zapasowych okularów, bo skąd miała wiedzieć,

że jego zostały zniszczone? A kiedy przyszła, zaniósła się płaczem i wyła do końca wizyty. Nie rozumiał, po co ten cały teatr. Może i wyszedł na niewdzięcznika, ale cieszył się, że już sobie poszła, bo nie potrafił znieść ciągłego robienia z igły wideł i atmosfery nerwowości, która ją otaczała.

Zaspanym wzrokiem obserwował promienie zachodzącego słońca przesuwające się po pomalowanych na biało ścianach. Na zewnątrz był piękny, letni dzień, choć dopiero co minęła połowa maja. A on leżał tutaj nieruchomo, skazany na bezczynność. Rozległo się pukanie do drzwi. Drgnął. Pierwsze, co zobaczył, to ogromny bukiet kwiatów.

– Ma pan wizytę! – zaszczębiotała pulchna salowa o azjatyckich rysach twarzy. – Tata i brat – dodała radosnym głosem.

W ułamku sekundy Jannis był rozbudzony. Nie miał brata i zgodnie z tym, co wiedział, jego ojciec siedział w celi ze ścianami wyłożonymi gumą w szpitalu psychiatrycznym w Riedstadt. Drzwi zamknęły się bezgłośnie za dwójką mężczyzn, których rozmazane twarze z tej odległości były nie do rozpoznania. Wyższy z nich rzucił kwiaty niedbale na stolik pod oknem. Drugi stanął obok łóżka.

Jannis aż sapnął, kiedy w końcu ich rozpoznał. Poczował, jak strach, niczym fala zimna, wędruje od nóg w górę jego ciała. Przyszli po niego, tak jak zapowiedzieli.

Dom Stefana Theissena przy Ölmühlweg w Königstein okazał się przepięknym budynkiem w stylu secesyjnym, z wykuszami, wieżyczkami i balkonami. Wieczne słońce przebijające się między wysokimi sosnami wzbudzało cudne refleksy na zadbanej elewacji i złotych szprosach w oknach. Pia zadzwoniła i odsunęła się od eleganckich drzwi z przeszkleniem z wypiaszowanymi ornamentami, które same w sobie były już dziełem sztuki. Na schodach rozległy się pospieszne kroki i ktoś nacisnął klamkę. W progu pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna, na oko dwudziestoletnia. Miała duże, sarnie oczy otoczone starannym makijażem i jaskrawopomarańczową bluzkę Hollistera. Spojrzała na nich bez nadmiernego zainteresowania.

– Dzień dobry. – Przesunęła wzrok z Pii na Cema. Przez chwilę w jej oczach pojawiła się ciekawość.

– Dzień dobry, nazywam się Pia Kirchhoff i jestem z policji – przedstawiła się Pia, pokazując swoją legitymację. – A to mój partner, Cem Altunay. Chcielibyśmy rozmawiać z państwem Theissen.

– No tak. Pewnie. – Zrobiła się czerwona, jakby ktoś przyłapał ją na czymś niewłaściwym. – Zaraz zawołam rodziców.

Po tych słowach odwróciła się i zniknęła. W środku domu słychać było pianino.

– Chopin – stwierdził Cem. – Co prawda wykonanie nie nadaje się na koncert, ale poziom i tak trzyma.

Pia spojrzała na niego zaskoczona, a potem rozejrzała się po przedpokoju. Również w środku dom był przepiękny, a, co więcej, urządzony z prawdziwym smakiem. Antyki i nowoczesne meble, ekspresjonistyczne obrazy na wysokich, pomalowanych kremową farbą ścianach, a w salonie, który widać było częściowo przez otwarte drzwi, sięgające samego sufitu wysokie regały z książkami. Pomyślała, że to jeden z tych nielicznych domów, w których człowiek momentalnie czuje się jak u siebie. Pianino ucichło i chwilę potem na spotkanie wyszedł im Stefan Theissen.

– Proszę, niech państwo wejdą. – Nie podał im na powitanie dłoni i nie ukrywał, że nie jest zachwycony, widząc policję w swoim domu. – Moja żona zaraz zejdzie.

Pia i Cem ruszyli za nim do pokoju dziennego. Theissen nie zaprosił ich, by usiedli.

– Czy to pan grał? – zapytał Cem.

– Tak – burknął Theissen. – Czy to wbrew prawu?

– Ależ nie! – Cem uśmiechnął się miło. – Chopin. Bardzo dobrze pan gra.

Przez twarz Theissena przemknął zaskoczony uśmiech. Biznesmen odprężył się nieco, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, do pokoju wkroczyła jego żona. Nie dało się przeoczyć jej podobieństwa do Miss Hollister – bez wątpienia była matką dziewczyny, która otworzyła im drzwi. Równie szczupła, ale już pozbawiona tej młodzieńczej świeżości, która dość przeciętnej twarzy córki dodawała piękna.

– Dzień dobry. – Pia przywitała się z żoną Theissena i również jej pokazała swoją legitymację. – Czy wiedzą państwo, gdzie jest Mark? Koniecznie musimy z nim porozmawiać.

– A to dlaczego? – Pani Theissen zmarszczyła czoło i spojrzała zaskoczona na męża. – Czyżby znowu w coś się wpakował?

– Mamy podstawy podejrzewać, że jest w jakiś sposób zamieszany w sprawę dwóch przypadków śmiertelnych, które staramy się wyjaśnić. – Pia nie miała ani czasu, ani ochoty na długie tłumaczenie, o co chodzi.

– Skąd taki idiotyczny pomysł? – zaatakował ją wzburzonym głosem Stefan Theissen.

– Są przesłanki, które na to wskazują – odparła Pia, nie precyzując jednak, jakie to przesłanki. – Gdzie go znajdziemy?

– Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie powiedział, kiedy wróci ani dokąd idzie.

– My za to wiemy, gdzie był dziś rano – poinformowała ich Pia. – Mianowicie w domu Friederike Franzen i Jannisa Theodorakisa. Trochę nas to zaskoczyło.

– Dlaczego? Mark pracuje u pani Franzen w schronisku dla zwierząt – odparła matka. – Po tej sprawie z samochodami...

– Czego konkretnie chcecie od mojego syna? – Stefan Theissen przerwał żonie, nie patrząc nawet w jej stronę. – O co go oskarżacie?

Pia nie mogła pojąć, dlaczego przy pierwszym spo-

tkaniu ten człowiek wydał jej się sympatyczny.

– Niech mnie pan dobrze posłucha – powiedziała z naciskiem. – To wszystko zdaje się pana niewiele interesować, ale proszę pamiętać, że tydzień temu miało miejsce włamanie do pańskiej firmy, a jeden z pracowników poniósł śmierć. Podejrzewamy, że syn miał coś wspólnego z tym zdarzeniem. Dlatego chcemy z nim porozmawiać.

– Ale Mark nie miał przecież nic wspólnego ze śmiercią Rolfa! – wtrąciła się zdezorientowana pani Theissen. – On...

Mąż obdarzył ją spojrzeniem, po którym wołała zamilknąć.

– Nie twierdzimy, że państwa syn jest odpowiedzialny za tę śmierć – uspokoiła ją Pia, nie odrywając wzroku od Stefana Theissena. – Jednak w jakiś sposób pan Theodorakis musiał wejść w posiadanie sfałszowanej ekspertyzy i pańskich mejli, prawda? Proszę sobie przypomnieć, jakie problemy wywołało już samo wspomnienie o nich w czasie spotkania w Ehlhalten. Czy istnieje prawdopodobieństwo, że Theodorakis nastawił Marka przeciwko państwu i namówił go do włamania?

Theissen miał kamienny wyraz twarzy.

– Mój syn nie zrobiłby czegoś takiego – oznajmił lodowatym tonem. – A teraz proszę opuścić mój dom. Natychmiast.

– Dlaczego pański syn jeździ motorowerem Rolfa Grossmanna? – zapytała Pia, jakby nie usłyszała jego po-

lecenia. – Skąd te rany na jego twarzy? Gdzie przebywał w piątek w nocy? I gdzie jest teraz? Z tego, co wiem, ma dopiero szesnaście lat, co oznacza, że nie dopełniacie państwo ciężącego na was obowiązku właściwej opieki nad osobą małoletnią. Zdawaliście sobie z tego sprawę?

– Ktoś ukradł jego skuter – wyjaśniła matka Marka. – A jestem pewna, że mój brat nie miałby nic przeciwko temu, żeby mój syn jeździł jego motorowerem.

Na chwilę w salonie zapadła martwa cisza.

– Słucham? – powtórzyła Pia, nie kryjąc zaskoczenia. – Pani brat?! Rolf Grossmann był pani bratem?

Kobieta potaknęła i w tym momencie pojęła, że powiedziała coś, co na pewno nie spodoba się jej mężowi.

– Gdzie pan był dzisiaj rano, panie Theissen?

– Tutaj, na miejscu – odparł mężczyzna. – Potem kilka godzin pracowałem w firmie. A od piętnastej jestem w domu.

– Dziękuję. – Pia skinęła lekko głową. – To by było na razie wszystko. Miłego wieczoru.

Pan mnie nic a nic nie interesuje, panie Theodorakis. – Profesor Dirk Eisenhut mówił cichym, zmęczonym głosem. Przysunął sobie krzesło dla gości i usiadł obok łóżka Jannisa. – Jest pan mi całkowicie obojętny i to, co się z panem stanie, nie ma dla mnie znaczenia. Ale obawiam się, że nie zrozumiał pan jeszcze, jak ważna jest dla mnie każda informacja, która pomoże mi odnaleźć Annikę Sommerfeld.

Jannis bał się choćby mrugnąć. Serce waliło mu jak oszalałe, jakby chciało rozerwać żebra. W końcu rozejrzał się w poszukiwaniu przycisku, którym mógłby wezwać kogoś z personelu, lecz ten wisiał zbyt daleko.

– Wspomniał pan o niej w czasie naszego pierwszego spotkania i domyślam się, że wie pan, gdzie mogę ją znaleźć. – Eisenhut przesunął dłońmi po znużonej twarzy. Potem poprawił włosy i westchnął. – Nie chcę robić tutaj wielkiej afery i nie zależy mi na wzbudzaniu sensacji, dlatego raz jeszcze pytam pana po dobroci: gdzie jest Annika? Co pan miał z nią wspólnego?

Drugi mężczyzna stanął w nogach łóżka. Miał co prawda okulary przeciwsłoneczne, ale Jannis był przekonany, że to jeden z napastników, którzy rano doprowadzili go do stanu, przez który znalazł się w szpitalu.

W pokoju zapanowała absolutna cisza. Przez zamknięte drzwi słychać było śmiechy i głośne rozmowy z korytarza. Jeśli zacznie teraz krzyczeć i wzywać pomocy, na pewno ktoś go usłyszy i przybiegnie. Ale czy to coś da? Ze złamaną nogą na pewno im nie ucieknie ani tym bardziej nie będzie mógł się ukrywać. Eisenhut i jego go-ryle znajdą go w try miga. Poczul się bezradny.

– Niech pan posłucha, panie Theodorakis. – Eisenhut milczał przez chwilę, ale zaczął się niecierpliwić. – Jestem kulturalnym i cywilizowanym człowiekiem. Brzydzę się przemocą. Dlatego chciałbym złożyć panu pewną ofertę. Ja pomogę panu, pan pomoże mnie.

Mówił tak cicho, że Jannis miał problem, by go zro-

zumieć.

– Pański były szef nie jest szczególnie pozytywnie nastawiony do pańskiej działalności w związku z problemami, które mu pan robi w sprawie nowej farmy wiatrowej. Jego prawnicy kończą już przygotowywanie całego szeregu pozwów przeciwko panu, zaczynając od zdrady tajemnicy firmowej, poprzez złamanie postanowień polubownego rozwiązania stosunku pracy, aż po pogwałcenie klauzuli poufności, do której się pan zobowiązał. Poza tym dochodzą jeszcze sprawy z powództwa cywilnego o stosowanie przemocy, pomówienie, publiczne szkalowanie i tak dalej. Niezależnie od tego, jak i kiedy się pan z tego wygrzebie, zapewniam, że smród będzie się za panem ciągnął do końca życia. Obecny pracodawca nie przedłuży z panem umowy. A banki są bardzo niechętne w stosunku do niedyskretnych pracowników. Jednak Theissen ma u mnie dług. Mógłbym go przekonać, żeby nie pozywał pana do sądu. Ale mogę też zadbać, żeby dodatkowo stracił pan pracę i żeby nigdy nikt już pana nie zatrudnił. Bo widzi pan, mam bardzo wielu wpływowych przyjaciół. Proponuję panu zatem zwykłą zamianę: pan przekaże mi wiedzę, której potrzebuję, a ja zniknę z pana życia tak samo, jak się w nim pojawiłem.

Jannis przełknął głośno. Wiedział doskonale, że groźby tego człowieka były bardzo realne. Nie miał wyboru.

Słońce zniknęło za szczytami gór. W pokoju zrobiło się ciemno, ale ani Eisenhut, ani drugi mężczyzna nie

zwracali na to uwagi.

– No, to jak będzie?

– Nika pojawiła się kilka miesięcy temu – wydukał. Przez brakujące zęby mówił bardzo niewyraźnie i seplenił. – Ona i moja dziewczyna są przyjaciółkami. Powiedziała, że się wypaliła i potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie.

Mówił i mówił. Powiedział wszystko, co wiedział o Nice. I miał gdzieś, czy sprowadza na nią niebezpieczeństwo czy nie. Teraz był na nią wściekły. Bo to wszystko to była jej wina. To przez nią leżał w szpitalu. Po co przyjechała akurat do nich? Nie mogła znaleźć sobie innej kryjówki? Nie interesowało go, dlaczego Eisenhut jej szuka. Jeśli powie mu prawdę o Nice, zostawi go w spokoju i będzie mógł dalej normalnie żyć.

– Jestem przekonany, że ukryła się u tego Bodensteina – zakończył, wyczerpany długą przemową. – Uciekła od nas w środku nocy. Nie wzięła samochodu ani roweru. Poszła piechotą przez las. Do tego gliniarza to tylko pół godzinki. Tak teraz myślę, że na pewno tam jest. Tam ją znajdziecie, z tym gliną. Nawet widziałem ich razem.

Nie mają zielonego pojęcia, co się dzieje z ich synem. Nie wiedzą, gdzie się włóczy ani z kim się zadaje. – Kiedy wsiedli do samochodu, Pia zrobiła ponurą minę i popatrzyła na Cema. – Ale mówię ci, chłopak ma coś wspólnego z włamaniem do firmy i śmiercią Grossmanna.

– Jak mogliśmy nie zauważyć, że Grossmann był

szwagrem Theissena? – zapytał Cem.

– Nie wiem, ale w tej chwili to bez znaczenia. – Pia zapięła pas i uruchomiła silnik. – Chyba że uważasz inaczej?

Ktoś zapukał niespodziewanie w okno. Pia podskoczyła ze strachu. Dopiero po chwili poznała dziewczynę, która wpuściła ich przed chwilą do domu rodziców. Opuściła szybę.

– Mogę wsiąść? – zapytała siostra Marka Theissena i rozejrzała się niepewnie po okolicy. – Tata nie byłby raczej zachwycony, że z wami rozmawiam. Nie chcę, żeby mnie zobaczył.

– Tak, pewnie – odparła zaskoczona policjantka. – Wskakuj.

Dziewczyna otworzyła tylne drzwi i wsunęła się na kanapę.

– Przy okazji, jestem Sarah – przedstawiła się. Potem nabrała głęboko powietrza i zaczęła mówić.

– Chciałam porozmawiać o Marku. Bo wczoraj wieczorem kompletnie mu odbiło. Zaczął walić głową w biurko, aż cały ociekał krwią. Coś musiało się stać. Nie wiem co. W każdym razie znów zaczął się dziwnie zachowywać. Nie rozumiem go.

– Znów? Co ma pani na myśli?

– No, chodzi o tę sprawę z internatem... – Sarah Theissen uniosła znacząco brwi. – Od tamtego czasu nie jest sobą.

– A co to za sprawa z internatem? – dopytywała się

Pia.

– Przez dwa lata był wykorzystywany seksualnie przez jednego z nauczycieli. Moi rodzice nie potrafili sobie z tym poradzić. Unikają tego tematu jak ognia. Ale wiem o wszystkim, bo widziałam listy z policji i od psychologów.

Pia i Cem wymienili znaczące spojrzenia.

– Kiedy to się stało? Ile lat miał wówczas pani brat?

– To było dwa lata temu. Skończył czternaście lat, kiedy wpadł jego nauczyciel.

– Jak Mark daje sobie z tym radę? Czy ktoś z nim na ten temat rozmawia?

– Nie. – Sarah potrząsnęła głową. – Nigdy nie wspominał nawet słowem o tamtych sprawach. Poza tym nie ma żadnych znajomych i tylko przesiaduje przed komputerem. Mama wyciągnęła go kilka razy do psychologa, ale on nie chciał nic mówić. Siedział i milczał przez całą wizytę. W pewnym momencie przestała nalegać. Mniej więcej pół roku temu miał się zacząć proces jego nauczyciela. Okazało się, że ta świnia wykorzystywała nie tylko mojego brata.

Z odrazą skrzywiła twarz.

– Ale tchórz powiesił się w celi. Zrobiło się głośno, nawet powiedzieli o nim w telewizji. Mark też się dowiedział. Tamtego wieczoru całkowicie mu odbiło. Wziął jeden z kijów golfowych taty, wybiegł na ulicę i zaczął niszczyć samochody. Uszkodził dziesięć aut. A potem położył się na środku ulicy i czekał na... na policję czekał.

Został skazany na prace społeczne. W ten sposób trafił do schroniska dla zwierząt prowadzonego przez Ricky. Od tamtego czasu wszystko było dobrze. Aż do teraz. Bo kilka dni temu znów zaczął grać w te swoje gry komputerowe. I to godzinami.

– Jakie gry?

– „Counterstrike”. „Soldier of Fortune”. „Rogue Spear”. I podobne. – Odsunęła z twarzy kosmyk włosów. – Moi rodzice nie wiedzą, co się z nim dzieje i jak mu pomóc. Od zawsze zresztą zajmowali się tylko swoimi problemami.

– Czy Mark chodzi do szkoły? – zapytał Cem.

– Niby tak, ale większość czasu wagaruje. Nauczyciele dzwonią bezustannie, ale to nic nie daje.

– Gdzie może teraz być?

– U Ricky. Na sto procent. – Zawahała się. – Powieździeście moim rodzicom, że Ricky i jej chłopak mogli nastawić Marka przeciwko nim. Też tak myślę. Nie chodzi o to, że on ich nienawidzi, ale na pewno niedługo zacznie.

– Dlaczego właściwie Mark trafił do szkoły z internatem? Przecież w okolicy jest sporo dobrych szkół – zainteresowała się Pia.

– Nasi rodzice nie mają dla nas czasu. – Sarah wzruszyła ramionami. – Wtedy akurat zaczął się kręcić interes z farmami wiatrowymi. Ja i siostra bardzo się broniłyśmy przed wysyłaniem nas do internatu, ale Mark nie miał najmniejszych szans. Musiał być posłuszny i koniec.

Obiecali mu, że na każdy weekend będą go odbierali do domu. Nie dotrzymali słowa. Wszystko było ważniejsze niż my.

Pia spróbowała przypomnieć sobie, jak wyglądał chłopiec, który rano wpadł na jej samochód, a potem uciekł. Nie potrafiła wyobrazić sobie jego twarzy, ale zapamiętała jego minę. Myślał, że Friederike Franzen nie żyje. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak strasznie musiał się bać. Ricky była najwyraźniej jedyną osobą w jego świecie, która miała dla niego czas i która dawała mu poczucie sensu.

– Dzięki, Sarah. – Cem uśmiechnął się do dziewczyny. – Bardzo mądrze się zachowałeś. I bardzo nam pomogłeś. Proszę, to jest moja wizytówka. Dzwon, jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy albo kiedy Mark wróci do domu.

– Nie ma sprawy. Zadzwoń. – Również się uśmiechnęła i momentalnie oblała rumieńcem. Zakłopotana spuściła szybko wzrok.

– Jeszcze jedna sprawa – przypomniała sobie Pia. Dziewczyna już otwierała drzwi, żeby wysiąść. – Rolf Grossmann był twoim wujkiem, tak?

– Zgadza się. A dlaczego pani pyta? Chodzi o to, że Mark jeździ jego motorowerem?

– Nie, nie o to. Może potrafiłabyś nam wytłumaczyć, dlaczego twój ojciec tak bardzo go nie lubił?

Sarah Theissen się zastanowiła.

– Poszło o pieniądze – odparła w końcu. – Wujek

Rolf coś wynalazł i opatentował. WindPro to była jego firma, a właściwie to firma mojego dziadka. Tylko że wtedy jeszcze robiła zupełnie normalne urządzenia. Tata pracował tam w czasie studiów. Tak poznali się z mamą. Kiedy dziadek zmarł, mama i wujek Rolf odziedziczyli firmę, ale żadne z nich nie znało się na prowadzeniu interesów. Tata zajął się zarządzaniem i zrobił z tej firmy coś naprawdę dużego. Wujek Rolf chciał mieć udziały. To znaczy, bardziej chodziło mu o żywą gotówkę. Marzył, żeby wyprowadzić się do Hiszpanii. Ale tata zawsze zwodził go obietnicami, więc bez przerwy się kłócili.

– Super. Dzięki.

– Nie ma sprawy. To... do widzenia! – Sarah wysiadła z auta i zatrzasnęła drzwi. Pia i Cem odprowadzili ją wzrokiem, aż zniknęła za zakrętem, a potem policjantka uruchomiła silnik. Kawalek dalej zawróciła, żeby odjeżdżając, jeszcze raz przyjrzeć się pięknej willi Theissena.

– Kiedy zobaczyłam ten dom od środka, pomyślałam, że rodzina, która w nim mieszka, musi być szczęśliwa – powiedziała. – Emanuje takim, sama nie wiem, ciepłem? Bezpieczeństwem? A tymczasem proszę, jak człowiek może się mylić.

– To wszystko pozory – zgodził się Cem. – Ale chłopa tak czy inaczej mi żal.

Pia wyszła spod prysznicza i sięgnęła po ręcznik, który przewiesiła wcześniej przez brzeg umywalki. Ciepła woda rozluźniła spięte i nieco obolałe mięśnie. Czowała się przy-

jemnie odprężona, a co jeszcze lepsze, udało jej się nie myśleć o prowadzonym śledztwie. Kusilo ją, żeby zadzwonić do Bodensteina i odwołać spotkanie. Była wyczerpana i tęskniła za spokojnym wieczorem, sam na sam z Christophem. Po trzech bardzo intensywnych tygodniach w Chinach praca tak bardzo ją pochłoneła, że przez ostatnich dziesięć dni prawie się nie widywali. Pia rozczesała mokre włosy, odsunęła je z twarzy i zapięła kłamrę, żeby się nie rozsypywały. Potem owinęła się ręcznikiem i przeszła do sypialni.

– Pia?

Christoph wetknął głowę do środka.

– Grill rozpalony – zameldował. – I twój szef jest już na miejscu.

– Świetnie. Zaraz zejść. – Pia nachyliła się nad szufladą i zaczęła szukać konkretnej koszulki z krótkim rękawkiem, ale nie znalazła jej. Pewnie leżała gdzieś w koszu z brudami, które czekały na swoją kolej do pralki.

– Nie przyjechał sam. Towarzyszy mu jakaś kobieta.

– Co? – Odwróciła się gwałtownie, uderzając się przy tym boleśnie w głowę. Czyżby Bodenstein okazał się aż tak bezczelny, by zabierać ze sobą tę kłamczuchę?! Chyba zupełnie stracił poczucie przyzwoitości. W jednej chwili opuściły ją resztki humoru, jakie jeszcze potrafiła z siebie wykrzesać. Nie chciała jednak wyładowywać się na Christophie – w końcu on w żaden sposób nie odpowiadał za stan, w jakim była.

– Nie spiesz się – powiedział i pocałował ją. – Ja zajmę się winem.

– Tylko weź jakieś tanie! – krzyknęła za nim Pia. – Ta jędza nie zasłużyła na Pomerol z dziewięćdziesiątego piątego!

– No patrz, nawet nie wiedziałem, że trzymamy takie skarby w piwnicy – odparł Christoph uradowany. Pia nie wytrzymała i musiała się roześmiać.

– Oj, głuptasie! Przecież wiesz, co miałam na myśli! Weź butelkę czerwonego wina z Aldi. Smakuje lepiej, niż wygląda.

– Nie ma sprawy. – Christoph puścił do niej oko i wyszedł. Pia poddała się i przerwała poszukiwanie ulubionej koszulki. Włożyła jasne dżinsy, bluzeczkę i bluzę z kapturem. W łazience wysuszyła włosy, zawijając je na szczotkę, nałożyła szminkę, a na koniec zdecydowała się nawet nałożyć cień do powiek. Spojrzała krytycznie na swoje odbicie w lustrze, nabrała głęboko powietrza i przez salon wyszła na taras.

Bodenstein stał z kieliszkiem wina w dłoni i rozmawiał z Christophem. Kobieta obok niego była wyraźnie zmieszana i nie czuła się swobodnie.

I dobrze ci tak, pomyślała Pia. Nie masz czego tu szukać.

– Witam – powiedziała i zmusiła się do uprzejmego uśmiechu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby podać Bodensteinowi rękę. Czuła, że powrócił dawny dystans między nimi. Oliver znów był bardziej jej szefem niż

przyjacielem czy członkiem rodziny, którego całuje się na powitanie, niezależnie od tego, co robi.

– Cześć, Pia. – Bodenstein miał minę, jakby też się zmuszał do uśmiechu. Na jego twarzy wyraźnie było widać napięcie. Mimo że policjantka przez ostatnie lata widywała go właściwie codziennie, dziś miała wrażenie, że to ktoś obcy. – Pozwól, że przedstawię Annika. Anniko, to moja współpracowniczka, Pia Kirchhoff.

Kobiety skinęły głowami. Christoph nalał wina i podał kieliszek Pii.

– Macie trochę do obgadania – powiedział, bo Pia poinformowała go wcześniej o przyczynie wizyty Bodensteina. – Nie przeszkadzajcie sobie, a ja zatroszczę się o steki i kielbaski.

– Proszę bardzo. – Pia wskazała na stół. Prawdę mówiąc, miała nadzieję na rozmowę w cztery oczy, lecz ku jej rozczarowaniu na teakowej ławce usiadł nie tylko jej szef, ale również jego towarzyszka. Pia zajęła miejsce na krześle naprzeciwko. W krzakach obok tarasu słychać było cykające świerszcze, a w wieczornym powietrzu niósł się monotony, ale ledwie słyszalny szum nieodległej autostrady.

– Przede wszystkim chciałem ci bardzo podziękować, że poświęciłaś mi swój wolny wieczór – zaczął Oliver, a jego słowa momentalnie wyprowadziły Pię z równowagi.

– Nie musisz mi dziękować – odparła oficjalnie. – Zawsze jesteś tu miłym gościem. I też nie jest to dla mnie

przykre, że muszę tu z tobą siedzieć. Ale może przejdź już do rzeczy.

Celowo unikała mówienia i patrzenia na towarzyszkę swojego szefa, a on to rozumiał. Odchrząknął.

– Przez ostatnie kilka dni mogłaś odnieść wrażenie, że dziwnie się zachowuję, i naprawdę bardzo mi z tego powodu przykro. Wiadomość, że Ludwig zostawił mojemu ojcu sporną ziemię i pozostałe działki, była dla mnie prawdziwym szokiem. A to... to, co się wydarzyło w środę wieczorem, też nie pozostało bez wpływu na mnie. – Pia wiedziała, że przyznanie się do słabości musiało go wiele kosztować. Jednak nie zamierzała ułatwiać mu zadania; spoglądała na niego wyczekująco, podczas gdy on układał sobie w głowie, co i jak powinien powiedzieć.

– Mój ojciec również nie mógł sobie poradzić z tą sytuacją. Przerosła go. – Po chwili milczenia zaczął mówić dalej: – W piątek byłem u Rademachera, zaraz po tym, jak dowiedziałem się o otwarciu testamentu Hirtreitera i spadku dla mojego ojca. Chciałem się dowiedzieć, co robił we wtorek wieczorem w gospodarstwie Ludwiga. Nie odpowiedział mi na to pytanie, tylko od razu zaczął nawiązywać do testamentu. Byłem nieco zaskoczony, że tak szybko się o nim dowiedział. Oświadczył, że złoży mojemu tacie taką samą ofertę jak wcześniej Hirtreiterowi. Kiedy mu to odradziłem, zaczął mi grozić.

– Grozić? Jak?

– Wyjaśnił, że wie wszystko na temat finansowej sy-

tuacji mojego brata oraz to, że restauracja jest w gruncie rzeczy jedyną rentowną częścią całego majątku. I że jeśli nie zadbam, żeby ojciec przyjął jego ofertę, to może się wydarzyć jakiś skandal, który zniszczy reputację lokalu.

– To rzeczywiście brzmi jak szantaż – zgodziła się Pia.

– Tak też mu powiedziałem. Rademacher nie czekał długo. Jeszcze tego samego wieczoru wziął Ralpa Glöcknera i złożył wizytę moim rodzicom. Kiedy wieczorem wróciłem do domu, siedzieli zabarykadowani w mieszkaniu i bali się zbliżyć do okna. Pia, oni drżą o własne życie!

– Engel wysłała cię na urlop tylko dlatego, że twój ojciec dostał tę łakę?

– Nie. Rademacher powiedział, że zażądałem od niego stu pięćdziesięciu tysięcy euro za to, że namówię ojca na sprzedaż ziemi WindPro. Oskarżył mnie o to i zgłosił do prokuratora. Szantaż. Wymuszenie. I jeszcze coś, diabli wiedzą co.

Bodenstein zaśmiał się smutno. Pia bawiła się kieliszkiem wina. Po chwili odstawiła go na stolik.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej? – zapytała.

– Chciałem! Ale nie w biegu, na klatce schodowej. W piątek wieczorem dzwoniłem nawet do ciebie i zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej, żebyś oddzwoniła.

– I oddzwaniałam. Ale miałeś wyłączoną komórkę.

– Wiem. Miałem powód. Siedzieliśmy wszyscy w kuchni moich rodziców. Quentin, Marie-Louise i ja i rozmawialiśmy, co możemy zrobić. W pewnym momencie pojawiła się Annika.

Przy jego opanowaniu każdy obserwator nabrałby się na kamienną minę, z jaką to powiedział. Każdy, ale nie Pia. Ona знаła go dość dobrze, żeby usłyszeć delikatną zmianę tonu głosu, i momentalnie pojęła, o jak poważną sprawę między nimi chodziło.

– To z Rademacherem i testamentem to tylko jedna rzecz, o której chciałem ci powiedzieć – ciągnął cichym głosem. – Druga to... no cóż, ta jest nieco bardziej skomplikowana. Pamiętasz może tych trzech facetów, którzy czekali na mnie w gabinecie Nicoli?

– No pewnie. – Ciekawe, do czego zmierzał.

– Dwóch z nich pracuje w agendach bezpieczeństwa kraju. A profesor Dirk Eisenhut to szef Niemieckiego Instytutu Klimatycznego. I były szef Anniki.

Pia spoglądała poirytowana raz na Bodensteina, raz na kobietę obok niego. Nic już nie rozumiała. Bezpieczeństwo państwa? Instytut Klimatyczny?

Zanim Bodenstein miał szansę mówić dalej, głos zabrała kobieta, którą Pia dotychczas uważała za sprzedawczynię ze sklepu zoologicznego.

– Jestem doktorem biogeochemii, a studia ukończyłam w Instytucie Morskim w Hamburgu. Od 1995 roku pracowałam dla profesora Dirka Eisenhuta w Berlinie i zajmowałam się badaniami nad zmianami klimatu. Na-

zywam się Annika Sommerfeld. Doktor Annika Sommerfeld.

Pia patrzyła na nią nieprzychylnym wzrokiem. Czy Bodenstein jej wierzył? Czy ta oszustka mogła rzeczywiście być naukowcem?

– Wydarzyły się rzeczy, przez które muszę się ukrywać. Znalazłam sobie miejsce u Ricky Franzen. Tutaj się wychowałam, a Ricky była kiedyś moją przyjaciółką. Wiedziałam, że nie będzie zadawała niewygodnych pytań.

– Aha – powiedziała Pia. To, gdzie Annika Sommerfeld przyszła na świat czy się wychowała, nie interesowało jej bardziej niż zeszłoroczny śnieg. Lecz być może wiedziała, kto ma na sumieniu Ludwiga Hirtreitera. Czyżby to miał być powód, dla którego Bodenstein przypro-wadził ją ze sobą?

Apetyczny zapach grillowanego mięsa dotarł w końcu i do niej. Natychmiast sobie przypomniała, że od rana nic nie jadła.

– Ricky uwierzyła, że cierpiałam z powodu wypalenia zawodowego i potrzebuję trochę czasu dla siebie. Ale Jannis był bardzo ciekawski. W końcu odkrył prawdę o mnie – ciągnęła kobieta. – W piątek mój były szef, profesor Eisenhut, miał odczyt w Falkenstein. W czasie kłótni po wykładzie Jannis wspomniał moje nazwisko w kontekście sfałszowanych analiz dla WindPro, choć wcześniej poprosiłam go, żeby tego nie robił.

– Dlaczego miałby milczeć?

– Jestem w posiadaniu czegoś, co jest bardzo niebez-

pieczne dla Eisenhuta. Chodzi o dokumenty, które udowadniają, że on i inni najbardziej prominentni badacze klimatu, z błogosławieństwem polityków, od lat fałszują dane i prognozy klimatyczne dla ONZ. Jeśli te dowody przedostaną się do opinii publicznej, dotychczas prowadzona polityka klimatyczna straci wiarygodność, a instytucje stojące za jej kształtowaniem nie będą już nic znaczyły. Dla Dirka Eisenhuta, polityków i pozostałych szefów wielkich centrów badawczych, którzy strach przed zmianami klimatycznymi wykorzystywali do własnych celów, oznaczałoby to katastrofę. Dlatego chcą mi za wszelką cenę odebrać te dokumenty.

Pia potrząsnęła głową. Co to miało wspólnego z ich sprawą? Spojrzała sceptycznie na Bodensteina, ale on nie odrywał oczu od Anniki.

– Nie jestem anonimowa w świecie nauki. Moje nazwisko coś znaczy – wyjaśniła Annika Sommerfeld. – Jakiś czas temu nawiązali ze mną kontakt przeciwnicy naszych badań i przedstawili swoje wątpliwości. Zaczęłam to sprawdzać i okazało się, że mają rację. Ale kiedy stanęłam po ich stronie, ściągnęłam na siebie uwagę bardzo potężnego lobby badaczy i polityków. Człowiek, który dał mi te dokumenty, został zamordowany...

– Zaraz, sekunda – przerwała jej Pia. – Po co mi pani to wszystko opowiada?

Poczuła na sobie spojrzenie Bodensteina, ale nie odrywała oczu od Anniki. Czyżby Oliver tak bardzo się zakochał, że stracił zdrowy rozsądek i uwierzył w tę nacią-

ganą historyjkę?

– Wie pani może, kto zabił Rolfa Grossmanna albo Ludwiga Hirtreitera? – zapytała Pia. Zdezorientowana Annika Sommerfeld potrząsnęła głową.

– To ja w ogóle nie mam pojęcia, po co my tu tak siedzimy – odparła Pia lodowatym tonem i wstała. – Mam na głowie dwa morderstwa, które muszę wyjaśnić, i wszyscy naciskają, żeby jak najszybciej się z tym uporać. W tej chwili inne problemy interesują mnie naprawdę niewiele. A teraz wybaczcie, jestem bardzo głodna.

Siostra wysłała mu SMS-a. Szukali go gliniarze i ojciec. Wcześniej Ricky zaproponowała mu, żeby spędził noc w pustym mieszkaniu przy schronisku. Nie potrafiła się przemóc, żeby po porannej napaści spać sama w domu, więc zapytała, czy nie zostałaby tam z nią. Tak w każdym razie twierdziła, bo Mark wiedział, że robi to dla niego.

Przysiągł sobie, że będzie ją chronił. Nikt nigdy jej już nie skrzywdzi, bo on czuwa. Przeszkodzi wszystkim, którzy będą mieli złe zamiary. Wspólnie zrobili wieczorny obchód i zamknęli schronisko, a potem zjedli letnią pizzę i wypili trochę czerwonego wina. Przez cały wieczór czuł się bardzo męsko. W końcu był dorosły. Ricky nigdy nie traktowała go jak małego chłopca. Liczyła się z jego zdaniem, a to wiele dla niego znaczyło. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie bolała go głowa.

A teraz Mark leżał na materacu obok rozkładanej ka-

napy, na której spała Ricky. Rozbudzony wpatrywał się w ciemność nad sobą. Cały dzień był bardzo męczący, ale i strasznie zwariowany. Zaczęło się od paralizującego strachu o Ricky, kiedy znalazł ją w wannie. Potem ta strzelba w stajni, pod dachem. I jeszcze Frauke z jej kłamstwami! Wypadek Jannisa. Aż trudno uwierzyć, że to tylko jeden dzień.

– Mark?

Był przekonany, że już śpi. Przecież sama wypła prawie całą butelkę wina.

– Tak?

– Bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną. Bez ciebie chyba umarłabym ze strachu.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa, i zrobiło mu się ciepło z radości.

– Jesteś po prostu wspaniała – szeptała dalej. – To cudowne, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

– Nie ma o czym mówić, ja z przyjemnością ci pomagam – odparł zachrypniętym głosem. Gdyby tylko wiedziała, jak chętnie! Tak wiele dla niego znaczyła, więcej niż ktokolwiek inny. Kiedy była w pobliżu, wszystkie problemy i troski rozplywały się w powietrzu.

W parterowym budynku, w którym znajdowało się biuro, kuchnia i magazyn schroniska, panowała napięta cisza. Mark słyszał regularny oddech Ricky. Powiedziała mu wcześniej, że Jannis poważnie ucierpiał w wypadku. Samochód przejechał mu po nodze. I dobrze mu tak, tej zakłamaney świni! Mark miał nadzieję, że długo jeszcze

nie wyjdzie ze szpitala. Najlepiej już nigdy.

Stara kanapa zaskrzypiała cicho.

– Mark?

– Tak?

– Mogę przyjść do ciebie?

Serce zaczęło walić mu jak szalone. Czy nie o tym właśnie marzył? Czy mogę przyjść do ciebie? Ktoś go o to już zapytał. Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym chciał cię dotknąć? Tylko trochę... o właśnie, tak... cudownie.

Mark przełknął ślinę.

– Tak, pewnie – powiedział cicho. Sprężyny kanapy znów zaskrzypiały, a potem materac ugiął się pod jej ciężarem. Odsunął się na bok, a ona wsunęła się pod kołdrę i przytuliła do niego. Ciepło jej ciała było elektryzujące, lecz przywołało wspomnienia innego ciepłego i mocno przytulonego ciała. Przestań, pomyślał. Ricky to nie Micha. Ona nie sprawi ci bólu. Nigdy. Szukała jego bliskości, bo bała się być sama.

Tuż przy uchu słyszał jej spokojny oddech. Poczul jej dłoń na swoim udzie. Dostał gęziej skórki. Kobieta westchnęła cicho i nie przestawała go głaskać. Mark zamknął oczy i zacisnął usta. Czerwony biustonosz. Delikatne złote włoski na opalonej skórze. Zaczął szybciej oddychać. Weź proszę rękę, weź ją! Chciał, ale nie potrafił powiedzieć tego na głos. To było takie piękne. Od czasów Michy nikt go tak czule nie dotykał. Dłoń Ricky przesunęła się po jego brzuchu, a palce odchyliły gumę bokserek. Leżał jak sparalizowany. Przez głowę przemknęły mu

wszystkie historie, które słyszał od kolegów na boisku. Mówili o tych sprawach kpiąco, ba, prawie pogardliwie. Posuwać. Pukać. Pieprzyć. Ich słowa brzmiały brudno i odpychająco. Opisywały to, co wtedy ona z Jannisem, na ogrodowej ławce... tak właśnie to zrobili. Nie dostrzegał w tym ani krzty miłości. A przecież uczucie było najważniejszą rzeczą! Ważniejszą od wszystkich innych. Mark nie miał pojęcia, czego Ricky od niego oczekuje. Serce waliło mu, jakby miał dostać zawału, i miał sucho w ustach. Micha powiesił się właśnie dlatego, że przez TE rzeczy stanął przed sądem.

– Nie – wyszeptał słabo. – Proszę, nie...

– Dlaczego nie? – odszepnęła Ricky. – No chodź, odwróć się.

Zawahał się, ale posłuchał polecenia i przewrócił się na plecy. Nagle ukłękła nad nim. Poczul jej oddech na twarzy, a jej usta odnalazły w ciemności jego. Czule wsunęła język między jego wargi. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

No dalej!, krzyczało jego ciało, reagując błyskawicznie na jednoznaczne sygnały z jej strony. No dalej! Zaczynaj!

Lecz on położył dłonie na jej ramionach i odsunął ją od siebie.

– Kochasz mnie? – zapytał trzęsącym się głosem.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Ricky z ciemności, wciąż pochylona nad nim. Oddychała szybko. Czul jej uda na swoich biodrach. Jej skóra była tak go-

raża, że aż go parzyła.

– Powiedz to! – zażądał. Drżał z podniecenia. – Powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham cię – wymamrotała Ricky i z cichym jękiem usiadła na nim.

Mark gwałtownie otworzył usta i nabrał powietrza. Zamknął oczy i całkowicie bezwolny oddał się coraz szybszemu rytmowi jej ruchów. Wszystkie zmartwienia zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Nie myślał już o Jannisie ani o rodzicach, którzy nie mieli pojęcia, co się z nim dzieje. Zapomniał nawet o wściekłości, strachu, bólu i rozczarowaniu. Jego ciało eksplodowało obezwładniającym szczęściem. Była tylko Ricky i on i robili to, o czym zawsze marzył. To była miłość.

Czuła wściekłość i rozczarowanie. To tym zajmował się Bodenstein, kiedy ona nie wiedziała już, w co ręce włożyć! Ogólnoświatowy spisek klimatologów, bo nie wytrzymam! Co za bzdury! I w co grała ta cała Annika? Czy wymyśliła tę bajeczkę tylko po to, żeby zaimponować Oliverowi?

Pia podsunęła Christophowi talerz, żeby nałożył jej pięknie pachnący stek.

– Dlaczego jesteś zła? – zapytał z troską.

– Słyszałeś może, jakie kity usiłowała mi wciskać ta kobieta? – Pia potrząsnęła głową. – Nie potrafię zrozumieć, jak Bodenstein mógł to kupić.

– Ale ktoś taki jak Annika Sommerfeld rzeczywiście

istnieje. Jest uznanym naukowcem. – Christoph obrócił mięso widelcem. Tłuszcz skapnął na rozżarzone węgle i buchnął jasnym płomieniem. – Nieraz czytałem jej prace.

Pia znieruchomiała i popatrzyła na niego, jakby właśnie usiłował wbić jej nóż w plecy.

– Tylko nie mów, że ty też w to uwierzyłeś? – sapnęła obrażonym tonem.

Christoph nie zdążył odpowiedzieć, bo Bodenstein wstał od stołu i podszedł do grilla.

– Pia, wszystko, co powiedziała Annika, to prawda – zaczął. – Wiem, że jej bardzo nie lubisz, ale...

– Przecież to nie ma nic wspólnego z lubieniem czy nielubieniem! – Kobieta przerwała mu brutalnie. – Nie rozumiesz, że ja mam po prostu zupełnie inne sprawy na głowie, a ty zostawiłeś mnie z tym wszystkim samą? Naprawdę dwa zwykłe morderstwa już ci nie wystarczą? Chcesz czegoś więcej? Poczuc się jak James Bond?

Christoph wyczuwał między nimi ogromne napięcie. Dyskretnie się wycofał, żeby mogli rozmawiać bez skrepowania. Po chwili odwrócił się i ruszył w stronę stołu, by dotrzymać towarzystwa Annice Sommerfeld. Bodenstein wsunął dłonie w kieszenie dżinsów i nabrał głęboko powietrza.

– Bardzo bym chciał cię poprosić, żebyś wysłuchała jej historii i powiedziała, co o niej naprawdę sądzisz. Twoje zdanie ma dla mnie ogromne znaczenie.

– Nie muszę słuchać tych głupot, żeby ci powiedzieć,

co o nich myślę – odparła Pia ostro. – Nic nie sądzę!

Bodenstein patrzył na nią przez chwilę.

– Annika jest podejrzana o morderstwo, choć nikogo nie zabiła – wyjaśnił. – Postanowiłem, że jej pomogę. Pojedziemy do Zurychu i wyciągniemy dokumenty ze skrytki w banku, gdzie zdeponowali je Bennett i O’Sullivan, zanim zostali zgładzeni. Kiedy będę miał je w ręku, spróbuję ułożyć się ze Störchem z policji federalnej. Postaram się wymóc na nim, żeby Annika mogła liczyć na uczciwe traktowanie, kiedy się ujawni.

– Oliver, ty chyba zwariowałeś! Kompletnie ci odbiło! – Pia odstawiła talerz na stolik przy grillu. – Zastanów się, co ty mówisz?! Słuchałeś sam siebie? Od kiedy ją znasz? Skąd wiesz, że naprawdę jest niewinna? A jeśli ona cię tylko wykorzystuje?

Zrobiło się ciemno. Tylko lampa na tarasie dawała trochę światła, dzięki czemu Pia mogła dostrzec jego twarz.

– Pamiętasz jeszcze, jak to było, kiedy poznałaś Christophę? – zapytał cichym głosem.

– Oczywiście. To przecież zdarzyło się całkiem niedawno.

– Nie, nie chodzi o chwilę, tylko o całą sytuację. – Bodenstein pokręcił głową. – To znaczy, o... o to, co czułaś.

– A co to w ogóle ma do rzeczy? – Pia zareagowała trochę nerwowo, choć wiedziała już, do czego zmierza.

– Wszystko. W ogóle go nie znałaś, a jednak mu za-

ufałaś, choć ja byłem święcie przekonany, że to on był mordercą. Udało mi się zasiać w tobie niepewność, ale w gruncie rzeczy nigdy nie wątpiłaś w jego niewinność.

Pia skrzyżowała ramiona na piersi i przeszła kawałek przez ciemny ogród, na drewnianą ławkę pod pergolą z dziką różą. To przecież nie to samo. Czy może jednak...? W milczeniu spoglądała w ciemność. Nad szczytami gór Taunus widać było cieniutki, czerwony pasek światła zachodzącego słońca. Na czarnym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Kwitnące róże rozsiewały cudowne zapachy; w powietrzu unosiła się woń wiosny i wilgotnej ziemi.

Bodenstein postępował nie fair, zrzucając na nią całą odpowiedzialność. Gdyby już na samym początku powiedział jej o spadku ojca, sprawy nie zaszłyby aż tak daleko. I najpewniej w ogóle nie musiałby iść na przymusowy urlop. A teraz miał zbyt dużo czasu. I marnował go na Annikę.

– Wiesz, z Cosimą też byłem bardzo wszystkiego pewien. – Bodenstein podszedł do niej i zaczął mówić. – Przez dwadzieścia sześć lat. Dopiero w zeszłym roku dowiedziałem się, że ja jej w ogóle nie znałem. Z Heidi to był epizod, w ogóle nie warto o tym mówić. Nieważne. Ale Annika... masz rację. Nie znam jej. Nic o niej nie wiem poza tym, że ma wielkie kłopoty. I zgoda, pewnie brakuje mi chwilowo obiektywizmu. Ale muszę jej pomóc.

Odwróciła się do niego plecami. Jak mogła mu wy-

tłumaczyć, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, straci wszystko, na co pracował przez lata?

– Może to zabrzmie jakos melodramatycznie, Pia, ale przez ostatnich kilka miesięcy bylaś dla mnie jedynym punktem odniesienia. Poza toba całe moje życie legło w gruzach i nie wiedzialem, co się ze mną dzieje. Tylko dzięki tobie nie poszedłem na dno. Zrozum, że to dla mnie bardzo ważne.

Jej złość nagle zniknęła. Nikt nie mógł lepiej znać sytuacji, w jakiej się znalazł, niż właśnie ona. Wiedziała, co się z nim działo, i potrafiła zrozumieć, jak się poczuł, widząc załamanego ojca nad zmasakrowanym ciałem przyjaciela. Potem doszła tragedia w hali Ehlhalten, gdzie tylko cudem udało mu się przeżyć. I na koniec Annika. Nagle do gry włączyły się uczucia, których wcale się nie spodziewał. Nawet dla kogoś w doskonałej kondycji psychicznej taki splot wydarzeń mógł okazać się morderczy. A Bodenstein daleki był od odzyskania równowagi emocjonalnej po odejściu Cosimy.

Pia westchnęła, odwróciła się i spojrzała na niego.

– Przykro mi, że tak zareagowałam – przeprosiła go.
– Też jestem pewnie trochę za bardzo zestresowana. I martwię się o ciebie.

W ciemności ledwie się widzieli.

– Wiem. – Bodenstein pokiwał głową. – A mnie jest strasznie przykro, że cała praca spadła na ciebie.

– Nie martw się, jakoś dam sobie radę. – Pia zamysliła się i przygryzła dolną wargę. – No dobrze, ale jak mo-

głabym ci pomóc?

– Tak naprawdę, to chyba wcale. Byłoby bardzo nie fair, gdybym chciał cię w to wciągać. Sam to wszystko wyjaśnię. Uważam natomiast, że powinnaś wiedzieć, co się dzieje.

– Zdajesz sobie sprawę, że kładziesz na szalę wszystko, co osiągnęłaś?

– Gdy w grę wchodził Christoph, ty się nie zawahałaś.

– No to przynajmniej uważaj na siebie – powiedziała zachrypniętym głosem. – Ja jestem tylko p.o. szefa K11. I nie mam zamiaru witać nikogo nowego na tym stanowisku.

24 grudnia 2008

Anno! – roześmiał się radośnie, kiedy weszła do jego biura. Wstał z fotela i ruszył w jej stronę. – Cudownie, że udało ci się dotrzeć! Wiesz, dla mnie święta nie miałyby tego uroku, gdybym nie mógł z tobą wychylić lampki szampana.

Była święcie przekonana, że potrafi panować nad emocjami; inaczej w ogóle nie odważyłaby się tu pojawić. Jednak ufność i nieświadomość w jego oczach sprawiły, że poczuła skurcz żołądka. Nie wiedział, jaką władzę nad nim posiada. Obserwowała, jak wyjmuje z lodówki butelkę szampana i jak ją otwiera. Miała wrażenie, że to déj à vu, że ponownie przeżywa tamten wieczór sprzed dziesięciu lat, kiedy wszystko się zaczęło. Po szampanie przyszła pierwsza wspólna noc, a po niej niezliczona ilość kolejnych. Mimo że się z całym siłą broniła, w jej sercu pojawiła się tęsknota. Dlaczego jej nie kochał?

W oknach sięgających samej podłogi odbijało się wewnątrz przestronnego biura; widziała go. Niewiele zmienił się przez te wszystkie lata. I widziała siebie. Młodość miała już za sobą i nie była tamtą niedoświadczoną, lecz pełną ambicji i zapału badaczką. Zestarzała się, a na jej twarzy pojawiły się zmarszczki rozczarowania. Przeciętna szara myszka. Stara panna, której życie przeciekło między palcami, bo zakochała się w niewłaściwym człowieku.

– Wesółych świąt! – zaśmiał się Dirk i podał jej kieli-

szek. Nie, z bliska on też nie wyglądał już jak tamten młody, dynamiczny szef Instytutu. Kiedy go poznała, był inny. Teraz miał przerzedzone włosy i wiotką skórę pod oczyma. Ze złośliwym zadowoleniem, ba, z nienawistną radością nawet zauważyła brzuch wychodzący znad paska od spodni. I nieprzyjemnie pachniało mu z ust. Ta cała Bettina wyszła za starego człowieka.

– *Wesołych świąt!* – odpowiedziała i zmusiła się do uśmiechu. Tręcili się kieliszkami. Upiła łyczek. Szampan jej nie smakował. Najchętniej chlusnęłaby mu nim w twarz i zaczęła krzyczeć. *Dlaczego mnie okłamałeś? Dlaczego ożeniłeś się z inną?*

– *Co się dzieje?* – zapytał Dirk. – *Nie wyglądasz na szczęśliwą.*

Współczucie w jego głosie było niczym nóż wbity w serce. Walczyła z napływającymi do oczu łzami. Kieliszek szampana w jego biurze; to wszystko, na co mogła liczyć od niego na święta. Bo choinkę w jego domu ubierała inna kobieta. Bettina, z którą pojedzie jutro do rodziców i będą razem świętowali. Z którą będzie mieszkał. To bolało! Tak strasznie bolało, że musi o tym myśleć... a jednocześnie wiedziała, że tak jest dobrze. Nie wolno było jej zapomnieć, co jej zrobił, bo dzięki temu miała siłę, by dociągnąć tę sprawę do końca. Zakręciło jej się w głowie. Może przed alkoholem powinna była coś zjeść.

– *Annika? Co się dzieje? Dobrze się czujesz?*

Głos Dirka dobiegał jakby z bardzo daleka, a jego zatrokana twarz była rozmazana. Złapała się za głowę. De-

likatnie odebrał jej z dłoni kieliszek i nagle znalazła się w jego ramionach. Ich twarze dzieliło kilkanaście centymetrów, a jednocześnie byli tak daleko od siebie! Miała zawroty głowy. Nagle jej nogi się poddały. Nie mogła dłużej stać. Rozległ się brzęk. Gdzie był Dirk? Co się działo?

Leżała na podłodze, a Dirk stał za swoim biurkiem. W jednym ręku trzymał słuchawkę, a drugą przyciskał do głowy. Czy po twarzy płynęła mu krew? Mówił wzburzonym głosem. Annika zamrugowała i skupiła się, usiłując cokolwiek zrozumieć, lecz docierały do niej jedynie urywki słów.

– ...rzuciła się... – usłyszała. – Jestem ranny! Tak... pospieszcie się! ...zwariowała... rozbiła butelkę... uderzyła mnie...

Czuła ogromne zmęczenie. I nic poza tym. Z kącika ust ciekła jej strużka śliny.

– Dirk... – wymamrotała. A potem otoczyła ją ciemność.

Niedziela 17 maja 2009

Obudził go dzwonek komórki. Mark otworzył oczy i zaskoczony zobaczył, że wszystko skąpane jest w świetle poranka. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie jest, lecz szybko powróciły wspomnienia. Momentalnie otrzeźwiał. Ricky musiała wstać wcześniej, bo leżał sam na materacu. To była ich pierwsza wspólna noc. Ogarnęła go euforia. Wstał i poszedł do niewielkiej łazienki. Podniósł klapę i się załatwił. Potem podszedł do umywalki i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Wydawało mu się, że taka noc powinna była go zmienić fizycznie, lecz nie potrafił dostrzec różnicy; wyglądał jak zawsze. Ricky była w kuchni. Stała plecami do wejścia, wyglądała przez okno i paliła papierosa. Chciał podejść i objąć ją od tyłu, ale w tej chwili zadzwonił jej telefon. Odebrała.

– Cześć, kochanie – powiedziała niskim, zmysłowym głosem. – Jak się czujesz? Wyspałeś się mimo bólu?

Mark cofnął się o krok. „Cześć, kochanie”? Wczoraj wieczorem używała zupełnie innych słów, kiedy mówiła o Jannisie!

– Tak, tak. Wszystko dobrze. Mark spał tutaj... daj spokój! Nie, spał na kanapie. – Zaśmiała się lekceważąco. – Nie gadaj bzdur. Jakie ty w ogóle masz o mnie zdanie, co? Tak... wiem... oczywiście... zaraz przyjadę. Potrzebujesz czegoś? ...Dobrze, załatwię to. Kocham cię, słońce. I tęsknię. Bez ciebie jest tak pusto i inaczej.

Mark przełknął głośno. Zrobiło mu się niedobrze; błyski, które widział kątem oka, zwiastowały kolejny napad bólu głowy. Schylił się i przycisnął dłonie do skroni. Przecież Ricky zapewniała go kilka godzin wcześniej, że to właśnie jego kocha! A teraz powtarzała to samo Jannisowi! Jak mogła mu to zrobić?! Jak mogła!

– Hej, Mark! – Ricky skończyła rozmowę i się odwróciła. – Widzę, że już wstałeś. Jak się spało?

Uniósł głowę i popatrzył na nią przenikliwie.

– Dlaczego okłamałaś Jannisa? – zapytał.

– Okłamałam? Co masz na myśli?

– Udawałaś, że jesteś w domu, a nie tutaj. I powiedziałaś, że spałem na kanapie. Ale to przecież nieprawda.

– No i co z tego? – Ricky roześmiała się i wzruszyła ramionami. – Nie musi przecież o wszystkim wiedzieć. Poza tym lepiej, żeby się teraz nie denerwował. W jego stanie to może być szkodliwe.

Mark miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Czy on... czy ty... czy to nic dla ciebie nie znaczyło? To ze mną? Nic? – wykrztusił z trudem. – Przecież powiedziałaś, że mnie kochasz. Powtarzałaś to! To dla ciebie bez znaczenia? Tak sobie to mówiłaś? Czy może nie okłamałaś mnie, tylko Jannisa?

Ricky przestała się śmiać.

– Mark, chyba poprzewracało ci się we łbie, wiesz? – powiedziała ostro. – Jannis to mój partner. Nic a nic cię nie powinno obchodzić, co do niego mówię. Sam sobie je-

steś winien, bo nie powinieneś podsłuchiwać.

Minęła go i poszła do łazienki. Mark ruszył za nią.

– Ale... ale dlaczego ty, ze mną... spałaś?

– Przecież od początku tego chciałeś, prawda? – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko. – A ja chciałam sprawić ci przyjemność. To chyba nic złego, dać komuś trochę radości, co nie? Dobrze się bawiłeś?

Odebrało mu mowę. Zrobił się czerwony od szyi po czubek głowy. Kilkoma nieprzemyślanymi słowami zmieniła coś cudownego w najzwyklejszą czynność. Seks z nim nic a nic dla niej nie znaczył.

– Jannis już cię nie kocha – wyrzucił z siebie. – W piątek obmacywał Nikę w kuchni. Gdybym nie wszedł z psami, kochaliby się tam na zlewozmywaku, tak był napalony na tę podstępną dziwkę.

Ricky zamarła.

– Wymyśliłeś to sobie.

– Nie, nic nie wymyśliłem – zaprzeczył, usiłując nie zwracać uwagi na klucie za oczami. Nienawidził tego swojego urażonego tonu, ale nic na to nie mógł poradzić. Do tego skronie pulsowały mu przeraźliwym bólem. Tracił panowanie nad sobą. Jeśli nie weźmie zaraz tabletek, będzie za późno. – Mówił do niej obrzydliwe rzeczy, a potem złapał ją i włożył jej rękę pod spódnicę. To dlatego uciekła.

Ricky podparła się pod boki i spojrzała na niego ponuro.

– Dlaczego mi to mówisz? Po co? – zapytała.

– Bo cię kocham... – odparł niepewnie. Szczerze mówiąc, spodziewał się zupełnie innej reakcji. Płaczu. Łez. Krzyków. Takiej, że będzie mógł ją pocieszyć, przytulić i zapewnić o swojej szczerzej miłości. – Ricky, my jesteśmy stworzeni dla siebie. Ty i ja. Poza tym mamy wspólną tajemnicę, prawda?

Jej twarz w jednym momencie stężała, zmieniając się w wykrzywioną wściekłością maskę.

– Jeśli myślisz, że będziesz mógł mnie szantażować – syknęła, groźnie celując w niego palcem – to pamiętaj, że ja też wiem o tobie całkiem sporo!

Mark był bardziej zaszokowany chłodem, z jakim się do niego zwracała, niż przerażony. Nie pozostał w nim już żaden ślad euforii, którą czuł, budząc się po wspólnej nocy. Wszystko zniszczył!

– Nie! – zapewnił ją szybko. – Przysięgam, że nie mam zamiaru cię szantażować! Nigdy w życiu!

Spojrzała na niego zmrużonymi oczyma.

– Proszę, Ricky! Nie bądź na mnie zła – błagał zrozpaczony. – Ja... ja cię przecież kocham! Wszystko bym dla ciebie zrobił!

Gwałtownie odwróciła się do niego plecami.

– Muszę jechać do szpitala, do Jannisa. A ty lepiej wracaj do domu, zanim pojawi się tu twój ojciec z gliniarzami – oznajmiła. – Później o wszystkim pogadamy. A teraz idź już. Muszę na kibel.

Posłusznie odwrócił się i wyszedł. Chciała z nim rozmawiać. Choć później, nie teraz. Ale to znaczyło, że

nie wszystko jeszcze stracone. Miał szansę. Mark zebrał swoje rzeczy rozrzucone przy materacu i ubrał się szybko. Przysiągł sobie przy tym, że w przyszłości nigdy więcej nie będzie już podsłuchiwał jej rozmów telefonicznych. Poszedł do kuchni i otworzył plecak, który rzucił wczoraj na krzesło przy stole. Na szczęście miał fiolkę z tabletkami. Nalał wody z kranu do szklanki i połknął dwie pastylki. Jego spojrzenie padło na telefon Ricky. Zostawiła go na stole. Z kim mogła rozmawiać, zanim zadzwonił Jannis?

Wahał się przez chwilę. Stał zamyślony i masował skronie pięściami. W końcu ciekawość zwyciężyła. Sięgnął po słuchawkę i otworzył listę ostatnich połączeń. Znieruchomiał. Czego w niedzielny poranek mógł chcieć od Ricky jego ojciec? Po co dzwonił do niej dziesięć po siódmej? Jeśli pytał o niego, to co mu powiedziała? Skłamała? Stał z telefonem w dłoni i zbity z tropu spoglądał na niewielki ekran. Nie mógł uwierzyć w podejrzenie, które zaczęło się rodzić gdzieś w głębi jego duszy. Było tak przerażające, że nie chciał w nie wierzyć. Ugięły się pod nim nogi. Z łazienki dobiegł szum wody spuszczonej w toalecie. Szybko odłożył komórkę na stół.

Na dworze rozległo się głośnie szczekanie psów zamkniętych w stojących rzędami kojcach. Pewnie pojawiła się Rosi, która zwyczajowo już zgłaszała się na poranny niedzielny dyżur.

– Pospiesz się może, co? – Ricky stanęła w drzwiach kuchni. – Lepiej, żeby Rosi nie widziała nas razem.

Pytanie, dlaczego robiła tajemnicę z porannej rozmowy z jego ojcem, nie dawało Markowi spokoju, ale bał się usłyszeć odpowiedź.

– Rany, co się z tobą dzieje? – Spojrzała na niego uważnie.

Bez słowa kiwnął głową. W oczach miał łzy, tak strasznie bolała go głowa. Wtedy wzięła go w ramiona i pocałowała w policzek.

– Och, Mark! Tak strasznie mi przykro – wyszeptała mu do ucha. – Nie chciałam być dla ciebie niemiła. To była cudowna noc. Piękna. Naprawdę. Zobaczymy się później, dobrze?

Puściła go i ruszyła do drzwi. Serce waliło mu jak szalone. Znow był szczęśliwy. Nie chciała go zranić. To wszystko było zwykłym nieporozumieniem. Wszystko znów się układało.

– Dobrze – wymamrotał wzruszony, choć ona go już nie mogła słyszeć. – Dobrze.

Dziwnie się czuł po rozmowie z Pią. Przez całą noc nie zmrużył oka, ale za to po raz pierwszy od miesięcy to nie przez Cosimę nie mógł zasnąć. Bodenstein wstał cichutko, żeby nie obudzić Anniki, która spała po przeciwnej stronie łóżka. Bardzo osobiste wyznanie, które dotyczyło Pii, płynęło wprost z jego serca. Zachował się spontanicznie, lecz teraz, im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że miał rację. W zupełnie naturalny sposób ze zwykłej koleżanki z pracy stała się najważniejszym

człowiekiem w jego życiu. I akurat ją musiał zranić swoim zachowaniem, którego przecież sam nie rozumiał. To było nie fair.

Bodenstein wstał i boszo zszedł skrzypiącymi schodami na dół, do kuchni. Słowa Pii trochę go otrzeźwiły. Miała świętą rację. Ryzykował w tej grze wszystko, co osiągnął przez lata ciężkiej służby w policji. Wystarczyło, że pomagał Annice, a łamał przepisy. Musiał znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Urlop był tylko stanem przejściowym; Rademacher niczego nie osiągnie, pozywając go do sądu, bo po decyzji ojca o odrzuceniu propozycji WindPro milionowy interes zniknął z horyzontu.

Chyba powinien zadzwonić do Nicoli. Miał wyrzuty sumienia, zostawiając Pię samą z dwoma skomplikowanymi sprawami. Poza tym chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tle morderstw, o które oskarżano Annikę. Nicola miała możliwości, mogła zajrzeć do akt.

Ziewnął szeroko i zaczął nasypywać kawę do ekspresu. Dopiero dwadzieścia po siódmej! Wyjrzał przez okno. Zapowiadał się cudowny, letni dzień; znad delikatnej mgiełki wiszącej ponad trawą widać było wspaniałe błękitne niebo. Wolna niedziela, jakby stworzona do spaceru z Anniką. Mogliby w końcu wszystko spokojnie omówić. Nalał wodę do zbiornika ekspresu, włączył go i znieruchomiał.

Na pusty parking przed bramą wjechały dwie czarne limuzyny i zatrzymały się. Ze środka wysiadło czterech mężczyzn w garniturach i zaczęli się rozglądać. Cofnął się

odruchowo. Serce zaczęło walić mu jak dzikie, kiedy w jednym z porannych gości rozpoznał Heika Störcha, a w drugim jego kompana, dobermana. Czego tu szukali tak wcześnie rano i to w dodatku w niedzielę? Czyżby się dowiedzieli, że Annika znalazła u niego schronienie? Skąd? Jedyłą osobą, która o tym wiedziała, była Pia. Zrobiło mu się niedobrze. Popędził do salonu i złapał komórkę, którą zostawił na stoliku przy kanapie. Trzęsącymi się rękoma wybrał numer ojca.

Czterech mężczyzn wciąż stało przy samochodach i chyba się naradzali. Störch telefonował. Z kim rozmawiał?

– Odbierz, proszę, odbierz – zaklinał ojca przez zaciśnięte zęby, krążąc niecierpliwie po niewielkim pokoiku. W końcu ojciec odebrał.

– Tato! – zawołał cicho. – Przed bramą są ludzie z policji federalnej. Jestem pewien, że przyjechali pytać o Annikę. Musisz im powiedzieć, że znasz ją ze stowarzyszenia obywatelskiego, ale nic więcej. Nigdy tu nie była. Dasz radę?

Przez chwilę słyszał jedynie ciężki oddech ojca. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że rodzice nie mieli pojęcia, kim w rzeczywistości jest Annika i jakie oskarżenia na niej ciążyą.

– Mam kłamać? Okłamywać policję? – powtórzył zdezorientowany ojciec. – Przecież to twoi koledzy po fachu.

– Tato, proszę. Zrób to po prostu! – Bodenstein nie

chciał teraz wszystkiego tłumaczyć. – Później porozmawiamy! Annika jest w wielkim niebezpieczeństwie, ale to nie jest jej wina!

Domyślał się, jak trudno będzie skłamać jego zmęczonemu i rozbitemu ojcu. Jednocześnie zastanawiał się, jak mu to potem wyjaśni. Czy powinien mu powiedzieć, że Annika jest poszukiwana za podwójne morderstwo? Wielki Boże! Na co on się właściwie porwał!

– Mam nadzieję, Oliver, że wiesz, co robisz. – W głosie ojca słyhać było dezaprobatę. – Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że nie pochwalam takich zachowań.

Czterech mężczyzn ustaliło chyba plan działań, bo zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę bramy, za którą znajdował się wewnętrzny dziedziniec.

– Zaraz przyjdę – powiedział tylko. – I zajmę się tym. Ale tato, proszę...

W słuchawce rozległ się sygnał. Ojciec bez słowa się rozłączył.

Bodenstein opadł na kanapę i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy przysięgał Annice, że jej pomoże, nie myślał o konsekwencjach. Nie przyszło mu nawet do głowy, że będzie wciągał w to niewinnych starych rodziców, a także Pię. Tylko pięć kroków pozostało do drzwi. Powinien teraz wstać, wyjść i powiadomić Störcha, że Annika leży na górze, w łóżku. On wspiałby się po schodach i ją aresztował. Pozbyłby się problemów. Dlaczego tak bardzo się wzbraniał przed tym krokiem?

Podniósł głowę, słysząc jakiś szelest. W otwartych

drzwiach stała Annika.

– Słyszałam, co powiedziałeś przez telefon. Znaleźli mnie. – Jej głos brzmiał bardzo delikatnie i smutno. – Nie powinnam była tu w ogóle przychodzić. Ściągnęłam tylko na ciebie problemy.

Bodenstein spoglądał na nią i milczał. Czyżby to Pia miała rację? Czy popełnił błąd, uwierzywszy w to, co opowiadała? Annika nie odwracała wzroku. Jej oczy na tle bladej, wąskiej twarzy sprawiały wrażenie ogromnych, jak u przerażonej sarny oślepionej reflektorami pędzącego wprost na nią samochodu. W tej samej sekundzie podjął decyzję. Oby nigdy nie musiał jej żałować.

– Jeszcze cię nie znaleźli. – Nie wiedział, skąd się wzięła chrypa w jego głosie. – A ja nie pozwolę, żeby im się udało.

Dziś w nocy wszystko jeszcze raz sobie przemyślałam – oznajmiła Frauke Hirtreiter, kiedy zajęła miejsce na krześle naprzeciwko Pii. – Prawie nie spałam. Macie tu strasznie wąskie prycze. Nie powiedziałabym, żeby były wygodne.

Policjantka miała wrażenie, że dziewczyna nie ma jej za złe nocy w areszcie.

– No więc ta strzelba w mojej szafce. Jeśli o nią chodzi, to na pewno z niej zastrzelono mojego ojca?

– Zgadza się. Wyniki laboratoryjne są tutaj jednoznaczne. – Pia pokiwała głową. Dziwnie było siedzieć za biurkiem Bodensteina. Nie była przyzwyczajona do takiej

perspektywy i nie czuła się swobodnie. – Dlaczego pani o to pyta?

– Hm. Bo sama posiadam broń myśliwską. Drylinga. I wzięłam go, kiedy po kłótni z ojcem opuściłam gospodarstwo. Co prawda nie powinnam była trzymać broni w szafie z ubraniami, bo przepisy tego zabraniają, ale po pierwsze, nigdy nie była naładowana, a po drugie, nikt mnie nie odwiedza.

– Zaraz. – Pia przekartkowała szybko papiery, szukając raportu Krögera. W szafce z bronią w gospodarstwie Ludwiga Hirtreitera brakowało trzech sztuk broni: mossberga 500, drylinga marki Krieghoff Trumpf kaliber 7x57R i pistoletu SIG Sauer P226. Z raportu balistycznego wynika, że jej ojciec zginął od postrzału z mossberga. Jeśli to, co Frauke powiedziała, było prawdą, ktoś musiał podmienić broń. Ale kto? I po co? Żeby skierować na nią podejrzenia?

– Czy pani bracia mieli klucze do mieszkania? – zapytała szybko.

– Moi bracia? – parsknęła Frauke zaskoczona. – A niby dlaczego mieliby...

Zamilkła nagle i zmarszczyła czoło.

– Chce pani powiedzieć, że mogli mi podrzucić narzędzie zbrodni, żeby się mnie pozbyć?

– Tak jest.

– Nie, to odpada. – Frauke potrząsnęła głową. – Gregor nie ma pojęcia, gdzie mieszkam, a Matthias... no cóż, jego akurat nie podejrzewam, żeby był w stanie myśleć

o czymkolwiek innym niż o sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Kto w takim razie pozostaje?

– Od kiedy z roztargnienia zatrzasnęłam drzwi i musiałam zapłacić temu zdiercy ślusarzowi sto euro, żeby mi otworzył, powiesiłam zapasowy klucz w szafce w biurze sklepu – wyjaśniła Frauke powoli. Nagle przerażona wytrzeszczyła oczy, bo dopiero teraz pojęła, co to oznaczało. – O Boże! Nie!

– To by nam bardzo ładnie zawężyło listę podejrzanych – stwierdziła Pia. – Kto ma dostęp do biura?

– Ricky, Nika, Jannis i ja. O Boże... to by znaczyło, że... nie!

– A jednak. – Pia opadła na oparcie fotela. – Pani Franzen, pan Theodorakis albo Nika. Jedno z tej trójki musiało to zrobić, pani Frauke, skoro to nie była pani.

Pia nie twierdziła już, że to była ona. Wszystko, co Frauke Hirtreiter zeznała w czasie przesłuchania, udało się szybko potwierdzić: w bagażniku mercedesa leżały trzy obrazy, w aucie znaleziono również kasetkę zabraną z domu zamordowanego, a w schowku przy kierownicy leżały paragony z kilku stacji benzynowych wzdłuż A8 oraz jeden ze stacji AGIP na Langgrieser Strasse w Bad Tölz.

– Czy podejrzewałyby pani którąś z tych osób? – zapytała Pia.

– Sama nie wiem... – Frauke Hirtreiter potrząsnęła bezradnie głową. – Jannis jest trochę wkurzający, no i miał zatarg z moim ojcem. Ricky? Nie. Ona nie byłaby

w stanie zastrzelić Tella. Ma fioła na punkcie zwierząt.

– Zatem pozostaje nam Nika. Niewiele o niej wiem. Właściwie to nic. Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Nika. – Frauke westchnęła i potrząsnęła głową. – Biedactwo. Pojawiła się u Ricky jakieś pół roku temu. Były kiedyś przyjaciółkami. Nice rozpadło się akurat małżeństwo i straciła pracę. Od samego początku było mi jej strasznie żal.

– Dlaczego?

– Bo była taka... nie wiem, sama? Zagubiona? Wie pani, delikatna i nieporadna. Biedactwo. Niewiele mówiła. Ricky i Jannis wykorzystywali ją do wszystkiego. Sprzątała im dom, pracowała w sklepie i prowadziła za Ricky księgowość, a dostawała za to za darmo pokój w ich piwnicy – opowiadała Frauke. – Nigdy na nic się nie skarżyła. Najwyraźniej podobało jej się takie życie. Ale głupia nie była, to na pewno nie. Problem polega na tym, że dziewczyna nie ma żadnych ambicji. Na niczym jej nie zależy. Patrząc na to, jak się ubiera, nie jest też próżna.

Z opisu córki Hirtreitera wyłaniała się specyficzna osoba, ale niekoniecznie podwójna morderczyni, która wplątała się w międzynarodową aferę. Czy Annika Sommerfeld okłamała Bodensteina, żeby wzbudzić jego zainteresowanie, czy może to Frauke Hirtreiter tak słabo znała się na ludziach, że nie przejrzała jej gry?

– Co pani wie na temat jej przeszłości? Ma jakąś rodzinę?

Frauke zastanowiła się, a potem potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia. Ilekroć próbowałam ją o to zapytać, machała dłonią, że to bez znaczenia. Powiedziała mi kiedyś, że miała strasznie nudne życie i nie ma o czym mówić.

– Ale przecież musi mieć jakieś zainteresowania? – upierała się Pia. – Hobby? Ulubione książki? Znajomi?

– Nie, nic takiego. Dziwne, prawda? Mimo że od miesiący dzień w dzień się widywałyśmy, nawet nie potrafię jej dokładnie opisać. Bo ona właśnie taka jest, do bólu cicha i nierzucająca się w oczy.

Przeciętność jest najlepszym kamuflażem, pomyślała Pia, i opanowały ją jeszcze gorsze przeczucia co do Anniki Sommerfeld. Nieliczni zawodowi mordercy, których miała okazję spotkać w trakcie prowadzonych śledztw, na przesłuchaniach czy salach sądowych, nigdy nie odpowiadali jej wyobrażeniom o ludziach zajmujących się tym fachem. Daleko im było do morderców z filmów, bo prawie wszyscy wyglądali całkowicie przeciętnie. Zupełnie jak Annika Sommerfeld.

– Chociaż... – odezwała się Frauke Hirtreiter, robiąc minę, jakby nagle przypomniała sobie coś dziwnego – ostatnio czegoś się o niej dowiedziałam.

Opisała Pii sytuację ze sklepu, kiedy razem z Niką rzuciły się w pogoń za złodziejkami koszulki. Dziewczyna dopadła je pierwsza i stawiała czoło dwóm wyrostkom, których błyskawicznie pokonała. Pia słuchała zafascynowana.

– Jujitsu – zakończyła Frauke. Zupełnie naturalnie

z podejrzanej zmieniła się w ważnego świadka. – Na początku byłam zaszokowana, mówię pani. Ale potem pomyślałam, że to jednak dziwne, bo zakazała mi mówić Ricky o tym, co się stało. Przestraszyłam się, bo ona tak na mnie spojrzała... źle jej patrzyło z oczu. Jakby mi groziła. Przez chwilę naprawdę się jej bałam. Mimo że jest dobre dwa razy mniejsza ode mnie.

Bardzo interesujące. Annika Sommerfeld potrafiła zdecydowanie działać. Jednak brakowało w jej przypadku jakiegokolwiek przekonywającego motywu do zamordowania Ludwiga Hirtreitera. Lojalność wobec Ricky i Jannisa? A może to oni ją zmusili, znając jej przeszłość? Kazali jej się pozbyć staruszka? Tylko po co? Friederike Franzen również nie miała powodu, żeby go zabijać. Theodorakis wciąż jeszcze był jej ulubionym podejrzanym, a to, że zniknął, tylko dodawało jej pewności, że słusznie uważała go za sprawcę. Rozległo się pukanie, drzwi się uchylły i Cem wsunął głowę do środka.

– Mogę cię na chwilę poprosić?

Pia wstała i wyszła na korytarz.

– Sarah Theissen zadzwoniła do mnie na komórkę – oznajmił policjant. – Jej brat właśnie wrócił do domu.

Pia wpatrywała się w jego twarz. W jej głowie niespodziewanie ożyły wszystkie mechanizmy i kawałki układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Przez ostatnich kilka dni o morderstwo podejrzewali chyba wszystkie osoby zaangażowane w to, co się działo, występowali o nakazy aresztowań i przeszukali kilka domów,

weryfikowali alibi, rekonstruowali przebieg wydarzeń i szukali motywów – i byli tym tak zajęci, że niemal przeoczyli jedną z postaci, którą wciąż mieli pod ręką.

– Co się dzieje? – zapytał Cem z troską w oczach, widząc, że Pia nie rusza się i nic nie mówi. – Dobrze się czujesz?

Zamiast mu odpowiedzieć, policjantka odwróciła się na pięcie i wróciła do gabinetu.

– Pani Hirtreiter – powiedziała. – Pojedzie pani z nami? Miałabym do pani kilka pytań, ale spieszę się i chciałbym je zadać w samochodzie.

– Co...?! – Cem nie rozumiał, co się dzieje.

– Mark Theissen. – Pia nie dała mu dokończyć. – Jego w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Jak mogliśmy to przeoczyć?

Powinieneś natychmiast zgłosić to na policję! – Ricky siedziała na krześle obok łóżka i z troską przyglądała się Jannisowi. – To była przecież ucieczka z miejsca wypadku!

– Bzdura – wyseplenił mężczyzna tak niewyraźnie, że ledwie mogła go zrozumieć. – To wszystko przez tę twoją Nikę.

– Nikę? – Zaskoczona Ricky zamrugła oczyma. – A co ona miała z tym wspólnego?

– Powinnaś była mnie też zapytać, czy w ogóle zgodzę się ją ukrywać u nas w domu! Gdyby nie ona, nic by mi się nie stało...

– Kochany, nic nie rozumiem!

– Cholera! Nie zauważyłaś, że nie mam zębów? – Jannis sepleniał i pluł śliną.

– Wybacz, przepraszam. – Ricky nachyliła się i położyła dłoń na jego dłoni, żeby go uspokoić. – No dobrze, ale co masz na myśli, mówiąc, że to jej wina?

Jannis popatrzył na nią uważnie. Dzięki zapasowym okularom, które Ricky mu przywiozła, mógł przynajmniej dostrzec jej twarz. Przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście była aż tak głupia, czy tylko udawała.

– Twoja najlepsza przyjaciółka zamordowała jakiegoś gościa i ukradła mu dokumenty – odparł. – A twierdziła, że jest po prostu wypalona! Teraz ucieka przed policją i tymi typkami, którzy mnie tak załatwili.

Wyraz bezradności zniknął z twarzy Ricky.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to sam jesteś sobie winien! – odparła ostro. – To ty upierałeś się, żeby koniecznie użyć jej nazwiska publicznie. Chciałeś zgrywać ważniaka, że znasz prawdziwego naukowca. Ponoć Nika cię przed tym ostrzegła.

Jannis spojrzał na nią ponuro, a potem odwrócił głowę. Czy Eisenhut i jego ludzie dopadli już Nikę? Miał nadzieję! Nie chciał jej już nigdy oglądać, tej zakłamanej, wstrętnej dziry! Ubierała się w stare ciuchy z second-handów, a w walizce chowała iPhone'a, laptopa i kilkaset tysięcy euro! I prawdę mówiąc, tak samo dosyć miał też Ricky. Kiedy tylko wyjdzie ze szpitala, spakuje swoje rzeczy i zamieszka u matki, dopóki sobie czegoś nie znaj-

dzie.

– No i owszem, masz rację. – Ricky wstała i zaczęła układać w szafce czyste ubrania. – Ja też się trochę cieszę, że wyjechała. Nie, nie trochę. Bardzo nawet.

– Proszę, proszę, a skąd taka nagła zmiana? Myślałem, że chcesz, żeby została, bo ci pomaga w sklepie? – Nawet bez zębów i z opuchniętymi ustami udało mu się wypowiedzieć to pytanie kpiącym tonem.

– Bo chciałam – odparła lodowato. – Dopóki się nie dowiedziałam, że się do niej dobierałeś!

Powinien był się domyślić, że Mark nie wytrzyma i przy pierwszej sposobności wszystko wypaple.

– To nie było tak, przysięgam! – skłamał. Jeszcze przez kilka dni musi być z nią w jak najlepszych stosunkach. Wiedział, do czego była zdolna, kiedy się na coś wściekała, i nie wątpił, że mogłaby wyrzucić wszystkie jego rzeczy do śmieci. – Ona za mną cały czas łąziła. Nie dawała mi spokoju. Ricky, nie chcę żadnej innej kobiety! Tylko ciebie kocham. Przysięgam. Jesteś czymś najlepszym, co mi się przytrafiło!

Ricky popatrzyła na niego podejrzliwie, a potem westchnęła. Jannis spróbował zmienić pozycję i aż stęknął z bólu.

– Kochanie, mogłabyś poprosić Marka, żeby zajął się naszą stroną internetową? Napisałem już klepsydrę za Ludwiga, tekst musi leżeć gdzieś na moim biurku. Niech przepisze wszystko i wklei na stronę główną.

– No pewnie, nie ma sprawy. – Ricky znów się

uśmiechała. – Przekażę mu. Wszystkim się zajmę. Ty się niczym nie przejmuj, bo masz jak najszybciej zdrowieć!

– Za kilka dni spadam stąd – obiecał jej. – Przecież równie dobrze mogę leżeć w domu.

To, co Frauke Hirtreiter opowiedziała im w czasie jazdy z Hofheim do Königstein, sprawiło, że Pia nie mogła się pozbyć gęsiej skórki. Z jej opowieści wyłaniał się obraz chłopca, który najprawdopodobniej postrzegał Ricky i Theodorakisa jako prawie swoich rodziców i obdarzał ich głębokim podziwem. Pia wiedziała, że niestabilne emocjonalnie i zaburzone dzieci po przejściach z fałszywie pojmowanej lojalności robiły często niezrozumiałe i trudne do wytłumaczenia rzeczy, tylko po to, żeby przypodobać się obiektom chorego uwielbienia. Przypomniła sobie o Paulym, którego morderstwo rozpracowywała kilka lat wcześniej, o Lukasiu van den Bergu i Tarku Fiedlerze, którym zawdzięczała najgorsze godziny życia.

Sarah czekała na nich przy drzwiach.

– Jest na górze, w swoim pokoju – szepnęła, wpuszczając ich do środka.

– A gdzie są rodzice? – zapytała Pia.

– Mama poszła do kościoła, a tata siedzi w biurze. Nie mam pojęcia, kiedy wróca.

To może nawet dobrze, że państwa Theissen nie było w domu. Tak czy inaczej, Pia uznała, że bezpieczniej będzie przeprowadzić rozmowę z niepełnoletnim chłopca-

kiem w obecności pełnoletniego członka rodziny.

– Mogłabyś pójść tam z nami, kiedy będziemy rozmawiali z twoim bratem? – poprosiła. Dziewczyna bez wahania potaknęła. Ruszyli schodami na piętro. Kiedy stanęli pod drzwiami do pokoju Marka, Sarah zapukała.

– Mark? Policja do ciebie. Chcą porozmawiać – powiedziała.

Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, więc otworzyła. Pokój znajdował się w dużym wykuszu spadzistego dachu, miał podłogę wyłożoną naturalnym parkietem, duże okna ze szprosami i własny balkon, w tej chwili otwarty. Pomieszczenie było bardzo przestronne i ładnie umeblowane – dość nietypowe jak na pokój szesnastolatka. Mark leżał na łóżku, miał zamknięte oczy, ręce złożone pod głową i, sądząc po białych słuchawkach, słuchał muzyki z iPoda. Sarah podeszła i potrząsnęła jego ramieniem. Przestraszony otworzył oczy, zerwał się z łóżka i wyjął słuchawki z uszu.

– Cześć, Mark – przywitała się Pia i uśmiechnęła się przyjaźnie. – Jestem Pia Kirchhoff z policji kryminalnej. Wczoraj się widzieliśmy w domu pani Franzen, prawda?

Mark patrzył na nią z niewzruszoną miną. Po chwili przysiadł na brzegu łóżka. Na skroni miał potężny siniak, który ciągnął się aż pod oko. Z opowieści jego siostry Pia wiedziała, jak się go nabawił. Chłopak spojrzął na Cema, który chodził po pokoju. Potem spuścił wzrok na dłonie i dalej milczał.

– Dlaczego wczoraj nam uciekłeś? – zapytała poli-

cjantka. Mark wzruszył ramionami, wydał lekko usta i potrząsnął głową, by zasłonić oczy długą grzywką przetłuszczonych włosów.

– Nie wiem – mruknął niewyraźnie. – Przestraszyliście mnie.

– Nie dziwię się. Też bym spanikowała. Co robiłeś w domu pani Franzen?

Znów chwila milczenia. Chłopak zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Rano pojechałem do sklepu, ale jej nie było. Dlatego zadzwoniłem. Nie odbierała, więc pojechałem sprawdzić.

– ...i znalazłeś ją w wannie.

Chłopak potaknął.

– Gdzie byłeś dzisiaj w nocy?

Milczenie.

– Mark, musimy zapytać cię o włamanie do firmy twojego ojca – zaczęła Pia. – Podejrzewamy, że...

– To byłem ja – przerwał jej, ledwie skrywając agresję. – Ja tam byłem. Ale nie zabiłem wujka Rolfa.

Siostra chłopaka aż sapnęła z wrażenia i zakryła dłonią usta. Mark nie zwracał na nią uwagi.

– Upadł. Przewrócił się po prostu i walnął głową o poręcz. A potem zleciał ze schodów. Chciałem mu pomóc jakoś, ratować, ale... on już nie oddychał.

Wciąż unikał patrzenia na Pię. Nerwowo bawił się palcami, a kiedy zorientował się, że to robi, ścisnął dłonie między kolanami.

- To włamanie to nie był twój pomysł, prawda?
- To bez znaczenia.
- Nie, to akurat ma znaczenie.

Tym razem Mark na chwilę podniósł wzrok, a potem wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko podrzucić chomika na biurko ojca – wyjaśnił z westchnieniem. – Żeby się wkurzył. Ale jak już tam byłem, to przypomniałem sobie o tej ekspertyzie. Jannis wciąż o niej nadawał. Trudno było o niej nie słyszeć. Znałem hasło do sejfu ojca; jest zapisane w notatniku mamy.

– W laboratorium kryminalistycznym technicy nie znaleźli twojego DNA na zwłokach wujka Rolfa, ale za to było tam DNA Jannisa Theodorakisa. Czy ty go przypadkiem nie chronisz?

– Nie, nie kryję go. Nie mam powodów, żeby to robić. Miałem po prostu jego sweter na sobie, bo nie mam nic czarnego, co mógłbym nałożyć. Więc Ri... – przerwał szybko, podrapał się po ledwie zasklepionej ranie nad okiem, mając nadzieję, że Pia nie zauważyła jego przejęzyczenia. Ale policjantka momentalnie je wyłapała i poszła za ciosem.

– Więc Ricky dała ci sweter Jannisa – dokończyła.

– Nie. – Mark potrząsnął gwałtownie głową. – Ona nie miała z tym nic wspólnego. Nic!

W to akurat Pii nie chciało się wierzyć. Frauke Hirtreiter miała rację: Mark nie zawahałby się przed niczym, żeby przypodobać się lub ochronić Ricky i jej przyjaciela.

Ale czy byłby zdolny do tego, by zamordować dla nich człowieka i zastrzelić psa?

– Wiesz co, chyba ci nie wierzę. Moim zdaniem było tak: pani Franzen i pan Theodorakis powiedzieli ci, co powinienesz dla nich zrobić. A ty ich bardzo lubisz, więc się zgodziłeś i wykonałeś polecenie. Pech chciał, że na twojej drodze stanął wujek Rolf.

– Nie! – zaprotestował chłopak. – To nie tak!

– To może powiesz w końcu, jak było? Oni byli tam z tobą? A może czekali gdzieś na zewnątrz, żebyś odwalił za nich brudną robotę?

Mark nieustannie potrząsał głową. Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

– Możesz kluczyć i próbować nas zwodzić, Mark, twój wybór. Ale prawda jest taka, że jesteś winny śmierci wujka, bo gdybyś tam na niego nie wyskoczył, to nie dostałby zawału serca i...

– Nie! To nieprawda! To nie tak! – Mark zaczął krzyczeć, żeby nie mogła skończyć. – Nie macie pojęcia, jak to było.

– Święte słowa. Nie mamy. Ale tobie nic nie da okłamywanie nas – odparła Pia lodowatym tonem.

– Nie kłamie!

– Mark, zastanów się. Jesteś niepełnoletni, nie możesz być ukarany więzieniem. Niezależnie od tego, co tam zrobiłeś i do czego cię namówili, jeśli przyznasz się i pomożesz nam wyjaśnić tę sprawę, nic ci się nie stanie.

Pia widziała, jak na przemian zaciska i rozluźnia mię-

śnie szczęki. Był w ogromnym stresie i nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji. Musiała jak najszybciej znaleźć sposób, żeby podkopać jego zaufanie i lojalność wobec Friederike Franzen i Jannisa Theodorakisa. Była pewna, że to oni namówili nastolatka do włamania, a i być może do zamordowania Ludwiga Hirtreitera.

– Wiedziałaś może, że pani Franzen jednak była wczoraj rano w sklepie? Zaparkowała, ale nie wysiadła z samochodu. Rozmawiała z kimś przez telefon. Potem odjechała. Po dwóch godzinach znalazłaś ją w wannie.

– No i? – Mark wzruszył ramionami.

– Opowiedziała nam, że zostawiła swoją torebkę w domu i musiała po nią wrócić. Kiedy weszła do środka, napadli na nią zamaskowani mężczyźni. Ale wiesz co? Okłamała nas, bo jej torebka leżała na siedzeniu pasażera w samochodzie. A ja słyszałam potem, jak przez telefon tłumaczyła komuś tuż po napadzie, że przesadził.

Chłopak znów wzruszył ramionami, wpatrując się w podłogę.

– Jak myślisz, z kim mogła rozmawiać? Komu mogło zależeć na opróżnieniu gabinetu Theodorakisa ze wszystkich papierów i komputera? Czy to mógł być on sam, żeby skierować śledztwo na fałszywy tor?

– Bzdura – mruknął Mark. – Jannis miał wypadek. Leży w szpitalu.

– Kiedy miał wypadek? – zapytała Pia zaskoczona. Ten drobiazg zmieniał obraz całej sytuacji.

– Nie wiem dokładnie. Wczoraj jakoś. – Chłopak

spuścił głowę i przycisnął dłonie do skroni. – Nic już nie wiem. Czego ode mnie chcecie?

Pia zdecydowała, że to na razie wystarczy, i zakończyła rozmowę.

– Chciałabym cię poprosić, żebyś pojechał z nami na komisariat.

– Dlaczego? Po co? – W końcu po raz pierwszy spojrział prosto na nią. Jego oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem.

– Bo mamy jeszcze do ciebie kilka pytań.

– Nie możecie mnie tak po prostu ze sobą zabrać!

– Żebyś wiedział, że możemy. Jesteśmy z policji, robimy takie rzeczy na co dzień. To nasza praca.

– Oho, chyba właśnie wróciła mama – oznajmiła Sarah, która wciąż stała w drzwiach i w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie. Jej głos na ułamek sekundy rozproszył Pię, a chłopak potrafił to wykorzystać. Zanim zdążyła zareagować, zerwał się z łóżka i skoczył w stronę otwartych drzwi na balkon.

– Cem! – wrzasnęła. Policjant stał akurat przy biurku i rozglądał się wśród rzeczy na blacie, ale z ogromnym refleksem odwrócił się i złapał Marka za ramię.

– Puść mnie, ty cholerny idioto! – ryknął chłopak i z wściekłością, która dała Pii wyobrażenie, jak mógł zniszczyć samochody kijem golfowym, wyrznął Cema głową w nos. Mężczyzna zakołysał się i osunął na kolana, rozluźniając uścisk. Mark nie czekał. Kopnął go z całej siły w udo, wybiegł na balkon i przeskoczył przez barierkę.

– Mark! Nie! Mark, zostań! – Jego siostra, krzycząc piskliwie, minęła Pię i wyskoczyła na balkon.

– Co się tu dzieje? – W drzwiach do sypialni chłopaka pojawiła się pani Theissen i z niedowierzaniem spojrzała na zakrwawionego Cema, potem na Pię, a na końcu zauważyła córkę na balkonie. – Co państwo wyprawiają? I gdzie jest Mark?

– Właśnie wyskoczył przez barierkę i uciekł – odparła policjantka. Z ponurą miną wyjęła komórkę. – Niech mu pani załatwi naprawdę dobrego adwokata. Bo jak go złapiemy, to tylko taki będzie mu w stanie pomóc.

Puścił się biegiem przez ogród, przeskoczył nad ogrodzeniem i przecisnął się przez żywopłot, aż w końcu dotarł na skraj lasu i zniknął w gęstych krzakach. Suche liście jeszcze z jesieni szeleściły pod jego butami, a pojedyncze gałązki pękały z trzaskiem. Sapiąc, usiadł obok porośniętego mchem pnia powalonego drzewa, a potem położył się i poczekał, aż uspokoi mu się oddech. W jego głowie kłębiły się myśli. Cholerni gliniarze! Co tej kobiecie strzeliło do głowy, żeby zadawać mu takie pytania? Skąd niby miał wiedzieć, z kim Ricky rozmawiała? I czego w ogóle od niego chcieli?

Cholera! Jannis i Ricky zapewniali go, że nikt nigdy nie trafi na jego ślad. Że to wykluczone. Mark przewrócił się na plecy i drgnął. Dopiero teraz się zorientował, że skacząc z balkonu na rabaty poniżej, coś sobie zrobił. Bolała go lewa kostka. I to bardzo. Klnąc, usiadł i zsunął

nieco skarpetkę. Miał już spuchniętą stopę. Ależ to było idiotyczne tak się zerwać i po prostu zacząć uciekać. Powinien był spokojniej zareagować i wszystkiemu zaprzeczyć, tak samo jak Jannis. To on zastrzelił starucha, a potem schował broń w stajni, między belami siana. Z zimną krwią go kropnął! Tymczasem to on, Mark, jest podejrzany. W końcu gliniarze go dopadną, nie miał wątpliwości. Przecież nie mógł już na zawsze zostać w lesie. I nawet tego nie chciał. Jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej znaleźć się przy Ricky. Zobaczyć ją. I porozmawiać.

Mark odetchnął głęboko i na powrót położył się na ziemi. Ból niemal rozsadzał mu czaszkę. Nie mógł go już wytrzymać! Poza tym bardzo chciało mu się pić. Sięgnął ręką do kieszeni i z ulgą stwierdził, że ma ze sobą telefon. Jeśli zadzwoni do Ricky, na pewno po niego przyjedzie. Będą mieli szansę porozmawiać o wszystkim spokojnie. To chyba najlepsze rozwiązanie. Mark wyjął komórkę i otworzył klapy. Nie miał zasięgu! Świetnie, pomyślał. Powoli wstał z ziemi i kulejąc, ruszył stromym zboczem w górę, byle jak najdalej od miejsca, gdzie ktoś mógł go zobaczyć. Idąc, cały czas spoglądał na ekran komórki, czekając na kreski zasięgu. No, w końcu! Oparł się o pień, odciążył obolałą stopę i wybrał numer do Ricky. Gdzieś poniżej przez las biegła ulica Ölmühlweg. Nieliczne samochody, które się nią poruszały, wyglądały z tej odległości jak zabawki. Z miejsca, w którym stał, miał niedaleko do leśnej restauracji. Tam Ricky mogłaby na niego cze-

kać. Niecierpliwiać się, aż odbierze, usłyszał sygnał przychodzącego połączenia. Numer prywatny. Przerwał wybieranie numeru Ricky i odebrał.

– Mark, Pia Kirchhoff z tej strony – usłyszał głos policjantki, która u niego była. – Gdzie jesteś?

– Akurat pani powiem – warknął.

– Słuchaj, to bez sensu, żebyś się ukrywał – powiedziała, ale nie nieprzyjemnie czy wrogo. – Daj mi znać, gdzie po ciebie podjechać, to zaraz będę. Nic ci się nie stanie, masz moje słowo.

Masz moje słowo. Ileż to już rzeczy mu obiecywano! Micha obiecał, że o tym, co się między nimi działo, nikt się nie dowie. I skłamał, bo w końcu ktoś się dowiedział. Kto? Wszyscy nauczyciele, wszyscy uczniowie, wszyscy rodzice i cały kraj! W telewizji i w gazetach wymieniali jego imię! Mark T. (14), najmłodsza ofiara pedofila doktora Michaela S. Jannis obiecywał mu gruszki na wierzbie, jeśli tylko zorganizuje dla niego tę ekspertyzę i skopiuje mejle z serwera pocztowego WindPro. Obiecywał mu różne rzeczy za to, że będzie milczał w sprawie Niki i nie zdradzi go przed Ricky. A już najwięcej chyba obiecywali mu rodzice. Cały świat cały czas dawał mu słowo, tylko problem polegał na tym, że nikt nie miał zamiaru go dotrzymać! Mark zacisnął powieki. Nie, dłużej nie wytrzyma już tego bólu pod czaszką!

– Mark! – powtarzał głos w słuchawce. – Mark!

Może zaczęli już namierzać jego telefon, tak jak to niedawno widział w telewizji. Wystarczyło dostatecznie

długo prowadzić z kimś rozmowę, żeby technicy ustalili dokładnie, gdzie się znajduje rozmówca.

– Jannis zastrzelił Ludwiga – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Karabin jest w sianie w stajni Ricky. Ja nie miałem z tym nic wspólnego!

Nagle poczuł się samotny i opuszczony. Było mu źle. Zdradził Jannisa. Nie mógł już tego cofnąć. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Wszystko runęło. Mark osunął się po pniu na ziemię, zakrył głowę ramionami i zaczął szlochać.

Umawialiśmy się na wypłatę tylko w razie sukcesu. – Zaśmiał się lodowato. – A pani nawaliła.

– Słucham?

– Dokładnie tak. Bo jako udaną współpracę rozumiem coś innego niż to, co na razie osiągnęliśmy.

Stefan Theissen spojrział na kobietę, która stała przed jego autem i opierała ręce na biodrach. Była zniecierpliwiona i nerwowa. Ale nic w tym dziwnego.

– Zrobiłam wszystko, co pan chciał! – odparła ostro. – Wykrałam listy z podpisami i nawet zadbałam, żeby pańscy ludzie mogli bez problemu wywieźć wszystkie śmieci Jannisa. Na dodatek nie mam panu za złe, że zostałam uśpiona i związana! Niech pan odda mi moje pieniądze i koniec.

Z początku bardzo spodobał mu się pomysł, by jako swojego kreta, tajną współpracowniczkę, pozyskać życiową partnerkę tego idioty Theodorakisa. Wtedy jeszcze

gra nie toczyła się o tak wielką stawkę. Tajne umowy równoległe do zwykłych negocjacji nie były co prawda szczególnie legalne, ale cóż zrobić. Czasem nie dało się inaczej.

Wtedy zadzwoniła do niego ona. Na początku nie chciała się przedstawić. Zaproponowała za to, że będzie torpedować działania stowarzyszenia obywatelskiego. Ze śmiechem zapytał, ile by to miało go kosztować. A ona odpowiedziała również pytaniem, ile to dla niego warte. Dwa dni później spotkali się po raz pierwszy na parkingu przy autostradzie A5. Uważała się za cholernie sprytną, lecz on już przy pierwszej rozmowie rozpoznał jej głos. W pierwszej chwili można by pomyśleć, że należał do mężczyzny, bo był niski i chropowaty od papierosów. Nawet trochę sexy. I na pewno nie dało się go nie zapamiętać.

Przy pierwszym spotkaniu wypili razem kawę. Mentalnie ją przejrzał. Nie była szczególnie lotna, za to na pewno miała wyjątkowy tupet. I za grosz lojalności. Zemsta Theodorakisa była jej całkowicie obojętna – myślała tylko o sobie. Bez owijania w bawełnę wyznała, że ma dosyć życia tutaj i chce wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

A na to potrzebowała pieniędzy. Przynajmniej na początek, jak wyjaśniła. Co pan powie o dwustu pięćdziesięciu tysiącach euro?

Roześmiał się wtedy wyniośle i tylko potrząsnął głową. Przy następnym spotkaniu z wyrachowaniem podnio-

sła stawkę dwukrotnie, a on pluł sobie w brodę, bo dowiedział się czegoś, co ona musiała wiedzieć od początku – że Ludwig Hirtreiter odmówi sprzedaży swojej łąki. Szybko się dogadali, a Rademacher przygotował fikcyjną umowę na jakieś usługi doradcze. Theissen od samego początku nie miał zamiaru dawać jej jakichkolwiek pieniędzy – i nie zmienił zdania nawet wtedy, kiedy zaczęła informować go regularnie o wszystkich działaniach stowarzyszenia i poszczególnych członków. Wydawało mu się, że zaszantażuje ją podpisaną umową, lecz bardzo się pomylił. Cała ta sprawa miała dość ironiczny wydźwięk, bo koniec końców został oszukanym oszustem.

– Może pójdziemy napić się kawy? – zapytał, choć wiedział, że odmówi.

– Mowy nie ma – warknęła. – Mój facet leży w szpitalu, nie mam czasu.

– Theodorakis jest w szpitalu?

– Już pan nie udawaj świętego. A niby kto go tam wysłał, jak nie pańscy ludzie? Zresztą to nieważne. Trzeba wkalkulować straty własne i tyle. Dobra, to co z moimi pieniędzmi?

Wbrew wszystkiemu trochę ją podziwiał. Zawsze imponowali mu ludzie, którzy dobrze wiedzieli, czego chcą, i parli naprzód wszelkimi sposobami.

– To nie moja sprawka – odparł, żeby zyskać trochę czasu.

– Mam to gdzieś, pańska czy nie pańska. – Ani na chwilę nie odrywała swoich chłodnych, niebieskich oczu

od jego twarzy. – Chcę moje pieniądze, tak jak się umawialiśmy. Ja dotrzymałam swojej części umowy.

– To, a nawet więcej – powiedział Theissen. – Bo nie prosiłem pani, żebyście podburzali syna przeciwko mnie, żebyście włamali się do mojej firmy i zabili mi szwagra! Mam zadzwonić na policję? Czy może poinformować syna, jaką perfidną grę pani z nim prowadziła?

Wtedy kobieta się roześmiała. I choć spodziewał się niepewności i strachu, ona była pewna siebie i opanowana.

– Nie odważy się pan – odpowiedziała. – Bo ja mam w rękę znacznie więcej przeciwko panu niż pan przeciwko mnie. To, że Grossmann się przekręcił, to nie moja wina, ale panu to bardzo na rękę, prawda? W sumie to powinnam zażądać za to premii. Poza tym to nie ja byłam w pana firmie. My tylko czekaliśmy w samochodzie na dole. Na Marka.

– Co? – Theissen zamarł, kiedy zrozumiał, co właśnie powiedziała.

– To, co pan słyszał. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Mark wykradł dla Jannisa ekspertyzy z pańskiego sejfu. Poza tym skopiował wiele poufnych mejli i przekazał je nam. No cóż, muszę powiedzieć, że strasznie ciężko przeżył śmierć wujka, któremu nie mógł pomóc, choć bardzo się starał. A przecież on jest taki delikatny!

Na pierwszy rzut oka kobieta wyglądała całkowicie niegroźnie. Infantylnie blond warkoczyki i błękitna sukienka! A on dał się na to nabrać! Niech to szlag. Nigdy

jeszcze się tak nie pomylił.

– To jak będzie? – popędzała go. – Chce pan zrobić przelew czy dać mi czek? Im szybciej pan to załatwi, tym szybciej pan się mnie pozbędzie.

Theissen z trudem przełknął ślinę.

– A jeśli nie?

Zmrużyła oczy, tak że patrzyła na niego przez wąskie szparki.

– Nie chce pan tego wiedzieć.

– Wręcz przeciwnie, bardzo chcę. I to szybko.

Zrobił krok w jej stronę, lecz ona nawet nie drgnęła. Nie cofnęła się, nie zamrugowała, nic. Była niższa od niego może o głowę, jednak całkiem mocna i wysoka jak na kobietę. I nie miała nic do stracenia. Ona toczyła grę o wszystko. Wóz albo przewóz. W pewnej chwili z niepokojem uświadomił sobie, że miała nad nim przewagę. Głupio zrobił, że zaparkował między dwiema ciężarówkami, których kierowcy czekali gdzieś na zakończenie weekendu, by ruszyć w dalszą drogę. Jak okiem sięgnąć, ani żywej duszy, a hałas autostrady zagłuszyłby każdy krzyk.

– Za zamordowanie Hirtreitera Mark nie dostanie więcej niż dziesięć lat – oznajmiła z uśmiechem. – W końcu jest jeszcze niepełnoletni.

Theissen dostał skurczu jelit. Opanowała go potworna złość. Co za cholerny babsztyl! Nie zauważył nawet, kiedy go zneutralizowała i zaatakowała jego własną bronią.

– Co pani opowiada? – wychrypiał. – Co pani robi-

ła?

– Ja? Nic. Absolutnie nic. Ale Mark pewnie tak. – Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie dostanę pieniędzy, chłopak będzie miał poważne problemy.

Policjanci, którzy wcześniej przeszukali stajnię i piętro, na którym składowana była słoma, tyralierą przeszli jeszcze przez leżące dookoła łąki, lecz niestety, ich poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Umundurowani funkcjonariusze klęli na czym świat stoi, kiedy pod rozgrzanym niemal do czerwoności dachem wielkiego budynku musieli przeciskać się między ciasno postawionymi balami słomy w poszukiwaniu broni. Po strzelbie, którą Mark widział, nie było ani śladu. Theodorakis leżał w szpitalu. Nie był już taki pyskаты jak wcześniej. Wypadek i noc z połamaną nogą na wyciągu sprawiła, że bardzo spokojniał. Można by powiedzieć, że przypominał agresywnego lwa, który stracił zęby.

Tak, zgadza się, to oni namówili Marka na włamanie do WindPro. I tak, zgadza się, skłamał, kiedy podawał swoje alibi, bo we wtorek w nocy do rodziców przyjechał nie przed północą, lecz dopiero około pierwszej, bo wcześniej był u swojej byłej w Kriftel. Mówił i mówił, ale nie powiedział tego, na co Pia najbardziej czekała. O strzelbie w szafie Frauke Hirtreiter nie wiedział, podobnie jak o broni w stajni Ricky. Ponoć nie miał też pojęcia o kluczu do mieszkania Frauke, który wisiał w biurze

sklepu.

Pia wyszła z jego pokoju, czując coraz większą frustrację. Cem miał niewiele lepszy humor. Nos spuchł mu jak ziemniak i bolała go głowa.

– Co za cholerny bachor. Mogę mieć wstrząs mózgu – wymamrotał, kiedy zniechęceni siedzieli na ławce pod szpitalem i, zażywając słońca, zastanawiali się, co dalej.

Pia zapaliła papierosa i wyciągnęła nogi. Mark nie dał jeszcze znaku życia. Nie wiedziała również, co się dzieje z Friederike Franzen.

– Ciekawe, czy Mark naprawdę wierzy, że to Jannis zastrzelił starego Hirtreitera i jego psa? – Pia myślała na głos.

– Pewnie tak. – Cem dotknął nosa i skrzywił się z bólu. – Ta cała Nika też mogła maczać w tym palce. Po co miałyby uciekać, jeśli jest całkowicie niewinna?

Pia była mu dłużna wyjaśnienie, bo wiedziała, gdzie jest poszukiwana dziewczyna. Czy mogła stać za morderstwem Ludwiga Hirtreitera? Chyba powinna zadzwonić do Bodesteina. Zaciągnęła się papierosem, wstała, zdusiła niedopałek i wyrzuciła go do popielniczki obok drzwi szpitala.

– Wiesz co – powiedziała do Cema. – Ja mam na dzisiaj dosyć. Jutro też jest dzień.

– Święte słowa. Jeśli coś się będzie działo, zawsze mogą po nas zadzwonić.

Przed domem Theodorakisa i Franzen stał radiowóz, a drugi na polnej drodze, niedaleko stajni. Pani Theissen

miała dać znać, jeśli Mark pojawi się w domu. Wiadomość o poszukiwaniach nastolatka trafiła do wszystkich patroli i radiowozów w okolicach. Niewiele więcej mogli jeszcze zrobić. Kiedy wsiadła do samochodu, odezwała się jej komórka.

– Niech to szlag – warknęła i przewróciła oczyma. Przez chwilę walczyła z myślą, czy nie zignorować dzwonka, ale w końcu poczucie obowiązku zwyciężyło. Dyżurny z komisariatu dał jej znać, że czeka na nią jakiś mężczyzna, który twierdzi, że koniecznie muszą porozmawiać.

– Jak się nazywa? – zapytała Pia, układając sobie w głowie jakąś wymówkę.

– Dirk Eisenhut.

A co to miało, do diabła, znaczyć? Czego mógł od niej chcieć? Oficjalnie nie była wtajemniczona w sprawę Anniki Sommerfeld i, mówiąc szczerze, nie miała ochoty, by ktoś ją w to wciągał. Z drugiej strony paliła ją ciekawość, a od Dirka Eisenhuta mogła dowiedzieć się czegoś więcej o nowej miłości Bodensteina.

– No dobrze – mruknęła do słuchawki. – Powiedz mu, że musi uzbroić się w cierpliwość. Będę za kilkanaście minut.

Słońce wiszące coraz niżej nad horyzontem oślepiało go przez szybę pokrytą muchami i komarami. Niedaleko Stuttgartu zjechał z autostrady A8. Minęli Reutlingen i Pfullingen, kierując się na Sigmaringen przez Jurę

Szwabską. Jednak Bodenstein nie rozglądał się na boki i nie cieszył wspaniałymi krajobrazami rozciągającymi się po obu stronach drogi. Po pojawieniu się Störcha i jego ludzi zrozumiał, że nie może dłużej czekać. Wiedział, że w końcu wpadną na ślad Anniki, a wtedy jej aresztowanie będzie tylko kwestią czasu. W swoim mieszkanku nie był w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Był przy tym pewny, że musieli działać na podstawie konkretnej informacji. Nie miał złudzeń, że Störch pozostawi majątek jego rodziców w spokoju. Wiedział, że od teraz będzie pod stałą obserwacją. Na szczęście na razie najprawdopodobniej nie mieli pojęcia, że zajął mieszkanko nad powozownią, bo gdyby o tym wiedzieli, przyszliby z nakazem przeszukania i natychmiast znaleźliby Annikę. Kiedy odjechali, poprosił Quentina o pożyczenie samochodu i jeszcze tego samego popołudnia wyruszyli w drogę.

Annika spała od przeszło pół godziny, ale to Bodensteinowi odpowiadało. Potrzebował teraz spokoju, żeby przemyśleć sytuację, w jakiej się znalazł. Jednocześnie zadawał sobie pytanie, co Pia i pozostali jego ludzie robili. Nie był typem człowieka, który przy byle okazji zrzuca z siebie odpowiedzialność, a już na pewno nie miał zamiaru wyłączać się całkowicie ze śledztwa w tak gorącym momencie. Poza tym brakowało mu bardzo trzeźwego spojrzenia i obiektywizmu Pii, która nigdy nie bała się mówić tego, co myśli. Czuł się odcięty od rzeczywistości jak linoskoczek, który wędruje nad przepaścią bez rozpiętej poniżej siatki.

Gdyby tylko nie dręczyły go te wszystkie wątpliwości! W teorii wszystko wydawało się zupełnie proste i logiczne: zdecydował się pomóc Annice i po analizie wszystkich możliwości tylko jedna miała szanse powodzenia. Jednak od kiedy wyruszyli w drogę, opuściła go pewność, że postępuje właściwie.

Nawigacja satelitarna nakazała mu skręcić na B311 w kierunku Sigmaringen/Jezioro Bodeńskie. Do celu pozostało dwadzieścia osiem kilometrów. Planowany przyjazd o osiemnastej dwadzieścia siedem.

Westchnął. W innych warunkach cieszyłby się z takiej wycieczki. Od lat planował wypad nad Jezioro Bodeńskie, choć dotychczas w roli osoby towarzyszącej zawsze widział Cosimę. Głos z nawigacji nakazał mu jechać przez Bad Saulgau, a potem wąskimi drogami lokalnymi, meandrującymi między maleńkimi wsiami. Stodoły, góry gnoju, traktory... i pusto na drogach. Jak okiem sięgnąć, żadnych samochodów. Soczyste zielone łąki przeplatały się z ciemnymi lasami i polami uprawnymi, obsianymi zbożem, które sięgało już kolan.

W Heratskirch skręcił w lewo. Wąska droga nie miała wymalowanych pasów. Kolejna wioseczka składała się tylko z kilku domów. Wolfertsreute.

– Annika. – Bodenstein dotknął śpiącej. Dziewczyna drgnęła i spojrzała na niego przestraszona. – Wybacz, że cię budzę. Jesteśmy na miejscu.

Zamrugnęła przejęta, a potem wyjrzała przez okno.

– Tam dalej skręć w prawo na Milpishaus – powie-

działała i nachyliła się. – Która godzina?

– Piętnaście po szóstej.

– Może uda nam się pogadać z mamą na osobności. O tej porze powinna prowadzić krowy do obory.

Opuściła zasłonkę przeciwśłoneczną i otworzyła niewielkie lustro. Na jej twarzy malowało się napięcie. Bodenstein położył dłoń na jej dłoni.

– Niczym się nie martw – pocieszył ją.

– Mówisz tak, bo nie znasz mojego ojczyma. On mnie nienawidzi – odparła głucho. – Wiele bym dała, żebyśmy mogli już ruszać dalej.

Dwie minuty później auto wtoczyło się na duże podwórze, na którym rósł potężny kasztanowiec.

Cała wioska składała się z ledwie trzech gospodarstw, z których największe należało do ojczyma Anniki. Nad zabudowaniami gospodarskimi górował ponury dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły; warownia z przedłużonym dachem, pod którym znalazło się miejsce na stajnię. Bodenstein zatrzymał się. Wysiedli. W powietrzu unosił się gryzący zapach gnojówki. W kojcu rozszczękały się dwa rottweilery. Duże, silne zwierzęta o białych jak śnieg zębach dziko atakowały stalowe kraty. Bodenstein pomyślał, że nie chciałby ich poznać bliżej. Przeciągnął się, żeby rozprostować bolący kręgosłup, i rozejrzał. Latem na takim odludziu mogło być naprawdę pięknie, ale nie wyobrażał sobie zimy w miejscu, z którego do najbliższej miejscowości trzeba było jechać kilka kilometrów po wąskich i dziurawych

drogach.

– Mama jest pewnie w oborze. Słyszę dojarkę. – Annika pokiwała głową. – Chodź, zajrzemy tam.

Zawahał się, ale ruszył za nią przez szeroko otwarte wrota. Annika szła pewnym krokiem wzdłuż rzędu białoczarnych krowich zadów. Skreśliła w alejkę pośrodku, gdzie starsza, żylasta kobieta w czepku na głowie i w fartuchu zamaszystymi ruchami wideł podawała zwierzętom świeżo ściętą trawę.

– Mamo – powiedziała Annika i się zatrzymała.

Staruszka wyprostowała się i odwróciła. Na jej zaczerwienionej z wysiłku twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i niedowierzania. Po chwili przeniosła wzrok na Bodensteina i z powrotem na córkę. Upuściła widły i rozłożyła ramiona.

Moja prośba skierowana do pani jest zapewne dość nietypowa i, prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy w ogóle mam prawo zwracać się do pani w takiej sprawie. Nie chciałbym pani dodatkowo obciążać w niedzielne popołudnie. Jednak to bardzo nagląca okoliczność. Chodzi mianowicie o pewną kobietę, która w jakiś sposób była również zaangażowana w działania stowarzyszenia obywatelskiego, a z tego, co wiem, jest pani odpowiedzialna za śledztwo obejmujące właśnie te kręgi. Osoba, o której mówię, to Annika Sommerfeld.

Profesor Dirk Eisenhut siedział na krześle dla interesantów, na którym rano siedziała Frauke Hirtreiter, a Pia

zajęła miejsce naprzeciwko, za biurkiem Bodensteina. Z uwagą słuchała gościa i dyskretnie mu się przyglądała. Kanciaste, ostre rysy, ogorzałe policzki, głęboko osadzone błękitne oczy. Obiektywnie patrząc, bardzo atrakcyjny mężczyzna. Bez wątplenia wart zainteresowania, nie mówiąc już o tym, że aura siły i władzy, jaką emanował, dla wielu kobiet była afrodyzjakiem, któremu nie mogły się oprzeć. Nic więc dziwnego, że osoba tak całkowicie przeciętna jak Annika nie wytrzymała i zakochała się w swoim szefie. Ze słów Eisenhuta wynikało, że tak to właśnie wyglądało.

– Często się zastanawiałem, co takiego w moim zachowaniu mogło wzbudzić w niej fałszywą nadzieję. – Mówił powoli i kulturalnie, spokojnym barytonem. – Przez długi czas niczego nie zauważyłem. Być może gdybym wcześniej zareagował, udałoby się jakoś uniknąć tragedii.

Spojrzał Pii w oczy. Na jego twarzy malował się wyraz bezradności i żalu.

– Nigdy jeszcze nie pomyliłem się tak bardzo w ocenie innego człowieka, jak właśnie w przypadku Anniki. Swoim obłędem zniszczyła mi życie.

Jego słowa były dla Pii zaskoczeniem, bo, zgodnie z wersją Bodensteina, nic się jeszcze nie stało, a niebezpieczne dokumenty leżały zamknięte w skrytce szwajcarskiego banku i czekały tam na odpowiedni czas, by je ujawnić.

– Muszę przyznać, że była wyróżniającym się na-

ukowcem. Wybitnie inteligentna, lecz jak się okazało, szalona. Socjopatka. Kiedy teraz o tym myślę, przez te wszystkie lata powinienem był zwrócić uwagę na pewne drobiazgi w jej zachowaniu, które już na początku nie były normalne. Nie miała w ogóle prywatnego życia. Dla niej istniał jedynie Instytut. Nie miała przyjaciół, nie jeździła do rodziny. Miała tylko mnie.

Każda uwaga naukowca sprawiała, że Pia odczuwała coraz większe obawy o Bodensteina. Dotychczas zupełnie inaczej wyobrażała sobie Dirka Eisenhuta: jako chorobliwie ambitnego, ogarniętego żądzą władzy i bezwzględnego karierowicza. Tymczasem rzeczywistość okazała się inna. Poczuli do niego sympatię.

– Od dłuższego czasu wiedziałem, że nawiązała kontakt z tym całym O’Sullivanem i jego ludźmi. Urząd Ochrony Konstytucji od lat już zajmuje się ich grupą. Jakość pracy Anniki w żaden sposób przez to nie ucierpiała, a ja wierzyłem w jej lojalność. Poza tym, miałem wielką nadzieję, że może swoje chore uczucia skupi na kimś innym.

Bardzo to naiwne, pomyślała Pia, lecz nic nie powiedziała.

– Rankiem w Wigilię przyjechała do Instytutu. Przyszła do mojego biura z butelką szampana. Dość niecodzienna wizyta, lecz z początku niczego nie podejrzewałem. Skoro zna się kogoś przez piętnaście lat, to się zazwyczaj nie podejrzewa go o nic zdrożnego.

Przerwał i dwoma palcami potarł czoło u nasady no-

sa.

– Zdrożnego? Czyli o co?

– Otworzyłem alkohol, nalałem dwa kieliszki i wznieśliśmy świąteczny toast. Nagle ona złapała butelkę, rozbiła ją o kant stołu i zaczęła mi grozić szyjką z wystającymi kawałami szkła. – Na jego twarzy odmalował się ból. – Nagle stała się kimś obcym. Miała... takie puste oczy. Puste i martwe. Poczułem się nieswojo, ale stałem zbyt daleko telefonu, by wezwać ochronę.

– Czego chciała od pana? – zapytała Pia. Eisenhut milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Zażądała ode mnie, żebym się rozwiódł i z nią ożenił – wychrypiał. – To był jakiś obłąd. Chciała, żebym zadzwonił do żony. Mówiła, że musi usłyszeć, co będę mówił. A potem mieliśmy jechać do moich rodziców, by spędzić razem święta. Pobraliśmy się z Bettiną w tamte wakacje i teraz myślę, że to Annikę... że to wyzwoliło jej chorobę, a w każdym razie spotęgowało jej objawy. Poczula zapewne coś w rodzaju upokorzenia, bo chciała być na jej miejscu, a skoro nie mogła, uczucie zmieniło się w chorobę nienawiści.

Pia czekała, żeby mówił dalej. Wybitnie inteligentna socjopatka. Poczula, że dostaje gęsiej skórki.

– Pokaleczyła mnie, ale udało mi się ją obezwładnić i wezwać policję. Zapadła decyzja, że powinna trafić na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego. Cały czas była w szale, w końcu musiano podać jej jakieś środki uspokajające. Do dzisiaj szpital nie jest w stanie wyjaśnić,

jak to się stało, że Annice udało się uciec. Rozpoczęto szeroko zakrojone poszukiwania, lecz nic to nie dało, a ten błąd miał kosztować życie dwoje ludzi: O’Sullivan i... i moją żonę.

– Pańską żonę? – Pia uniosła brwi z zaskoczenia.

– Zgadza się. Bettina niczego złego się nie spodziewała i otworzyła jej, kiedy Annika pojawiła się pod drzwiami naszego domu. Wcześniej nie traktowałem serio jej próśb i grózb.

Zamilkł i z ciężkim westchnieniem ukrył twarz w dłoniach. Bardzo trudno było mu zebrać się w sobie i mówić dalej.

– Nikt nie wie dokładnie, co stało się później. Annika przyjechała do Bettiny późnym popołudniem w sylwestra. Dokładnie dzień wcześniej uciekła ze szpitala psychiatrycznego. Ze śladów wynika, że musiała pobić moją żonę i... – Nabrał głęboko powietrza, a Pia domyślała się już, jak wiele wysiłku kosztuje go dalsze mówienie. – Zanim wyszła z domu, podłożyła ogień. Ja wróciłem przed wpół do szóstej. Wtedy płomienie ogarnęły już dom. Straż pożarna walczyła z ogniem, ale z powodu mrozu nie działały hydranty.

– A pańska żona? Co z nią? – zapytała Pia ze współczuciem w głosie. Eisenhut uniósł wzrok i spojrzał gdzieś w dal.

– Bettina przeżyła pożar, ale uległa zaczadzeniu. Zbyt długi brak tlenu spowodował w jej mózgu nieodwracalne szkody. Od tamtego czasu jest w śpiączce. Po miesiącach

starań lekarze rozłożyli ręce i orzekli, że nie ma już nadziei na wybudzenie.

– Skąd pan wie, że za tym wszystkim rzeczywiście stoi Annika Sommerfeld?

– Znaleziono cały szereg śladów... Bettina trzymała w dłoni pukiel jej włosów. Poza tym zabezpieczono nagranie z kamery monitoringu.

Odchrząknął.

– Poprzedniego wieczoru musiała spotkać się z O'Sullivanem. Zamordowała go. Ponad czterdzieści ciosów nożem. Policja, która znalazła narzędzie zbrodni w jej mieszkaniu, twierdzi, że to była krwawa jatka. Niestety, po raz kolejny udało jej się uciec. Po podpaleniu mojego domu jakby zapadła się pod ziemię. Myślałem, że może... odebrała sobie życie. Ale w poprzedni piątek, w trakcie dyskusji po moim odczycie, znów usłyszałem jej nazwisko.

Przez chwilę w gabinecie panowała całkowita cisza. Słońce zniknęło za horyzontem. Pia nachyliła się nad biurkiem i włączyła lampkę.

– Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie? Dlaczego mi pan to opowiada? – zapytała.

– Ludzie z policji federalnej chcą tylko wyjaśnienia sprawy – przyznał, nie podnosząc wzroku. – Wcześniej rozmawiali już z pani szefem, ale nie wyjaśnili mu, jak bardzo niebezpieczna jest ta kobieta. Teraz, kiedy pan Bodenstein jest na urlopie, a pani przejęła dochodzenie, taka rozmowa na pewno będzie czekała i panią. Jutro rano

ci sami ludzie znów tu przyjdą mówić o poszukiwanej.

Kiedy Eisenhut uniósł głowę, miał bezradną minę.

– Chcę porozmawiać z Anniką, zanim wpadnie w ręce pani kolegów po fachu – wyjaśnił półgłosem. – Koniecznie muszę ją o coś zapytać. Wciąż nie rozumiem tego, co zrobiła Bettinie. To nie daje mi spokoju. Błagam panią. Proszę mi pomóc!

Ledwie mógł stanąć na obolałej stopie, lecz starał się ignorować ból i szedł dalej. Przed domem Ricky stał radiowóz, w którym siedziało dwóch policjantów. Mark był pewien, że na polnej drodze z tyłu ogrodu również parkuje policyjny samochód. Nie mógł wejść do środka i nie mógł też wrócić do siebie, bo rodzice momentalnie zadzwoniliby do tej blondynki. Jediną szansą na spokojne spędzenie nocy było schronisko. Mimo uszkodzonej nogi musiał jakoś się tam dostać.

Wcześniej w lesie wyłączył telefon komórkowy, żeby rodzice przestali go denerwować i żeby policja nie mogła go zlokalizować. Taki krok miał oczywiście również swoje złe strony, a mianowicie brak kontaktu z Ricky. Dlatego co pewien czas włączał komórkę na kilka sekund i wybierał jej numer. Ale nie odbierała. Z nerwów tracił zmysły. Nie miał pojęcia, co się działo, od kiedy wyskoczył przez balkon. Czy policjantka aresztowała Jannisa? Czy znaleźli w sianie karabin?

Pod osłoną zapadającego zmroku kuśtykał polną dróżką wzdłuż skraju lasu. Schronisko znajdowało się

nieco dalej, w dolinie ciągnącej się od Schneidhain do Bangert. Nocą panowały tu całkowity spokój i cisza. W lesie Mark szedł wąską ścieżką wydeptaną między drzewami. Musiał ostrożnie stawiać stopy, żeby nie potknąć się o wystające z ziemi korzenie. Zanim dotarł do terenu schroniska, ostatecznie zapadł zmrok. Lecz dzięki wędrowce przez las jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Przez piętnaście minut obserwował z ukrycia teren ogrodzony trzymetrowym płotem z siatki.

Nie zauważył żadnego ruchu, a w żadnym z okien nie pojawił się choćby słaby blask włączonego telefonu. Parking przy bramie również był pusty. Po drugiej stronie doliny widać było światła Königstein, a jeszcze dalej Schneidhain, lecz reszta okolicy, aż do drogi do Ruppertshain, pogrążona była w ciemności.

Odetchnął głęboko i wstał z ulgą. Po omacku wyszukał klucze, które rano wziął ze sobą, wiedziony jakimś przeczuciem, że będą mu potrzebne. Czy ze skreconą kostką da radę wspiąć się na płot i zeskoczyć z drugiej strony? Nie mógł skorzystać z głównego wejścia ze względu na czujki ruchu, które strzegły również wejścia do budynku. Żeby je wyłączyć, musiał najpierw dostać się do środka.

Na bezchmurnym niebie świecił jasny księżyc. Gdzieś nad głową Marka sowa machnęła skrzydłami i pomknęła dalej. Chłopak jeszcze raz się rozejrzył i wczepiając się w oczka drucianej siatki, rozpoczął mozolną wędrowkę. Sapiąc z bólu dotarł na samą górę, prze-

łożył nogę na drugą stronę i zawahał się, zanim zwiesił się na rękach. Potem osunął się po płocie na ziemię. Jakimś cudem wylądował na zdrowej nodze, lecz pod jego ciężarem siatka zadrżała i uderzyła o słupki. W którymś z kojców rozszczękał się pies, po chwili dołączyły kolejne, ale na szczęście szybko umilkły i znów zapanowała cisza. Mark przekuśtykał przez podwórze, starannie unikając czujek ruchu. Do budynku z biurem dotarł od tyłu, wyjął klucz i otworzył drzwi do jednego z pomieszczeń gospodarczych. Wyczerpany osunął się na ziemię i przez kilka minut leżał bez ruchu na przyjemnie chłodnych płytkach. Dopiero kiedy nabrał trochę sił, ruszył w stronę ambulatorium. Rolety przed zakratowanym oknem były opuszczone, więc bez obaw mógł włączyć światło. W szafce znalazł żel chłodzący i bandaż elastyczny. Opatrzył nimi kostkę, która spuchła już do rozmiarów sporego grejpfruta. Zegar nad drzwiami pokazywał za dwadzieścia jedenastą. Mark przeszedł do biura i sięgnął po słuchawkę. Tym razem Ricky odebrała już po trzecim sygnale.

– Mark! – krzyknęła. – W końcu! Policja pytała o ciebie! Strasznie się martwiłam. Co się dzieje? Jak się czujesz?

Gdy usłyszał współczucie w jej głosie, momentalnie zrobiło mu się lżej na duszy.

– Co robisz w schronisku?

Przez chwilę walczył z napadem strachu. Skąd wiedziała, że jest w schronisku? W końcu uświadomił sobie, że przecież musiała zobaczyć numer, z którego dzwonił.

Wtedy opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło wcześniej, i dlaczego się ukrywał. Na szczęście nie była na niego zła za poranną scysję.

– Mogłabyś przyjechać do mnie? – poprosił na koniec.

– Niestety. Przed domem mam policję – przypomniała mu. – Jeśli o tej porze pojechałabym do schroniska, na sto procent wysłaliby kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje. – Westchnęła głośno. – Poza tym mam inny poważny problem. Jakby nie dość nieszczęść zważyło mi się na głowę! Mój ojciec jest umierający. Matka zadzwoniła do mnie rano, żeby mi o tym powiedzieć. Jutro jadę do Hamburga, żeby się nimi zająć, choć mi to zupełnie nie na rękę.

– Jak długo cię nie będzie? – zapytał Mark. Ogarnął go strach, że przez jakiś czas czeka go samotność.

– Niezbyt długo. A teraz postaraj się przespać. Jutro rano zadzwonię i porozmawiamy jeszcze, dobrze?

– Tak, oczywiście.

– Dobranoc, Mark. Niedługo wszystko się ułoży, zobaczysz. I znów będzie dobrze.

– Mam nadzieję – zapewnił ją płaczliwie. – Dobranoc.

Jeszcze przez chwilę siedział w ciemności przy pustym biurku i wpatrywał się w telefon. Nika zniknęła, a kiedy Jannis trafi do więzienia, będzie miał Ricky tylko dla siebie. Kusząca wizja. Nie mógł już się doczekać. Wstał i pokuśtykał wąskim korytarzem do mieszkanca,

w którym spędził ostatnią noc z Ricky. Ich pierwszą wspólną noc. Pojękując z bólu, położył się na materacu i zanurzył twarz w poduszce, na której jeszcze czuł zapach perfum kochanki. Myślami wrócił do wydarzeń sprzed dwudziestu czterech godzin. Zapomniał o policji i o rodzicach. Odpłynął w sen unoszony słodkimi wspomnieniami.

Pia w zamyśleniu przyglądała się twarzy swojego rozmówcy, majaczącej w półmroku po drugiej stronie biurka. Siedziała w gabinecie Bodensteina, który tylko na krótki czas miała traktować jako własny. Słowa Dirka Eisenhuta brzmiały przekonująco, a przedstawione fakty były spójne. Ale czy na pewno tylko po to do niej przyszedł? Może miał jeszcze inny cel? Czy szczerze było jego pragnienie poznania prawdy o wydarzeniach z sylwestrowego wieczoru w jego domu? I dlaczego tak bardzo miałoby mu zależeć na rozmowie z Anniką, zanim policja się nią zajmie? Co przed nią ukrywał? Czy mógł nie mieć pojęcia o dokumentach, które O'Sullivan miał zdeponować w szwajcarskim banku? Chyba że takie dokumenty nigdy nie istniały...

Bardziej niż kiedykolwiek Pia odczuwała brak wystarczającej liczby informacji, by ułożyć z nich czytelny obraz. Nie podobało jej się, że kolejne fragmenty układanki spływały z różnych stron, a ona nie miała pojęcia, które są prawdziwe, a które fałszywe. W historii Eisenhuta coś jej nie pasowało, lecz nie odniosła wrażenia, by na-

ukowiec kłamał. Jego rozpacz i żal wydawały się całkowicie szczerze, lecz pojawienie się z taką prośbą na policji świadczyło o jakiejś dziwacznej determinacji, której nie rozumiała. Człowiek o jego wpływach i znajomościach miał dość środków, by nie musieć prosić o pomoc zwykłą policjantkę z niewielkiego miasteczka.

To, co powiedział, nie bardzo ją interesowało i w ogóle jej nie dotyczyło. Jednak zaczęła poważnie bać się o swojego szefa, który podróżował z kobietą podejrzaną o podwójne morderstwo i uszkodzenie ciała.

Nagle odezwał się telefon Dirka Eisenhuta.

– Proszę mi wybaczyć – przeprosił i odebrał połączenie. Powiedział coś krótko i się rozłączył. Siedział wyprostowany i miał jeszcze bardziej ponurą minę niż na początku.

– Złe wiadomości? – zapytała Pia po chwili, kiedy schował już telefon.

– Niekoniecznie. – Po raz pierwszy tego wieczoru na jego twarzy pojawił się uśmiech. Sympatyczny, co tylko pogłębiło jej rozterki. W sumie, co ją w ogóle interesował los Anniki Sommerfeld? Jeśli jednak powiedziałyby mu o Bodensteinie i o tym, że jadą właśnie do Zurychu, Oliver nigdy by jej tego nie wybaczył. Eisenhut nie dał jej długo walczyć ze sobą, bo wstał i się pożegnał.

– Dziękuję serdecznie, że znalazła pani dla mnie czas – powiedział. Pia również podniosła się z fotela. Wyłączyła światło i odprowadziła dziwnego gościa schodami na podwórze komisariatu.

Była upojna, letnia noc, a powietrze cudnie pachniało życiem. Dirk Eisenhut uściskał jej dłoń.

– Proszę o telefon, gdyby dowiedziała się pani czegokolwiek.

– Oczywiście. – Pia pokiwała głową. Stała jeszcze przez chwilę przy schodach i patrzyła, jak idzie w stronę swojego auta. Cholera, to wszystko to przecież nie była jej sprawa! Zdecydowała jednak, że powinna napisać SMS-a, by ostrzec Bodensteina. A potem pojedzie do domu.

Leżał na plecach i chrapał cicho przez uchylone usta. Księżycowa poświata między zasłonami wpadała do pokoju i rozświetlała wąski pasek wykładziny na podłodze. Matka dała jej niewielką kasetkę i zapewniła, że Herbert, jej niemiły ojczym, nic o niej nie wie. Nie ukrywała zawodu, kiedy Annika powiedziała, że będą zaraz ruszali dalej. Oliver najchętniej dałby się namówić na nocleg w jednym z pokoiów gościnnych, jednak Annika upierała się, że prześpią się gdzieś w samochodzie, bo tuż przed ósmą odpływa pierwszy prom, na którym będzie dość ludzi, by nie zwracali na siebie uwagi. W końcu zatrzymali się w niewielkim hotelu w Meersburgu.

Annika przyglądała się profilowi śpiącego Bodensteina i gdzieś w głębi serca bardzo mu współczuła. Był taki serdeczny i naiwny! Niemal niewiarygodne, biorąc pod uwagę jego pracę i pozycję zawodową. Lecz nie po raz pierwszy w życiu ktoś źle ją ocenił. Być może to przez jej delikatność i drobną budowę ciała, która powodowała, że

wielu odczuwało przemożną chęć chronienia jej i niesienia pomocy?

Przespała się z nim, bo dostrzegła, jak bardzo się w niej zakochał. Nie zmuszała się do tego, jak przy seksie z Jannisem. W innych okolicznościach byłoby jej pewnie bardzo przyjemnie, ale podczas gdy Oliver całował ją pożądliwie na skrzypiącym hotelowym łóżku, ona myślała o Dirku i mężczyznach w ciemnych garniturach, którym rankiem ledwie wymknęła się z rąk. Oliver mógł odczytać jej złość jako ekstazę; nie miała pojęcia, ale też jej to nie interesowało. W pewnym momencie pomyślała nawet, że mógłby już skończyć. Na szczęście nie zauważył, co się z nią działo, a pięć minut później leżał już obok niej i pochrapywał wyczerpany i szczęśliwy. Może śnił o wspólnej przyszłości, która nigdy nie miała się ziścić? Może.

Annika wsunęła ramię pod głowę i leżała, spoglądając na ozdobnie wykończony sufit, kiedy nagle zabrzączał sygnał wibracyjny komórki Bodensteina. Odwróciła głowę. Nie wiedziała dlaczego, ale musiał wcześniej wyłączyć dźwięk. Annika usiadła, zsunęła nogi z łóżka i na paluszkach podeszła do stołu. Panele na podłodze skrzypiały delikatnie, kiedy po nich przechodziła, lecz Oliver spał spokojnie i się nie ruszał. Annika wzięła komórkę i wyszła do niewielkiej łazienki. SMS-a przysłała Pia Kirchhoff. Pisała: „Właśnie rozmawiałam z Eisenhutem. Mówił rzeczowo i rozsądnie. Z A. coś jest nie tak. Martwię się o ciebie! Koniecznie zadzwoń! Niezależnie od

pory!”

Co za głupia krowa, pomyślała Annika i się rozzłościła. Ta cała Kirchhoff, o której Oliver miał tak wysokie mniemanie, od początku działała jej na nerwy. Annika nie mogła jej ścierpieć i domyślała się, że z wzajemnością. Szybko skasowała SMS-a i wyłączyła telefon. Potem odłożyła komórkę na stół i wsunęła się pod kołdrę. Teraz nic już nie powinno stanąć jej na drodze.

Berlin – Wedding, 30 grudnia 2008

Otworzyła oczy i zamrugła oślepiąca światłem lampy w kącie pokoju, którego nigdy wcześniej nie widziała. Gdzie była? Co się stało? Czowała potworny ból głowy, pulsujący bezustannie pod skroniami, a w ustach nieprzyjemną suchość. Zimno. Spróbowała się podnieść. Jęknęła. Tak, była w hotelu. Tylko jak się tu dostała?

Tak bardzo się starała przywołać wspomnienia, że w końcu zaczęły się pojawiać, niewyraźne i rozmazane niczym koszmar senny, który ulatnia się z pamięci wraz z przebudzeniem. Chciała jechać do matki, żeby spędzić z nią Wigilię. Ale zadzwonił Dirk i poprosił ją, żeby przyjechała do Instytutu. Do jego biura. Tam pili szampana. Zrobiło jej się niedobrze. Potem wspomnienia się urywały. Ciemność. Obudziła się z niej dopiero tutaj. Ostrożnie odwróciła głowę. Wyświetlacz budzika pokazywał jedenaście minut po dwudziestej drugiej. Rozejrzała się. Z przerażeniem stwierdziła, że jest naga. A w prawej dłoni

ściska... nóż! Zamarta, widząc krew na ostrzu, dłoni i ramieniu, lecz wciąż jeszcze nie docierało do niej, co to oznacza. Z wysiłkiem usiadła i puściła nóż. Dłonie i nogi miała ściernięte i kręciło się jej w głowie. Koniecznie musiała do ubikacji. Popatrzyła na pokój. Na krześle przy drzwiach wisiąco jej ubranie, a torebka, otwarta, stała na stole. Obok leżała komórka i kluczyki do samochodu. Lecz zobaczyła również walizkę i męskie buty obok. Na ziemi leżały dzinsy, wywinęte na lewą stronę, jakby ktoś zdejmował je w pośpiechu. Serce zaczęło jej walić jak szalone. Nie rozumiała jeszcze, co się stało. Z wielkim wysiłkiem wstała i omal nie padła na ziemię, bo ból w jej głowie eksplodował z podwójną siłą.

– Dirk? – wychrypiąca i oparła się o łóżko.

Gruby dywan wydawał się chropowaty pod jej nagimi stopami. Przestraszona drgnęła, kiedy nagle dostrzegła przed sobą nagą kobietę o blond włosach. Po chwili zorientowała się, że to tylko jej odbicie w lustrze. Co oznaczały te dziwaczne kropeczki na jej twarzy i całym ciele?

Zataczając się, przeszła do łazienki, otworzyła drzwi i stanęła jak skamieniała. Krew! Całe pomieszczenie wręcz tonęło we krwi. Czerwone rozbryzgi pokrywały podłogę, ściany i sięgały sufitu. Między wanną a toaletą leżało dziwnie powykęcane martwe ciało jakiegoś mężczyzny. Dookoła rozlewała się szkarłatna kałuża. Była pewna, że zaraz upadnie. Walczyła z mdłościami. Rozpaczliwie ścisnęła futrynę, by nie wylądować obok zwłok.

– O Boże! – wyszeptała zdjeta przerażeniem. –

O Boże, nie! Cieran!

Poniedziałek 18 maja 2009

Nie zaznał tej nocy wiele snu. Obudził się długo przed świtem i leżał, czekając na jej telefon. Myśl, że przez policję stojącą pod jej domem nie może po prostu do niej pójść, wywoływała w nim wściekłość. Zaraz siódma rano! W każdej chwili mogła pojawić się Rosi, żeby nakarmić zwierzaki. Czy mógł włączyć komórkę? Nie było to niebezpieczne? Musiał zaryzykować, może przez kilka sekund nic się nie stanie. Ricky mogła przecież dzwonić na ten numer. Wpisał szybko czterocyfrowy PIN i chwilę później rozległ się sygnał, że telefon zalogował się do sieci.

Mark sprawdził listę połączeń nieodebranych. Ponad dwadzieścia telefonów od ojca. Kilka połączeń z zastrzeżonego numeru, czyli pewnie gliniarze. Ale Ricky ani razu nie próbowała się z nim skontaktować. I nie napisała żadnego SMS-a. Ogarnęło go rozczarowanie. Przysięgła mu, że się odezwie, zanim wyjedzie do Hamburga, do rodziców! Nie mógł już dłużej czekać. Żel schładzający i bandaż dobrze zrobiły jego uszkodzonej kostce. Nie była już tak bardzo opuchnięta. W apteczce schroniska znalazł czysty bandaż, włożył tenisówki, schował komórkę i wyszedł z budynku.

Powietrze było świeże i czyste, a na łąkach połyskiwała poranna rosa. Mark nabrał kilka razy głęboko powietrza i ostrożnie stanął na uszkodzonej nodze. Jakoś dało

się wytrzymać. Rosi przyjeżdżała z Königstein, więc jeśli ruszy w przeciwnym kierunku, do Schneidhain, na pewno się nie spotkają. Obok bramy schroniska przebiegła dwójka joggerów. Nie zauważyli go. Dziesięć minut później dotarł do pierwszych budynków. Tutaj droga się rozgałęziała. Ani przy stajni, ani przy placu dla psów nie było nikogo. Nie zobaczył też koni. Czyżby Ricky jeszcze poprzedniego dnia przeprowadziła je na inny wybieg? Mark zastanowił się i doszedł do wniosku, że powinien iść główną ulicą. Jeszcze wczoraj wieczorem przed domem sąsiadów stał radiowóz, lecz dzisiaj nie było po nim śladu. Dzięki temu niezauważony dotarł do domu Ricky. Pod wiatą przed garażem stało bmw Jannisa, a we wszystkich oknach były opuszczone rolety. Budynek sprawiał wrażenie opustoszałego.

Mark przelazł nad niską furtką od strony ogrodu i ruszył w stronę schodów do piwnicy. Pod jedną z doniczek leżał zardzewiały klucz. Przez piwnicę wszedł do środka, a potem schodami na parter. W środku panowała ciemność. Zatrzymał się w korytarzu i rozejrzał. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Coś tu się zmieniło, lecz nie potrafił powiedzieć, co takiego.

– Ricky?

Wszedł do sypialni. Łóżko było pościelone. Zrobił krok dalej i uderzył o coś stopą. W ciemności nie widział podłogi. Po omacku odnalazł na ścianie włącznik światła. Pośrodku pokoju stały trzy walizki i torba podróżna. Otworzył szafkę i zamarł z przerażenia: wszystkie półki

należące do Ricky były puste! Na krótki wyjazd do rodziców nie musiała przecież zabierać wszystkich rzeczy, jakie miała! I nagle uświadomił sobie, co tak na niego po-działało, kiedy wszedł do domu. Pospiesznie wrócił do korytarza. No oczywiście! Legowiska dla psów i domki kotów, które od zawsze tu stały, zniknęły! Stał jak sparaliżowany i nie mógł się ruszyć. Kiedy dotarło do niego, co to wszystko oznacza, ogarnęła go panika.

Nad jeziorem wisiała gęsta mgła, a zza wierzchołków Alp sączyło się czerwone światło porannego słońca. Cudowny widok, na który chyba nikt poza nim nie zwracał uwagi. Pozostali kierowcy spędzali piętnastominutową przeprawę w swoich samochodach albo zaraz po wjechaniu na pokład udali się do baru na górnym pokładzie. Większość z nich zdążyła jak co dzień do pracy po drugiej stronie granicy ze Szwajcarią i zapierające dech w piersiach widoki nie robiły już na nich wrażenia.

Bodenstein oparł się o mokry reling i w milczeniu spoglądał na spienioną wodę. Cztery silniki diesla mru-czały gdzieś pod jego stopami. Annika stała przytulona do niego i drżała z zimna, jednak nie chciała siedzieć w barze. Wołała postać z nim na zewnątrz.

Pół godziny wcześniej wymeldowali się z niewielkiego hotelu. Za śniadanie wystarczyła im filiżanka kawy. Większość drogi milczeli. Rzadko kiedy Bodenstein od samego rana tak bardzo pragnął, by dzień mieć już za sobą. Wiedział, że lada chwila będzie zdany

tylko na siebie i to w mieście całkowicie mu obcym. Annika musiała czekać na niego w Konstancji, bo wjazd do Szwajcarii bez paszportu wiązał się ze zbyt wielkim ryzykiem. W banku zamiast nazwiska miał podać hasło, które Annika ustaliła wcześniej z O'Sullivanem i Bennettem, a potem udać się do skarbcza, gdzie ze skrytki, do której klucz miał schowany w kieszeni, wyjmie czarny neseser. Kiedy o tym myślał, nie widział słabych stron planu. Na dodatek to, co robił, nie było też w gruncie rzeczy nielegalne. Miał urlop, a przecież prywatnie mógł pojechać sobie choćby i do Szwajcarii.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – powiedziała Annika niespodziewanie i położyła mu dłoń na policzku.
– Niczym się nie przejmuj.

– Nie martwię się, spokojnie – odparł. Jej włosy powiewały delikatnie na wietrze, a oczy przybrały zieloną barwę wód jeziora. – Niedługo będzie po wszystkim. A wtedy...

Zamilkł i odsunął niesforny kosmyk włosów z jej czoła.

– A wtedy co? – zapytała szeptem.

Wszystko wydawało mu się takie nierealne. Czy naprawdę minął dopiero tydzień od czasu, kiedy na weselu Lorenza rozmawiał z Inką Hansen o swoim niespodziewanie zakończonym małżeństwie? Miał wrażenie, że minęło przynajmniej pół roku, jak nie więcej. Tyle się przez ten czas wydarzyło! W jego życiu pojawiła się Annika. I przynajmniej od zeszłej nocy wiedział, że nic już nie bę-

dzie takie samo. Być może było jeszcze zbyt wcześnie, żeby powiedzieć to na głos... żeby wypowiedzieć te dwa proste słowa, które wyrażałyby wszystko, co do niej czuł...

– ...wtedy będziemy mieli dość czasu, żeby móc się lepiej poznać – dokończył zdanie. – Cudowna była ta noc.

Na twarzy dziewczyny pojawił się nieśmiały uśmiech, który przyprawił go o szybsze bicie serca.

– Dla mnie też – wyszeptała. – I już się cieszę na to poznawanie się lepiej.

– Ja też nie mogę się doczekać – odparł Bodenstein. Odczuwał głębokie, niecodzienne zadowolenie, jak gdyby odnalazł coś, czego szukał przez całe życie. Musiał wytrzymać jeszcze ten jeden, jedyny dzień, który dzielił go od szczęścia.

Czule ujął jej twarz w dłonie i pocałował delikatnie w usta.

Przez całą noc nie zmrużył oka. Mark zniknął. Żona objechała całą okolicę i wszystkie miejsca, w których mógł się zatrzymać, ale nigdzie go nie było. Komórkę miał wyłączoną, a na SMS-y nie odpisał, jeśli w ogóle je otrzymał.

Stefan Theissen stał przy jednym z okien w swoim biurze i wyglądał na zewnątrz, gdzie nad ciągnącymi się w dal łąkami i polami majaczyła odległa panorama Frankfurtu, oświetlona porannym majowym słońcem. Miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć dłoń, by dotknąć połyskli-

wych wieżowców.

Obdzwonili nauczycieli i kolegów syna. Dowiedzieli się jedynie, że przyjaciele, o których Mark opowiadał, w rzeczywistości nie istnieją. Nie miał paczki, z którą chodziłby grać w piłkę, do kina czy po prostu wałęsałby się gdzieś, jak większość szesnastolatków. Na początku przerzucali się oskarżeniami i odpowiedzialnością za to, co się stało. Potem krzyczeli na siebie, ale w końcu zamilkli i nic nie mówili, bo nic więcej nie było do dodania. Mark prowadził niemal doskonale zakamuflowane podwójne życie, a oni nie mieli o tym pojęcia. Oboje zawiedli jako rodzice, bo z czystego wygodnictwa przyjmowali jego kłamstwa za dobrą monetę i nie chcieli widzieć oznak, że tak naprawdę wszystko wygląda inaczej. Żadne z nich nie potrafiło też przewidzieć, jak brzemienne w skutki będzie jego znajomość z tą całą Ricky i jej chłopakiem.

Nawet przed kilkoma tygodniami, kiedy nasiliły się gwałtownie sygnały, że coś z Markiem jest nie tak, porzestali na kilku powierzchownych rozmowach, niedocierających do sedna jego problemów. Nie chciało im się angażować w poszukiwanie przyczyn bezustannych bólów głowy i wagarów. Fatalny błąd, szczególnie patrząc przez pryzmat tego, przez co Mark przeszedł. I Stefan Theissen nie potrafił znaleźć żadnego usprawiedliwienia.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili do jego gabinetu weszła sekretarka. Wyrwany z zamyślenia odwrócił się od okna i spojrzał w jej stronę.

– Pan hrabia von Bodenstein – zapowiedziała. Theissen potrzebował kilku sekund, żeby wrócić do rzeczywistości. Potem skinął głową.

Zmusił się do uśmiechu, choć nie było mu lekko na duszy. Na stole z boku pomieszczenia leżała przygotowana zawczasu umowa wstępna na zakup działki. Lada chwila budowa farmy wiatrowej nie będzie stała już pod znakiem zapytania, a firma będzie zabezpieczona na całe lata. Wtedy znajdzie więcej czasu dla Marka. I znów będzie dobrze. Oby.

Heinrich von Bodenstein nie uścisnął wyciągniętej przez Stefana Theissena dłoni.

– Nie będę marnował pana czasu – oznajmił zamiast przywitania. – To, co pan i pana ludzie zrobili, było podłe i nieludzkie. Niemoralnie wysoką propozycją skłóciliście rodzinę mojego przyjaciela Ludwiga Hirtreitera, a co gorsza, zagroziliście również mojej rodzinie. Wasze groźby wzbudziły w nas strach. Dlatego zdecydowaliśmy wspólnie sprzedać tę łąkę komuś innemu.

Theissen spojrział na staruszkę i przestał się uśmiechać.

– Oznacza to, że nie zostanie pan właścicielem tej łąki – ciągnął hrabia von Bodenstein. – Ani dwa, ani nawet trzy miliony euro nie są warte takich problemów. Mój przyjaciel Ludwig chciał zachować tamtejszy krajobraz nienaruszony, z łąkami i lasem. Nie mam innego wyjścia, jak uszanować jego wolę. Każda inna decyzja stałaby w sprzeczności z moimi zasadami. Przykro mi.

Stefan Theissen skinął głową i westchnął. Zatem to koniec. Nie postawi tu farmy wiatrowej. Ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu było mu to serdecznie obojętne. Czuł tylko zmęczenie. I wyczerpanie. Swoje zasady moralne i etyczne już dawno temu złożył w ofierze bogom zysku i uznania, by osiągać biznesowe cele. A teraz ten kruchy staruszek w wytartej tweedowej marynarce pokazuje mu, że czyste sumienie warte jest dla niego więcej niż trzy miliony euro.

Biznesmen odczekał, aż Heinrich von Bodenstein wyjdzie z jego biura. Potem podszedł do komody pod ścianą i wziął w dłonie zdjęcie Marka, zrobione w czasach, kiedy wszystko było jeszcze dobrze. Niewysoki blond chłopiec, bardzo wrażliwy i nad wiek poważny. Dużo poważniejszy niż obie starsze siostry. Chłopiec, który zagubił się, poszukując miłości i akceptacji, bo nie mógł ich znaleźć we własnej rodzinie. Dlatego szukał ich wśród obcych. I złych. A jeśli to rzeczywiście Mark...? Jeśli to on zamordował Ludwiga Hirtreitera? Jeśli tak, to była to tylko jego wina, bo nie dość dobrze uważał na syna.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo w korytarzu. Nie mógł się ruszyć ani zebrać myśli. Słyszał jedynie swój świszczący oddech i odzywający się co pewien czas agregat lodówki w kuchni. Spakowane walizki, wyniesione gdzieś legowiska psów, puste szafki, niebieskie worki na śmieci – czy Ricky go okłamała? Czy chciała go opuścić?

W jego głowie huczało pytanie, którego nie mógł ignorować: dlaczego to zrobiła? Co z Jannisem i schroniskiem? Kto będzie dbał o świnki morskie i króliki? Kto zajmie się psami i kotami? Przecież tak bardzo je kochała! Nie, musiał się pomylić. Mark nabrał głęboko powietrza i stłumił odruch wymiotny. Wrócił do sypialni i zdecydowanym ruchem przewrócił jedną z walizek. Otworzył wieko. Musiał się upewnić.

W pierwszych dwóch walizkach znalazł jedynie ubrania, jednak w trzecim Ricky schowała komputer. Przez chwilę miał skrupuły, by myszkować w jej laptopie, lecz szybko wyjął go z etui i otworzył monitor. Hasło Ricky było równie proste jak hasło jego matki. Kiedyś powiedziała mu, jak brzmi, i nigdy go nie zmieniła. Mark siedział w ciemnym pokoju na podłodze z laptopem na kolanach i sprawdzał zawartość dysku twardego. Na początek otworzył program pocztowy. Ostatni mejl został wysłany przez Rosi. Pisała: „No pewnie, że się tym zajmę. Podrzucić mi sierściuchy, jak będziesz tu przejazdem, to je wezmę do siebie. Tak będzie prościej, bo nie będę musiała ciągle jeździć do ciebie do domu”. Sierściuchy! Co za określenie. Typowe. Cała Rosi! Mark zjechał na dół, żeby przeczytać list, na który odpowiedziała dziewczyna: „Droga Rosi! Muszę wyjechać na kilka dni. Jannis jest w szpitalu. Mogłabyś zająć się przez ten czas moimi zwierzakami? Konie wywiozę jutro do innej stajni, ale dla pozostałych nic nie zdążyłam znaleźć. Byłoby super! Pozdrawiam, Ricky”.

Chłopak nic nie rozumiał. Dlaczego poprosiła o to Rosi, a nie jego? Przecież często zajmował się jej zwierzakami, kiedy miała coś do roboty. Czyścił im klatki i karmił. I dlaczego wywiozła gdzieś konie? Bo wyjeżdżała na kilka dni do rodziców?

Mark wpatrywał się w ekran.

No tak, to oczywiste, wyjaśnił sobie szybko postępowanie Ricky. Nie chciała go obciążać niespodziewanymi obowiązkami. Koniec końców miał dopiero szesnaście lat i musiał jeszcze chodzić do szkoły. Była bardzo taktowna i potrafiła się zachować. Chciała jego dobra. Na dodatek miała prawo być wytracona z równowagi: w końcu dowiedziała się właśnie, że jej ojciec umiera. To wyjątkowa sytuacja. A na dodatek ciążył jej na pewno wypadek Janisa i zniknięcie Niki.

Podświadomie szukał w głowie usprawiedliwień dla ubóstwianej kobiety. Pragnął znaleźć wytłumaczenie jej postępowania, jak za każdym razem, kiedy robiła coś, co nie pasowało do jego wyidealizowanego obrazu. Nie, ona nigdy by go nie zostawiła. Nigdy nie miała przed nim tajemnic.

Mark przeglądał kolejne mejle. Nagle zamarł. Jedna z wiadomości została nadana z domeny oferującej tanie połączenia lotnicze www.billigfluege.de, a w tytule umieszczone były tylko dwa słowa: „potwierdzenie rezerwacji”.

Otworzył wiadomość i przeczytał treść. Potem drugi raz. I zrozumiał. Ogarnęła go fala przerażenia. Jak zawsze

w życiu miał pecha, bo nieszczęście dopadło go całkowicie nieprzygotowanego. Nie czuł już złości, a jedynie okropną, bezdenną rozpacz i rozczarowanie.

Niedaleko Berlina, 31 grudnia 2008

Nadchodził poranek, kiedy skręciła na leśny parking. Zatrzymała się i oparła czołem o kierownicę. Cieran nie żył! A ona leżała naga, wysmarowana krwią i z nożem w dłoni na łóżku w pokoju, którego obok w łazience znajdowało się ciało dziennikarza. Czy to ona go zabiła? Ale dlaczego miałaby to zrobić? Poza tym, co Cieran w ogóle robił w Berlinie?

Zmusiła się do spokoju i spróbowała głęboko i równomiernie oddychać. Był sylwester, ostatni dzień roku. Mówili o tym w radiu. Brakowało jej jakichkolwiek wspomnień z ostatnich sześciu dni. Pamiętała jedynie, jak Dirk nalewa jej szampana, wznoszą toast i piją. Wesółych świąt! Potem poczuła się źle. Widziała Dirka ze słuchawką przy uchu. Powiedział, że go zaatakowała. Ale to nie była prawda. Co się wydarzyło?

– Niech to szlag! – wymamrotała. – Annika! Wysł się! Przypomnij sobie!

Do gabinetu weszło dwóch ludzi z ochrony Instytutu. Jasne światło, ciepło. Uklucie w ramię. Wyprostowała się, podwinęła rękaw kurtki i w słabym świetle poranka dostrzegła niewielki wylew pod skórą na prawym przedramieniu. Wyraźnie widać było wklucie, tak samo jak resztki

kleju z plastra, który przytrzymał wenflon. Została uśpiona! A potem samochód! Zaparkowała przecież swoje auto pod Instytutem, kiedy szła do Dirka. Kto przestawił je pod hotel? Czy mogła sama tam pojechać? Czy to ona zabiła Cierana? Skąd miała nóż i dlaczego miałyby to robić?

Jej wzrok padł na zegarek na desce rozdzielczej. Minuta do ósmej. Zgłosiła radio, żeby wysłuchać wiadomości. Na próżno czekała jakiegokolwiek wzmianki o brutalnym morderstwie w jednym z hoteli w Wedding. Dziwne. Kilka sekund po tym, jak wybiegła na ulicę, pod budynek podjechały radiowozy. Takie sensacje natychmiast zaczynają krążyć w eterze. O morderstwach w miejscach publicznych mówi się we wszystkich wiadomościach. Chyba że... rodziło się w niej coraz silniejsze podejrzenie. Z wrażenia przetknęła głośno ślinę. Uciekając z hotelu, zabrała ze sobą telefon Cierana. Wygrzebała iPhone'a z kieszeni. Na szczęście był włączony! Trzęsącymi się palcami dotknęła ekranu i aż sapnęła z radości, kiedy się okazało, że nie był zabezpieczony żadnym kodem. Szybko otworzyła folder z przychodzącymi SMS-ami i zamarła, patrząc z niedowierzaniem na ostatnią wiadomość, która przyszła do Cierana. Bo została wysłana z jej komórki. Ale nie ona ją napisała.

Już na samym początku poczuła do niego antypatię. Pia nie polubiła ani głosu Heika Störcha, ani jego pełnego wyższości spojrzenia, ani tym bardziej wyniosłej miny na oblanej tłuszczem twarzy.

– Mamy podstawy przypuszczać, że pani szef spotkał się z osobą podejrzaną o popełnienie dwóch morderstw – zaczął, a Pia widziała, jak bardzo wkurza go to, że musi być miły i uprzejmy. Bez wątpienia uważał, że to rani jego dumę, kiedy musi okazywać kulturę komuś niższemu szarżą. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma innej drogi, by zebrać interesujące go wiadomości. Jego towarzyszom Pia nie poświęcała najmniejszej uwagi. Ludzie z policji federalnej często ostatnio bywali w gabinecie doktor Nicolii Engel, co jej samej chyba nieszczególnie przypadło do gustu.

– Aha. – Pia spojrzała na niego lekko znudzonym wzrokiem. Od Bodensteina nauczyła się panować nad mimiką.

– Dobrze, przejdźmy zatem do rzeczy – warknął Störch. – Czy wie pani, gdzie możemy znaleźć pani szefa?

– Nie, nie mam pojęcia – odparła Pia, zresztą zgodnie z prawdą. – W tej chwili tyle spraw jest na mojej głowie, że nie mam absolutnie czasu zajmować się prywatnymi sprawami szefa.

– Czy nazwisko Annika Sommerfeld coś pani mówi?

– Jeśli nie ma ono żadnego związku z aktualnie pro-

wadzonym przeze mnie śledztwem, to nic.

Chłodne, pełne pogardy spojrzenie.

– Droga koleżanko. – Szycha z policji federalnej, za jaką Störch się najwyraźniej uważał, zrozumiał w końcu, że w ten sposób daleko nie zajdzie. Spróbował więc innego podejścia. – Bodenstein to mój stary przyjaciel, jeszcze z czasów akademii policyjnej. Obawiam się jednak, że wdepnął w sprawę, która może go wciągnąć. Bez pomocy z zewnątrz nie da sobie rady. Należy podejrzewać, że pewna kobieta zawróciła mu w głowie, okłamała go, zwiodła, diabli wiedzą, jak jeszcze na niego wpłynęła. Proszę pomóc mi uchronić go przed popełnieniem jeszcze większego błędu.

– Jak mogłabym to zrobić?

– Proszę nawiązać z nim kontakt i poprosić, żeby się do nas odezwał.

– Nie ma sprawy. Załatwię to. Coś jeszcze?

– Proszę zrobić to teraz – uparł się policjant. – Proszę teraz do niego zadzwonić.

Pia wymieniła spojrzenie z doktor Engel, a potem wzruszyła ramionami i sięgnęła po słuchawkę.

– Tylko niech pani go nie spłoszy – polecił Störch. – Proszę włączyć tryb głośnomówiący.

Pia posłusznie wykonywała polecenia. Tak, jak się spodziewała, odezwała się poczta głosowa.

– Witam, szefie – powiedziała po usłyszeniu sygnału. Nie spuszczała wzroku ze Störcha. – Mam tutaj mały problem i potrzebowałabym pana rady. To pilne. Niech pan

do mnie zadzwoni najszybciej, jak pan będzie mógł.

Rozłączyła się. Spojrzała w stronę przełożonej i ich wzrok znów się spotkał. W oczach Engel odczytała milczącą aprobatę. Szefowej spodobało się ostrzeżenie, które zostawiła Bodensteinowi w poczcie głosowej. Wiedziała bowiem doskonale, że Pia i Oliver są od dawna na „ty”.

– Mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Nie, na razie to wszystko. Dziękuję. – Störch był wściekły. – I proszę pamiętać: ta rozmowa...

– ... jest ściśle tajna – dokończyła Pia za niego. – Tak, zapamiętałam.

Jannis podał taksówkarzowi dwadzieścia euro, które miał schowane w kieszeni szlafroka, a potem wygramolił się z wysiłkiem z tylnej kanapy samochodu i wsparł się chwiejnie na kulach. Po dziwacznym telefonie od Marka na próżno usiłował dodzwonić się do Ricky, aż w końcu nic nie zostało mu na karcie.

Myśl, że ktoś włamał się do domu i oczyścił jego gabinet ze wszystkich dokumentów i komputera, była dla niego przerażająca. Nie wypisując się ze szpitala, w piżamie, klapkach i szlafroku wyszedł na ulicę i wezwał taksówkę. Wystarczyło mu, że ludzie Eisenhuta zabrali jego portfel, klucze i komórkę; jeśli Mark mówił prawdę, nie miał już nic. Droga od samochodu do drzwi wejściowych niemal przekraczała jego siły. Sapał i ociekał potem, kiedy dzwonił do drzwi. Dlaczego wszystkie rolety były opuszczone? Niecierpliwie przycisnął dzwonek raz jesz-

cze. W końcu drzwi się otworzyły.

– Co tu się dzieje? – zapytał Marka i przecisnął się obok niego. Jego oczy potrzebowały kilku sekund, by przyzwyczać się do ciemności wewnątrz domu. W końcu mógł coś dojrzeć. W korytarzu czekał na niego nieziemski wręcz bałagan: porozrzućane worki na śmieci, ubrania, góry papierów. Zamrugął i stanął zdezorientowany.

– Gdzie jest Ricky? – zapytał nerwowo. – I co ty tu robisz?

Mark mu nie odpowiedział. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Nie poruszał się i miał pusty wyraz twarzy. Jannisowi było wszystko jedno, co się dzieje z nastolatkiem. O wiele większe znaczenie miał dla niego gabinet. Wąskie schody na piętro okazały się przeszkodą niemal nie do przebycia, lecz walczył mężnie, by stopień po stopniu wspiąć się na górę. Spodziewał się gigantycznego bałaganu; kompletna pustka wywołała szok i konsternację. To był koszmar. Zdezorientowany wpatrywał się w puste regały i opróżnione biurko, a mózg nie zgadzał się na oczywiste wnioski. Droga na parter była jeszcze trudniejsza niż na górę, lecz nie potrafił znieść tamtego widoku. Ciężko dysząc, usiadł w końcu na najniższym stopniu. Mark stał dalej tam, gdzie przedtem.

– Kiedy to się wydarzyło? – wysapał Jannis i przesunął dłonią po spoconej twarzy.

– Jeszcze w sobotę – odparł Mark. – Ricky nie chciała ci nic mówić. Tak samo jak ukryła przed tobą, że poszła ze mną do łóżka.

Jannis poderwał głowę.

– Co?!

– Pewnie w takim razie też nic nie wiesz, że dzisiaj leci do Ameryki i że wypowiedziała umowę wynajmu domu i sklepu. Mam rację?

Jannis patrzył na niego z wyrazem niedowierzania na twarzy. Czyżby gówniarzowi zupełnie już odbiło? Mark kopnął w jego stronę jeden z niebieskich worków na śmieci.

– Zupełnie przez przypadek się o tym dowiedziałem – wyjaśnił. – Tak samo, jak o tym.

Sięgnął za pasek. W następnym momencie Jannis patrzył w wylot lufy pistoletu, który nie wyglądał na replikę.

– Zwariowałeś? – warknął i spróbował wstać. – Odłóż to cholerstwo!

– Siedz – rozkazał Mark. – Albo strzelę ci w zdrową nogę.

Wypowiedział te słowa spokojnie, ale z groźbą. Jannis przełknął i posłusznie opadł na stopień. Pozbawiona emocji twarz nastolatka i pustka w jego oczach wzbudzały w nim strach. Śmiertelny strach.

– Czego... czego ode mnie chcesz? – wychrypiął.

– Poczekamy tu na Ricky – wyjaśnił Mark. – A potem będę chciał się od was dowiedzieć, dlaczego mnie okłamywaliście.

Przynajmniej jedną poszukiwaną osobę udało się znaleźć zaskakująco łatwo. Ralph Glöckner zdawał się nie

mieć zielonego pojęcia o tym, że stał się obiektem zainteresowania policji i zaraz po powrocie z weekendu zameldował się z powrotem w Złotym Lwie.

– Gospodarz zadzwonił na komisariat w Kelkheim, a oni wysłali szybko dwa radiowozy – poinformował Cem, schodząc z Pia po schodach. – Gość siedzi i czeka w jedyńce.

– Chociaż jedna dobra wiadomość dzisiaj – mruknęła policjantka.

Glöckner był jej ostatnim podejrzanym, z którym wiązała większe nadzieje, bo jej dotychczasowe przypuszczenia nie potwierdziły się w toku wcześniejszych przesłuchań. Sprawa zamordowania Hirtreitera nie dawała jej spokoju i prześladowała ją nawet we śnie. Choćby ostatniej nocy miała koszmar, w którym to ojciec Bodensteina zamordował swojego przyjaciela, a potem strzelił do Anniki Sommerfeld.

Pia i Cem weszli do pokoju przesłuchań numer jeden, a Ralph Glöckner podniósł się na ich widok z krzesła. Mimo potężnej budowy ciała jego ruchy były płynne, niemal delikatne. Nawet w nieprzyjemnym świetle jarzeniówek widać było drzemiącą w nim energię, która tylko czekała na uwolnienie. Glöckner miał potężne ramiona i szerokie barki. Pia nie potrafiła dojść, jak to możliwe, że nie zapamiętała tak wysokiego, postawnego mężczyzny, skoro spotkała się z nim w drodze na parking, jak zapewniał ją Oliver.

– Mamy do pana kilka pytań dotyczących zeszłego

wtorku – zaczęła, kiedy zakończyła wszystkie formalności poprzedzające zwykle przesłuchanie i włączyła mikrofon.
– Z tego, co wiemy, rozmawiał pan tamtego wieczoru z Ludwigiem Hirtreiterem.

– Tak, zgadza się – potwierdził Glöckner, oparł ramiona na stole i splótł dłonie. Krótko i rzeczowo opowiedział o odwiedzinach, jakie z Rademacherem złożyli całym spontanicznie, po wspólnej kolacji, staremu gospodarzowi. Twierdził, że pojechali do Ehlhalten, by raz jeszcze spróbować przemówić Hirtreiterowi do rozsądku. Ponieważ Ludwig nie chciał rozmawiać z przedstawicielem WindPro, zaprosił go do auta i sam odwiózł przed bramę gospodarstwa. Rozeźlony Rademacher czekał na parkingu przed „Koroną”. W drodze do domu Hirtreiter sprawiał wrażenie osoby smutnej i zmęczonej. Nie miał ochoty dłużej się kłócić. Tarcia wewnątrz stowarzyszenia obywatelskiego i rozłam w jego rodzinie sprawiały mu niewypowiedziany ból. Pieniądze zupełnie go nie interesowały, jednak to, co go powstrzymywało przed sprzedażą łąki, to obawa przed utratą wiarygodności w oczach pozostałych.

– Rozmawialiśmy przez dobre pół godziny – dokończył Glöckner. – Potem wróciłem na dół. Hirtreiter powiedział, że musi jeszcze raz to wszystko przemyśleć i potrzebuje trochę spokoju.

Pia nie znajdowała najmniejszego powodu, by podważyć te słowa. Cholera.

– Czy coś dziwnego rzuciło się panu w oczy, kiedy siedział pan w aucie przed gospodarstwem? – zapytała,

mając nadzieję, że może tym razem jej rozmówca powie coś pomocnego w śledztwie. – Może zauważył pan jakiś samochód? Motorower? Albo w trakcie waszej rozmowy ktoś zadzwonił do Hirtreitera?

Glöckner zmarszczył czoło i zamyślił się. Jednak ku wielkiemu rozczarowaniu Pii, potrząsnął w końcu głową.

– No nic, szkoda. Ale i tak bardzo dziękuję za rozmowę. – Zmusiła się do uśmiechu. Powoli zaczynało ją to wszystko wkurzać. – Proszę jeszcze tylko o podpisanie protokołu i jest pan wolny.

Wstała i sprawdziła telefon. Bodenstein nie dawał znaku życia. Niech to cholera. Jego niebezpieczna zabawa w kotka i myszkę z policją federalną też nie pomagała jej się skupić. Kiedy wychodziła z pomieszczenia, Glöckner zrobił ruch ręką, jakby coś sobie przypomniał.

– Pani komisarz! – zawołał. Zatrzymała się i spojrzała na niego. – Pani komisarz, właśnie przyszło mi coś do głowy, co może panią zainteresować.

Pia miała wrażenie, że niemal skanuje ją wzrokiem, czekając na jakąś reakcję.

– Tak?

– Pani fryzura mi o tym przypomniała. – Uśmiechnął się szeroko i oparł wygodniej.

– A o czym konkretnie? – Pia wróciła do stołu. Rano zaplotła włosy w dwa warkoczyki, bo nie miała czasu ich umyć.

– Kiedy wracałem do wioski, mijałem się z jakimś samochodem. Pomyślałem, że ktoś musi się bardzo spie-

szyć, bo gdybym nie dał po hamulcach i prawie nie zjechał do rowu, skasowałbym samochód.

Pia opuściła dłoń z telefonem komórkowym i wpatrywała się w niego z napięciem. Kiełkowała w niej pewność, że wie, co zaraz usłyszy. Serce waliło jej przy tym jak szalone.

– Niechże pan nie potęguje napięcia – powiedział Cem. Glöckner w ogóle nie zwracał na niego uwagi.

– Za kierownicą tego auta siedziała kobieta. Blondynka z warkoczykami. Może to coś pani pomoże?

To był właśnie ten magiczny moment każdego śledztwa, na który Pia tym razem bardzo długo czekała. Wiedziała jednak, że musiał nadejść.

– Oj, nawet pan nie wie, jak bardzo – odparła. – Dziękuję, to wszystko na dzisiaj.

Klucz zazgrzytał w zamku i drzwi się otworzyły. Przez kilka sekund widzieli tylko czarną sylwetkę na tle oślepiająco białego prostokąta światła z zewnątrz. Chłopak starał się przygotować na tę chwilę, jednak zapach jej perfum sprawił, że poczuł łzy w oczach. Jannis już od dłuższej chwili siedział w milczeniu i pojękiwał cicho.

– Cześć, Ricky – powiedział. Drgnęła i odwróciła się, krzyknąwszy ze strachu. Wtedy go zobaczyła. Po dwóch godzinach Mark trzymał pistolet tak pewnie, jakby robił to od dawna. Jednak kiedy uniósł broń i wycelował w nią, zadrżała mu ręka.

– Boże, Mark! Jak możesz mnie tak stra... – zamil-

kła, widząc skierowany na siebie wylot lufy. Zmarszczyła czoło. – Co ty tu robisz? I skąd masz broń?

Mark zignorował jej pytania.

– Czekałem, aż do mnie zadzwonisz. Tak jak wczoraj obiecałaś – powiedział. Zdziwił się, słysząc niepewność w swoim głosie. – A kiedy się nie odzywałaś, przyjechałem sprawdzić, co się dzieje.

Ricky dopiero teraz dostrzegła Jannisa, który siedział w ciemnej kuchni. Ze strachu aż wytrzeszczyła oczy.

– Kochanie! – zawołała. – Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

– Bo chciałem się pożegnać, zanim wylecisz do Los Angeles. – Nie ukrywał sarkazmu. – Już się nawet spakowałaś, prawda?

– Skąd przyszło ci do głowy coś równie niedorzecznego? – Popatrzyła na niego z niedowierzaniem i uśmiechnęła się słabo. – Przecież jadę do Hamburga, do rodziców!

– Doprawdy? Od kiedy twoi rodzice mieszkają w Hamburgu, co? No tak, pewnie od czasu, kiedy twój ojciec sprzedał ten „koncern” i żyje z „milionów”, które za niego dostał, co?

– Cholera, co to w ogóle ma znaczyć? – Ricky stała jak zamurowana. Cała sytuacja była tak niespodziewana, że nie potrafiła wymyślić na poczekaniu żadnego przekonującego kłamstwa. Na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności, ale szybko wzięła się w garść.

– Przestań w końcu kłamać! – wrzasnął Jannis. –

Mark znalazł w twojej poczcie potwierdzenie rezerwacji na lot do Stanów, więc skończ już wreszcie! Wywiozłaś konie i inne zwierzęta. Wszystko po to, żeby móc zwać w tajemnicy przed wszystkimi. Dlaczego słowem nie wspomniałaś o włamaniu do domu i kradzieży wszystkich moich dokumentów? Gabinet jest pusty! Zostałem z niczym!

– Zaraz, zaraz! Coś ty zrobił?! – Ricky spojrzała na Marka. – Na co ty sobie pozwalasz, żeby grzebać w moim komputerze?!

– Ja... ja... – Chłopak zaczął się jąkać.

– No powiedz jej! Dalej! – warknął Jannis. – Opowiedz jej, o czym rozmawiałeś z Frauke! O jej studiach w Ameryce i bogatym tatusiu! Same łgarstwa! Nawet dyplomy ukończonych kursów układania psów nie są oryginalne! Jesteś załganą, głupią zdzirą! Gardzę tobą!

W oczach Ricky pojawiły się błyski wściekłości.

– Proszę, proszę! I kto to mówi?! – syknęła jadowicie. – Ten, który miał w dupie farmę wiatrową, bo chciał tylko zemsty na swoim byłym szefie!

– To i tak tylko w połowie tak żałosne jak twoja zmyślona przeszłość! – Jannis parsknął pogardliwie. – Składasz się z samych kłamstw, nie ma w tobie nic prawdziwego!

– A ty jesteś egoistycznym dupkiem, który tylko potrafi kłapać dziobem, ale niczego nigdy nie zrobi porządnie! Jesteś skończonym złamasem!

Mark nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem.

Wzajemne oskarżenia, przekleństwa, wulgarne wyzwiska i pełne nienawiści spojrzenia. Każde wykrzyczane przez nich słowo odzierało idylliczny obraz cudownej pary, który długo uważał za prawdziwy, z miłości i szacunku. Klócili się jak jego rodzice, a nawet jeszcze gorzej, bo znacznie wulgarniej i bez zahamowań.

– Spokój! – ryknął na całe gardło. – Skończcie! Ciszsz!

Nie mógł już dłużej patrzeć, jak tych dwoje, uwielbianych przez niego najbardziej na świecie i podziwianych jak nikt inny, obrzuca się rysztołkowymi wyzwiskami i najgorszymi z możliwych oskarżeniami. Bolało znacznie bardziej niż w dniu, kiedy stracił Michę. Dziś odczuwał tysiąc razy większe rozczarowanie i ból. Skąd w ogóle przyszedł mu do głowy pomysł, że jest w stanie zmusić ich do wyznania kłamstw? Nie, zdecydowanie nie tak to sobie wyobrażał.

– A ty, mały gnojku, też lepiej uważaj – warknęła Ricky. – Co ci strzeliło do łba, żeby myszkować w moich rzeczach? Mów, do diabła, co ty wyprawiasz!

Pogarda, z jaką wypowiadała te słowa, zmroziła mu krew w żyłach.

Mark przełknął. Nie widział już w niej ani krztyny piękna, które tak kochał. Jej twarz przypominała obrzydliwie wykrzywioną maskę, zza której wзираło prawdziwe oblicze. Okazała się bezwzględna, okrutna i pozbawiona serca osobą.

– Ja tylko... ja tylko chciałem wiedzieć, dlaczego

mnie okłamaliście! – Chłopak walczył rozpaczliwie z napływającymi do oczu łzami. – Chcę tylko poznać prawdę!

Kobieta spojrzała na niego z góry i potrzęsnęła głową.

– Uważaj, bo ci powiem! – fuknęła pogardliwie. – Ty naprawdę jesteś nieźle kopnięty, gówniarzu! Wydaje ci się, że co? Że jestem ci cokolwiek winna? Wybij to sobie ze łba!

Machnęła lekceważąco dłonią i zaśmiała się nieprzyjemnie. I wtedy w głowie Marka zaszła jakaś przemiana, zupełnie jakby ktoś przestawił zwrotnicę, kierując jego myśli w inną stronę. Teraz, kiedy wydarzyła się najgorsza z możliwych do wyobrażenia rzeczy, zapłonął w nim przerażający płomień nienawiści. Jego całe dotychczasowe życie naznaczone było piętnem strachu przed utratą kogoś, kogo kochał: z początku rodziców, potem Michy, a na koniec Jannisa i Ricky. Ale teraz nie miał już czego ratować: ich też stracił. Wszystkich. Jednego po drugim. Rozczarowali go i zawiedli. Okłamali i porzucili. Czy miał jeszcze cokolwiek do stracenia? Czy mógł się cokolwiek obawiać? Było mu już wszystko jedno. Całkowicie.

– Nie mam zamiaru dłużej tego słuchać – oznajmiła Ricky, zbierając się do odejścia.

– Ani się waż stąd ruszyć – ostrzegł ją Mark.

– Stul dziób, gówniarzu – warknęła Ricky i bez strachu sięgnęła po pistolet.

Wtedy pociągnął za spust. Kula przemknęła tuż obok jej ramienia i wbiła się w ścianę przy drzwiach. Huk okazał się głośniejszy, niż się spodziewał.

– Do cna ci odwaliło? – wrzasnęła Ricky i odskoczyła. – Ty jesteś całkowicie porąbany! Idiota! Prawie mnie postrzeliłeś!

– Następnym razem na pewno nie spudłuję, masz moje słowo – zapewnił ją. Strach w jej oczach sprawił, że poczuł się lepiej. Prawie tak, jakby siedział przed komputerem. Tyle że tym razem w dłoni miał prawdziwą broń.

Co to ma znaczyć, że odwołaliście radiowozy?!

– Jedna zmiana kończyła, druga zaczynała. Ściągnęliśmy ich do bazy, ale potem musieli jechać do jakiejś bójki w jednej ze szkół.

Pia musiała ze sobą walczyć, żeby nie zacząć krzyczeć. Była wściekła. Od niemal trzech godzin dom Friederike Franzen nie był obserwowany przez policję!

– Najpóźniej za dziesięć minut przed domem pani Franzen mają stać dwa radiowozy – warknęła ostro. – Jeden zaraz naprzeciwko drzwi, drugi na polnej drodze na tyłach. I meldować, co tam się dzieje!

Rzuciła słuchawką, zanim kolega z policji w Königstein zdążył cokolwiek odpowiedzieć albo zaprotestować.

– Skończeni idioci! – krzyknęła wściekła. Nie mogła przyzwyczać się do biura szefa; było niewygodne i niepraktyczne, więc wróciła do siebie.

– Pia, od pani Hirtreiter dostałam numer do Franzen.
– W drzwiach pomieszczenia pojawiła się Kathrin Fachinger. – Zgłosiłam już do jej operatora zapotrzebowanie na pełen billing. Poza tym czekam też na opracowanie trasy, jaką przemieszczał się telefon Marka Theissena.

– Doskonała robota. Daj znać, jak tylko spłyną informacje.

– Wszystko powinno do nas dotrzeć nie dalej jak za pół godziny.

– Świetnie. Wezwij Krögera, niech jak najszybciej wpadnie.

– Już pędzę.

– Friederike Franzen została oficjalnie zgłoszona do listy poszukiwanych – oznajmił Cem. – Do wpisu dodałem numery jej samochodu.

Kai siedział przy swoim biurku i rozmawiał z prokuratorem w sprawie nakazów aresztowania. Cem zadzwonił do szkoły Marka Theissena i dowiedział się, że chłopak nie pojawił się na zajęciach. Od czasu ucieczki przez balkon nie pokazywał się również w domu. Matka nastolatka odchodziła od zmysłów. Wiadomo było, że Mark na pewno nie jeździ czerwonym motorowerem Rolf Grossmanna, bo policja w Königstein zabezpieczyła ten pojazd.

Pia przejrzała akta sprawy Hirtreitera i w myślach jeszcze raz przeanalizowała wszystko, co się wydarzyło w minioną sobotę. Dlaczego dużo wcześniej nie zauważyła, że coś nie pasuje z Ricky Franzen? Dziwnie się za-

chowowała. Na dodatek jej torebka wcale nie leżała w kuchni, jak twierdziła, tylko na przednim siedzeniu samochodu. Czyli kłamała! Jak to możliwe, że tak błyskawicznie odzyskała równowagę po szoku spowodowanym napadem? I z kim rozmawiała? Czy coś zaszło między nią a Markiem Theissenem?

– Chciałaś ze mną rozmawiać? – Do biura wszedł Kröger.

– Cześć, Christian. Dzięki, że tak szybko się zjawiłeś.
– Pia siedziała w swoim fotelu i przygryzała dolną wargę.
– Chodzi mi o raport w sprawie broni znalezionej u Frauke Hirtreiter, pamiętasz go dobrze? Bo nie mogę go znaleźć wśród papierów.

– Jest jeszcze na moim biurku. A co chciałabyś wiedzieć?

– Czyje odciski palców znaleźliście?

– O rany, mnóstwo odcisków. – Kröger zmarszczył czoło. – A dlaczego pytasz?

– Bo mam nową podejrzaną. Jestem prawie pewna, że Hirtreitera zamordowała Friederike Franzen, a potem podrzuciła narzędzie zbrodni do szafy w sypialni Frauke. Gdybyś wyodrębnił jej odciski palców, mogłabym popchnąć śledztwo dużo dalej.

– Mamy jakiś odcisk dla porównania?

– Na razie nie.

– Marka oczywiście nie ma w szkole. – Cem skończył telefonować i wtrącił się do rozmowy. – Co robimy?

Nagle rozdzwoniła się komórka Pii i jednocześnie

aparat stacjonarny. Kobieta spojrzała na wyświetlacz. Henning! Ależ wybrał sobie dogodny moment! Po czterech dniach milczenia nie mógł lepiej trafić, pomyślała. Podała komórkę Krögerowi.

– Trzymaj – powiedziała ponuro. – Twój ulubiony kolega. Zapytaj, o co chodzi.

Sama podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego. Zaskoczona wsłuchiwała się w gorączkowe słowa i przez chwilę nie mogła pojąć, kto i dlaczego krzyczy. W końcu rozpoznała swojego rozmówcę: dzwonił posterunkowy z Königstein. W miarę jak docierało do niej, o co chodzi, jej twarz stawała się coraz bardziej ponura.

– To nie miało prawa się stać – warknęła w końcu. – Powiedziałam wyraźnie, że mają czekać na nas przed domem! Tak... nie... sami się tym zajmijmy. Wy zamknijcie główną ulicę i drogę od tyłu. Tylko na tyle daleko, żeby nikomu nic się nie stało. Jesteśmy u was za piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę i podniosła wzrok.

– Co się stało? – zapytał Kai, który widział, jak zmienił się jej wyraz twarzy.

– Mark Theissen wziął panią Franzen jako zakładniczkę i przetrzymuje ją pod bronią w jej domu – wyjaśniła Pia. – Przed chwilą jeden z funkcjonariuszy podszedł do drzwi i został postrzelony.

Odetchnęła głęboko. W myślach przeklinała Bodensteina, który z tą oszustką wybrał się w radosną podróż po kraju. Nie oszczędziła też lokalnych funkcjonariuszy, któ-

rzy samowolnie porzucili stanowiska wokół domu Franzen i przerwali obserwację.

– Kai – powiedziała, podnosząc się z fotela. – Ruszaj z pełnym programem. Brygada antyterrorystyczna, karetki, psycholog i co tam jeszcze masz na liście. Cem, Kathrin, jedziemy.

– Przydam ci się tam na miejscu? – zapytał Kröger.

– Ty? No pewnie. Zawsze. Pamiętajcie o kamizelkach kuloodpornych. Za trzy minuty na parkingu.

Zarzuciła na ramię plecak i ruszyła w stronę drzwi. Wtedy przypomniała sobie o Henningu.

– O co chodziło? – zapytała, wyciągając dłoń po komórke.

– Nic takiego. Myślę, że wolałby sam ci powiedzieć – odparł Kröger wymijająco.

– Oj, daj spokój, nie ma czasu na takie ceregiele. Mów.

– Jeśli dobrze go zrozumiałem, w Anglii się z kimś ożenił, czy coś w tym rodzaju.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Kiedy Bodenstein wszedł do niewielkiego prywatnego banku w finansowej dzielnicy miasta, miał uczucie, jakby grał w filmie o tajnych agentach. Podszedł do doradcy i zamiast dowodu osobistego podał mu jedynie tajne hasło: „Climategate”. Bez zbędnych pytań został zaprowadzony do pomieszczenia w skarbcu, gdzie znajdowały się skrytki bankowe. Otworzył właściwą kluczem od Anniki

i wyjął z niej czarny neseser. Dziesięć minut później zmierzał już chodnikiem w stronę samochodu. Serce wciąż waliło mu jak szalone, a kolana się trzęsły, jakby zaraz miał się przewrócić. Dyskretnie się rozejrzał, żeby mieć pewność, że nikt go nie śledzi. Ku swojej uldze nie zauważył niczego podejrzanego. Mimo to uspokoił się dopiero, kiedy znalazł się na autostradzie w kierunku Winterthur.

Godzinę później wjechał do Konstancji. Celnicy szwajcarscy i niemieccy dali mu tylko znak, że ma jechać dalej, więc o pierwszej znalazł się na parkingu między hotelem i przystanią promową. Annika widziała, jak podjeżdża, więc ruszyła w jego stronę, zanim zdążył zaparkować. Serce waliło mu z radości, kiedy ujrzał szczęście na jej twarzy. Po chwili kobieta rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

- O rany, ale przygoda. – Uśmiechnął się szeroko.
- Oliver! Nie wiem, jak mam ci dziękować!
- Spokojnie, to dopiero pierwszy krok – przypomniał.
- Obawiam się, że rozmowy ze Störchem i federalnymi będą nieporównywalnie trudniejsze niż to.

Annika spoważniała i odsunęła się kawałek. Na jej twarzy próżno było szukać uśmiechu, który jeszcze przed chwilą ją rozjaśniał; ustąpił miejsca trosce. Lekka bryza znad jeziora potargała jej włosy. Wsunęła niesforny kosmyk za ucho.

- Co zrobię, jeśli nie będę mogła podważyć jego dowodów? – wyszeptała, patrząc na niego ze strachem. –

Dirk ma ogromną władzę i wpływy. I jest do wszystkiego zdolny. Chce się mnie pozbyć i zrobi wszystko, żeby dopiąć swego.

– Pamiętaj, że jednak żyjemy w państwie prawa, a nie na Dzikim Zachodzie – mówił Bodenstein z pełnym przekonaniem. Podszedł do bagażnika i go otworzył. – Nikt nie trafia do więzienia ot tak sobie, bo ktoś miał takie widzimisie.

– Bardzo szanuję twoją wiarę w procedury i sprawiedliwość. – Annika westchnęła ciężko. – Ale niestety, ja mam inne doświadczenia.

Sprawiła wrażenie smutnej i zagubionej; tak bardzo, że Bodenstein poczuł klucie w sercu. Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po policzku. W tak piękny dzień, z cudownymi widokami rozciągającymi się dookoła, nikt nie powinien się zamartwiać. Koszmar Anniki właśnie dobiegał końca, a potem będą mieli czas tylko dla siebie, czas na długie rozmowy i wycieczki.

– Jadąc, pomyślałem sobie, że będziesz potrzebowała naprawdę dobrego adwokata – oznajmił. – Tak się składa, że znam kogoś takiego. To doktor Clasing, specjalista od prawa karnego, zresztą jeden z najlepszych w całym kraju. Przed laty poznaliśmy się przy okazji pewnego śledztwa i jest mi winien przysługę. Zaraz do niego zadzwonię, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie, oczywiście, że nie mam. – Opuszkami palców przesunęła po czarnej skórze neseserka, a potem gwałtownie cofnęła dłoń, jakby poraził ją prąd. – Ludzie, któ-

rych znałam, zginęli przez to, co jest w środku. Przerazające.

– Chodź. – Bodenstein objął ją ramieniem i energicznym ruchem zatrzasnął bagażnik. – Musimy się pospieszyć, żeby zdążyć na następny prom. Potem pójdziemy coś zjeść. Umieram z głodu.

Przy blokadzie na wjeździe na ulicę, przy której mieszkała Ricky, zebrał się już spory tłumek gapiów. Pia przecisnęła się między nimi i pokazała pilnującym policjantom odznakę, a potem odszukała osobę odpowiedzialną za koordynację służb na miejscu.

– Otworzył drzwi i zaraz strzelił – oznajmił nadkomisarz policji z Königstein, Werner Sattler. Był bardzo wzburzony. – Bez ostrzeżenia!

– Jak się czuje pana człowiek? – zapytała Pia.

– Jeszcze nie wiem. Był przytomny, kiedy wieźli go do szpitala. Na szczęście miał kamizelkę, bo inaczej byłby martwy!

Pia spojrzał w kierunku domu. Wszystkie rolety były opuszczone, a pod wiatą stało czarne bmw Theodorakisa i ciemne audi Franzen. Kröger wydawał polecenia pozostałym policjantom. Kazał postawić kolejną blokadę, bliżej domu. Na miejscu pojawił się bus oddziału antyterrorystycznego. Ciemna furgonetka z nieprzejrzystymi szybami miała od teraz służyć jako terenowe centrum dowodzenia, stąd decyzja o przygotowaniu blokady pięćdziesiąt metrów od wejścia do domu. Do Pii podszedł Cem, przy-

ciskając telefon do ucha. Na końcu ulicy pojawił się wóz straży pożarnej i karetka.

– Od jak dawna są zamknięci w środku? – zapytał.

– Nie wiem dokładnie. – Sattler wzruszył ramionami i chusteczką otarł spocone czoło. Nigdy jeszcze nie zdarzyła mu się tak poważna sytuacja, jak wzięcie zakładników i postrzelenie policjanta. Wyraźnie nie radził sobie ze stresem.

– Kiedy wycofał pan ludzi z obserwacji? – dopytywał się Cem.

– Chryste Panie! No przecież wiem już, że to był błąd! – krzyknął zdenerwowany. – Nie musicie mi ciągle tego wypominać!

Pia otworzyła usta, bo na końcu języka miała ciętą odpowiedź, jednak Cem ją uprzedził.

– Nie zamierzałem panu niczego wypominać, spokojnie – odparł pojednawczo. – Jednak musimy wyznaczyć ramy czasowe, bo nie będziemy wiedzieli, jak postępować.

Sattler się zastanowił.

– Było jakoś przed siódmą.

Zbliżało się wpół do pierwszej. Przez pięć i pół godziny dom pozostawał bez żadnego nadzoru ze strony policji. Co za cholerni dyletanci!

– Popytamy sąsiadów – zaproponował Cem. – Może ktoś coś zauważył.

– Świetny pomysł. – Kröger potaknął i wskazał głową w stronę najbliższego domu. – Tutaj mieszka lokalna spe-

cialistka od spraw zagrożenia terrorystycznego. Stawiam pięć dych, że od rana siedziała w oknie i wszystko widziała.

– Dobra. – Cem się uśmiechnął. – W takim razie zaczynam.

– Christian. – Pia spojrzała na Krögera. – Ściągnij tu Frauke Hirtreiter. Poza tym ktoś powinien jechać do szpitala do Theodorakisa. Potrzebuję dokładnego planu rozkładu pomieszczeń w budynku.

Kröger potaknął i sięgnął po telefon. Do Pii podszedł szef antyterrorystów. Znała Joachima Schäfera z kilku wcześniejszych akcji i z zajęć, które prowadził przez dwa lata, kiedy chodziła do akademii policyjnej. Mimo że miał styl aroganckiego macho, nie potrafiła wyobrazić sobie nikogo lepszego do tej roboty.

– Hej – skinął głową w stronę Pii i założył okulary z lustrzanymi szklami. – Co my tu mamy? Zagrożenie?

Jego ludzie w antracytowych kamizelkach taktycznych, kominiarkach na twarzach i budzących grozę czarnych hełmach zebrali się przy furgonetce.

– Hej, Joe. Sami na razie niewiele wiemy. – Pia i Kröger weszli do furgonetki. Samochód wyposażony był w najnowocześniejsze systemy, pozwalające prowadzić znacznie bardziej skomplikowane operacje. Kiedy usiedli, szybko nakreślili sytuację w domu i jej tło.

– Porywacz jest uzbrojony i postrzelił już jedną osobę – zakończyła Pia. – To szesnastolatek, bardzo niestabilny psychicznie. Musimy założyć, że nie cofnie się przed po-

wtórny użyciem broni.

Schäfer zmarszczył brwi, potaknął i wydał kilka krótkich poleceń swoim ludziom. Snajperów wysłał na dachy sąsiednich budynków, a pozostałych ludzi rozstawił od frontu i na tyłach budynku Friederike Franzen. Pia nie zażdościła im pracy. Przy dwudziestu sześciu stopniach w cieniu mundur, kamizelka taktyczna i wyposażenie zmieniały oczekiwanie w piekielną torturę. Nie wyobrażała sobie, jak można w bezruchu czekać na rozkaz, ani na chwilę nie tracąc koncentracji.

– Czy porywacz wysuwał już jakieś żądania? – zapytał Joe.

– Nie. Żadnych.

Cem wszedł do środka. Zgodnie z przypuszczeniami Krögera, sąsiadka widziała wszystko, co się wydarzyło tu od rana. Okazało się, że błędnie przyjęto, że Mark ma tylko jedną zakładniczkę. W rzeczywistości w domu przetrzymywał dwie osoby, bo mniej więcej przed dwiema godzinami taksówką przyjechał Jannis Theodorakis ubrany jedynie w klapki i szpitalny szlafrok, a potem o kulach dokuśtykał do drzwi. Od tamtego czasu nie wychodził. Pani Franzen pojawiła się nieco później. Skoro świt wywiozła gdzieś konie, wróciła, załadowała zwierzęta, które trzymała w ogrodzie, i je też gdzieś zabrała.

– Rodzice Marka są już w drodze – dokończył Cem. – Mamy też już psychologa.

– Dobra robota. – Pia pokiwała głową. – Porozmawiam z Theissenami. Może uda się do niego zadzwonić.

– W porządku. – Joe Schäfer potaknął. W tym momencie odezwała się komórka Pii. Dzwonił Kai, bo udało mu się dotrzeć do billingów Friederike Franzen. Zgodnie z danymi od operatora, kobieta w sobotę rozmawiała ze Stefanem Theissenem. Pia musiała zatkać drugie ucho, bo Cem i Kröger też z kimś rozmawiali.

– Ale wyobraź sobie, że to nie był jedyny raz, kiedy się ze sobą kontaktowali. Okazuje się, że często do siebie dzwonili – ciągnął Kai. – Tylko w sobotę cztery razy: dwanaście po siódmej rano, kwadrans po ósmej, kwadrans przed dziesiątą i chwilę po wpół do trzeciej. Dzisiaj rano też już rozmawiali. Dziwne, co?

Nie, nie aż takie dziwne, pomyślała Pia. To tylko potwierdzało jej przypuszczenia. Friederike Franzen nie została napadnięta – tego w każdym razie Pia była już pewna.

Poczdam, 31 grudnia 2008

Zmierzchało już, a gdzieś w oddali wybuchały pojedyncze petardy. Drżąc z zimna, otuliła się ciasniej kurtką i schowała głowę w ramionach. Pod jej stopami skrzypiał śnieg. Żałowała, że zostawiła samochód na parkingu przy przystani jachtowej, bo nie sądziła, że to tak daleko. Kiedy w końcu stanęła przed bramą i spojrzała na przykryty białym puchem trawnik ciągnący się do rozświetlonych, wielkich okien willi, cała splotywała potem. Poczowała ból w sercu. Oparła dłonie na stalowych sztabach masywnego ogrodzenia i przez chwilę walczyła ze łzami. To miał być jej dom. To ona chciała mieszkać w nim z Dirkiem. Tymczasem jego panią została Bettina. Wiedziała, że płot nie był jeszcze skończony, więc ruszyła wzdłuż wysokiej podmurówki, aż w końcu znalazła miejsce, gdzie mogła przecisnąć się na teren posesji. Jezioro było spokojne, a drzewa wyciągały wysoko pozbawione liści gałęzie. Przy każdym oddechu wokół jej ust formowała się chmurka mgły. Nagle zalała ją fala nienawiści tak gorącej, że śnieg dookoła powinien był się topić. Jej serce pałało chęcią zemsty. Dirk ją okłamał. Zdradził. Pogrążył. To on zwabił Cierana do Berlina i to on go zamordował. A potem chciał ją o to oskarżyć, żeby się jej pozbyć. Po chwili stanęła przed drzwiami i zadzwoniła.

– O, dobry wieczór! – Bettina spojrzała na nią zaskoczona. – Cóż za niespodzianka!

Annika nigdy nie zwróciła uwagi, jaka była piękna. Błyszczące, długie włosy, doskonała figura, delikatna, lekko opalona skóra.

– Zastałam Dirka? – zapytała.

– Nie.

Podejrzliwość w jej spojrzeniu. I strach.

– Mogę na niego poczekać?

– Nie. Wolalabym, żeby pani sobie poszła.

Ciekawe, jakich podłych i niegodziwych kłamstw Dirk jej naopowiadał? Brutalnie odepchnęła ją na bok i weszła do środka. Znalazła się w wysokim holu. Wewnątrz gotowała się z nienawiści. Dostrzegła wysoką, pięknie przyozdobioną choinkę. Migające lampki rozświetlały salon na żółto i czerwono. W pomalowanym na zielono pomieszczeniu stał przygotowany już do uroczystej kolacji długi stół. Musieli oczekiwać gości, żeby razem świętować Nowy Rok. Nie mogła znieść tej myśli. Przez całe miesiące urządziła ten dom, nadzorowała robotników, architektów, wykonawców i dekoratorów. To ona przemieniła go z ruiny w perełkę. Co wieczór przechadzała się z Dirkiem remontowanymi pomieszczeniami i doglądała postępów prac. Jak mogła przypuszczać, że od początku planował zamieszkać w nim z inną kobietą? Nienawiść atakowała jej zmysły. Nie mogła już normalnie myśleć. Oddała się jej we władanie. I to przez tę kobietę! To ona odebrała jej Dirka!

– Jeśli zaraz pani nie wyjdzie, zadzwonię po policję!

– oznajmiła Bettina przestraszonym głosem. Annika się

odwróciła. Kobieta była ubrana na biało. Stała na posadzce z czarno-białego marmuru, wysoka i piękna, jak królowa w partii szachów. A ona? Kim była ona? Pionkiem, którego łatwo było poświęcić?

Nie pamiętała, co się wydarzyło później i jak się zaczęło. Wiedziała jedynie, że nagle w jej dłoni znalazł się pogrzebacz, a nieskazitelna twarz Bettiny spłynęła krwią. Dużo krwi. Pamiętała tylko zaskoczenie w jej dziecięco błękitnych oczach i brzęk tłuczonej porcelany i kryształów. Pojawiały się zamazane obrazy płonących świec, gorącego wosku na zmarzniętych dłoniach i choinki w ogniu. Czerwonożółte języki oploty ją niczym głodna bestia, a potem przeskoczyły na ciężkie zasłony, tapety i rozpetzły się po suficie. A ona stała pośrodku, zafascynowana i jednocześnie przerażona.

Ten dom nigdy nie będzie jej, ale tej kobiety też nie; kobiety, która zniszczyła jej cudowne życie, jakie zaplanowała z Dirkiem. Przeszła nad Bettiną i ruszyła w stronę drzwi. Za jej plecami pękła od żaru pierwsza szyba. Kawałki szkła obsypały kamienną podłogę. Potem pękła druga. Nagły dopływ tlenu zmienił szalejący pożar w prawdziwe ogniste piekło.

– Przy okazji, wszystkiego najlepszego w Nowym Roku – mruknęła w stronę znieruchomiłej kobiety i wyszła. Sylwester dwa tysiące ósmego roku miał być dla Dirka Eisenhuta niezapomnianym dniem. Już ona o to zadbała.

Mark miał wyłączony telefon, tak samo zresztą jak Ricky i Theodorakis. Frauke Hirtreiter przyjechała na miejsce i rozrysowała odręcznie rozkład pokoi w dużej willi wynajmowanej przez Friederike Franzen. Schäfer i jego ludzie w milczeniu przyglądali się jej pracy. W furgonetce pojawiła się również doktor Nicola Engel i przejęła dowodzenie akcją. Antyterrorysty dyskutowali, którzy będą najlepiej wejść i gdzie rzucić granaty hukowe i z gazem łzawiącym, żeby unieszkodliwić porywacza i zapewnić bezpieczeństwo porwanym.

– Nie wiemy, w którym są pomieszczeniu – zauważyła Pia.

– To bez większego znaczenia – odparł Schäfer lekceważącym tonem. – Dom nie jest aż tak wielki, a my nie robimy tego po raz pierwszy.

– Jestem przeciwna! – warknęła Pia. – Najpierw powinniśmy porozmawiać z Markiem.

Chłopak był przerażony i w szoku. To, co przed chwilą usłyszała od Frauke Hirtreiter i od państwa Theissenów, uświadomiło jej, jak strasznie trudno było chłopcu poradzić sobie z załamaniem emocjonalnym. Jednak nikt nie potrafił zgadnąć, co doprowadziło do tego, że trzymał pod bronią dwójkę ludzi, których podziwiał i kochał.

– Spróbujmy może zadzwonić na numer stacjonarny – zaproponowała Pia. Zauważyła oczywiście wściekłe spojrzenia, jakie wymienił Schäfer ze swoimi ludźmi.

Funkcjonariusze z oddziałów specjalnych zawsze optowali za szybkimi, siłowymi rozwiązaniami, lecz ona uważała, że na tym etapie to zbyt wielkie ryzyko.

Policyjny psycholog wybrał numer podyktowany przez Frauke i czekał w napięciu, czy ktoś odbierze. Po kilku sygnałach włączył się automat zgłoszeniowy, jednak w połowie powitania Mark podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Marku, nazywam się Günther Reul. Jestem psychologiem i chciałbym z tobą porozmawiać.

– A ja z panem nie.

– Bardzo się o ciebie martwimy. Twoi rodzice czekają tu z nami. Może z nimi chciałbyś porozmawiać?

Pia spojrzała na Stefana Theissena. Ojciec chłopaka wyglądał na przytłoczonego i załamane. Siedział z żoną na samym końcu furgonetki.

– Nie, nie chcę – warknął chłopak. – A ta kobieta, która była u mnie w sobotę?

– Jaka kobieta? – zapytał psycholog.

– Ta blondynka z policji – ciągnął Mark, a jego głos rozlegał się z głośników. – Niech przyjdzie tutaj.

Pia poczuła ciarki na plecach. Z takim obrotem sprawy zupełnie się nie liczyła.

– Ale Marku, ona nie jest... – zaczął mężczyzna.

– Ma przyjść – uparł się chłopak. – Ona albo nikt. I niech przyniesie kilka puszek red bulla. Za dziesięć minut przed drzwiami.

I po tych słowach się rozłączył. Mężczyzna skrzywił

się zrezygnowany.

– To nie wchodzi w rachubę – ucięła kategorycznie doktor Engel. – Koleżanka Kirchhoff pod żadnym pozorem nie wejdzie do tego domu.

– Co w takim razie pani proponuje? – zapytała Pia. – Nie wydaje mi się, żeby Mark chciał mi coś zrobić.

– Nie ma pani odpowiedniego przygotowania, nie mówiąc już o fachowej wiedzy. – Psycholog był niezadowolony i chyba trochę obrażony, a ludzie z oddziału specjalnego podkreślali nieobliczalność chłopaka. Pia nie miała najmniejszej ochoty zgrywać twardzielki ani bohaterki i dobrowolnie zdać się na łaskę niezrównoważonego nastolatka z bronią, jednak nie widziała alternatywy dla tego rozwiązania. Jakoś musiała go uspokoić i przekonać, by oddał pistolet. W przeciwnym razie mogłoby dojść do rozlewu krwi, a chłopak zmarnowałby sobie życie.

Do Würzburga powrót przebiegał bezproblemowo, lecz w okolicach tej miejscowości drogi były tak zapchane, że musieli zwolnić, aż w końcu przy Marktheidenfeld na dobre utknęli w korku. Bodenstein spojrział na Annikę. W trakcie obiadu w Radolfzell była pełna optymizmu, a uśmiech nie schodził jej z twarzy. Bodenstein miał ochotę zaproponować, by nie wracali prosto do Frankfurtu. Perspektywa kolejnej wspólnej nocy, zanim będzie musiała oddać się w ręce policji, była bardzo kusząca. Jednak rozsądek zwyciężył. Annika była przekonana, że jej ojczym niezwłocznie powiadomił Dirka Eisenhuta, że

widział ją w okolicy. To sprawiało, że niebezpieczeństwo wpadnięcia w ręce jego ludzi niepomrotnie wzrastało. Nie mieli czasu do stracenia. Od dobrych kilku minut siedziała posepna, blada i milcząca.

– Dzisiaj wieczorem pojedziemy prosto do Clasinga i przekazemy mu walizkę. – Bodenstein położył dłoń na jej dłoni. – On zajmie się dokumentami. Będą bezpieczne.

Kamień spadł mu z serca, kiedy doktor Florian Clasing bez wahania zgodził się zająć sprawą Anniki. Był jednym z najlepszych adwokatów działających we Frankfurcie. Uznał też, że trzeba wyjaśnić, co konkretnie zarzuca się dziewczynie, która powinna pozostać w ukryciu do chwili przedstawienia oficjalnych dokumentów. Miał już pomysł, gdzie ją umieścić, jednak z oczywistych względów nie chciał o tym mówić przez telefon. To tylko kilka tygodni, które miną jak z bicia strzelił, pocieszał się Oliver.

Włączył radio, żeby poszukać informacji dla kierowców. Akurat trafił na wiadomości ogólnokrajowe.

...postrzelił policjanta, który w stanie ciężkim trafił do szpitala – donosił reporter, a Bodenstein zgłosił radio. – Dotychczas policja nie wystosowała żadnego oświadczenia. Nie wiemy więc, ilu zakładników przetrzymuje porywacz, choć z nieoficjalnych źródeł docierają do nas informacje, że jest nim szesnastoletni chłopak. Nie mamy również informacji na temat aktualnego stanu postrzelonego policjanta, który przebywa w szpitalu. Z Königstein dla Radia FFH Daniel Keppler.

Szesnastolatek przetrzymuje zakładników w Königstein? Bodenstein poczuł pieczenie w żołądku.

– Wielkie nieba – wyszeptał i sięgnął po komórkę, którą przezornie wyłączył, bo bał się, że policja federalna może próbować go namierzyć. Annika wyprostowała się na siedzeniu pasażera i spojrzała na niego z niepokojem.

– Co robisz? – zapytała.

– Muszę koniecznie porozmawiać z Pią – odparł policjant i wprowadził numer PIN. Kilka sekund później rozległ się sygnał wiadomości, które ostatnio zostały do niego wysłane. Dwadzieścia pięć nieodebranych połączeń i trzy SMS-y. Teraz nie było czasu, żeby się tym zajmować. Później je sprawdzi.

Antyterrorysty zajęli stanowiska dookoła domu i na dachach okolicznych budynków. Wcześniej uzgodniono sposób postępowania i kolejne kroki. Na skórzanym pasku zegarka Pii technik oddziału specjalnego zamontował miniaturowy mikrofon. Jej zadaniem było wejść do domu, zorientować się w sytuacji w środku i pozornie przystawać na żądania porywacza. Gdyby coś szło nie tak albo nie miała szans przejąć kontroli, oddział antyterrorystyczny planował rozwiązanie siłowe najpóźniej pół godziny od podjęcia przez nią próby delikatnego rozbrojenia Marka. Matka chłopaka płakała cicho, a ojciec siedział obok niej i skrywał twarz w dłoniach. Niezależnie od tego, co zrobili albo czego nie zrobili, musieli przeżywać najgorsze chwile w życiu, przysłuchując się rutynowym rozmo-

wom policjantów, którzy decydowali, że w najgorszym razie zastrzelą porywacza.

Kiedy Pia wyszła z samochodu, odezwała się jej komórka. Christoph! Przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle powinna odbierać.

– Dzwonisz troszeczkę nie w porę – powiedziała w końcu. – Mamy tutaj zawirowania. Co się dzieje?

– Wraciałem właśnie do domu, kiedy w radiu usłyszałem o zakładnikach w Schneidhain – wyjaśnił. – Proszę, powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego!

– Niestety – potrząsnęła głową. – Mam coś wspólnego.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Czy to niebezpieczne? – zapytał przez ściśnięte gardło.

Pia nie potrafiła powiedzieć mu prawdy.

– Nie, dla mnie nie – skłamała.

– To dobrze – westchnął z ulgą. – W takim razie powodzenia.

W chwili, kiedy przerwała połączenie, jej telefon ponownie się rozdzwonił. Bodenstein! Tyle że dla niego nie miała w tej chwili czasu. Podana telefon Christianowi Krögerowi i poprosiła go, żeby wyjaśnił szefowi, co się dzieje i dlaczego nie może z nim rozmawiać. W skrytości ducha miała nadzieję, że może oderwie się na kilka godzin od tej swojej Anniki i wpadnie ich wesprzeć.

Złapała sześciopak red bulla zakupiony przez jednego z funkcjonariuszy na pobliskiej stacji benzynowej, wes-

tchnęła głęboko i ruszyła w stronę domu ulicą, która zdawała się całkowicie wymarła. Serce waliło jej jak szalone, kiedy podchodziła schodami do drzwi. Zadzwoiła. Myśl, że przynajmniej trójka snajperów obserwuje ją przez superprecyzyjne lunety celownicze i widzi każdą kroplę potu na jej czole, nie dodawała jej animuszu.

Czekał tuż za drzwiami. Wolną dłonią sprawdził, czy nie ma broni. W drugiej trzymał pistolet i przez cały czas do niej celował. Pia bała się oddychać. Na szczęście nie zauważył miniaturowego mikrofonu, który miała przymocowany do paska od zegarka. Pewnie nie podejrzewał, że może mieć taki sprzęt, a może było mu to obojętne. Miał na sobie tę samą koszulkę co w sobotę w domu, kiedy uciekał przez balkon. Czuć było od niego starym potem. Jedną ręką otworzył jedną z puszek z napojem energetycznym, które przyniosła mu Pia, i wypił go, nie odrywając ani na chwilę od ust.

– Gdzie jest pani Franzen i pan Theodorakis? – zapytała policjantka i się rozejrzała. Powietrze w domu było ciężkie i nieświeże. Na dodatek było bardzo gorąco, a z powodu zamkniętych rolet panowała ciemność, rozpraszana jedynie światłem wpadającym przez szybę przy drzwiach.

– W kuchni. I jeszcze coś... – rzucił niedbale pustą puszkę na ziemię. – Niech sobie pani daruje ten pseudopsychologiczny szajs, dobra? Chcę mieć to już za sobą. Nikomu nie powinno się nic stać. Ale jeśli wejdą antyterro-

ryści, to zacznij się jatkana, zrozumiano?

– Pewnie, zrozumiano – potwierdziła Pia. Mark bardzo się zmienił od soboty, kiedy rozmawiała z nim po raz pierwszy. Nawet jego twarz wyglądała inaczej. Wtedy miał miękkie, dziecięce rysy, a dziś widziała przed sobą zmęczoną dorosłą osobę. Miała wrażenie, że przez tę jedną noc postarzał się o dobrych dziesięć lat. Lecz przede wszystkim zastanawiał ją i niepokoił niedobry błysk w jego oczach. Czyżby wziął jakieś narkotyki? Kiedy szła w stronę domu, miała jeszcze nadzieję, że logicznymi argumentami i spokojem uda jej się przekonać chłopaka do uwolnienia zakładników i poddania się. Teraz jednak musiała przyjąć do wiadomości, że nie było na to szans.

W swojej karierze w policji nieraz już widziała ludzi o takim spojrzeniu – ludzi, którym jest już wszystko jedno, bo nie mają nic do stracenia.

Zakładnicy zdawali sobie sprawę, że ich sytuacja nie wygląda różowo. Theodorakis siedział na krześle z rękoma związanymi za oparciem, choć przez opatrunek na uszkodzonej nodze nie stanowił dla Marka żadnego zagrożenia. Patrząc na upokarzający sposób, w jaki chłopak potraktował Friederike Franzen, Pia zaczynała rozumieć, jak bardzo ją znienawidził. W jego postępowaniu dopatrzyła się zemsty za poniżenie, którego stała się sprawczynią.

Mark postawił ciężki kuchenny stół na sztorc i przywiązał do niego kobietę w ten sposób, że stała oparta plecami o blat, z rozrzuconymi ramionami przytwier-

dzonymi do przeciwległych nóg masywnego mebla. Wyglądała, jakby ją ukrzyżował. Miała zasłonięte oczy i gardło oplecione linką do suszenia prania, która znikła gdzieś z tyłu. Na szyi zapiął jej psią obrozę wyposażoną w czarną skrzyneczkę.

– Nie mogłeś inaczej jej unieruchomić? – zapytała Pia cicho.

– Spokojnie, ona jest bardzo silna – odparł Mark. – Musiałem ją ogłuszyć, bo nie chciała dać się związać.

Unikał patrzenia w jej stronę.

– Tam leży kamera. Proszę ją wziąć. Będzie pani to nagrywać.

– To? Czyli co?

– Zaraz pani zobaczy. – Usiadł na krześle, otworzył kolejną puszkę red bulla i wypił zawartość równie szybko jak za pierwszym razem. – To jak, gotowa?

Muszę z nim porozmawiać, pomyślała Pia. Może coś do niego dotrze.

– Mark, dlaczego to robisz? – zapytała szybko. – Co chcesz osiągnąć?

– Powiedziałem na samym początku, że nie chcę takiego chrzanienia, tak? – warknął, ucinając wszelką dyskusję.

Pia podniosła kamerę cyfrową i włączyła nagrywanie. Wzdragła się przed beczynnym obserwowaniem poczyznań nastolatka, ale chwilowo najlepszym wyjściem było posłuszne wykonywanie poleceń. Najważniejsze, żeby zapewnić bezpieczeństwo zakładnikom. Zapaliła się

czerwona dioda obok obiektywu. Otworzyła składany ekranik, na którym mogła oglądać, co nagrywa.

– Możemy zaczynać – powiedziała. Mark w odpowiedzi nacisnął przycisk na pilocie. Pia ku swemu przerażeniu dopiero teraz zrozumiała, czym była obroża z czarną skrzyneczką, która opinała szyję Friederike Franzen. Kobieta drgnęła, a z jej gardła wyrwał się przerażający ryk bólu, wywołany prądem przepływającym przez jej ciało. Płakała i wyła, lecz nie mogła ruszać głową, bo napięta linka natychmiast zaczynała ją dusić.

– Elektryczna obroża dla psów – wyjaśnił chłopak. – Ricky bardzo chętnie z niej korzystała w szkole dla psów. Dla mnie to odrażające, ale ona zawsze twierdziła, że psy to nie boli.

– Natychmiast przestań! – zażądała Pia.

– Nie. – Mark dopiero po chwili odwrócił głowę i spojrzał na nią smutnym wzrokiem. Drżała mu dolna warga. – Chcę poznać prawdę. A bez tego każde słowo z jej ust byłoby kłamstwem.

Ulica przechodząca obok domu, w którym Mark zamknął się z zakładnikami, została przedzielona policyjną blokadą pół kilometra w górę i w dół drogi. Przy blokadzie tłoczyli się gapie, sąsiedzi i przedstawiciele mediów, starając się wypatrzeć coś z tej odległości. Nieco dalej stały zaparkowane samochody wezwanych na miejsce służb, które mogły się później przydać: karetki, straż pożarna, dodatkowe jednostki policji i radiowozy. Bodenstein nie

miał czasu, by jechać najpierw do Frankfurtu do Clasinga i przekazać mu Annikę z dokumentami. Nie uśmiechał mu się również pomysł, by zostawić ją samą, lecz nie miał innego wyjścia: musiała poczekać na niego w aucie. Gdyby zabrał ją ze sobą, ryzykowałyby, że ktoś ją rozpozna.

Wyjął legitymację służbową i pokazał ją pilnującym przejścia funkcjonariuszom, kiedy ktoś zawołał go po imieniu.

– Cześć, Christoph – przywitał przyjaciela Pii. Dyrektor zoo miał bardzo zatroskaną minę.

– Co się tu dzieje? – zapytał mężczyzna. Był nie tylko zmartwiony, ale i zdenerwowany. – Dlaczego to tyle trwa? I gdzie jest Pia?

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł Bodenstein. – Dopiero co przyjechałem. Wiem jedynie, że ktoś wziął zakładników.

– Tyle to sam wiem z radia – burknął Sander zniecierpliwionym głosem. – Pia zapewniała mnie przez telefon, że nie wykonuje żadnych niebezpiecznych zadań. Ale nie mogę jej znaleźć i nie odbiera telefonu.

Bodenstein zaczął rozumieć, że Sander nie ma pojęcia, na czym polega zadanie Pii. Pewnie nie chciała mu powiedzieć, bo domyślała się, jak zareaguje. Bardzo się denerwował, kiedy musiała wykonywać niebezpieczne zadania – a tutaj chodziło przecież o najniebezpieczniejszą ze wszystkich sytuacji – o uzbrojonego porywacza, który ma zakładników i nie waha się przed użyciem broni.

– Dowiem się wszystkiego i dam ci znać – zapewnił

go. – Poczekaj tutaj.

– Nie będę czekał! Chcę wiedzieć, gdzie jest Pia! – powtórzył Sander z naciskiem.

– Ale przecież nie mogę... – zaczął Oliver, jednak Christoph nie dał mu dokończyć.

– Nie gadaj głupot, oczywiście, że możesz!

Bodenstein westchnął ciężko i polecił umundurowanemu policjantowi przepuścić również Christopha Sandera. Potem rozejrzał się uważnie. Na dachach okolicznych budynków dostrzegł snajperów, a dookoła domu, w którym przetrzymywani byli zakładnicy, w krzakach i za samochodami, czekali antyterrorysty.

– Szefie! – krzyknęła Kathrin Fachinger i ruszyła w jego stronę, zostawiając grupkę kolegów i koleżanek, z którymi stała przy busie oddziału specjalnego. – Super, że pan przyjechał!

– Co się dzieje? – zapytał Bodenstein krótko.

– Mark Theissen zamknął się w domu Friederike Franzen i wziął ją oraz Jannisa Theodorakisa jako zakładników. Ma broń, wcześniej postrzelił jednego z naszych.

– Żądania?

– Nic, na razie cisza.

– Jak to – żadnych żądań? – Bodenstein zmarszczył brwi. – Przecież o coś musi mu chodzić!

– Niczego na razie nie chciał. Kazał Pii wejść do środka i od tego czasu...

Oliver usłyszał, jak Christoph Sander gwałtownie nabiera powietrza.

– Pia jest w środku? – powtórzył i udał zaskoczenie, choć już wcześniej o tym wiedział.

– Zgadza się. Nic jej nie jest. Ma mikrofon i nadajnik, więc słyszymy wszystko, co tam się dzieje.

– Chcę z nią porozmawiać! – zażądał Christoph zdecydowanym tonem.

– Nie, to niemożliwe – zaprotestował Bodenstein, widząc, na co się zanosi. – Rozproszysz ją. Dekoncentracja może być śmiertelnie niebezpieczna w takich sytuacjach.

– Rozumiem, że przebywanie w domu z uzbrojonym szaleńcem nie jest niebezpieczne, dopóki jest się skupionym, tak? – warknął Sander. W oczach miał łyzy wściekłości i bezradnie zaciskał i prostował palce.

– Pia wie, co robi – Bodenstein starał się go uspokoić.

– Mam to w dupie! – ryknął Sander, nie panując nad nerwami.

– Christoph, proszę! – Oliver położył mu dłoń na ramieniu. – Nikomu nie pomożesz nerwowym zachowaniem.

– Jestem spokojny. – Sander strząsnął z ramienia jego dłoń. – Po prostu się martwię. I mam powody.

Bodenstein wszedł do mobilnego centrum dowodzenia, skinieniem głowy przywitał się z Nicolą Engel, Krögerem i Ostermannem, a potem spojrział nieco zaskoczony na rodziców Marka Theissena, siedzących na samym końcu pojazdu. Stefan Theissen wciąż skrywał twarz w dłoniach, a matka chłopaka nie przestawała płakać.

Obok niej przycupnął policyjny psycholog i trzymał ją za rękę.

– Proszę bardzo, kolego Bodenstein – powiedziała cicho Nicola Engel. – Niech się pan do nas przyłączy. Może się pan przysłuchiwać.

Bodenstein usiadł między nią a technikiem.

– ...nie, nie studiowałam astronautyki w Stanach – usłyszał płaczliwy głos kobiety. – *Moi rodzice nie są bogaci, a ja nie odziedziczę po nich pieniędzy. Ja... ja to wszystko zmyśliłam... żeby... żeby Jannis się mną interesował...*

– O co tu chodzi? – Bodenstein uniósł brwi i spojrzał na Nicolę.

– Chłopak zmusił oboje do wyjawienia wszystkich kłamstw, jakimi go karmili – odparła policjantka półgłosem. – Koleżanka Kirchhoff jest w środku i ma to nagrywać kamerą. Od niemal dwóch godzin nieprzerwanie wyliczają wszystkie swoje łgarstwa. Na razie piorą głównie prywatne brudy. Kto kogo z kim zdradzał i takie tam.

Nagle z głośniczka popłynął głos Pii.

– *Pani Franzen* – powiedziała. – *Jak było naprawdę z tym całym napadem na panią w sobotę rano?*

Wszyscy w aucie zamilkli i odruchowo wyprostowali się na siedzeniach, jakby mogli przez to lepiej słyszeć. Friederike Franzen rozplakała się jeszcze głośniej.

– *To... to było... nie na serio. Upozorowaliśmy ten napad* – odparła kobieta. – *Jego ojciec chciał dostać wszystkie dokumenty i ekspertyzy, które dotarły do Janni-*

sa...

– *To mnie nie interesuje!* – przerwał jej Mark.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytała szeptem Bodensteina doktor Engel.

– Później ci wszystko opowiem.

– Störch naciska jak głupi. Uważa, że wiesz, gdzie ukrywa się ta cała Sommerfeld. – Spojrzała na niego poważnie. – Ma rację?

Bodenstein się zawahał.

– Tak, ma – przyznał w końcu. – Wiem, gdzie jest. Ale nie zdradzę mu tego.

– Odbiło ci, Oliver? – syknęła Nicola. – Ta kobieta jest poszukiwana za dwa morderstwa! Jeśli będziesz ją krył...

– Ona nikogo nie zabiła. – Nie dał jej dokończyć. – W tej sprawie chodzi o znacznie więcej niż jakieś morderstwa. Później ci wszystko wyjaśnię. Przysięgam.

Kobieta spojrzała na niego uważnie, ale bez nadmiernej sympatii, a później wzruszyła ramionami.

– Mam tylko nadzieję, że potrafisz to dobrze uargumentować. Bo w przeciwnym razie nie będę mogła cię dłużej chronić.

– Argumenty mam mocniejsze, niż się spodziewają – zapewnił ją z przekonaniem.

W domu zakładnicy dalej prali niezbyt interesujące prywatne brudy. Czas ciągnął się nieubłaganie, a minuty zmieniały się w godziny. Wnętrze busa rozgrzało się nie do wytrzymania.

– Jak długo pozwolimy mu to ciągnąć? – mruknął Schäfer.

– Nie wiem, tyle, ile będzie trzeba. – Nicola Engel wzruszyła ramionami. – Dopóki mamy szansę zakończyć to bez rozlewu krwi, to ja mogę siedzieć tu jeszcze z dziesięć godzin.

– *Spałeś z Niką?* – Z głośnika popłynął głos Marka, momentalnie wybudzając Bodensteina z letargu. Od dłuższej chwili walczył o zachowanie koncentracji i do tej chwili walkę przegrywał.

– *Tak, spałem z nią* – odparł Theodorakis. – *Zakochała się we mnie i biegła nawet nago po domu, żebym ją zauważył. Prześladowała mnie! Nie dawała mi spokoju, kiedy Ricky wychodziła. W pewnym momencie to było więcej, niż mogłem wytrzymać. No i stało się.*

Bodenstein przełknął głośno ślinę. Miał wrażenie, że nagle otworzyła się przed nim przepaść, o której istnieniu nie miał pojęcia. Przecież to niemożliwe! Jannis łągał jak pies! Czemu Annika miałaby się z nim przespać? Przecież kilka razy powtarzała mu, że jest odrażający i nie może go znieść. Nagle poczuł się zazdrosny, jednak nie miał podstaw, by wątpić w słowa Theodorakisa. Ludzie z bronią przy głowie zazwyczaj mówią prawdę. Zatem to Annika musiała skłamać. Tylko dlaczego?

Co takiego wydarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, że w Marku zaszła aż tak drastyczna przemiana? Kierując obiektyw kamery to na Franzen, to

na Theodorakisa, Pia kątem oka cały czas obserwowała chłopaka i zastanawiała się nad przyczynami metamorfozy. Z pozoru obojętny na wszystko, coraz boleśniej przeżywał kolejne kłamstwa, do których przyznawali się jego dotychczasowi przyjaciele. Każde kolejne słowo odbijało się rysą na tarczy, za którą się schronił. Podczas tego swobodnego przesłuchania Mark zdjął Ricky opaskę z oczu. Teraz oboje, spoglądając prosto w lufę gotowego do strzału pistoletu, wywlekali swoje największe sekrety i wzajemną skrywaną pogardę. Mówili otwarcie, dlaczego się nienawidzą, przygotowując tym Pię o mdłości.

Jannis przyznał, że wykorzystywał Marka do swoich akcji przeciwko planowanej farmie wiatrowej, bo dowiedział się, kim jest jego ojciec. Bez najmniejszych oporów mówił o tym, jak wielkim jest egoistą, kłamcą i żalosną świnią wyzutą z sumienia. Ricky natomiast nie próbowała ukrywać, że dała się kupić ojcu chłopaka i za pieniądze zniszczyła listy poparcia z podpisami mieszkańców oraz sabotowała działania stowarzyszenia.

Mark słuchał tego wszystkiego z kamienną twarzą, lecz jego spojrzenie się ożywiło. Pia nie miała pewności, czy to dobry, czy raczej zły znak i nie potrafiła tego ocenić. Miała świadomość, że stoi przed nią rozchwiany emocjonalnie nastolatek z odbezpieczoną bronią, napompowany pięcioma puszkami napoju energetycznego, który od samego początku zachowywał się nieobliczalnie. Wciąż jeszcze nie potrafiła stwierdzić, co chciał osiągnąć taką przymusową spowiedzią.

– Spałeś z Niką? – zapytał krótko.

– Tak, spałem z nią – przyznał Jannis. Był bardzo blady, mokry od potu, a oko, którego nie zakrywała opuchlizna, błyszczało niezdrowo. Wyglądało na to, że miał silną gorączkę.

– Dlaczego? – drażył chłopak.

– Zakochała się we mnie i biegała nawet nago po domu, żebym ją zauważył. Prześladowała mnie! – wyjaśnił.
– Nie dawała mi spokoju, kiedy Ricky wychodziła. W pewnym momencie to było więcej, niż mogłem wytrzymać. No i stało się. Poza tym, przyznaję się, pomyślałem, że mogę ją wykorzystać do swoich celów. Bo znała się na takich sprawach jak ekspertyzy wietrzności.

– Ale przecież zawsze mówiłeś, że do końca życia będziesz kochał tylko Ricky! Czyli kłamałeś, tak?

– Kiedyś zakochałem się w Ricky. To fakt. Ale potem to uczucie stopniowo słabło. Ostatnio wydawała mi się już tylko potwornie uciążliwa. – Poprawił się na niewygodnym krześle i jęknął z bólu. – Chce mi się pić. Proszę, muszę się napić.

Mark nie zwrócił uwagi na jego ostatnie słowa.

– A ty? – zwrócił się do Ricky. – Kochałaś Jannisa?

Friederike Franzen była bliska omdlenia. Ciągące się godzinami przesłuchanie odcisnęło na niej swoje piętno. Nie pomagała również niewygodna pozycja, w jakiej została przywiązana do stołu, strach o życie, poniżenie i elektryczna obroza śmiertelnie ją wyczerpały. Mimo wszystkich niegodziwości, jakich się dopuściła, Pia znaj-

dowała w sobie współczucie dla niej.

– Na... początku... na początku ta... aa.. k... ale potem... już nie... – wyjąkała. Mark w czasie przesłuchania nie używał obroży, jednak pilota trzymał cały czas pod ręką.

– Dlaczego w takim razie mu to mówiłaś?

– Bo... tak... się... mówi...

Mark zerwał się z krzesła, zbliżył się do kobiety i wbił lufę między jej piersi.

– Nie, tak się nie mówi! – Potrząsnął gwałtownie głową. W końcu wydobył z siebie to, co od początku go męczyło i co pchało go do wszystkich ostatnich zachowań. – Ja ci wierzyłem! Zaufałem ci, kiedy mówiłaś, że mnie kochasz! Ufałem ci! A ty co robisz? Łżesz! Kłamiesz i łżesz! Bez przerwy! Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego tak mnie ranisz? Nie rozumiem!

Nagle po jego twarzy popłynęły łzy.

– Dlaczego chciałaś uciec, nie mówiąc mi o tym ani słowa? – wykrzyczał. – Dlaczego wzięłaś pieniądze od mojego ojca? Dlaczego zniszczyłaś wszystko – absolutnie wszystko! – co było piękne?

Pia zaczęła rozumieć. Mark zorientował się, że został wykorzystany, przez co jego bezgraniczne uwielbienie w mgnieniu oka zmieniło się w równie wielką nienawiść.

Jannis zajęczał z bólu, za to Ricky łkała ogarnięta panicznym strachem.

– Mark... błagam... Mark! Błagam! – szeptała zachrypnięta i bała się choćby mrugnąć. – Proszę, nie

krzywdź mnie! Błagam! Ja... wiem, że źle postąpiłam! Wiem... przepraszam! Ja... ja myślałam tylko o sobie... ale pomyśl o tym wszystkim, co razem przeżyliśmy!

– Zamknij się! Stul pysk, szmato! – ryknął Mark łamiącym się głosem. – Nie chcę cię już słuchać!

Osunął się na kolana i zaczął szlochać.

– To ty zabiłaś wujka Rolfa! – szlochał. – A potem zwiłałaś jak tchórz! Nawet nie próbowałaś mi pomóc! Dlaczego zostawiłaś mnie samego? Dlaczego nic nie zrobiłaś?

Teraz może być niebezpiecznie. Chłopak był o krok od załamania nerwowego. Jeśli straci resztki panowania nad sobą, może nie obyć się bez ofiar. Myślała gorączkowo, co zrobić. Gdyby spróbowała go rozbroić i nie podołała, mógłby zacząć strzelać. Kamera była za lekka, żeby zrobić mu nią krzywdę albo ogłuszyć. Musiała spróbować dotrzeć do niego w inny sposób.

– To pani zabiła Rolfa Grossmanna? – zwróciła się do Friederike Franzen. – Jak?

Mark odwrócił się gwałtownie i spojrzał na policjantkę, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, że nie jest sam z zakładnikami.

– Paralizatorem – wyszeptał słabo. – Wszedłem przez garaż podziemny i wpuściłem ją potem wyjściem ewakuacyjnym. Nagle na schodach pojawił się wujek Rolf. A ona... ona go... ona bez słowa przycisnęła mu paralizator do piersi i uruchomiła.... Ja... ja chciałem go uratować... starałem się... ale... ale on... on... on już nie

żył...

– My wiemy, że próbowałeś go ratować, Marku. Wiemy o tym. Naprawdę, nic już wtedy nie mogłeś zrobić.

– Ale... ale w sobotę powiedziała pani, że wujek Rolf dostał zawału serca i że to moja wina... – przykucnął, zdezorientowany.

– Owszem, bo wtedy nie wiedziałam jeszcze, co zrobiła Ricky – wyjaśniła Pia pospiesznie. – Natomiast sekcja zwłok wykazała jednoznacznie, że ktoś robił mu masaż serca i usiłował go ratować.

Pia zaryzykowała szybkie spojrzenie na zegarek. Wpół do siódmej! Od przeszło trzech godzin przebywała w domu z uzbrojonym porywaczem. Mark i jego zakładnicy jeszcze kilka godzin dłużej. Z każdą sekundą sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Wystarczyła niewielka iskra, żeby chłopak zaczął strzelać. Za wszelką cenę musiała temu zapobiec. Mark Theissen nie był sprawcą – nawet teraz był ofiarą. I nieważne, jak ta sytuacja miałyby się zakończyć, chłopakowi i tak przyjdzie przez całe życie za nią płacić.

Niemiecki Instytut Klimatyczny, 31 grudnia 2008

Ubranie i włosy przesiąkły gryzącym zapachem dymu, jednak jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Czowała, że jest jej przez to lepiej. Ta zdzira pasowała do domu i do Dirka jak pięść do nosa. Zgoda, to on zapłacił za działkę i budynki, ale nikt inny tylko ona doprowadziła je do dzisiejszej świetności. Albo, dokładniej rzecz biorąc, do tego, czym były jeszcze kilka godzin wcześniej.

Odpędziła od siebie uporczywie powracające myśli o Bettinie i skupiła się na swojej pracy. O tej porze w Instytucie zazwyczaj nie było już nikogo, a w sylwestra nie pojawi się nikt na pewno. W sumie nawet nie musiała się spieszyć, jednak nie chciała niepotrzebnie ryzykować.

Dlatego się nie ościagała. Dirk nie cofnął jej uprawnień w dostępie do kont ani nie zmienił haseł. Na listach, które wzięła z sejfów, znajdowały się kody potwierdzające do kolejnych transakcji. Obsługę tajnych kont pozostawił całkowicie w jej gestii – teraz już wiedziała, że chciał się zabezpieczyć i zwalić całą winę na nią, gdyby ktoś się dowiedział. Kiedy za kilka dni sprawdzi stan kont, dopiero się zdziwi, pomyślała, uśmiechając się złośliwie. Dobrze, to już załatwiła. Wyłączyła komputer, wstała i odniosła segregator z listą haseł do sejfów. Potem zapakowała do torby starannie poukładane pliki banknotów po pięćset

euro. Razem dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Pieniądze czekały na właściwy moment, by wylądować w kieszeni kogoś ze skorumpowanych polityków albo konkurentów. Zamknęła sejf i wyszła z biura profesora Dirka Eisenhuta. Odchodząc, ani razu się nie obejrzała.

Jak długo będziemy tego jeszcze słuchać? – warknął Schäfer rozeźlony. – Chłopakowi zaraz ostatecznie odbije, a wtedy będzie za późno na skuteczne działanie!

– Na ten moment nie widzę możliwości wydania zgody na scenariusz siłowy – odparła doktor Engel podobnym tonem. Nawet profesjoniści zaczęli tracić panowanie nad sobą.

– W takim razie kiedy? Jak już będzie za późno? Po pierwszym trupie?

– Nie. Wtedy, kiedy koleżanka Kirchhoff da umówione hasło.

Engel i Schäfer spoglądali na siebie jak psy tuż przed atakiem, jednak Bodenstein nie zwracał na nich uwagi. Był tak pochłonięty inną sprawą, że nie zauważał, co się dookoła dzieje. Podczas gdy sytuacja w domu robiła się coraz bardziej napięta, walczył z pragnieniem, by wrócić prosto do samochodu i zażądać od Anniki wyjaśnień. To było dziecinne i niedojrzałe, jednak nagle poczuł, że nie może całkowicie ignorować obaw Pii, o których mówiła dwa dni wcześniej. Annika go okłamała. Ale czy tylko w tym punkcie? Może również minęła się z prawdą, kiedy opowiadała mu o śmierci O’Sullivana? Mimo duszącego gorąca Bodenstein dostał gęsiej skórki.

– Moglibyście się wszyscy uspokoić? – poprosił technik, poprawiając odbiór i zwiększając głośność. – Nic nie mogę zrozumieć.

Doktor Engel i szef antyterrorystów momentalnie zamilkli, a Bodenstein zmusił się, by na moment zapomnieć o targających nim uczuciach. Teraz musiał skupić się na czymś innym. Pia była w niebezpieczeństwie i tylko to się teraz liczyło. Cała reszta mogła poczekać.

– *Ona kłamała. Cały czas kłamała.* – Głos Marka brzmiał bardzo płacząco. – *W sklepie okłamywała klientów, w schronisku okłamywała odwiedzających... w końcu ja też zacząłem kłamać. Przez nią. Kłamstwo jest jak choroba, którą łatwo się zarazić. Bardzo łatwo.*

– *Bateria się kończy* – powiedziała Pia po chwili ciszy.

– *W takim razie możemy kończyć* – odparł chłopak.

– *Ona jest niespełna rozumu?* – warknął Schäfer wściekle. – *Nie może tak na niego naciskać!*

Wszyscy w furgonetce wstrzymali oddech. Na szturm antyterrorystów było już za późno.

– *Marku, proszę, nie zrób niczego głupiego. Ricky nie jest tego warta. I tak upłynie bardzo dużo czasu, zanim będzie mogła wyjść z więzienia. I wierz mi, to będzie dla niej znacznie gorsza kara, niż gdybyś ją zastrzelił.* – Pia mówiła z podziwu godnym spokojem.

Cisza. Nikt nie ważył się choćby drgnąć. Wszyscy czekali na krzyki i strzały, lecz na szczęście niepotrzebnie. Czyżby Pia przejęła kontrolę?

– *A... a dlaczego, miałyby iść do więzienia?* – zapytał chłopak po dłuższej chwili. Słychać było, że jest nieco dezorientowany i smutny, ale z całą pewnością nie działa

już w szale. Znow był zdolny do logicznego myślenia i refleksji. Pojawiła się nadzieja.

– *Oddaj mi pistolet* – odparła Pia. – *Wtedy wszystko ci wyjaśnię.*

Mark spojrzał jej w oczy. Bardzo chciał jej zaufać, lecz widział w nim też obawę, że znow stanie się ofiarą kłamstwa. Nad jego górną wargą połyskiwały krople potu. Pia również była całkowicie mokra i miała wyschnięte gardło. Pragnęła czystej wody i świeżego powietrza. Lewa dłoń sprawiała jej ból, a palce miała ścierpnięte po kilku godzinach obsługiwania kamery. Chłopak się zawahał.

– Co się stanie, kiedy wyjdę? – zapytał i nagle w jego głosie pojawiła się niepewność. – *Zastrzelą mnie?*

– Nie, z całą pewnością nie. – Pia potrząsnęła głową. – *Za to na pewno zostaniesz aresztowany i to niekoniecznie delikatnie. Poza tym usłyszysz całą litanię pytań. A za to, że postrzeliłeś policjanta, będziesz musiał ponieść karę. Jeśli mi teraz oddasz pistolet, prokurator uzna to za okoliczność łagodzącą. Masz moje słowo. Osobiście się tym zajmę.*

Chłopak zagryzł wargi i zaczął się zastanawiać. Ręka, w której trzymał pistolet, wisiała luźno wzdłuż ciała. Pia nie spuszczała go z oczu. Serce waliło jej jak szalone. Nadszedł decydujący moment.

– Mark – powiedziała z naciskiem. – *Proszę, zaufaj mi. Możesz teraz postąpić właściwie albo wszystko zepsuć.*

Wyciągnęła dłoń, czekając, aż poda jej broń.

– Nie chciałem nikogo zranić – wyszeptał chrapliwie.

– Słowo.

– Wierzę ci.

Pot strumieniami ściekał jej po plecach. Zmuszała się, by zachować spokój i nie naciskać ponad miarę. W ciszy słychać było mruczenie lodówki. Jannis jęknął, tym razem głośniej. Miał zamknięte oczy i drżał na całym ciele. Ric-ky się nie ruszała, za to jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pistolet.

– Proszę. – Mark niespodziewanie przerwał milczenie i podał jej broń. Pod Pia ugięły się kolana. – Dziękuję, że pani przyszła i że nie wysłaliście zaraz oddziału specjalnego, żeby mnie spacyfikować – powiedział prawie szeptem. Na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. – Bez przerwy kłamali. Nie wiem, jak to jest, ale wszyscy mnie okłamują. Byłem głupi, że w to wierzyłem.

– Nie, nie byłeś głupi – odparła policjantka. – Ufałeś.

– Chyba już nikomu nie będę potrafił zaufać – wymamrotał z żalem.

Pia położyła mu dłoń na ramieniu.

– Niestety, większość ludzi kłamie – powiedziała. – To bardzo boli, bo okłamany przeżywa straszny zawód. Ja już nieraz tego doświadczyłam. Ale w końcu nauczysz się dawać sobie radę z kłamcami. I będziesz ich rozpoznawał już na pierwszy rzut oka.

Mark westchnął głęboko.

– Rodzice strasznie się wkurzą na mnie. – Niespo-

dziewanie ulotniła się pewność siebie, ustępując miejsca zakłopotaniu i obawom. – Jestem dla nich ogromnym rozczarowaniem.

– Nie sędzę, żeby byli na ciebie źli. – Pia pogłaskała go po ręce. – Raczej będą się cieszyli, że nic ci nie jest.

– Serio pani tak myśli?

– Tak, jestem o tym przekonana.

Przez chwilę patrzył na nią niepewnie.

– Przy okazji, skąd wzięłeś ten pistolet? – zapytała jeszcze, spoglądając na broń.

– Leżał w szafce Ricky. Razem ze strzelbą, którą znalazłem wcześniej w sianie.

Pia była przekonana, że to pistolet, który zniknął z szafki Ludwiga Hirtreitera, czyli ostatni dowód, jakiego potrzebowała. Spojrzała na Friederike Franzen. Ponieważ zniknęło bezpośrednie zagrożenie, kobieta nie okazywała już strachu. Była tylko wściekła.

– Niech mnie pani w końcu uwolni! – zażądała.

– Musi się pani uzbroić jeszcze w cierpliwość – doradziła Pia. – Przy okazji, jest pani aresztowana. Pod zarzutem zamordowania Ludwiga Hirtreitera.

Mark wybałuszył oczy.

– Ona... Nie, to niemożliwe! – Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– A jednak.

– Ale... ale ona tak strasznie to przeżyła! Była załamana! Płakała i... – Mark przerwał i z odrazą spojrział na Ricky. – Jesteś obrzydliwa.

Kobieta milczała i odwracała wzrok. Pia oddała chłopakowi kamerę, a sama wyjęła magazynek z pistoletu. Zakręciło się jej w głowie: magazynek był pusty.

31 grudnia 2008

Przesunęła kartę magnetyczną przez czytnik i czekała, aż szlaban się podniesie. Nagle obok jej samochodu jak spod ziemi wyrosło dwóch ubranych na czarno mężczyzn, a jeden z nich sięgnął przez otwarte okno do środka i zacisnął palce na jej nadgarstku. Ochroniarze! I to akurat teraz! Przeraziła się potwornie i odruchowo wdepnęła pedał gazu. Samochód skoczył naprzód i uderzył w szlaban, rozbijając plastikową przeszkodę na kawałki.

– Cholera! – krzyknęła i rozpaczliwie zakręciła kierownicą, żeby nie stracić kontroli nad autem. W lusterku wstecznym dostrzegła reflektory. W swoim bmw miała realne szanse na ucieczkę. Dodała ostro gazu. Goryle Dirka na pewno nie przez przypadek znaleźli się akurat teraz w Instytucie. Czyżby uruchomiła jakiś dyskretny alarm, o którym nie wiedziała? A może po prostu spodziewał się jej odwiedzin w Instytucie, skoro nie dopadł jej poprzedniego dnia w hotelu? Teraz miała już pewność, że to on wszystko zorganizował, a to z kolei świadczyło o jednym: zdał sobie sprawę, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie i za wszelką cenę chciał zapobiec przedostaniu się materiałów Cierana do prasy.

Łamiąc wszelkie możliwe przepisy i ograniczenia prędkości, gnała B1 w kierunku Zehlendorf, co chwilę zerkając w lusterko. Mimo że już za dwie godziny miała wybić północ, na ulicy panował spory ruch. Która para

reflektorów należała do ścigającego ją czarnego volkswagena busa? Na skrzyżowanie w Zehlendorf wpadła ze zbyt wielką prędkością i ominęła przez to zjazd na AVUS. Cholera, musiała przez to teraz przeciskać się Potsdamer Allee, przez Steglitz i Friedenau, a tych okolic w ogóle nie знаła! Na dodatek wskazówka stanu paliwa wskazywała na zero. Wiedziała, że daleko tak nie zajedzie.

– Błagam, nie zawieź mnie teraz! – wyszeptała, zwracając się do samochodu. Gdyby tylko udało jej się dotrzeć w pobliże Bramy Brandenburskiej! Tam bez trudu zniknęłaby w tłumie świętującym nadejście nowego roku. Kawatek przed nią światło zmieniło się z zielonego na żółte. Dodała gazu. Samochód za nią zrobił to samo. W świetle latarni dostrzegła czarnego busa. Nie udało jej się zgubić pościgu. Na kolejnym skrzyżowaniu szarpnęła kierownicę w lewo, nie sygnalizując zamiaru skrętu migaczącym, i dodała gazu, wjeżdżając pod prąd. Popędziła w stronę części miasta, w której jeszcze nigdy nie była. Silnik zakaszłał, samochód szarpnął kilka razy jak spleziony koń i zgasł. Ledwie udało jej się stoczyć w jedną z bocznych uliczek. Szybko wyłączyła światła i zatrzymała się przy niewielkim parkingu.

Bez wahania złapała torebkę, zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła się biegiem przed siebie. Może miała szansę złapać taksówkę albo wtopić się w tłum ludzi? Szła bardzo szybko, nie rozglądając się na boki. Dopiero na kolejnym skrzyżowaniu odważyła się podnieść wzrok. Przed sobą dostrzegła Szprewę, a między domami maja-

czyła wieża telewizyjna. Przy odrobinie szczęścia miała szansę im uciec! Kątem oka dostrzegła jakiś samochód, jak zwalnia tuż obok niej. Serce zaczęło jej bić jak szalone. Znaleźli ją! Po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej, dostrzegła podświetlony szyld metra. To była jej jedyna szansa!

*– Stój! – ryknął ktoś z tyłu. – I tak cię dopadniemy!
Jeszcze się okaże, pomyślała, i puściła się biegiem.*

Wychodzimy! – Z głośników w mobilnym centrum dowodzenia popłynął głos Pii. – Ja mam broń.

Napięcie w jednej chwili ustąpiło miejsca uldze. Nawet Schäfer zdobył się na uśmiech i odwołał swoich snajperów, zakazując im strzelania.

Wszyscy zerwali się z miejsc i wyskoczyli na ulicę. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Zbliżał się zmierzch, lecz cała okolica była rozświetlona policyjnymi reflektorami. Bodenstein trzymał się niedaleko Nicoli Engel. Razem stali przy busie i patrzyli, jak Pia i Mark wychodzą z domu. Chłopak miał dłonie uniesione nad głowę i bez słowa dał się aresztować dwójce funkcjonariuszy. Rodzice nastolatka przecisnęli się między policjantami. Pia stała na schodach i rozmawiała z kimś z oddziału specjalnego. Po chwili poleciała sprowadzić pogotowie i zniknęła z Schäferem z powrotem w głąbi domu. Wystarczyło kilka sekund, by cała ulica zarojła się ludźmi i pulsującymi niebieskimi i czerwonymi światłami. Bodensteinem targało i poczucie obowiązku, i pragnienie zobaczenia Anniki. Wiedział, że powinien zostać z Pią, która właśnie aresztowała Friederike Franzen. Zdecydował, że zostaje. Gorące powietrze wewnątrz domu przez moment utrudniało mu nabranie tchu. Jedna z policjantek podnosiła rolety i otwierała okna, a Pia i antyterrorysty w ciemnych mundurach taktycznych kręcili się po kuchni. Policjantka telefonowała, jednocześnie obserwując, jak pani Franzen jest

uwalniana z więzów. Nagle Bodenstein poczuł się niepewnie. Bał się ruszyć z korytarza. Sprawa obu morderstw została rozwiązana, jednak on do tego sukcesu nie przyłożył ręki. W najważniejszym momencie zostawił Pię i swoich ludzi na pastwę losu. W jaki sposób to zachowanie wpłynie na jego dalszą pracę? W czasie jego nieobecności Pia udowodniła, jak dobrze panuje nad nerwami i jak doskonale jest przygotowana do prowadzenia całego wydziału. Być może nie był już właściwą osobą do tej pracy?

– Gdzie poszkodowany? – zapytał ktoś zza jego pleców.

– W kuchni – odparł. Lekarz pogotowia z dwójką sanitariuszy precyzyjnie przycisnęli się obok niego. Wtedy Pia odwróciła głowę i go zauważyła. Ku jego niekłamanej uldze uśmiechnęła się, choć widać było, jak strasznie jest zmęczona.

– Cześć, szefie. – Schowała komórkę.

– Gratulacje, Pia – powiedział cicho. – To była cholernie dobra robota. Doskonała.

Przez chwilę stali i patrzyli na siebie, a potem Bodenstein rozłożył ramiona.

– Uważaj – ostrzegła go. – Jestem mokra od potu!

– To mi nie przeszkadza. Ja też. – Uśmiechnął się szeroko i uściskał ją krótko, ale serdecznie. A potem obejrział od stóp do głów. – Wszystko dobrze?

– Na razie tak, ale przesłuchanie Franzen zostawiam sobie na jutro rano. Christoph pewnie wariuje ze strachu.

– Czeka na zewnątrz – zdradził Bodenstein. Odsunęli się na bok, żeby przepuścić funkcjonariuszy wyprowadzających skutą Ricky.

– Wyobraź sobie coś takiego – powiedziała Pia. – Kiedy Mark oddał mi pistolet, wyjęłam magazynek. Był pusty. W środku były tylko te dwa pociski, które wystrzelił wcześniej.

– Co?! – Friederike Franzen usłyszała jej słowa i zatrzymała się gwałtownie. – Ten gówniarz nie mógł mi nic zrobić?

– Nie. Nawet gdyby chciał, nie mógł pani zastrzelić – potwierdziła policjantka. – Któż by coś takiego przewidział, prawda?

Ricky zmrużyła oczy i zacisnęła usta.

– Jak go dostanę w swoje ręce – warknęła wściekle – to rozerwę debila na kawałki!

– Trochę pani na to poczeka – odparła Pia oschłym tonem. – Minimum piętnaście lat.

Blokada na ulicy została zdjęta, oddział specjalny zebrał się przy samochodzie, a sąsiedzi odważyli się wyjść z domów. W grupkach dyskutowali, co się właściwie przed chwilą wydarzyło pod ich oknami. Pia była przekonana, że cała okolica miała temat, który przez najbliższych kilka tygodni będzie ożywiał każdą rozmowę. Bodenstein zostawił Pię i Christopha samych i poszedł zamienić kilka słów z Schäferem. W końcu zgasły reflektory. Antyterrorysty szykowali się do odjazdu. Najwyższy

czas zawieźć Annikę do Frankfurtu, pomyślał.

W tej chwili dostrzegł Cema Altunaya, Christiana Krögera i Kathrin Fachinger. Podeszli do Pii i Christopha.

– Szefie! – Kathrin Fachinger uśmiechnęła się szeroko, kiedy go zobaczyła. – Właśnie postanowiliśmy, że idziemy uczcić szczęśliwe zakończenie dnia wspólnym obiadem. Idzie pan z nami?

Pozostali również nie kryli radości. Dwa morderstwa wyjaśnione i dwie osoby uratowane od śmierci z rąk porwacza. Bez wątpienia mieli powód do świętowania, choć jemu nie było akurat do śmiechu. Poza tym Clasing czekał na sygnał, że już do niego jedzie.

– Może później uda mi się dołączyć – odparł wymijająco. – Na wszelki wypadek, gdybym nie dał rady, gratulacje. I miłego wieczoru!

Odwrócił się i ruszył spiesznyim krokiem przed siebie. Minęła go karetka z Theodorakisem w środku, a zaraz za nią przemknął radiowóz z włączonymi sygnałami świetlnymi. Ktoś zahamował obok niego. Szyba zjechała w dół. Zajrzał do wnętrza auta.

– Oliver, co myślisz o tym, żebyśmy porozmawiali teraz? – zapytała Nicola Engel. – Ty, ja i pani Sommerfeld?

– Tak, pewnie – odparł i wyciągnął szyję. Samochód Quentina zostawił tu niedaleko, tuż obok kontenera na szkło. A może się pomylił? Przerażony rodzącym się złym przeczuciem spojrział w dół i w górę ulicy.

– Oliver! Stój!

Ale Bodenstein nie słuchał swojej przełożonej. Przebiegł na drugą stronę i rozglądał się na boki, jakby nie wiedział, co się dzieje. Nigdzie nie widział samochodu brata. Jego mózg bronił się przed zaakceptowaniem oczywistej prawdy. Lecz to przecież było niemożliwe! Jak mogła mu to zrobić?

Załamany usiadł na krawężniku i spróbował nie stracić kontroli nad sobą. Tak strasznie bolało, kiedy człowiek uświadamiał sobie, że prawda wyglądała inaczej, niż myślał. Pia miała rację. A on był łatwownym idiotą, który ślepo zaufał Annice. Nadstawił za nią głowę, a ona przy pierwszej lepszej okazji wzięła nogi za pas, zostawiając go samego z piwem, jakiego nawarzyła. Czy mogła planować to od samego początku?

Z oddali usłyszał czyjeś głosy i śmiechy. Trzaśnięcie drzwiami i stukot obcasów na asfalcie.

– Oliver? Co się dzieje? – Nicola przykucnęła obok.

Z wielkim wysiłkiem uniósł głowę. Nigdy wcześniej wypowiedzenie dwóch słów nie kosztowało go tak wiele.

– Annika zniknęła – wyszeptał ochryple.

Środa 10 czerwca 2009

Pia włączyła migacz i skręciła w drogę prowadzącą przez las do majątku rodziny Bodensteinów. Potrzebowała kilku podpisów szefa na dokumentach sprawy Hirtreitera i Grossmanna, by mogła je wysłać do prokuratury. Dla K11 śledztwo dobiegło właśnie końca. Friederike Franzen od kilku dni siedziała w areszcie i nie chciała z nikim rozmawiać, lecz w końcu, dzięki namowie adwokatki, która miała nadzieję na złagodzenie kary za współpracę, zgodziła się złożyć zeznania i przyznała się do winy. Śledztwo przeciwko Theissenowi i Rademacherowi przejęli ludzie z wydziałów zajmujących się przestępczością gospodarczą. A kilka dni temu do Pii zadzwonił Mark i wprawiając ją w osłupienie, podziękował za wszystko, co dla niego zrobiła. Prokurator wniósł przeciwko niemu oskarżenia o wzięcie zakładników i niebezpieczne uszkodzenie ciała, a chłopak trafił na leczenie psychiatryczne. Czuł się coraz lepiej. W sprawach przeciwko Ricky miał zeznawać jako świadek. Bardzo to przeżywał. Nagle odezwała się jej komórka. Dojeżdżała akurat do parku przed pałacem. Dzwoniła Frauke Hirtreiter. Chciała sobie pogadać. Dzięki spadkowi po ojcu udało jej się przejąć sklep zoologiczny w Königstein i tym samym spełnić jedno ze swoich największych marzeń.

– Wspomniała pani kiedyś, że szuka pani gospodarstwa jak to, które dostałam po ojcu. – W końcu wyjaśniła,

po co dzwoni. – Byłaby pani poważnie zainteresowana kupnem?

– Bez dwóch zdań! Naprawdę chce pani je sprzedać?

– Pia nie mogła uwierzyć w to, co słyszała.

– A co miałabym z nim zrobić? Dla mnie jest stanowczo za duże, a poza tym nie wiązę z tym miejscem żadnych dobrych wspomnień.

– Szukamy z partnerem czegoś takiego w okolicy – odparła Pia. – Jeśli nie oczekuje pani milionów...

– A skąd! Gospodarstwo jest tak samo niewarte milionów jak łąka tuż obok. – Frauke się roześmiała. – Poza tym nikt już nie forsuje budowy farmy wiatrowej. Jeśli będzie pani chciała przyjechać obejrzeć wszystko dokładnie, to dzisiaj wieczorem, powiedzmy o siódmej, będę czekała przed domem.

Porozmawiały jeszcze przez chwilę, a potem Pia rozłączyła się i natychmiast zadzwoniła do Christopha. Od kilku dni zawracała mu głowę ciągłymi opowieściami, jakie to piękne gospodarstwo i jak bardzo chciałyby trafić na coś podobnego. Przekonanie go teraz, żeby wspólne obejrzeli nieruchomość, nie kosztowało jej zbyt wiele wysiłku.

Była w świetnym humorze. W weekend miała odwiedzić Henninga i Miriam. Kröger nie żartował, para pobrała się w Anglii i chciała teraz z tej okazji świętować.

Pia czuła ukłucie zazdrości, bo były mąż nie był jej do końca obojętny, lecz i ona z Christophem mieli się czym pochwalić. Z uśmiechem spojrzała na pierścionek

na palcu i wysiadła. Zza zakrętu wyjechał traktor z belą siana nabitą na podnośnik widłowy. Pia natychmiast dostrzegła ojca Bodensteina za kierownicą. Zatrzymał się obok, wyłączył silnik i wysiadł.

– Dzień dobry. – Hrabia von Bodenstein podał jej dłoń i uśmiechnął się promiennie. – Miło panią widzieć.

– Dzień dobry – odparła z uśmiechem. – Chciałam porozmawiać z Oliverem. Zastałam go?

– Z tego, co wiem, to chyba jest w pałacu z Sophią – wyjaśnił. – Jeśli pani pozwoli, chętnie panią odprowadzę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zaśmiała się policjantka.

Staruszek poczekał, aż wyjmie z samochodu dokumenty, a potem spacerkiem ruszyli w stronę pałacowej restauracji.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że Ricky zabiła Ludwiga – powiedział Heinrich von Bodenstein. – Nigdy w życiu nie spodziewałabym się po niej aż takiej brutalności. I nie mieści mi się w głowie, że ktoś, kto tak bardzo kochał zwierzęta, zastrzelił Tella.

– Odniosłam wrażenie, że wcale nie zamierzała zabić pana Hirtreitera – wyjaśniła Pia. – Była na niego wściekła i obrażona po tym, co powiedział jej w „Koronie” na zebraniu zarządu. Chciała go tylko zmusić, żeby ją przeprosił.

– No cóż, to prawda. – Staruszek pokiwał głową. – Ludwig stracił panowanie nad sobą. Zachował się wobec niej bardzo nieprzystojnie.

– Niestety – ciągnęła Pia. – Jedno słowo prowokowało następne. Hirtreiter zwymyślał ją i potraktował jak śmiecia. A na koniec dodał, że wie od Ralpa Glöcknera, że dogadała się z Theissenem, żeby sabotować działania stowarzyszenia.

Staruszek zatrzymał się i spojrzał na Pię spod zmarszczonych brwi.

– Ricky – mruknął. – To o to chodziło Kerstin.

– O co? – zapytała Pia.

– Tamtego wieczoru w hali widowiskowej – wyjaśniał Heinrich von Bodenstein – Kerstin chciała powiedzieć mi coś o Ricky. Leżała na noszach sanitariuszy, którzy nieśli ją do karetki. Dlatego nie dokończyła.

– Ricky wykorzystwała zamieszanie, żeby ukraść listy z podpisami. Przyznała się do tego.

– Ale dlaczego? Przecież tak wiele zrobiła dla stowarzyszenia!

– Theissen zaproponował jej pół miliona euro, jeśli udałoby się jej całkowicie pozbawić stowarzyszenie wpływu na jego działania. A ona marzyła o wyjeździe do Ameryki, żeby zacząć wszystko od nowa.

Pia wzruszyła ramionami.

– Pieniądze. – Ojciec Olivera westchnął. – Zawsze to samo.

Zanim doszli do pałacu, Pia dokończyła smutną opowieść.

Franzen straciła panowanie nad sobą, kiedy się zorientowała, że Ludwig Hirtreiter ją zdemaskował. Uderzy-

ła mocno staruszka, który i tak ledwie trzymał się na nogach, bo tamtego wieczoru zbyt wiele wypił. Mężczyzna zatoczył się i upuścił broń. Ricky podniosła ją z ziemi i w rozpaczliwej próbie ratowania skóry wycelowwała i zażądała, żeby przysiągł, że jej nie wyda. Ludwig oczywiście się na to nie zgodził. Wyśmiał ją i zaczął ponizać. Wtedy strzeliła mu w brzuch, a potem w twarz. W szale zaczęła uderzać zwłoki kolbą strzelby i kopać. Opanowała się dopiero po dłuższej chwili.

Znów zapadła cisza. Minęli bramę, a pod ich stopami zachrząścił żwir.

– Co z Tellem? Dlaczego zastrzeliła psa? – zapytał hrabia von Bodenstein.

– Ponoć ją zaatakował – wyjaśniła policjantka. – Chciał bronić swojego pana.

– Jakie to wszystko wyzute z sensu – westchnął hrabia von Bodenstein i ze smutkiem potrząsnął głową.

– Dziadek! – rozległ się radosny głosik. – Dziadek! Gdzie masz traktor?

Twarz Heinricha von Bodensteina rozświetlił radosny uśmiech, kiedy dostrzegł pędzącą w jego kierunku małą dziewczynkę. Córka Olivera biegła z rozwianymi włosami i śmiała się na cały głos.

– Mała wdała się w dziadka – powiedział staruszek i mrugnął do Pii. – Najchętniej cały dzień jeździłaby traktorem albo w siodle.

Rozłożył ramiona i przytulił dziewczynkę.

– No chodź – powiedział. – Pójdziemy razem po trak-

tor, co? A twoja mama zaraz przyjdzie.

Pia odprowadziła ich wzrokiem, uśmiechnęła się zamyślona i ruszyła dalej.

Bodenstein czekał na ostatnim stopniu schodów. Wyglądał bardzo mizernie. Jego ciemne i zawsze starannie uczesane włosy poprzeplatane były siwymi pasemkami, których Pia wcześniej nie zauważyła. Nie miał krawata i od kilku dni się nie golił. Przejścia z Anniką Sommerfeld odcisnęły na nim swoje piętno. Widząc, jak ciężko to przeżywa, nie odważyła się dotychczas dotykać tego tematu, jednak dowiedziała się, że na parkingu przy lotnisku w Monachium znaleziono porzucony samochód jego brata. Annika Sommerfeld znów zniknęła bez śladu.

Cześć – przywitała się z szefem. – Masz chwilę czasu? Potrzebowałabym kilku podpisów.

– Pewnie – skinął głową. – Chodź, usiądziemy na tarasie.

Ruszyła za nim do restauracji, w której o tej porze niewiele się jeszcze działo. Wyszli na taras, Pia podeszła do jednego ze stolików i wyjęła dokumenty, ale Bodenstein nie chciał siadać. Stał przy balustradzie i skrzyżował ramiona na piersi. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Pia czekała cierpliwie i nie spuszczała go z oczu.

– Powinienem być cię posłuchać – powiedział w końcu. – Twojej intuicji nie da się oszukać.

Pia pomyślała, że czasem wolałaby nie mieć racji. Mimo że Annika wyjątkowo nie przypadła jej do gustu,

szefowi życzyła jak najlepiej.

– Wiele bym dała, żeby akurat w tym wypadku się mylić – powiedziała.

– Nie twoja wina. To ja zachowałem się jak idiota. Gdyby nie doktor Engel, poniósłbym poważne konsekwencje tego, co zrobiłem.

Spojrzał gdzieś w dal, na równo przystrzyżony trawnik.

– Rozmawiałem z Theodorakisem – powiedział. – Doszukał się kilku informacji o Annice. I zajrzał do jej torby. Miała przy sobie grubo ponad sto tysięcy euro. Skąd?

– Z sejfu Eisenhuta w Instytucie Klimatycznym – odparła Pia trzeźwo. – Poza tym ukradła pieniądze z kont fundacji.

Bodenstein westchnął.

– Miała laptopa, iPhone'a i dokumenty. A mi powiedziała, że uciekając z Berlina, była w takim szoku, że niczego nie wzięła. Wierzyłem jej. Jak mogłem być aż taki naiwny? Może po prostu głupi?

– Nie byłeś ani głupi, ani naiwny. Zakochałeś się i tyle. – Pia wzruszyła ramionami. – To, co się stało w hali w Ehlhalten, bardzo cię odmieniło. Otarłeś się o śmierć. Człowiek po czymś takim nie zachowuje się już tak samo.

– Czego jeszcze mi nie powiedziała? Że zamordowała dwie osoby? – zapytał głuchym głosem. Odwrócił się, a Pia drgnęła ze strachu, widząc jego umęczoną twarz. – Dzień i noc łamię sobie głowę, o co w tym chodzi. Annika

podpaliła dom profesora Eisenhuta i ponosi winę za stan, w jakim znajduje się jego żona. Nie chodziło jej w ogóle o ujawnienie spisku, bo sprawa klimatu i O'Sullivan byli jej całkowicie obojętni. Chciała tylko zemsty na Eisenhucie, bo poślubił inną kobietę.

Bodenstein zamilkł. Pia czuła żal i ból, że musi oglądać go w tym stanie. Ale czy mogła mu jakoś pomóc?

– Pia – powiedział w końcu i westchnął ciężko. – Jesteś pierwszą osobą, której to mówię. Bardzo trudno było mi podjąć tę decyzję, ale postanowiłem ubiegać się o posadę w K11 w Berlinie.

– Co?! – Pia nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Ty chyba żartujesz!

– Nie. Przykro mi.

Nie, tak łatwo mu nie pójdzie. Zerwała się z krzesła i podeszła do niego.

– Wiem doskonale, dlaczego chcesz akurat do Berlina. Masz nadzieję, że dowiesz się o niej czegoś więcej. Ale pamiętaj, że ani nie poczujesz się lepiej, ani nie będziesz miał czasu na nowy start.

– Mimo wszystko chcę spróbować. – Spojrzał jej w oczy. Był rozgoryczony. – Moje małżeństwo się posypało, mieszkam u rodziców i robię za niańkę dla Sophii. Nawet w pracy zawalam, co się tylko da. Czy cokolwiek jeszcze mnie tu trzyma?

Pia podparła się pod boki i zmrużyła oczy.

– Rozczulasz się nad sobą, zamiast wziąć się w garść – stwierdziła dobitnie. – Może to zabrzmieć banalnie, ale po

burzy przychodzi słońce. Ja sama jestem chyba najlepszym przykładem, że po rozwodzie można ułożyć sobie życie na nowo, prawda?

Odezwała się komórka Bodensteina. Nie spuszczać wzroku z Pii, odebrał połączenie. Zaśmiał się krótko, a potem powiedział:

– Już jedziemy.

– Co się dzieje? – zapytała Pia.

– Zwłoki – odparł Bodenstein. – W lasku między Liederbach i Hofheim.

W tym momencie między chmurami pojawiło się słońce i zalało taras jasnym światłem. Pia musiała zmrużyć oczy.

– No widzisz, znowu miałaś rację – powiedział.

– Że co?

– Że po burzy przychodzi słońce. – Uśmiechnął się szeroko, niemal tak jak kiedyś. – Będzie mi ciebie brakowało w Berlinie.

– Akurat – mruknęła Pia. – Poza tym pamiętaj, że jeszcze jesteś tutaj.

Epilog Sobota 14 listopada 2009

Kawy? – zaproponował Bodenstein. Ojciec skinął głową, więc podał mu filiżankę i wrócił do gazety. Pierwszy tytuł rzucił mu się w oczy.

– „Tuszowanie globalnego ochłodzenia” – przeczytał i poczuł, że robi mu się zimno. – „Krótco przed rozpoczęciem szczytu klimatycznego ONZ w Kopenhadze światem naukowców wstrząsnęła afera związana z manipulowaniem danymi, fałszowaniem wyników badań i ujawnieniem wykradzonych poufnych mejli. Nieznani sprawcy włamali się na serwer pocztowy Centrum Badań nad Klimatem Uniwersytetu Walii i wykradli z niego tysiące poufnych mejli i utajnionych danych, które następnie zostały ujawnione w Internecie.

Jednak w tej sprawie to nie kradzież jest najważniejsza, a zawartość ujawnionych informacji. Prawdziwość upublicznionej korespondencji została potwierdzona przez dyrektora Centrum, który w konsekwencji podał się natychmiast do dymisji. W przekazanej opinii publicznej korespondencji czołowi uczeni zajmujący się zmianami klimatycznymi uzgadniali sposoby walki z przeciwnikami ich badań i dziennikarzami sceptycznie nastawionymi do głoszonych przez nich tez. Ustalali również, w jaki sposób manipulować danymi i wynikami badań, by pasowały do forsowanej przez nich teorii, jakoby zmiany klimatu wy-

woływała jedynie działalność człowieka. Ujawniona afery dowodzi bezprecedensowej i cynicznej gry prowadzonej przez najbardziej znanych i wpływowych naukowców, którzy gotowi byli fałszować dane i posługiwać się kłamstwem, by osiągnąć partykularne interesy polityczne. Sprawa jest tym bardziej doniosła, że Centrum Badań nad Klimatem Uniwersytetu Walii jest jednym z czterech centrów na świecie dostarczających danych klimatycznych Radzie Klimatycznej w Genewie. W ujawnionej korespondencji pojawia się również nazwisko znanego niemieckiego naukowca, profesora Dirka Ebenhuta, szefa Niemieckiego Instytutu Klimatycznego, silnie powiązane go z rządem federalnym. Profesor Dirk Ebenhut nie odpowiedział na nasze prośby o ustosunkowanie się do ujawnionych informacji, jednak nie mamy wątpliwości, że jego wiarygodność została wystawiona na szwank. W najbliższych dniach możemy się spodziewać jego odejścia z zajmowanego stanowiska, co mogłoby uchronić Instytut przed poważniejszymi konsekwencjami. Ujawniona afery została ochrzczona przez anglojęzyczne dzienniki «Aferą Climategate», w nawiązaniu do pamiętnej sprawy Watergate. Ujawnione informacje z całą pewnością stanowią poważny problem dla apologetów teorii globalnego ocieplenia”.

Bodenstein złożył gazetę i upił łyk kawy, która tymczasem zdążyła wystygnąć. Annice jednak się udało.

Podziękowania

Pisanie powieści jest drogą obfitującą we wzloty i upadki, a wędrówka nią trwa wiele miesięcy. W drodze tej mnóstwo osób mnie wspierało, inspirowało, motywowało, słuchało, co mam do powiedzenia, dodawało mi otuchy, pomagało i odnosiło się ze zrozumieniem, że nie miałam dla nich czasu. Należą się im wielkie podziękowania.

Na samym początku chciałabym podziękować mojej redaktorce Marion Vazquez, która z wielkim zaangażowaniem i oddaniem pracowała nad tą książką i stała się moją przyjaciółką.

Ogromne podziękowania należą się Vanessie Müller-Raidt, moim cudownym siostronom Claudii Cohen i Camilli Altvater oraz najlepszym rodzicom świata Bernwardowi i Caroli Löwenbergom za ich wsparcie, radę i pomoc.

Dziękuję mężowi Haraldowi, mojej agentce Andrei Wildgruber, mojej siostrzenicy Caroline Cohen, Susanne Hecker, Simone Schreiber, Catrin Runge, Anne Pfenninger; znów bardzo szczególne podziękowania kieruję do komisarz Andrei Schulze i do jej zespołu z wydziału K11 z Hofheim za wielkie wsparcie.

Chcę także podziękować pracownikom wydawnictwa Ullstein za zaufanie i współpracę. Wyrazy wdzięczności dla całego zespołu składam na ręce Iski Paller, Kristine Kress i Christy Thabor.

I na koniec, choć to o niczym nie świadczy! – chciałabym podziękować wszystkim czytelniczkom i czytelnikom, księgarzom i sprzedawcom, którzy lubią moje książki i okazują mi to, pisząc lub informując osobiście. Cudownie jest wiedzieć, że udało mi się zaproponować Państwu ciekawą i wciągającą rozrywkę!

Uwagi

Niniejsza książka jest powieścią. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących obecnie lub już zmarłych, podobnie jak podobieństwo do konkretnych sytuacji, jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jedynym faktem, który w jakiś sposób odpowiada rzeczywistości, to sam atak hakerski na Centrum Badań nad Klimatem na University of East Anglia w listopadzie 2009 roku, który wydarzył się tuż przed rozpoczęciem szczytu klimatycznego i wywołał sporo kontrowersji. Zapewniam jednak, że osoby występujące w napisanej przeze mnie powieści, podobnie jak zdarzenia i nazwy instytutów oraz organizacji, są wytworem mojej wyobraźni i moim celem nie było dyskredytowanie działalności jakiegokolwiek istniejących organizacji i centrów, jak również konkretnych osób, żyjących czy też zmarłych.